

**SCOTT MCBAIN**

# Gra

*Tytuł oryginału THE MASTERSHIP GAME*

Tłumaczył: Wojciech Szypuła

**Amber**



*Ludzie w różny sposób zdążają do celu, jaki każdy ma przed sobą, to jest do sławy i bogactwa, jeden oględnie, inny gwałtownie, jeden przemocą, inny podstępem, jeden cierpliwie, inny niecierpliwie - a każdy tymi różnymi sposobami może tam dojść\*.*

Niccoló Machiavelli *Książę*

---

\* Cytaty z *Książca* Niccola Machiavellego w przekładzie Czesława Nanke.

## PROLOG

Władza deprawuje. Im większa koncentracja władzy, tym większe ryzyko deprawacji.

To stwierdzenie nigdy nie było równie prawdziwe, jak w początkach XXI wieku. Władza skupiała się w rękach nielicznych - powstawały międzynarodowe korporacje, Europa jednoczyła się, a światowy handel się integrował. Zjawiska te przyniosły wymierne korzyści większości mieszkańców naszego globu, przede wszystkim w kategoriach materialnych. Wraz z nimi pojawiła się jednak groźba dyktatury na skalę światową.

Już sama koncentracja władzy zagrażała porządkowi świata, ale dopiero gwałtowny wzrost przepływu informacji, przez co - paradoksalnie - coraz trudniej było dochodzić prawdy, przyczynił się do powstania zabójczej mieszanki. Na początku nowego tysiąclecia ludzkość gwałtownie poszerzała wiedzę o sobie samej i swej planecie. Supermedia (nowe, modne w tamtych czasach określenie ściśle zintegrowanych sieci: telewizyjnej, satelitarnej, wydawniczej i komputerowej - supernetu) transmitowały tę nieprzetworzoną pulę informacyjną na cały świat, a legiony komentatorów i ekspertów z zapalem naginały fakty, by jak najlepiej je sprzedać. Wiadomo przecież, że naga prawda rzadko bywa aż tak interesująca.

Wszystko to jednak pociągało za sobą koszty, które mało kto mógł przewidzieć. Ludzie szybko zdali sobie sprawę, że informacje i samą prawdę poddaje się manipulacji, by zapewnić finansowe i polityczne zyski garstce uprzywilejowanych. Społeczeństwo straciło zaufanie do mechanizmów, które stanowiły ostoję demokracji.

Pierwsi zeszli na psy politycy. Handlowali informacjami politycznymi i ekonomicznymi na długo przed ich oficjalnym ujawnieniem. Fakty stały się towarem, który specjaliści od propagandy odpowiednio formowali i pakowali, by pomnożyć zyski. Prawda i rzeczywistość wirtualna stały się nie do odróżnienia.

Kto mówił prawdę? Amerykański Kongres? Rosyjska Duma? Parlament Europejski? Japoński Kokkai? Czy zasiadali w nich uczciwi ludzie? Zwykli ludzie byli innego zdania: czuli, że korupcja rozpleniła się na niespotykaną dotąd skalę, domyślali się, że wielkie pieniądze przechodzą pod stołem z rąk do rąk.

Równocześnie coraz bardziej widoczne stawały się grzeszne powiązania supermediów z technobaronami i giełdą. Związani z nimi oficjele nie siedzieli już jeden u drugiego w

kieszoni, ale leżeli w łóżku. Ludzie zdali sobie sprawę, że ci, którym najbardziej ufali, zawiedli. XXI wiek zaczął się więc jako wiek głębokiego cynizmu i nieufności.

Jak zatem wyglądała prawda? I kto mógłby ją przedstawić? Ten problem nurtował nie tylko szerokie masy, ale i światowych przywódców. Gdzie głowy państw miały szukać wiarygodnych, wyważonych informacji? Ich ministrowie i doradcy twierdzili wprawdzie, że przedstawiają obiektywne opinie, lecz w rzeczywistości albo realizowali własne cele, albo byli dyskretnie sterowani przez światowe organizacje przestępcze. Zdesperowani przywódcy zwrócili się o pomoc do międzynarodowych ciał doradczych. Niestety, z czasem one także uległy presji i za grube pieniądze handlowały półprawdami.

Wśród nielicznych instytucji, na które wciąż można było liczyć, najważniejsza była Akademia. Założona w XIII wieku działająca w sekrecie organizacja miała siedzibę na odludnej wysepce u zachodnich wybrzeży Szkocji. Od dawna stanowiła wyrocznie dla możnych tego świata. Zawsze słynęła z bezstronności, a jej działaniom przyświecał tylko jeden cel: zachowanie pokoju na świecie. Zwracano się do niej podczas najpoważniejszych kryzysów: wojen domowych, katastrof, konfliktów granicznych, zadrażnień geopolitycznych. Każdy z przywódców musiał kiedyś udać się tam z prośbą o obiektywną ocenę sytuacji i wskazanie najlepszego rozwiązania.

W najgłębszej tajemnicy.

Akademia zazdrośnie strzegła swej niezawisłości. Nie była zwyczajną uczelnią: nie miała własnych studentów, nie organizowała egzaminów, nie szukała źródeł finansowania. Każdy z jej osiemdziesięciu Adeptów był wybitnym specjalistą w swojej dziedzinie. Pełnił funkcję dożywotnio i miał zapewnione odpowiednie warunki, by spokojnie poświęcić się wyznaczonym przez Mistrza zadaniom. Od Adeptów wymagano jednego: ich związek z Akademią i wszystko, co działo się w jej obrębie, musiało pozostać tajemnicą.

A Mistrz? Opinia publiczna zdawała sobie wprawdzie sprawę z jego istnienia, lecz nie wiedziano o nim prawie nic. Człowiek, który sprawował najwyższą władzę, pozostawał obiektem domysłów, postacią tajemniczą, samotną, genialną i enigmatyczną. Nikt jednak nie podawał w wątpliwość jego wpływu na sprawy świata. Nawet papież Juliusz VI powiedział w czasie jednej z audiencji: „Święty Piotr trzyma w ręku klucze do Królestwa Niebieskiego, Mistrz - klucze do świątyń władzy doczesnej”.

Z biegiem lat rządy i instytucje pozarządowe na całym świecie z wolna ulegały paraliżowi i pogrążały się w marazmie - tylko Akademia pozostawała niewzruszona. Krystalicznie czyste źródło mądrości, która sphywała na wszystkich wąpiących i zagubionych. W Akademii każdy szef państwa mógł poruszyć tematy, które go nurtowały, i

uzyskać dyskretną poradę. Wszyscy oni zastanawiali się jednak - obserwując rozpad własnych społeczeństw - jak długo Akademia zdoła się oprzeć powszechnej tendencji. I co się stanie, gdy rzeczywiście legnie w gruzach? Co będzie z Mistrzem? Kto mógłby zastąpić sekretnego strażnika losów ludzkości?

Nikt jednak nie wiedział o Grze. I nikt nie znał drogi ku prawdzie.

# NATURA WŁADZY

# ROZDZIAŁ 1

*Wszyscy mądrzy książęta (...) mają zwracać uwagę nie tylko na trudności obecne, lecz także przyszłe.*

Niccoló Machiavelli *Książę*

Do spotkania nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych z Mistrzem doszło z powodu kryzysu politycznego. Spotkanie nie miało nic wspólnego ani z Gra, ani z jej uczestnikami, wywarło jednak wielki wpływ na prezydenta. Sprawilo, że najpotężniejszy człowiek na świecie musiał zastanowić się nad naturą władzy i nad tym, kto powinien ją sprawować. Tak właśnie Mistrz pokierował życiem prezydenta, podobnie jak wcześniej - i później - kierował życiem milionów ludzi, którzy nawet nie zdawali sobie z tego sprawy.

Zanim jednak rozpoczęła się Gra, doszło do kryzysu. I była pierwsza ofiara.

Jack Caldwell, doradca prezydenta do spraw specjalnych, był przy nim od samego początku. Jak wszystkie wielkie katastrofy polityczne, ta również nadeszła niespodziewanie - chociaż nastąpiła w okresie, gdy wszyscy politycy powinni się mieć na baczności: w święta Bożego Narodzenia, które niosą pokój ludziom dobrej woli.

- Prezydent chce się z tobą natychmiast widzieć, Jack. - Nagłący głos sekretarza prasowego zdradzał napięcie.

Jack wstał od biurka. Był wysokim, szczupłym mężczyzną po sześćdziesiątce, miał siwiejące włosy i nieprzeniknioną twarz. Od dawna pracował w rządzie i służył radą kilku prezydentom. Znał na wylot amerykański system polityczny, a ludzie ufali mu i polegali na jego opiniach. Idąc korytarzem, wyjrzał przez okno na ciągnący się przed Białym Domem trawnik. Padał gęsty śnieg. Jessica i Karen, córki prezydenta, lepiły bałwana. Biegały wokół niego, chichocząc radośnie. Jack się uśmiechnął; przyszedł mu na myśl Kennedy - fotogeniczny prezydent, jego piękna żona i dwójka uroczych dzieci. Prezydent Davison był równie sprytny i fotogeniczny. I miał zadatki na wielkiego męża stanu.

Z otwartych drzwi w głębi korytarza wyszła sekretarka.

- Niech pan od razu wchodzi.

Gdy Caldwell przekraczał drzwi Gabinetu Ovalnego, przyszło mu do głowy, że kraj jak nigdy dotąd potrzebuje uczciwego prezydenta. System polityczny Stanów Zjednoczonych - jak zresztą wielu innych krajów - w ostatnich latach pogrążył się w coraz głębszym marazmie. Skorumpowany Kongres, poprzedni prezydent, usunięty z urzędu za branie łapówek (Caldwell nigdy nie był jego doradcą), urzędnicy administracji, myślący tylko o własnych interesach, zamiast służyć wyborcom. Ubiegłe kilka lat naprawdę fatalnie zapisało się w pamięci obywateli, którzy coraz bardziej krytycznie oceniali swoich przedstawicieli. Dlatego też czterdziestotrzyletni Davison wygrał wybory z miażdżącą przewagą nad rywalem. Zasiadał w Białym Domu dopiero od dziesięciu miesięcy, a już zdążył dobrać się do skóry wielu wpływowym ludziom, którzy chcieli powstrzymać go przed ujawnieniem powszechnej korupcji. W końcu musiało do tego dojść, ale na razie Davison miał poparcie wyborców, a to w polityce liczyło się najbardziej. Przynajmniej na razie.

- Wejdz, Jack, siadaj.

Jack zajął miejsce na sofie. Naprzeciwko miał trzech ludzi. Wiedział o nich wszystko. Joe Buchanan z Nebraski, budzący powszechny respekt, krępy wiceprezydent. Paul Faucher, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego. Nosił się dumnie, nie pozostawiając wątpliwości co do swoich wpływów i możliwości. Wreszcie William Olsen, tajemniczy dyrektor CIA; zbliżał się do sześćdziesiątki i zasłużonej emerytury. Zgrana ekipa.

Atmosfera w pokoju była napięta. Caldwell zauważył, że nie ma wśród nich przedstawiciela sił zbrojnych. Ciekawe.

- Istotnie, panie prezydencie, sprawa jest niezwykle poważna - powiedział podenerwowany Faucher. - Mamy zapewne do czynienia z największym zagrożeniem dla bezpieczeństwa państwa w dziejach naszej administracji.

Siedzący w fotelu Davison spojrzał na Caldwell. Na jego twarzy nie było słynnego promiennego uśmiechu. Z roztargnieniem przeczesał palcami grzywę kasztanowych włosów. Był przystojny i zaczynał leciutko siwieć, co tylko dodawało mu majestatu.

- Wyjaśnij Jackowi, o co chodzi, Paul.

Faucher zwrócił się do Caldwell. Można było go nie lubić, nikt jednak nie mógł mu zarzucić braku doświadczenia. W polityce prezydentowi nieraz przychodziło współpracować z różnymi ludźmi.

- Będę się streszczał. - Faucher rzucił na stół teczkę z aktami. - Wczoraj wieczorem otrzymaliśmy poufną informację od naszego człowieka, wysokiego urzędnika rosyjskiego. W ręce Rosjan wpadły ściśle tajne projekty naszych wyrzutni rakiet atomowych w Turcji i



Japonii. - Na chwilę zawiesił głos. - Źle się stało, ale najgorsze jest to, że źródłem przecieku był ściśle tajny dokument rządowy.

Faucher poruszył się nerwowo, jakby siedział na ruszcie nad ogniem.

- Czy to wiarygodne źródło? - zapytał wstrząśnięty Caldwell.

- Całkowicie - prychnął Faucher i machnął lekceważąco ręką. - Nasz agent przysłał nam kopie. Można by odnieść wrażenie, że siedział tu, w gabinecie, i przysłuchiwał się całej naradzie.

- Przecieki musiały nastąpić na samej górze - zauważył Buchanan i ściszył głos: - To ktoś z rządu, ktoś bardzo blisko prezydenta. Wśród nas jest zdrajca.

Zapadło długie milczenie.

- Ile mamy czasu, zanim media się na to rzucą? - zapytał prezydent.

- Jakieś... - Faucher zerknął na zegarek. - Cztery, może pięć godzin. Sami wiecie panowie najlepiej, że rząd rosyjski nie potrafi niczego zachować w tajemnicy. Poza tym w supersecie już zaczynają krążyć plotki. Niedługo będziemy musieli je skomentować.

Wszyscy spojrzeli na prezydenta, który zachowywał olimpijski spokój. Stalowe nerwy były jedną z jego największych zalet. Rozważywszy problem, pochylił się w przód na fotelu. Na jego twarzy malowała się determinacja.

- Musimy zrobić trzy rzeczy - stwierdził. - Joe, ty i Paul - skinął kolejno na Buchanana i Fauchera - dowiedcie się, jak doszło do przecieku. To sprawa najwyższej wagi. Po drugie: wieczorem zwołam nadzwyczajne posiedzenie rządu. Po trzecie: od razu musimy osłabić ataki mediów. Wytrącić im oręż z ręki.

- Niech pan to powie Kongresowi - zauważył kwaśno Olsen. - Wojsko wydało miliardy dolarów na przebudowę wyrzutni, które w dodatku, tak jak te w Japonii, oficjalnie nie istnieją! Zacznie się nowy wyścig zbrojeń. Kongres będzie chciał krwi! - Dyrektor CIA nie mógł opanować wściekłości.

- Wiem o tym, wiem! - przerwał mu ostro Davison i wstał. - I dlatego chcę, żeby dziś po południu, na konferencji prasowej, ktoś zadał mi właściwe pytanie. A przed wieczorem musimy się dowiedzieć, gdzie był przeciek i w jaki sposób dokumenty trafiły w ręce Rosjan.

Prezydent zerknął na Jacka - ich oczy spotkały się i porozumieli się bez słowa. Rzeczywiście, doszło do kryzysu, ale ciągle jeszcze mieli szansę zatuszować sprawę. Problem polegał na tym, że skoro ściśle tajne dokumenty rządowe przeciekły do Rosji, nikt nie mógł być pewien, czy również inne sekrety nie zostaną ujawnione.

Po południu, na zakończenie dorocznego spotkania Amerykańskiej Izby Przemysłowej, prezydent Davison wystąpił na „zaimprovizowanej” konferencji prasowej. Jej

scenariusz zaplanowano z godzinnym wyprzedzeniem. Wszedł na mównicę rozluźniony i spokojny; z żoną Christiną tworzyli przeuroczą parę. Padały proste, przyjemne pytania, łatwiej niż podkręcone piłki w baseballu.

- Jaki jest stan gospodarki, panie prezydencie?

- Co z inflacją?

- Jak pan skomentuje krach na giełdzie w Brazylii?

- Czy pod koniec roku spotka się pan w Moskwie z prezydentem Barczowem?

Prezydent udzielał odpowiedzi bez zastanowienia, od czasu do czasu błyskając zębami w swoim słynnym uśmiechu. Caldwell oglądał go w tej roli już setki razy, ale wciąż był nim zauroczony. W życiu nie widział mówcy zachowującego się równie naturalnie.

Najważniejsze pytanie padło pod sam koniec konferencji, kiedy udało się nieco uspić czujność medialnej maszyny.

- Panie prezydencie, czy to prawda, że jakiś szpieg przekazał Rosjanom szczegółowe informacje o amerykańskich bazach raketowych?

Prezydent Davison uśmiechnął się lekko.

- Wiecie państwo, że w naszym świecie spiski i interwencje obcych są na porządku dziennym. - Odpowiedziała mu salwa śmiechu: dziennikarze pamiętali jeszcze opublikowany przed tygodniem artykuł, w którym pewien ekscentryczny kongresman twierdził, że Biały Dom został spenetrowany przez istoty z innej planety. - Owszem, doszły nas takie plotki. Wyjaśniamy je. Chodzi prawdopodobnie o zdezaktualizowane informacje, dotyczące starych wyrzutni raket. - Prezydent wzruszył ramionami, dając tym samym do zrozumienia, że jest to wiadomość małej wagi. Wbrew temu, co sam powiedział. - Sprawę traktujemy z należytą powagą.

Zanim padły dalsze pytania, przedstawiciel prezydenckiego sztabu prasowego oznajmił:

- Na dziś to wszystko, proszę państwa.

Gdy prezydent odwrócił się, by zejść z mównicy, podbiegła do niego jego pięcioletnia córeczka, Karen, pchnięta niewidzialną dłonią. Prezydent porwał ją w ramiona. Pięćdziesiąt osiem milionów Amerykanów przed telewizorami oglądało ten pokaz rodzicielskiej miłości; wszystkim ojcom i matkom zrobiło się cieplej na duszy. Specjaliści od propagandy nazwaliby to „spontanicznie wyreżyserowanym zdarzeniem”. Dzięki niemu naród zapomniał już, jakie słowa padły z mównicy. Wszyscy zapamiętali tylko dumnego ojca rodziny, człowieka, któremu ufają.

Trzymając córkę na rękach, prezydent posłał kamerom firmowy uśmiech. Kraj miał

się doskonale; Davison był uosobieniem tego sukcesu: jego uśmiech, spokój, ciepło. Niech go Bóg błogosławi. Niech błogosławi Amerykę.

Złudzenie prysło, gdy znaleziono trupa.

- To niemożliwe!

Był wczesny wieczór. Prezydent wrócił właśnie z zebrania Izby Przemysłowej. Członkowie gabinetu wpatrywali się w niego jak w słońce. Szef Połączonych Sztabów na wieść o przecieku wpadł we wściekłość: ktoś znalazł jego zabawki - teraz będzie musiał bawić się w inny sposób.

- To po prostu nie do wiary. - Tym razem głos prezydenta nie zdradzał żadnych emocji.

Paul Faucher nie ustępował:

- Przykro mi, panie prezydencie. Przecieki nastąpił z naszej ambasady w Paryżu. Służby specjalne nie mają co do tego cienia wątpliwości, potwierdza to też nasz człowiek w rządzie rosyjskim. Krąg podejrzanych bardzo się przez to zawęża. - Faucher powiódł posępnym wzrokiem po zebranych wokół stołu ludziach. - Praktycznie rzecz biorąc - do jednej osoby. Tylko pański najbliższy doradca polityczny mógł wywieźć te dokumenty z kraju i dostarczyć je do Paryża.

- Wykluczone. Proszę mnie posłuchać. - Prezydent Davison wycelował w Fauchera wyprostowany palec. Głos drżał mu z emocji. - Ambasador Pearlman jest równie niewinny teraz, jak był w dniu swoich narodzin. Osobiście wyznaczyłem go na to stanowisko. Znam go od lat i nie wyobrażam sobie, żeby był szpiegiem.

W pokoju zapadła cisza. Wszyscy w milczeniu rozważali konsekwencje słów prezydenta. Skoro jego najlepszy przyjaciel zdradził narodową tajemnicę Rosjanom, to sam prezydent znajdzie się w nie lada tarapatach. Czy to możliwe?

Wszyscy znali Dana Pearlmana, potomka ranczerów z Montany, który dorobił się milionów na handlu bydłem. Z biegiem czasu nabrał trochę ogłady, lecz wciąż był bezkompromisowym patriotą, wyznającym nieskomplikowaną filozofię życiową. Był brzydki i męski jak James Stewart; uosabiał prawdziwy ideał Amerykanina.

- No cóż... - odezwał się wreszcie Davison, wiedząc, że nie ma innego wyjścia. - Każę mu natychmiast wracać do kraju, żebyście mogli go przesłuchać. A tymczasem... - Skinął głową na wiceprezydenta i doradcę do spraw bezpieczeństwa. - Proszę kontynuować śledztwo. Interesuje mnie każdy szczegół: kto jeszcze mógł mieć dostęp do tych dokumentów, jak zostały przekazane Rosjanom, kiedy do tego doszło. Zobaczymy się jutro o

siódmej rano. Na tym kończymy. - Prezydent wstał. - Mógłbym cię prosić na słówko, Joe? - zwrócił się do wiceprezydenta. - I ciebie, Jack?

Usiedli razem w jednym z mniejszych pokoiów. Davison spojrzał na swych doradców - jedynych, którym ufał w świecie polityki. Uświadomił sobie nagle, że ufał również Danowi Pearlmanowi. Niestety zawsze zdradzają ci najbliżsi.

- Mamy kryzys - rzekł cicho. Caldwell zwrócił uwagę, ile smutku jest w oczach prezydenta. - Nie chcę rzucić Pearlmana wilkom na pożarcie, nie dając mu szansy obrony. Czy to jasne?

Ledwie skończył mówić, przyszło mu do głowy nowe pytanie: dlaczego ktoś przekazał do Rosji właśnie te, a nie inne dokumenty? Miały tak wielką wagę, że ich ujawnienie musiało spowodować olbrzymie szkody natury politycznej. Komu by zaszkodziły? Stanom Zjednoczonym? Czy raczej samemu prezydentowi? Otworzył ponownie usta, ale nie mógł zdobyć się na to, by głośno wyrazić swoje podejrzenia. Niektórych tajemnic się nie ujawnia. Są zbyt osobiste.

Mogą doprowadzić do upadku prezydenta.

Dan Pearlman odebrał telefon u siebie w domu - w ogromnym paryskim apartamencie, na stałe zarezerwowanym dla amerykańskiego ambasadora. Dobiegał siedemdziesiątki i cieszył się dobrym zdrowiem. Teraz, odkładając słuchawkę, czuł się znacznie, znacznie starzej. Wielokrotnie musiał stawiać czoło przeciwnościom losu. Pod jego uprzejmą, łagodną powierzchownością krył się niezłomny charakter. Teraz przygotowywał się na najgorsze: huragan nadciągał nieubłaganie, a on miał się znaleźć dokładnie na jego drodze. Ucieczka nie leżała jednak w jego naturze. Bardziej martwił się o żonę.

- Nie denerwuj się, Dan. Wszystko się wyjaśni - mruknął, wchodząc po schodach na górę. Ingela szykowała się właśnie do uroczystej kolacji.

Życie potraktowało go łaskawie, nigdy temu nie przeczył. Kiedyś był nikim. Jego rodzice mieli jedno małe ranczo. Na własnej skórze doświadczyli biedy lat trzydziestych, ale wpoili mu uczciwość i zapal do pracy. Dobiegając wieku średniego, stał się człowiekiem zamożnym, zadowolonym z życia, ale fortuna miała dla niego w zanadrzu jeszcze jedną niespodziankę. W wieku sześćdziesięciu trzech lat, kiedy jego pierwsza, ukochana żona zmarła na raka, spodziewał się, że umrze w samotności. Los zdecydował inaczej.

Wszedł do sypialni. Ingela właśnie skończyła się stroić. Była piękną Szwedką o długich blond włosach, kształtnej figurze i intrygującej twarzy. Poznał ją przed czterema laty na kolacji u swojego dawnego znajomego. Płomienny romans zakończyli małżeństwem. Dan

oczywiście wiedział, co mówią ludzie: że jest starym osłem, że Ingela - młodsza od niego o trzydzieści lat - wyszła za niego dla pieniędzy, że chciała władzy, że ma nienasyconą ambicję.

- Owszem - przytakiwał Dan tym spośród przyjaciół, którzy mieli dość odwagi, by skierować rozmowę na ten temat. - To wszystko prawda. Nie od dziś władza i pieniądze działają na kobiety jak magnes. - I dodawał zaskakującą puentę: - Ale ona poza tym mnie kocha.

Usiadł ciężko na łóżku, patrząc, jak Inga zakłada diamentową kolię. Czy nadal go kocha? Wierzył, że tak. Słyszał, rzecz jasna, plotki, ale starał się je ignorować; nie miały znaczenia. Liczyła się tylko jej miłość do niego. Kiedyś o wszystkim mu powie, a on jej wybaczy. Taką już Dan Pearlman miał naturę, a w jego wieku za późno było myśleć o zmianach. Nie, za żadne skarby świata. To świat musiał się zmienić dla niego.

- Prezydent wzywa mnie do Stanów, kotku - powiedział i zrelacjonował w skrócie przebieg rozmowy ze znajomym urzędnikiem.

Ingela nie posiadała się ze zdumienia.

- Mają cię za szpiega?! Co za łgarstwo! - Rozpostarła palce, podziwiając swoje świeżo polakierowane paznokcie. - W życiu nie spotkałam równie uczciwego człowieka. Poza tym po co miałbyś przekazywać komuś tajemnice państwowe? Co by ci z tego przyszło?

- Nic takiego nie zrobiłem, to chyba jasne. A to może znaczyć tylko jedno: ktoś chce mnie wrobić.

- Ale kto?

- Nie mam pojęcia, skarbie, ale zapewniam cię, że się dowiem.

Ingela zerwała się z krzesła. Jej twarz zdradzała lęk.

- Przyjdą tu?

- Tak. Niedługo ekipa CIA przeszuka całe mieszkanie w poszukiwaniu dowodów. - Ambasador machnął lekceważąco ręką. - Nie boję się tego, nie mam nic do ukrycia. - Wstał. - Mam samolot o szóstej rano. Dziś jeszcze pójdziemy na kolację. Nie ma sensu sprawiać ludziom zawodu. - Pocałował żonę. W tej chwili był tylko starym, zmęczonym człowiekiem. - Nic się nie przejmuj. Wygramy. Zaczekam na ciebie na dole.

Ingela odprowadziła go wzrokiem, a kiedy upewniła się, że zszedł na parter, podeszła do zamkniętego na klucz sekretarzyka. Usiadła przy nim i ze łzami w oczach napisała szybko kilka słów na kartce papieru. Jej gra nieoczekiwanie dobiegła końca.

Kolacja udała się znakomicie; goście świetnie się bawili. Dan był znakomitym gawędziarzem, Ingela zaś jak zwykle błyszczała w towarzystwie. Nikt nie domyślał się nawet, że coś może być nie w porządku. Po przyjęciu Ingela ostatni raz zajrzała do kuchni i poprosiła

Marcellę, filipińską kucharkę, żeby wysłała dla niej paczkę. Nikt nie zauważył, kiedy podrzuciła zawiniątko do starej, skórzanej torby, z którą Marcella chodziła na zakupy.

Potem Inga zrobiła to, co należało.

Tej nocy, kiedy wydarzenia w Waszyngtonie nabierały gwałtownie tempa i wymykały się ludziom Davisona spod kontroli, odczekała spokojnie, aż jej mąż zaśnie. Wyśliznęła się z łóżka i narzuciła szlafrok na jedwabną koszulę nocną.

- Żegnaj - szepnęła i delikatnie ucałowała śpiącego mężczyznę w czoło. Dan Pearlman był dobrym człowiekiem; lepszy mąż nie mógł się jej trafić. - Kochałam cię - dodała.

Wyszła z sypialni i skierowała się na górę, gdzie znajdowały się puste pokoje przeznaczone dla gości ambasadora.

W jednej z sypialni otworzyła okno, wyszła na wąski zewnętrzny parapet i zaczęła się wspinać po drabince ewakuacyjnej. Przyszło jej do głowy, że czasem człowiek naprawdę znajduje się w sytuacji bez wyjścia. Nauczyła się akceptować okrucieństwo jako nieodłączny element ludzkiej natury. Po prostu tak musiało być i nic tego nie zmieni.

Weszła na dach. Poczowała na twarzy lodowaty podmuch wiatru. Światła tysięcy domów i samochodów rozświetlały paryską noc. Cztery piętra niżej znajdował się zamknięty z czterech stron dziedziniec ambasady. Wcale nie była sama - miliony ludzi znajdowały się tuż obok niej - a jednak nigdy w życiu nie czuła się równie samotna. Nikt nie mógł jej pomóc.

Rozpostarła wolno ramiona. Jej rozpacz nie miała granic; jej decyzja była ostateczna. Spojrzała obojętnie na własne ciało. Oddawała je różnym mężczyznom, ale najchętniej Danowi - i temu drugiemu, którego też kochała. Wiedziała, że Dan się myli: im wcale nie zależało na tym, żeby go skrzywdzić; chodziło o coś więcej. Ale za długo chcieli ją szantażować.

- Mamo - powiedziała po szwedzku, w swym ojczystym języku, i zrobiła krok do przodu.

Nareszcie była wolna.

- Proszę się obudzić, panie ambasadorze.

Przyszli do niego o czwartej rano. W półśnie obrócił się na drugi bok i ujrzał przerażone twarze zastępcy szefa misji i dwóch innych członków personelu.

- Proszę iść z nami.

Pospiesznie przemierzili korytarz i schody, nie chcąc mówić mu o tym, co się wydarzyło. Wyszędłszy na czworokątny dziedziniec, Pearlman ujrzał Ingełę. Leżała spokojnie, z rozrzuconymi na śniegu włosami i piękną twarzą, oświetloną blaskiem lamp.

Impet zderzenia z brukiem nie zostawił po sobie żadnych widocznych śladów; tylko z boku, spod lewej skroni, sączyła się strużka krwi, zastygła teraz w małą kałużę. Powłócząc nogami jak starzec, Dan podszedł bliżej.

Miała otwarte oczy. Zamknął je, nie mogąc powstrzymać łez; wiedział, że teraz patrzy nie na niego, lecz w dal, na inny, lepszy świat. Nawet jego miłość nie zdołała jej powstrzymać.

- Panie ambasadorze, powinien pan wracać do pokoju. Mieli pierwszą ofiarę.

Kiedy media o tym poinformowały, wybuchł polityczny skandal dziesięciolecia. Nagłówki mówiły same za siebie:

#### TAJNE DOKUMENTY RZĄDOWE PRZEKAZANE ROSJANOM

#### ŻONA AMERYKAŃSKIEGO AMBASADORA W PARYŻU POPEŁNIA SAMOBÓJSTWO

#### GOSPOSIA WYSYŁA PACZKĘ, PRAWDOPODOBNIENIE ZAWIERAJĄCĄ LISTY. ADRESAT POZOSTAJE NIEZNANY

Oboje Pearlmanowie pozostawali w zażyłych stosunkach z prezydentem, podekscytowani dziennikarze drążyli więc dalej, głębiej. Skandal rozkwitał. Ingela Pearlman miała romans z pewnym wysoko postawionym urzędnikiem. Kto nim był? Rozpoczęło się polowanie.

Media, komentatorzy, eksperci - wszyscy pałali żądzą krwi, wietrząc łatwą zdobycz i zarobek. Ujawnienie szczegółów sprawy leżało, rzecz jasna, w interesie ogółu obywateli, o czym zapewniano na każdym kroku.

Zacierali także ręce producenci broni. Wojskowi w Rosji, Chinach, Pakistanie, Iranie i Iraku, zaalarmowani ujawnieniem rozlokowania wyrzutni, zaczęli naciskać na rządy, by przeciwstawiły się one nowej groźbie. Nie trzeba było długo czekać na zapowiedzi rozbudowy arsenałów.

Naturalnie wszyscy znali prawdę: ktoś z najbliższego otoczenia prezydenta ujawnił tajemnicę państwową, żeby zaszkodzić Stanom Zjednoczonym. Było to aż nadto oczywiste. Politycy natychmiast wyczuli zmianę koniunktury i coraz wyraźniej dystansowali się od prezydenta. Nawet wiceprezydent Buchanan zaczął się cichaczem wycofywać, chociaż nie

przestawał przy każdej okazji podkreślać swej lojalności wobec Davisona. Cały gabinet czekał na chwilę, gdy prokurator generalny zada śmiertelny cios:

- Panie prezydencie, powinien pan chyba rozważyć możliwość...

Obywateli śledzących na bieżąco rozwój sytuacji ogarniał smutek i zwątpienie. Zdawali sobie sprawę z dwóch rzeczy, które media zlekceważyły: że ludzie są tylko ludźmi i że należy wstrzymać się z ferowaniem wyroków do chwili, gdy znane będą wszystkie fakty.

Nikt jednak nie miał wątpliwości, że gdy dojdzie do ujawnienia listów, prezydent będzie musiał ustąpić.

Rankiem trzeciego dnia po śmierci Ingeli Pearlman Jack Caldwell zdecydowanym krokiem wszedł do Gabinetu Ovalnego. Prezydent Davison stał przy oknie, wyglądając na zewnątrz. Twarz miał ściągniętą, ponurą; przez te kilka dni wyraźnie się postarzał. Wiedział, że ktoś chce go zniszczyć - ale kto? Rosjanie? Ingela? Ktoś w Waszyngtonie? Nie miało to wielkiego znaczenia, bo tak czy inaczej listy staną się dla niego gwoździem do trumny. Prezydent sypiał ze szpiegiem.

Idąc po grubym, błękitnym dywanie w stronę biurka, symbolicznego serca kraju, Caldwell rozmyślał o tym, że ewentualny upadek prezydenta będzie miał daleko idące konsekwencje dla amerykańskiego systemu rządów. Odsunięcie od władzy poprzedniego prezydenta okazało się katastrofą; gdyby temu przydarzyło się to samo, demokracja byłaby zagrożona. A wówczas ci, którzy śnią o władzy, lecz nie są w stanie zdobyć jej legalnie, przenikną wprost do centrum systemu. Caldwell wiedział, co musi zrobić.

- Jack... - Prezydent powoli odwrócił głowę w jego kierunku i przyjrzał mu się. Ostatnie dni wiele go nauczyły. Dużo rozmyślał o władzy, o jej prawdziwej naturze. Wiedział, że żądza jej zdobycia jak kwas przeżera serca i wsącza w nie zło. Dla niej ludzie byli gotowi kłamać i zdradzać; im większa władza wchodziła w grę, tym bardziej stawali się nieobliczalni. Teraz zdawał sobie z tego sprawę. Widział to po swoich współpracownikach, którzy zacierali ręce na myśl o jego upadku, deklarując zarazem niezłomną lojalność. Wydarzenia ostatnich dni zdezorientowały Davisona, który nie potrafił już dostrzec wyjścia z sytuacji. - Jack... - powtórzył z wahaniem. - Postanowiłem ustąpić ze stanowiska.

Caldwell spokojnie pokręcił głową.

- Proszę tego nie robić - odparł. - Najpierw musi się pan spotkać z Mistrzem.



## ROZDZIAŁ 2

*Mędrzec potrafi ratować ludzi, tak że żaden człowiek nie zostaje  
niepotrzebnie odrzucony. Mędrzec umie też oszczędzać rzeczy  
i niczego nie odrzuca. To właśnie jest ukryta mądrość.*

Lao-Cy

Lodowaty, przenikliwy wiatr niósł tumany śniegu i smagał bezlitośnie pustkowia szkockiej wysepki. Było późne popołudnie. Prezydent wyjrzał przez okno samochodu. Prosto z konferencji NATO w Paryżu udał się do Szkocji, skąd śmigłowcem dostał się na Tirah. Pozostał mu ostatni etap podróży do znajdującego się w sercu wyspy zamku - siedziby Akademii.

Patrzył, jak płatki śniegu rozbijają się o szyby auta. Poprzedni prezydent nieraz opowiadał mu, jak cieszył się z tych krótkich wycieczek na Tirah. Miał wtedy czas spokojnie pomyśleć o wszystkim, wyrwać się ze świata polityki, intryg i wiecznej nudy. Davison myślał o setkach nieznanym mu ludzi, przez stulecia odwiedzających Tirah jak pielgrzymi, w poszukiwaniu odpowiedzi, których sami znaleźć nie potrafili.

- Jeszcze jakieś dwadzieścia minut, panie prezydencie. - Głos Jacka Caldwell'a wyrwał go z zamyślenia.

Dobrze zrobił, zabierając Jacka ze sobą. Caldwell poznał Mistrza, pracując dla poprzedniego rządu. Teraz pomoże mu przełamać lody.

- Panie prezydencie?

Davison pstryknął przełącznikiem. Z głośnika zabrzmiał dudniący głos szefa służb specjalnych:

- Oczyścili drogę do Akademii, panie prezydencie. Jest gładka jak stół.

- Dziękuję, Tom.

Rozległ się cichy szczeł, gdy prezydencka limuzyna zjechała z lądowiska dla śmigłowców na jezdnię. Pozostałe samochody zajęły swoje miejsca w kolumnie. Ryknęły silniki; w głośniku rozbrzmiały przemieszane komunikaty agentów ochrony.

Davison nie zwracał uwagi na otoczenie. Do Bożego Narodzenia pozostały dwa dni. Wyobraził sobie, jak jego córki biegają po trawniku wokół Białego Domu, podekscytowane, rozgorączkowane, kompletnie nieświadome rozgrywającej się tragedii. Przyszła mu na myśl Christine; przypomniał sobie, co wyznał jej poprzedniej nocy. Myślał też o Ingeli Pearlman; doskonale pamiętał jej smak, zapach i łagodny śmiech. Dlaczego tak go zdradziła?

- Mam nadzieję, że warto było tu przylecieć, Jack.

Caldwell uśmiechnął się niewesoło.

- Z całą pewnością, panie prezydencie.

Davison zdawał sobie sprawę, że zarówno jego doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, jak i wiceprezydent ostro sprzeciwiali się tej eskapadzie. Ostrzegali go, że Akademia nie jest poplecznikiem Stanów Zjednoczonych, dając przy tym do zrozumienia, że sprzyja Rosjanom. Poza tym była zbyt tajemnicza i wpływowa - nie należało zatem zaznajamiać jej z wewnętrznymi kłopotami państwa, które mogłaby później wykorzystać przeciw niemu. Davison pomyślał, że wkrótce sam się o wszystkim przekona. Może Fauchera i Buchanana zwyczajnie zżerała zazdrość, że tylko głowy państw miały dostęp do Mistrza. Mimo ich ostrzeżeń nie mógł się doczekać spotkania z tajemniczym człowiekiem, który zawsze go fascynował.

Wąska droga niknęła przed nimi w lesie; po obu stronach strzeliste świerki uginały się pod śniegiem. Limuzyna ruszyła; rozmiękły śnieg tryskał spod kół. Kiedy skręcili w las, prom i lądowisko zniknęły prezydentowi z oczu. Wsłuchał się w monotony szmer wycieraczek. W oddali rysowały się niewyraźnie dwie bliźniaczo podobne góry. Mgła skrywała ich wierzchołki.

- Powinni tu wybudować porządne lotnisko - stwierdził Davison. - Albo przynajmniej pozwolić nam lądować bliżej Akademii.

Caldwell się roześmiał - po raz pierwszy od wielu, wielu dni. Jednak w jego śmiechu można było wyczuć napięcie.

- Jeśli pan tak uważa, proszę o tym powiedzieć Mistrzowi, panie prezydencie. Jestem przekonany, że się z panem nie zgodzi. Dopuszczenie śmigłowców na wyspę było i tak znacznym ustępstwem; początkowe warunki utworzenia specjalnej ONZ-owskiej strefy wokół Tirah przewidywały jedynie połączenie promowe. Akademia pilnie strzeże swej prywatności, tak że nawet jeżeli na Tirah zmieściłoby się prawdziwe lotnisko, Mistrz zapewne sprzeciwiłby się jego budowie. A poza tym... - Caldwell nieoczekiwanie spoważniał.

- Przejazdka pozwala na chwilę refleksji.

Davison bez słowa skinął głową. Wjechali w ośnieżony las, który otulił ich białym kokonem. Przytulne wnętrze samochodu było jak z innego świata. Czy Mistrz naprawdę mu pomoże? Jak to możliwe, żeby lepiej od prezydenta znał się na sprawach państwa? A jednak...

- Wiesz, Jack... - odezwał się prezydent, nie odwracając się od okna - kiedy ostatni sekretarz generalny Organizacji Narodów Zjednoczonych przed paroma miesiącami kończył urzędowanie, udzielił mi pewnej rady. Poklepał mnie po ramieniu, tak jak to miał w zwyczaju, niczym dobry wujek, i powiedział: „Jedno sobie zapamiętaj: kiedy wszystko zacznie się walić, jedź spotkać się z Mistrzem”.

- Miał rację, panie prezydencie - odparł Caldwell.

Davison odwrócił się i obrzucił go czujnym spojrzeniem.

- Pewnie tak, chociaż nadal nie wierzę, żeby Mistrz miał taką wiedzę, jak mówią. Niemożliwe, żeby znał wszystkie tajemnice państwowe, szczegóły rozmieszczenia naszych rakiet i temu podobne sprawy.

- Nie wszystkie, panie prezydencie - odparł chłodno Caldwell. Jako członek Akademii nie chciał ujawniać tajników jej funkcjonowania. - Chociaż zapewne większość. Ma dostęp do takich ludzi i źródeł informacji, o jakich przeciętnemu człowiekowi nawet się nie śniło. Poza tym od ponad trzydziestu lat regularnie spotyka się z głowami państw z całego świata. Przypuszczalnie jest jedynym żyjącym człowiekiem, który na własne oczy oglądał zarówno tajne archiwa watykańskie, jak i archiwa komunistów w Pekinie. Nie jest zamieszany w żadne polityczne rozgrywki i cieszy się zaufaniem przywódców państw, więc wie o rzeczach, jakich CIA nie ma szans wyciągnąć z ludzi. Poprzedni prezydent opowiadał mi, że spotkanie z Mistrzem przypomina spowiedź w konfesjonale. I Mistrz - tak jak ksiądz - dochowuje tajemnicy.

- Zawsze? - wtrącił ostrym tonem Davison. - Jesteś pewien?

- Tak. Ręczę za to.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz, Jack.

Prezydent ze znużeniem pokręcił głową i znów wyjrzał przez okno. Przez głowę jedna za drugą przelatywały mu rozmaite myśli. Czy żona go zostawi? Powiedziała, że nie, ale czy nie zmieni zdania, gdy wszystko wyjdzie na jaw, a ona znajdzie się pod ostrzałem dziennikarzy? I co z dziećmi? Jak wytłumaczyć coś takiego dziecku, które darzy cię bezwarunkową miłością? Kiedy o wszystkim im opowie, zniknie bezpowrotnie tato, jakiego znają, a jego miejsce zajmie obca, podejrzana, niegodna zaufania postać. Eksprezydent, pogwałcony ojciec. Davison westchnął ciężko.

Las się przeredził. Za oknem rozciągał się łagodny, skalisty stok wzgórza, skąpo porośnięty wrzosem i janowcem. Lada chwila powinni ujrzeć gmach Akademii. Davison przeklinał w duchu własną głupotę: miłość i władza to dwa najsilniejsze afrodyzjaki - niestety nie wolno ich ze sobą łączyć.

- Daj mi notatki z odprawy - zarządził.

Jeszcze raz przekartkował dokumenty. Odkąd został prezydentem Stanów Zjednoczonych, poznał wiele faktów związanych z Akademią, które wcześniej były mu niedostępne. Opinia publiczna i dziennikarze wiedzieli o istnieniu Tirah, ale nikt z nich nigdy nie był na wyspie. Opowieści o Akademii traktowano na równi z legendami - i nic dziwnego: nawet Davison, który wiedział, że są prawdziwe, nie mógł im się nadziwić. Sławny wódz Szkotów założył ją w średniowieczu, by służyła bezstronną radą przywódcom wszystkich narodów świata. Na jej siedzibę wybrał odludną wysepkę. Ale jakim cudem Akademia przetrwała tyle stuleci? Nie tylko przetrwała, miała się świetnie: stała się największym i najbardziej utajnionym ciałem doradczym na Ziemi. Davison cieszył się, że Jack namówił go do tej podróży. Przynajmniej ujrzy Tirah i odwiedzi Akademię - po raz pierwszy i zapewne ostatni w życiu. Będzie miał o czym opowiadać wnukom. Odsunął teczkę z papierami i przeciągnął się.

- Jak właściwie funkcjonuje Akademia, Jack? Bo przyznam, że wciąż tego nie rozumiem.

Caldwell uniósł leciutko brwi.

- Tego nie wie chyba nikt, kto do niej nie należy. Pewne jest tylko to, że na jej czele stoi Mistrz. Współpracuje z nim pięciu Arbitrów, wybranych spośród starszych Adeptów; pomagają mu w bieżących pracach administracyjnych. W skład Akademii wchodzi najwyżej osiemdziesięciu Adeptów. Wiadomo również, że Mistrz sprawuje główną władzę ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą w Akademii.

- Kto kogo mianuje?

- Mistrz wskazuje Arbitrów, ci zaś nadają godność Adepta. Z naszych informacji wynika również, że Mistrz wyznacza swojego następcę. Nic więcej nie wiadomo.

- Rozumiem. - Prezydent wcale nie poczuł się mądrzejszy. - Jak Akademia zdobywa informacje? I jak to możliwe, że tyle wie na nasz temat?

Caldwell nachylił się ku prezydentowi.

- Pod tym względem przypomina trochę masonerię, panie prezydencie. Adepci nigdy nie zdradzają się ze swoją przynależnością do Akademii, a zajmują najwyższe stanowiska w rządach, instytucjach naukowych, uniwersytetach i organizacjach międzynarodowych. Są

wszędzie tam, gdzie w grę wchodzi władza i gdzie podejmuje się decyzje na skalę kraju i świata. Są oczami i uszami Mistrza i Arbitrów.

- A sam Mistrz? Czy tylko on jeden zna wszystkie powiązania i zależności w obrębie Akademii?

- Tak - odrzekł Caldwell. - Zasiada w centrum ogromnego, dalekosiężnego systemu gromadzenia informacji, który Akademia rozwija od wieków. Jesteśmy niemal pewni, że poza zbieraniem wiadomości od Adeptów i przywódców państw Akademia od dawna swobodnie korzysta ze wszystkich zasobów komputerowych na świecie. Podejrzewam, że nawet sami Adeptci znają tylko niewielkie fragmenty tej pajęczyny. Dzięki temu nie sposób przeniknąć do wnętrza Akademii. Taki sam, znany od wieków, mechanizm podziału na komórki stosują dziś organizacje terrorystyczne: jeśli jeden człowiek wpadnie, nie zawali się cała struktura. To koncepcja, wywodząca się ze średniowiecznej idei koła istnienia. Trochę przypomina nasz Układ Słoneczny, z tym, że tu słońcem - i ośrodkiem wszelkiej władzy - jest Mistrz.

Caldwell mówił dalej. Doradzając przywódcom państw w trosce o pokój, Akademia nie ograniczała się do obserwacji wojen na świecie. Śledziła zmiany zachodzące w całym otoczeniu człowieka i we wszystkich dziedzinach wiedzy: w genetyce, prawach człowieka, przestępczości, środowisku naturalnym, kosmosie, medycynie, ekonomii, polityce, na rynku papierów wartościowych - wszędzie. Dysponowała obszernymi bazami danych na każdy temat. W oparciu o nie służyła radą głowom państw, bez względu na ich poglądy polityczne. Dzięki temu miała ogromny, choć na pierwszy rzut oka niedostrzegalny wpływ na losy świata. Jak żadna inna instytucja znała istotę władzy i ryzyko jej nadużycia.

- Komputery Akademii są prawdopodobnie znacznie doskonalsze od naszych - zakończył Caldwell.

Davison zerknął na niego znacząco i uśmiechnął się lekko.

- Więc i ty możesz być Adeptem, Jack, prawda?

Caldwell nie spuścił wzroku.

- Kto wie? Tak jak szef CIA, przewodniczący składu Sądu Najwyższego, dyrektor Banku Rezerw Federalnych... Tylko Mistrz mógłby ujawnić ich tożsamość, ale chyba nigdy tego nie zrobił.

Davison zabębnił palcami o fotel. Zastanawiał się, co powie Mistrzowi. Kto miał większe wpływy: Mistrz czy prezydent Stanów Zjednoczonych? Zaczynał kwestionować własną wyższość, którą do tej pory uznawał za pewnik. A przecież nawet jego ludzie mogli nie mówić mu całej prawdy.

- Czy sądzisz, że Akademia niewłaściwie wykorzystuje swoją władzę?

- Trudno byłoby to udowodnić - zauważył Caldwell. - Osobiście jestem przeciwnego zdania. Założono ją po to, by na świecie panował pokój; wydaje mi się, że pozostała wierna tej zasadzie. Wiele jednak zależy od osobowości Mistrza i spójności Akademii, która, jak wszystkie ludzkie instytucje, nie może być idealna. Wystarczyłoby jedno zgniłe jabłko, żeby zaczęła się psuć od środka. Prawdopodobnie jednak w strukturę Akademii wbudowane są odpowiednie mechanizmy kontroli. Zepsucie musiałoby sięgnąć samego wierzchołka piramidy - czyli Mistrza - żeby system się zawalił. Jego pozycja przypomina trochę pozycję papieża: obaj mają ogromny wpływ na życie zarówno zwykłych ludzi, jak i wysoko postawionych osobistości... Chyba tylko Bóg pozostaje od nich niezależny.

- Mam nadzieję, że wybierają odpowiednich Mistrzów - zauważył oschle Davison, po czym zagadnął mimochodem: - Nie moglibyśmy się dowiedzieć czegoś więcej na temat Akademii?

Caldwell dobrze wiedział, co prezydent ma na myśli: czy nie dałoby się przeniknąć w struktury Akademii i przeciągnąć jej na swoją stronę - tylko odrobinę, ale tak, by życzliwiej spojrziała na Stany? Tak jak CIA robiła to niemal z każdym ciałem doradczym na świecie. Inni prezydenci zadawali mu wcześniej te same pytania. Niektóre kraje próbowały nawet ingerować w sprawę Akademii, ale ich wysiłki spełzły na niczym.

- Byłby z tym kłopot - zaczął Caldwell. Mimo że CIA miała szczegółowe zdjęcia satelitarne siedziby Akademii, nie na wiele by się one zdały: należało przede wszystkim przedostać się w głąb systemu, a to było prawie niewykonalne. Zupełnie jakby chcieć dyskretnie infiltrować zamknięty zakon... Chociaż czasy się zmieniły i Adeptci mogli przynajmniej zawierać małżeństwa. - A poza tym, panie prezydencie... - Caldwell odchrząknął. - W 1860 roku Kongres przegłosował ustawę o ochronie Akademii, należącej do niej dóbr i informacji. Taki sam zapis znalazł się w statucie ONZ. Prezydent, który chciałby przeniknąć w struktury Akademii albo przekupić któregoś z Adeptów, musiałby być głupcem. Kiedy sprawa wyszłaby na jaw, Akademia straciłaby kredyt zaufania, a on - stanowisko i twarz.

- Ależ naturalnie! - przytaknął mu pośpiesznie Davison. - Tak tylko pytałem.

Chcąc mu dodatkowo uświadomić niebezpieczeństwo snucia podobnych planów, Caldwell opowiedział historię poprzedniego rządu, który we współpracy z CIA próbował doprowadzić do nominacji na Adepta wybranego przez nich człowieka. Mimo ich najszczerzych chęci zadanie okazało się niewykonalne. Caldwell czekał, aż jego informacje dotrą do prezydenta. Niczym nie zdradził się, że to właśnie on uprzedził Mistrza o zamiarach Amerykanów. Akademia potrafiła bronić się na wiele sposobów, subtelnie i dyskretnie.

Davison tylko skinął głową, upokorzony nie wypowiedzianą oceną swojego zachowania.

Podróż prawie dobiegła końca: przed nimi wyrosły mury zamku. Samochód jechał teraz stromo pod górę. Prezydent ciekawie wyglądał przez okno.

- To musi być niezwykle miejsce.

- Pod pewnym względem - odparł Caldwell. - Sama idea Akademii nie jest niczym nowym. Starożytni Grecy mieli swoją słynną świątynię w Delfach. Ludzie ściągali do niej, by wysłuchać, co wyrocznia, czyli jedna z kapłanek, przepowie im na przyszłość. A ponieważ przybywali do niej także ludzie sławni i bogaci, najlepiej ze wszystkich orientowała się w sytuacji, przez co jej proroctwa były zdumiewająco dokładne. Mistrz trochę przypomina wyrocznię. Słyszałem, że nigdy nie kłamie i że ze spotkania z nim człowiek zawsze wychodzi mądrzejszy.

- Czy to znaczy, że wie, kto przekazał nasze tajemnice Rosjanom?

Caldwell obrzucił go baczny spojrzeniem: młoda, szczera twarz, czarujący uśmiech, którym podbił miliony serc... Tę twarz znały miliardy. A taka była przy tym ludzka.

- Tak mi się wydaje - odrzekł cicho.

Zamek Akademii znajdował się prawie w samym środku Tirah. Wznosił się na skalistym wzgórzu ponad okalające go świerki i sosny. Roztaczała się z niego panorama na całą wysepkę, tylko od zachodu widok na ocean zasłaniały Mullach Col i Mullach Mor, dwa ponadsześćsetmetrowe szczyty. Gmach wyglądał tak, jak na prawdziwy średniowieczny zamek przystało: miał strome, gładkie mury, które wyrastały wprost ze skał, głęboko osadzone okna i masywne blanki z granitowych bloków. Zanim oddano go Akademii, był zwyczajną warownią. Od tego czasu wiele się jednak zmieniło: z zewnątrz nadal wyglądał złowieszczo i groźnie, od środka zaś wykończeniem przypominał raczej stary, szacowny budynek uniwersytecki.

Prowadząca doń droga kończyła się na niewielkim parkingu pod murami. Goście - bo tylko goście Mistrza przybywali na Tirah - stromymi schodami wchodzili na kamienny most i stawali przed jedyną bramą zamczyska. Olbrzymie, dębowe wrota za dnia zawsze były otwarte. Potem wychodziło się na dwa kolejne dziedzińce.

Pierwszy, większy, był szeroki, niemal idealnie prostokątny. Pośrodku stała duża fontanna, a wokół niej biegły brukowane ścieżki. W rogach dziedzińca przed wiekami posadzono sosny, które - ukryte w cieniu murów - skutecznie opierały się bezlitosnym wichurom. Dookoła stały licowane wapiennymi płytami budynki, tyłem przylegające do zewnętrznego muru zamku. Zbudowano je w XV wieku. Miały witrażowe okna, kręte schodki

i porośnięte bluszczem ściany. Nocowali w nich Adeptci, gdy wypadło im spędzić w Akademii więcej czasu. Dziedziniec emanował spokojną, kontemplacyjną atmosferą klasztoru uczonych mnichów.

Naprzeciw głównej bramy wąski korytarz prowadził na drugie podwórze, mniejsze i bardziej malownicze od pierwszego. Znajdował się tam ogród. W umieszczonym na środku stawie pływały dorodne karpie. Po prawej stronie widniała aula, na co dzień miejsce wspólnych posiłków Adeptów, a tuż obok biblioteka Akademii - piękny gmach z marmurową fasadą, rzeźbioną na kształt greckiego Partenonu, choć odpowiednio mniejszą. Oba budynki przylegały do muru i były częściowo zasłonięte gęstwiną krzewów i drzew, które nawet zimą, choć nagie, oddziaływały je od reszty ogrodu. Z lewej strony dziedzińca mieścił się pałac audiencyjny, a w nim pokoje, w których Mistrz przyjmował gości.

Pierwszy dziedziniec emanował kojącym spokojem, w drugim zaś dominowało poczucie nierzeczywistości otoczenia, jak gdyby krok już tylko dzielił od sekretnego sanktuarium. Oba były ładne i zadbane, co dodatkowo podkreślało kontrast z surowymi murami. Niejeden gość nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ogląda dwa klejnoty, zazdrośnie ukryte w topornej szkatule. Dla Adeptów i gości na nich właśnie kończyła się Akademia. Dla nich tak - ale nie dla Mistrza.

Tylko on wiedział, jaką tajemnicę skrywa konstrukcja tej budowli. Drugi dziedziniec kończył się wysoką ścianą, identyczną, sądząc po wysokości i fakturze, jak zewnętrzny mur zamku. Nikt więc nie podejrzewał nawet, że coś może się za nią znajdować. Nikt też nie mógł tego sprawdzić, gdyż skały i gęsty las nie pozwalały obejść twierdzy od zewnątrz.

Tymczasem w rogu dziedzińca, od zachodniej ściany, znajdowały się dobrze zamaskowane drzwi, całkowicie przesłonięte bluszczem i krzewami. Za nimi rozciągało się trzecie podwórze, sekretna kryjówka Mistrza, który miał tu swoje apartamenty. Trzeci dziedziniec był całkowicie niewidoczny dla postronnych obserwatorów, co znakomicie oddawało naturę i aspiracje ludzi tworzących Akademię.

Prezydent Davison w obstawie ochroniarzy, z Jackiem Caldwellem u boku, stanął u wejścia na drugi dziedziniec. Pod łukiem sklepienia widać było w głębi ogród, całkowicie przysypany śniegiem, z jedną wydeptaną ścieżką. Prezydent obejrzał się przez ramię na swoich ludzi.

- Zostańcie tu.

Zapadła niezręczna cisza. Ochroniarze poruszyli się niespokojnie.

- Mamy obowiązek wszędzie panu towarzyszyć, panie prezydencie - odparł



zdecydowanie jeden z nich. - Pańskie bezpieczeństwo tego wymaga.

- Tutaj nie - uciął dyskusję Davison. - To rozkaz. Chodź, Jack.

Wyszli na dziedziniec i zniknęli z oczu swoim opiekunom w głębi ogrodu. Davison usiadł na kamiennej ławce nad stawem i otulił się ciasno wełnianym płaszczem. Caldwell zajął miejsce obok.

- Trudno to wyjaśnić - odezwał się prezydent, wodząc wzrokiem po zamarzniętej tafli stawu. W tej chwili obaj wyraźnie odczuwali niezwykły spokój tego miejsca. - Niewykluczone, Jack, że to przeze mnie te dokumenty trafiły do Rosjan. - Davison umilkł na dłuższą chwilę, a potem westchnął ciężko i mówił dalej: - Z Ingelą łączył mnie intymny związek. Jeżeli była szpiegiem, mogła mieć dostęp do papierów, które u siebie trzymałem. Nasze niedawne rozstanie sprawiło jej przykrość, ale nigdy bym nie pomyślał, że zdradzi mnie i swoją przybraną ojczyznę. Popełniła samobójstwo, zanim zdążyłem z nią porozmawiać. - Prezydent znów zamilkł, a potem dodał załamującym się głosem: - Wszyscy z nas popełniają głupstwa, Jack. Niestety nie mogę zmienić tego, co było.

A więc tak to wygląda: zdrada w najbliższym otoczeniu prezydenta. Media miały rację.

- Podejrzewam, że paczka, której wszyscy teraz szukają, zawiera moje listy do Ingeli - ciągnął Davison. - Bardzo osobiste listy. Widzisz, Jack, ja jej ufałem bez reszty.

Oczywiście wyobraźni Davison widział, jak stąpa po zamarzniętej powierzchni stawu, a pod jego stopami lód trzeszczy i pęka.

Caldwell milczał; już wcześniej domyślał się tego.

- Jak pan sądzi, panie prezydencie, kto ma te listy? - zapytał w końcu.

- Albo Rosjanie, albo ktoś w Waszyngtonie. Jakkolwiek by było, dla mnie oznacza to koniec - odrzekł smutno prezydent. - Nic już nie mogę zrobić. Listy przypieczętują mój los, gdy tylko ktoś je opublikuje. Kongres nie wybaczy mi romansu ze szpiegiem.

Caldwell pokiwał głową.

- Uważasz, że Mistrz może mi pomóc?

Caldwell spojrzał bez słowa na prezydenta, a potem podniósł wzrok na nieruchome niebo.

Symes, podstarzały lokaj, zapukał dyskretnie do drzwi gabinetu i nie czekając na odpowiedź, wszedł do środka. W rogu, pod oknem, stało olbrzymie biurko, zarzucone papierami i rozświetlone zabytkową lampką. Symes od razu zorientował się, że Mistrz pracował przez całą noc. Zmarszczył brwi. Zawsze podziwiał niezwykłą zdolność Mistrza do

przyswajania i analizowania informacji, dostarczanych w najprzeróżniejszych językach świata. Mistrz był jednak coraz starszy i nie mógł długo pracować w takim tempie. Symes zaś właśnie przyniósł nową porcję dokumentów - rząd indyjski informował o narastającym napięciu w Kaszmirze. Nowe papiery, nowe kłopoty, nowe prośby o pilne spotkanie. Co się stanie, gdy Mistrza zabraknie? Kto zajmie jego miejsce? Kto stanie się doradcą wszystkich wielkich tego świata?

- Mistrzu - odezwał się. - Przybył prezydent Stanów Zjednoczonych.

Mistrz podniósł wzrok znad biurka i skinął głową. Był wysokim, mocno zbudowanym mężczyzną o szarych oczach i siwiejących włosach. To jednak przede wszystkim jego oblicze, a nie sylwetka, przyciągało uwagę: szerokie czoło, wyraziste kości policzkowe i orli nos nadawały twarzy zdecydowany wyraz, który nie pozwalał oderwać od niej wzroku. Człowiek z taką twarzą pasowałby doskonale do epoki renesansu - mógłby być władcą jednego z włoskich miast albo którymś z Medyceuszy. Znał się na sprawowaniu władzy i umiał z niej korzystać.

- Bankiet Adeptów odbędzie się o ósmej wieczorem - mówił dalej Symes. Mistrz zerknął na dostarczone mu nowe dokumenty i odłożył je na bok. Lokaj odczekał jeszcze chwilę; wiedział, że to, co jeszcze ma do powiedzenia, zaskoczy nawet Mistrza Akademii. - Na dziś przewidziane jest jeszcze jedno spotkanie, Mistrzu. Pierwszy Arbitr chce się z panem widzieć w pilnej sprawie. Prosił, bym nikomu więcej o tym nie wspominał.

Mistrz znów podniósł wzrok znad papierów. Symes nie mógł oprzeć się wrażeniu, że w jego oczach kryje się ogromny smutek, być może wynikający ze świadomości, że coś nieodwołalnie się kończy.

- Co o tym sądzisz, Symes?

- Przepisy Akademii pozwalają Pierwszemu Arbitrowi w wyjątkowych okolicznościach prosić o ten przywilej, Mistrzu. Odkąd tu służę, taka sytuacja nie miała jeszcze miejsca, wydaje mi się jednak... - Symes niepewnie zawiesił głos. Czuł się tak, jakby zdradził Mistrza, nie uprzedzając go wcześniej o spotkaniu. Ale słowa Arbitra były jednoznaczne.

- Proszę przekazać Pierwszemu Arbitrowi, że spełnię jego prośbę - odparł spokojnie Mistrz. - Spotkamy się w moich apartamentach zaraz po bankiecie.

Prezydent Davison i Jack Caldwell siedzieli w ogromnym salonie, którego okna wychodziły na drugi dziedziniec. Pokój był przestronny, jasny, urządzonego w stylu Ludwika XIV, z mnóstwem złocień, dużych obrazów i pięknych antyków. Wszyscy goście zdumiewali

się przepychem wnętrza, mając świeżo w pamięci surowe mury i niegościnnie krajobraz wyspy. Ogień huczał wściekle na kominku, choć i bez niego w pokoju byłoby wystarczająco ciepło. Otworzyły się drzwi.

- Panie prezydencie...

Davison przywitał się z Mistrzem. Kiedy podali sobie ręce, zwrócił uwagę na mocny, męski uścisk jego dłoni. A więc to tak wyglądał strażnik niezliczonych tajemnic świata.

- My już się znamy, panie Caldwell - zwrócił się Mistrz do doradcy prezydenta. Miał melodyjny głos.

Caldwell zerknął na Davisona.

- Dziękuję ci, Jack, możesz odejść - rzekł prezydent. - Zaczekaj w ogrodzie.

Mistrz i prezydent usiedli. Symes nalał im kawy i wyszedł. Davison obserwował badawczo gospodarza, który był starszy od niego o dobre dwadzieścia pięć lat. Twarz miał pobrużdżoną, ale obojętną, jakby nie interesowały go odległe sprawy współczesnego świata. Prezydent wiedział dobrze, czego się można spodziewać po ludziach: ci, którzy zdawali się szczególnie nieprzystępni, często byli zbyt ambitni, samolubni. Dlaczego z Mistrzem miałyby być inaczej? I jakiej rady miałyby mu udzielić? Pewnie żadnej. Nie mógł przecież - w żadnym razie! - wiedzieć wystarczająco dużo o tym, co zaszło. Podróż tutaj to tylko strata czasu. Postanowił zachowywać się tak jak na spotkaniach rządu: zdecydowanie i ostro. Do diabła, przecież miał przed sobą po prostu jeszcze jednego doradcę - z tą różnicą, że nie opłacanego z budżetu.

- Czytał pan raport Jacka na temat przecieku naszych tajnych dokumentów? - zapytał Davison.

- Czytałem. Rozmawiałem też z prezydentem Barczowem.

- Nie zadzwonił do mnie, choć go o to prosiłem.

- Jego premier bardzo się szarogęsi - skomentował Mistrz i wyjrzał przez okno. - Pański problem chyba już częściowo został rozwiązany - dodał, patrząc znów na prezydenta.

- Naprawdę? - Davison nie potrafił ukryć zdumienia.

- Tak. Jak już panu wiadomo, prezydent Barczow jest w posiadaniu planów amerykańskich wyrzutni rakietowych w Turcji i Japonii. Dziś zamierza wygłosić oficjalne oświadczenie na ten temat.

Czyli to jednak Rosjanie go wykończą.

- Zrobi to po to, by panu pomóc - dodał Mistrz.

Prezydent wytrzeszczył oczy.

- Dlaczego Barczow miałby mi pomagać? - wykrztusił wreszcie.

- Ponieważ dokumentów nie przekazał mu rosyjski szpieg - odrzekł spokojnie Mistrz.  
- Zostały ujawnione przez ludzi z pańskiej administracji, którzy chcą doprowadzić do usunięcia pana ze stanowiska.

Davison milczał przez chwilę, zanim spytał krótko:

- Kto?

- Prezydent Barczow poinformował mnie, że ich służby specjalne otrzymały dokumenty od urzędnika ambasady amerykańskiej w Paryżu. - Tu Mistrz wymienił nazwisko, które nie było nazwiskiem Pearlmana. - Nie ulega jednak wątpliwości, że pochodziły bezpośrednio od pańskich doradców.

- Kto? - powtórzył głucho prezydent.

Mistrz napisał na kartce dwa nazwiska. Davison rzucił na nie okiem. Zatkąło go.

- Mój Boże! - wyszeptał. - Ma pan na to dowody?

Mistrz skinął głową i mówił dalej:

- Prezydent Barczow coś panu przysłał. - Mistrz podał Davisonowi plik dokumentów.  
- Przetłumaczyłem je od razu na angielski, ponieważ lepiej będzie, jeśli nie wyjdą poza te mury. Jak pan widzi, cała operacja została starannie zaplanowana. Zdobyliśmy większość nazwisk, choć niektóre szczegóły wciąż nie zostały ustalone. Dziś wieczorem uzyska pan potwierdzenie. Radzę działać szybko, panie prezydencie. To bardzo poważna sprawa; i w Stanach Zjednoczonych, i w Rosji ma pan potężnych wrogów.

- Czy Caldwellowi można zaufać?

Mistrz obrzucił Davisona czujnym spojrzeniem.

- On pana nie zdradzi.

- A Olsen, szef CIA?

- Też jest w porządku. Proponuję natomiast, żeby zaraz po powrocie do Waszyngtonu poprosił pan o nowych ochroniarzy.

- O co tym ludziom chodzi?

- Chcą, żeby zrezygnował pan z funkcji prezydenta. Dwa tygodnie później zginie pan w katastrofie lotniczej.

Słowa Mistrza zabrzmiały porażająco - zarówno przez swą prostotę, jak i przez zawartą w nich treść. Rozmowa układała się zupełnie inaczej, niż Davison to sobie wyobrażał. Rozumiał już, co miał na myśli Caldwell, mówiąc o Mistrzu: to nie był żaden doradca, żaden urzędnik. Ten człowiek o spokojnej, niewzruszonej twarzy przemawiał jak wyrocznia. Głos miał cichy, ale pewny, nie znoszący sprzeciwu. I mówił właśnie prezydentowi Stanów Zjednoczonych, co naprawdę się wydarzyło i co jeszcze miało się stać.

Czy to wszystko prawda? Davison w milczeniu czytał dokumenty i przekład odręcznej notatki prezydenta Rosji, z każdą chwilą upewniając się w przekonaniu, że Mistrz ma rację.

Potworne napięcie i strach, które w ostatnich dniach nieustannie mu towarzyszyły, zaczęły z wolna ustępować. Prawda wyglądała inaczej, niż się tego obawiał; Ingela wcale go nie zdradziła. Usadowił się wygodniej na krześle, ulegając urokowi Mistrza. Zaczynał się przy nim czuć jak w towarzystwie starego, mądrego przyjaciela.

- Dziwi się pan, że prezydent Barczow chce panu pomóc? - ciągnął Mistrz. - Uważa, że usunięcie pana z urzędu nie przyniosłoby mu żadnych korzyści. Gdyby do tego doszło, sytuacja polityczna w Stanach stałaby się bardzo niepewna, a na tym rosyjskim władzom nie zależy; w istocie nie zależy na tym także władzom innych państw. Wszystko wskazuje na to, że spiskowcy zamierzali później doprowadzić do zmiany także w Moskwie. - Mistrz umilkł, dając czas Davisonowi na przetrawienie tych słów. - Mając na względzie własny interes, prezydent Barczow postanowił zatem poinformować pana o swoich zamiarach. Za godzinę urządzi w Moskwie konferencję prasową, na której oficjalnie zaprosi pana do Rosji na spotkanie na szczycie. Przedyskutujecie wówczas kwestię dalszej redukcji arsenałów jądrowych. Nadmienię również, iż dokumenty, które trafiły w ręce Rosjan, są prawdopodobnie elementem spisku, zmierzającego do zakłócenia dobrych stosunków między waszymi krajami, a zatem nie mają żadnej rzeczywistej wartości. Na koniec poda do publicznej wiadomości nazwisko urzędnika ambasady, który przekazał im informacje o wyrzutniach. Spodziewa się zdecydowanego działania z pana strony. Oto tekst jego wystąpienia na tej konferencji.

Davison ponuro skinął głową i pobieżnie obejrzał podaną mu kartkę. Uśmiechnął się lekko.

- To pana dzieło? - zapytał.

Mistrz machnął lekceważąco ręką.

- Dodałem od siebie może ze dwa zdania... Jeżeli przyjmie pan zaproszenie i w najbliższych tygodniach uda się do Moskwy, pozwoli Barczowowi pozbyć się z rządu ekstremistów. Stanowczo domagają się zwiększenia nakładów na zbrojenia i chętnie użyliby tych dokumentów dla poparcia swoich żądań. Prezydentowi zależy na tym, by wasze kraje wyszły z tej próby zwycięsko, ale chciałby pognać militarystów w swojej ekipie i zdrajców w pańskiej. Widzi pan, panie prezydencie, ci dwaj należą do silnej grupy nacisku, która ma wielkie wpływy i w Rosji, i w Stanach. Od jakiegoś czasu dostają prowizję od każdego kontraktu wojskowego, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi broń jądrowa. Chcieli się pana pozbyć, ponieważ bali się, że odkryje pan ich tajemnicę. Zdecydowali się zaatakować pierwsi, żeby do

tego nie dopuścić.

- Chcieli to zrobić dla pieniędzy?!

- Po części tak. Znając datę pańskiej śmierci, zarobiliby krocie na spekulacjach giełdowych, ale nade wszystko chodziło im o władzę. Władzę, jaką daje stanowisko prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Davison miał wrażenie, że znalazł się o krok od porażki. A jednak miał szansę na zwycięstwo.

Zamyślił się. Nikt dotąd nie udzielił mu takiej rady - doskonałej, sięgającej sedna sprawy. Gdzie tkwił haczyk? Jakiej przysługi spodziewał się Mistrz w zamian?

- Czy to nie osłabi Stanów Zjednoczonych? - zapytał gwałtownie Davison. - Czy nie pomaga pan Barczowowi?

W oczach Mistrza błysnęło rozbawienie; nie było w nich cienia złości ani fałszu.

- Nie stoję po niczyjej stronie, panie prezydencie. Ja tylko staram się znaleźć wyjście, które pozwoli zachować pokój na Ziemi. Daję panu dobrą radę, a pan sam zdecyduje, czy jej posłuchać.

Davison pogładził się z namysłem po brodzie. Gdyby nawet zaufał Barczowowi, były jeszcze inne powody, dla których takie rozwiązanie nie wchodziło w grę.

- Coś pana dręczy - zauważył Mistrz, odstawiając filiżankę. - Jakież kłopoty osobiste?

Davison nachmurzył się. Właściwie mógł przy okazji i o tym porozmawiać. Gdy tylko listy trafią do prasy, cały świat się dowie.

- Ingela Pearlman wysłała komuś paczkę listów - powiedział. - Czy wie pan, kto był adresatem?

- Wiem.

Davison spojrzał na Mistrza z niedowierzaniem.

- Ja - ciągnął Mistrz. - Nikomu innemu nie mogła zaufać. Mówiła mi, że szantażują ją ci sami ludzie w Waszyngtonie, którzy próbują usunąć pana z urzędu. Do paczki dołączyła notatkę wyjaśniającą, że listy pochodzą od człowieka, z którym łączył ją intymny związek. Nie potrafiła ich zniszczyć, ale wiedziała, że po jej śmierci ktoś przeszuka wszystkie rzeczy. Wystąpiła więc listy do mnie, prosząc, bym sam zdecydował, co z nimi zrobić.

Zapadła cisza.

- I co pan postanowił? - spytał Davison po długiej chwili.

Mistrz skinął ręką w stronę kominka. Dopiero teraz prezydent dostrzegł leżącą na stoliku paczuszkę.

- Nie czytałem ich, panie prezydencie - rzekł Mistrz obojętnie. - Jestem jednak

pewien, że żaden z nich nie trafił do Rosjan. W obecnej sytuacji nie uważam, żeby ich ujawnienie miało przysłużyć się sprawie pokoju na świecie albo wpłynąć korzystnie na polityczną stabilność pańskiego kraju. - Mistrz wstał. - Listy te powinny wrócić do nadawcy. Myślę, że tego właśnie życzyłaby sobie Ingela Pearlman.

Davison doszedł do wniosku, że mylnie go oceniał. Nikt tak jak on nie znał prawdziwej natury władzy.

- Proszę mi teraz wybaczyć, ale zostawię pana samego - odezwał się znowu Mistrz. - Wieczorem mamy bankiet, na którym muszę być obecny. Jeżeli pan chce, proszę tu jeszcze posiedzieć, zebrać myśli. Najlepiej przy kominku. - Skierował się ku drzwiom.

- Mistrzu?

Wysoka, lekko zgarbiona postać przystanęła.

- Jeżeli będzie panu potrzebna moja pomoc, proszę mi o tym śmiało powiedzieć - rzekł Davison.

- Dziękuję panu - odparł łagodnie Mistrz. - Pomoc jest fundamentem wszelkiej rady.

Prezydencka kawalkada wyjechała z parkingu Akademii. Davison z Caldwellem słuchali w samochodzie wiadomości, przekazywanych wprost z satelity. Właśnie zakończyło się wystąpienie prezydenta Barczowa: rosyjski niedźwiedź jak zwykle nie przebierał w słowach. Zgadza się: otrzymali wykradzione z Departamentu Obrony Stanów Zjednoczonych dokumenty, zawierające szczegóły instalacji nuklearnych. Wiadomo jednak, że dokumenty te są fałszywe. Spreparował je pewien zgorzkniały, nielojalny pracownik amerykańskiej ambasady, aby doprowadzić do pogorszenia stosunków między oboma krajami. W sprawę zamieszani byli także wysocy urzędnicy rosyjscy, w stosunku do których wyciągnięte zostaną odpowiednie konsekwencje. O żadnym kryzysie nie mogło być mowy. Czas, by doszło do kolejnego rozbrojeniowego spotkania na szczycie. Barczow zaprosił amerykańskiego prezydenta do Moskwy na rokowania i kieliszek dobrej rosyjskiej wódki. Nadeszła przecież epoka współpracy.

Prezydent Davison wyłączył odbiornik satelitarny.

- Co pan sądzi o Mistrzu, panie prezydencie? - zainteresował się Caldwell.

Konwój wjechał w las. Zapatrzony w okno Davison pomyślał o listach, które wrzucił w ogień. Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego napalono w kominku - Mistrz przewidział wynik ich rozmowy, zanim jeszcze się spotkali. Czy to faktycznie Davison udał się na spotkanie z Mistrzem? Czy może raczej to Mistrz zaaranżował spotkanie, by rozwiązać problem, z którym prezydent sobie nie radził? Zerknął ukradkiem na swego towarzysza; rzecz jasna, Jack

nigdy by się nie przyznał, że jest Adeptem.

- Co mówiłeś, Jack?

Caldwell zmarszczył brwi.

- Słyszałem, jak porównywano go do wyroczni delfickiej. I że człowiek po wizycie u niego zawsze wychodzi mądrzejszy.

Prezydent posłał mu swój słynny, zniewalający uśmiech. Już wracał do formy, a wkrótce wróci także do domu, do żony i dzieci.

- Chyba zasłużyłeś sobie na świąteczny prezent, Jack - powiedział.

Na Boże Narodzenie inni ludzie też dostawali prezenty. W Wigilię Paul Faucher, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, został zwolniony z pracy za zdradę tajemnicy państwowej i łapownictwo. Zanim rozpoczęło się oficjalne śledztwo, popełnił samobójstwo. Dwa tygodnie później cały kraj z przykrością dowiedział się, że wiceprezydent Joe Buchanan musi ustąpić ze stanowiska ze względu na zły stan zdrowia - miał kłopoty z sercem. Biedny stary Joe, skwitowały jego odejście media. Tyle się ostatnio nacierpiał i nadenerwował: trwał przecież wiernie przy prezydencie, a potem dowiedział się, że jego dobry przyjaciel, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, był szpiegiem.

Po odejściu wiceprezydenta plotki o zażyłości łączącej Ingele Pearlman i prezydenta rychło umilkły. Ba, dobrze poinformowani ludzie twierdzili wręcz, że Pearlman miała romans z Faucherem, a nie z prezydentem.

Jeśli zaś idzie o Davisona, został jednym z największych amerykańskich prezydentów XXI wieku.

Z wierną żoną u boku.



AKADEMIA

## ROZDZIAŁ 3

*Najlepszy władca to taki, o którym ludzie wiedzą tylko to,  
że istnieje.*

Lao-Cy

Tirah, znana też jako Kraina Mądrości, była samotną, niegdyś bezludną wysepką na Atlantyku, położoną ponad sto kilometrów na zachód od wybrzeży Szkocji. Mierzyła niespełna dwadzieścia kilometrów długości i sześć szerokości, miała jeden naturalny port. Nic nie znaczyłaby dla świata, gdyby nie Akademia.

Izolacja od dawna dobrze służyła Tirah. Celtowie i wikingowie, przez z górą tysiąc lat łupiący szkockie wybrzeża, kompletnie nie zwrócili na nią uwagi. Toczyli swoje małe wojny, nie zyskując w nich nic poza krwawą satysfakcją. Dopiero w VIII wieku na wyspie pojawił się mały zameczek. Tirah weszła wówczas w skład dominium ambitnego lorda, zwanego Władcą Wysp, który rządził większością wysp u brzegów Szkocji. Zamek jednak wkrótce opustoszał, a następcy Władcy Wysp doszli do wniosku, że ktokolwiek tam się osiedli, będzie mile widzianym gościem. Mijały wieki, a wyspę - z dwiema wyniosłymi górami i wielkim jeziorem, znajdującym się niemal dokładnie w samym jej środku - odwiedzało tylko plectwo morskie, zdążające ku brzegom Islandii lub Szkocji. Kolejni możnowładcy zapominali, że są właścicielami Tirah. Nigdy się na nią nie zapuszczali.

W 1165 roku Margaret de Beauvais wyszła za mąż za Donalda, Władcę Wysp. Ze związku tego przyszedł na świat syn, James. Były to czasy rozbicia Szkocji i krwawych walk o supremację. Niedługo potem Donald poległ w bitwie, pozostawiając po sobie wdowę w żałobie i maleńkie dziecko. Zanim chłopiec dorósł, walki przeniosły się w inne rejony świata i James wyruszył na krucjatę, by wyzwolić ziemię tak nasiąkłą krwią, że trudno było już ją nazwać świętą. Pod Jerozolimą został ciężko ranny. Leżąc w lazarecie z ropiejącymi ranami i mając za towarzyszy innych umierających, postanowił, że ten jeden raz zrobi coś dla Boga, zamiast wiecznie domagać się, by to Bóg uczynił coś dla niego. Przysiągł sobie, że jeśli ujrzy jeszcze skaliste brzegi Szkocji, odda Bogu jedną ze swych wysp, by założyć na niej

Akademii „uczonych mężów”, których jedynym zadaniem będzie doradzanie głowom państw w taki sposób, by na świecie panował pokój.

Z łaski Bożej James, Władca Wysp, przeżył i wrócił z Ziemi Świętej do ojczyzny. Kiedy jego własny syn osiągnął wiek męski, James zrzekł się na jego rzecz tytułu i władzy i resztę życia poświęcił budowie zamku na Tirah. Pewnego zimnego dnia w grudniu 1217 roku został pierwszym Mistrzem Akademii, liczącej wówczas zaledwie dwudziestu uczniów. Niewielu ludzi było skłonnych wierzyć, że instytucja przeżyje swego założyciela, ale w tym miejscu los - a może sam Bóg - postanowił wtrącić swoje trzy grosze. Kiedy otoczony nimbem świętego James zmarł, na jego pogrzeb zjechali się szlachetni mężowie z całej Szkocji. W jednej z rzadkich chwil prawdziwej solidarności prości ludzie - a zarazem okrutni wojownicy - zebrani przed kościołem na łonie przysięgli na celtycki krzyż, że ich klany będą strzec obietnicy Jamesa „w imię Szkocji i pokoju”. Tak właśnie wiara pozwala czynić cuda.

Pierwszy raz zebrano wtedy znaczną sumę pieniędzy. Szkoci - którzy zawsze zachowali niezależność ducha, choć długo pozostawali pod obcym panowaniem - także później chętnie ofiarowali datki na szczytny cel, mając w pamięci szlachetnego człowieka i jego dzieło.

Szkoccy emigranci rozprzestrzenili sławę Akademii daleko poza granice kraju. Mijały wieki, a klauzula o przeznaczeniu pewnej sumy na rzecz Akademii coraz częściej znajdowała się w testamentach biednych i bogatych na całym świecie. Ludzie ci nigdy nie mieli przybyć na Tirah, lecz wierzyli głęboko, że Mistrz wskaże ich przywódcom drogę do mądrości i pokoju.

James zastrzegł w statucie Akademii, że Adeptów może być najwyżej osiemdziesięciu, że muszą być ludźmi wyjątkowo utalentowanymi, a władzę nad nimi ma sprawować Mistrz. Ścisłe przestrzegano wszystkich wytyczonych przez Jamesa reguł, w tym także najważniejszej: tajemnicy. Nakazał, by wszelkie działania Akademii trzymane były w sekrecie, podobnie jak udzielane przez nią rady. Przeczuwał, że gdyby mogła popisywać się swą wiedzą przed światem, wkrótce stałaby się instytucją dumną i arogancką, a Adepcci rywalizowaliby między sobą. A tak przez stulecia nie ujawniali swojej przynależności do Akademii, chociaż w wypadku wyjątkowych indywidualności - takich jak Joachim di Fiore, Roger Bacon, Jane Gascon, Duns Szkot, Pierre Rochelle, Isaac Newton, Athanasius Kircher i Robert Boyle - nikt nie miał wątpliwości, że w swoim czasie należeli do niej. Prawdopodobnie pełnili nawet funkcję Mistrza.

Dla upamiętnienia osoby założyciela co roku pod koniec grudnia urządzano Bankiet

Adeptów, sumiennie przestrzegając tej tradycji. Przy okazji bankietu zbierali się na Tirah wszyscy Adepci, którzy mogli porzucić swoje obowiązki. Na co dzień nie mieszkali na wyspie, choć zawsze czekały tu na nich pokoje.

Akademia trwała niezmienna przez stulecia i chociaż jej wpływy stale rosły, nigdy nie próbowała odkryć przed światem, jaką ma władzę.

Po spotkaniu z prezydentem Stanów Zjednoczonych Mistrz wrócił do swojego domu podziemnym tunelem, do którego tylko on jeden miał wstęp. Po marmurowych schodach wszedł na piętro i zaczął przebierać się do kolacji. Dzwon w kaplicy bił miarowo, zapowiadając bankiet.

W auli płonął na kominku ogień, rzucając poblask na witrażowe okna, rzeźbione w drewnie ornamenty i średniowieczne malowidła. Długie stoły na solidnych krzyżakach, zrobione z drewna, które pamiętało początki renesansu, uginały się pod ciężarem srebrnej zastawy. Na bocznych stołach ustawiono dzbany z winem - gdyby go zabrakło, można było od razu uzupełnić zapasy. Przez wieki niewiele zmieniło się w auli: to tu zawsze biło serce Akademii, a średniowieczna tradycja nigdzie nie była bardziej wyeksponowana.

Sala szybko zapełniała się ludźmi. Już po kilku minutach większość Adeptów w czarnych płaszczach zajęła wyznaczone miejsca. Kilku brakowało, co było całkowicie zrozumiałe - na przykład nieobecność Jacka Caldwell'a w Waszyngtonie z pewnością dałaby do myślenia prezydentowi Davisonowi. Zapadła cisza i dopiero gdy przebrzmiało ostatnie uderzenie zegara, wybijającego godzinę ósmą, w sali rozległ się głos Symesa:

- Proszę wstać: oto Mistrz.

Oczy wszystkich zwróciły się ku wysokiej postaci w złocistej, falującej szacie. Ten człowiek ucieleśniał ideały instytucji, której poświęcili swoje życie.

- Niech rozpocznie się Bankiet Adeptów.

To doroczne spotkanie dawało Adeptom okazję przedyskutowania przydzielonych im przez Akademię zadań. W ten sposób odkrywali kolejny fragment sieci informacji, która powstawała przez stulecia kontaktów z królami i prezydentami. Ponieważ stanowisko Adepta piastowało się dożywotnio, z biegiem lat coraz lepiej poznawali oni przypominającą labirynt strukturę Akademii i mechanizmy jej działania. Dzięki temu mogli podziwiać ją w całej okazałości, zwłaszcza ci, których Mistrz wybrał na Arbitrów, swych najbliższych doradców. Obraz Akademii, początkowo widzianej jakby przez przydymione szkło, z czasem stawał się coraz jaśniejszy i wyraźniejszy.

Mimo że na bankiecie mówiło się niemal o wszystkim, nawet przy tej okazji nie

poruszano tematu działań Mistrza. Adepti mogli jedynie domyślać się jego rzeczywistych wpływów, mając przy tym pewność, że nie dorastają mu do pięt.

- Tanya!

Mistrz, zasiadający przy głównym stole w otoczeniu Arbitrów, wyłowił okrzyk z ogólnej wrzawy panującej w auli. Podniósł wzrok i zauważył, że jedna z Adeptek, Tanya, śmieje się radośnie. Właśnie przesłała pocałunek komuś siedzącemu przy innym stole - zapewne Sebastienowi Defrage: wyglądali na zakochanych bez pamięci.

Mistrz odszukał w tłumie pozostałych trzech Adeptów, z którymi musiał pilnie porozmawiać. Reksa Boone'a nie sposób było nie zauważyć: ten potężny mężczyzna wyróżniał się przy stole niczym pancernik wśród mniejszych okrętów. Gestykulował właśnie z ożywieniem, dyskutując z kimś o fizyce jądrowej. Andrew Brandon siedział bliżej wyjścia, pograżony w rozmowie ze słuchającą go uważnie kobietą - ekspertem od badań przestrzeni kosmicznej. Biedny Brandon, odkąd zmarła mu żona, nie potrafił odzyskać dawnej radości życia. Mistrz rozpoznał wreszcie także smukłą sylwetkę Ivana Radiča - siedział niedaleko, w towarzystwie innych Adeptów, biorących udział w tajnych operacjach. Ścisłe współpracował z Mistrzem przy rozszyfrowaniu spisku, mającego na celu obalenie Davisona - i spisał się doskonale. Bardzo przydały się jego kontakty w rosyjskich służbach specjalnych. Czekala go świetna przyszłość.

- Na początek głos zabierze Drugi Arbitr.

Zapadła cisza. Mężczyzna siedzący na prawo od Mistrza wstał i zaczął przemowę, ale Mistrz go nie słuchał. Jego myśli błądziły gdzie indziej: co powiedziałyby James, Władca Wysp, gdyby ich teraz zobaczył? Minęło blisko osiemset lat od założenia Akademii, która przez cały czas usiłowała wiernie wypełniać jego szlachetne przykazania. Mistrz powiódł wzrokiem po otaczających go ludziach: jakże się między sobą różnili! Nie byli wcale średniowiecznymi akademikami. Niezwykle utalentowani, osiągnęli wyżyny kariery naukowej na macierzystych uniwersytetach. Poza tym przysięgali poświęcić życie instytucji, dla której musieli pracować w tajemnicy i która nigdy publicznie nie uzna ich zasług. Do tego dochodziło jeszcze obciążenie związane z wykonywaniem codziennych obowiązków.

- Mistrzu. - Symes nachylił mu się do ucha i szepnął dyskretnie: - Mam wiadomość: prezydent Stanów Zjednoczonych ogłosi wkrótce, że w przyszłym tygodniu uda się do Moskwy na rokowania rozbrojeniowe. Chciał, żeby pan pierwszy się o tym dowiedział.

Mistrz skinął głową i wrócił do przerwanych rozmyślań. Akademia będzie się musiała zmienić. Nowe stulecie przyniesie zagrożenia inne od tych, które znano w przeszłości. Władza na świecie skupiała się w rękach coraz bardziej nielicznej grupy ludzi, a Akademia -

chyba jako jedyna instytucja - była w stanie zapewnić bezstronną pomoc. Tymczasem świat wywierał coraz silniejszy nacisk na to sanktuarium mądrości, grożąc jego zniszczeniem. Dla przetrzymania trudnego okresu będzie potrzebny Mistrz o niezwykłych kwalifikacjach i ogromnej wiedzy, człowiek, który rozumie istotę władzy i zna jej wszystkie diabelskie subtelności.

Każdy z zebranych w auli ludzi miał ogromną władzę. Tajemną władzę. Dotyczyło to szczególnie Arbitrów i Mistrza. Mistrz chwilę patrzył na Adeptów, a potem przeniósł wzrok na mówcę. Wiedział, co myślą. Chcieli zająć jego miejsce, znaleźć się na samym szczycie i z góry oglądać najtajniejsze sekrety ludzkości. To pragnienie było całkowicie zrozumiałe, ale w pogoni za władzą ludzie są zdolni do najpotworniejszych czynów. Mistrz dobrze o tym wiedział, ale jak miał im o tym powiedzieć? I jak poinformować ich o skutkach, które już przewidział?

Znów powiódł wzrokiem po sali, spojrzał na wiernego Symesa i pozostałych lokajów, którzy dobrze służyli Akademii, tak jak ich ojcowie i dziadowie. Ogarnął spojrzeniem Adeptów i Arbitrów. Czy potrafi zostawić to wszystko? Przecież właśnie teraz, jak nigdy przedtem, Akademia potrzebowała jego pomocy - w najbliższych, krytycznych latach, które zadecydują o jej przetrwaniu. Jeżeli teraz odda władzę, może doprowadzić do katastrofy. Ale to nie on miał podjąć tę decyzję. Nie on.

W auli znów zapanowało milczenie, które przerwał Symes:

- Na zakończenie głos zabierze Mistrz Akademii.

Mistrz wstał.

Po przemówieniu Mistrza bankiet się skończył, chociaż Adepti i Arbitrzy zostali przy stołach, pograżeni w rozmowach. Symes przeprowadził Pierwszego Arbitra przez trzeci dziedziniec do domu Mistrza. Wskazał mu miejsce przy długim, lśniącym stole w jednym z salonów na piętrze. Arbiter usiadł i czekał. Miał przygotowaną mowę.

Rozejrzał się. Na ścianach wisiały portrety Mistrzów, którzy przez wieki przewodzili Akademii; na komodzie stały srebrne ozdoby, na niskich stolikach - zabytkowe bibeloty. Wśród nich rozpoznał chińską łamigłówkę.

Mistrz usiadł naprzeciwko. Znali się od trzydziestu pięciu lat i Arbiter musiał przyznać, że twarz Mistrza niewiele się przez ten czas zmieniła. Dobiegał siedemdziesiątki, lecz rysy wciąż miał wyraziste, a oczy czujne i przenikliwe, niczym okna, za którymi krył się jego niezwykły umysł.

Mistrz milczał. Znając historię Akademii, wiedział, że przemowa Arbitra jest zgodna z

odwieczną formułą i uświęconą tradycją. Nie trwała długo. Mistrz nie przerywał.

Arbiter wstał i ruszył do wyjścia. W drzwiach odwrócił się i dodał:

- Czekamy na twoją decyzję, Mistrzu. Masz trzy dni.

Szedł wyłożonym boazerią korytarzem i zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś go ujrzy. Miał ochotę posiedzieć z nim dłużej, porozmawiać o przeszłości, nacieszyć się wspomnieniami. Niestety, nie było na to czasu. Ledwie jeden kryzys się zakończył, nastał kolejny, a Mistrz był niezastąpiony.

Prawie.

Mistrz siedział wsłuchany w odgłos oddalających się kroków Arbitra, rozmyślając o stojącym przed nim kolejnym trudnym zadaniu. Tym razem problem nie pochodził z zewnątrz: żaden prezydent w tarapatach nie zapukał do jego drzwi, nie zjawił się żaden przywódca wojującego kraju. To była wewnętrzna sprawa Akademii. Pochylił ze znużeniem głowę i wrócił myślami do słów Pierwszego Arbitra. Rozpoczęła się Gra.

Ostateczna gra o władzę.

GRACZE



## ROZDZIAŁ 4

*Nic nie zdoła nasycić ludzkiego apetytu. Taką mamy naturę, że wszystkiego możemy pożądać, lecz los sprawia, że tylko niektóre z naszych pragnień mogą się ziścić.*

Niccoló Machiavelli *Rozważania*

### **Grudzień. Akademia**

Rex Boone był bardzo, ale to bardzo zadowolony: Mistrz chciał się z nim spotkać. Szedł krętą alejką w stronę domu na wodzie, znajdującego się kilka kilometrów od Akademii, i pełną piersią chłonał poranne powietrze. Cieszył się, że zwrócił na siebie uwagę. Zresztą trudno było go nie zauważyć - olbrzym o byczym karku i posturze zawodowego futbolisty zawsze rzucał się w oczy. Był przy tym dosyć zwinny, miał krótko ostrzyżone blond włosy i dużą twarz z masywną szczęką. Nawet na polu bitwy pod Troją wyróżniałby się spośród innych. Co więcej, odznaczał się również wybitnym intelektem.

- Popływam sobie z godzinę, Jenkins! - krzyknął do strażnika domu na wodzie, który pomachał mu ręką w odpowiedzi.

- Doskonale, doktorze Boone. Proszę uważać, na jeziorze jest sporo kry.

Rex uśmiechnął się lekceważąco: do diabła z krą! Zatrzymał się na brzegu i ostrożnie zszedł do małej łódki. Odgarnął śnieg z ławeczki. Spodziewał się, oczywiście, kry, ale bez trudu sobie z nią poradzi. Przeciągnął się i napiął mięśnie. Długo marzył o tym, by zostać Adeptem; udało mu się dwa lata temu. I nagle poprzedniego dnia - na krótko przed bankietem w Akademii - jak grom z jasnego nieba spadła ta wiadomość. Symes przekazał mu zaproszenie. Co za zaszczyt: kolacja z Mistrzem! Wyobrażał sobie, że zasiądą do niej tylko we dwóch - cóż za niezwykle tête-à-tête. Może Mistrz chciał porozmawiać o jego ostatnim artykule na temat fizyki jądrowej? Co jeszcze go czeka?

- Płynę do Cairn Druar i z powrotem! - krzyknął jeszcze do strażnika i odepchnął się od brzegu. Mróz skuł zwieszające się nad wodą gałęzie drzew, nic sobie nie robiąc ze

słabych, ledwie przebijających chmury promieni słońca. Śnieżny dywan przykrył okoliczne góry; lodowata woda leniwie opływała łódź. Rex uwielbiał to miejsce. Zawsze marzył o takiej szkockiej północy: dzicz, skaliste wzgórza, srogie zimy. I wiosłowanie - idealny sport dla indywidualisty.

Skierował łódź na środek jeziora i obejrzał się przez ramię na dom. Był szczęśliwy. Był zwycięzcą.

Tanya wciągnęła powietrze i wypuściła je w gwałtownych spazmach, czując, jak Sebastien dygocze w niej. Wciśnięta w poduszki, wbiła mu paznokcie w pośladki, dając się całkowicie ponieść zmysłom. Zamknęła oczy. Na kilkanaście sekund straciła poczucie czasu, zapominając o bożym świecie.

Powoli i niechętnie, niczym dziecko opuszczające łono matki, powróciła do rzeczywistości. Była w swoim pokoju w Akademii. Z Sebastienem. Miłe wrażenie ciepła i szczęścia nie opuściło jej od razu; leżała bez ruchu, a jej umysł z wolna dostosowywał się do świata fizycznego. W takich chwilach mogła wybaczyć Sebastienowi absolutnie wszystko. Byli już razem ponad dwa lata. Kiedy pociągnęła go lekko za włosy, zmęczony uniósł głowę.

- Nie zapomniałeś mi o czymś powiedzieć?

- Że cię kocham?

- Nie. Zgaduj dalej.

- Że byłeś fantastyczna?

- Nie. - Pociągnęła go lekko za kosmyk czarnych włosów. Lubiała jego przystojną, pełną wyrazu, nieco chłopięcą twarz, ciemnobrązowe oczy, małą bliznę na skroni. Nadawałby się do filmów, zrobiłby karierę jako amant.

- Nigdy nie było mi tak dobrze w łóżku - powiedział.

- Nie o to mi chodzi. - Tanya szarpnęła mocniej jego włosy.

Sebastien opuścił głowę na poduszkę.

- Podpowiedz mi.

Zachichotała, odepchnęła go i dała mu prztyczka w nos.

- Pomyśl dobrze.

Obrzucił ją leniwym spojrzeniem. Wciąż przebywał na wpół w krainie snów. Powiódł wzrokiem po jej ciele, napawając się jej nagością i wdziękiem. Popatrzył z bliska na jedną z jej obfitych piersi, przyciśniętą do satynowego prześcieradła tak, że sutka prawie nie było widać.

- Sebastienie? - Tanya znów zmusiła go do podniesienia głowy. Spojrzał jej w twarz;

w jego oczach czaił się przekorny ogień. - O czymś jednak zapomniałeś mi powiedzieć, prawda?

- Czyżby?

Nie spuścił wzroku. Podziwiał jej długie, ciemne włosy, zaokrągloną śniadą jak u Włoszki twarz, pełne usta i jędrne policzki. Tanya miała trzydzieści lat i osiągnęła chyba szczyt swej urody: doświadczona, dojrzała, zmysłowa... Zdawał sobie sprawę, jakim darzy go uczuciem.

- Dostałeś zaproszenie od Mistrza?

- Jakie zaproszenie? - odpowiedział pytaniem Sebastien.

- Nie dostałeś? Naprawdę?!

- Nie - odparł ze zdziwieniem i rozdrażnieniem.

Tanya się zarumieniła.

- Przepraszam, Sebastienie. Nie chciałam się z tobą tak drażnić.

Dała się złapać. Sebastien odwrócił się do niej plecami. Uwielbiał jej pokój, ozdobiony dziełami sztuki nowoczesnej i pomalowany w ciepłe barwy. Wiedział, że gdy naciśnie przełącznik przy łóżku, żaluzje rozsuną się, odsłaniając mroczne, piękne zbcze Mullach Mor.

- Niech no zgadnę. - Odwrócił się i spojrzał na nią. - Otrzymałaś od Mistrza zaproszenie na kolację - stwierdził rozczerowany. - I słowem mi o tym nie wspomniałaś.

Tanya się zawahała: jak zwykle miał rację.

- Przepraszam, Sebastienie. Myślałam, że ty też zostałeś zaproszony i tylko się ze mną przekomarzasz. - Musnęła palcami jego muskularne ciało.

- To bez znaczenia. - Jego oczy zdradzały, jak bardzo go zraniła. Ukrył twarz w poduszce.

- Powiedziałam już, że jest mi przykro. - Nie podobało jej się, że tak niesprawiedliwie ją traktuje. - Naprawdę nie chciałam. Myślałam, że i ciebie zaprosił.

Sebastien milczał. Do licha! Na pewno czuł się zawiedziony, zawsze musiał być najlepszy. I jak ona ma mu to teraz wynagrodzić?

Sebastien wkrótce pomógł jej znaleźć odpowiedź na to pytanie.

Gdy skończyli się kochać, Tanya poszła do łazienki, żeby wziąć prysznic. Sebastien obrócił się na plecy i uśmiechnął.

- Ty draniu!

Znalazła jego zaproszenie. Leżało obok szamponu, tam, gdzie je położył.

To był naprawdę szalony dzień w studiu. Całkiem zwariowany. Sabine Striker, primadonna niemieckiej telewizji, klęła jak szewc. Za kilka minut ruszą kamery, a jej główny gość jeszcze nie przybył: samolot się spóźnił. Odrzuciła na ramię złociste pukle włosów, przysięgając sobie w duchu, że więcej dla Deutsche Telefunken pracować nie będzie.

- Kristal! - odepchnęła charakteryzatorkę i złapała koordynatorkę za rękę. - Gdzie jest nasz gość?!

- Nie wiem, Sabine.

- To go znajdź! Nie stój tak! A gdzie się podział producent, na miłość boską? Gdzie George?!

Kiedy Sabine szła przez tłum, kamerzyści i ich asystenci rozstępowali się przed nią jak fale morza. Na jej twarzy malowała się ponura zawziętość: zabije go. Dlaczego producenci telewizyjni muszą mieć jakiś romans akurat wtedy, kiedy są najbardziej potrzebni na planie? Nie chodziło jej nawet o same romanse, ale o cholerną impertynencję George'a, jej eksmeża, który akurat pod koniec cyklu wywiadów musiał sfiksować na punkcie cycków tej holenderskiej gwiazdeczki. Niech no tylko dorwie jego ulubionego kamerzystę, tego Polaka o niemożliwym do wymówienia nazwisku! Już ona nauczy George'a! Przygryzła długopis. Wokół niej wszyscy zwijali się jak w ukropie.

- Pani Sabine Striker?

- Jestem zajęta - warknęła, odwróciła się i natychmiast się rozpromieniła. - Przepraszam - mruknęła pojednawczo. - Pan Ivan Radič, prawda?

Był szczuplejszy, niż myślała, ale poza tym wyglądał dokładnie tak, jak na zdjęciu: jasny szatyn, wąsy, wąskie wargi, wyraziste, niemal kanciaste rysy twarzy. Od razu umieściła go w odpowiedniej szufladce swojej prywatnej kartoteki - tak jak każdego nieznanego - gdy nagle uświadomiła sobie, że omal nie przeoczyła jednej cechy, drobnej, lecz niezwykle istotnej. Szczupła twarz i zimne, błękitne, słowiańskie oczy nadawały jego twarzy niezwykle, lekko okrutny wyraz. Bardzo jej się spodobała taka oznaka twardości charakteru.

- Przepraszam, panie Radič.

- Dla pani Ivan.

- Iwanie. - Objęła go, prowadząc na plan. - Za chwilę zaczynamy. To program na żywo i nie ma czasu na próbę. Przykro mi.

- Nic nie szkodzi.

Opanowany jak zawodowy zabójca. Sabine była pod wrażeniem.

- W porządku, usiądziesz tutaj? Zapoznam cię ze scenariuszem: zrobię krótkie wprowadzenie, a potem od razu przejdziemy do dyskusji o gospodarce krajów Europy

Wschodniej. Na ekranie będziemy mieli profesora Leo Tiedermana z Mannheimer Institute i Borisa Juvenkę z Węgierskiego Uniwersytetu Ekonomiczno-Technicznego.

- Rozumiem.

Na planie pojawili się oświetleniowcy. Światła przygasły, kamery zaszumiały. Sabine usiadła na swoim fotelu, przyglądała skórzaną spódnicę i uśmiechnęła się, wydymając lekko wargi. Ten uśmiech uczynił z niej w Niemczech gwiazdę dziennikarstwa.

- Dobry wieczór państwu. Oto ostatni program z cyklu poświęconego przeglądowi gospodarki światowej. Dziś zajmiemy się sytuacją w Europie Wschodniej i jej przemianami pod wpływem zawirowań na rynkach dalekowschodnich. Najpierw jednak krótki materiał z ogarniętej falą niepokoju społecznego w Rumunii.

Zerknęła na Ivana, kiedy realizatorzy puścili film. Zapomniała go zapytać, jak sobie radzi z niemieckim. Może lepiej będzie zacząć od Tiedermana.

Tak też zrobiła, ale nie minęły dwie minuty, gdy zaczęła żałować swej decyzji: uczony profesor był nudny jak przysłowiowe flaki z olejem.

- W studiu goszczę pana Radiča z Instytutu Spraw Zagranicznych - weszła mu w słowo. - Czy zgodzi się pan z profesorem Tiedermanem, że możemy się spodziewać zrównoważenia deficytu handlowego w Bułgarii i Czechach?

Ivan nie odpowiedział od razu. Sabine patrzyła na niego z niepokojem; może on wcale nie zna niemieckiego? To byłaby katastrofa! Widzowie zjedzą ją żywcem. Będzie musiała na żywo tłumaczyć - już, już otwierała usta, gdy Radič zabrał głos. Mówił po niemiecku doskonale, bez śladu obcego akcentu. Natychmiast udowodnił, że zna się na rzeczy i umie zainteresować słuchaczy.

Wystarczyła chwila, by sama Sabine też dała mu się zahipnotyzować. Słuchając go - naprawdę słuchając, a nie, jak zwykle, udając, że słucha - czuła dreszczyk przyjemności. Widzowie będą zachwyceni: Tiederman, nudziarz nad nudziarze, był największym niemieckim specem od ekonomii, a tu taki młody ekspert spokojnie wytykał mu błędy w analizie sytuacji, nie zostawiając na nim suchej nitki. Sabine poprawiła spódnicę, tak przesuważając rozcięcie, żeby telewizywiści mogli podziwiać jej nogi - podobała im się i miało to wpływ na oglądalność.

- Czy zatem twierdzi pan, panie Radič, że profesor Tiederman zbyt dużą wagę przywiązuje do czynników makroekonomicznych w gospodarce bułgarskiej? - spytała kokieterycznie. - Zwłaszcza w sektorze zbrojeniowym?

- Tak właśnie uważam - przytaknął Ivan, bezlitośnie wypunktowując argumentację Tiedermana.

Sabine słuchała jak zaszarowana. Radič miał łagodny głos, mówił gładko, spokojnie i tak przekonująco, że sprzeciwienie mu się zakrawałoby na grubiaństwo. Usadowiła się wygodniej w fotelu i jeszcze raz podciągnęła spódnicę. Nie mogła sobie przypomnieć, czy założyła figi... Nieważne; było już po dziesiątej. Zresztą - czy nie tego właśnie chcą widzowie?

- Dziękuję panu, panie Radič. - Sabine miała ochotę wycalować go z wdzięczności. Spojrzała na monitor. - Czy możemy prosić o połączenie z panem Juvenką?

Węgierski uczony zwięźle przedstawił swoje racje. Nie słuchała go, gdyż dalszy ciąg programu i tak zapowiadał się śmiertelnie nudno. Zerknęła na chłodnego, opanowanego Ivana i nagle diabelski pomysł przyszedł jej do głowy:

- Czy zgadza się pan z panem Juvenką?

- Raczej nie - odpowiedział Radič.

- Doprawdy? - Sabine w udawanym zdziwieniu zrobiła wielkie oczy. - Czy zechciałby nam pan to wyjaśnić?

Bawiła się doskonale, gdy Ivan krok po kroku wykazał nonsensowność analiz Juvenki. Zakończenie cyklu wypadło nadszpiewanie dobrze. Jeden geniusz i dwóch idiotów, którzy mają się za geniuszy. Swoją drogą niezły gość z tego Ivana. Ciekawe, jaki byłby w łóżku? Podobała jej się jego skórzana kurtka; pasowałaby do jej spódnicy.

- A jak by pan skomentował spadek wydobywania węgla na Słowacji? Przypomnę, że wyniósł on dwadzieścia procent w ostatnich czterech miesiącach. - Zastanawiała się, czy powinna gdzieś go zaprosić po programie. Zerknęła w bok, gdzie w cieniu, za kamerami, ten kurdupel George głaskał po tyłku swoją Holenderkę. Niech go szlag! Kokieterijnym gestem poprawiła włosy, śląc Ivanowi pełne podziwu spojrzenie. Redaktorzy kolorowych pisemek będą mieli temat. Miała ochotę na Ivana. A jeżeli Sabine czegoś zapragnęła, musiała to mieć.

Program dobiegł końca. Kiedy oboje wstali, wzięła Ivana za rękę.

- Dziękuję, byłeś cudowny - powiedziała. Ciekawe, czy jest członkiem Akademii. Oczywiście i tak by się jej do tego nie przyznał.

- Fantastycznie! - Jak spod ziemi wyrosła przed nimi przysadzista postać George'a. Długonoga blondyna nie odstępowała go na krok, chociaż miała kłopoty z utrzymaniem równowagi: jej olbrzymie silikonowe piersi miały wprawdzie szczerzy zamiar podążać w tym samym kierunku, co reszta ciała, kołysały się jednak niespokojnie na boki jak igła oglupiałego kompasu na biegunie. Ivan cofnął się, gdy niebezpiecznie się do niego zbliżyła. - Dyskusja wypadła znakomicie. - George klepnął Ivana w plecy. - A pan, panie Radič, jest niesamowity! Musimy pana jeszcze kiedyś do nas ściągnąć. A teraz chodźmy gdzieś razem uczyć takie

zakończenie cyklu!

Ivan przeniósł wzrok na Sabine i znów spojrzął na George'a: nie ulegało wątpliwości, że mówiąc „razem”, nie miał bynajmniej na myśli swojej byłej żony. Usta Radiča drgnęły lekko, zanim zdobył się na uprzejmy uśmiech.

- Może innym razem... Niestety muszę już wracać.

Sabine wyprowadziła go ze studia tylnym wyjściem. Owionęło ich mroźne powietrze. Stojąca nieopodal limuzyna miała zabrać go na lotnisko. Sabine wzdrygnęła się z zimna; drobne sutki stwardniały jej pod cienką, satynową bluzką.

- Jeszcze raz dziękuję - odezwała się i zachichotała. - Byłeś naprawdę doskonały; profesor Tiederman nigdy cię nie zapomni.

W oczach Ivana błysnął wesoły ogień.

- Przykro mi, ale naprawdę nie miał racji. Nie umiał powiązać analiz z faktami.

Limuzyna zajęchała pod drzwiami. Ivan już miał do niej wsiąść, gdy Sabine pogładziła go jeszcze po ramieniu.

- Nie mógłbyś jeszcze zostać? - spytała pośpiesznie.

- Przykro mi, ale naprawdę się spieszę - odparł z przeproszającym uśmiechem.

- To może innym razem?

- Z przyjemnością.

Samochód ruszył i Ivan pomachał jej na pożegnanie. Zrobiło mu się żal Sabine; była wspaniałą dziewczyną. Dobrze, że pozbyła się męża. Zasługiwała na kogoś lepszego. Sęk w tym, że nie wiedziała o Iwanie dwóch rzeczy, które nie pozwalały mu się zaangażować w bliższy związek.

Po pierwsze - był homoseksualistą.

A po drugie - Mistrz zaprosił go na kolację.

- Prawdopodobnie trzymają ich właśnie tutaj, nad rzeką. To dodatkowe utrudnienie. Nie można zrzucić spadochroniarzy.

Żołnierz ONZ postukał palcem w rozłożoną na stole mapę Demokratycznej Republiki Konga, dawniej zwanej Zairem. Znajdowali się w na wpół zburzonej chatce; strzecha z trawy w wielu miejscach zapadła się do środka. Wewnątrz panował duszny upał. Muchy nie dawały im spokoju. Ani Andrew Brandon, ani człowiek z ONZ nie spoglądali na pokrytą zakrzepłą krwią posadzkę. Po zapachu dało się stwierdzić, że ciała usunięto z chaty nie dalej niż poprzedniego dnia.

- Jak pan sądzi, ilu mają zakładników?

- Około dziesięciu kobiet i dwa razy tyle dzieci. - Kapitan Garnaud podrapał się po nosie i spojrzał bacznie na Brandona. Machnięciem ręki odgonił muchy z twarzy. - Przypuszczalnie więźniowie są w kiepskim stanie; poprzednim razem wszyscy - kobiety i dzieci - zostali zgwałceni. A teraz rebelianci zapowiedzieli, że poderzną im gardła, jeżeli rząd do piątej nie zwolni z więzienia Musaweny, miejscowego watażki. Oczywiście nie zawahają się spełnić tej groźby.

- Oczywiście. - Andrew podniósł wzrok na kapitana: chudy Francuz miał ściągniętą twarz. Nerwowy tik wykrzywił mu kącik ust. Palił jak lokomotywa, ręce lekko mu drżały. Na oko sądząc, Garnaud był w Kongu od dwóch, może trzech miesięcy. Za pół roku będzie albo martwy, albo dostanie pomieszenia zmysłów. Andrew zanotował sobie w pamięci, żeby zalecić odwołanie Francuza z placówki.

- Która godzina?

Garnaud spojrzał na zegarek.

- Czwarta trzydzieści. Zostało im pół godziny życia, bo rząd za żadne skarby nie wypuści Musaweny. Żal mi ich. - Kapitan rzucił niedopałek gitane'a na podłogę, przydepnął go i zwinął mapę.

Andrew stanął przy wejściu i wyjrzał na zewnątrz. Kilka dni temu znajdowała się tu wioska. Zostały z niej zgliszcza, z których dym jeszcze teraz unosił się w powietrze. Panowała cisza, tylko drzewa i dzikie zwierzęta były świadkami masakry tubylców. Kiedyś mieszkało tu ponad dwieście osób, tworzących tętniącą życiem małą społeczność - dziś większość spoczywała w naprędce wykopanych zbiorowych mogiłach.

Było upalne popołudnie. Rebelianci odczekali, aż dzieci wrócą ze szkoły wyciętą w dżungli ścieżką, a potem zagnali wszystkich do kościoła i metodycznie wymordowali. Zabili nawet kobietę, która lada chwila miała rodzić. Jej dziecko zginęło, zanim zdążyło zaczerpnąć w płuca ciepłego, rozslonecznionego powietrza.

- Chyba niewiele tu wskóramy - stwierdził kapitan. Doszedł do tego wniosku prawie od razu, w chwilę po tym, jak tu przyjechał. Rebelianci nie omieszkali go poinformować, że jeżeli żołnierze ONZ wmieszają się w tę sprawę, ich również czeka śmierć. Nie miał ochoty popełniać samobójstwa. To nie była jego wojna.

- My chyba nie - zgodził się Andrew. - Sam pójdę do wioski.

Kapitan Garnaud nie posiadał się ze zdumienia. Parsknął śmiechem.

- Zwariował pan! Zabiją pana. Niech mnie pan posłucha: nie pierwszy raz jestem w takiej sytuacji. - Rozłożył ręce w bezradnym, wyrażającym współczucie geście. - To nie pańska wina. Oni i tak zginą.



- Może... - Andrew wzruszył ramionami. - Ale ja i tak pójdę.

Wrócił do dżipa, wziął telefon satelitarny, a potem przerzucił kurtkę przez ramię i zagłębił się w dżungłę.

Kapitan odprowadził go wzrokiem, kręcąc z niedowierzaniem głową. Dwie godziny wcześniej zadzwonił do bazy ONZ w Kapandze i poinformował administratora, że bandyci odmówili uwolnienia zakładników. Nie chcieli też rozmawiać już z nikim z ONZ. Co więcej, wycofali się nad rzekę i zagrozili, że zastrzelą każdego, kto się do nich zbliży.

Pół godziny później zjawił się samotny mężczyzna. Kapitan Garnaud miał okazję dobrze mu się przyjrzeć, gdy przybysz wysiadał z wojskowego dżipa: Australijczyk, średniego wzrostu, blondyn, ogorzała twarz, około trzydziestu pięciu lat i ani śladu wojskowych nawyków. Garnaud powitał go wprawdzie uprzejmie - nieskazitelne maniere przyswoił sobie podczas długich lat pracy w międzynarodowym środowisku - lecz w głębi serca wiedział, że to zwykle zawracanie głowy. Facet był konsultantem ONZ. Prysłano go po to, żeby w razie jakichś oskarżeń można było powiedzieć, że zrobiono wszystko, co się dało. Służył w Afryce od dawna i nieraz już widział takich specjalistów. Nawet mając pięćdziesięciu legionistów, nie zdołałby odbić zakładników, a tymczasem Andrew poszedł do nich sam. Chciał zginąć. No cóż, ludzie w Kongu wariują.

Kiedy Andrew zniknął w gąszczu, Garnaud usiadł na stojącej w środku wioski ławeczce i czekał. Czterech jego ludzi przysiadło się do niego. Grzebiąc butem w kurzu, zapalił następnego papierosa i dla zabicia czasu wdał się w pogawędkę z podwładnymi. Wiedział, że rebelianci zabiją Andrew, zastanawiał się tylko, jaka śmierć go czeka. Zarąbią go maczetami? Czy po prostu strzelą mu w plecy? Raczej to pierwsze. Szkoda kuli. Tacy faceci na pewno oszczędzają amunicję.

Zostało piętnaście minut.

Po dwudziestu minutach Andrew wrócił, prowadząc ze sobą osiem kobiet i gromadkę dzieci; jeden z chłopców trzymał go za rękę. Zatrzymali się przy ławce.

- To wszyscy zakładnicy - oznajmił Andrew. - Proszę zabrać ich do obozu przesiedleńczego w Kapandze. Ten chłopiec ma na imię Obedi. Został raniony nożem, więc potrzebna mu będzie pomoc medyczna. Wrócę za pięć dni. Teraz czas na mnie.

Andrew wrzucił telefon do samochodu, wsiadł i odjechał. Kapitan i jego czterej ludzie patrzyli w osłupieniu na chmurę kurzu, unoszącą się za dżipem.

Wieczorem kapitan Garnaud drugi raz udał się do obozu w Kapandze. Zdawał sobie sprawę, że nie ma sensu rozmawiać z kobietami - i tak nic mu nie powiedzą. Znalazł więc w

szpitalnym namiocie łożko siedmioletniego Obediego, który miał zabandażowaną prawą rękę. Upał był nie do zniesienia. Kilka latarń sztormowych rozświetlało nocny mrok. Obedi nie spał; leżał na pryczy i patrzył w sufit, ale kiedy Garnaud się zbliżył, zerknął na niego ciekawie.

Kapitan się nie spieszył. Najpierw poczęstował chłopca czekoladą, potem zamienił dwa słowa z pielęgniarką. Dopiero wtedy usiadł przy łożku i zaczął go wypytywać. Zachęcony czekoladą Obedi rzeczowo opisał mu, co się wydarzyło: biały człowiek - Andrew - przyszedł nad rzekę, gdzie znajdował się posterunek, i usiadł na ziemi przed oddziałem rebeliantów. Zadzwoił gdzieś, potem jeszcze raz i jeszcze - a po trzecim telefonie zabrał kobiety i dzieci.

- Bardzo ciekawe... - mruknął kapitan.

Do kogo dzwonił biały człowiek? Tak się złożyło, że Obedi siedział całkiem niedaleko i coś niecoś słyszał. Nie wiedział wprawdzie, do kogo biały człowiek zadzwonił za pierwszym razem, ale za drugim rozmawiał z prezydentem Konga, a za trzecim - z dowódcą rebeliantów. No i ci ich puścili. To właśnie dlatego Obedi uważa, że telefon to wspaniała rzecz: może rozwiązać wszystkie problemy.

- Bardzo, bardzo ciekawe... - powtórzył Garnaud.

No więc do kogo dzwonił biały człowiek na samym początku, co? Czy Obedi nic a nic nie pamięta? Niestety, nie pamiętał, i czekolada nic nie mogła tu zmienić. Jednak Obedi przypomniał sobie, że biały człowiek dziwnie zakończył tę pierwszą rozmowę. Powiedział: „Dziękuję, Mistrzu”.

Andrew wyjrzał przez okno, wsłuchany w buczenie silników samolotu. Pod nim rozciągała się jeszcze bezkresna afrykańska dżungla, ale następnego dnia miał znaleźć się w zupełnie innej scenerii.

Był zaproszony na kolację z Mistrzem.

MISTRZ

## ROZDZIAŁ 5

*Mędrzec nie ponosi porażek, gdyż nic nie robi. Nic nie traci, bo niczego nie ma. Jego pragnieniem jest nie mieć pragnień. I nie cenić rzeczy cennych.*

Lao-Cy

Symes siedział w portierni Akademii i oglądał listę gości zaproszonych na kolację. Widniały na niej nazwiska pięciorga Adeptów: Rex Boone, Ivan Radič, Andrew Brandon, Sebastien Defrage i Tanya Johnson.

Odłożył spis i spojrzął na zegarek: ósma. Już czas. Na pewno czekają przy drzwiach na drugim dziedzińcu, zaintrygowani perspektywą spotkania z Mistrzem w jego prywatnych apartamentach. Mistrz rzadko przyjmował młodszych Adeptów, a jeśli nawet, to tylko na oficjalnej kolacji w pałacu audiencyjnym. Niewielu ludzi wiedziało o istnieniu trzeciego dziedzińca i na własne oczy oglądało mieszkanie Mistrza. Był to jednak niezbędny element tajemniczej otoczki, chroniącej Akademię i jej mieszkańców.

Symes wyszedł z portierni i wysypaną żwirem ścieżką przemierzył najpierw pierwszy dziedziniec, a potem drugi. Po bankiecie prawie wszyscy adepci rozjechali się do domów i w Akademii panował spokój. Śnieg skrzypiał mu pod stopami; na niebie lśnił nieprzeliczony rój gwiazd. Symes nie przypominał sobie, żeby za jego kadencji Mistrz zarządził tego rodzaju spotkanie zaraz po grudniowym bankiecie - a służył mu przecież od samego początku, czyli od blisko trzydziestu lat.

Tanya wtuliła się w ramiona Sebastiena.

- Zimno mi - powiedziała i spojrzała na Reksa. Olbrzym milczał, choć w świetle latarni dostrzegła przelotny uśmiech na jego twarzy. Odpowiedziała mu tym samym, zastanawiając się, o czym myśli. Poznała Reksa cztery lata wcześniej na międzynarodowym symposium, poświęconym wykorzystaniu energii jądrowej. Nie był jeszcze wówczas Adeptem. W spotkaniu uczestniczyła jako konsultantka Europejskiej Unii Komputerowej, specjalistka od komputerowego modelowania procesów jądrowych, w tym eksplozji

nuklearnych. Rex wygłosił odczyt jako ekspert Światowego Forum Badań Jądrowych. Wysłuchawszy go, Tanya doszła do wniosku, że drugiego tak jasnego, sensownego wystąpienia nie było na całym sympozjum. Rex mówił swobodnie, dowcipnie i z wielką pewnością siebie, ale nie tylko to zwróciło uwagę Tanyi. Od razu jej się spodobał: w jego masywnej posturze było coś kojącego, łagodnego. Kojarzył się jej z miękką sofą, w której poduchy można się zapaść i poczuć całkowicie bezpiecznie. Od dzieciństwa - od rozvodu rodziców, którego wspomnienie tkwiło w niej jak cierń - marzyła o poznaniu takiego człowieka, by móc choć trochę zapomnieć przy nim o samotności. Potrzebowała kogoś, kto zawsze byłby przy niej, nie ograniczając zarazem jej wolności.

Nie pomyliła się w jego ocenie.

Tamtej nocy poszli do łóżka i sypiali ze sobą do końca sympozjum, a potem Tanya zostawiła Rekxa i wyjechała. Nie była gotowa na zaangażowanie się w trwały związek, który on starał się jej narzucić. Powiedziała mu o tym rankiem ostatniego dnia. Odparł, że rozumie ją, i wrócił do pakowania swoich rzeczy. Dobrze zapamiętała wyraz bólu i rozczarowania na jego twarzy. Owszem, lubiła go, ale nie miała jeszcze zamiaru angażować się w małżeństwo. Poza tym sprawę komplikowało jej niedawne przystąpienie do Akademii i przesadna ostrożność, żeby broń Boże się z tym nie zdradzić. Wolność stanowiła nieodłączny element jej natury.

Ich drogi rozeszły się więc i Tanya żyła samotnie przez ponad rok, czyli do czasu, gdy poznała Sebastiena, który mniej więcej wtedy wstąpił do Akademii. Kilka miesięcy później znów spotkała Rekxa, kiedy i on został Adeptem.

- O czym myślisz? - zapytał ją Sebastien.

- O niczym konkretnym - odparła odruchowo i odwróciła wzrok od Rekxa. Nigdy nie powiedziała Sebastienowi o ich związku; Rex ze swojej strony obiecał jej podobną dyskrecję. Sebastien nic by nie zrozumiał, a był z natury zazdrosny. Przez jakiś czas miała nadzieję, że zaprzyjaźnią się z Reksem, ale zbyt wiele ich łączyło. Obaj mieli skłonność do zacieklej rywalizacji i rzadko się spotykali, nawet jako Adepci.

- Jest Symes - zauważył Sebastien, spojrzawszy na dziedziniec.

Jego słowa nie wyrwały Tanyi z zamyślenia. Lubiła Rekxa i zawsze pozostaną dobrymi znajomymi, ale kochała Sebastiena. Namiętność i miłość to jednak dwie różne rzeczy. Jeżeli Rex nadal ją kochał... Cóż, mogła mu tylko współczuć.

- Następni goście - mruknął rozczarowany Rex. Będzie musiał poczekać na spotkanie tête-à-tête z Mistrzem.

Wkrótce rzeczywiście zjawili się ostatni zaproszeni: Andrew i Ivan. Ivan popatrzył

ciekawie po zebranych Adeptach. Znał ich wszystkich i uznał, że dziwne tworzą towarzystwo. Ciekawe, o czym Mistrz chciał z nimi porozmawiać. Rex był fizykiem, Tanya specjalistką od komputerów, Sebastien analitykiem finansowym, Andrew konsultantem wojskowym ONZ, a on sam szpiegiem, choć udawał politologa i ekonomistę. Wszyscy po trzydziestce, wolnego stanu, o bardzo różnych osobowościach. No i Mistrz. Wieczorna konwersacja zapowiadała się bardzo interesująco. Rex będzie oczywiście mówił najgłośniej. Ivan zamierzał ograniczyć się do obserwacji.

- Proszę za mną - rzekł Symes, wchodząc w krąg światła.

W zachodnim rogu drugiego dziedzińca, na tyłach ogrodu, znajdował się wawrzynowy zagajnik. Kamienna ściana w tym miejscu wyglądała dokładnie tak samo jak cały mur Akademii, lecz między nią i wawrzynami ledwie widoczna ścieżka prowadziła wprost do masywnych, dębowych drzwi. Symes powiódł gości tą właśnie dróżką, wybrał szyfr na klawiaturze przy drzwiach i skinieniem dłoni dał Adeptom znak, by weszli do środka.

Żadne z nich nie wiedziało, czego się spodziewać, chociaż słyszeli już legendy o urodzie i wielkości trzeciego dziedzińca. Wykutym w wapieniu krużgankiem wyszli na środek podwórza i stanęli naprzeciw domu Mistrza. Piękny elżbietański budynek miał belkowane ściany i witrażowe okna. Znajdujące się pośrodku ściany ogromne wykuszowe okno ozdobione było herbem Akademii, przedstawiającym gołębia nad dwoma skrzyżowanymi mieczami. W ogrodzie przed domem, otoczonym sięgającym kolan żywopłotem, rosły wiśnie, o tej porze roku pozbawione liści i uginające się pod ciężarem śniegu. Mrok rozświetlały japońskie latarenki z kutego żelaza, wbudowane w ścianę krużganka. Rzucaly na dziedziniec widmową poświatę, nadając mu tajemniczy urok.

Adepci nie mieli jednak czasu dłużej podziwiać urody dziedzińca. Ponaglani przez Symesa podeszli do drzwi. Dom zaskoczył ich swym pięknem. Z wyłożonego boazerią przedsionka szerokie marmurowe schody prowadziły na piętro. Meble, kobierce i obrazy na ścianach - wszystkie niezwykle piękne i rzadkie - wypełniały niemal całą wolną przestrzeń. Goście stanęli jak wryci.

- Proszę się pospieszyć - popędzał ich zniecierpliwiony Symes. - Spóźnimy się.

I poprowadził ich na górę, nie dając chwili wytchnienia, by mogli przyjrzeć się cudownym malowidłom, nefrytowym rzeźbom, porcelanie i innym mijanym po drodze dziełom sztuki. Zatrzymali się na szerokim podeście, skąd schody prowadziły wyżej. Ivan zerknął ciekawie w górę, ale Symes wskazał im drogę do drzwi po drugiej stronie podestu, podszedł do nich i zapukał dyskretnie. Dał im znać, że mogą wejść.

Stanęli twarzą w twarz z Mistrzem.

- Chciałbym, żebyście coś obejrżeli.

Andrew, rozparty wygodnie w fotelu, ze szklaneczką brandy w ręku, nie przysłuchiwał się zbyt rozmowie. Znakomity posiłek, doskonale wina i niezobowiązująca konwersacja działały dekoncentrująco. Zmrużył oczy, chłonąc dominujące w pokoju barwy: pomarańczowy płomień na kominku, wpadającą w błękit biel wazy z dynastii Ming, subtelną zieleń lodyżki szklanej orchidei Fabergé, głęboki brąz połyskliwej mahoniowej boazerii. Ogarnął go miły spokój.

Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym wyraźniej zdawał sobie sprawę, że to siedziba Mistrza tak kojąco na niego wpływa. Pokój, w którym się znajdowali, został urządzony nie na pokaz, lecz zgodnie z jego osobistymi gustami. Dlatego nie tylko niezwykła jakość dzieł sztuki oddziaływała na zmysły, ale także ich pieczołowite rozmieszczenie. Właściciel apartamentu musiał być prawdziwym estetą.

- Może was to zainteresuje.

Głos mistrza wyrwał go z zadumy i Andrew skupił uwagę na siedzących przy kominku Adeptach.

Mistrz wziął do ręki leżące na małym stoliku pudełko, podał je Sebastienowi, a potem usiadł w fotelu, spoglądając na niego bacznie. Sebastien poczuł się nagle jak przed pierwszym egzaminem podczas studiów: lęk mieszał się z wiarą we własne umiejętności. Przez dobrą chwilę obracał pudełko w rękach. Siedząca obok na sofie Tanya uśmiechała się zachęcająco.

- Widziałem już kiedyś taką łamigłówkę - odezwał się wreszcie Sebastien. - W muzeum w Waszyngtonie. Przypuszczam, że pochodzi z Chin z końca XVII wieku. Pudełko jest wykonane z laki. Na Chiny wskazują znaki na pokrywce, a na wiek - pieczęć z czasów cesarza Kang-si. - Zawahał się. - Sądząc po jakości wykonania, może być dziełem samego mistrza Czanga, jednym z ostatnich, jakie wykonał. Czang dopiero pod koniec życia przestał malować sceny miejskie i zaczął ozdabiać pudełka z laki widoczkami z życia wsi.

W pokoju zapadła cisza. Rex Boone posłał Sebastienowi pełne podziwu spojrzenie; zgadzał się z każdym jego zdaniem. Cwany drań. A poza tym przystojny, bystry i piekielnie ambitny. Zawsze gotów do ciętej riposty, nigdy nie zapominał języka w gębie. Rex spojrzał przelotnie na Tanyę i ich oczy na moment się spotkały. Zdawał sobie sprawę, że wciąż ją kocha. Miłość to skomplikowane uczucie, nie sposób się jej na zawsze pozbyć z serca.

Postanowił ożywić atmosferę spotkania. Wygrzebał z pamięci wszystkie informacje o łamigłówkach Czanga, wyczytane gdzieś dawno temu. Nie było tego wiele. W takim razie będzie musiał użyć podstępu; zawsze tak robił, gdy ktoś zapędził go w kozi róg. Nigdy nie

należy się przyznawać, że się czegoś nie wie. Zawsze mu się to udawało, ale tym razem nie miał złudzeń: Mistrz nie nabierze się na jego sztuczki.

- Pozwolisz? - Sięgnął po pudełeczko. Było jak mała książka. - Wygląda na to, że Sebastien ma rację. - Uśmiechnął się z przesadną życzliwością, odsłaniając śnieżnobiałe zęby. - Sądzę też, że mógłbym coś jeszcze dodać od siebie. Wspaniała chińska łąmigłówka, prawdziwa rzadkość... Czang wykonał ich bardzo niewiele.

- Przede wszystkim dla członków rodu panującego.

- To prawda - przytaknął Rex. Ivan na pewno się nie mylił, a poza tym niebezpiecznie byłoby sprzeciwić się człowiekowi, który posiada zapewne największą wiedzę na ten temat. - Czang konstruował szkatułki na biżuterię w taki sposób, że dawały się otworzyć dopiero po ułożeniu umieszczonej na wieczku łąmigłówki. Ścianki pudełka są zrobione z kilku warstw różnego drewna; w każdej z nich znajdują się nacięcia. Chcąc otworzyć pudełko, należy wsunąć w nie małe metalowe bolce, które poruszają umieszczone w środku dźwigienki mechanizmu zamka. Informacja o tym, ilu bolców użyć i w które wycięcia je włożyć, jest ukryta w rysunku na pokrywie. Nie sposób złamać szyfru metodą prób i błędów, gdyż liczba kombinacji jest ogromna. Można, oczywiście, rozbić szkatułkę, co robili mniej inteligentni ludzie, chcąc dostać się do ukrytych w środku skarbów.

- Wydaje mi się, że Czang umieszczał w pudełkach klejnoty odpowiadające kolejnym urodzinom cesarza - dodała Tanya. - Perłę w pierwszym roku, nefryt w drugim i tak dalej. - Uśmiechnęła się ciepło do Reksa.

- Nie wiedziałem o tym.

- Tanya ma rację - powiedział Sebastien, ciesząc się z potknięcia Reksa. - Mogę je jeszcze obejrzeć?

- Momencik. - Rex powstrzymał go gestem i w milczeniu skoncentrował się na obrazku zdobiącym wieczko. Sięgnął pamięcią wstecz. Kiedyś, dawno temu, próbował analizować łąmigłówki Czanga. Był ciekaw, czy można je rozszyfrować w oparciu o współczesną matematykę. Jednak ani wtedy, ani teraz nie udało mu się. Nie zdziwił się zbytnio: miał przed sobą dzieło arcy mistrza u szczytu potęgi twórczej. Spojrzał na siwowłosą postać na fotelu, oczekując wskazówek, ale zadumany Mistrz wpatrywał się w płomienie. Nikt nie był skłonny mu pomóc.

Wreszcie z ponurym wyrazem twarzy oddał pudełko Ivanowi. Bolesnie odczuł gorycz porażki. Obiecał sobie, że jakoś to naprawi.

Ivan wziął pudełko i obrócił je w delikatnych dłoniach. Pogładził błyszczącą powierzchnię, powiódł czubkiem paznokcia po nacięciach. Podniósł łąmigłówkę do oczu.



- To na pewno dzieło Czanga - stwierdził. - Nikt inny nie stworzyłby czegoś równie doskonałego. Przyznam, że nie widziałem dotąd tak wspaniałego okazu.

- No dobrze, ale jak znaleźć klucz do zagadki? - zapytał Sebastien. Dlaczego Mistrz każe im zajmować się tą szkatułką? Po co się z nimi tak bawi?

- To trudne zadanie - odrzekł Ivan. - Rozwiązanie jest ukryte w rysunku na wieczku. Przedstawia on chiński krajobraz: rzeka, wijąca się z początku między górami, opada w dół wodospadem. Gór jest sześć, rzeka opływa cztery z nich, a potem przeciska się między dwiema ostatnimi i kończy się kaskadą. Na zboczach gór rosną drzewka. Niektóre z nich mają po trzy gałęzie, inne po pięć. W rogach umieszczono chińskie znaki pisma. To alfabet hanzi, a znaki symbolizują śmierć, sukces, życie i wieczność. Symbolika matematyczna tego obrazu jest bardzo złożona.

- Odstępy między górami mogą oznaczać głębokość - zauważył Rex. - Drzewka wysokość, a ich gałęzie - grubość.

- Głębokość? - zdziwił się Sebastien. - Przecież góry zawsze symbolizują wysokość.

- Owszem - przytaknęła Tanya. - Ale między górami znajdują się głębokie doliny. Trzeba z takiego obrazka wyczytać coś więcej niż oczywiste znaczenie faktów.

Rex wyszczerzył zęby w uśmiechu: bystra dziewczyna z tej Tanyi. Właśnie dlatego ją kochał. Umiała myśleć syntetycznie.

- To prawda - poparł ją Ivan. - W tym wypadku chodzi o określenie odległości na ściankach pudełka. Chińskie ideogramy mają też znaczenie numeryczne: sukces odpowiada szóstce, śmierć czwórce, życie trójce, a wieczność dziewiątce. Łamigłówa Czanga to nie tylko zadanie matematyczne, lecz cała filozofia.

Tanya wzięła pudełko do ręki. Ivan miał opinię dziwaka i samotnika, chociaż nikt nie wątpił w geniusz jego analitycznego umysłu. Dlaczego zawsze traktował ją z taką rezerwą? Nie lubił informatyków? A może czuł awersję do kobiet?

- Najtrudniej jest zawsze określić kolejność - powiedziała. - Spójrzcie na drugie drzewko z trzema gałązkami: znajduje się na stoku między pierwszymi dwiema górami. Czy to znaczy, że pierwszy bolec ma się znaleźć w pozycji „dwa do góry, trzy w bok i jeden w dół”? A jeśli nawet tak, to z której strony? Nad drzewem znajduje się ideogram „życie”, czyli „trzy”. Czy ta trójka może oznaczać trzecią ściankę pudełka, licząc od góry zgodnie z kierunkiem ruchu wskazówek zegara? - Tanya zamyśliła się. - A ty co o tym sądzisz, Andrew? - spytała wreszcie, oddając mu pudełko.

Andrew długą chwilę bez słowa obracał je w rękach.

- Ivan zwrócił uwagę, że te ideogramy mają podwójne znaczenie: filozoficzne i

matematyczne - rzekł w końcu. - Zgadzam się z nim. Wybór znaków często był podyktowany poglądami filozoficznymi twórcy łamigłówki. Prawdopodobnie według Czanga w kosmicznym porządku rzeczy życie zajmuje najważniejsze miejsce. Dalej idzie sukces, czyli spełnienie człowieka w świecie doczesnym, następnie śmierć, przynosząca koniec wszystkiego, co ziemskie, i na końcu wieczność. Możliwe zatem, że te symbole oznaczają cztery boczne ścianki pudełka: życie na górze, jako pierwsze, a reszta po kolei, według ruchu wskazówek zegara. Problem polega na tym, że nie wiemy, czy artysta wierzył w taki właśnie ład we wszechświecie. Może uważał, że wszystko rodzi się z wieczności - także życie i śmierć? A skoro tak, to cykl zaczynałby się od wieczności, by przez życie i sukces kończyć się śmiercią, która znów przechodzi w wieczność. Każdy byt cały czas dąży do osiągnięcia wyższego poziomu istnienia. Musimy zrozumieć artystę, by zrozumieć jego dzieło.

Adepci zmagali się z zagadką chińskiego pudełka, starając się zabłysnąć przed Mistrzem swym intelektem. W końcu jednak - niechętnie, ze złością, której nie potrafili ukryć - musieli pogodzić się z porażką. Każde z nich miało wrażenie, że nie zdało ważnego egzaminu. Sebastien nachmurzył się, patrząc w sufit, inni ciągle głowili się nad malunkiem na pudełku, Rex zaś, z trudem mieszcząc się w zbyt dla niego małym foteliku, wybijał obcasami rytm o podłogę. Ulżyło mu, gdy okazało się, że inni też nie mogą rozwiązać zagadki. Zadumany Mistrz siedział bez słowa przy kominku. Andrew zerknął na niego ciekawie.

Wreszcie Ivan przerwał milczenie:

- No dobrze, Mistrzu: a więc jaki jest sekret szkatułki?

Przez chwilę Adeptom wydawało się, że nie uzyskają żadnej odpowiedzi, gdyż Mistrz siedział nieruchomo, jakby nie słysząc ani słowa. Po chwili jednak podniósł wzrok.

- Moim zdaniem zagadki mają wiele wspólnego z życiem - powiedział. - Ich tajemnica zwykle okazuje się banalnie prosta, chociaż odkrycie jej wymaga ogromnego wysiłku. W życiu też tak jest: z pozoru proste bywa naszpikowane nieprzewidzianymi trudnościami i pułapkami, które przyprawiają nas o zwątpienie i rozpacz. Dla mistrza Czanga sprawy te przedstawiały się chyba podobnie. Spędziłem wiele godzin, łamiąc sobie głowę nad tą szkatułką i rozmyślając nad życiem jej twórcy. Wciąż jednak nie znam rozwiązania.

Słuchacze nie posiadali się ze zdumienia. Skoro Mistrz nie przeniknął sekretu łamigłówki, jakim cudem oni mogliby tego dokonać?

- Każdy problem jest rozwiązywalny - ciągnął Mistrz, ważąc słowa. - Zawsze w to wierzyłem. Ludzie, którzy uważają inaczej, są po prostu ograniczeni, ślepi. Samo rozwiązanie problemu jest proste. To obserwator wnosi chaos w naturę rzeczy. Nie umie odrzucić swych pragnień i uprzedzeń, na próżno szukając odpowiedzi na nie. Człowiek, który chce znaleźć

rozwiązanie, musi najpierw zastanowić się nad sobą i przeanalizować własne myśli. Dopiero wówczas ogarnie sytuację spojrzeniem czystym i niezmaconym jak powierzchnia zwierciadła. Co wiemy o twórcy pudełka? Niewiele: życie mistrza Czanga spowija mgiełka tajemnicy. Z pewnością pochodził z ubogiej rodziny, toteż późno doceniono jego geniusz. Można odnieść wrażenie, że sam sobie szkodził, wybierając anonimowe, spokojne życie. Zasłynął wprawdzie mistrzostwem w wyrabianiu szkatulek z laki, ale dopiero pod koniec życia zaczął konstruować takie łamigłówki jak ta. Trafił z nimi w dziesiątkę i odniósł ogromny sukces wśród elity intelektualnej. Podziwiano je za piękno i zagadki, jakie skrywały. Zapanowała na nie moda, ale Czang zbudował ich bardzo niewiele. Każda następna zagadka była trudniejsza od poprzedniej. Do naszych czasów ocalało mniej niż dziesięć szkatulek: część zaginęła, część została zniszczona. Większość znajduje się w muzeach.

Mistrz przerwał na chwilę, żeby zebrać myśli.

- Po krótkim okresie sławy Czang postanowił wycofać się z aktywnego życia dworskiego. Prawdopodobnie miał dość otaczających go chciwych i chorobliwie ambitnych ludzi. Niektóre przekazy sugerują, że cierpiał na śmiertelną chorobę. Ukrył się więc w klasztorze z mocnym postanowieniem dokonania żywota w samotności. Tylko jedna osoba mogła wyciągnąć go z tej górskiej kryjówki - i tak właśnie się stało: Kang-si, Syn Niebios, cesarz Chin, najpotężniejszy z władców, był oczarowany urodą szkatulek Czanga. Kazał przeszukać cały kraj i sprowadzić starca do Pekinu. Tam też, w Zakazanym Mieście, polecił mu wykonać jeszcze jedną szkatułkę, ostatnią: najpiękniejszą, z najtrudniejszą zagadką. - Mistrz podniósł pudełko do światła. - Oto ona.

Tanya powiodła wzrokiem po twarzach zasłuchanych Adeptów: otaczali go półkolem, niczym wierni apostołowie. Czy patrzyli teraz na pudełko, czy raczej na Mistrza, szukając w jego obliczu odpowiedzi?

- Ciekawi was zapewne, jak wszedłem w posiadanie tego cudeńka? - ciągnął Mistrz. - Na łożu śmierci cesarz oddał szkatułkę jednemu z moich poprzedników w podzięcie za usługi, jakie mu wyświadczył. Tak oto, przekazywana przez stulecia, trafiła w moje ręce. Powiedziałem, że nie znam klucza, który by ją otworzył. Wydaje mi się jednak, że wiem, jak tego dokonać. Swoje przekonanie opieram na przesłankach, których słuszności nigdy nie zdołam dowieść. Przez całe życie Czang malował na pudełkach sceny z życia innych ludzi. Co zrobiłby taki człowiek, wiedząc, że szybkimi krokami zbliża się kres jego dni? Co chciałby po sobie pozostawić jako pamiątkę? Przyjrzyjcie się uważnie obrazkowi, a zwłaszcza rzece. Zaczyna się w lewym górnym rogu jako maleńka strużka; rośnie i staje się szersza, zbliżając się do pierwszej z gór. Potem na krótko tracimy ją z oczu, a kiedy się

pojawia, jest jeszcze większa. I znów znika, by wypłynąć potężną strugą spomiędzy dwóch największych gór, w samym środku rysunku. Jak to wyjaśnić? Czy Czang nie przedstawił tu historii swojego życia? Narodziny, o których niewiele wiadomo, niepewna droga, wiodąca w wiek średni, i na koniec wielka fala geniuszu i uznania. Dokąd jednak ta wielkość prowadzi? Donikąd. Wodospad zastygł w bezruchu, a u dołu nie ma nic: ani rozbryzgu wody, ani skał, ani jeziora. Nic.

- Nic - powtórzył nagle Ivan. - Ale to nie jest żadna odpowiedź. Łamigłówek musi zawierać sekret. Nie może być pozbawiona sensu.

- Moim zdaniem tajemnica pudełka wynika z naszej percepcji rzeczywistości - zauważył Mistrz. - Dla mnie przedstawia ono wewnętrzne piękno, które my, ludzie, od zawsze staramy się przekazać w naszym życiu i sztuce. Złożoność, z której bierze się prostota. Jak w życiu - obserwator jest przekonany, że ma przeniknąć tajemnicę, rozwiązać zagadkę... A może wcale jej tu nie ma? To my zakładamy, że mamy przed sobą chińską łamigłówekę. Przypuszczenie to wynika z naszej wiedzy. Nie dostrzegamy rozwiązania, ponieważ zawodzi nas percepcja. Wydaje mi się, że sekret tej szkatułki tkwi nie w jej wnętrzu, lecz w nas samych. Samo jej piękno tłumaczy jej istnienie. Pudełko nie zawiera żadnej tajemnicy.

- Jeżeli się nawet nie mylisz, Mistrzu, jeżeli to rzeczywiście nie jest łamigłóweka, nie można tego w żaden sposób sprawdzić - odezwała się Tanya. - Trzeba by zniszczyć szkatułkę, żeby się przekonać, co jest w środku.

- Niewykluczone, że tak właśnie jest - zgodził się Mistrz. - Znaczyłoby to, że Czang zadośćuczynił życzeniu cesarza, konstruując najtrudniejszą łamigłówekę ze wszystkich. Odpowiedzi należy szukać nie we wnętrzu szkatułki, lecz w nas samych.

Zegar w salonie wybił godzinę drugą. Zdziwili się, że czas tak szybko minął. Słowa Mistrza całkowicie ich pochłonęły. Byli źli na siebie, że nie trafili na tak prosty, a zarazem tak głęboki sens zagadki. Zaczęli zbierać się do odejścia, ale Mistrz nie ruszył się z miejsca. Spoważniał nagle i powiedział:

- Zdziwicie się pewnie, ale nie zaprosiłem was tu tylko po to, by porozmawiać o chińskiej łamigłówece. - Zawiesił głos. - Chciałem wam zaproponować stanowisko Mistrza Akademii.

GRA

## ROZDZIAŁ 6

*Bezpieczeństwo republiki czy królestwa nie zależy zatem od tego, jak jest rządzone za życia władcy, lecz od jego rozkazów, które pozwolą państwu przetrwać po jego śmierci.*

Niccoló Machiavelli *Rozważania*

Już dotychczasowy przebieg wieczoru był niezwykły, a jego dalszy ciąg zapowiadał się jeszcze bardziej niesamowicie. Ivan ze zdumieniem słuchał słów Mistrza. Całkiem zapomniał o chińskiej łamigłówce. Ofiarowano im stanowisko Mistrza, pozycję nieporównywalną z niczym, zapewniającą wielką władzę. Najwspanialszą nagrodę. Wciąż nie mógł w to uwierzyć. Na twarzach innych widział niepewność, którą sam odczuwał. Mistrz złożył dłonie. W migotliwym blasku ognia przypominał modlącego się mnicha.

- Na bankiecie powiedziałem, że brzemień Mistrza jest ogromne. Mistrz ma zobowiązania nie tylko wobec Akademii, ale także - a raczej przede wszystkim - wobec świata. Musi służyć radą, nie nadużywając swoich wpływów. Musi też zdawać sobie sprawę z oddziaływania jego rad na tych, którym ich udziela. Władza w połączeniu z tak surowymi ograniczeniami z biegiem lat staje się ciężarem nie do zniesienia. Nadchodzi taki czas, w którym Mistrz zrzeka się swej godności.

Mistrz zamilkł. Trzasnęły polana na kominku. Podekscytowany Rex Boone pochylił się wyczekująco w fotelu.

- Zamierzasz ustąpić ze stanowiska, Mistrzu?

Wszyscy spojrzeli na Boone'a. Ivan lekko się uśmiechnął. Rex był świetny w tym, co robił, ale za mało miał cierpliwości. Tanya zerknęła na Sebastiena i dyskretnie ścisnęła jego dłoń, on jednak nie odrywał wzroku od Mistrza.

- Byłbym wam wdzięczny, gdybyście pozwolili mi dokończyć - odparł Mistrz. - Uważa się powszechnie, że Mistrz sam wyznacza swojego następcę. Tak to wygląda oficjalnie. W rzeczywistości następcę wybiera się w drodze konkursu.

Adepci słuchali go z zapartym tchem.

- Najstarsi z Adeptów, Arbitrzy, wybierają uczestników rywalizacji i ustalają jej reguły. Mistrz nie ma wpływu na ich decyzję. Konkurs ma sprawdzić siłę charakteru w sytuacjach ekstremalnych. Mistrz musi doskonale orientować się w funkcjonowaniu świata i bezbłędnie korzystać z danej mu władzy. Gdyby nie te zasady, Akademia dawno ległaby w gruzach, a wraz z nią przestałyby istnieć wartości, które reprezentuje. Z drugiej strony, jeżeli pozwoli się na zbyt wyraźną ingerencję świata zewnętrznego w działania Akademii, jej mądrość zostanie skażona, a ona sama upadnie. - Mistrz westchnął ciężko. - Zachowanie równowagi przypomina spacer po linie i wymaga największej subtelności i zręczności, na jaką stać umysł ludzki. Z rozkazu Arbitrów zostaliście wyznaczeni do udziału w konkursie, macie jednak prawo w tym momencie zrezygnować z niego. Czy ktoś z was chce się wycofać?

Zapadła cisza. Skupieni przy kominku Adepti wazyli w duchu swoje ambicje i pragnienia. Godność Mistrza. Zaufanie przywódców wszystkich krajów świata, poznanie najbardziej fascynujących tajemnic rodzaju ludzkiego. Władza. Wszystko by za nią dali.

Pierwszy odezwał się Ivan:

- Na czym polega konkurs?

- Nikt z was nie dowie się tego, dopóki nie zgodzi się wziąć w nim udziału.

- Rozumiem. - Ivan uśmiechnął się zagadkowo i zerknął na Andrew, w którego oczach dostrzegł cień zrozumienia.

Ktoś zakaszał. Wszyscy czekali, co powie Rex. On jednak, zwykle najgłośniejszy w towarzystwie, siedział zamyślony, bez słowa, jak człowiek, do którego powoli dociera znaczenie złej nowiny. Wpatrywał się w szklanekę brandy, mieszając z wolna trunk, aż wreszcie pociągnął solidny łyk.

- Ile mamy czasu na podjęcie decyzji? - zapytał Sebastien.

- Do sylwestra. Wtedy znów się tu spotkamy.

Rozmowa dobiegła końca. Ivan wstał i podszedł do niskiego stolika, żeby z bliska obejrzeć leżącą na nim asyryjską tabliczkę z pismem klinowym. Mistrz siedział bez ruchu. Adepti nie byli w stanie przeniknąć jego myśli.

- Nie mogę się na to zgodzić, Mistrzu.

Słowa te zabrzmiały w ciszy jak wystrzał z pistoletu. Rex pokręcił ze złością głową, zacisnął mocno szczękę i wstał.

- Czy to znaczy, że mamy się zgodzić na udział w konkursie, zanim dowiemy się, o co w nim chodzi?

- Taka jest procedura.

- To szaleństwo.

- Kto wie o konkursie? - zainteresował się Andrew.

- Tylko my i Arbitrzy.

Sebastien gwizdnął cicho.

Rex przeszedł przez pokój i stanął przy wysokim oknie, skąd widać było gwiazdy. Stał przygarbiony, jakby napinając mięśnie, by odeprzeć atak, aż wreszcie odwrócił się do zebranych.

- To nie do przyjęcia - stwierdził. - Prawdziwy obłąd. Czy nie mam racji?

- Sam nie wiem - odparł pojednawczym tonem Ivan. - To chyba niezły pomysł: przeżyją najsilniejsi, jak w teorii Darwina... - Znów spojrzał na asyryjską tabliczkę: Mistrz miał w domu ciekawsze eksponaty niż British Museum. Jedna myśl nie dawała mu spokoju. Co człowiek byłby gotów zrobić, żeby zająć stanowisko Mistrza?

- Ja w każdym razie nie zamierzam pakować się w żaden konkurs, dopóki czegoś się o nim nie dowiem - stwierdził stanowczo Rex. - Co to, to nie. A wy? Co wy na to? Andrew?

Andrew niezobowiązująco wzruszył ramionami. Wciąż czuł zmęczenie po długiej podróży z Konga i potrzebował czasu do namysłu. Wieczór obfitował w wydarzenia niezwyklej wagi. Ważne decyzje zawsze wiązały się z wkroczeniem na drogę dobra lub zła. Ta szczególnie. Na czym mógł polegać konkurs?

- Tanya?

- Naprawdę nie wiem, Rex.

Czemu on się tak zachowuje? Czymś się martwi... A może tylko gra? Tanya starała się go rozszyfrować. Jeżeli grał, to po co? Kogo chce nabrać? Mistrza? Czy ich, Adeptów? Przez chwilę patrzył na nią natarczywie, zanim spuścił wzrok. Czy chciał jej w ten sposób coś powiedzieć?

- Sebastienie?

- Niepotrzebnie tak się niepokoisz, Rex - powiedział Sebastien lekko karcącym głosem.

Rex, którego sylwetka rysowała się złowieszczym cieniem na tle okna, posłał mu wściekle spojrzenie.

- Dopóki nie poznam reguł konkursu, odmawiam przyjęcia nominacji - oznajmił.

Mistrz popatrzył na niego życzliwie.

- Macie czas do sylwestra - powtórzył. - A teraz życzę wam dobrej nocy.

Symes sprowadził ich po marmurowych schodach do wyjścia. Mistrz patrzył przez okno, jak podążają za mdłym światłem niesionej przez lokaja latarni. Wiedział, że ich głowy



zaprząta ta sama myśl.

Mistrz może być tylko jeden.

Goście Mistrza opuścili trzeci dziedziniec Akademii i znów znaleźli się nad stawem. Miejsce wyglądało znajomo, ale od ostatniej ich wizyty wszystko się zmieniło i czuli się tu zagubieni. To Mistrz, gospodarz domu przy trzecim dziedzińcu, był odpowiedzialny za tę nieodwracalną zmianę. Zupełnie jakby pozwolił im przez chwilę ujrzeć świat większy i nieskończenie bardziej tajemniczy od tego, w którym żyli. Ich maleńki wszechświat rozpadł się na kawałki. W najmniej oczekiwanym momencie zaproponowano im spełnienie wszystkich marzeń.

Symes pożegnał się z nimi. Nie miał pojęcia o tym, co wydarzyło się podczas kolacji, ale zwrócił uwagę, że goście są dziwnie milczący i przygaszeni. Zaczęli się rozchodzić.

Tanya udała się wraz z Sebastienem do jego pokoju przy pierwszym dziedzińcu. Nie mogła zebrać myśli. Czuła się, jakby czarodziej ofiarował jej dar tak wspaniały, że poruszył najgłębsze struny jej duszy. Mogłaby znaleźć się w centrum wszystkich wydarzeń na świecie. Jako Mistrzynie miałyby dostęp do wszystkich prezydentów i premierów. Decydowałyby o losach miliardów mieszkańców planety - dyskretnie, jak zza parawanu. W imię wspólnego dobra, rzecz jasna. Mogłaby w ten sposób spełnić swoje marzenia. Tylko jakim kosztem?

Wiedziała, że Sebastien bez wahania przyjmie nominację. Nie miała złudzeń: wśród ludzi, których znała, był najambitniejszym z ambitnych. Musiał wygrywać. Potrzeba zwycięzania stanowiła nieodłączny składnik jego natury. A ona? Gdyby sama miała wybierać między tym wielkim darem i miłością do Sebastiena, na co by się zdecydowała? Czy chciałaby się z nim zmierzyć? Odpowiedzi była prawie pewna, ale nawet przed sobą nie chciała się do tego przyznać.

Nagle Sebastien zatrzymał się.

- Nie będziesz miała nic przeciwko temu, Tanyu, że dziś położymy się spać osobno? - zapytał. - Muszę trochę pobyć sam. Przemyśleć wszystko, co się dziś wydarzyło.

- W porządku. - Tanya była zawiedziona, ale ukryła rozczarowanie. Rozumiała go. Pocałowali się. - Kocham cię, Sebastienie - powiedziała. Naprawdę go kochała.

- Ja też cię kocham.

Odprowadziła go wzrokiem, aż zniknął w ciemnościach. Czy nie odpowiedział nazbyt machinalnie? Czy naprawdę ją kochał? Czy zrezygnowałby dla niej ze stanowiska Mistrza? Stała zamyślona na środku dziedzińca.

- Kolorowych snów.

Głos rozległ się tak blisko, że aż podskoczyła. Odruchowo przygładziła włosy.

- A, Rex... Dobranoc. Śpij dobrze.

Nachylił się nad nią, wdychając zapach perfum, który przypominał mu namiętne dni. Pocałowali się i po chwili Tanya patrzyła, jak Rex odchodzi w mrok. Była szczęśliwa i zaniepokojona zarazem. Szczęśliwa, bo jej najwspanialszy sen stawał się rzeczywistością. Zaniepokoiły ją jednak słowa, które Rex wyszeptał jej do ucha:

- Uważaj, Tanyu. Pozory mogą mylić.

Rex wrócił do swoich apartamentów bardzo z siebie zadowolony. Parsknął śmiechem. Konkurs przypominał mu zawody wioślarskie, kiedy każdy samotnie walczy o zwycięstwo. A on już uzyskał nad innymi przewagę. Wciąż jednak nie wszystko rozumiał. Spojrzał na zegarek: dochodziła trzecia rano, powinien się przespać. Jutro zadzwoni do Stanów. Odnalezienie materiałów potrwa pewnie kilka dni, ale potrzebował tych informacji przed podjęciem ostatecznej decyzji. Nie wolno jednak dzwonić z wyspy - Akademia mogła kontrolować wszystkie rozmowy telefoniczne. Zaparzył sobie kawy i usiadł przed ogromnym monitorem komputera. Czekał, która rybka złapie przynętę.

Przyszła mu na myśl Tanya. Martwił się o nią, ale czy słusznie? Umiała przecież zadbać o siebie: śliczna, utalentowana... Zawsze marzył o tym, że zostanie jego partnerką i żoną, na razie jednak wyglądało na to, że przegrywa z Sebastienem. Dla Reksa, który nie znosił porażek, była to okropna myśl. A w dodatku to wszystko jego wina!

Kiedy poznali się na sympozjum i zaczęli ze sobą sypiać, za bardzo naciskał Tanyę. Ostatniego wieczoru zjedli razem kolację. Przez te parę dni bardzo się do siebie zbliżyli i Tanya opowiedziała mu dzieje swojego dzieciństwa. Wyjaśniła, dlaczego tak ceni sobie niezależność. Zakochany po uszy Rex słuchał jak zauroczony - a potem wszystko zepsuł: zaczął jak wariat bełkotać bez ładu i składu o wspólnym życiu, o małżeństwie, o dzieciach... Zaproponował stały związek w chwili, gdy Tanya w oczywisty sposób pragnęła jedynie przyjaźni. Popęłił fatalny błąd, jak w równaniu, którego dwie strony wcale się nie równoważą. Następnego ranka ostatni raz się kochali, a potem zadała mu śmiertelny cios - delikatny, lecz okrutny.

Prawdę mówiąc, Rex nigdy się po nim nie otrząsnął, nie doszedł do siebie. Wciąż nie do końca rozumiał bezsens kochania kogoś, kto nie mógł odpowiedzieć na jego uczucie. Kiedy został Adeptem, Tanya już związała się z Sebastienem. Od tej pory ich rzadkie spotkania na konferencjach odbywały się w przyjaznej atmosferze, lecz dystans pozostał. W głębi duszy Rex nie miał jednak wątpliwości, że Tanya ciepło go wspomina i pewnego dnia

do niego wróci. Wystarczy, że Sebastien porzuci ją dla młodszej kobiety, albo ona sama się nim znudzi. Poza tym przecież konkurs wszystko zmieni. Tanya stanie naprzeciw Sebastiena, a w tej grze wszystkie chwytaki były dozwolone. Przyjaźń i miłość zawsze przegrywają z władzą - taki już jest ten świat. Poza tym ona przecież na dobrą sprawę nie znała Sebastiena.

- Rex Boone.

Ekran zamrugał: przyszła wiadomość e-mailowa. Pierwsza rybka chwyciła przynętę. Nie była nią Tanya.

Powinniśmy się jutro spotkać i coś omówić. Obaj możemy na tym skorzystać. Szkocja, miasteczko Erris, dziewiętnasta trzydzieści, hotel Crossed Hearts. Ivan.

Wiadomość zniknęła. Rex odsunął krzesło od biurka i zamyślił się. Ivan nie chciał się z nim spotkać na terenie Akademii, wołał wrócić do Szkocji. Mądre posunięcie. Może też miał wrażenie, że coś tu nie gra? Nie należy jednak pochopnie osądzać konkursu. Wszystko może się okazać znacznie prostsze, niż sądził.

Zamknął oczy i natychmiast zasnął. We śnie wiosłował do Cairn Druar i z powrotem. Inni też płynęli, lecz zostawił ich daleko w tyle.

O szóstej rano gęsta mgła, unosząca się nad górami, zaczęła z wolna rozplýwać się w porannym brzasku. Andrew stał na mostku promu, który ruszył właśnie w pierwszy tego dnia rejs z Tirah do Szkocji. Miał nadzieję, że uda mu się złapać helikopter, który pokonywał tę drogę w czterdzieści minut, ale z powodu mgły loty zostały wstrzymane. Często się to zdarzało. Andrew wzdrygnął się z zimna.

Ledwie kilka godzin wcześniej przyleciał z Konga na kolację u Mistrza. Bez względu na to, co się wydarzy, wkrótce będzie musiał wracać do Afryki i dokończyć zaczęte sprawy. Tymczasem parę godzin w towarzystwie Mistrza zmieniło tak wiele... Czy weźmie udział w konkursie?

Powiódł wzrokiem wzdłuż kilwateru i dostrzegł majaczący w oddali jedyny port Tirah. Świerkowy las porastał góry niemal do samych wierzchołków. W sercu wyspy, ukryta przed ludzkim wzrokiem, znajdowała się Akademia, tajemnicza instytucja, której wszystkich sekretów - tego był pewien - wcale im nie ujawniono. Sama przypominała chińską łamigłówkę.

Czy powinien stanąć do gry?

Od pięciu lat był Adeptem. Kiedy po wojsku zaczął pracować w ONZ, udał się z misją

pokoju na Tajwan, któremu groziła właśnie chińska inwazja. Do desantu nie doszło, a on poznał Amy, śliczną miejscową spikerkę telewizyjną. Szybko się pobrali.

Krótko po ślubie zwrócili się do niego Arbitrzy, proponując mu stanowisko Adepta Akademii. Sprawę jak zwykle trzymano w sekrecie - pierwsze spotkanie z Andrew odbyło się w tokijskim biurze Dalekowschodniego Sojuszu Wojskowego, na czele którego stał jeden z Arbitrów. Andrew nie posiadał się ze zdumienia - i zachwytu - że spotyka go taki zaszczyt. Bez wahania przyjął propozycję i nigdy nie żałował tej decyzji. Wydawało mu się, że takie właśnie jest jego przeznaczenie: pracować dla Akademii, niosąc ludziom pokój i ulgę w cierpieniu.

Rzeczywiście, decyzja okazała się słuszna, a po tragicznej śmierci Amy - zaledwie rok później zginęła w wypadku samochodowym - tylko przynależność do Akademii dostarczała mu energii do działania. Ostatnio coraz więcej wysiłku kosztowało go pogodzenie trudnej pracy wojskowego konsultanta ONZ z licznymi zleceniami Akademii. Prowadził śledztwo w sprawie współpracy birmańskiego rządu z najemnikami. Sporządził raport z wojny domowej w Kaszmirze. Nadzorował negocjacje w kwestii zawieszenia broni w Burundi. Dostarczył informacji na temat zamachu na prezydenta Laurenta w Mali... Często współpracował z Adeptami, którzy również specjalizowali się w wojskowości. Relacjonując dla Akademii przebieg tajnej wojny w Jemenie, miał za partnera Ivana, a zbierając informacje o katastrofie atomowej w Kazachstanie, spotkał się z Rekssem.

Rex zrobił na nim ogromne wrażenie: błyskawicznie ustalił, że eksplozja w elektrowni nastąpiła wskutek zaniedbań ze strony personelu. Dysponując dowodami na poparcie tej tezy, Mistrz zażegnał groźbę konfliktu zbrojnego z niesłusznie oskarżaną o sabotaż Rosją.

Z pozostałych uczestników konkursu Andrew najslabiej znał Sebastiena. Nigdy nie pracowali wspólnie, co zresztą nie powinno dziwić. Akademia prowadziła bardzo zróżnicowaną działalność, a całe jej funkcjonowanie było utajnione i ściśle kontrolowane przez Arbitrów lub samego Mistrza. Musieli jakoś zapobiegać przeciekom. Rzadko dochodziło do sytuacji, w której więcej niż dwóch Adeptów łączyło siły dla wykonania zadania.

Niewiele też wiedział o Tanyi: jego doświadczenie w kwestiach militarnych i jej wąska specjalizacja komputerowa stanowiły całkiem różne dziedziny i nie mieli okazji ze sobą współpracować. Rozmawiał z nią kilkakrotnie przy okazji dorocznych bankietów. Była miłym kompanem i z całej piątki kandydatów na Mistrza chyba najlepiej znała się na nowoczesnej technice. Andrew przypuszczał, że miała swój udział w programowaniu komputerów Akademii i świetnie znała zasady jej działania. Żałował, że nie będą mogli

współpracować, ale nie miał wątpliwości, że Tanya sprzymierzy się raczej z Sebastienem. Utworzą silny duet, a jednak tylko jedno z nich zostanie Mistrzem. Wątpił, żeby ich związek przetrwał tę próbę.

Czy sam powinien wystartować?

Stanowisko Mistrza stanowiło ukoronowanie życiowych dążeń człowieka. Ale po drodze z pewnością czyhały niebezpieczeństwa - nie był to zwykły konkurs, tak jak stanowisko szefa Akademii nie było zwykłą posadą. Mistrz spoglądał z dystansu na całą ludzkość i miał na nią taki wpływ, jakiego inni mogli mu tylko pozazdrościć. Z pewnością dla takiej nagrody ludzie byliby zdolni zapomnieć o zasadach moralnych. Andrew podejrzewał też, że najgroźniejszym przeciwnikiem okaże się nie mężczyzna, lecz kobieta. Wrócił myślami do Tanyi.

Czy powinien wziąć udział w grze? Tak czy nie? Jego wewnętrzny głos brzmiał coraz natarczywiej, zagłuszając rozsądek.

Doszedł do wniosku, że pozostanie w Szkocji do sylwestra i dopiero potem wróci do Afryki. Dzięki temu będzie miał szansę przyjąć nominację - gdyby się na to zdecydował. Zostawił Symesowi wiadomość dla Mistrza, gdzie należy go szukać w razie potrzeby.

A gdyby postanowił wziąć udział w konkursie, czy na tym etapie może zrobić coś, co pomogłoby mu później osiągnąć sukces?

Tirah wkrótce zupełnie zniknęła mu z oczu.

Po kolacji z Mistrzem Ivan Radič wrócił do swoich pokojów. Zdjął marynarkę, starannie powiesił ją w szafie i wszedł do biblioteki. Przez chwilę stał w progu, z przyjemnością wodząc wzrokiem po grzbietach niezliczonych książek. Podziwiał wielkie globusy, ryciny starych miast na ścianach, greckie i rzymskie posążki, zdobiące półkę nad kominkiem, małe stoliki. Przeszedł przez pokój i rozpiął kołnierzyk koszuli. Wyjął spinki z mankietów i odłożył je na biurko. Rozsunął grube, aksamitne kotary i usiadł przy oknie, patrząc w gwiazdy. Nie bacząc na późną porę, podziwiał wszechświat.

Miał wziąć udział w konkursie na geniusza, w konkursie, którego stawką była godność Mistrza. To tak, jakby zagrać partię szachów, w której rolę figur pełnią żywi ludzie. Szachownicą jest Ziemia, a zwycięzca może być tylko jeden. Mistrz oferował pięciu kandydatom ogromną władzę. Każdy, kto chce ją osiągnąć, musi zrozumieć jej naturę i umieć ją okiełznać.

Pomyślał o innych uczestnikach rywalizacji. Zdawał sobie sprawę, że trafili mu się godni przeciwnicy - zwłaszcza Rex, który z pewnością włączy się do gry. Mimo

przedstawienia, które dał na koniec kolacji. Był też pewien, że każde z nich ma swoją piętę achillesową, słaby punkt, który można wykorzystać - wadę konstrukcji psychicznej albo jakieś skrzętnie skrywane wspomnienie. Bez nich nie byłiby ludźmi. Nie będzie łatwo dowiedzieć się czegoś o ich przeszłości, gdyż Akademia pomagała Adeptom ukryć ich związki z nią. Ich pliki osobiste w tajemniczy sposób „ginęły” i „znikały” z publicznie dostępnych komputerów, tak że potencjalni wrogowie niewiele mogli się o nich dowiedzieć. Potrzeba by prawdziwego eksperta, żeby zdobył jakieś fakty i posklejał je w sensowną całość. Tanya na pewno miała taki zamiar. Ciekawe, co znajdzie na temat Ivana? Bo pozory mogły mylić.

On sam znał oczywiście na pamięć podstawowe informacje o swoich kolegach i ich oficjalnych posadach. Wiedział, że Rex jest fizykiem i pracuje w międzynarodowej organizacji. Interesowały go programy wykorzystania energii jądrowej dla celów cywilnych i wojskowych. Regularnie przysyłał do Akademii sprawozdania ze swoich prac. Andrew był konsultantem ONZ do spraw wojskowych. Bystry Sebastien pełnił funkcję doradcy Banku Światowego i znał na wylot sekrety rynków i systemów finansowych. Tanya specjalizowała się w programowaniu i komputerowej analizie danych. Razem, w piątkę, stanowiliby niezwykle wszechstronny zespół. Łączyło ich jeszcze jedno: zdolność osiągania raz wyznaczonych celów, bez względu na okoliczności. Ivan był jednak przekonany, że w ostatecznym rozrachunku zdolności i umiejętności wcale nie będą najważniejsze. Kiedy chodzi o władzę, liczy się wyłącznie prawdziwa natura człowieka. Skoro tak, to nie uległo wątpliwości, że tylko on może zostać Mistrzem. I to bez względu na charakter czekającego ich sprawdzianu.

Dlaczego? Odpowiedź była prosta: Ivan doskonale znał samego siebie i swoje mocne strony. Wiedział, że nie potrafi z taką perfekcją jak Sebastien manipulować ludźmi i wykorzystywać ich do własnych celów. Zdawał sobie sprawę, że Rex jest od niego bardziej pewny siebie. Rozumiał, że nie ma takiej wiedzy wojskowej jak Andrew ani takiej miłej osobowości jak Tanya. A jednak mógł ich przelicytować niezwykle rzadkim darem.

Był wielkiej klasy intelektualistą i potrafił zdobyć się na nie skażony emocjami obiektywizm - nie wiedział, co to miłość, strach, poczucie winy czy wyrzuty sumienia. Emocje uważał za największą ludzką słabość, źródło niedoskonałości, które kaleczy ducha i czyni go ślepy na związki z kosmosem. Ivan żył sobie wygodnie w pustce, do której nie przenikały uczucia i sentymenty. Miał chłodny, analityczny umysł - obiektywny, opanowany, zimny i czysty. Doskonale rozumiał Machiavellego. Nie poddając się wpływom ludzkich słabości, miał nad rywalami niezwykłą przewagę, gdy przychodziło do zmagania o władzę - był

niezrównanym graczem.

Wyszedłszy z biblioteki, udał się do salonu i wysłał e-mail do Reksa. Rex dawał jednoznacznie do zrozumienia, że chce zacząć grę natychmiast, jeszcze tego wieczoru. Entuzjasta, jak zwykle. Entuzjasta aż do przesady.

Dobrze. Zagrajmy.

Tej samej nocy Sabine Striker drzemała niespokojnie, jedną nogę przerwuciwszy przez biodro polskiego kamerzysty. Przekonała się, że facet ma kondycję i warunki naturalne godne supermana. Czego więcej mogła sobie życzyć? Zaprosił ją na kolację zaraz po odjeździe Ivana. Jej eksmąż oczywiście się wściekł, ale kogo to obchodziło? Dziwnie się życie układa. Sabine ocknęła się, pocałowała kamerzystę w wytatuowany bark i sięgnęła dłonią do jego krocza. Szkoda tylko, że nie potrafiła zapamiętać, jak on się nazywa...

W innym świecie, w kongijskim obozie dla przesiedleńców, Obedi leżał w szpitalnym łóżku. Nie spał. Czekał na powrót tajemniczego białego człowieka z telefonem.

Ciekaw był, czy przez telefon można porozmawiać z Bogiem.

## ROZDZIAŁ 7

*Należy podkreślić, że bardzo łatwo jest zepsuć ludzi i zmienić ich naturę, nawet gdy są w głębi ducha dobrzy i mądrzy.*

Niccoló Machiavelli *Rozważania*

Tanya przeciągnęła się i ziewnęła szeroko. Był późny ranek; promienie słońca przeświecały przez żaluzje. Czy ubiegły wieczór i noc były tylko snem? Czy naprawdę jadła kolację z Mistrzem i innymi Adeptami? Czy zaproponowano im stanowisko Mistrza?

Coś opadło miękko na łóżko; to Gemma, perska kotka, przyszła się jeszcze zdrzemnąć przy jej nodze.

- Daj spokój, Gemma. Pora wstawać!

Tanya odgarnęła kołdrę i wstała z łóżka. Weszła do gabinetu i spojrzała sennym wzrokiem na bieżnię treningową. Gemma otarła się o jej nogi. Później mogliby pobiec z

Sebastienem do Mullach Col i z powrotem.

Włączyła wiadomości w telewizji i wzięła prysznic. Wycierając włosy, przeszła do kuchni. Usiadłszy nad miseczką muesli, spojrzała na ekran telewizora. Wyglądało na to, że prezydenci Stanów Zjednoczonych i Rosji znaleźli się o krok od osiągnięcia historycznego porozumienia w sprawie redukcji arsenałów atomowych na półkuli zachodniej. Najwyraźniej udało im się uniknąć katastrofy, do której przed tygodniem niewiele brakowało. Ciekawe, czy Mistrz brał udział w rozwiązaniu konfliktu. Pewnie tak.

Tanya włączyła automatyczną sekretarkę.

- Cześć, Tanyu. Postanowiłem na kilka dni wyjechać i wszystko przemyśleć. Zobaczymy się w sylwestra, o ile zdecydujesz się przyjąć nominację. Uważaj na siebie.

Ostre słowa Sebastiena przebiły niczym nóż miarowe gładzenie spikera telewizyjnego. Tanyi zaparło dech w piersi. Wyłączyła sekretarkę i odstawiła miseczkę. W głowie zadźwięczał jej dzwonek alarmowy. Sięgnęła po telefon i połączyła się z portiernią. Odebrał Symes, który potwierdził, że Andrew, Sebastien, Ivan i Rex wcześniej rano opuścili Akademię. Wyjechali o różnych porach. Ivan i Sebastien odczekali, aż mgła się podniesie i zaczną latać śmigłowce.

- Dranie - mruknęła, odkładając słuchawkę. Wyjechali bez niej. Dlaczego? Czy ich decyzja miała coś wspólnego z konkursem? Niech ich szlag! Sebastiena też! I Rex, i Sebastien kazali jej na siebie uważać. Czyżby wiedzieli coś, z czego ona nie zdawała sobie sprawy?

Tanya spokojnie skończyła śniadanie. Musiała się dowiedzieć, dokąd się udali, a to nie będzie łatwe. Na szczęście знаła się tak dobrze na informatyce, że mogła bez trudu uzyskać dostęp do większości komputerów na świecie. W szczególności chodziło jej teraz o komputer Reksa. Kod do komputera Sebastiena już znała. Ludzie, wyjeżdżając, często zostawiają wiadomości dla innych. Oni też musieli to zrobić. Tylko czemu zniknęli tak szybko? Czy gra zapowiada się na bardziej niebezpieczną, niż sądziła?

- Zostań tu, maleńka. - Tanya pogłaskała Gemmę. Na kotach można było polegać bardziej niż na mężczyznach. Zawsze siedziały tam, gdzie się im nalało mleka.

Podchodząc do drzwi, Tanya zdała sobie sprawę, że już podświadomie podjęła decyzję: weźmie udział w konkursie.

I niech się dzieje, co chce.

Rejs z Tirah do Szkocji trwał zwykle około dwóch godzin, wszystko zależało od stanu morza. O tej porze roku morze zawsze było wzburzone, co przedłużało podróż o pół godziny,



ale Rex nie miał nic przeciwko temu. Chciał spokojnie pomyśleć, zanim spotka się z Ivanem, który, jak zwykle, poleciał helikopterem. Poza tym niespokojne kołysanie promu, prującego wzburzony Atlantyk, dawało mu niemal namacalne poczucie, że działa, porusza się naprzód.

- Miło mi będzie znów pana widzieć, panie Boone. - Strażnik skinął mu na pożegnanie głową, gdy schodził po trapie na ląd.

Stanowisko strażnika Tirah było dziedziczne. Akademia musiała wiedzieć, kto wsiadł na prom i kto zszedł z jego pokładu. W tym akurat wypadku meldunek strażnika nie miał wielkiego znaczenia - wystarczyłoby, żeby Mistrz zapytał Symesa, czy Rex opuścił wyspę. Znacznie trudniej byłoby jednak ustalić, dokąd się udał.

Dwie godziny później dojechał wynajętym samochodem do Erris, małej rybackiej miejsciny na zachodnim wybrzeżu Szkocji. Znalazł hotelik pod miastem, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Dotarcie na miejsce zajęło mu więcej czasu, niż przewidywał, gdyż pogoda bardzo się w nocy popsowała i wiele mniejszych dróg zawiązał śnieg.

Przyszło mu do głowy, że Ivan mógł nie zdążyć do Erris na czas, chociaż pędził pewnie na złamanie karku. Bo Ivan bez wątpienia miał już gotowy plan, w którym znalazł również miejsce dla niego. Mogła to być ciekawa propozycja. Co nie znaczy, że ktoś inny nie przedstawi mu jeszcze bardziej interesującej.

Rex spojrział na zegar kominkowy i zadzwonił do Stanów Zjednoczonych. Rozmowa trwała krótko. Później zamówił do pokoju lunch, zjadł go szybko i wziął się do pisania listu. Wiadomość, którą chciał przekazać, była dość złożona, więc starannie dobierał słowa. Ryzykował, pisząc to. Niemal zignorował wewnętrzny głos, przypominający mu, żeby nikomu nie ufał. Patrzył na rozległy ocean, a przez głowę przelatowały mu niezliczone pytania. Dlaczego Mistrz zaproponował im swoje stanowisko? Twierdził, że brzemię sprawowania urzędu coraz bardziej mu ciąży w miarę upływu lat i że nadszedł czas, by przekazać je komuś młodszemu. Ale czy to cała prawda? Może coś się stało? Może spowodował to skandal wokół osoby prezydenta Stanów Zjednoczonych? A może coś jeszcze innego? Może Mistrz został zmuszony do ustąpienia? Jeśli tak, to czy naprawdę bez oporu odda władzę?

Układając list, Rex zdał sobie sprawę, że na razie będzie musiał zawiesić współpracę ze Światowym Forum Badań Jądrowych. Żaden problem - nieraz to czynił, wypełniając zadania zlecone przez Akademię.

Zostawił nie dokończony list i poszedł na umówione spotkanie z Ivanem. Przy drzwiach zerknął w lustro: pomyślał, że całkiem nieźle wygląda, i poprawił kołnierzyk koszuli. Wiedział doskonale, że kondycji i woli walki na pewno wystarczy mu do końca. Miał

duże szanse na zwycięstwo. Poza tym w każdych zawodach dobrze było od razu wysforować się do przodu - scena, jaką odegrał na kolacji, powinna dać do myślenia innym.

Kiedy zamykał za sobą drzwi, rozmyślał już o tym, co zrobi, gdy zostanie Mistrzem.

Postanowił przejść się piechotą, żeby trochę się przewietrzyć. Założył grubą kurtkę z kapturem i wyszedł z hoteliku, udając się do odległego o kilka kilometrów Erris. Zawierucha ucichła nieco. Brnął przez zmrożony śnieg, głęboko wdychając lodowate powietrze. Żałował, że nie zdążył tego dnia popływać po jeziorze. Cieszył się jednak, że podjęte po południu działania wkrótce przyniosą mu spodziewane owoce.

Czy aby na pewno? Byłby przerażony, gdyby dowiedział się, że dwadzieścia minut po tym, jak wyszedł z pokoju, zawitał tam nieproszony gość. Otworzył wytrychem zamek, wszedł do środka i stanął bez ruchu, przyglądając się bacznie wnętrzu. W końcu podszedł do biurka i wziął do ręki leżący na nim, częściowo przysłonięty notatnikiem list. Przeczytał go dokładnie, westchnął i schował list do kieszeni. Ten list nie mógł zostać wysłany.

Był stanowczo zbyt niebezpieczny.

- Ufasz Mistrzowi?

Siedzieli w kącie restauracji, przy kominku. Goście hotelu kręcili się wszędzie, jeszcze podekscytowani niedawnymi świętami. Potężnie zbudowany właściciel rządził niepodzielnie za barem. Grupa młodych śpiewaczek, chichocząc nerwowo, próbowała chyba wystraszyć gości rozstrojonymi głosikami.

Rex wybuchnął śmiechem.

- Co do jednego miałem rację, Iwanie: domyślałem się, że będziesz chciał porozmawiać o konkursie. Inaczej chyba zlekceważyłbym twoje zaproszenie.

Ivan obrzucił go baczny spojrzeniem: piegowata cera, duże oczy, płaski nos - ta twarz nie zdradzała niczego, było w niej tyle uczuć, co w betonowych blokach.

- Przyznasz jednak, że zaciekawilo cię to na tyle, że przyszedłeś - zauważył.

- Niewykluczone - zgodził się Rex. - Najpierw jednak chciałbym wiedzieć, kto płaci za kolację.

- Ja - odparł bez entuzjazmu Ivan. Zanosilo się na to, że drogo będzie go kosztować ta pogawędka.

- To lubię! - zawołał Rex.

Nie dopuszczając Ivana do głosu, przestudiował menu. Chwilę zastanawiał się, a potem skinął na kelnera i zamówił foie gras, solidny stek i butelkę Château Latour. Na deser zażądał suflet cytrynowy, a dodatkowo ser, biszkopty i portwajn Warre z 1960 roku.

- To dobry rocznik, nie uważasz, Iwanie? Pytam, bo znasz się przecież na rzeczy.

- Niezły - przytaknął oschle Ivan.

- Portwajnu też prosimy całą butelkę - powiedział Rex kelnerowi. Bawił się świetnie. Może wypić więcej niż cała załoga pancernika, a i tak nie zdradzi swoich tajemnic, na co z pewnością liczy Ivan. - Na czym to stanęliśmy? - uśmiechnął się od ucha do ucha.

Ivan mówił o drobiazgach, dopóki Rex nie zabrał się do głównego dania, pochłaniając je niczym kombajn zboże.

- Chyba moglibyśmy sobie nawzajem pomóc w konkursie - powiedział Ivan.

- Wątpię. - Rex pokręcił głową. - Ale mów dalej.

Stek był pyszny. Czy przesadziłby, zamawiając drugą porcję? To przez ten mróz miał taki wilczy apetyt. Zawołał kelnera i poprosił o dokładkę.

- Zdziwisz się, kiedy usłyszysz, co chcę ci powiedzieć - ciągnął spokojnie Ivan.

Rex spojrział na niego. Twarz Ivana zawsze przypominała mu trochę portrety kardynała Richelieu: wąska, kanciasta, o przenikliwych oczach. Taki człowiek bez skrupułów dążył do raz obranego celu. A Rex nie miał wątpliwości, że Ivan marzy o stanowisku Mistrza.

- Chciałbym cię o coś zapytać, Rex. Wczoraj wyglądało na to, że nie bardzo chcesz się angażować w tę rywalizację. Jednak ja ani przez chwilę nie dałem się nabrać.

- Nie?

- Nie - potwierdził niewzruszony Ivan. - Ani przez chwilę. Chciałeś po prostu zobaczyć, jak zareagujemy - i my, i Mistrz.

- Naprawdę? - Rex przełożył sobie drugi stek na talerz. - Podaj mi szparagi.

- Tak. Moim zdaniem twoje żalosne wystąpienie miało jeden cel: sprawdzić, czy słyszeliśmy już o konkursie.

- Taaak? Dlaczego tak uważasz? - Zaciekawiony Rex znieruchomiał. Nie dał nic po sobie poznać, ale Ivanowi udało się go zaskoczyć: trafił w dziesiątkę.

- To z kolei oznacza, że ty coś wiesz na jego temat.

- Dobrze sobie!

Ivan znów miał rację. Cholera! Gdzie się podział ten kelner? Wzięłyby jeszcze ziemniaków... Rex odwrócił się plecami do stolika.

- Wiesz coś na temat zasad konkursu i nie są to przyjemne informacje.

Rex odłożył sztucce: to był trzeci strzał w dziesiątkę. Ivan naprawdę zrobił na nim spore wrażenie.

- Dobrze - powiedział. - Co z tego, Ivanie? Zakładając, że się nie mylisz, co proponujesz? Wal śmiało; łatwo się domyślić, że chcesz dobić targu.

Ivan uśmiechnął się, usta rozciągnęły mu się, tworząc wąską jak brzytwa kreskę.

Rzeczywiście, nadszedł czas, żeby przejść do rzeczy.

- Posłuchaj, Rex: w pracy, którą zleca nam Akademia, nieraz sporo ryzykujemy. W tej grze ryzyko będzie jednak nieporównywalnie większe, a problem bardziej złożony. - Ivan umilkł i zjadł kawałek łososia, bardziej dla zwiększenia efektu dramatycznego niż z głodu. - Wszyscy chcielibyśmy wygrać, a to dodatkowo komplikuje sprawę. Proponuję więc współpracę, przynajmniej na wstępie konkursu. Przymierze. Najważniejsze to zmniejszyć szanse przeciwnika - sam chyba przyznasz, że to mądre posunięcie? Uważam, że razem stworzylibyśmy niezły zespół, bez względu na to, na czym polega konkurs. - Zawahał się przez ułamek sekundy. - Obaj wiemy, że Sebastien i Tanya połączą siły.

- Taki jesteś pewien?

- Jestem pewien. Fakt, że jesteś w niej zakochany, nie ma tu znaczenia.

Tym razem Rex Boone - autentycznie zaskoczony - zeszywniał. To aż tak było widać? Czy też Ivan strzelił na oślep? Skąd miałby wiedzieć o ich króciutkim romansie sprzed czterech lat? Z drugiej strony, nie powinien lekceważyć szpiegowskich zdolności Ivana. Współpracował z tajnymi służbami, musiał więc sporo wiedzieć. Może nawet sama Akademia kazała mu śledzić innych Adeptów? Rex ze złością spojrział na żalony chórek, który wziął teraz na warsztat starą celtycką pieśń. Brzmiało to jak kwik zarzynanego prosiaka. Odwrócił się do Ivana.

- Co proponujesz?

- Cokolwiek by się działo, współpracujemy, żeby pokonać resztę. Potem zostajemy tylko my dwaj - i niech wygra lepszy.

Oczy Ivana błyszczały z trudem skrywanym podnieceniem.

- Czyżbyś chciał zostać Mistrzem? - zapytał z udawanym zdziwieniem Rex i obaj parsknęli śmiechem.

Rex skoncentrował się na deserze. Wiedział, że Sebastien mu nie pomoże. W duchu zgadzał się z Ivanem. Tanya na pewno stanie po stronie Sebastiena, gdyby doszło do ostatecznej konfrontacji. W takim razie potrzebował na gwałt rozwiązania awaryjnego. Andrew? Wielka niewiadoma: miał doświadczenie wojskowe, dużo przebywał w Rosji i na Dalekim Wschodzie, gdzie - jak się domyślał Rex - nadzorował eksport broni. A Ivan? Chorwat z brytyjskim paszportem. Jego zalety? Logiczny umysł i zimna krew. Mówiło się też sporo o jego kontaktach z wywiadem i kontrwywiadem wielu krajów, zwłaszcza Stanów i Wielkiej Brytanii. Użyteczny sprzymierzeniec lub groźny wróg. Pewna dodatkowa okoliczność przemawiała jednak zdecydowanie na korzyść tymczasowego aliansu: przede wszystkim nie można dopuścić, żeby wygrał Sebastien. To, że on miałby zostać Mistrzem,

było nie do przyjęcia. Rex musiałby się wtedy zrzec członkostwa w Akademii, o czym nawet nie chciał myśleć. Nie miał wyboru: musiał zwyciężyć.

Zjadł spokojnie suflet, rozważając wszystkie za i przeciw. Odsunął pusty talerzyk i uśmiechnął się. Taki plan całkowicie mu odpowiadał. Z Ivanem rozprawi się później.

- W porządku, umowa stoi. Tylko zostaw mi Tanyę.

- Nie ma sprawy - zgodził się Ivan, choć wcale nie miał zamiaru dotrzymać słowa. Od niej właśnie zacznie. Zamierzał zająć się nią zaraz na początku, bo później stworzą z Sebastianem zbyt silny zespół. - A teraz mów, co wiesz o konkursie.

Rex skinął głową.

- Kiedy słuchałem wczoraj Mistrza, jakaś klapka otworzyła mi się w pamięci. Coś już na ten temat słyszałem. Opowiadał mi o konkursie dawny Adept, który brał w nim udział.

- Kiedy to było? I co się działo?

- Na razie nic więcej nie mogę ci powiedzieć. Potrzebuję dodatkowych informacji.

Chórek hałasował tak niemiłosiernie, że poza Ivanem nikt nie słyszał słów Reksa. Pograżeni w rozmowie całkowicie ignorowali kakofonię, ale gdyby na moment podnieśli wzrok, nie pożałowaliby tej decyzji. Ktoś uparcie się im przyglądał. Trwało to jednak tylko chwilę, gdyż tajemniczy gość zniknął równie szybko i cicho, jak się pojawił.

- Daj spokój, Rex. - Ivan rozłożył błagalnie ręce. - To żalosna szopka. Powiedziałeś mi tylko, że wcześniej rozgrywano takie konkursy. Na pewno obecny Mistrz też brał w nich udział. Tego każdy głupi by się domyślił. Nie możesz trochę uchylić rąbka tajemnicy? Bo inaczej całe to spotkanie pójdzie na marne.

- Przykro mi, ale nie. - Rex odłożył serwetkę i wstał. - Dzięki za gościnę, Ivanie. Jedzenie było przepyszne, ale czas na mnie. Na razie nie mam nic więcej do powiedzenia. Muszę jeszcze z kimś pogadać. Zrezygnuję z serów i portwajnu, co pozwoli ci zaoszczędzić parę funtów. Ciesz się.

Odwrócił się do wyjścia.

- Chyba powinniśmy jeszcze porozmawiać, Rex.

- Nie - uciął Rex nie znoszącym sprzeciwu tonem. - Będziemy w kontakcie. Dam ci znać. - Widząc niepokój na twarzy Ivana, uśmiechnął się i wyszedł.

Ivan dopił wino. Mimo braku konkretów był zadowolony ze spotkania. Intencje Reksa były aż nadto oczywiste, co mogło sugerować, że nie zamierza on iść na żadną współpracę. Cóż, Ivan też nie miał takiego zamiaru. Czego więc się dowiedział? Rex rzeczywiście miał jakieś ważne informacje na temat konkursu. Z pewnością jednak nie zdradzi mu swojej tajemnicy. Ciekawe, z kim chciał porozmawiać? Z Mistrzem? O grze? Podeszedł do okna i

wyjrzał na dziedziniec. Rex, podobny do olbrzymiego niedźwiedzia, brnął przez zasypany śniegiem podjazd. Ivan zapłacił za kolację i wyszedł.

Stojąc na ganku, uznał, że poszło całkiem nieźle. Rex zdradził się z paroma rzeczami, a Ivan trafił idealnie, zgadując, że coś łączy go z Tanya. Ta informacja bardzo się przyda. Ciekawe, czy Sebastien o tym wie?

Mrużąc oczy, Rex wpatrywał się w światła nadjeżdżających z przeciwka samochodów. Wolno, ostrożnie posuwały się naprzód. Zamieć wzmogła się i widzialność spadła do kilku metrów. Skręcił w boczną drogę, do hoteliku zostało mu najwyżej dziesięć minut marszu. Obejrzał się przez ramię: pusto. Robił się chyba za bardzo podejrzliwy. Najdalej jutro powinien otrzymać odpowiedź ze Stanów.

Wbił ręce głębiej w kieszenie kurtki. Niesiony wiatrem śnieg zacinał go boleśnie w twarz. Od lat nie było tak paskudnej zimy. Czyżby złowrózna przygrywka do konkursu? Nie, w takie bajki nie wierzył. Wrócił myślami do Mistrza i gry o jego tron. Czy nie za dużo powiedział Ivanowi? Raczej nie. Chciał jak najszybciej przekonać się, czy inni coś wiedzą o konkursie - wychodziło na to, że nie. Ivan na razie nie musiał się o nic martwić, ale innych czeka niemiła niespodzianka. Upojony własnym triumfem Rex skręcił w biegnącą łukiem dróżkę. Zdawał sobie sprawę, że musi działać błyskawicznie. Uczestnicy gry będą się szybko uczyć i każdy błąd mógłby go drogo kosztować. Czas zniknąć, zaszyć się gdzieś do sylwestra, kiedy ponownie staną przed Mistrzem. Wtedy Rex będzie miał mu coś do powiedzenia. Ciekawe, jak Mistrz zareaguje na to. Zmagając się z żywiołami, Rex rozmyślał gorączkowo: jeszcze dziś wyśle list do Tanyi.

Hotelik znajdował się tuż za następnym zakrętem. Droga biegła tu całkiem odsłoniętym terenem. Wiatr zawiął tak gwałtownie, że Rex musiał się zatrzymać. Odruchowo zerknął w dół, gdy pod warstwą śniegu wyczuł lodową skorupę. W tej samej chwili poprzez skowyt wichury usłyszał jakiś dźwięk. Odwrócił się, próbując przebić wzrokiem tumany śniegu, gdy nagle wynurzył się z nich jakiś pojazd. Pędził wprost na niego - i przyspieszał. Rex krzyknął rozpaczliwie i skoczył w bok, ale natura i los sprzysięgły się przeciw niemu. Pośliznął się.

- Co za cholerny lód!

Ułamek sekundy przed tym, jak samochód z impetem go uderzył, oczyma wyobraźni Rex ujrzał siebie na wodach Loch Moyne. Przed sobą miał gmach Akademii, reszta konkurentów została daleko z tyłu. Nagle, ku jego zaskoczeniu, łódź zaczęła dryfować, a wiosła połamały mu się w dłoniach. Inne łódki, niczym widma, natychmiast go wyprzedziły,

zostawiając na łaskę losu. Tonął. Przegrywał i tonął. Ogarnął go smutek.

Rozległ się głuchy łoskot, gdy samochód najechał na Reksa: jego ciało w mgnieniu oka przetoczyło się przez maskę i ruszyło na pobocze. Jęknął, spadając w śnieg, i poczuł, jak krew wzbiera mu w ustach. Powoli obrócił się na bok, żeby spojrzeć w niebo. Przypomniawszy sobie twarz kierowcy; grymas złości i żalu wykrzywił mu twarz. A więc jednak działał zbyt wolno. Został zdradzony.

- Tanya... - stęknął.

Gdy krew odpływała z jego ciała, coraz więcej płatków śniegu osiadało mu na twarzy. Walcząc do końca o życie, wreszcie zamknął oczy. Zawieja trwała. Samochód pojechał dalej.

Andrew wybrał się w szkockie góry. Wspinając się po skałach - maleńki punkcik w zapierającym dech w piersi krajobrazie - rozmyślał o konkursie na Mistrza. Pomysł taki doskonale pasował do idei i struktury Akademii. O tym, kto zajmie najwyższą pozycję, powinna decydować ostra selekcja, w dodatku przeprowadzona w największej tajemnicy. Nie mógł się tylko oprzeć wrażeniu, że udział w tej grze wiąże się z ogromnym niebezpieczeństwem. Mimo to zamierzał postąpić wbrew instynktowi, który rzadko go zawodził, i wziąć udział w grze. Niczym alpinista, przywykły zdobywać szczyty gór, nie mógł oprzeć się pokusie wspinaczki na najtrudniejszy z nich, chociaż szanse na szczęśliwy powrót malały z każdym krokiem naprzód.

Rozpoczął wspinaczkę i powoli, metodycznie, w ciągu kilku godzin wdrapał się wysoko na skaliste zbocze. Przykleknął na chwilę, żeby ciaśniej zawiązać buty, i odruchowo powiódł wzrokiem po pięknej okolicy. Coś mignęło w dole, pod ścianą, ale zanim zdążył się lepiej przyjrzeć, pasemko mgły zasłoniło mu widok. Wyteżył wzrok, próbując odnaleźć ruchomy punkcik, ale na próżno. Zmarszczył brwi i ruszył pod górę, nie mogąc otrząsnąć się z dręczącego go niepokoju. Minął maleńki szalas i trudną ścieżką szedł dalej. Niespełna godzinę później dostrzegł zbierające się na zachodzie chmury. Wiedział, że nadciąga burza śnieżna i że jeżeli chce wrócić bezpiecznie na dół, musi się pośpieszyć.

Ze szczytu mógł podziwiać całą roztaczającą się przed nim panoramę ośnieżonych gór. Pogoda psuła się z minuty na minutę. Spojrzał w dolinę, z której przyszedł, i w luce pomiędzy chmurami dostrzegł odcinającą się na tle śniegu ludzką sylwetkę - jedną, potem drugą. Wyjął lornetkę: wyglądało na to, że przez lornetki obserwują oni zbocze, jakby go szukając. Nie wiedział, co o tym myśleć. Kto miałby go szukać? Kto mógł wiedzieć o zbliżającej się grze? Patrzył jeszcze chwilę, aż jedna z figurek ruszyła pod górę, w stronę szalasu, a druga zniknęła mu z pola widzenia.

Zaczął schodzić. Widok ludzi chodzących po górach o tej porze roku nie był niczym niezwykłym, ale z niewyjaśnionych powodów Andrew czuł, że tym razem coś jest nie w porządku.

Gdy znajdował się dwadzieścia kroków od szalasu, drzwi otworzyły się z rozmachem i jakiś mężczyzna biegiem ruszył w jego stronę. Andrew stanął jak wryty. Dopiero gdy człowiek ten podniósł gogle na czoło, Andrew rozpoznał w nim jednego z miejscowych przewodników.

- Andrew! Dzięki Bogu, znaleźliśmy cię! Mam dla ciebie wiadomość. Chyba nie najlepszą.

Przewodnik podał mu pasek papieru.

„Rex Boone zginął w wypadku samochodowym - przeczytał Andrew. - Pogrzeb jutro. Przyjedź koniecznie. M.”

Zbudowana z granitowych bloków kaplica na Tirah znajdowała się u stóp Mullach Mor. Roztaczał się stąd widok na Atlantycką. Kilka kilometrów w głąb wyspy znajdował się zamek Akademii. Łączyła go z kaplicą kręta, wijąca się wśród wzgórz droga, chwilami nikielna w lesie. Stojąca na ponurym pustkowiu kaplica wyglądała tak, jakby od wieków jej nie odwiedzano. Rzeczywiście, rzadko coś się tu działo: odprawiano tu tylko nabożeństwa ku czci zmarłych Adeptów.

Tym razem przybyła zaledwie garstka ludzi - niewielu członków Akademii dowiedziało się o śmierci Reksa i wróciło na wyspę. Nabożeństwo było krótkie, zwyczajne. Mistrz wygłosił mowę pożegnalną, w której, zgodnie z oczekiwaniami, wspominał o Reksie jako „niezwykle obiecującym młodym człowieku”, mówił o jego „tragicznej, przedwczesnej śmierci”, o „niepowetowanej stracie dla Akademii”, o „niepewności życia”. Stojąc od trzydziestu lat na czele Akademii, niejedną raz miał okazję wypowiadać podobne słowa. Tym razem jednak grobowa powaga w jego głosie nie uszła niczyjej uwagi.

Słuchając go, Ivan rozglądał się po kaplicy. Promienie zimowego słońca zamigotały krótko w witrażowym oknie i zaraz zgasły. Słaby blask świec rozświetlał mroczną nawę. Na ścianach pełno było nagromadzonych przez wieki tablic pamiątkowych i nagrobnych.

A na cmentarzu w Erris, ciało Boone'a, który jeszcze niedawno cieszył się życiem, zaczynało się powoli rozkładać w trumnie. W samotności. Związek Reksa z Akademią urwał się, a swoją tajemnicę zabrał on do grobu. Jakiś fizyk jądrowy zginął w wypadku samochodowym, kiedy spędzał urlop w Szkocji. Przykre, ale takie rzeczy się zdarzają. Koniec, kropka. Nawet media niewiele mogły wycisnąć z tej historii.



Tanya siedziała w jednej z tylnych ławek. Również wspominała Reksa, ale w zupełnie inny sposób. Przypominała sobie ich ostatni pocałunek, jego namiętność, nadzieję, że ich związek będzie trwał. Zamknęła oczy, ale nie mogła odnaleźć słów modlitwy. Oczyma wyobraźni widziała Reksa sprzed lat, z okresu, kiedy zostali kochankami. Pamiętała, jak prowadził ją do łóżka. Jak powoli rozpiął jej bluzkę. Całował jej piersi. I jak w nią wchodził. Wspomnienie było tak ostre i wszechogarniające, że zaparło jej dech w piersi. Z wysiłkiem otworzyła oczy i skupiła wzrok na krzyżu przy ołtarzu. Nie powinna w ten sposób myśleć o Reksie. Szczególnie w tym miejscu. A jednak podczas przemowy Mistrza jej myśli uparcie krążyły wokół związku, którego nie było i nigdy już nie będzie. Biedny Rex: zawsze chciał mieć wszystko, najlepiej od razu. Miał szansę zostać Mistrzem, lecz ambicja doprowadziła go do śmierci w śnieżnej zaspie. Czy naprawdę był to tylko wypadek? Czy raczej dowód na to, że żądni władzy ludzie gotowi są na wszystko?

W głębi serca znała odpowiedź na tak postawione pytanie.

- Jak właściwie zginął? - zapytał Sebastien.

Stali z Ivanem przed kaplicą, zacierając zmarznięte ręce. Nabożeństwo dobiegło końca. Wolno ruszyli ku bramie.

- Szef policji w Erris powiedział Arbitrom, że Rex wracał skądś pieszo do hoteliku, w którym się zatrzymał - odparł Ivan. - Szedł poboczem, kiedy potrącił go samochód. Zginął na miejscu. Chwili śmierci nie dało się dokładnie określić, ale była mniej więcej północ. Na razie brak szczegółów.

- Wiadomo coś o kierowcy?

- Uciekł z miejsca wypadku. Mógł nawet nie wiedzieć, że potrącił Reksa, taka była paskudna pogoda. Według oficjalnej wersji uznano to po prostu za wypadek. Andrew musiał bardzo przeżyć śmierć Reksa - dodał Ivan po chwili milczenia. Nie przepadali za sobą z Sebastienem, ale okoliczności skłoniły ich do takiej rozmowy. Andrew wyszedł właśnie z kaplicy i ruszył w ich stronę. Zerknąwszy w zasnuite szarymi chmurami niebo, otulił się ciaśniej płaszczem.

- Dlaczego tak uważasz?

- Parę lat temu stracił w wypadku żonę. Na Tajwanie. Teraz pewnie wspomnienia wróciły.

- Rzeczywiście - zgodził się z nim Sebastien. - Koszmar. - Postanowił zmienić temat: - A skąd Rex wracał?

- Tego nikt nie wie - skłamał Ivan bez mrugnięcia okiem. - Pewnie z jakiejś knajpy.

Policja twierdzi, że badanie wykazało sporo alkoholu we krwi. Chyba mogło to osłabić jego refleks, prawda?

- Na pewno.

Popatrzyli po sobie i nagle Sebastienowi przysła do głowy niezwykła, porażająca myśl. Bojąc się, że da coś po sobie poznać, spuścił wzrok i spojrzął na morze. Spóźnił się jednak. Ich oczy spotkały się na ułamek sekundy i obaj zdali sobie sprawę, że myślą o tym samym.

- Muszę już iść - powiedział Sebastien. Skinął głową Ivanowi i Andrew, który właśnie do nich dołączył, i pospiesznie się oddalił. Tanya z uporem go unikała. Z pewnością chciała go ukarać za to, że po kolacji u Mistrza zostawił ją samą. Czasem potrafiła być bardzo uparta, a Sebastien chciał z nią koniecznie porozmawiać, zanim zdąży mu uciec z wyspy. Zanim jednak doszedł do bramy, jego głowę zaprzątnęły już inne myśli.

Widział Ivana z Reksem w barze tamtej nocy. Wiedział więc, że Ivan kłamie. Jeden zero dla Sebastiena. Ivan wyczytał za to w jego oczach, że Sebastien wie, iż został okłamany. Domyślił się zatem, że Sebastien był tamtej nocy w Erris. Jeden jeden.

Uśmiechnął się lekko. Ciekawe, gdzie wtedy podziewał się Andrew?

Tanya starannie zamknęła za sobą drzwi. Reszta niedługo wróci z pogrzebu. Chciała do tego czasu opuścić mury Akademii. Zawahała się przez chwilę, wchodząc do apartamentów Rekxa przy pierwszym dziedzińcu. Miała wrażenie, że w pokojach wciąż unosi się jego duch. Powiodła wzrokiem po ścianach, ozdobionych dziełami Monvilleta i Chagalla, popatrzyła na dziwaczne rzeźby z wysp południowego Pacyfiku. Wyżej, nad obrazami, wisiała para wiosel, przyozdobiona pamiątkami z niezliczonych zawodów wioślarskich, które Rex w młodości wygrywał w kraju i za granicą. Powietrze w pokoju było całkiem nieruchome, jakby zastygło w oczekiwaniu. Wydawało się, że lada chwila Rex wyjdzie z sypialni, oprze się o futrynę i znacząco spojrzy na łóżko, zapraszając ją, by ich ciała jeszcze raz się połączyły. A jednak silny, zręczny, potężnie zbudowany Rex przegrał ten najważniejszy konkurs. Zginął. Ktoś go przechytrzył już na samym początku.

Uświadomiwszy sobie, że nie powinna tracić czasu, wpadła do gabinetu Rekxa. Z jego dziwnego zachowania na kolacji wywnioskowała, że wiedział coś - albo podejrzewał - w związku z konkursem i ta informacja musiała się gdzieś tu znajdować. Na biurku, obok komputera, którego używał, piętrzyły się teczki z aktami i dyskietki. Ekran potężnej maszyny był teraz pusty.

Wyjęła z kieszeni długi, zawierający mnóstwo cyfr wydruk oraz mały kalkulator,

który podłączyła od tyłu do komputera, zanim go uruchomiła.

Najpierw musiała poznać hasło, którego używał Rex. Rozpracowywała je od kilku dni - od chwili, gdy usłyszała o jego śmierci. Nie odważyła się dotąd zejść do jego pokojów i bezskutecznie usiłowała zdalnie wejść do jego komputera. Teraz jednak postanowiła zaryzykować. Chciała mieć pewność, że Rex naprawdę zginął przez przypadek.

Nerwowym gestem odgarnęła włosy i przysunęła krzesło do biurka. Usiadła. Biorąc pod uwagę, że pracował nad tajnymi projektami jądrowymi, z pewnością nie mógł sobie pozwolić na to, żeby byle kto grzebał w jego plikach. Mimo to znalezienie hasła nie powinno być zbyt trudne. Na razie jednak nie miała szczęścia. Może ostatnio je zmienił?

Nagle oderwała się od pracy i zaalarmowana rozejrzała po pokoju. Czy na pewno nikt nie ruszał leżących na podłodze rzeczy? Albo książek, dziwnie rozrzuconych na biurku? Czy ktoś ją uprzedził?

Po śmierci Adepta ktoś z Akademii przeglądał jego rzeczy osobiste. Ważne dokumenty trafiały do biblioteki, inne zaś, nie tak istotne lub bardziej prywatne, niszczone, by nie ujawniły związków zmarłego z instytucją. Akademia zatrudniała w tym celu specjalnych ludzi, którzy działali pod okiem Adepta wskazanego przez jednego z Arbitrów. Nazywano ich „czyścicielami”. Czy jeden z nich odwiedził już apartamenty Reksa? A może to któryś z konkurentów trafił tu przed nią? Pełna złych przeczuc Tanya wpisywała do komputera różne kombinacje cyfr i liter.

- Dalej, Rex! Musisz mi pomóc - szepnęła.

Przez długą chwilę nic się nie działo, aż nagle na ekranie pojawiła się twarz dziecka. Zaskoczona Tanya oderwała dłonie od klawiatury. Dziecko spoczywało w ramionach dorosłej osoby niczym mały Chrystus w beciku.

Obraz nie miał żadnego sensu. Kiedy Tanya zaczęła wpisywać kolejne ciągi znaków, dziecko zniknęło. Zerknęła niespokojnie na zegarek. Nie zdąży. Zaczęła jeszcze szybciej uderzać w klawisze - nowe kombinacje, nowe warianty. Na próżno.

- Myśl, Tanya! - powiedziała na głos. - Myśl!

Twarz dziecka wróciła na ekran.

- Och, Rex...

Zrozumiała. Rex zostawił wiadomość przeznaczoną wyłącznie dla niej. Tylko jak brzmiało hasło? Powinno mieć coś wspólnego z nimi, z tym, co ich łączyło. Tylko wtedy mógł mieć nadzieję, że Tanya je odkryje, a inni będą bez szans. Co wymyślił? Sekundy mijały, a Tanya bezskutecznie wyęczała pamięć. Wreszcie coś przyszło jej do głowy. Kiedy na sympozjum spędzili razem ostatnią noc, Rex zapytał, czy chciałaby mieć dzieci.

Odpowiedziała bez namysłu, że nie; za dużo miała do zrobienia w życiu. Zapytał wtedy, czy na pewno się nie myli, bo on bardzo chciałby kiedyś zostać ojcem. Wybuchnęła śmiechem. Z całą pewnością się nie myliła. Opowiedziała mu o Gemmie, perskiej kotce, i dodała:

- Gemma będzie moim jedynym dzieckiem.

Wpisała Gemma i dziecko.

Nic. Spróbowała różnych kombinacji. Nadal bez skutku.

Gemma - jedyne dziecko.

Ekran rozbłysnął i Tanya jak zahipnotyzowana wpatrzyła się w wiadomość, która się na nim wyświetliła.

Ale już było za późno - w korytarzu, za drzwiami, rozległy się kroki. Tanya zastygła bez ruchu, słysząc, jak się zbliżają, ale nie mogła oderwać wzroku od ekranu:

Tanyu, jutro wyjeżdżam do Erris. Jeżeli czytasz tę wiadomość, to znaczy, że stało się coś bardzo, bardzo złego. Prawdopodobnie postanowisz wziąć udział w grze. Spodziewałem się tego po tobie, ale pamiętaj: nikomu nie ufaj. Nie masz pojęcia, jak trudny i niebezpieczny jest ten konkurs. Jeżeli mi się uda, wyślę ci z Erris list. Kiedy wpiszesz słowo „żegnaj”, wszystkie pliki ulegną skasowaniu. Zawsze cię kochałem, Tanyu. I nigdy nie przestanę. Rex.

I postscriptum:

Spróbuj odszukać Maksa Stantona. Możesz zacząć od Biblioteki Gazet i Czasopism w Bostonie, powinni mieć łącze komputerowe. Nikomu ani słowa.

Tanya zdusiła w gardle szloch. Kroki rozbrzmiewały tuż, tuż, pod samymi drzwiami. Co powinna zrobić? Czy Rex chciałby, żeby po jego śmierci wykasowała pamięć komputera? A jeśli znajdowały się w niej informacje, które pozwolą jej wygrać konkurs? Albo znaleźć mordercę Rekxa? Ze łzami w oczach wpisała żegnaj.

Elektroniczny brzęczyk zasygnalizował, że zamek w drzwiach apartamentu został odblokowany. Tanya stanęła przy ścianie obok drzwi i patrzyła, jak się otwierają. Wstrzymując oddech, ścisnęła mocniej w dłoni ciężką ozdobę z brązu. Przybysz jednak zwlekał z przekroczeniem progu. Może wyczuł jej obecność.

Wieczność minęła, zanim kroki zaczęły się oddalać. W tej samej chwili ekran komputera zamrugał po raz ostami: wszystkie pliki uległy skasowaniu. Cały analityczny

geniusz Boone'a rozplynął się w nicości, nie został po nim żaden ślad. Tanya bezszelestnie wysliznęła na korytarz. Była wstrząśnięta nie tylko wiadomością od Rekxa - teraz wiedziała już z całą pewnością, że został zamordowany - ale także tym, iż dostrzegła plecy i tył głowy intruza.

To był Mistrz.

## ROZDZIAŁ 8

*Moje słowa bardzo łatwo jest zrozumieć i bardzo łatwo wprowadzić w życie. A jednak nikt na świecie nie umie ich zrozumieć i w życie wprowadzić.*

Lao-Cy

### Sylwester

Kiedy późnym popołudniem Symes wszedł do gabinetu Mistrza, spodziewał się zastać go jak zwykle przy biurku, pogrążonego w pracy. Tymczasem, ku jego zaskoczeniu, Mistrz stał przy oknie i podziwiał pokrytą śniegiem Multach Mor. Odwrócił się na dźwięk kroków. Miał zmęczoną twarz i zapadnięte, blade policzki. Tak wymizerowanego jeszcze go Symes nie widział.

- Przybyła kandydatka na Adeptkę, Mistrzu. Czy mam ją zaprowadzić do pokoju gościnnego?

- Tak - odparł Mistrz. - A kiedy pojawią się goście umówieni na siódmą, zaprowadź ich do biblioteki.

- Dobrze, Mistrzu.

Podenerwowana Susan Corelli wstała na widok Mistrza. Nie mogła się doczekać spotkania z tajemniczym człowiekiem, o którym tak niewiele było wiadomo. Bała się, że jego majestat ją onieśmieli, ale wystarczył jeden rzut oka na jego twarz, by lęk ustąpił. Mistrz był wyższy, niż się spodziewała. Wysoka, zgrabna sylwetka i siwiejące włosy przydawały mu godności, ale oczy miał ciepłe, przyjazne.

Podał jej rękę na powitanie i obrzucił wzrokiem od stóp do głów.

- Witaj, Susan.

- Mistrzu...

- Wiem, że jest chłodno, ale przyszło mi do głowy, że moglibyśmy pospacerować po Akademii. Jest pusto, wszyscy świętują Nowy Rok gdzie indziej.

- Z przyjemnością, Mistrzu.

Zeszli na parter pałacu audiencyjnego i wyszli do ogrodu. Ścieżki oczyszczono ze śniegu. Mistrz obserwował swojego nowego gościa. Wiedział już wszystko o Susan - Akademia od lat miała ją na oku. Była ładna, drobna, zgrabna, miała kasztanowe włosy i brązowe oczy. Skończyła trzydzieści lat. Nie wyszła jeszcze za mąż, chociaż miała chłopaka. Pracowała dla Światowego Forum Badań Jądrowych w Waszyngtonie. To Rex Boone polecił ją uwadze Mistrza. Była jego podwładną.

Przez chwilę panowało milczenie; Mistrz chciał dać Susan czas na oswojenie się z nowym otoczeniem. Rozglądała się ciekawie, zauroczona oglądanym po raz pierwszy zamkiem. Akademia fascynowała ją od lat. Myśl, że mogłaby zostać Adeptką - jedną z wybrańców - stanowiła szczyt jej marzeń i ambicji intelektualnych. Dziś przekonała się, że Akademia na Tirah naprawdę istnieje. Przybyła do niej i weszła do środka, chociaż wciąż miała wrażenie, że śni. Chłonęła widok dziedzińca i budowli. Najchętniej dotknęłaby ich po kolei, by się upewnić, że są prawdziwe i że nie znikną jak miraż. Przez stulecia miliony ofiarodawców finansowały Akademię, kierując się jednym prostym przekonaniem: wiarą, że gdzieś na świecie powinna istnieć instytucja, której wszystkie działania skupiają się na utrzymaniu pokoju na Ziemi. Co by się stało, gdyby Akademia upadła? Jaka część ludzkiej cywilizacji odeszłaby bezpowrotnie razem z nią?

- Rozmawiała pani niedawno z Arbitrami, prawda?

- Tak. - Susan się uśmiechnęła. Zrobiło się jej lżej na sercu. - Spotkałam się z Pierwszym Arbitrem w Nowym Jorku, a on przedstawił mnie dwóm innym. Złożyłam przysięgę, że dochowam tajemnicy. Zaproponowali mi, żebym została Adeptką Akademii. Zgodziłam się od razu.

- Czy rozumie pani prawdziwą naturę Akademii?

- Tak mi się wydaje. Adepci mają pomagać Mistrzowi w kontaktach ze światowymi przywódcami, a także wykonywać zadania zlecone im przez niego samego i przez Arbitrów. Poza tym Akademia ma tylko jeden cel: działać na rzecz pokoju, nie oglądając się na względy narodowe, polityczne i terytorialne.

Zatrzymali się przy kamiennej ławeczce nad stawem. W tym samym miejscu zaledwie kilka dni wcześniej stał prezydent Davison z wiernym Jackiem Caldwellem.

- Wszystko to prawda - przytaknął Mistrz. - Pozwól jednak, że wyjaśnię ci, jak widziałbym twoją rolę. - Zawiesił głos. - Wybraliśmy cię, Susan, ponieważ wierzymy, że będziesz umiała spełnić warunki narzucone Akademii przez jej założyciela. Praca dla nas wymaga znacznego wysiłku. Pozostaniesz członkinią Światowego Forum Badań Jądrowych, a przy tym wraz z innymi Adeptami będziesz w imieniu Akademii nadzorować przebieg wszystkich programów atomowych na świecie. Będziesz nam przekazywać wszystkie istotne informacje, jakie zdobędziesz. Zostaną przetworzone tu, na miejscu, żeby w razie potrzeby mogły zostać użyte. Od czasu do czasu będziemy ci również wyznaczać specjalne zadania, czasem dość ryzykowne.

- W jakim sensie?

- Na przykład Rex Boone jakiś czas temu skontrolował reaktor atomowy w Rumunii. Oficjalnie pojechał tam jako ekspert z ramienia Forum, ale w rzeczywistości to my go o to poprosiliśmy. Dzięki poufny kontaktom z rosyjskimi służbami specjalnymi otrzymaliśmy bardzo niepokojące informacje na temat reaktora. Na miejscu Rex stwierdził liczne wady projektowe, które starano się prowizorycznie zamaskować. Przygotował tajny raport i przesłał go do Akademii. My z kolei przedstawiliśmy go rumuńskim władzom i pomogliśmy im zdobyć fundusze z Banku Światowego na poprawę sytuacji. W Rumunii groziło Reksowi poważne niebezpieczeństwo ze strony ludzi producenta. Mając w perspektywie zapłatę setek milionów dolarów odszkodowania, byli gotowi na wszystko, byle zatuszować sprawę. - Mistrz się zawahał. - W każdym razie Akademia zrobi, co w jej mocy, by zapewnić ci bezpieczeństwo. A możliwości mamy spore.

Ogromne, poprawiła go w myślach Susan.

- Jako Adeptka zyskasz władzę i wpływy, zostaniesz dopuszczona do różnych tajemnic. Większość decyzji będziesz mogła podejmować na własną rękę. Jesteśmy przekonani, że nas nie zawiedziesz.

- Nie zawiodę - obiecała Susan. - Ale jak pogodzę nowe obowiązki z pracą w Forum? Czy moi szefowie nie zaniepokoją się, gdy zacznę znikać, wykonując zadania dla Akademii? Nie nabiorą podejrzeń?

- To żaden kłopot - uspokoił ją Mistrz. - Szefem Forum jest jeden z naszych Adeptów.

- Rozumiem - zaśmiała się Susan. - Macki Akademii sięgają daleko.

- Owszem, nie mylisz się. Nasi ludzie są wszędzie tam, gdzie coś się dzieje. Nie może być inaczej, jeżeli mamy działać skutecznie. Twój status w Forum ulegnie zmianie: zostaniesz konsultantką, dzięki czemu będziesz miała więcej czasu dla nas.

- Mogę jeszcze o coś zapytać?

- Naturalnie. Nawet powinnaś.

- Dlaczego mnie wybrano?

Przez ogromne, dębowe drzwi weszli do biblioteki. Susan zdziwiła się, że brak tu jakichkolwiek zabezpieczeń, ale zaraz uprzytomniła sobie, że nikt nie miał prawa dostać się na Tirah bez osobistego pozwolenia Mistrza. Poza tym przypadkowy intruz zostałby natychmiast rozpoznany.

- Przed wyborem nowego Adepta Arbitrzy gromadzą o nim informacje, które potwierdzałyby jego przydatność. Są to relacje z obserwacji prowadzonych przez innych Adeptów, życiorys, analiza charakterologiczna. Niewielu ludzi nadaje się do tej pracy. Muszą podporządkować własne życie interesom Akademii, nie wolno im nadużywać uprzywilejowanej pozycji Adepta. Muszą też być gotowi na działanie w absolutnej tajemnicy. Często nie wiedzą, do czego wykorzystamy wyniki ich prac, które zwykle stanowią tylko jeden z elementów złożonej mozaiki. Muszą pogodzić się z faktem, że nigdy nie zajmą żadnego z najwyższych stanowisk w swoich krajach i firmach. Takich ludzi jest bardzo mało.

- Osiemdziesięcioro.

Mistrz uśmiechnął się przelotnie.

- Właśnie. Założyciel Akademii dobrze określił ich liczbę. Osiemdziesięcioro.

Susan rozejrzała się po bibliotece. Musiała przyznać, że nigdy podobnej nie widziała. Na parterze, gdzie w tej chwili się znajdowali, nie było żadnych książek. Masywne greckie kolumny podpierały wysokie sklepienie budynku, który w środku zdawał się znacznie większy niż od zewnątrz. Ściany głównego korytarza wyłożono nieskazitelnie białym marmurem. Drzwi po obu stronach prowadziły do niewielkich pokojów, porozdzielanych ścianami z cienkiego, matowego szkła. Mistrz przesunął dłonią po czymś, co wyglądało jak baza kolumny, wykuta z czarnego marmuru albo grafitu. Czarna płyta rozbłysła światłkami i zmieniła się w pulpitan sterowniczy. Mistrz wcisnął jeden z klawiszy i szklane ściany stały się przezroczyste. Wyposażenie większości pokojów wyglądało identycznie: biały stół z marmuru i czarne krzesło.

Zagłębili się w korytarz.

- Książki i dokumenty przechowujemy na piętrze i w podziemiach. Tu są tylko czytelnie i komputery - wyjaśnił Mistrz i wrócił do poprzedniego tematu rozmowy: - Przez pierwszy rok, Susan, może trochę dłużej, dziwnie się tu będziesz czuła. Arbitrzy z pewnością jednak powiedzieli ci już, że stanowisko Adepta piastuje się dożywotnio i że w każdej chwili możesz tu przyjechać. Apartament będzie czekał na ciebie. Zapoznamy cię z innymi Adeptami, którzy specjalizują się w podobnych dziedzinach nauki. Będziesz zabezpieczona



finansowo do końca życia, a Akademia dołoży wszelkich starań, żeby ci pomóc w każdej sytuacji.

Przystanęli przy drzwiach w ścianie, które otworzyły się, gdy Mistrz spojrział wprost w umieszczone na wysokości oczu źródło światła. Weszli do pokoju i ściany natychmiast zmatowiały. Znaleźli się w niedużej izolatce, cichej i skąpo urządzonej, niczym cela w klasztorze - tylko marmurowy stół i krzesło przed lśniąca jak krzem ścianą mąciły tę iluzję. Mistrz przesunął palcami po ciemnej płycie wstawionej w blat i w jej miejscu pojawiła się klawiatura. Błyszcząca ściana zafalowała, zamieniając się w ekran wysokości dorosłego człowieka. Pojawił się na nim wielobarwny, wirujący dysk.

- Komputer kwantowy - stwierdziła Susan.

- Zgadza się. Trochę może bardziej zaawansowana konstrukcja od tych, które znasz z Forum, ale to rzeczywiście komputer kwantowy. W Akademii mamy takie dwa. Oba skonstruowali nasi Adeptci, którzy zresztą na bieżąco dokonują wszelkich zabiegów konserwacyjnych. Mogą dzięki nim potajemnie włamać się do prawie wszystkich komputerów na świecie, a także dostać się do wszelkich bibliotek i instytucji naukowych. Jeden z nich został udostępniony Adeptom, którzy chcieliby realizować na nim własne prace badawcze.

Susan zaciekało, po co w takim razie Akademii drugie takie urządzenie. Dla Mistrza, żeby mógł dyskretnie porozumiewać się z głowami państw? Do gromadzenia dodatkowych danych? Na jaki temat?

- Wszelkie informacje, które zdobędziesz, a które mogłyby się przydać w Akademii, możesz przekazać do naszego komputera z dowolnego miejsca na świecie i w dowolnym języku. Masz do niego nieograniczony dostęp.

Mistrz przesunął dłonią nad grafitową płytą i ekran zgasł. Wyszli na korytarz.

- Pytałaś, dlaczego właśnie ciebie wybraliśmy - powiedział Mistrz. - Osoba, która zajmowała się tym, co teraz chcemy zlecić tobie, niedawno zmarła. To był Rex Boone.

- Pracowałam z nim w Forum. Był niezwykle utalentowanym człowiekiem. To prawdziwa tragedia zginąć w taki sposób. Nie miałam pojęcia, że był Adeptem.

- Był. Bardzo boleśnie odczuliśmy tę stratę. Arbitrzy uznali, że powinnaś zająć jego miejsce.

- To dla mnie zaszczyt - odparła Susan i umilkła, chcąc zebrać myśli. - Co się dzieje z danymi, które trafiają do komputerów?

- Korzystam z nich ja i Arbitrzy, przede wszystkim przy okazji rozmów z głowami ponad dwustu państw. Próbujemy na przykład ostrzegać ich zawczasu o wszelkich

katastrofach ekologicznych i naturalnych. Dokładamy starań, by energia jądrowa była wykorzystywana do celów pokojowych, a ośrodki, które ją wytwarzają i korzystają z niej, znajdowały się pod ścisłą kontrolą. Jeśli chodzi o prawa człowieka - często udaje nam się uzyskać zwolnienie więźniów politycznych w zamian za informacje z innych dziedzin. Osiągamy to w bezpośrednich, tajnych kontaktach z przywódcami krajów. Mogą potem przypisać sobie wszelkie zasługi albo dyskretnie poradzić sobie z kłopotami, nie ściągając na siebie uwagi mediów.

Schodami zeszli na ścieżkę prowadzącą na dziedzińiec. Susan zdała sobie sprawę, że jej pierwsze spotkanie z Mistrzem zbliża się do końca. Jakie miał wpływy na świecie? Zapewne niewyobrażalne. Czy niedawne zwolnienie libijskiego dysydenta z więzienia również należało zapisać na jego konto? A nagłą odwilż polityczną w Birmie? Pomoc charytatywną dla Iranu po wyniszczającej wojnie domowej? Zjednoczenie Korei? Czy Mistrz dokonał tego wszystkiego? Czy przekonał innych, że warto to zrobić?

- Dlaczego Akademia nie próbuje wywierać bardziej bezpośredniego wpływu na rządy, żeby zmusić je do współpracy w imię wspólnego dobra ludzkości? Mając taką wiedzę i władzę, moglibyście przecież sterować całymi państwami!

Mistrz pokręcił głową.

- To całkowicie błędna droga. Akademia niczym nie steruje; chcemy tylko służyć radą. Jeżeli zaczniemy mieszać się do polityki poszczególnych państw, jeżeli opowiemy się po stronie mocarstw i dopuścimy do nadmiernej biurokratyzacji, Akademia przerodzi się w końcu w dyktaturę. Nam nie chodzi o dominację, narzucanie swojej woli. Mamy doradzać ludziom - wszystkim, bez wyróżniania jednych kosztem drugich. Akademia nie wyznacza sobie żadnych zadań natury politycznej.

- Dlaczego jednak jej istnienie i działanie trzymane jest w takiej tajemnicy?

Znaleźli się na dziedzińcu.

- Od początku tak było - odparł Mistrz. - Czy wyobrażasz sobie inną sytuację? Adepci zaczęliby rywalizować między sobą. Niedługo potem przedstawiciele mediów zjawiliby się na wyspie, żeby uzyskać wpływ na Akademię. A głowy państw przestałyby wierzyć w naszą dyskrecję, utraciłyby przekonanie, że informacje, których im udzielamy, są przeznaczone wyłącznie dla nich, że mogą wykorzystać je tak, jak tylko zechcą. Wtedy Akademia szybko by upadła. Bo trwa tylko dzięki temu, że prawie nikt o niej nie wie. Nie stara się o nic walczyć - tylko doradza.

- Ale przecież, znając wszelkie tajemnice, ma ogromną władzę!

- To prawda, lecz wiedza nie jest dla nas celem samym w sobie.

Susan nie próbowała nawet pytać, co by się stało, gdyby któryś z członków Akademii zdradził ją. Arbitrzy nie pozostawili jej w tej kwestii cienia wątpliwości: zostałyby natychmiast usunięty z grona Adeptów, tracąc nie tylko dostęp do zasobów wiedzy, ale także stabilizację finansową. Odcięto by go od informacji wpływającej do komputerów na Tirah. Susan zdawała sobie sprawę, że Akademia ma na świecie wystarczające wpływy, by rzeczywiście tak załatwić sprawę, a przy okazji zapobiec przeciekom. Nie na darmo prawo międzynarodowe i Karta ONZ uznawały jej nienaruszalność. A były Adept, przeciw któremu sprzysięgliby się wszyscy szefowie państw na świecie, nie miałby lekkiego życia. Ciekawe, czy Akademia posunęłaby się do fizycznej likwidacji zdrajcy... Susan doszła jednak do wniosku, że na razie nie powinna zadawać tego pytania. Zmieniła temat:

- Źle się dzieje na świecie, Mistrzu. Wszyscy martwią się opłakanym stanem rządów i instytucji państwowych. Zmierzamy ku epidemii dyktatur, ku rządóm chciwych i skorumpowanych bogaczy. Nawet prezydent Stanów Zjednoczonych ostatnio tylko o włos uniknął katastrofy. Nikt nie wierzy mediom. Ludzie chcieliby, żeby Akademia wkroczyła na scenę polityczną, zrzuciła zasłonę tajemnicy i ujawniła prawdę. Mówi się, że powinniście rzucić swój autorytet na szalę i przejąć władzę.

- Akademia tego nie zrobi, chociaż prośby takie powtarzają się od ośmiu stuleci. Nie po to ją stworzono. Musimy działać za kulisami polityki, bo inaczej szybko stalibyśmy się instytucją gorszą od tych, na które ludzie się skarżą. - Mistrz spojrział Susan w oczy. - Uwierz mi. Nadchodzą ciężkie czasy, lecz Akademia wytrwa do samego końca, gdy wszystkie inne autorytety upadną. Bo Akademia to coś więcej niż tworzący ją ludzie: to ideał, a ludzkość zawsze będzie walczyć o ideały, nawet kiedy nas już zabraknie.

- Ale to chyba niemożliwe, żeby nie zdarzały się próby infiltracji Akademii. Jak się przed tym bronicie?

- Akademia umie się bronić - odrzekł Mistrz. Zatrzymali się przy fontannie. Lód w basenie błyszczał jak szkło. - Oczywiście każdy Adept, a nawet Arbitr, mógłby próbować wykorzystać swą pozycję do osobistych celów. Nie ma systemów doskonałych, więc od czasu do czasu musimy dokonywać cudów, by wyprowadzić intruza w pole. Zdarza się to jednak bardzo rzadko, a poza tym Akademia wie, jak chronić się przed wewnętrznym zepsuciem. Prędzej czy później człowiek ujawni swą prawdziwą naturę.

- Mistrz też? - Susan uśmiechnęła się prowokująco.

Podobał się jej. Czuła, że ma do czynienia z człowiekiem nieprzeciętnym, a przy tym pełnym pokory. Nie zmieniało to jednak faktu, że coraz częściej słyszało się plotki, iż Akademia słabnie i skłania się ku współpracy z pojedynczymi państwami, zamiast strzec

pokoju. Czy Paul Faucher, były doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa, nie wspominał, że to Mistrz stał za próbą obalenia Davisona? Davison stanowczo zdementował tę pogłoskę, ale... Czy na forum ONZ nie pojawiały się głosy, żeby zmienić uprzywilejowany status Akademii? Jak stwierdzić, czy Mistrz jest naprawdę tym, za kogo chce uchodzić?

- Tak, nawet Mistrz mógłby chcieć narzucić swą wolę Akademii. Nie ma ludzi wolnych od wad, a władza jest jedną z najsilniejszych pokus. Prędzej czy później każdy może się złamać. Taki już jest ten świat.

Stanęli przed portiernią, skąd zaraz wyszedł Symes, żeby odprowadzić Susan do bramy. Wiedziała, że kiedy wróci w te mury, zostanie powitana jako Adeptka. Zacznie poznawać system od wewnątrz.

- Mam jeszcze jedno pytanie - powiedziała. - Czy Adept może zrzec się swojego stanowiska?

- Tak, to możliwe - przytaknął z namysłem Mistrz. - Chociaż dawno się to nie zdarzyło. Pracując w Akademii, przekonasz się, iż z biegiem czasu odkrywa ona wciąż nowe tajniki. Ja też tego doświadczam. - Zawahał się, a potem mówił dalej, zmieniawszy ton głosu: - Adept, który wycofa się z Akademii, nie ma do niej prawa wstępu i do końca życia jest zobowiązany dochować tajemnicy. Jeśli zaś chodzi o Arbitrów... - Pochylił lekko głowę. - Oni nie mogą zrezygnować.

Podali sobie ręce. Susan zbierała się do odejścia, gdy Mistrz jeszcze raz się odezwał:

- Chcielibyśmy, Susan, żebyś od razu nam w czymś pomogła.

- O co chodzi?

Mistrz zniżył głos:

- Rex Boone zginął tragicznie. Wysyłamy naszych ludzi do Światowego Forum Badań Nuklearnych, żeby zabrali dokumenty z jego biurka. Bardzo nas interesuje, nad czym ostatnio pracował i jakie informacje gromadził, zwłaszcza jeśli dotyczyły Akademii i jej funkcjonowania. Chcielibyśmy, żebyś przy tym była. Kiedy wrócisz do Waszyngtonu, jeden z Arbitrów skontaktuje się z tobą. Sprawa jest pilna.

- Świetnie! - zgodziła się z entuzjazmem Susan. To był najwspanialszy dzień w jej życiu. - Z przyjemnością wam pomogę. Do zobaczenia, Mistrzu.

- Do zobaczenia.

Susan odprowadziła wzrokiem Mistrza, który zniknął w przejściu na drugi dziedziniec. Zauważyła, że się garbi. Jak pielgrzym pod ciężarem krzyża.

Andrew, Ivan i Sebastien spotkali się w bibliotece przy trzecim dziedzińcu. Symes

poinformował ich, że Mistrz wkrótce się zjawi.

Gdzie się podziała Tanya?

Podziwiali tymczasem książki, których grzbiety lśniły w słabym blasku lamp stojących na kominku. W bibliotece znajdowały się dzieła ze wszystkich chyba dziedzin: tomy dotyczące nauk ścisłych sąsiadowały z traktatami filozoficznymi, a ustawione równiutko kodeksy prawne - z arcydziełami literatur narodowych. Politykę połączono na jednej półce z religią, łagodząc nieco ich antagonizm podręcznikami psychologii i ekonomii. Regały sięgały od podłogi do sufitu i zawierały strawę duchową dla Mistrza. Przekopywał się przez zapiski ludzkich dziejów i myśli, usiłując choć trochę zrozumieć tę dziwną istotę, jaką jest człowiek. Co odkrył, przeczytawszy wszystkie te książki? Jakie tajniki ludzkiego umysłu przeniknął? Co wiedział o żądzy sukcesu, władzy i chwały? O tym Ivan nie miał pojęcia, ale jednego był pewien: w duchu podziwiał Mistrza i szczerze mu zazdrościł. Zazdrościł mu władzy, wiedzy, książek, apartamentów, pozornie niewyczerpanego geniuszu, a najbardziej zazdrościł mu godności Mistrza, z której wyrosła jego potęga. Był też przekonany, że taka sama zazdrość zżera jego rywali.

Gdzie Tanya? Sebastien nie przestawał się dziwić. Czyżby jednak postanowiła nie startować? Na to wyglądało. Cieszył się z tego, bo nie chciał się z nią mierzyć. Obojgu sprawiłoby to przykrość, choć nie miał wątpliwości, kto wygra. Po prostu nie chciał stracić Tanyi; wolałby, żeby została z nim, kiedy podejmie wyzwanie. Mogłaby go wspierać swoją miłością, zachęcać do wysiłku. Uśmiechając się lekko, obserwował pozostałą dwójkę. Musieli zdawać sobie sprawę, że w konkursie sprzymierzy się z Tanya. Co oni na to? Bo on wiedziałby, jak się zachować.

W tejże chwili otworzyły się drzwi biblioteki i do pokoju weszła Tanya. Miała na sobie prześliczną sukienkę, doskonale podkreślającą walory jej figury. Mimo że uśmiechała się do wszystkich promiennie, Sebastien widział, że jest na niego wściekła. Usiadła na sofie obok Andrew, z uporem unikając wzroku Sebastiena. Jakoś jej to wynagrodzi, chociaż same przeprosiny pewnie nie wystarczą. Chciał właśnie coś powiedzieć, gdy nagle pojawienie się Mistrza zamknęło mu usta.

- Rozumiem, że wszyscy czworo postanowiliście przyjąć nominację - powiedział Mistrz. Popatrzyli niepewnie po sobie, nie chcąc tak otwarcie przyznawać się do swych ambicji.

- Tak - odpowiedzieli kolejno.

- Zastanówcie się dobrze, bo potem nie będzie odwrotu. Biorąc udział w konkursie, tracicie status Adeptów. Jednemu z was będzie wolno wrócić do Akademii, ale dopiero w roli

Mistrza. Przysięga zachowania tajemnicy obowiązuje jednak wszystkich dożywotnio.

- Tak - powtórzyli bez wahania.

- Doskonale.

Nie odrywali wzroku od Mistrza. Jego najbliższe słowa miały mieć dla nich kapitalne znaczenie.

- Już wam mówiłem, że to Arbitrzy określają zasady gry. Ja jestem im równie posłuszny, jak wy - powiedział i wyjął z kieszeni zalakowany list. Złamał pieczęć i przeczytał na głos: „Następny Bankiet Adeptów odbędzie się w wigilię Bożego Narodzenia o godzinie 20.00. Uczestnik konkursu, który do tej pory stawi się przed Arbitrami, zostanie Mistrzem, o ile wcześniej zdeponuje na wskazanym przez nich rachunku bankowym dwadzieścia milionów dolarów, zdobytych własnym sumptem”.

Zapadła grobowa cisza. Adeptom jakby odjęło mowę. Mistrz przyglądał im się, wiedząc, co myślą.

Andrew jęknął mimo woli. Nie wierzył własnym uszom. Był przekonany, że rywalizacja o przywództwo Akademii będzie konkursem umysłów, starciem geniuszów, a tymczasem okazuje się, że jest to licytacja, na której urząd Mistrza zostanie sprzedany temu, kto zaoferuje lepszą cenę. Widział, że inni też są oszołomieni - ten jeden raz nie zdołali skryć zaskoczenia pod maską obojętności.

Nikt się tego nie spodziewał. Po co Akademii dwadzieścia milionów dolarów? To było niedorzeczne. Przecież fundacja miała dość pieniędzy. Jak to wyjaśnić? Czy Arbitrzy powariowali? Czy może Akademia, jak wiele instytucji, padła łupem chciwców, którzy zamierzali sprzedać fotel Mistrza najlepszemu kupcowi, tak jak Rzymianie sprzedawali cesarską purpurę? Przerazenie odbiło się na twarzy Andrew. To niemożliwe, powtórzył sobie w duchu. Na pewno się przesłyszał albo coś mu się przyśniło.

A jednak wiedział, że naprawdę usłyszał te słowa. Otarł pot z czoła. Oczy pałały mu gniewem i pogardą: był zły na siebie za wygórowane ambicje, a pogardzał w tej chwili Mistrzem. To za to zginął Rex Boone?!

Pierwszy otrząsnął się z szoku Sebastien. Uśmiechnął się krzywo: właśnie startowali w grze, w której nikt nie przewidział warunków zwycięstwa. Sprytne, bardzo sprytne. Arbitrzy wcale nie zwariowali, mieli swoje powody, by podjąć taką decyzję. Sebastien był pewien, że je zna.

- Jak mamy zdobyć te pieniądze? - zapytał.

- Decyzja należy do was.

- Legalnie czy nie?

- Decyzja należy do was - powtórzył Mistrz i dodał: - Macie wolną rękę. Zgodziliście się wziąć udział w grze i teraz sami zadecydujecie o swojej przyszłości.

Ivan milczał, gdyż nie zamierzał się z nikim dzielić swoimi myślami. Oczywiście, że oficjalnie Akademia nie potrzebowała pieniędzy: dysponowała znacznym funduszem z darów ludzi związanych „obietnicą”. Dlaczego więc kazano im zgromadzić dwadzieścia milionów w ciągu roku? Czemu aż tyle? Czy Rex odkrył, że Akademia jest zamieszana w jakieś podejrzane machinacje? Coś z bronią atomową? Niespłacony dług? Nasuwa się też inne pytanie, jeszcze ciekawsze: kto skorzysta na tych pieniądzach - Akademia czy sami Arbitrzy? A może Mistrz?

Nienaturalnie blada Tanya odchrząknęła i spytała:

- W liście użyto sformułowania „własnym sumptem”. Co to znaczy?

- Że przy zdobywaniu tych pieniędzy nie wolno korzystać wam z bezpośredniej pomocy żadnego kraju, firmy ani instytucji, dla której pracujecie - wyjaśnił Mistrz. - Nie możecie również wziąć pożyczki ani darowizny od osoby trzeciej. Musicie zgromadzić tę sumę, wykorzystując własne zdolności i umiejętności.

Cwani goście, pomyślał Sebastien. Gdyby nie to zastrzeżenie, bez trudu namówiłby rząd Brazylii albo Stanów Zjednoczonych do pomocy w zamian za przyszłe usługi. Mógł oczywiście zlekceważyć zakaz, ale należałoby zachować szczególną czujność. Adeptci znajdowali się przecież na najwyższych stanowiskach we władzach wielu krajów. A może by tak ukraść te pieniądze? To jest jakiś pomysł... Ale nie ma sensu się spieszyć. Po śmierci Reksa Sebastien nie widział godnych siebie rywali. Kogo powinien najbardziej się obawiać? Spojrzał na Tanyę, przeniósł wzrok na Ivana i Andrew. Z Tanyą się sprzymierzy, żeby zwiększyć swoje szanse na starcie. Zostawali ci dwaj.

Andrew chyba był groźniejszy; żołnierz wygra z politykiem, filozof ze szpiegiem. Tylko że...

Wszyscy w milczeniu rozważali swoje szanse. Tanya rozmyślała, że to absurd zarobić legalnie przez rok dwadzieścia milionów. Musiała jednak przyznać, że wymagania wcale nie są pozbawione logiki. W tym konkursie wszyscy zaczynają od jednakowego poziomu, bez względu na to, co umieją i jakie mają znajomości. Nikt nie miał na starcie przewagi nad pozostałymi. Działając nielegalnie, wiele by ryzykowali. Nie będą przecież mieli oparcia w Akademii, a przymusowy pobyt w zagranicznym więzieniu uniemożliwi im przybycie na czas na Tirah. Spojrzała na Mistrza: co on myśli o takiej rywalizacji? Mistrz siedział z kamienną twarzą, co jeszcze bardziej ją niepokoiło. Co robił w pokoju Reksa? Czy wiedział, jak naprawdę zginął Rex? Wzdrygnęła się. Może mimo wszystko powinna dogadać się z

Sebastienem? I powiedzieć mu od razu o swojej decyzji?

- Napisano tu „uczestnik konkursu” - zauważył Ivan. - Co się stanie, gdy przed Arbitrami stawi się więcej niż jedna osoba?

- Słowa Arbitrów możecie interpretować, jak chcecie - odparł Mistrz. - Oni nie udzielą wam żadnych wyjaśnień.

- Rozumiem.

Czy o to właśnie im chodziło, żeby na placu boju pozostał tylko jeden pretendent?

- Jest jeszcze jedna sprawa - odezwał się Mistrz. - Jak już wspomniałem, od tej pory jesteście zdani wyłącznie na siebie. Nikt w Akademii - ani Arbitrzy, ani Mistrz - nie pomoże wam w konkursie. Od dziś nie jesteście Adeptami i nie zostaniecie wpuszczeni na teren Akademii do dnia, w którym macie się stawić przed Arbitrami. Czas chyba, byście zaczęli doceniać wagę czekającego was zadania. Sami tego chcieliście. Powodzenia - i żegnajcie.

Z grobową powagą podali sobie ręce i Mistrz sprowadził ich na parter. Na dole czekał już na nich Symes. Idąc w ślad za nim, po raz ostatni opuścili trzeci dziedziniec. Stary lokaj nie miał pojęcia, czego dotyczyło spotkanie.

Mistrz wrócił do gabinetu i usiadł przy stole. Za chwilę miał spotkanie z premierem Chin, nieco później miał przybyć prezydent Meksyku, żeby porozmawiać o krwawym powstaniu w Chiapas. Spotkania i rozmowy telefoniczne przeciągną się aż do nocy. Praca Mistrza nie miała końca, a jednak wszystko, co ludzkie, kiedyś się przecież kończy... I ma swoją cenę.

Mistrz westchnął. Jaka była cena za jego stanowisko?

## ROZDZIAŁ 9

*Niewielka wiedza - to zysk na przyszłość; wielka wiedza - to zaskoczenie.*

Lao-Cy

### **Styczeń. Kongo**

Andrew wjechał do obozu dla przesiedleńców w Kapandze, małej miścinie na południu



Konga. Minęły dwa tygodnie, odkąd porzucili Akademię i rozpoczęli rywalizację o tytuł Mistrza. Andrew prosto z Tirah udał się do Afryki, by dokończyć zadanie zlecone mu przez ONZ. Dopiero wtedy będzie mógł spokojnie poświęcić się konkursowi. Przed opuszczeniem Konga chciał jeszcze spotkać się z ocalonymi przed miesiącem wieśniakami. Trafił do szopy w głębi obozu, gdzie mieścił się szpital.

- Masz telefon? - zapytał Obedi w języku suahili.

Andrew, blondyn o spalonej słońcem twarzy i poszerzającej się łysinie, nie był przystojnym człowiekiem. Ciemnoniebieskie oczy błyszcząły jednak z ożywieniem, a to dla Obediego liczyło się najbardziej. Bo kiedy płomień życia znika z oczu, znaczy to, że od takich ludzi lepiej trzymać się z daleka. Tylko w rodzinie było inaczej. Z rodziną zostawało się do samego końca - kiedy człowiekowi zabrakło rodziny, nie miał już nikogo.

- Nie zabrałem telefonu.

- Och... - zmartwił się Obedi i zmrużył oczy.

Siedzieli na drewnianej ławce pod ścianą szpitala. Obedi przebierał palcami nóg w żółtym kurzu. W obozie panował gwar: mieszkańcy spiesznie ustawiali się w kolejce po darmową żywność. Andrew odnalazł znajomego siedmiolatka w samym środku zamieszania. Obedi siedział spokojnie na ławeczce i przyglądał się temu, co się działo.

- Jak się czujesz?

- Lepiej. Dają nam tu jeść. I ręka mnie już tak nie boli. - Obedi pomacał założony rano opatrunek. Białą bandaż zaczynał z wolna żółknąć od brudu.

- To świetnie. A jak twoja siostra?

- W porządku. Opiekuje się dziećmi.

- Rozumiem.

Andrew czekał na dalsze pytania chłopca i patrzył, jak tłum tratuje się w walce o żywność. Pomyślał, że ci ludzie zachowują się gorzej niż bydło.

- Długo tu zostaniesz?

- Kilka dni. ONZ chce sprowadzić jeszcze jedną grupę uchodźców, z północy. Może będę musiał im pomóc.

- Aha. - Obedi przesunął się na ławce tak, by zasłonić zranione ramię przed słońcem. - A kiedy skończą się walki?

- Nie wiem. Ale mam nadzieję, że niedługo.

- Zajmiesz się tym?

- Cały czas się tym zajmuję.

- Razem z tymi ludźmi w telefonie?

- Właśnie, razem z nimi.

- A potem co będziesz robił?

- Mam ważną sprawę do załatwienia - odparł Andrew. Nie mógł przecież wyjaśnić dziecku, że bierze udział w konkursie, w którym stawką jest jedno z najbardziej wpływowych stanowisk na świecie. Że walczy o pozycję człowieka, który cały czas usiłuje powstrzymać walki w Kongu i dziesiątkach innych miejsc na świecie.

- Wrócisz do nas?

- Tak, ale nieprędko.

Obedi pokiwał z namysłem głową.

- A kiedy wrócisz, przyjdiesz się ze mną zobaczyć? Jeżeli jeszcze będę żył?

- Tak, na pewno się spotkamy - zapewnił chłopca Andrew i pogłaskał go po głowie. -

A teraz chyba powinienem porozmawiać z twoją siostrą.

Przedarłszy się przez tłum, stanęli przed wejściem do szpitala.

- Tam jest. - Obedi wskazał wychudzoną dziewczynę w czerwonej sukience. Mogła mieć najwyżej piętnaście lat. Była bosa, w sukience o wiele za dużej na jej drobne, wychudzone ciało. Pewnie oddawała jedzenie bratu.

Odwróciła się i posłała im zbolące spojrzenie. Pilnowała dzieci grających w klasy.

- Jak twoja siostra ma na imię?

- Shisvannah.

- Dziękuję. Idź, znajdź sobie coś do jedzenia.

Gdy Obedi odszedł, Andrew przysiadł się do dziewczyny i zaczęli rozmawiać. Tak jak przypuszczał, Shisvannah i Obedi nie mieli żadnych krewnych - wszyscy zginęli, kiedy rebelianci wymordowali mieszkańców wioski. Andrew dał jej trochę pieniędzy i kazał opiekować się bratem. Obiecał też, że wróci, gdy tylko znajdzie wolną chwilę. Zamierzał również poprosić urzędników ONZ, by zainteresowali się ich losem, chociaż zdawał sobie sprawę, że niewiele to zmieni. Mieli przecież pod opieką tysiące sierot.

Na koniec powiedział Shisvannah, żeby poszła coś zjeść. Zapewnił ją, że popilnuje przez ten czas dzieci.

Usiadł i oparł się plecami o ścianę chaty. Był wyczerpany. Wbrew ugodzie wynegocjowanej przez ONZ buntownicy zapuszczali się daleko na południe kraju, walki trwały, a ofiar przybywało. Tym razem nawet wpływy Mistrza nie mogły zapobiec dalszemu rozlewowi krwi.

Andrew pomyślał, że siedzi tu całkiem niepotrzebnie. Konkurs się zaczął, a on w Kongu marnuje tylko czas. Dwadzieścia milionów dolarów to więcej, niż wynosi majątek

całej prowincji, w której znajduje się Kapanga. Patrzył na bawiące się dzieci i rozmyślał, jaki los czeka Obediego i jego siostrę. Jako sieroty mieli niewielkie szanse przetrwania. Brak jedzenia bardzo ich osłabiał. Wsparł głowę na dłoniach, próbując uporządkować myśli.

- Nie możesz skoczyć na to pole!

- Dlaczego?

- Nie możesz i już. Musisz najpierw skoczyć tutaj. - Starsza, może sześćioletnia dziewczynka, wskazała wyrysowany na ziemi kwadrat i szturchnęła młodszą w pierś. - Wracaj na początek i zaczynaj jeszcze raz!

- Ale dlaczego?!

- Bo tak się w to gra.

- Ale ja chcę tu skoczyć.

- Nie.

Patrząc na kłójące się dzieci, nagle doznał olśnienia. Gra w klasy i jego konkurs miały jedną wspólną cechę! Mistrz mówił o konkursie jak o „grze”, a wszystkie gry mają swoje zasady. Mistrz wyjaśnił, że należy zgromadzić dwadzieścia milionów i w określonym dniu stawić się przed Arbitrami. Nikt jednak nie zadał podstawowych pytań: w jakiej sytuacji ogłasza się konkurs, ilu powinno być uczestników, jak się ich dobiera? Wszystkie warunki konkursu musiały być przecież precyzyjnie określone. Jak zatem brzmiały brakujące reguły? Gdzie należało ich szukać?

Co do ostatniej kwestii Andrew nie miał żadnych wątpliwości: oczywiście w Akademii. W najbezpieczniejszym miejscu na świecie.

Wstał, żeby pożegnać się z Obedim.

## **Rotterdam, Holandia**

Andrew siedział na rozklekotanym plastikowym krześle w brudnym, zapuszczonym biurze. Magazyn, którego przednią część zajmowało biuro, znajdował się w zapomnianym zakątku doków w porcie w Rotterdamie. Przypadkowy obserwator nie zwróciłby pewnie na niego żadnej uwagi, tym bardziej że na ścianie widniał szyld firmy transportowej. Nie wyróżniał się spośród innych portowych zabudowań, zaniedbanych i niechlujnych. Pozory jednak mogą mylić, a w wypadku magazynów wojskowych mylą prawie zawsze.

Wnętrze podzielono na mniejsze pomieszczenia, mieszczące prawdziwy arsenał. Magazyn należał do grupy holenderskich najemników. Andrew od lat utrzymywał bliski kontakt zarówno z nimi, jak i z innymi wojskowymi i terrorystycznymi organizacjami na

świecie. Dzięki temu mógł ocenić potencjał militarny różnych państw, co bardzo przydawało się Mistrzowi. Tak właśnie powstawała pajęcza sieć Akademii.

- Cześć, Andrew!

Holender podał mu rękę na powitanie i usiadł za podniszczonym metalowym biurkiem. Był przysadzisty, miał masywne ramiona, wydatny brzuch, rzędzące rude włosy, wiecznie rumiane policzki i podobny do kartofla nos - słowem, nikt by go nie podejrzewał o jakiegokolwiek związku z wojskiem. Znacznie bardziej przypominał rzeźnika niż żołnierza. A jeśli nie rzeźnika, to prowincjonalnego proboszcza, który nazbyt chętnie korzysta z gościnności parafian.

W rzeczywistości zaś dowodził oddziałem najemników. Andrew znał go od dawna, wiedział też wszystko o jego akcjach. Tymczasem Holender nie wiedział o nim nic, poza tym, że jest konsultantem ONZ i ma niezwykłą zdolność zjawiania się z nienacką w różnych punktach zapalnych na całym świecie. Nic go nie obchodziło, kim Andrew jest naprawdę, choć miał co do tego pewne przypuszczenia.

Kilka lat temu w dżungli Nowej Gwinei Andrew uratował życie Holendrowi i jego dwóm towarzyszom, kiedy dostali się w ręce przeciwników, którzy chcieli ich wypatroszyć. Dlatego właśnie Holender ufał mu bezgranicznie i uważał, że ma wielki dług do spłacenia.

Dług, o który Andrew właśnie zamierzał się upomnieć.

- Potrzebuję twojej pomocy, Pieter. Chcę odwiedzić pewną wyspę.

- Doskonale! Urlop dobrze ci zrobi - zauważył Pieter i wstał. Mówił po angielsku z wyraźnym obcym akcentem. - Chodź, przejdziemy się. - Wziął z biurka paczkę rosyjskich papierosów. Niedawno wrócił z Uralu.

Usiedli przy nabrzeżu na masywnych pachołkach, obserwując wchodzące do portu olbrzymie tankowce. Mżyło lekko, nad wodą unosiła się delikatna mgiełka.

- Muszę niepostrzeżenie dostać się na tę wyspę, a później równie niepostrzeżenie z niej zniknąć - powiedział Andrew. - Do tego potrzebny mi będzie wasz sprzęt. Kupię najlepszy, jaki macie.

Holender pokiwał głową i zapalił papierosa. Czym jak czym, ale ewentualnym rakiem płuc najemnik naprawdę nie musiał się przejmować.

- Da się zrobić. Kiedy?

- Za trzy tygodnie.

- Powiedz mi coś więcej. Co to za wyspa?

Andrew zawahał się.

- Zaraz ci powiem - odparł i zaczął opisywać Tirah, nie zdradzając jej nazwy.

Była wyjątkowo niewdzięcznym celem eskapady, i to z kilku powodów. Po pierwsze, znajdowała się daleko od stałego lądu. Po drugie, miała tylko jeden port dla promów i jedno lądowisko dla śmigłowców; portu i lądowiska dzień i noc pilnowano. Po trzecie, strome klify wybrzeża i zdradzieckie prądy morskie nie pozwalały bezpiecznie podejść do wyspy od innej strony niż ta, gdzie znajdował się port. Sama topografia Tirah odstraszała nieproszonych gości. Właśnie dlatego Władca Wysp postanowił oddać ją Akademii. Andrew zakończył relację stwierdzeniem, że nie pozostaje mu nic innego, jak udać się tam samolotem pod osłoną nocy.

Holender odchrząknął z namysłem.

- Mają radar? - zapytał.

- Na pewno. Ale przeczesują nim chyba tylko wysoki pułap, powyżej dwustu metrów. Na mniejszej wysokości są duże zakłócenia. Nie powinni namierzyć małego śmigłowca, lecącego nisko nad urwiskiem. Zwłaszcza gdyby nadleciał od północnego zachodu, od strony gór. Wycieczka będzie ryzykowna, bez dwóch zdań. O tej porze roku paskudnie tam wieje. Potrzebny mi doświadczony pilot, który w razie potrzeby poprowadzi maszynę tylko według przyrządów.

- Mów dalej - zachęcił go Holender. Na razie do niczego się nie zobowiązał. Nie musiał w to wchodzić, nawet jeśli ten gość uratował mu życie.

- Przy takiej metodzie szanse dostania się na wyspę są całkiem spore. Tym bardziej że nikt się mnie nie spodziewa. Jest tam tylko jeden ciekawy obiekt: zamek.

- Zamek? Kto w nim mieszka? - zainteresował się najemnik. Zamek... może to więzienie? Czy Andrew chciał kogoś wyciągnąć z ciupy?

Andrew odparł, że poza zamkiem wyspa jest właściwie nie zamieszкана, a w zamku o tej porze roku nie powinno znajdować się więcej niż trzydzieści osób. Wyjaśnił też, że prawdziwy problem polega na dostaniu się do wnętrza tej budowli, której planów nigdy nie widział. Prawdopodobnie w ogóle nie istniały.

Holender nie ukrywał zaskoczenia.

- Gdzieś przecież muszą jakieś być! Rosjanie i Amerykanie mają mapy satelitarne każdego skrawka ziemi.

- Niewykluczone - zgodził się Andrew. - Nie chodzi mi jednak o sam gmach, lecz o podziemia. To istny labirynt.

- Serio? Byłeś tam? - Holender zdusił niedopałek papierosa i zapatrzył się na przepływający nieopodal tankowiec.

Andrew musiał przyznać, że tylko się tego domyśla. Pokoje przy trzecim dziedzińcu

zajmował człowiek, który potajemnie wchodził do nich i wychodził, kiedy chciał. A ponieważ z korytarzy zamku nie prowadziła tam żadna droga, wejście musiało znajdować się pod ziemią.

Holender obserwował go bacznie. Trzeci dziedziniec... Nie wyglądało to na placówkę wojskową, bardziej na szpital albo instytut naukowy. Kim był ten tajemniczy człowiek? Czy Andrew chciał go zlikwidować?

- Zamek ma trzy dziedzińce - ciągnął Andrew. - Jak się domyślam, na trzeci najtrudniej się dostać. Szczerze mówiąc, wydaje się to niemożliwe.

- Ale ty właśnie tam się wybierasz?

- Tak - odparł Andrew z uśmiechem.

- To logiczne - przyznał ponuro Pieter. - Po co pchać się gdzie indziej? Czy poza tunelem jest tam jakieś inne wejście?

Wstali i ruszyli wzdłuż nabrzeża. Holender kopnął do wody pustą puszkę po coca-coli. A więc to nie więzienie, raczej jakaś instytucja wojskowa.

- Znam tylko jedno wejście na trzeci dziedziniec: w murze są drzwi. Ale nie liczyłbym na nie. Nie znam szyfru, a poza tym na pewno są pod obserwacją.

Andrew wiedział, że drzwi wszystkich apartamentów w Akademii są zaopatrzone w zamki szyfrowe. Drzwi na trzecim podwórzu również. Na pierwszym i drugim podwórzu nie zainstalowano chyba podobnych zabezpieczeń, gdyż Akademia była pewna swojej nietykalności.

- Co proponujesz? - spytał Holender i zerknął na zegarek. Miał mało czasu. Tego dnia odbierał jeszcze transport granatników od swoich chińskich przyjaciół, a oni zawsze żądali gotówki od ręki.

Andrew wyjaśnił, że nie zamierza pchać się do zamku główną bramą ani próbować przedostać się bezpośrednio na trzeci dziedziniec. Chciał znaleźć się jakoś na drugim dziedzińcu, skąd tunelem udałby się dalej. Dlatego musiał najpierw wspiąć się na nadmorskie urwisko, a potem na zbudowany z granitowych bloków mur zamku. Potrzebował do tego wyposażenia wspinaczkowego, jakiego używali amerykańscy komandosi.

Chwilę zajęło im ustalenie szczegółów, czasu dostawy i ceny sprzętu. Holender bez entuzjazmu przyznał, że może załatwić wszystko, o co Andrew prosił, ale obudziła się w nim wrodzona ostrożność. Wszystko wskazywało na to, że bierze udział w przygotowaniach do zabójstwa, i jego opinia na temat Andrew gwałtownie ulegała zmianie. Pieter nie był pewien, czy chce się w to mieszać.

- Co z tym człowiekiem, który mieszka przy trzecim dziedzińcu? - zapytał. - Skąd

będziesz wiedział, że tam jest?

- Mam nadzieję, że go nie zastanę - odparł Andrew. - Chociaż pewności mieć nie mogę.

Postanowił włamać się do Akademii w dniu, w którym Mistrz powinien znajdować się z dala od Tirah. Dwudziestego szóstego lutego w Chicago miało się odbyć spotkanie szefów krajów grupy G10, którzy chcieli przedyskutować globalne przemiany gospodarcze. Mistrz zapewne uda się w tym czasie do Stanów, by w cztery oczy porozmawiać z głowami państw.

A jeśli się mylił? Jeżeli ktoś go nakryje i nie pozwoli mu uciec? Postanowił się tym na razie nie martwić.

- Coś jeszcze? - zapytał Holender.

- Nie. - Andrew zatrzymał się przy końcu nabrzeża. - Reszta należy do mnie.

- Czyli nic więcej mi nie powiesz? Rozumiem. - Holender zaśmiał się cicho. Zawrócili w kierunku biura. - To sprawa ściśle tajna.

- Tak. Chcę pożyczyć helikopter i sprzęt do wykrywania pustych przestrzeni między ścianami.

- Zrobi się. Coś jeszcze?

- Elektroniczne urządzenia zakłócające, najlepsze, jakie macie.

- To wszystko?

- Tak, to wszystko. Muszę dostać się na wyspę i odlecieć z niej tej samej nocy. Potrzebny mi będzie pilot, któremu mogę całkowicie zaufać. Masz kogoś takiego?

- Chciałbyś, żebym ja poleciał? - spytał Holender i zapalił drugiego papierosa. Powinien ograniczyć palenie, choćby do dwóch paczek dziennie.

- Tak. Tylko ty dochowasz tajemnicy.

Holender zastanowił się. Nie podobało mu się to, co usłyszał, ale był winien Andrew przysługę. Zawsze spłacał długi.

- Dobra. Ale muszę wiedzieć, co to za wyspa. Jeżeli lecisz na Nową Gwineę, to mowy nie ma.

Nie chciałby ponownie spotkać się z tamtejszymi tubylcami.

- Nie - uspokoił go Andrew. - Ta wyspa leży na zachód od Szkocji.

Pieter wyciągnął z kieszeni mały atlas i otworzył go na stronie z mapą Szkocji. Przeczytał na głos kilka nazw wysp, ale Andrew za każdym razem kręcił przecząco głową. Zapadła cisza, a potem Holender podniósł wzrok.

- Jasny gwint! - wykrztusił. - Chyba nie chcesz lecieć na Tirah?!

- A jednak.

- To niemożliwe!

Na twarzy najemnika odbiła się konsternacja. Nikt, kogo znał, nie wiedział nawet, jak Tirah wygląda.

- Możliwe. Dam ci współrzędne.

Przystanęli przed drzwiami biura.

- Po co chcesz tam lecieć? - spytał zaintrygowany. - Zawsze myślałem, że możesz być Adeptem, ale dlaczego miałbyś się włamywać do Akademii?

- To moja słodka tajemnica. - Andrew się uśmiechnął. - Może po prostu chcę wrócić do domu?

Sztormowe fale były wściekle o klify Tirah. Wielkie bryzgi piany z ogłuszającym rykiem wzbijały się w powietrze. Urwiska wznosiły się stromo, majestatycznie wprost z dna oceanu, sięgając czterystu metrów ponad poziom morza, ale w nocnym mroku pozostawały niewidoczne. Przyrządy śmigłowca wskazywały jednak, że są blisko. Holender zwolnił.

Wystartowali z północnej Szkocji przy wietrze o sile siedmiu stopni w skali Beauforta. Wichura wzmogła się do dziewiątki, gdy znaleźli się nad Atlantykiem i zaczęli zbliżać się do wyspy od północnego zachodu.

Niełatwo było zapanować nad miotaną wiatrem maszyną. Kilkakrotnie, gdy silnik skowyczał z wysiłku, Holender proponował, żeby zawrócili, ale Andrew był niewzruszony. Kręcił przecząco głową i zapewniał, że są już blisko - jakby stanowiło to jakieś pocieszenie. Lecieli więc dalej, choć Pieter czuł, jak serce podchodzi mu do gardła ze strachu. Z doświadczenia wiedział, że istnieje bariera ryzyka, której nie należy przekraczać. Helikopter nie był przystosowany do lotów przy takiej pogodzie i w każdej chwili mogli spaść do wody. Nawet gdyby przeżyli sam upadek, w dwie minuty umarliby z wychłodzenia. Przy tej wyprawie bladły wspomnienia wszystkich poprzednich ekspedycji. Może nawet Nowa Gwinea nie była aż taka zła...

- Minuta do strefy zrzutu.

- Jesteś pewien współrzędnych?

Holender uśmiechnął się krzywo.

- Jeżeli się pomyliłem, to sobie trochę popływasz.

Poderwał maszynę, zmuszając silniki do morderczego wysiłku. Sądząc po wskazaniach przyrządów, wyspa musiała znajdować się zaledwie kilkaset metrów przed nimi. Nagle Andrew krzyknął ostrzegawczo, ale już było za późno. Pieter włączył szperacz i w jego świetle dostrzegł strzelające pod niebo skalne ściany. Piętrzyły się przed dziobem śmigłowca,



majestatyczne i groźne niczym potwór z morskich głębin. I znajdowały się o wiele za blisko. Gwałtowny prąd wznoszący okręcił śmigłowiec dookoła i pchnął w górę. A potem nagle ucichł. Maszyna zaczęła spadać wprost w białą kipieli.

- Jasny gwint!

Holender zmagął się ze sterami, usiłując odsunąć się od skał, ale był bezradny. Spadali jak kamień. Mogli tylko patrzeć, niczym widzowie w kinie, na przemykające za oknem zębate klify Tirah. Spienione fale były coraz bliżej. Pieter krzyknął z przerażenia:

- Już po nas!

Ostatnim, desperackim szarpnięciem sterów skręcił maszynę w bok. Nic innego nie mógł zrobić - i tak musieli się rozbić. Silnik ryknął i zaczął się krztusić, cały śmigłowiec zadygotał rozpaczliwie, łopaty wirnika musnęły wodę; tylne okienko w kabinie trzasnęło z hukiem. Lampki wskaźników pogasły. To był koniec. Holender złapał się na tym, że się modli. Pewnie wszystkie jego dawne żony byłyby tym niezmiernie zdziwione.

Nagle, cudownym zrządzeniem losu, śmigłowiec dostał się w sam środek wzburzonej masy powietrza - która, odbita od skał urwiska, pędziła z prędkością dwustu kilometrów na godzinę - i został wypchnięty wysoko w górę. Jego pasażerowie poczuli się przez chwilę jak w kolejce górskiej bez hamulców i pasów bezpieczeństwa.

- Jezu Chryste! - wystękał Holender, spocony jak mysz. Zapomniał już o pacierzu. - Chyba żyjemy.

Andrew bez słowa spojrział na migoczące światła pulpitu, po czym odparł spokojnie:

- Musimy podejść bardziej od północy. I na większej wysokości. Skryjemy się za Mullach Mor. Ma sześćset metrów. Tylko uważaj na kolumny, przy takim wietrze musisz je oblecieć bokiem, a nie pchać się w środek.

Pięć skalnych igieł - kolumn - wyrastało z oceanu na wprost przed śmigłowcem. Kiedyś stanowiły część Tirah, ale przed milionami lat odłamały się i wbiły w dno oceanu. Wystarczyło o nie zahaczyć, a byłoby po wycieczce.

- Jezu, Isabel! - mruknął Holender, myśląc o swojej nowej dziewczynie. - Ja chcę do domu!

Dziesięć minut później znaleźli się nad zachodnim zboczem Mullach Mor. Śmigłowiec zawisł nieruchomo kilka metrów nad ziemią. Andrew wyrzucił swój bagaż i odwrócił się do wyglądającego jak siedem nieszczęść pilota. Twarz miał mokrą od deszczu.

- Dzięki, Pieter. Umawiamy się o piątej rano, w tym samym miejscu. Ustawię radiolatarnię. Jeżeli mnie nie będzie, wracaj sam. Nie czekaj. Jasne?

- Aż za bardzo. - Holender z trudem wygrzebał z kieszeni papierosa.

- No to powodzenia - rzucił Andrew i dodał od niechcienia: - Pogoda chyba się jeszcze pogorszy.

I skrył się w ciemności. Pieter nie skomentował jego uwagi. Zawrócił czym prędzej w stronę stałego lądu, marząc o solidnym drinku. Może powinien spróbować ożenić się po raz trzeci? To mniejsze ryzyko niż takie nocne loty.

Andrew namacał w ciemnościach plecak i zarzucił go na ramiona. Znajdował się pięć kilometrów od Akademii. Było całkiem ciemno i spokojnie, jeśli nie liczyć wycia wiatru i łoskotu rozbijających się w dole fal. Mógłby krzyzczeć ile sił w płucach, a człowiek stojący dwa kroki od niego nic by nie słyszał. Zapalił latarkę i ruszył w drogę.

Śnieg i lód na Tirah stopiły się. Deszcz padał od kilku dni i Andrew słyszał, jak buty mlaskają mu w błocie. Obszedłszy Mullach Mor, zanurzył się w świerkowy las, a po dwóch godzinach forsownego marszu dostrzegł majaczący w ciemnościach zamek.

Zatrzymał się, odetchnął głęboko i poświecił na czarną skałę. Wyglądała na idealnie gładką, i to od samej podstawy, zanim jeszcze zaczynały się granitowe bloki murów. Woda ściekała po niej wartkimi strumieniami. Szukając w plecaku liny i haków, wspominał dawne wyprawy. Nocną wspinaczkę w Andach Peruwiańskich, gdzie przed laty udał się z oddziałem amerykańskich komandosów, żeby na miejscu ocenić siły partyzantów Świetlistego Szlaku. Samotną wędrówkę przez dżunglę na Borneo, kiedy niósł wiadomość o planowanym zamachu na miejscowego polityka, którego śmierć groziła wybuchem wojny międzyplemiennej. Straszna podróż przez góry dalekiego królestwa Bhutanu, której trudów jego towarzysz nie wytrzymał, a sam Andrew cudem uniknął śmierci. Cieszyły go te zmagania z przyrodą i zdobywanie dla Akademii wiedzy, którą wykorzystywano później dla zachowania pokoju na świecie. Pokręcił smutno głową. Właśnie próbował się włamać do Akademii, do której nie zdoła wrócić, jeśli nie zostanie Mistrzem.

Zaczął się piąć w górę. Wspinaczka była trudna nawet dla tak doświadczonego alpinisty jak on i kilkakrotnie nogi ześlizgiwały mu się ze zlanych wodą skalnych stopni. Ryk wiatru zagłuszał stuk młotka, gdy Andrew wbijał haki najpierw w skałę, a potem w granitowy mur. Wreszcie - sto metrów nad ziemią - osiągnął szczyt muru i wyrzwał spomiędzy blanków na dół. Pod nim znajdował się drugi dziedziniec, ten z ogrodem. Do muru w tym miejscu przylegała biblioteka. Andrew powiódł wzrokiem po blankach. Miał rację: na trzeci dziedziniec nie dostałby się po murze, gdyż osadzono w nim liczne zaostrome pręty. Nie pozostało mu nic innego, jak zejść do ogrodu. Zaczął wypuszczać linę, odmierzając orientacyjnie jej długość. Nie spodziewał się znaleźć na murze czujników ciepła i ruchu - byłyby bezużyteczne w śniegu i deszczu. Nie powinno ich też być w ogrodzie, do którego

wszyscy Adeptci mieli swobodny dostęp.

Trzeci dziedziniec mógł natomiast wyglądać inaczej. Był pewnie naszpikowany aparaturą. Dlatego też należało skorzystać z innej drogi, której istnienia zwykły intruz nawet nie podejrzewałby. Musiał przyznać rację Holendrowi, do Akademii nie sposób dostać się po kryjomu. Chyba że było się Adeptem i znało w przybliżeniu rozkład pomieszczeń i plan zamku.

Biblioteka miała piętro i piwnicę. Zapalone na parterze światła rozjaśniały budynek. Nieliczni Adeptci wykorzystywali wieczór na pracę z komputerem, łącząc się za jego pośrednictwem z bazami danych na całym świecie. Andrew sposepniał. Do biblioteki prowadziły tylko dwa wejścia: główne od frontu i boczne, przeznaczone dla personelu. Po ich zamknięciu każda próba dostania się do środka uruchomiłaby system alarmowy. Zostało mu piętnaście minut.

Pośpiesznie zjechał po linie i wszedł do biblioteki bocznym wejściem, upewniwszy się wcześniej, że nikt go nie widzi. Krętymi schodami wszedł na górę. Uznał, że najbezpieczniej będzie poczekać na zamknięcie biblioteki na piętrze, gdzie - sądząc po tym, że nie paliło się światło - nikogo w tej chwili nie było. Z długiego korytarza wchodziło się do licznych pokoi, zawierających pogrupowane tematycznie źródła informacji. Z nich z kolei można było przejść do kolejnych, mniejszych pomieszczeń. Bibliotekę zbudowano zgodnie z obowiązującą w XVI wieku filozofią: wiedza miała przypominać drzewo, które rozgałęzia się coraz dalej i szerzej, a gałązki stają się coraz mniejsze. Andrew postanowił się zaszyć w którymś z mniejszych pokojów. Wdrapywał się cicho po schodach, stanowiących element oryginalnej konstrukcji budynku.

Był już prawie na piętrze, gdy z dołu zabrzmiał tubalny głos:

- Dobry wieczór.

Przycisnął się do ściany i czekał, wstrzymując oddech, aż dwaj ludzie na parterze skończą rozmawiać. Gdyby teraz postanowił wejść na górę, z łatwością by go dostrzegli. Wsluchiwał się w ich głosy: jeden należał do Bibliotekarza, drugi do jednego z Arbitrów. Co Arbiter robił w bibliotece? Czy to możliwe, żeby pod nieobecność Mistrza któryś z Arbitrów zajmował jego miejsce? Gdzie wtedy mieszkał? W domu Mistrza? Tego Andrew się nie spodziewał, ale po krótkim namyśle uznał, że i tak nie ma wyboru. Zbyt daleko już się posunął. Musiał działać dalej bez względu na ryzyko.

Głosy oddaliły się wreszcie i ucichły. Andrew przebiegł schylony korytarzem i wpadł do jednego z pokojów. Piętnaście minut później Bibliotekarz pogasił światła. Zamykane dębowe drzwi załomotały głucho i zapadła niesamowita cisza. Andrew został sam z dziełami i

duchami dawnych Adeptów.

Doszedł do wniosku, że w podziemiach najprędzej znajdzie interesujące go przejście. Zdziwiłby się, gdyby nie istniało bezpośrednie połączenie domu Mistrza z biblioteką. Nietrudno też było wydedukować, gdzie tunel powinien się zaczynać: prywatne pokoje Mistrza znajdowały się na tyłach gmachu, za biurem Bibliotekarza.

Andrew w pośpiechu ściągnął kombinezon pletwonurka i założył buty na filcowej podeszwie, żeby nie zostawiać śladów na posadzkach. Zszedł po schodach, przyświecając sobie tylko małą latarką.

W piwnicy, przed drzwiami pokoiów Mistrza, przytknął do zamka małe urządzenie. Laser skanujący wymierzył pustą przestrzeń w mechanizmie zamka i ze szczeliny z tyłu przyrządu wysunął się cienki kawałek plastiku. Kilka minut później plastikowa płyta stwardniała na tyle, że Andrew bez trudu wsunął ją w zamek i otworzył drzwi. Poszło mu jak z płatka.

Prostokątne pomieszczenie przypominało magazyn. Całe było zastawione regałami, których półki ugięły się pod ciężarem dokumentów opatrzonego pieczęcią Mistrza. Zadbano jednak o przyjemny wystrój wnętrza: na ścianach wisiały obrazy, na półkach porozstawiano zabytkowe bibeloty, w rogu pokoju, na miękkim jedwabnym kobiercu stała przepiękna chińska waza z czasu dynastii Jüan.

Andrew nie miał czasu na zachwyty. Łukowato sklepione przejście prowadziło do wytartych, biegnących w dół schodów. Włączył wyjęty z kieszeni elektroniczny czujnik i powoli zaczął schodzić. Sądząc po kierunku, tunel mógł prowadzić tylko do domu Mistrza.

Schody się skończyły i Andrew zagłębił się w korytarz. W jednej ręce niósł latarkę, w drugiej, wyprostowanej, włączony sensor. Tunel był dość przestronny i dobrze utrzymany. Przypominał korytarz muzealny. Zdobiły go portrety dawnych Mistrzów, finezyjnie rzeźbione meble, drewniane, kamienne, nefrytowe i porcelanowe drobiazgi, niektóre liczące z pewnością po kilkadziesiąt lat. Andrew musiał przyznać, że ma przed sobą jedną z najbardziej niezwykłych kolekcji dzieł sztuki, jakie w życiu widział. Skąd się te wszystkie cuda tu wzięły? Czy poprzedni Mistrzowie otrzymali je w darze? A może głowy państw zwoziły tu swoje najcenniejsze skarby, by bezpiecznie przetrwały wojenną zawieruchę? Nie miał czasu dłużej się nad tym zastanawiać.

Tunel się rozwidlał. Jeden korytarz biegł dalej prosto, kończąc się schodami i następnym łukowatym wejściem, drugi odchodził od niego pod kątem prostym. Andrew uznał, że znajduje się już pod trzecim dziedzińcem, a więc korytarz biegnący prosto musiał prowadzić do domu Mistrza. Wiedział, że powinien się spieszyć, ale ciekawość zwyciężyła i

skręcił w prawo. Wytarte wieloma stopami kamienne płyty świadczyły o wieku korytarza. Prawdopodobnie wybudowano go na samym początku istnienia Akademii. Andrew szedł szybko, aż korytarz rozszerzył się, tworząc podziemną pieczarę. Jej widok zaparł mu dech w piersi.

Znalazł się w mauzoleum, gdzie chowano Mistrzów. Oszołomiony jak dziecko, zagłębił się między marmurowe grobowce. Widniały na nich wykute nazwiska tych, którzy pełnili godność przełożonych Akademii. Po wyborze nowego Mistrza jego nazwiska nie używano nawet w prywatnych rozmowach, tak że szybko szło w zapomnienie i nawet Adeptci nie wiedzieli, kto kierował Akademią w dawnych wiekach. Musiał wystarczyć sam tytuł, najważniejsza była anonimowość. Postronny obserwator nie zauważał nawet zmiany na stanowisku Mistrza: jeden z Adeptów, który piastował wcześniej funkcję profesora czy dyrektora placówki badawczej, niepostrzeżenie obejmował przywództwo najważniejszej instytucji naukowej na świecie. Po śmierci Mistrza jego nazwisko i daty życia poznawali tylko jego następcy.

Andrew szedł wśród grobów, odczytując nazwiska dawnych Mistrzów, z których wielu było w swoim czasie prawdziwymi geniuszami. Czas naglił, ale tajemnicza, ponadczasowa atmosfera mauzoleum miała na niego hipnotyczny wpływ. W głębi, na uboczu, odkrył miejsce spoczynku Jamesa, Władcy Wysp, pierwszego Mistrza. Sarkofag z białego marmuru nie był zbyt ozdobny, tylko na wieku umieszczono alabastrową podobiznę spoczywającego mężczyzny w długiej szacie. Posąg wyrzeźbiono tak realistycznie, że Andrew pomyślał, iż oświetlony latarką Mistrz wstanie zaraz i przemówi. Poniżej, w marmurowej podstawie grobowca, na wieczną pamiątkę wyryto ostatnie słowa Jamesa: „Pokój i współczucie”.

Andrew usiadł przy grobie Jamesa i zamyślił się głęboko. Ogarnął go smutek. Jakże zmartwiłby się święty mąż, wiedząc, że stanowisko Mistrza Akademii, której utworzeniu poświęcił życie, można zwyczajnie kupić za pieniądze. Jak w ewangelii, bankierzy frymarczą w świątyni. Akademia, która przetrwała wieki, gdy inne instytucje upadały, również padła ofiarą ludzkiej chciwości. Charakter konkursu potwierdzał ten upadek.

Postanowił, że jeżeli zostanie Mistrzem, zmieni to. Problem polegał na tym, że wcześniej mógł zostać zmuszony do wkroczenia na tę samą złą drogę, o której wybór oskarżał Akademię. Może więc powinien zaprzestać dalszych starań? Nieważne, i tak było już pewnie za późno. Ostatnio tyle się na świecie zmieniało na gorsze, że trudno zakładać, by Akademia przetrwała wbrew wszystkiemu. Biedny James. Wszystko przemija.

Wrócił do skrzyżowania tuneli i wszedł na schody prowadzące do domu Mistrza. Tuż za drzwiami czujnik wykrył silne pole elektryczne. Andrew przygotował dostarczone mu przez Holendra wymyślne gadżety elektroniczne, które miały na jakiś czas wyłączyć system alarmowy. Wstrzymując oddech, przeszedł przez obszar pola, oczekując włączenia się alarmu, zamknięcia drzwi albo otwarcia klapy w podłodze.

Nic się nie stało.

Wszedł do domu Mistrza i po schodach dostał się na parter. Po prawej stronie miał teraz główne wejście, przez które w grudniu Symes wprowadził kandydatów na spotkanie z Mistrzem. Po lewej znajdowały się szerokie schody. Wyjął z kieszeni pudełko wielkości telefonu komórkowego - wykrywacz pustych przestrzeni między murami budowli - i zabrał się do pracy. Miał do przeszukania wiele pomieszczeń, a za niecałe dwie godziny powinien stąd wyjść, jeżeli chciał przed świtem wydostać się z wyspy.

Zaczął od jadalni i pozostałych pomieszczeń na parterze. Czas płynął, a z wykrywacza nie dobiegał żaden sygnał. Wyglądało na to, że się mylił i w domu Mistrza nie było ukrytych przejść i pokojów. Wszedł na piętro i zaczął poszukiwania od salonu, w którym oglądali chińską łamigłówkę. Potem przeszedł do gabinetu i pokoju gościnnego, a na samym końcu zajrzał do biblioteki. Właśnie tam spotkali się, by oznajmić Mistrzowi, że zdecydowali się wziąć udział w konkursie.

Po jednej stronie marmurowego kominka stał globus z brązu, po drugiej - kula złożona z przenikających się okręgów, resztę miejsca zajmowały regały z książkami, ciągnące się od podłogi do sufitu. Tylko jedna wyłożona boazerią ściana pozostała odsłonięta: zdobiły ją herby poprzednich Mistrzów. Nigdzie nie widział śladu sekretnego przejścia, ale czujnik zapiszczał donośnie. Za tą ścianą musiała znajdować się wnęka.

Jak się do niej dostać? Andrew usiadł na krześle, wpatrzony w ścianę. Zakładając, że Mistrz często do niej zaglądał, otwarcie jej nie powinno nastęczać kłopotów, zmuszać do przenoszenia kilogramów książek. W takim razie klucz do jej otwarcia musiał mieć związek z insygniami.

Andrew wstał i z bliska dokładnie obejrzał herby. Przycisnął palcem jeden, potem drugi i trzeci - na próżno. W końcu - raczej przypadkiem - nacisnął herb Mistrza, który kazał przerobić ten pokój na bibliotekę. Jeden z regałów bezszelestnie odsunął się na bok, odsłaniając słabo oświetlone przejście. Biegło stromo w dół. Andrew w duchu pogratulował sobie odkrycia i szybko zagłębił się w korytarz.

To, co zobaczył, zaparło mu dech w piersi. Znalazł się na wąskiej półce skalnej jaskini

głęboko wewnątrz góry. Kręcone kamienne schody prowadziły na jej dno, a na kilku poziomach odchodziły od nich korytarzyki do wykutych w skale pomieszczeń. Dom Mistrza sam okazał się zagadką w zagadce, niczym chińska łamigłówka.

Andrew zszedł po schodach, zaglądając do mijanych po drodze pokojów. Najwyżej znajdowała się pracownia komputerowa - teraz wiedział już, gdzie znajduje się drugi z posiadanych przez Akademię komputerów kwantowych. Do czego Mistrz go używał? Gromadził w nim informacje o Akademii i Adeptach? Komunikował się za jego pośrednictwem z głowami państw? Andrew nie miał czasu dłużej się nad tym zastanawiać. To, czego szukał, było zbyt stare, by znaleźć się w pamięci tej maszyny.

Następne wejścia prowadziły do wielkich sal, pełnych dokumentów i ksiąg. Na czwartym poziomie od góry Andrew znalazł swój Sezam. Zaraz za progiem trafił na prześliczną marmurową fontannę, do której woda spływała wprost ze skalnej ściany. Tuż obok znajdowały się drzwi, prawdopodobnie prowadzące na zewnątrz Akademii. W tym właśnie miejscu zaczynał się tunel łączący zamek bezpośrednio z portem lub jakimś innym miejscem na wyspie, co pozwalało Mistrzowi niepostrzeżenie wymykać się z Tirah. Andrew napił się lodowatej wody z fontanny, a potem wszedł do sekretnej biblioteki Mistrzów.

Biblioteka Akademii posiadała wprawdzie przebogaty zbiór ksiązek, ale od dawna krążyły wśród Adeptów plotki o istnieniu księgozbioru zawierającego prawdziwe białe kruki, do którego dostęp mieli tylko Arbitrzy i Mistrz. Andrew właśnie go znalazł. Pokój był ogromny niczym sala bankietowa w zamku i całkowicie zastawiony rzeźbionymi regałami. Ozdobne podnóżki i drabinki pozwalały dosięgnąć wyższych półek. Pośrodku pomieszczenia znajdowało się parę zabytkowych stołów i krzeseł, co upodabniało pokój do czytelni średniowiecznego uniwersytetu. Jednakże ta biblioteka nawet w średniowieczu wyróżniałaby się rozmiarami; zawierała tysiące bezcennych pozycji. Andrew przeszedł przez pierwsze pomieszczenie i wszedł do następnego, zdając sobie sprawę, że ma przed sobą cały dorobek ludzkiej cywilizacji. Wiele ze zgromadzonych tu ksiąg znano tylko z odnośników w innych dziełach. Nikt nawet nie podejrzewał, że oryginały wciąż istnieją. Aforyzmy Aldryka, wielka encyklopedia Czianlong, zapiski obserwacji astronomicznych Beckera, tajne edykty Karola V, *De rerum animarum* świętego Bernarda z Clairvaux, setki greckich, rzymskich, aramejskich, koptyjskich, sanskryckich i hebrajskich manuskryptów. I dziesiątki tysięcy innych tekstów. Skąd pochodziły? Z Biblioteki Aleksandryjskiej? Ze zbiorów cesarów? Z biblioteki w Watykanie? Andrew nie miał pojęcia. Rozumiał tylko, że Akademia odgrywała rolę opiekuna tych bezcennych skarbów, o których sądzono, że przepadły bezpowrotnie, zniszczone w pożarach i wojnach. Akademia ocalała jednak, co tylko mogła, i przechowywała

arcydzieła dla przyszłych pokoleń. Dla całego rodzaju ludzkiego.

Z żalem oglądał kolejne półki. Wiele by dał, żeby móc spędzić tu trochę czasu, zagłębić się w przeszłości, poznać zapomniane idee i pisma. Wiedział, że na razie trzeba o tym zapomnieć. Gorączkowo poszukiwał materiałów, które mogły mieć jakikolwiek związek z dziejami Akademii. Wreszcie znalazł je w osobnym pomieszczeniu.

Poza planami i rysunkami zamku, a także ogromnym zbiorem pamiętników i dzienników dawnych Mistrzów, znalazł także dwa okazałe tomy, leżące na stole. W jednym z nich od razu natrafił na wzmiankę o Arbitrach, odsunął go więc na bok i otworzył drugi - cienki, sporego formatu, oprawiony w czarną skórę. Na okładce znajdowały się tłoczone złote insygnia Pierre'a Rochelle'a, jednego z najsłynniejszych Mistrzów. Wewnątrz, na pierwszej stronie, widniał jego zamaszysty podpis, a obok podpisy jego następców, układające się w czerwoną spiralę wokół czarnych liter tytułu: *Regulae Magistri*.

Przepisy dla Mistrza.

Andrew zaczął czytać, choć z trudem orientował się w tekście - piętnastowieczny oryginał nosił ślady licznych poprawek, dokonywanych przez późniejszych Mistrzów i Arbitrów, a dotyczył wszelkich możliwych aspektów władzy Mistrza. Szybko przekartkował księgę, spoglądając na tytuły i podtytuły: „Będzie jeden Mistrz...”, „...pięciu Arbitrów wskaże Mistrz. Oni zaś nigdy Mistrzami stać się nie mogą...”, „Wybór Arbitra w razie śmierci poprzednika...”. I tak dalej. Ani słowa o konkursie.

Nagle znalazł to, czego szukał. W sytuacji, gdy potrzebny był nowy Mistrz, Arbitrzy ustalali warunki konkursu i losowali pięcioro Adeptów z określonej grupy wiekowej. Dobrze, ale co musiało się stać, żeby zmienić Mistrza? Paragraf X stwierdzał, że Arbitrzy mogą zarządzić konkurs, jeżeli mają wątpliwości, czy Mistrz zdolny jest nadal sprawować swój urząd. Chyba oznaczało to osłabienie władz umysłowych Mistrza. Czy o to właśnie chodziło tym razem? Czy Arbitrzy uznali, że Mistrz jest za stary? Andrew czytał dalej. Paragraf XIV brzmiał następująco: „Warunki konkursu w całkowitej tajemnicy ustalają Arbitrzy. Mistrz nie ma w tej kwestii prawa głosu”.

Andrew spojrzał dalej... „Czas trwania konkursu”... I najważniejsze: „Poufna natura konkursu”. Z podziwem i ze zgrozą pomyślał, iż konkurs od stuleci rozgrywano w absolutnej tajemnicy. W każdym pokoleniu toczyła się sekretna batalia o panowanie nad Akademią. Tymczasem świat nie dostrzegał śladu zmiany, kiedy nowy Mistrz zastępował poprzedniego.

*Sic transit gloria mundi*. Oto przemija chwała świata.

*Habemus Magistrum*. Mamy Mistrza.

Andrew cofnął się na poprzednią stronę. To, co przeczytał, zmroziło go. Paragraf XIX.



Oparł się o regał i westchnął ciężko. Sformułowanie nie pozostawiało cienia wątpliwości.

- Strasznie jesteś milczący - zauważył Holender, gdy wystartowali z Tirah i skierowali się ku brzegom Szkocji. Drugi lot na Tirah nie był już tak przerażający jak pierwszy, śmigłowcem nie rzucało tak bardzo jak poprzednio... A i pół butelki wódki bardzo Pieterowi pomogło. Zerknął na Andrew, który wpatrywał się w ciemność za oknem. - Znalazłeś to, czego szukałeś?

Andrew skinął głową. Wciąż myślał o Paragrafie XIX: „Aktualny Mistrz także może wziąć udział w konkursie”.

Jeszcze jedna rzecz nie dawała mu spokoju: zbyt łatwo dostał się do Akademii i odszukał księgę z zasadami konkursu. Ktoś chciał, żeby je odkrył. Ktoś na niego czekał.

Kiedy Mistrz wrócił ze spotkania grupy G10, Symes poinformował go, że poprzedniej nocy na wyspie zjawił się intruz.

- Zgodnie z pańskimi zaleceniami nic nie robiłem - dodał.

Mistrz wziął do ręki leżące na biurku papiery.

- Czy udało się go zidentyfikować? - zapytał od niechcienia.

- Tak, Mistrzu - odparł Symes. Identyfikacja przybysza nie nastęczała żadnych trudności. Jedno z zadań drugiego komputera kwantowego polegało na nieustannym monitorowaniu całej Tirah, a szczególnie zamkowych wnętrz. Gęsta sieć czujników nie mogła przeoczyć obcego. Sam helikopter również został namierzony na długo przed tym, jak wylądował. System zabezpieczeń Akademii był niewątpliwie doskonały.

Symes powiedział Mistrzowi, kto przybył na wyspę.

- Rozumiem... - odparł Mistrz i wrócił do swojej pracy.

Nieco później odebrał telefon od jednego z Arbitrów.

- Mistrzu, otrzymałem właśnie wiadomość, że policja w Erris zamknęła dochodzenie w sprawie śmierci Reksa Boone'a. Ustalono, że zginął potrącony przez samochód, ale nie znaleziono kierowcy ani nie zidentyfikowano wozu. Z braku dowodów uznano więc, iż był to nieszczęśliwy wypadek. Zapewne nie spodziewał się pan innej konkluzji.

- Istotnie, przewidziałem to. Dziękuję.

- Jest jeszcze jedna sprawa, Mistrzu. Nowa Adeptka, Susan Corelli, pomogła nam przejrzeć oficjalne i prywatne dokumenty Reksa Boone'a, które zostawił w biurze Światowego Forum Badań Jądrowych. Nie znaleźliśmy śladu informacji o Akademii ani o konkursie.

- Doskonale. Dziękuję, Arbitrze.

Mistrz usiadł wygodniej w fotelu. Pomyślał o Tanyi, Sebastienie, Andrew i Ivanie. Ciekawe, jak sobie radzą. Przez chwilę myślał też o sobie.

Przynajmniej jedno z nich znało prawdę o śmierci Rekxa. To znaczy wiedziało, że został zamordowany.

## ROZDZIAŁ 10

*Są ludzie, którym nie wystarcza ich własna natura; zawsze próbują wyjść poza narzucone przez nią ograniczenia.*

Kuo Hsiang

### **Styczeń. Boston**

Tanya siedziała w sypialni apartamentu pięciogwiazdkowego hotelu Bellevue w Bostonie. Trzy tygodnie, jakie upłynęły od spotkania w domu Mistrza, okazały się dla niej wyjątkowo trudne. Śmierć Boone'a przygnębiła ją nie tylko dlatego, że kiedyś byli kochankami. Uosabiał dla niej ideał człowieka żyjącego pełnią życia. Dynamiczny, porywczy, wierzący we własne możliwości, potrafił podporządkować sobie świat, w którym żył. A jednak zginął. Bogowie naprawdę potrafią być okrutni. Przecież to właśnie on powinien być zostać Mistrzem. Czy żałowałyby, gdyby do tego doszło?

Patrzyła, jak służba wноси do pokoju jej bagaże. Dopiero po śmierci ludzi zdajemy sobie sprawę, jak ich nam brakuje. Bardzo tęskniła za Reksem.

Opuściła Akademię w sylwestra, zaraz po tym, jak Mistrz przedstawił im warunki konkursu. Nie mogła zmusić się do spotkania z Sebastienem. Wciąż była na niego zła, że zostawił ją po tamtej pierwszej kolacji w domu Mistrza. Wiedziała, gdzie go szukać - zaszył się w swojej górskiej chacie w Szwajcarii. Uznała jednak, że dobrze mu zrobi, jak trochę pocierpi.

Z początku wróciła do pracy w Europejskiej Unii Komputerowej (EUK), ale zamieszkała w Berlinie u przyjaciółki, co pozwoliło jej zniknąć z pola widzenia rywali.

Potrzebowała czasu do namysłu, chciała ułożyć sobie jakiś plan. Sprawdziwszy w supermarkecie, że Biblioteka Gazet i Czasopism nie jest dostępna przez sieć, postanowiła przylecieć do Bostonu i trochę się w niej rozejrzeć.

Zaczęła się rozpakowywać. Zadzwoiła do recepcji i już po chwili rozległo się donośne pukanie do drzwi.

- W czym mogę pani pomóc?

Boy hotelowy miał niewiele ponad dwadzieścia lat, blond włosy i szczupłą sylwetkę. Spojrzał na nią z beczelnym zainteresowaniem. Zwrócił na nią uwagę, kiedy weszła do hotelu. Miał nadzieję, że szczęście znów mu dopisze, tak jak parę tygodni wcześniej z tą dealerką walutową z Nowego Jorku. To nie do wiary, jakie zachcianki miewają czasem samotne kobiety. A ta naprawdę prezentowała się fantastycznie: podziwiał jej krótką czerwoną spódnicę, czarne pończochy, kremowy żakiet, który podkreślał pełne piersi. Na pewno jest szefem funduszu powierniczego albo inną szychą. I nie ma obrączki.

- Zatrzymam się tu na kilka dni - odparła Tanya, nieco rozbawiona jego łakomym wzrokiem. - Mam własny komputer. Będzie mi potrzebna wtyczka i kabel.

- Ależ naturalnie, proszę pani - odparł boy z uśmiechem. - Nasi goście często wyrażają podobne życzenia. Na parterze znajduje się sala konferencyjna, wyposażona we wszystkie niezbędne urządzenia biurowe. Do użytku gości.

- Nie będzie mi potrzebna - odparła chyba nieco zbyt ostro Tanya. - Wolę pracować w pokoju. Macie tu basen?

- Tak, proszę pani, w podziemiach. - Chłopak zawiesił na moment głos, po czym dodał kokieteryjnie: - Nawiasem mówiąc, jestem Tom. Proszę po mnie zadzwonić, gdyby czegoś pani potrzebowała.

- Dziękuję.

Tanya zamknęła drzwi. Ledwie wyrósł ze szczenięcych lat, a już tylko jedno mu w głowie. Chociaż musiała przyznać, że wyglądał apetycznie.

Wypakowała przenośny komputer. Rezygnacja z posady konsultanta w EUK, zrzeszającej producentów sprzętu komputerowego, była zarazem trudna i łatwa. Trudna ze względu na jej choleryczną przełożoną, Val, prawdziwą wiedźmę, która z komputerem nie rozstawiała się chyba nawet w łóżku. Podejrzewała, że Tanya usiłuje po prostu wymusić na niej decyzję o podwyżce albo chce dostać dłuższy urlop, na co prędzej czy później musiałaby się zgodzić. Nie wyobrażała sobie, iż jedna z gwiazd mogłaby na dobre opuścić EUK. Łatwo poszło natomiast z dyrektorem Unii: wysłuchał tyrady Val, a potem oznajmił, że Tanya powinna odejść, skoro sobie tego życzy. Val nie miała oczywiście pojęcia, że jej szef jest

Arbitrem. Ostatniego dnia przywitała Tanyę wściekłą, z kamienną twarzą, ale zaraz podbiegła, żeby ją przytulić, rozplakała się. Tanya poczuła się naprawdę wzruszona. Łzy jakoś nie pasowały do tej kobiety, która całe życie spędziła wśród komputerów.

- Tylko wracaj szybko - zastrzegła się Val. - Znajdź to, czego szukasz, a potem wróć.

Tanya odruchowo skinęła głową, lecz w głębi ducha wiedziała, że to niemożliwe. Ten etap jej życia definitywnie się skończył. Poza tym na razie musiała trzymać się z dala od EUK - jeżeli Akademia zamierzała ją mieć na oku, nie należało ułatwiać jej zadania. Na pewno nie po śmierci Rekxa.

Ktoś zapukał do drzwi. Ostrożnie otworzyła i ujrzała Toma. Starał się wyglądać dziarsko i zachęcająco.

- Przyniosłem te kable dla pani. Mam nadzieję, że będą pasowały. Życzy sobie pani czegoś jeszcze?

- Nie, dziękuję.

Tanya zamknęła drzwi i zachichotała. Niech chłopak zdobywa doświadczenie na pokojówkach. Poza tym w przeciwieństwie do Sebastiena nie miała ochoty na żadne przygody. Ustawiła nowiuteńki laptop na stole i zaczęła go podłączać. Nie chciała zabierać starego, z Akademii; nie wiedziała, czy ktoś się do niego nie włamał.

Rex zginął, a ona była pewna, że został zamordowany. Tylko jak to udowodnić? Nie miała pojęcia. Mogła się oprzeć jedynie na słowach Rekxa: „Jeżeli czytasz tę wiadomość, to znaczy, że stało się coś bardzo, bardzo złego”.

Napisał je, zanim zgodził się wziąć udział w konkursie, a więc już wówczas czymś się martwił. Nie na tyle jednak, by wprost o tym napisać. Podobnie jak ona zdawał sobie oczywiście sprawę, że w razie konieczności Akademia może uzyskać swobodny dostęp do komputerów Adeptów. Tanya sama kiedyś to zrobiła na wyraźne polecenie Mistrza. Ale czy o to właśnie chodziło? Czy Rex nie napisał nic więcej w obawie przed przechwyceniem wiadomości? Czy też prawda wyglądała bardziej prozaicznie: spieszył się na prom i nie zdążył opisać szczegółów?

A co się stało z listem, który obiecał jej wysłać z Erris? Nie dostała od niego żadnej przesyłki. Może chciał go napisać tej nocy, kiedy zginął? Czy zamierzał ją ostrzec? Przed czym? Przed samą grą? Przed Mistrzem? Przed rywalami?

Wprowadziła kod dostępu do komputera Akademii. Odczekała chwilę, ale tak jak poprzednim razem nie było żadnej reakcji. Łącze milczało, nie mogła się przebić. Mistrz powiedział, żeby nie liczyli na żadną pomoc ze strony Akademii. Na dobrą sprawę nie istniał żaden ślad, że Tanya była kiedyś Adeptką. Podobnie jak wiadomość od Rekxa, dane osobowe

uczestników konkursu zostały wymazane z pamięci komputera, jakby nigdy nie istniały.

Pozostała jej jeszcze jedna droga. Tanya wraz z kilkoma Adeptami pomogła zaprogramować drugi komputer kwantowy - ten, do którego dostęp mieli tylko Mistrz i Arbitrzy. Odgrywał on rolę wartownika, a także zawierał dane wszystkich - byłych i obecnych - członków Akademii oraz tajne informacje na temat samej instytucji.

Szybko wpisała hasło, a potem zaczęła wprowadzać złożoną sekwencję numeryczną, próbując uzyskać dostęp do komputera.

- A niech to szlag!

Nic z tego. Wyłączyła laptop na wypadek, gdyby Akademia już zaczęła go namierzać. Tęskniła za Sebastienem, chociaż złość na niego jeszcze jej nie przeszła. Tanyi brakowało nie tylko seksu, lecz także jego niefrasobliwości, z jaką zbyłby jej podejrzenia, że Akademia nieustannie ma ich na oku. Wyśmiałyby też jej przypuszczenia na temat śmierci Boone'a. Rex wlaź pod samochód, bo był taki cholernie arogancki, że spodziewał się, iż wóz ustąpi mu z drogi - tak właśnie powiedziałby Sebastien. Nie żywiłby dla niego współczucia. Stało się i już. Nie zmieniało to jednak faktu, że kobieca intuicja mówiła jej coś całkiem innego.

Wypakowawszy wszystkie potrzebne rzeczy, Tanya zjechała do szatni, założyła skąpe bikini i wyszła na basen. Była sama. Z rozkoszą zanurzyła się w przyjemnie ciepłej wodzie i zaczęła leniwie pływać na plecach.

Rex nie żył. Zakładając, że nie zginął przypadkiem, niewiele powodów jego śmierci umiała wskazać. Może pracował w jakimś programie badań jądrowych i za dużo się dowiedział? Niedawno przecież wybuchł głośny skandal w związku z przeciekami amerykańskich tajemnic państwowych. Omal nie doszło do obalenia prezydenta. A sprawa dotyczyła wyrzutni rakiet nuklearnych. Być może Rex miał z tym coś wspólnego. Intuicja podszeptała Tanyi inne, bardziej złowieszcze przypuszczenie: Rex zdradził Akademię. Zgoda, ale nawet jeśli to prawda, czy posunęliby się tak daleko? Przecież dopiero co został zaproszony do wzięcia udziału w konkursie, więc zabicie go na starcie nie miałoby najmniejszego sensu. Akademia była instytucją pokojową, a nie rodziną mafijną! Tanya nigdy przedtem nie martwiła się o jej spójność i sens działania. Sęk w tym, że ostatnia wiadomość Reksa nie miała nic wspólnego z badaniami jądrowymi ani kłopotami natury osobistej. Jednoznacznie dotyczyła konkursu i zawierała ostrzeżenie dla Tanyi.

- Ciepła ta woda, moja droga?

Tanya spojrzała na podstarzałą piękność z Południa, szykującą się właśnie do zamoczenia stopy w nieznanym, groźnym odmętach. Musiała mieć ze sześćdziesiąt pięć lat. Włosy farbowała na platynowy blond z lekkim purpurowym cieniem; ze swoim naturalnym

uśmiechem i jowialną twarzą z pewnością nie wyglądała na szpiega.

- Tak, śmiało. Jest cudowna.

- Greg, kotku - skinęła na chudego jak szczapa męża, który na krok jej nie odstępował.

- Możemy wejść.

Tanya patrzyła, jak woda najpierw wzburzyła się gwałtownie, kiedy kobieta weszła do basenu, a potem ledwie zafalowała, gdy dołączył do niej mąż. Powolutku przechadzali się w wodzie, rozmawiając. Z ich gestykulacji i zachowania Tanya wywnioskowała, że mimo swego wieku i dużego stażu małżeństwa wciąż bardzo się kochają. Dobrali się na całe życie. Wzruszył ją ten widok.

Zawsze miała nadzieję, że podobnie będzie z jej rodzicami, a jednak musiała patrzeć, jak osamotniony ojciec umiera na raka. Za ledwie pół roku później zmarła matka. Nie pogodzili się od czasu rozvodu. Tanya bezgranicznie ich kochała. Ależ byliby dumni z niej i z jej kariery w EUK, chociaż nie mogliby wiedzieć, dla kogo naprawdę pracuje. Nie mieli okazji poznać Sebastiena. Co by o nim pomyśleli? Zapewne oczarowałby ich - jak wszystkich - wrodzonym wdziękiem, nonszalanckim podejściem do życia. Dla niego wszystko było łatwe i wciągające jak hazard. Odprowadziła wzrokiem zagadną parę w basenie, a potem, nie przestając pływać, wróciła do poważniejszych rozważań.

Jeżeli śmierć Reksa miała coś wspólnego z konkursem, to niewykluczone, że zginął z ręki któregoś z uczestników. Na pewno ona nie przyłożyła do tego ręki. Kto zatem zabił Reksa? Sebastienem kierowała nieposkromiona ambicja, ale czy posunąłby się do morderstwa? Znała jego wady, słabość do kobiet, niewiarygodną zdolność wykorzystywania okoliczności do swoich celów. Nie mogła jednak pogodzić się z myślą, że miałby zabić Reksa, który stanął mu na drodze do tronu Mistrza. To nie mieściło jej się w głowie. Zostali Ivan i Andrew: do czego byli zdolni, by zrealizować marzenia? Zwłaszcza Ivan. Takie myśli pośród setek innych, dotyczących najbliższej przyszłości, zaprzętały jej umysł. Wychodząc z basenu, miała gotowy plan działania:

1. Weźmie udział w konkursie, chociażby po to, by dowiedzieć się, kto zabił Reksa Boone'a. Rex zrobiłby to samo, gdyby ona zginęła.

2. Zgromadzi wszelkie możliwe informacje o pozostałych uczestnikach gry, nie wyłączając Sebastiena. Przekopie się przez bazy danych na całym świecie i po kawałku pozbiera rozsiane w nich tu i tam detale, nawet nie mając dostępu do komputerów Akademii. Może w życiorysie któregoś z nich znajdzie rozwiązanie zagadki śmierci Reksa. Na pewno znajdzie.

Odprężona weszła na drabinę.

- Pozwoli pani, że pomogę?

Podniosła wzrok i napotkała prowokujące spojrzenie boya hotelowego. Seks stanowił dla niego nieodłączny element pracy.

- Dziękuję.

Kiedy podał jej rękę, mokra dłoń Tanyi niby przypadkiem ześliznęła się i z ogromną siłą wyrznęła go prosto w krocze. Chłopak zwinął się z bólu.

- Och, przepraszam, Tom! Nic ci się nie stało? - spytała Tanya z niewinną miną.

Boy spojrział na nią zażawionymi oczyma.

- Wszystko w porządku, proszę pani - odparł przez zaciśnięte zęby. Trzymając się za krocze, niepewny, czy genitalia ma wciąż na dawnym miejscu, odkuśtykał niezgrabnie jak wykastrowany byczek.

Tanya uśmiechnęła się. Trzeba umieć podrywać. Jest młody. Nauczy się. A może dziś wieczorem będzie dla niego miła? Może postara się, żeby miał o czym śnić?

Wróciła do szatni. Przyszedł czas na wycieczkę do Biblioteki Gazet i Czasopism w poszukiwaniu klucza do tajemnicy konkursu. Jednak stojąc pod prysznicem, czuła, że wciąż unika załatwienia dwóch największych problemów, chociaż podjęła kilka ważnych decyzji. Nie zdecydowała się, czy chce współpracować z Sebastienem, czy raczej wystąpić przeciwko niemu. Miłość nie zawsze wszystko zwycięża.

Była jeszcze jedna sprawa, której powinna stawić czoło.

Tanya chciała zostać Mistrzem. I to bardzo.

## **Styczeń. Szwajcaria**

Sebastien wszedł do dyskoteki w kurorcie narciarskim Kasteln. Przy barze tłoczyli się ludzie w kolorowych swetrach, o twarzach zarumienionych od alkoholu. Trzeba było się wysilić, żeby w rozmowie przekrzyczeć muzykę. Zamówił drinka i usiadł na stołku barowym.

- Życzy pan sobie lodu?

- Nie, tylko podwójna szkocka.

Ani śladu Tanyi. Przecież zostawił jej wiadomość, że będzie czekał tu, w Szwajcarii. Zresztą wiedziała, gdzie go szukać, bo przecież sporo czasu spędzili w jego górskim domku na obrzeżach miasta. A jednak się nie pojawiła. Czemu go unika? Jest na niego zła? Czy po prostu postanowiła z nim konkurować? Kochała go czy bardziej chciała zostać Mistrzem? Przeszedł w kąt baru i zadzwonił do recepcji.

- Są dla mnie jakieś wiadomości?
- Nie, proszę pana.
- Dajcie mi znać, gdyby coś się pojawiło.
- Dobrze, proszę pana.

Nie widzieli się od sylwestra. Wkrótce po drugim spotkaniu z Mistrzem Sebastien udał się do pokojów Tanyi - tylko po to, by stwierdzić, że już wyjechała. Koniecznie musi z nią pomówić. Nie powinna sama startować w konkursie. Ryzyko było zbyt wielkie. Czy wiedziała już, kto zabił Rekxa?

- Drink na koszt firmy. - Dziewczyna za barem mrugnęła do niego porozumiewawczo.
- Dziękuję.

Przyszli mu na myśl Andrew i Ivan: obaj pewnie już wymyślili, jak zdobędą dwadzieścia milionów. Co nie znaczy, że on musi się spieszyć. Spokojnie. Pośpiech jest wskazany tylko przy łapaniu pcheł. Poza tym krótkie wakacje na pewno dobrze mu zrobią. Rozerwie się trochę, a potem weźmie na serio do roboty i wygra konkurs.

Popatrzył na parkiet, gdzie półnagie ciała skręcały się i wyginały miarowo w rytm synkopowanej muzyki, otulającej ich niby mięciutki kokon. Przez chwilę pozazdrościł im tej bezpiecznej ignorancji, sam beznadziejnie uwikłany w grę o władzę - w której dobrowolnie zgodził się wziąć udział. Cóż, kości zostały rzucone. Chciał zostać Mistrzem i inni będą musieli go zabić, żeby do tego nie dopuścić.

- Nie chcę już tańczyć, Elso.
- Gdybyś tyle nie pił, tobyś nie miał mdłości. Zawsze musisz wszystko popsuć!

Sebastien zerknął w prawo: kłótnia przy barze nabierała rumieńców. Uśmiechnął się z rozbawieniem.

- Chcę iść do domu.
- To idź, Karl. Ja jeszcze potańczę.

Ze smętnym wyrazem twarzy Karl puścił rękę dziewczyny i chwiejnym krokiem wyszedł. Elsa usiadła na stołku i odprowadziła go wzrokiem. Pokręciła z niesmakiem głową i wróciła na parkiet. Sebastien patrzył, jak stroboskopowe światła wychwytyją z mroku jej gibkie ciało. Miała świetną figurę, długie blond włosy, nordyckie rysy i pełne usta. Czerwona sukienka z cekinami ciasno przylegała jej do ciała. Strój uzupełniały skórzane, wysokie buty do kolan. Mogła mieć jakieś dwadzieścia pięć lat. Sebastien domyślał się, że jest instruktorką narciarstwa. Odczekał, aż wróciła do baru.

- Zatańczysz?

Elsa odwróciła się i zobaczyła młodego, dobrze zbudowanego mężczyznę średniego



wzrostu. Nie nosił zarostu, miał ciemne włosy i subtelną twarz z małą blizną na czole. Oceniała go na trzydzieści parę lat. Francuz? Kanadyjczyk francuskiego pochodzenia?

- Chętnie - odparła.

Przetańczyli kilkanaście kawałków, coraz mocniej przytuleni. Noc była długa, a muzyka grała coraz wolniej i wolniej. Światła przygasły. Kiedy zeszli z parkietu i zaczęli rozmawiać na niezobowiązujące tematy, Elsa stwierdziła, że podoba się jej luz Sebastiena. Nieco później zaciągnął się głęboko świeżym zapachem jej włosów i pocałował ją w usta. Odpowiedziała pocałunkiem, najpierw ostrożnie, z rezerwą, potem odważniej, z zapalem. Już ją ma. Wiedział o tym jak pająk, któremu ofiara wpadła w sieć. Pal sześć Tanyę. Przyda mu się miła dziewczyna do towarzystwa.

Pal sześć Karla. Nareszcie trafił jej się sensowny, namiętny facet.

- Napijesz się jeszcze?

- Nie, dziękuję - odparła Elsa, wsparta na jego ramieniu. Dochodziła druga nad ranem. Po tygodniach wiecznych kłótni z Karlem wreszcie czuła się szczęśliwa. Skończyła z nim.

- Pojedziemy do mnie?

Elsa wahała się tylko przez ułamek sekundy.

- Jasne.

Zebrała rzeczy i wyszli z dyskoteki. W centrum narciarskim panował okropny tłok. Mnóstwo młodych par tuliło się i całowało. Powietrze było ciężkie od zapachu marihuany i perfum. Przepychali się przez tłum, gdy nagle ujrzeli masywną męską postać, zaczerwienioną twarz i otwarte usta - Karl wynurzył się właśnie z łazienki. Sebastien uniósł brwi, uśmiechając się lekko. Karl milczał jakiś czas, zaskoczony widokiem Elsy u boku innego mężczyzny. A potem wybełkotał:

- To jest moja dziewczyna, ty gnoju.

Elsa zrobiła krok do przodu, ale Sebastien powstrzymał ją gestem i dał się Karlowi wpechnąć do toalety. Jakiś starszy mężczyzna mył w umywalce ręce. Nerwowo popatrywał na wielkiego, pijanego byka, który zataczając się, popychał przed sobą szczupłego mężczyznę w sportowym stroju.

Sebastien uśmiechnął się do niego.

- Proszę sobie nie przeszkadzać.

- Zaczekaj tu, zaraz się tobą zajmę - powiedział Karl i zatoczył się w stronę pisuaru.

Starszy pan patrzył na blokujących wyjście mężczyzn. Nie ulegało wątpliwości, że chcą się bić, a wynik tego pojedynku z góry był przesądzony. Chciał skłonić wzrokiem Sebastiena do ucieczki, co i jemu pozwoliłoby stąd wyjść. Tymczasem Sebastien oparł się o

umywalkę i spokojnie zapalił papierosa.

- Jak minął dzień? W porządeczku? - zapytał swobodnym tonem.

Starszy pan bez słowa pokiwał głową. Ręce mu się trzęsły.

Nie musiał długo czekać. Ledwie Karl odsunął się od pisuaru, omal nie przycinając sobie suwakiem ogromnego członka, potężny cios trafił go prosto w splot słoneczny. Sebastien wymierzył go tak fachowo, że Karl nawet nie poczuł następnego uderzenia kantem dłoni w szyję. Natychmiast stracił przytomność. Sebastien złapał go, zanim upadł na podłogę, i posadził na sedesie w jednej z kabin. Sprawdził mu puls i uznał, że przynajmniej do rana ma go z głowy. Doskonale.

Wyszedł z kabiny i opłukał ręce.

- Wszystko gra?

Skonsternowany starszy pan otworzył usta, błyskając sztuczną szczęką. Nic nie powiedział. Sebastien wytarł ręce, przyjacielskim gestem zmierzwił Karlowi czuprynę i wyszedł. Milczący świadek wydarzeń odprowadził go wzrokiem. Chociaż cały czas trzymał dłonie pod ciepłą wodą, wcale nie chciały przestać się trząść. Nie był pewien, czy Sebastien zabił Karla, czy tylko go ogłuszył. Pomyślał, że jednak pozory mogą mylić.

Następnego wieczoru leżeli nago przy kominku w chacie Sebastiena. Elsa czuła przyjemne ciepło futrzanego dywanika pod udami. Znakomita whisky łaskotała ją delikatnie w gardle równie zmysłowo i łagodnie, jak jeszcze przed chwilą Sebastien pieścił jej ciało.

- Co byś zrobiła, gdybyś musiała zdobyć dużo pieniędzy?

Elsa przetoczyła się na bok. Jej pępek lśnił od potu.

- To znaczy ile?

- Powiedzmy... dwadzieścia milionów dolarów.

- Wyszłabym za milionera. - Pocałowała Sebastiena i odrzuciła włosy z czoła.

- A gdybyś nie mogła? Gdybyś musiała zdobyć je na własną ręką?

- Znalazłabym sobie jakąś miłą posadkę, taką jak twoja. Pracowałabym ciężko i ograniczyła liczbę kochanek - zaśmiała się Elsa.

- A gdybyś musiała się spieszyć? Gdybyś miała tylko rok, żeby wytrzasnąć skądś dwadzieścia milionów?

- To trudniejsze zadanie... Chyba musiałabym obrabować bank.

Obrabować bank... Tę możliwość Sebastien odrzucił na samym początku. Niewiele banków trzyma w skarbcu dwadzieścia milionów, a jeśli już, to są bardzo dobrze strzeżone. Kradzież wymagałaby starannego planowania i zaangażowania mnóstwa ludzi, którzy -

oczywiście - chcieliby dostać swoją działkę. Nie, napad z bronią w ręku odpadał.

- No dobrze, powiedzmy, że i to jest niemożliwe. Masz jakiś inny pomysł?

- Legalnie?

- Tak, legalnie.

- Wydawało mi się, że wy, bankierzy inwestycyjni, i tak zarabiacie bardzo dużo? -

zdziwiła się Elsa, dolewając im obojgu whisky.

Sebastien pocałował ją w nos, żeby zapomniała o tych kłamstwach, które jej podsunął.

- Pieniądzy nigdy nie jest dość. Człowiek się od nich uzależnia.

Jeszcze przez jakiś czas rozważali różne możliwości, popijając whisky, ale wyglądało na to, że w żadnym zawodzie nie można, zaczynając od zera, zdobyć legalnie tak wielkiej sumy pieniędzy w tak krótkim czasie. Gwiazdy filmowe, maklerzy giełdowi, dealerzy walutowi rzeczywiście zarabiali krocie, ale nie dwadzieścia milionów rocznie.

- Zostań gwiazdą muzyki pop.

- Nie żartuj.

- Otwórz kasyno. Albo dom publiczny.

- Za dużo czasu potrzeba na rozkręcenie interesu.

- Napisz bestseller.

- Znowu żartujesz. Przecież wiadomo, że pisarze są biedni jak myszy kościelne.

Elsa ziewnęła ukradkiem, znudzona jałowymi rozważaniami.

- Dlaczego tak mnie o to wypytujesz?

- Z ciekawości.

- No to przynajmniej zapłać mi za współpracę. Proponuję zacząć od małego całusa, o, tutaj... - Wskazała Sebastienowi punkt na swoim udzie.

Roześmiał się i poświęcił całą uwagę niecierpiącym zwłoki sprawom.

Później, kiedy Elsa spała smacznie u jego boku, wrócił myślami do konkursu. Mieli rok na zgromadzenie dwudziestu milionów dolarów. Dlaczego kazano im zdobyć pieniądze? Czemu Arbitrzy wskazali taki właśnie cel? Sebastien przypuszczał, że chodziło po prostu o to, by maksymalnie utrudnić im zadanie. Co zrobi z tymi pieniędzmi, gdy zostanie Mistrzem? Wypisze sobie czek w ramach nagrody?

Dobrze, a co z innymi? Nie wątpił, że Ivan i Andrew zrobią wszystko, by zwyciężyć - podobnie jak i on sam. Musiał się liczyć z poważną konkurencją z ich strony, zwłaszcza gdyby zdecydowali się połączyć siły. Nie dorównywali wprawdzie Reksowi, ale nie mógł ich lekceważyć. Wszyscy wiedzieli, że Ivan ma bliskie kontakty ze służbami wywiadowczymi

wielu krajów. Współpracowali kiedyś na zlecenie Akademii w akcji ratunkowej na giełdzie w Brukseli, gdzie wskutek skandalu finansowego omal nie doszło do krachu.

Jeśli zaś chodziło o Andrew, Sebastien wiedział o jego wojskowej przeszłości, ale nic ponadto. Może Tanya znajdzie coś więcej. Tacy ludzie nie mają skrupułów, ale czy byłby gotów zabić? A Tanya? Już raz się co do niej pomylił: wystartowała w konkursie. Powinien to sobie dobrze zapamiętać. Czy mógł być pewien jej miłości?

Elsa poruszyła się przez sen, przyciskając pośladki do jego łądźwi. Z ąalem zrezygnował z obudzenia jej mimo narastającego podniecenia. Miał juź wstępny plan działania, do jego realizacji potrzebował jednak Tanyi, bo tylko ona miała odpowiednie doświadczenie. W realizacji tego planu na każdym kroku mogło się czaić niebezpieczeństwo: kiedy człowiek zaczyna być na bakier z prawem, zawsze ryzykuje wpadkę. A nie mógł liczyć na to, że Akademia wyciągnie do nich pomocną dłoń. W dodatku należało trzymać się z daleka od pozostałej dwójki, zwłaszcza od Ivana, który z pewnością chętnie by ich przyskrzyił i zamknął gdzieś w więzieniu. Nie zdążyliby wówczas wrócić na czas na Tirah i wszystko by przepadło. Zamknął oczy; chciało mu się spać.

Pozostawały jeszcze dwa pytania: co z chińską łamigłówką? I gdzie, do diabła, podziąła się Tanya?

Kilka godzin później odpowiedź na drugie pytanie trzymał w ręku. Przeczytał faks, uśmiechnął się i zmiął go w dłoni. Wszedł do jadalni i wrzucił papier do kosza. Wiadomość była krótka: „Przyjeżdżaj natychmiast. Hotel Bellevue, Boston. Tanya”.

Wyglądało więc na to, że mimo wszystko stworzą zgrany zespół. To dobrze. Nie chciał z nią walczyć, a czas naglił. Postanowił jednak odczekać kilka dni, zanim poleci do Bostonu. Nie było sensu aż tak się spieszyć.

- Idziemy na narty! - zawołał, wchodząc do kuchni.

Siedząca przy stole Elsa odwróciła się do niego. Miała na sobie tylko koszulkę z krótkimi rękawkami.

- Świetny pomysł - odparła. - Boję się tylko, że Karl też zechce pojeździć.

- Nie mogę się doczekać, kiedy znów się spotkamy - stwierdził nonszalancko Sebastien. Włożył do tosterka dwie kromki chleba. - Miło byłoby zobaczyć się z nim gdzieś indziej, nie w łazience. Nie lubię rozmawiać z nieznanymi w toalecie. Łatwo może dojść do nieporozumienia. - Nalał kawy do dwóch filiżanek. - Mam nadzieję, że minął mu juź ból brzucha.

Zerknął na Elsę i oboje parsknęli śmiechem.

Elsa martwiła się jednak, że Sebastien nie traktuje Karla poważnie. Miał szczęście, że Karl zasnął w toalecie, bo mógłby gorzko pożałować tego spotkania.

Poszli jeszcze raz do łóżka, a potem pojechali kolejką do Kasteln. Elsa się nie łudziła: ich związek nie miał przyszłości. Spędzili razem cztery dni i noc, które bardzo się jej podobały. Sebastien był znakomitym kompanem i kochankiem. No i na pewno nie brakowało mu pieniędzy. Wyjaśnił jej, że jest nowojorskim bankierem i że w zimie zawsze przyjeżdża do Kasteln na narty, ale nie powiedział nic więcej - i to ją niepokoiło. Mężczyźni uwielbiali mówić o sobie, o swojej pracy i osiągnięciach. Sebastien był inny. W dodatku, choć zachowywał się tak beztrosko, jakby cały świat był jednym wielkim placem zabaw, czasem stawał się jakiś całkiem obcy. Kryło się w nim coś, czego Elsa nie umiała odgadnąć. Przerażała ją jego impulsywna gwałtowność.

- Panie mają pierwszeństwo.

Usiedli w gondoli wyciągu, wciągając w płuca orzeźwiające górskie powietrze.

- Cudowne miejsce, prawda? - zauważył Sebastien, podziwiając znikające w dole świerki. - Nie nudzi ci się praca instruktorki?

- Nie. Idealnie pasuje do mojej natury. Kiedy jestem na stoku, czuję się wolna... - odparła w zadumie Elsa. - Nie wyobrażam sobie, żebym mogła robić coś innego.

- A Karl? On też tak to lubi?

- Nie mam pojęcia, musiałbyś go zapytać. Jest świetnym instruktorem. A w wolnym czasie dużo ćwiczy na siłowni.

- No proszę, nie zauważyłem.

- Poznaliśmy się rok temu w Finlandii. Razem robiliśmy kurs instruktorski. Na trzeźwo potrafi być całkiem miły.

- Nie wątpię - przyznał z rozbawieniem Sebastien i pocałował Elbę w zimny od wiatru policzek. - Zamierzasz się z nim jeszcze spotykać?

- Nie, skądże! Chciałam z nim zerwać, zanim jeszcze cię poznałam. Pomogłeś mi tylko podjąć decyzję. - Wyszli na górnej stacji wyciągu. - Myślałam o tym, żeby wrócić do Szwecji i tam poszukać pracy. Chyba niedługo tak zrobię... - Elsa się zawahała. - Jak tylko wyjedziesz.

- To chyba niezły pomysł - przyznał Sebastien. - Zawsze żyj w zgodzie ze swoim przeznaczeniem.

- A ty? Też tak żyjesz? - spytała Elsa.

- No pewnie! - Sebastien spojrzał na nią. Narty wciąż jeszcze trzymał na ramieniu. - I tak nie mógłbym nic na to poradzić. Przeznaczenie kieruje nami na dobre i na złe. No, dość

tej filozofii, czas pojeździć.

Cały dzień jeździli na nartach, dopiero wieczorem przysiedli na chwilę na stoku, żeby odpocząć przed powrotem do domu. Nie odpoczęli długo, gdy zjawił się nieproszony gość.

- Karl. Miło cię widzieć. - Sebastien wyciągnął rękę na powitanie, ale ponury Fin zignorował jego gest.

- Cześć, Elso.

- Nie chcę teraz z tobą rozmawiać.

Elsa zerknęła na niego przelotnie i zaraz odwróciła wzrok. Twarz Karla stężała. Popatrzył na Sebastiena. Wściekłość rozgorzała w nim ze zdwojoną mocą.

- To była moja dziewczyna - warknął.

- Owszem, była - zgodził się łaskawie Sebastien. Wstał i oparł się na kijkach, szykując się do odparcia ataku, lecz Karl ani drgnął. Patrzył tylko nienawistnie na Sebastiena, ale nie rwał się do bójki. Widać dość miał jednej porażki.

- Jeździsz na nartach?

- Trochę. - Sebastien uśmiechnął się skromnie.

Chwilę potrwało, nim Karl przetrawił tę informację. Oczy mu zabłyśły.

- Proponuję konkurs o Else. Jeżeli wygram, wróci do mnie. Jeśli przegram, będzie twoja.

Na chwilę zapadła cisza, a potem Sebastien zaśmiał się szyderczo.

- Proszę, proszę. Zawody, w których Elsa jest główną nagrodą. No, no... Znakomity pomysł. Uwielbiam konkursy.

Elsa, która do tej pory udawała brak zainteresowania, odwróciła się do Sebastiena i pociągnęła go za rękę.

- Daj spokój, nie jest tego wart - powiedziała. - Spadaj, Karl. Nie zamierzam się już z tobą spotykać. Chodź, Sebastienie.

- Co więcej - mówił dalej Sebastien - możemy się zabawić jeszcze lepiej. Proponuję mały zakład. O pieniądzu.

Karl spojrzał na niego podejrzliwie. Dziewczyna to jedno, ale forsa... O, to zupełnie inna sprawa.

- Nic wielkiego, powiedzmy... piętnaście tysięcy dolarów - zaproponował Sebastien, szacując, że aby uzbierać tyle pieniędzy, Karl musi pracować przez kilka lat.

Żył nabrzmiały na szyi Karla, jakby nagle zaczął się dusić.

- Piętnaście tysięcy? - powtórzył i z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Dokładnie - przytaknął wesoło Sebastien. - Jeśli chcesz, możemy podwyższyć

stawkę. Chyba się nie boisz, co?

Fin poczerwieniał jak piwonია. Sprawy nie układały się po jego myśli, ale przecież nie mógł się wycofać. Nie mógł zawieść Elsy.

- Nie. Piętnaście tysięcy będzie w sam raz - odparł. Pomyślał, że za wszelką cenę musi wygrać. Wskazał na skocznię. - Tam.

Sebastien skinął głową.

- Niech będzie.

Karl pogratulował sobie w duchu własnej przebiegłości. W slalomie Sebastien mógł go wyprzedzić, ale w skokach Karl był mistrzem kraju.

Elsa zbladła jak ściana. Ruszyli po schodach na górę.

- Nie rób tego, Sebastienie - szepnęła - Karl to zawodowiec. Nie masz szans.

- Trudno, najwyżej przegram.

- Nie zależy ci?

Sebastien uśmiechnął się bez troski.

Weszli do domku na szczycie skoczni i zaczęli sprawdzać narty. W tym momencie pojawił się kierownik skoczni.

- Teraz nie wolno skakać - oznajmił. - Wiatr jest za silny.

Rumieńce wróciły Elsie na policzki. Poczowała wielką ulgę.

- A właśnie, że będziemy skakać, do kurwy nędzy! - Karlowi krew napłynęła do twarzy, kiedy wdał się w kłótnię z kierownikiem, obrzucając go wyzwiskami w trzech różnych językach. Sebastien nie mieszał się do dyskusji, nadal spokojnie oglądając narty. Kiedy wreszcie Karl odwrócił się do Sebastiena, na jego twarzy nienawiść mieszała się z dumą.

- Kto dalej skoczy, wygrywa - oznajmił i splunął. - Ja zaczynam.

- W porządku. Na pewno pokażesz wielką klasę.

Karl zaczął w pośpiechu przygotowywać się do skoku: przypiął narty i wyszedł na rozbieg. Siedząc na belce, wpatrywał się w stromy zjazd, szykując się psychicznie do wspaniałego triumfu. Nikt nie mógł mu odebrać zwycięstwa. Odepchnął się i zaczął zjeżdżać w dół.

Nagle stwierdził, że ma tylko jedną nartę. Koziółkując, spadł z progu skoczni.

Łądowanie wyglądało makabrycznie. Z dachu słyhać było trzask pękających kości. Karl potoczył się po zboczach i wpadł w zaspę. W baraku zapadła cisza. Wszyscy patrzyli, jak pielęgniarki z noszami pędzą na miejsce wypadku. Pierwsza odezwała się Elsa:

- Jezu Chryste, myślisz, że on nie żyje?

Twarz Sebastiena niczego nie wyrażała, tylko w jego oczach tlił mu się wesoły ognek.

- Mam nadzieję.

Następnego ranka Sebastien zawiózł Elbę do szpitala. Czekał na nią na dworze. Pół godziny później wyszła i podała mu kartę choroby Karła.

- Złamana ręka, noga, pęknięta miednica - czytał obojętnym tonem. - Połamane żebra, zerwane ścięgna, silny wstrząs mózgu, obrażenia twarzy... O, tu mamy coś ciekawego: pęknięta kość łonowa. - Sebastien z czułością pocałował Elbę. - Rzadki przypadek. Radziłbym ci na razie za bardzo z nim nie szaleć w łóżku, Elso. Seks metodą usta - usta będzie wam musiał przez jakiś czas wystarczyć. Przy całowaniu nie powinno go boleć.

Elsa odruchowo się uśmiechnęła, choć wcale nie było jej wesoło.

- Z nim już raczej niczego nie planuję.

- No, czas na mnie - zauważył Sebastien. - Do zobaczenia, instruktorko. Dziękuję za lekcje.

- Do widzenia, Sebastienie.

Pocałowali się.

- Pamiętaj: żyj zgodnie ze swoim przeznaczeniem - zawołał Sebastien na odchodnym.

- Nie zapomnę. Może jeszcze kiedyś się spotkamy.

- Może... - Sebastien pomachał Elbie na pożegnanie, wiedząc, że ją okłamuje.

## ROZDZIAŁ 11

*Wojny się nie uniknie, lecz tylko odwlecze z korzyścią dla przeciwników.*

Niccoló Machiavelli *Książę*

### **Styczeń. Paryż**

W czasie gdy Tanya zaczynała poszukiwania w bostońskiej bibliotece, a Sebastien zabawiał się w Szwajcarii, Ivan pograżył się w kontemplacji, jak na politologa i myśliciela przystało.

Leżał wyciągnięty na sofie, wsłuchując się w ostatnie nuty wagnerowskiego



*Lohengrina*. Minęły trzy tygodnie, odkąd wyjechał z Akademii. Na czas trwania konkursu przeniósł się z Londynu do Paryża. Wynajął mieszkanie w jednym z najdroższych *arrondissement*, dokładając wszelkich starań, by nikt nie poznał jego prawdziwej tożsamości.

Powiódł wzrokiem po swoim nowym salonie: złożone ozdoby, dziewiętnastowieczne meble, dywan w jaskrawych kolorach... Skrzywił się. Wystrój wnętrza nie przypominał urządzonego ze smakiem pokoju w Akademii, ale na razie musiał mu wystarczyć. Przez cały ostatni tydzień świadomie unikał rozmyślań o konkursie, żeby oczyścić umysł. Spacerował niespiesznie po Paryżu, odwiedzał znajome kąty, cieszył się życiem i zbierał siły przed bitwą.

Nadszedł czas, by się skoncentrować i poskładać fragmenty łamigłówek w całość. Najważniejsza była gra, na drugim miejscu należało postawić chińską łamigłóvkę, a na końcu śmierć Reksa Boone'a. Co je łączyło? Od razu nasunęło mu się drugie, nie mniej ważne pytanie: jak powinien rozegrać tę partię? Prowadzenie gry o władzę - jak zresztą każdej innej - było prawdziwą sztuką. Konkurs, w którym brał udział, nie miał sobie równych, musiał więc wymagać niezwyklej ostrożności i uwagi. Należało nie tylko w rok zarobić dwadzieścia milionów dolarów, ale także pokonać rywali. Konkurencja nawet po nagłym odejściu Reksa była niezwykle silna. Śmierć Boone'a nadała ton grze i podkreśliła jej wagę.

Wstał i podszedł do odtwarzacza. Poranek był zimny i jasny. Z okna Ivan miał widok na ruchliwą paryską uliczkę. Tak, po południu pójdzie na spacer. Puścił tę samą płytę od początku, wrócił na sofę i przymknął oczy. Muzyka wypełniła pokój. Ivan leciutko poruszał dłońmi w jej rytmie, jak dyrygent podczas próby. Wrócił myślami do pilniejszych spraw.

Jaką powinien przyjąć filozofię? Zmierzając ku centrum świata, potrzebował przewodnika, który poprowadziłby go właściwą drogą. Człowieka, który jak nikt inny znał naturę władzy i wiedział, jak można jej użyć. I jak nadużyć. Potrzebował wielkiego mędrca - tak jak Dante, który schodząc do piekła, miał za przewodnika nieśmiertelnego Wergiliusza.

Kogo powinien wybrać? Ivan - z zawodu teoretyk polityczny, z zamiłowania filozof - rozważał kolejne kandydatury: Hobbes, Hume, Kant, Clausewitz... W myślach witał się z nimi i szybko rozstawał. Szukał wybitnego znawcy istoty władzy i znalezienie go nie zajęło mu dużo czasu: Machiavelli. Tylko ten średniowieczny włoski mąż stanu mógł wiedzieć, jak zasiąść na tronie Mistrza i co to oznacza. Fakt, że zmarł przed blisko pięciuset laty, nie miał tu nic do rzeczy. Władzę w każdej epoce zdobywało się tak samo.

Od czego powinien zacząć? W *Księciu*, dziele poświęconym machinacjom politycznym, genialny dyplomata twierdził, że „nierozsądnie jest toczyć bitwę w nieznanym terenie”.

Bardzo trafna uwaga. Ivan postanowił wziąć ją sobie do serca. Muzyka grała dalej.

Rex sprawiał wrażenie, że nie bardzo ma ochotę angażować się w konkurs, ale tylko udawał. Chciał się przekonać, czy ktoś jeszcze wie o Mistrzu i czekającej ich rozgrywce to samo co on. Chyba nikt nie wiedział. I dlatego Rex został zamordowany. Wiedza, którą posiadał, miała tak kapitalne znaczenie, że kosztowała go życie. Jaką tajemnicę znał Rex? Informacje na ten temat z całą pewnością miał przy sobie. Albo w swoim pokoju w Akademii. Tak, raczej tam. Nie było jednak mowy, żeby teraz ktoś wpuścił tam Ivana. Zresztą nawet gdyby mógł się tam znaleźć, niewiele by mu to dało: Rex na pewno dobrze ukrył swój sekret. Czy zabrał go ze sobą do grobu? Może tak, może nie. Sekrety nie umierają - po prostu zostają na jakiś czas głębiej ukryte. Rex na pewno zostawił jakąś wskazówkę. Ivan cierpliwie rozważał kolejne możliwości, aż wreszcie skoncentrował się na jednej. Zjedli razem kolację w Erris. Może w tym spotkaniu uda mu się znaleźć jakiś ślad. Musiał wrócić pamięcią do tego wieczoru, jak morderca, który wraca na miejsce zbrodni.

Napił się wody i znowu zamknął oczy. Powoli, z mozolem, odgrzebuując zapomniane okruchy wspomnień, odtworzył każdy szczegół wieczornego spotkania z Reksiem. Ciężka sylwetka, masywne szczęki i mocne rysy twarzy stawały się coraz wyraźniejsze, aż wreszcie widmowy Rex podniósł głowę i spojrzał Ivanowi w oczy. Przez chwilę patrzyli tak na siebie - żywy człowiek i wytwór jego doskonałej pamięci. Mając ten obraz przed oczyma, Ivan scena po scenie odtworzył przebieg kolacji. Zwracał uwagę na każde słowo i każdy gest, jakby klatka po klatce oglądał filmowy zapis wieczoru. Coś musiało tam być, nie ulega wątpliwości. Nagle serce mocniej mu zabiło.

Kiedy Rex wstał od stołu, rzucił na odchodnym: „Muszę jeszcze z kimś pogadać. Zrezygnuję z serów i portwajnu”. Ivan podejrzewał wówczas, że planuje spotkanie albo z Mistrzem, albo z którymś z rywali. Tymczasem przeoczył jeszcze jedną możliwość. Rex chciał do kogoś zadzwonić.

Ivan wykręcił dziewięciocyfrowy numer. W słuchawce odpowiedziała mu głucha cisza. Wybrał jeszcze dwie cyfry i czekał. Wreszcie odezwał się płaski, bezosobowy głos:

- Przepraszamy. Pomyłka. Nie ma takiego numeru. Proszę wybrać ponownie.

Ivan odczekał chwilę i powiedział:

- Proszę z departamentem dziesiątym.

- Przepraszamy. Pomyłka.

- Hadley.

- Proszę czekać.

Ivan był poirytowany. Problem z Anglikami polegał na tym, że kiedy część ich służb

specjalnych zaczęła działać oficjalnie, inne, ważniejsze departamenty utajniły się jeszcze bardziej. Przykład Brytyjczyków dowodził jasno, że żadna tajna organizacja nie ujawnia podstaw swojej egzystencji. Ta zasada odnosiła się również do Akademii.

- Możemy pana połączyć z panem Hadleyem - odezwał się nagle miły, kobiecy głos. - Proszę podać kod.

- Dwadzieścia sześć, dwadzieścia pięć, osiemdziesiąt sześć.

Po chwili uzyskał połączenie. Hadley był lekko zdenerwowany. Ivan nigdy nie dzwonił do niego do pracy.

- Miło cię słyszeć, Iwanie. Dawno się nie widzieliśmy.

Ivan nie miał czasu na grzecznościową konwersację. Od razu przeszedł do rzeczy:

- Potrzebuję twojej pomocy, Jamesie. Spotkajmy się w piątek na kolacji. Szczegóły zostawię ci tam, gdzie zwykle. Czeka cię długa podróż.

Hadley odkaszlnął z wahaniem.

- Może być z tym kłopot, Iwanie. Mamy tu mnóstwo roboty.

- Z góry ci dziękuję - dodał Ivan, jakby w ogóle nie słysząc słów Hadleya, i odłożył słuchawkę. Wkrótce dowie się, czy Rex zadzwonił gdzieś tamtej nocy. A skoro mowa o Jamesie: na co zdałby się Ivanowi taki kochanek, od którego nie można wyciągnąć żadnych informacji?

- Twój ruch.

Ivan przesunął figurę na szachownicy, wsłuchany w dźwięki preludium i fugi D-dur Buxtehude'a.

- Szach i mat?

- Chyba tak.

Hadley prychnął z niedowierzaniem.

- Nie wiem, jak ty to robisz. Za każdym razem wygrywasz! Zupełnie jakbyś przewidywał każdy mój ruch.

- Łatwo cię przejrzeć, James - uśmiechnął się Ivan. - To twój najslabszy punkt. Kiedy grasz w szachy, nigdy nie zastanawiasz się nad tym, kim jest człowiek po drugiej stronie stołu. Na ślepo brniesz do przodu, przedstawiając figury. Nie starasz się zastosować żadnej taktyki, nie analizujesz sposobu myślenia przeciwnika. Dlatego przegrywasz. To proste.

- Gówno prawda!

- Nie, posłuchaj mnie. Czytam w tobie jak w otwartej książce, James. Gdy masz wątpliwości, robisz się przesadnie ostrożny, a kiedy wpadasz w tarapaty, uciekasz się do

klasycznych zagrań obronnych. Kiedy tyle o tobie wiem, łatwo mi się gra. Atakuję, wykonuję parę nietypowych posunięć i zastawiam pułapki. I co się dzieje? Nie wiesz, co robić, wpadasz w panikę i twoja obrona leży. Krótko mówiąc, James, jesteś łatwym rywalem.

Zrozpaczony Hadley zasłonił twarz rękoma. Miał dwadzieścia kilka lat, smukłą figurę, blond włosy i miłą powierzchowność, podkreśloną przez wydatne kości policzkowe i pełne usta. Nosił eleganckie, granatowe garnitury. Był trochę skryty, a delikatny wygląd sugerował raczej profesję artysty niż szpiega. Tymczasem od chwili ukończenia studiów parał się szpiegostwem na rzecz Wielkiej Brytanii. Przekonał się przez ten czas, że z tego rodzaju pracą trudno się rozstać z własnej woli. James w życiu postępował tak, jak podczas gry w szachy: był niezbyt ambitny i nie umiał patrzeć w przyszłość.

Ivan zrobił im drinki i mówił dalej:

- Musisz nauczyć się przewidywać, co zrobi przeciwnik, Jamesie. W przeciwnym razie nie masz szans. Jak powiedział Machiavelli: „Rodzące się zło, poznane z daleka, leczy się szybko, lecz gdy skutek tego, że nie zostało rozpoznane, pozwala się na jego wzrost, nie ma już lekarstwa”.

James się roześmiał.

- Jesteś po prostu bardziej bystry ode mnie.

- Wcale nie. Wygrywam, bo tak to zaplanowałem. A ty nie. Udało ci się załatwić to, o co prosiłem?

Hadley spojrział na niego z niepokojem. Odgarnął włosy na bok. Pot drobnymi kropelkami wystąpił mu na czoło. Był jedynym człowiekiem spoza Akademii, który wiedział, że Ivan jest Adeptem. Bardzo mu to pochlebiało.

- Tak, Iwanie. Włamałem się do banku danych operatora telekomunikacyjnego. Z hotelu w Erris Boone dzwonił tylko raz... Nikomu nie mów, skąd to wiesz, bo mnie wyleją. Zrobiłem to bez pozwolenia.

- Nie przejmuj się - uspokoił go Ivan. - Nawiasem mówiąc, czy możesz też podsłuchiwać rozmowy i śledzić transfer danych przez łącza Akademii? Naziemne albo satelitarne?

Ivan był pewien, że Rex nie dzwoniłby z Tirah w żadne ważne miejsce.

- Zwariowałaś?! To chyba w ogóle nie jest możliwe! Akademia stosuje pewnie wszelkie możliwe zabezpieczenia. - Hadley łknął łyk dżinu. - Nawet teraz boję ci się przekazać tę informację. Może powinieneś zwrócić się bezpośrednio do szefa MI6? Masz pewnie odpowiednie doświadczenia. Ja naprawdę się boję.

Ivan wziął od Jamesa kartkę ze szczegółowym opisem rozmowy Boone'a i odłożył ją

na stolik. Poklepał go po ramieniu.

- Nie panikuj, James. Jedno mogę ci powiedzieć z całą pewnością: nie było innego sposobu, żeby zdobyć te informacje. Mój kumpel z Akademii zginął w niewyjaśnionych okolicznościach, a ja pomagam Mistrzowi przeprowadzić prywatne śledztwo.

Hadley sprawiał wrażenie usatysfakcjonowanego tym kłamstwem. Porozmawiali jeszcze chwilę i zaczął się zbierać do wyjścia. Ivan podał mu płaszcz i odprowadził go do drzwi. Objęli się na pożegnanie.

- Nikomu ani słowa, James. Ani o tym, co mi dałeś, ani że u mnie byłeś.

- Oczywiście - zgodził się Hadley. Im mniej się będzie o tym mówiło, tym lepiej. Wyszedł, spiesząc się na pociąg powrotny. Wracał do Londynu i nudnej pracy w biurze. Chciałby żyć tak jak Ivan.

Ivan zamknął za nim drzwi i wrócił do salonu. Siedząc w półmroku na sofie, napił się koniaku i jeszcze raz spojrzął na otrzymany od Jamesa numer telefonu. Zagraniczny abonent.

Wykręcił ten numer.

- Rezydencja pani Boone - odpowiedział mu odległy głos z amerykańskim akcentem.

Ivan bez słowa odłożył słuchawkę i sprawdził numer w książce telefonicznej. Matka Boone'a mieszkała na przedmieściach Bostonu. Zadzwoił na centralę w Bostonie i dowiedział się, że numer jest zastrzeżony. Był. Albo sam Boone, albo jego matka nie mieli ochoty ujawniać miejsca jej pobytu. Ivan uczcił zdobycie tej informacji następnym łykiem koniaku. W dzień swojej śmierci Rex dzwonił do matki - właściwie nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie pewien drobiazg: w Bostonie był wtedy wczesny ranek. Tak wcześnie nie dzwoni się do mamy, żeby poplotkować.

Ivan podniósł słuchawkę i zarezerwował sobie bilet na lot do Bostonu. Czas udać się na spotkanie z matką Rekxa Boone'a. Poprosi swoich amerykańskich przyjaciół, żeby ją znaleźli.

Uznał, że jak na jeden wieczór starczy tej pracy detektywistycznej. Dolał sobie koniaku.

Rex - mimo że martwy - jednak do niego przemówił.

Wczesnym rankiem Ivan wysiadł z samolotu na lotnisku Logan. Przeszedł przez odprawę celną, wynajął samochód i ruszył do Bostonu. Trafił na godzinę szczytu, toteż ruch na ulicach był spory, przedarł się jednak w końcu przez miasto. Do dzielnicy, w której mieszkała matka Rekxa, miał jeszcze godzinę drogi. Jadąc przez Cambridge, mijał studentów Uniwersytetu Harvarda. Przypomniały mu się wykłady z ekonomii, które niedawno tu

prowadził. Właśnie, kontakty w środowisku akademickim też mogły mu się przydać.

Zachciało mu się jeść i sięgnął do papierowej torby na przednim siedzeniu.

W końcu wąską uliczką dojechał na miejsce. Ogromny dom pani Boone - podobnie jak większość budynków w okolicy oszalowany deskami i pomalowany oślepiająco białą farbą - stał w dużym ogrodzie. Miał piętro i ganek z kolumnami, a na trawniku stał obowiązkowy symbol patriotyzmu: wysoki maszt z amerykańską flagą. Ivan wysiadł z wozu i wolno podszedł do drzwi. Zadzwoił.

Kobieta, która mu otworzyła, dobiegała sześćdziesiątki, miała na sobie pielęgniarSKI fartuch i przyglądała się Ivanowi podejrzliwie. A kiedy przedstawił jej powód swojej wizyty, powiedziała:

- Będzie pan musiał zapytać panią Boone o ten telefon. Tylko proszę jej nie zamęczać. Śmierć syna była dla niej strasliwym ciosem. Poza tym może mieć kłopoty ze zrozumieniem pana. Cierpi na chorobę Alzheimera.

Pielęgniarka zaprowadziła Ivana do sypialni. W łóżku leżała starsza pani o ściągniętej, pomarszczonej twarzy. Wzrok miała utkwiony gdzieś w dal. Otaczały ją nieodłączne atrybuty bliskiej śmierci: cała bateria fiolek z lekami, butla tlenowa, maska, zapach kamfory. I Biblia - do której należało sięgnąć w ostateczności, jak po ściągawkę podczas egzaminu.

Usiadł przy łóżku. Pani Boone nie przypominała sobie żadnego telefonu. Widać było, że jej umysł nie najlepiej radzi sobie z pytaniami Ivana. Po namyśle zapytał, czy mógłby przejrzeć papiery, które Rex po sobie zostawił. Byli bliskimi kolegami i wspólnie pracowali nad książką, więc może znajdzie w jego notatkach coś użytecznego. Matka Reksa słabo poklepała go po ręce. Nie rozumiała chyba ani słowa.

Ivan zostawił ją samą, pogrążoną we wspomnieniach. Rex musiał ją bardzo kochać. Nawet najbardziej ambitni i niezależni ludzie mają matki; żałował, że nie miał okazji poznać swojej. Ciężko jest sierocie na świecie. Chociaż, z drugiej strony, są zalety takiego stanu rzeczy: nie trzeba prosić o kieszonkowe ani uzgadniać wyboru partnera życiowego.

Pielęgniarka zaprowadziła go na piętro, do pokoju Reksa. Z dużego, przestronnego pomieszczenia roztaczał się miły widok na teren uniwersytetu. Na kremowych ścianach pełno było zdjęć Reksa z czasów studenckich. Na każdym z nich wyglądał jak olbrzym; wyróżniał się zwalistą posturą i zaciętym wyrazem twarzy, jakby od zawsze jego przeznaczeniem było dokonywać wielkich rzeczy. Nikt z jego kolegów nie dowiedział się, jak wiele naprawdę osiągnął: został Adeptem i kandydatem na Mistrza. Szkoda, że taka śmierć była mu sądzona.

Ivan zaczął przeszukiwać papiery. Wiedział doskonale, czego szuka: wskazówki, która pomogłaby mu wygrać konkurs.

Trzy dni później widok za oknem zaczął mu się nudzić, tym bardziej że ciągle mżyło. Przejrzał wszystkie dokumenty, jakie Rex po sobie zostawił, ale nie znalazł nic użytecznego. Większość papierów w ogóle nie nadawała się do czytania: niekończące się wzory matematyczne, równania, artykuły na temat energii nuklearnej - zapewne genialne, ale nie mające absolutnie nic wspólnego z konkursem. Ivan z pewnym okrucieństwem stwierdził, że chyba dobrze się stało, że Rex zginął. Przynajmniej przestał pisać.

Godzinę później skończył swoją syzyfową pracę i siedząc na podłodze, oglądał zdjęcie Reksa w stroju futbolisty Chicago University. Niepotrzebnie tu przyjechał. Mylnie uznał, że istnieje jakiś związek między konkursem i telefonem Reksa z Erris do domu. Wszystko wskazywało na to, że Rex rzeczywiście zabrał tajemnicę do grobu.

Ivan zszedł na dół, żeby pożegnać się z panią Boone.

- Synku... - wyszeptła, kiedy wymienił imię Reksa.

Ivan uściśnął jej wychudzoną dłoń.

- Proszę się nie martwić, pani Boone. Nie zapomnę pani syna. Był niezwykłym człowiekiem. Bardzo żałuję, że nie mogę z nim porozmawiać - powiedział, dodając w duchu, że przedyskutowaliby przy okazji kwestię rachunku z restauracji.

Wyszedł na ganek i łapczywie zaczerpnął w płuca świeżego powietrza. Musiał wrócić do Paryża i zdobyć dwadzieścia milionów dolarów. Miał już pewien pomysł. Pożegnał się z pielęgniarką i zszedł na podjazd, omijając kałuże. Był przy bramie, gdy usłyszał głos:

- Przepraszam... Przepraszam pana!

Ivan odwrócił się i ujrzał otyłą kobietę, która biegła do niego przez ogród, jakby chciała dostać zawału serca. Sądząc po białym fartuszkowi, musiała być gosposią. Zatrzymała się o krok od Ivana ze ścierką w ręce.

- Nie wiem, czy to się panu do czegoś przyda... - wysapała. - Ale któregoś ranka pan Rex dzwonił do domu. To było krótko przed tym, jak zginął. Bardzo wcześnie rano. Ja odebrałam ten telefon.

- Tak? - zainteresował się Ivan.

- No... - Kucharce znów zabrakło tchu w piersi. - Doktor Boone prosił, żebym znalazła mu jakieś dokumenty. Mówił bardzo szybko, ostrym tonem, jak nigdy. Powiedział, że zadzwoni jeszcze raz i poda mi adres, pod który mam je wysłać, ale, biedaczysko, nie zdążył.

- Gdzie są te dokumenty?

- Na śmierć o nich zapomniałam. Dopiero dzisiaj skojarzyłam, jak mi Martha powiedziała, że pan szuka jakichś ważnych papierów.

- Owszem, szukam. Gdzie one są? - Ivan starał się nie stracić cierpliwości.

Gospościa poszła do domu. Po chwili wróciła i podała mu owiniętą w szary papier paczkę. Od razu ją rozpakował. Ręce mu się trzęsły. Omal nie zemdłał, gdy ujrzał pojedynczą, białą kartkę.

- Nic panu nie jest?

- Usiądę sobie na chwilę, jeśli można.

Znów siedział w olbrzymim fotelu Reksa w jego pokoju. Patrzył na zdjęcia gospodarza i szczerze mu w duchu dziękował. Nie ma potrzeby wracać do sprawy rachunku z Erris: był gotów postawić mu tę kolację. Musiał pogratulować Reksowi znakomitej pamięci.

Kiedy tamtej nocy Mistrz poinformował ich, że zostali wybrani do gry, jego słowa coś Reksowi przypomniały. Gdzieś już wcześniej czytał o takim konkursie. Teraz Ivan miał w ręku dokumenty, o których przesłanie prosił Rex tuż przed tym, jak zginął potrącony przez samochód. Powtarzało się w nich nazwisko niejakiego Maksa Stanton. Kim był ów tajemniczy człowiek i co łączyło go z konkursem? Ivan zagłębił się w lekturze.

Max Stanton był młodym, bardzo ambitnym chemikiem z Uniwersytetu Harvarda. Przy okazji wypełniania obowiązków służbowych poznał ojca Reksa, miejscowego prawnika, i wskazał Boone'a seniora jako jedyne wykonawcę testamentu. Kiedy Stanton zmarł, ojciec Reksa musiał uporządkować jego rzeczy i wtedy właśnie do jego rąk trafiły pewne interesujące dokumenty. Później, po śmierci ojca, dokumenty te otrzymał Rex. Ivan wyobraził sobie, jak robiąc porządek w papierach ojca, Rex pośpiesznie przegląda je - i zaraz zapomina ich treść. Wszystkich, poza jednym.

Treść kartki, opatrzonej datą i zapisanej ręką Stanton, miała ogromną wagę. Stanton przyznawał otwarcie, że jest członkiem Akademii. Wspominał o spotkaniu, w którym oprócz niego wzięło udział czterech innych Adeptów oraz Mistrz, poprzednik obecnego przełożonego Akademii. Spotkanie odbyło się bez świadków w pokojach przy trzecim dziedzińcu. Adepci zostali poinformowani o nominacji na kandydatów. Mogli zająć stanowisko Mistrza pod warunkiem, że wezmą udział w grze, której zasady zostaną im ujawnione, gdy wyrażą zgodę na uczestnictwo. Stanton nie napisał, na czym polegał konkurs. Wspominał tylko, że cała piątka postanowiła wziąć w nim udział.

Prawdopodobnie za pierwszym razem Rex nie zrozumiał treści kartki, gdyż nie był jeszcze wtedy Adeptem. Doszedł pewnie do wniosku, że to jakiś żart. Coś jednak powstrzymało go przed zniszczeniem listu Stanton i kiedy Mistrz wspominał o konkursie, pamięć natychmiast podszeptała mu, że już o tym słyszał. Postanowił więc przekonać się, co wiedzą o tym inni.



Chcąc przypomnieć sobie treść notki, która stanowiłaby punkt wyjścia do dalszego śledztwa, Rex zadzwonił do domu matki, prosząc o przysłanie mu dokumentów Stanton. Niewinne przedstawienie, jakie dał w Akademii, kosztowało go życie. Ktoś już wiedział to, co on. Biedny Rex. Gra w futbol i odgrywanie Hamleta wymagało całkiem odmiennych umiejętności.

Ivan rozparł się wygodnie w fotelu. Miał niezwykle szczęście, że akurat ten skrawek papieru przetrwał nienaruszony. Po śmierci Adepta niszczone przecież wszystkie ślady łączące go z Akademią. Tym razem czyściciele coś przeoczyli.

Zatem mimo wszystko udało mu się porozmawiać z Reksem, który za pośrednictwem tej jednej małej karteczki bardzo dużo mu powiedział. Po pierwsze: konkurs odbył się już co najmniej raz w przeszłości i Stanton wziął w nim udział. Po drugie: z daty na notce wynikało, że obecny Mistrz był jednym z uczestników konkursu. Po trzecie: Stanton zmarł wkrótce po napisaniu tej notki.

Pozostała jeszcze tylko jedna niewiadoma: jak umarł?

Gromadzący informacje o Stantonie Ivan zaniepokoiłby się pewnie, gdyby wiedział, że nie on jeden przybył do Massachusetts. Po nocnym locie ze Szwajcarii Sebastien otworzył drzwi pokoju hotelowego w centrum Bostonu. Była szósta rano. Tanya usiadła na łóżku, przetarła oczy, a potem wyciągnęła do niego ręce i pocałowała go namiętnie.

- Jak podróż?

Sebastien uśmiechnął się, próbując ją przytulić, ale ona uderzyła go w twarz i odepchnęła ze złością.

- Ty draniu! Dlaczego wtedy mnie zostawiłeś? Mogłeś przynajmniej powiedzieć, że chcesz po cichu wymknąć się z Akademii! Martwiłam się o ciebie.

Sebastien usiadł na łóżku, rozcierając bolący policzek. Nie takiego powitania spodziewał się po blisko miesięcznej rozłące.

- Przepraszam cię, Tanyu - powiedział, patrząc, jak Tanya wstaje z łóżka. - Potrzebowałem czasu do namysłu. Nie umiałem się pozbierać po tym, co powiedział Mistrz.

- Kłamczuch z ciebie.

- Jeszcze raz przepraszam. Jesteś zadowolona? Czy może chcesz, żebym sobie poszedł?

- Właśnie, wynoś się!

Odprowadził ją wzrokiem, gdy naga zniknęła w łazience, a potem odłożył gazetę i poszedł za nią.

- Zastanów się, Tanyu. Przecież powinniśmy współpracować.

- Wcale nie.

Przepchnęła się obok niego i weszła pod prysznic.

- Tanyu.

Cisza.

- Tanyu, przepraszam cię.

Ciało Tanyi spowiła mgielka pary.

- No dobrze, poddam się. - Sebastien podniósł ręce. - Jestem draniem. Zimnym, wrednym draniem. Lepiej ci?

Cisza.

- Tanyu...

Z podstępym uśmiechem otworzył drzwi kabiny i nie zdejmując marynarki, wpełznął się obok Tanyi pod prysznic. Zachichotała, gdy zaczął ją łaskotać.

- Jesteś skończonym draniem!

Próbowała się wyrwać, odsunąć, ale upór Sebastiena opłacił mu się. Pocałowała go w końcu, cała w pianie, i zaczęła rozwiązywać mu krawat - chociaż najpierw wylała na niego całą butelkę szamponu.

Kiedy było po wszystkim, Sebastien, wycierając się w sypialni ręcznikiem, doszedł do wniosku, że w ich stosunkach nastąpiło chyba chwilowe odprężenie. Dobrze, że nie przywiózł Tanyi żadnych perfum ani prezentów. Jeszcze bardziej by nim pogardzała. Patrzył, jak siedziała na łóżku i wycierała sobie stopy. Twarz i piersi miała lekko zaróżowione od emocji i gorącej wody. Wydała mu się jeszcze piękniejsza niż zwykle. Kiedy zaczęła wkładać stanik, wyciągnął się obok niej na łóżku i pocałował ją w ramię. Czekał na obowiązkowe kazanie.

- Sebastienie, ten konkurs to naprawdę poważna sprawa. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

- Ależ oczywiście.

Tanya ujęła jego głowę w dłonie i spojrzała mu w oczy.

- Chyba nie. A poza tym nie bądź palantem i nie rób takich maślanych oczu. Jeszcze ci nie wybaczyłam. Słuchaj, chodzi o to, że ta gra to nie przelewki. Do tej pory nie mieliśmy pojęcia, jak nasza praca wpływa na losy świata ani jak Akademia wykorzystuje zgromadzone przez nas materiały. Ale teraz... teraz każdy z nas ma niepowtarzalną szansę znaleźć się na samym szczycie.

Tanya wstała, wkładając kolejne części garderoby. Sebastien, nie ruszając się z łóżka, podziwiał jej wdzięczną sylwetkę. Dawno nie widział jej tak podekscytowanej.

- To niezwykła okazja, możliwość prawdziwego spełnienia snów - mówiła dalej. -

Mistrz będzie znał cały system od podszewki i pokieruje działaniami Akademii. Pozna tkankę cierpliwie przez wieki pajęczynę. Wyobrażasz sobie, co to znaczy mieć taką wiedzę i władzę? To niewiarygodne!

- W pełni się z tobą zgadzam.

- Chcesz się na własne oczy przekonać, jak funkcjonuje Akademia?

- Oczywiście - odparł Sebastien, kartkując gazetę. Starał się nie okazywać nadmiernego entuzjazmu.

- Ja też. - Tanya założyła kolorowe klipsy. - I dlatego chciałabym wiedzieć, co sądzisz o konkursie. Tylko na serio.

- W porządku.

Sebastien odrzucił gazetę. Należało załatwić tę sprawę raz na zawsze, tym bardziej że prędzej czy później i tak musieliby o tym porozmawiać. Darował więc sobie swój zwykły, kpiarski ton głosu i mówił śmiertelnie poważnie. Akademia była instytucją bardziej złożoną i potężniejszą, niż sobie wyobrażali. Pod wieloma względami przypominała chińską łamigłówkę, zwłaszcza gdy przychodziło do wykorzystania posiadanych informacji. Po dwóch latach członkostwa nie miał wątpliwości, iż są kraje, którym doradza chętnie, i takie, z którymi nie lubi dzielić się swą wiedzą. Jego zdaniem celowo ograniczała siłę i możliwości jednych krajów, by sprzyjać innym - a o wszystkim decydował Mistrz. Akademia nie była instytucją wyłącznie doradczą, lecz świetnie zorganizowanym systemem, służącym do manipulowania światem zgodnie z wolą jej przełożonego.

Tanya słuchała go w milczeniu. Zgadzała się z nim całkowicie. Usiadła obok na łóżku.

- Kiedy zostałem Adeptem, Mistrz powiedział mi, że Akademia nie próbuje sterować poczynaniami państw i że wykorzystuje swą władzę jedynie w słusznych celach. Ale to nieprawda, Tanyu: Akademia zrobi wszystko, absolutnie wszystko, by zachować władzę. Mistrz bawi się tylko w słowne gierki. Widzisz, Akademią nie rządzi żaden imperatyw moralny, tak jak na przykład Kościołem katolickim. Pod tym względem jest więc całkowicie neutralna, czy raczej cyniczna w wykorzystywaniu swoich wpływów. Wszystko zostało podporządkowane utrzymaniu jej statusu i władzy. Gra, w której bierzemy udział, jest tego najlepszym dowodem i to właśnie Mistrz usiłował dać nam do zrozumienia. Akademia kieruje się własnymi zasadami i ma jasno określony cel. Stopniowo podporządkowuje sobie cały świat, jak wielki wir, który zasysa wszystko dokoła. Kolejne rządy upadają, Akademia zaś zyskuje coraz większą władzę i coraz śmielej ujawnia swoją potęgę. Coraz bardziej staje się *éminence grise*, szarą eminencją, ale kiedyś się ujawni. Gra jest elementem tej strategii.

Tanya bez słowa wstała i odciągnęła zasłony. Kiedy się odwróciła, wydała się

Sebastienowi tak piękna, że prawie mógłby ją pokochać. Zamiast wrócić do niego na łóżko, usiadła na krześle, co nie uszło jego uwagi. Czekał.

- Kiedy zostałam Adeptką - powiedziała - zdałam sobie sprawę, że mogłabym stanąć na czele Akademii. Wtedy jednak ta możliwość zdawała mi się tak odległa i czysto teoretyczna, że szybko przestałam o niej myśleć. A teraz, proszę: sami mi to zaproponowali.

- A więc uznałaś jednak, że chcesz być Mistrzem? - upewnił się Sebastien i usiadł. Tak właśnie myślał: sprytna dziewczynka. Ale nie mógł jej za to winić.

- Tak - odparła Tanya, starając się odgadnąć jego reakcję. Widziała, że jest rozczarowany. - Mam do tego takie samo prawo jak ty.

- Oczywiście.

- Czy to oznacza, że jesteśmy rywalami?

- Tak, ale na razie możemy współpracować. Co więcej, istnieją ważne powody, żeby połączyć nasze siły, Tanyu. We dwoje będziemy bezpieczniejsi. Nie chcemy chyba, żeby spotkało nas to samo, co Reksa?

- Uważasz, że został zamordowany?

Tanya była wstrząśnięta, tym bardziej że miała wrażenie, iż Sebastien zaraz parsknie śmiechem. Denerwował ją.

- Oczywiście. To nie był przypadek.

- Też mi się tak wydaje. Zaczynam się bać... Kochasz mnie, Sebastienie?

Tanya doskonale wiedziała, dlaczego się w nim zakochała. Dała się uwieść tym głębokim oczom, niedbałemu uśmiechowi, beztrósce, z jaką podchodził do wszystkiego w życiu, chociaż wiedziała, że wiele rzeczy traktuje jak najbardziej poważnie. Na przykład rywalizację.

- Kocham cię. - Sebastien wstał i ją objął. Walka o władzę i miłość miały w jego przypadku wiele ze sobą wspólnego. Ziewnął; różnica czasu robiła swoje. - Chyba czas na śniadanie.

Tanya przyglądała się gościom hotelowym, kręcącym się przy bufecie. Skończyła właśnie pączka i bez wahania sięgnęła po następnego. Nie musiała się martwić o figurę. Pod tym względem miała szczęście. Przeniosła wzrok na Sebastiena: czyżby zaczynał leciutko tyć? Podrażnił się z nim trochę. Wiedziała, jaki jest próżny.

- Skoro pracujemy razem, Sebastienie, muszę ci coś powiedzieć.

- Ja tobie też - odparł Sebastien. Do tej pory wyglądał przez okno, obserwując przejeżdżające w dole samochody. Teraz odwrócił się do Tanyi. - Czas na tajemne wyznania.

- Uśmiechnął się szeroko. - Uczcijmy to! Zamówmy następny sok pomidorowy.

Tanya odczekała, aż kelner się oddali.

- Włamałam się do komputera Rekxa - powiedziała. - Znalazłam wiadomość. No, raczej notkę.

- Naprawdę? Co napisał?

Sebastienowi przyszło do głowy, że mogła się włamać i do jego komputera i z pewnością to zrobiła. Była przebiegła jak lis. Nie powinien jej lekceważyć, bo wystarczy moment nieuwagi, żeby wyprzedziła go w wyścigu.

Tanya się zawahała. Nie zamierzała mówić mu o wszystkim. Jej związek z Reksem powinien pozostać tajemnicą. Sebastien nie potrafił być wyrozumiały. Śmierć Rekxa nic tu nie zmieniała. Poza tym coś jeszcze ją powstrzymywało. Boone pisał, żeby nikomu nie ufała... Ale mogła chyba zdradzić coś niecoś Sebastienowi. Przecież był jej partnerem.

- Notka pochodziła z dnia, kiedy Mistrz pokazał nam tę chińską łamigłówkę i powiedział o konkursie. Rex napisał ją wieczorem. Wspomina w niej o Bibliotece Gazet i Czasopism w Bostonie. Pokój B6, hasło „Max Stanton”.

Sebastien przestał smarować tost masłem.

- No, no... A więc Rex wiedział swoje, kiedy odmówił udziału - stwierdził. Sam dawno już doszedł do takiego wniosku.

- Tak. Kilka ostatnich dni przesiedziałam w bibliotece, w B6. Są tam wszystkie gazety wydane w Stanach od stworzenia świata, ale nie ma centralnego katalogu ani indeksu, a Rex nie podał żadnych szczegółów. Przejrzałam większość dzienników z ostatnich dwudziestu lat. Na razie nie znalazłam ani słowa o Stantonie.

- Śmierć Rekxa może nie mieć nic wspólnego z konkursem - zauważył Sebastien. - Może raczej łączy się z tym, nad czym pracował?

- Nie - ucięła Tanya, może nieco zbyt ostro. - Wydaje mi się, że to ważna informacja.

- Niewykluczone. - Sebastien wziął kolejnego naleśnika. Zauważył zmianę w jej głosie. - Chodźmy od razu do biblioteki. Mam pomysł, jak przyspieszyć poszukiwania.

- A co ty masz mi do powiedzenia?

Sebastien uśmiechnął się chytrze.

- Nic ci nie powiem po tym, jak mnie pobiłaś. Chociaż bynajmniej nie zasypiałem gruszek w popiele. No i poświęciłem marynarke.

- Daj spokój, Sebastienie - przerwała mu Tanya. - Albo pracujemy razem i wymieniamy się informacjami, albo nasze drogi się rozchodzą. Lepiej od razu sobie to wyjaśnijmy. - W jej głosie brzmiała gniewna nuta.

- Dobrze już, Tanyu, odpręż się. Tak tylko żartowałem. - Sebastien napił się kawy. - Wiesz, że Rex troszkę sobie wypił przed śmiercią, prawda? Ja wiem, gdzie pił i z kim. I coś ci podpowiem: znasz tę osobę.

Tanya wytrzeszczyła oczy.

- Kto to był?

- Widzisz? Jednak cię zaskoczyłem. Pamiętasz, jak Mistrz powiedział nam o konkursie? Rex zaczął wtedy udawać wystraszonego i zagroził, że nie weźmie w nim udziału, jeżeli nie dowie się czegoś więcej. Blefował. Najbardziej z nas wszystkich chciał zostać Mistrzem. Po co w takim razie była ta pantomima? Szukał informacji, chciał sprawdzić, czy wiemy to, co on. Postanowiłem wtedy mieć go na oku. To dlatego nie zostałem z tobą tej nocy. Z samego rana Rex wsiadł na prom i okreśną drogą dotarł do Erris, gdzie zameldował się w małym hoteliku, w którym raczej nie spodziewałbym się go znaleźć: był zupełnie nie w jego stylu, tani i taki banalny. Ale mniejsza z tym. Przez cały dzień nie ruszał się z pokoju, dopiero wieczorem poszedł do restauracji. Śledziłem go. Wiem, z kim jadł kolację.

- Z kim?

- Zgadnij.

- Z Ivanem?

- Bardzo dobrze. Z naszym przyjacielem Ivanem, który najwidoczniej przyjechał za nim do Erris. Widziałem ich razem przy stoliku. Nie mogłem podsłuchać, o czym rozmawiają, ale coś knuli. A potem Rex wyszedł.

- I niedługo potem zginął.

- Właśnie.

Tanya wzdrygnęła się. Nie mogła się doczekać, kiedy Sebastien powie coś więcej, on jednak najpierw ze smakiem dokończył naleśnika.

- Mam jeszcze coś, co doda smaczku tej historii. Podczas nabożeństwa żałobnego zapytałem Ivana, czy wiadomo, skąd wracał Rex, gdy wpadł pod samochód. Odpowiedział mi, że tego nikt nie wie. Kłamał, bo przecież spotkali się tego wieczoru. Niestety chyba poznał po mnie, że go przejrzałem.

- Co to wszystko oznacza? - Tanya zmarszczyła brwi.

- To dopiero zagadka. - Sebastien dopił kawę. - Mamy kilka kawałków układanki: jedna chińska łamigłówka, jeden Mistrz, czworo konkurentów i jeden nieżywy Rex. To proste.

- Tak? To jak brzmi odpowiedź?

- Sama musisz ją znaleźć. - Sebastien wstał i podszedł do bufetu. - Chcesz jeszcze

tosta?

Pokój B6 w Bibliotece Gazet i Czasopism był ogromny. Miał antresolę i nisko sklepiony, belkowany sufit, pochodzący z początku XIX wieku. Parter i antresolę gęsto zastawiono metalowymi regałami: biegły przez całą długość pomieszczenia nie tylko pod ścianami, ale i pośrodku. Na półkach leżały poukładane gazety wszelkich możliwych formatów i rozmiarów, w większości popakowane w czerwone kartonowe teczki. Oprócz regałów w B6 znajdowało się kilka przegładek do mikrofilmów, parę plastikowych stołów i krzeseł. Sebastien ze zdumieniem stwierdził, że prawie wszystkie miejsca są zajęte. Przyglądał się z zainteresowaniem ludziom przy stołach, ciekaw, kto też może tracić czas na przeglądanie starych gazet. Dostrzegł kilkoro nastolatków odrabiających pracę domową, kilku brodatych studentów, większość jednak stanowili starsi obywatele miasta, optymistycznie określani mianem „czasowo bezrobotnych”. Ci pogodzili się już z losem i drzemali w przytulnych wnętrzach czytelnicy, czekając na prawdziwą emeryturę.

Po rozchwierutanych metalowych schodach Tanya i Sebastien weszli na antresolę. Na samym końcu, ukryte wśród regałów i otoczone półkami na ścianie, stało małe, drewniane biurko, całe zasłane wycinkami z gazet i samoprzylepnymi fiszkami. W zacisznym kąciuku urzędowała bibliotekarka stażystka: dziewczyna dwudziestoparoletnia, ubrana w ogniście pomarańczowy kombinezon, z mnóstwem kolczyków w uszach, nosie i wargach. Ciężka praca nie była najwidoczniej jej specjalnością, bo dziewczyna czytała sobie pisemko muzyczne. Żuła przy tym gumę w skupieniu godnym krowy na pastwisku. Obok, na blacie, leżała pokaźna tuba kleju. Sebastien pomyślał, że dzięki niej dziewczyna jest permanentnie na haju.

- O, zaraz nam ktoś pomoże - powiedział, błyskając swoim zabójczym uśmiechem.

- Nie ma - odparła krótko pomarańczowa bibliotekarka. Nawet nie podniosła wzroku.

Sebastien najpierw wytrzeszczył z niedowierzaniem oczy, a potem zmarszczył brwi. Dziewczyna minęła się z powołaniem. Nawykła do pozycji prawie horyzontalnej, zdolna tkwić w niej nieruchomo godzinami, byłaby niezłą kurwą, ale najwyraźniej nie miała aż tyle ambicji. Poza tym musiałyby dużo się ruszać i być miłą dla ludzi. Skazała się więc dobrowolnie na życie w nużącej rutynie, umilając sobie czas wączaniem kleju i pyskowaniem do klientów.

- Potrzebuję pomocy. - Sebastien nacisnął stojący na biurku dzwonek.

- Przerwa na lunch - oznajmiła dziewczyna, zerkając na zegar. Wskazywał dziesiątą trzydzieści. Od dwóch lat.

- Ach, naturalnie - odparł Sebastien i zrobił krok naprzód, zamierzając utopić stażystkę w kleju.

Tanya złapała go za rękę.

- Daj spokój, szkoda nerwów. Już próbowałam. Popatrz, amerykańskie gazety z ostatnich dwustu lat. Większość w oryginalnej formie, nie na mikrofilmach. Nie mam zielonego pojęcia, jak w tym bałaganie znajdziemy Maksa Stantona. To są miliony kartek!

Usiedli przy stole zastawionym stertami gazet.

- Nie sądzisz, że „Max Stanton” to jakiś szyfr? Albo anagram? - spytał Sebastien, z braku lepszego zajęcia głaszcząc Tanyę po udzie. Staruszek przy sąsiednim stole łypnął ciekawie okiem w ich stronę.

- Nie. - Tanya założyła nogę na nogę. - Gdyby chodziło o jakieś ważne pliki, Rex na pewno zabezpieczyłby je szyfrem czy kodem. Wydaje mi się, że Max Stanton to prawdziwe nazwisko. Sądząc ze stylu notki, Rex chyba nie zamierzał jej utajniać.

- Trzeba w takim razie przyjąć parę założeń - rzekł Sebastien. Niechętnie cofnął dłoń z jej uda. - Inaczej spędzimy tu całe wieki.

- Masz absolutną rację. Zacznijmy może od pytania, dlaczego Rex skierował nas właśnie tutaj? Czemu, na przykład, nie do Biblioteki Kongresu? Założenie numer jeden: Rex znał tę bibliotekę, a w każdym razie wiedział, że znajdzie tu to, co go interesuje. Dlatego zaczęłam od prasy lokalnej.

Sebastien zamyślił się.

- To dobry pomysł - przyznał. - Założenie numer dwa: na pierwszy ogień idą nekrologi.

- Dlaczego?

- Mam przeczucie, że Max Stanton nie żyje.

Dochodziła piąta po południu, pora zamknięcia biblioteki. Pomarańczowy kombinezon, zawierający stażystkę, naładował się klejem po uszy i dawno zniknął z pola widzenia.

- Jest! - Z wyblakłej odbitki patrzył na Tanyę jakiś mężczyzna. Szeptem przeczytała początek nekrologu: - Max Stanton, chemik, zginął w wypadku na morzu.

Przewróciła stronę. Sebastien był na parterze. Przyszedł jej do głowy szatański pomysł: a gdyby tak nie wspomnieć mu o tym i odstawić rocznik z powrotem na półkę? W życiu by go nie znalazł i tylko ona znalazłaby tajemnicę Stantona. Kto wie, czy nie byłby to główny atut w grze? Przez chwilę Tanya rozważała ten pomysł, a potem zaczęła w pośpiechu



czytać nekrolog. Stanton utonął, łowiąc ryby w Cape Cod Bay, niedaleko Bostonu. Był sam na łódce. Najprawdopodobniej, jak pisał autor nekrologu, pośliznął się na mokrym pokładzie, uderzył o coś głową i wypadł za burtę. Patolog stanowy z braku dowodów wykluczył możliwość zabójstwa, mimo że nie udało się ustalić faktycznej przyczyny śmierci. Stanton - utalentowany człowiek, który nie miał powodów, by popełnić samobójstwo - zginął tragicznie w wieku trzydziestu pięciu lat. Koniec, kropka. Nic szczególnego, doprawdy.

Czy był Adeptem? Rzecz jasna, nekrolog nie wspominał o tym ani słowem. A jednak opis samego Stantona i jego dokonań naukowych pasował do teorii, że w tajemnicy pracował na rzecz Akademii. Poza tym w tym samym roku, kiedy zginął, powinien był się odbyć poprzedni konkurs na stanowisko Mistrza. Oczywiście przy założeniu, że obecny konkurs nie był pierwszym. Wszystko się zgadzało.

- Tanya?

Aż podskoczyła na krześle. Słyszała, jak Sebastien wchodzi po schodach. Lada chwila ukaże się zza regału. Co powinna zrobić? Odwrócić kartkę i milczeć? Czy powiedzieć mu o wszystkim? Wzięła głęboki oddech i podjęła decyzję.

Sebastien stanął przed nią. Od dłuższej chwili obserwował ją uważnie, a teraz uśmiechnął się, czytając nekrolog. Gwizdnął cicho z podziwu: więc jednak miał rację.

Morderstwo było elementem konkursu.

Na międzynarodowym lotnisku w Bostonie kłębiły się tłumy, tak że chwilę trwało, zanim przepchnęli się do kasy i zarezerwowali Tanyi miejsce na lot do Szwajcarii. Przeszli do baru.

- Na pewno nic ci nie jest?

- Nie. - Tanya pokręciła głową. - Jestem po prostu zmęczona. To te ostatnie tygodnie tak mną wstrząsnęły; czuję się, jakbym żyła w dwóch różnych światach równocześnie. Tak bardzo chciałabym wrócić tam, gdzie byliśmy.

Sebastien uśmiechnął się smutno, gładząc opuszkami palców kieliszek z winem.

- Dla nas nie ma powrotu, Tanyu. Dobrze o tym wiesz. Nie mamy zresztą do czego wracać: nie jesteśmy już Adeptami. Poza tym czy nie wydaje ci się prawdopodobne, że ktoś, kto zabił Rekxa, będzie również nas szukał? Nawet jeśli się wycofamy, kto nam uwierzy? - Sebastien wepchnął sobie do ust garść solonych orzeszków. - Zresztą ja zaczynam się dobrze bawić.

- Dobrze bawić!

- Właśnie. - Uśmiechnął się wesoło. - Chcę się na własnej skórze przekonać, co to

znaczy być Mistrzem. Podoba mi się też pomysł pojedynku intelektów. A tobie nie?

- Chyba tak - przyznała niechętnie Tanya.

- Kilka dni odpoczynku w mojej chatce dobrze ci zrobi. Pojeździsz sobie na nartach. Ja zawsze świetnie się tam bawię. - Sebastien zerknął na rozkład lotów. - Wpadnę za jakiś tydzień. Chcę coś jeszcze sprawdzić w bibliotece na Harvardzie.

- Co sprawdzić? - zdziwiła się Tanya.

- Później ci powiem.

Tanya zdecydowanym gestem odstawiła kieliszek.

- Mieliśmy współpracować. Ja powiedziałam ci wszystko o Stantonie.

Sebastien zawahał się, ale zaraz parsknął śmiechem.

- Coś ty taka podejrzliwa, Tanyu? Obiecuję, że niczego nie będę przed tobą ukrywał. Słowo. Pozwól mi tylko dokończyć coś, co zacząłem, a wtedy powiem ci, jak zarobimy dwadzieścia milionów. Sądzę, że mój pomysł spodoba ci się. - Przybrał swój zwykły, kpiarski wyraz twarzy.

Tanya uznała, że nie warto się na niego złościć. Odbije to sobie później. Wstała, żeby przynieść jeszcze coś do picia. Pochyliła się nad Sebastienem.

- I tak się dowiem - szepnęła, kładąc go mocno w ucho. - Tylko żeby to było zgodne z prawem. I żebyśmy nie zginęli.

- Zobaczą, co da się zrobić.

Kiedy zapowiedziano odprawę przed lotem do Szwajcarii, przeszli do wyjścia i pocałowali się czule na pożegnanie.

- Skoro już sobie obmyśliłeś, co będziesz robił, powiem ci, jakie ja mam plany. Albo nie, dam ci tylko wskazówkę.

- Tanyu, przecież jesteśmy współnikami.

- Czyżby? - odparła lodowato. - A kto nie chciał mi powiedzieć o swoich poszukiwaniach w bibliotece?

- O rany, to był tylko żart!

- Wymyśliłam, jak możemy połączyć nasze umiejętności, żeby zdobyć pieniądze. Ty wiesz wszystko o systemach bankowych i przepływie kapitału, ja znam się na komputerach. Razem nam się uda, tylko musimy wszystko dobrze zaplanować. Czeka nas mnóstwo roboty.

- Ostatni pasażerowie lotu SR 512 do Zurychu i dalej do Genewy proszeni są do odprawy - ryknęły megafony.

- No, nie trzymaj mnie dłużej w niepewności - uśmiechnął się Sebastien.

Tanya zachichotała. Sebastien potrzebował jej pomocy, a ona dobrze o tym wiedziała.

- Oto moja odpowiedź: Ameryka Środkowa.

- Dlaczego?

- Bo ich sieci komputerowe, a zwłaszcza systemy bankowe, mają bardzo słabe zabezpieczenia.

- Gdzie dokładnie chcesz uderzyć? Meksyk? Gwatemala? Panama?

Tanya pomachała mu na pożegnanie.

- Do zobaczenia w chatce.

- Tanyu!

Sebastien patrzył, jak Tanya znika w wyjściu. Roześmiał się: śliczna kobieta i zarazem sprytna. Na pewno zrobi, co do niej należy, kiedy trzeba będzie zdobyć pieniądze.

Wyszedł z hali odlotów i złapał taksówkę do Bostonu. Jadąc, podziwiał pojawiające się z wolna światła miasta. Gdzie teraz byli Andrew i Ivan? Czy wiedzieli o Stantonie? A jeśli nie, to o ile udało mu się ich wyprzedzić? Dużo, bardzo dużo by dał, żeby się tego dowiedzieć. Konkurs nabierał tempa, a on z Tanyą powinni zawsze być o krok przed konkurencją. Tylko tak mogli przetrwać w tej krwawej grze.

Ivan przyglądał się pomarańczowemu kombinezonowi, siedzącemu za biurkiem w Bibliotece Gazet i Czasopism. Kiedy dziewczyna otworzyła na moment usta, błysnął diamentowy kolczyk. Dopełniał obrazu, na który składały się ozdoby w uszach i nosie. Pewnie kazała sobie przekłuć nawet wargi sromowe. Powinna uważać, żeby nie znaleźć się w pobliżu jakiegoś silnego magnesu.

- Może mogłaby mi pani pomóc? - powtórzył.

- Wątpię - odparła stażystka znudzonym tonem, nie przerywając lektury kobiecego pisemka.

- To wspaniale - odrzekł Ivan, grzecznie, ale już nieco poirytowany. - Szukam informacji o jakimś Maksie Stantonie. Dokładnie rzecz biorąc, szukam jego nekrologu.

- A kim on jest?

Stażystka zaciągnęła się klejem, sięgając po leżącą obok otwartej tuby kanapkę. Była dziesiąta, ale zegar nie chodził, a ona nie wiedziała nawet, czy jest rano, czy wieczór.

- Martwym człowiekiem - wyjaśnił cierpliwie Ivan.

- Tak?

Postanowił się nie poddawać. Mimo że nie był z zawodu lekarzem, całkiem niezłe znał się na chorobach i naturalnych metodach leczenia. Taką wiedzę musiał posiadać każdy pracownik wywiadu czy kontrwywiadu. W tajnych służbach jako lekarstwo na głupotę i

zaniki pamięci stosowano pieniądze - działały krótko, ale skutecznie. Istniał tylko jeden rodzaj długofalowej kuracji: zabicie pacjenta. Ivan wolał jednak tę pierwszą metodę, gdyż pozwalała powtarzać dawkowanie leku.

Z twarzą całkowicie nieprzeniknioną wyjął z portfela dwieście dolarów i położył je obok tuby z klejem, po czym odsunął się i obserwował cudowne działanie lekarstwa. W piętnaście minut stażystka zarobiła sporo pieniędzy na klej, a Ivan dostał nekrolog do ręki. Pokiwał głową: kolejny element chińskiej łamigłówki trafił na swoje miejsce. Konkurs na Mistrza rzeczywiście okazał się grą o wysoką stawkę.

- Już ktoś tym się interesował.

- Kto? - Ivan wyjął portfel.

- Taka jedna babka. Skserowała to sobie. Wiem, bo patrzyłam. Maszyna nie chciała działać. - Wskazała stojącą za biurkiem stareńką kserokopiarkę.

Tak, dziwne byłoby, gdyby takie urządzenie chciało działać. Przypuszczał, że pomarańczowa raczej się przyglądała, niż aktywnie uczestniczyła w jego uruchomieniu.

- Była z mężczyzną?

- Aha.

Z opisu jasno wynikało, że Tanyi towarzyszył Sebastien. Niedobrze. Ivan zmartwił się jeszcze bardziej, gdy stażystka dodała, że Tanya skopiowała również wycinki z innych gazet i periodyków. Niestety tym razem kopiarka działała bez zarzutu, tak że pomarańczowa nie zdążyła się im przyjrzeć.

- Nie wie pani, czy ta kobieta jeszcze tu wróci? Nie zostawiła jakiegoś adresu?

- Nie.

Jedna odpowiedź na oba pytania. Stażystka i tak okazała się nadzwyczaj rozmowna.

- Bardzo mi pani pomogła - powiedział Ivan, zostawiwszy jej dość pieniędzy, by mogła skończyć ze sobą. Wyszedł z biblioteki i przysiadł na chwilę w pobliskiej kawiarence.

Sebastien i Tanya radzili sobie całkiem nieźle; dowiedzieli się o Stantonie wcześniej niż on, chociaż nie byli u matki Boone'a. Czyżby Rex powiedział Tanyi coś o grze? Co to mogło być? Trzeba się tego dowiedzieć. Tylko gdzie oni się podzieli?

Nie mógł ich teraz wytropić, ale nie rozpaczał z tego powodu. Sama obecność Tanyi w Bostonie wystarczyła, by miał jakiś punkt zaczepienia. Na pewno mieszkała gdzieś niedaleko. Ivan miał w zanadrzu atuty niedostępne dla nich. Pracując dla Akademii, nadzorował działanie służb specjalnych w wielu krajach, czasem występował jako ich konsultant i miewał gdzieś zawsze etat szpiega.

Dopił cappuccino. Potrzebował pomocy amerykańskich kuzynów Hadleya, i to

szybko. Musiał znaleźć ludzi, którzy wiedzieli wszystko o wszystkich i byli mu winni przysługę. Wyszedł z kawiarni. Za kilka godzin powinien mieć jakieś wyniki.

Nie zawiódł się: dzięki uprzejmości CIA już po godzinie znał nazwę hotelu, w którym zatrzymała się Tanya. Dowiedział się również, że poprzedniego wieczoru odleciała do Genewy. Telefon do hotelu pozwolił mu ustalić, że Sebastien został w Bostonie i zajmował teraz jej pokój. Ivan bardzo się ucieszył, spakował swoje rzeczy i pojechał na lotnisko.

- Świetnie! - mruknął pod nosem, sadowiac się w fotelu pierwszej klasy samolotu szwajcarskich linii lotniczych. Za dziewięć godzin będzie w Genewie.

Odnalezienie Tanyi w Szwajcarii nie powinno nastęczać kłopotu, jeżeli będzie ona normalnie używać swojej karty kredytowej. Wszystkie wywiady świata w ten sposób namierzały poszukiwanych. Ivan nie mógł się doczekać chwili, kiedy usłyszy, czego jeszcze dowiedziała się Tanya o Stantonie. Może w zamian udzieli jej jakiejś dobrej rady? Na przykład, żeby pozbyła się swojego kochasia. Seks i władza idą w parze, ale miłość i władza już nie. A w tej grze chodziło o władzę. Jeżeli Tanya pomoże Sebastienowi, sama skaże się na przegraną. Wielki Machiavelli powiedział: „Kto pomaga innym zdobyć władzę, sam ściąga na siebie nieszczęście”.

Następnego dnia pomarańczowy skafander nie zjawił się w bostońskiej Bibliotece Gazet i Czasopism. Dziewczyna już tam nie pracowała. Została aktorką. Człowiek, który odkrył jej talent dramatyczny, był zatrudnionym przez Akademię czyścicielem.

Mistrz przeczytał wiadomość od Reksa na długo przed tym, zanim Tanya do niej dotarła.

## ROZDZIAŁ 12

*Należy bowiem pamiętać, że ludzi trzeba albo potraktować łagodnie albo wygubić, gdyż mszczą się za błahe krzywdy, za ciężkie zaś nie mogą. Przeto gdy się krzywdzi człowieka, należy czynić to w ten sposób, aby nie trzeba było obawiać się zemsty.*

Niccoló Machiavelli *Księżę*

## Luty. Szwajcaria

Po przylocie Ivan zameldował się w jednym z najlepszych hoteli w Genewie i popijając earl greya, patrzył przez okno na Jezioro Lemańskie. Jezioro było spokojne, jego tafli nie mącił najsłabszy nawet powiew. To właśnie podobało mu się w Szwajcarii: cisza, porządek. Dla ludzi najważniejszy był tu spokój i dobrobyt.

Wezwał do siebie *maitre d'hôtel* i poprosił o kontakt z miejscowym prawnikiem. Podał jego nazwisko, wiedząc, że hotel załatwi to *tout de suite*. Szwajcarom można było zaufać.

Przed rozpoczęciem prawdziwej gry Ivan musiał załatwić jeszcze dwie sprawy. Po pierwsze: znaleźć Tanyę i sprawdzić, co wie, żeby od początku dysponować pełnymi informacjami. Po drugie: rozszyfrować znaczenie chińskiej łamigłówki. Smarując croissanta masłem, pogrążył się w rozmyślaniach.

Mistrz opowiedział im o łamigłówce, zanim wspomniał o konkursie. Z pozoru mógł to być zbieg okoliczności, lecz Ivan bardzo w to wątpił. A zatem łamigłówka i gra miały ze sobą coś wspólnego. Tylko co? Mistrz nie mógł znać szczegółowych reguł rywalizacji. Ustalali je Arbitrzy, on sam nie miał na nie żadnego wpływu. No dobrze, ale przecież musiał coś wiedzieć o konkursie, zwłaszcza że sam kiedyś brał w nim udział. Nic nie wskazywało na to, żeby tę metodę wyboru Mistrza wymyślono dopiero teraz. Co oznaczała łamigłówka?

Ivan był przekonany, że częściowo odgadł jej tajemnicę: Mistrz użył jej jako ilustracji, próbując przekazać im jakąś ważną, uniwersalną prawdę. Mówił przecież: pudełko wygląda jak łamigłówka, ale nie dajcie się na to nabrać. W odniesieniu do konkursu jego słowa mogły oznaczać coś takiego: wydaje wam się, że to prosta gra, ale pozory mylą. Nawet nie domyślcie się jej złożoności. Właśnie, pozory mylą. Przecież sam wielki Machiavelli powiedział: „Ludzie w ogóle więcej osądzają oczyma niż rękoma, bo widzieć dane jest każdemu, a dotykać niewielu. Każdy widzi, za jakiego uchodzisz, lecz bardzo mało wie, czym jesteś”.

Ivan musiał poznać reguły gry - to było absolutnie najważniejsze zadanie w tej chwili. Jakie miał wskazówki? Chińskie pudełko, śmierć Reksa, śmierć Maksa Stantona. Co z nich wynikało? Mając na uwadze nagłe zgony dwóch uczestników - Boone'a i Stantona - można było dojść do wniosku, że gra bazowała na darwinowskiej regule o przetrwaniu najsilniejszych osobników. Nie było żadnych dodatkowych przepisów. Każdy konkurent sam ustalał własne zasady i określał, jak daleko może się posunąć, by wygrać. Właśnie dlatego konkurs robił się naprawdę niebezpieczny; wiele zależało od filozofii życiowej uczestników.

Zamówił jeszcze jeden dzbanek herbaty. Ciekaw był, czy inni też zwrócili uwagę na

pewien bardzo interesujący szczegół: Mistrz wcale im nie powiedział, kto bierze udział w grze. Owszem, zostali do niej wyznaczeni w piątkę, ale z faktu, że szósta osoba nie została bezpośrednio wskazana, nie wynikało jeszcze, że jej nie ma. Ścisły, logiczny umysł Ivana nie mógł odrzucić tej możliwości. To z kolei oznaczało, że po śmierci Reksa wciąż mają do czynienia z człowiekiem o nieznanym tożsamości, śmiertelnie niebezpiecznym, potrafiącym korzystać ze swojej władzy... Może jest to sam Mistrz?

Słońce odbijało się w nieruchomych wodach Jeziora Lemańskiego. Ivan się zamyślił: czy Mistrz rzeczywiście grał razem z nimi? Nie miał żadnych dowodów ani na poparcie, ani na odrzucenie tej tezy. Wątpił zresztą, żeby udało mu się je zdobyć. Istnieje pewna zasada filozoficzna, zwana „brzytwą Ockhama”, zgodnie z którą spośród wielu możliwych rozwiązań słuszne jest najczęściej najprostsze. Należało więc założyć, iż Mistrz wystartował w konkursie, ponieważ nie powiedział wprost, że tego nie zrobi. Po co jednak miałby się do tego mieszać? Sam mówił, że zasady konkursu są ustalane przez Arbitrów i podlegałyby im dokładnie tak samo, jak zwykli Adepti. Z tego wniosek, że Arbitrzy ogłaszali konkurs na nowego Mistrza, kiedy uznali, iż dotychczasowy źle wykorzystuje swą władzę lub jest zbyt słaby, by pełnić tę funkcję.

Ivana przebiegł rozkoszny dreszcz. W wyobraźni ujrzał olbrzymią szachownicę, która rosła i nabierała głębi: białe i czarne pola powieleły się w nieskończoność w górę i w dół, niczym skomplikowana, trójwymiarowa drabina Jakuba. Naprzeciw Ivana przy szachownicy miał zasiąść prawdziwy ekspert: Mistrz we własnej osobie.

Wstrząs wywołany tą nagłą świadomością wprowadził go na moment w swoisty trans: oczy mu się zaszklily, dłoń z croissantem zamarła w pół gestu. Stojący przy drzwiach lokaj obserwował go niepewnie, nie wiedząc, czy to świeże francuskie pieczywo wprowadziło gościa w ekstazę, czy raczej - jak już wcześniej się zdarzało - właśnie jest świadkiem zawału serca. Ku jego uldze po chwili Ivan otrząsnął się i oprzytomniał.

Elementy układanki powoli zajmowały swoje miejsca i wyłaniał się pełny obraz, tak jak na płótnie przy nakładaniu kolejnych warstw farby. Na początku było sześcioro uczestników gry, wśród nich Mistrz. Po śmierci Reksa zostało pięcioro. Ich liczba może się w dalszym ciągu zmniejszać.

To spostrzeżenie przypomniało mu kolejną uwagę genialnego znawcy problemów władzy. Wielki Machiavelli radził: „Jedynie takie sposoby obrony są dobre, pewne i trwałe, które zależą wyłącznie od ciebie i twojej dzielności”.

W tej grze Ivan musiał polegać tylko na sobie; żadnych układów i współpracy z konkurencją.

Wrócił *maître d'hôtel*, przyjrzał się bacznie Ivanowi i nie dojezdzonemu rogalikowi.

- Smakuje panu nasz croissant?

- Tak, jest wyśmienity.

- Bardzo się cieszę, monsieur. Doktor Schmidt, z którym miałem się w pańskim imieniu skontaktować, spotka się z panem dzisiaj o dziewiątej trzydzieści.

O dziewiątej trzydzieści Ivan oglądał Jezioro Lemańskie z przytulnego biura Heidelberg und Schmidt, jednej z najlepszych genewskich kancelarii prawnych. Siedział w obitym skórą fotelu, mając naprzeciwko, za olbrzymim biurkiem, starszego mężczyznę w okularach. Doktor Schmidt, gładząc kozią bródkę, opowiadał o firmie. Mówił bardzo wolno, starannie wymawiając głoski, jakby każde słowo osobiście, w proroczym widzeniu, przekazał mu Bóg. Wszyscy prawnicy na świecie tak mówią. Właściwie trudno im się dziwić, skoro za każdą minutę pracy biorą ciężkie pieniądze. Gdyby nie to, najchętniej w ogóle by się nie odzywali.

Doktor Schmidt taksował tymczasem swojego klienta: szczupły, elegancki, ciemnowłosy, w okularach, o ostrych rysach twarzy i przenikliwym spojrzeniu. Bez wątpienia człowiek kulturalny i z klasą. Doktor Schmidt był zadowolony. Taki klient na pewno zapłaci rachunek.

- Pański dawny przyjaciel mieszka z żoną gdzieś w Szwajcarii, pan zaś chciałby ich odszukać, czy tak?

- Zgadza się - przytaknął Ivan i postukał palcem w jeden z opasłych kodeksów na biurku. - Doktorze Schmidt, mam mało czasu. Chcę im przekazać wiadomość niezwyklej wagi, ale nie mam ich adresu. Pan na pewno może mi w tym pomóc.

- Ależ naturalnie - odparł prawnik. - Rozumiem. - Zegar bezlitośnie odmierzał sekundy.

Ivan cierpliwie czekał. Szkoda, że Tanya ani razu nie zapłaciła w Szwajcarii kartą. Może zdawała sobie sprawę, że łatwo byłoby ją namierzyć. Ale na pewno istniały inne sposoby. Każdego można znaleźć - wystarczy dobrze poszukać.

- Moi asystenci mogliby sprawdzić księgi meldunkowe w hotelach. Wiadomo panu zapewne, że goście zagraniczni są zobowiązani wpisywać w nich swoje dane osobowe.

- To doskonały pomysł.

- Moglibyśmy również znaleźć ich samochód.

- To na nic. Przypuszczam, że wypożyczyli wóz. Co innego może pan zaproponować?

- Sądzi pan, że mają własny dom w Szwajcarii?



- Niewykluczone.

- W kantonach są rejestry nieruchomości - wyjaśnił doktor Schmidt. - Za odpowiednią opłatą można uzyskać informacje o właścicielach, tylko że trochę to potrwa.

Ivan uśmiechnął się lekko.

- Chyba się przesłyszałem - stwierdził. - Chciał pan powiedzieć, że potrwa to bardzo krótko, za to będzie wymagało znacznych nakładów finansowych.

W oczach doktora Schmidta pojawił się nagły błysk.

- Tak, oczywiście. To właśnie miałem na myśli.

Dwie godziny później doktor Schmidt poinformował Ivana: Sebastien miał dom w Kasteln, kurorcie narciarskim pięćdziesiąt kilometrów od Genewy. Zapewne był to drewniany domek z małym ogródkiem i wspaniałym widokiem z okna - może nawet przed drzwiami stał krasnoludek? Jakże to wzruszające.

I jakże przewidywalne.

Sebastien naprawdę powinien bardziej się postarać, jeśli myślał o zwycięstwie.

W tym czasie Sebastien wsiadał właśnie do samolotu lecącego z Bostonu do Szwajcarii. Był głęboko zamyślony. Sprawdził, co chciał, w bibliotece uniwersyteckiej i nie zamierzał w najbliższym czasie wracać do Bostonu. Przez ostatnie dni układał plan, który pozwoli mu zarobić w rok dwadzieścia milionów dolarów. Teraz muszą z Tanyą wcielić go w życie, i to szybko, jeżeli chcą zdążyć na czas. Powinni też oboje natychmiast gdzieś się zaszyć, zanim rywale ich wysledzą. W tej grze stawką było życie. Co do tego Sebastien nie miał cienia wątpliwości.

- Proszę zapiąć pasy.

Wyrzał przez okno. Czuł się wspaniale, gdy boeing 747-400 rozpędzał się i mknął pasem startowym z prędkością ponad trzystu kilometrów na godzinę. Wystarczyłby jeden uszkodzony drobiazg, jeden mikroskopijny wyciek paliwa i ogromny potwór, któremu zaufali pasażerowie, zostałyby rozerwany na miliony rozpalonych do czerwoności odłamków. Nie zostałyby żaden ślad po nich. Wszystkie elementy musiały idealnie współdziałać. To samo dotyczyło chińskiego pudełka i konkursu.

Sprawa łamigłówki przedstawiała się prosto. Mistrz w sposób oczywisty próbował porównać chińską zagadkę do gry, w której brali udział. Wspomniał też o twórcy pudełka. Należało zatem zrozumieć i samą grę, i jej twórcę - Mistrza, poznać jego sposób działania i myślenia. A związek z Chinami? Tak, to był ciekawy aspekt. Nie miał może wielkiego znaczenia, ale Sebastienowi wciąż krążył po głowie pewien cytat, którego autora nie

pamiętał: „Poznaj siebie i swoich wrogów. Dzięki temu nawet gdybyś walczył w stu bitwach, nie przegrasz żadnej”.

Mniejsza o autora; w Szwajcarii będzie miał aż nadto czasu, żeby go sobie przypomnieć. Na razie mógł się odprężyć. Zwrócił uwagę na siedzącą w fotelu obok studentkę. Uśmiechnęła się niepewnie.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie cierpię samolotów.

Zaczęli rozmawiać, zanim jeszcze aluminiowy lewiatan oderwał się od ziemi. Sam fakt, że jednak się oderwał, świadczył o tym, iż przynajmniej niektóre jego elementy funkcjonowały bez zarzutu. Sebastien szybko ustalił, że towarzyszka podróży ma na imię Suzanne, jest modelką i mieszka w Genewie. Zanim dziewięciogodzinny lot dobiegł końca, dokonał jeszcze dwóch ważnych odkryć. Przede wszystkim miał ogromną ochotę bliżej poznać Suzanne - w każdym razie pod względem fizycznym. Poza tym przypomniał sobie, kto był autorem cytatu: słynny strateg, który przyszedł na świat w Chinach cztery stulecia przed Chrystusem. Nazywał się Sun-Cy.

Bardziej zaniepokoiło go źródło, z którego cytat pochodził: *Sztuka wojowania*.

Trasa wśród gór robiła się coraz bardziej kręta. Jadący mercedesem Ivan zredukował bieg i pochylił się do przodu, usiłując przebić wzrokiem kłęby mgły, zalegające tuż nad powierzchnią jezdni. Wreszcie w dole zamajaczyły światełka Kasteln. Zaparkował wóz z dala od miasteczka. Ostrożnie, na przełaj zakradł się od tyłu do chaty Sebastiena, przyświecając sobie małą, podobną do ołówka latarką.

Dom przypominał inne wille w okolicy: piętrowy, zbudowany z drewnianych bali, z olbrzymią, przeszkloną werandą, z której rozciągał się widok na zalesione zbocze pobliskiej góry. W środku było ciemno i cicho, co bardzo Ivana ucieszyło: Sebastien jeszcze nie przyleciał, Tanya zaś najwidoczniej gdzieś wyszła. Do rana śnieg całkiem zasypie ślady. Na razie wszystko szło po jego myśli.

Niedaleko chaty przykucnął w śniegu, obmyślając pierwszy ruch. Sprawa była poważna, bo pierwsze posunięcie - tak samo jak wybór gambitu w szachach - nie decyduje wprawdzie o wyniku rozgrywki, ale wiele mówi o gracz. A Ivan zamierzał wygrać tę partię. Nie wyobrażał sobie, że mógłby nie zostać Mistrzem. Jego pewność siebie nie wynikała z czczej próżności, ani - jak u Reksa - z przekonania o własnej wrodzonej wyższości. Co to, to nie. Ivan po prostu uważał, że tylko on jest wystarczająco bystry i skuteczny, by w przyszłości pokierować Akademią.

Nie ulegało wątpliwości, że ludzkość wkraczała w nową, burzliwą fazę rozwoju, z

wolna dryfując ku światowej dyktaturze, ograniczeniu woli jednostek i ścisłej kontroli informacji. Dyktatura miała być jednak znacznie subtelniejsza niż w dawnych, mrocznych wiekach. Większość ludzi nie dostrzegała jej nadejścia, a przywódcom państw brakło autorytetu i siły, by otwarcie stawić jej czoło. Ivan uważał, że dzieje ludzkości miały naturę cykliczną i nic nie mogło tego zmienić. Martwił się tylko, że Akademia również mogłaby ulec tej potężnej sile. Tymczasem, mimo iż wszystko ogarniał coraz gęstszy mrok, Akademia powinna trwać, jaśniejac jak klejnot na czarnym aksamicie. Jej blask przypominałby ludziom, że jedyna droga naprzód wiedzie przez światowy pokój, a nie wojnę i ucisk.

Klucz do przyszłości znajdował się w rękach Mistrza. Tylko on miał dość władzy i wiedzy, by powstrzymać falę zepsucia. Zgoda, obecny przełożony Akademii był człowiekiem genialnym, ale zarazem starym i zmęczonym. Nie bardzo wiedział, jak sobie radzić z najnowszym zagrożeniem. Ivan obawiał się również, że za mało ma w sobie z Machiavellego. Nie znał prawdziwej natury władzy, nie rozumiał, że czasem w obronie wiary trzeba wzniesć miecz. Dlatego to on, Ivan, musiał wspomóc Akademię w chwili próby. Było to jego przeznaczeniem.

Ruszył dalej, z hipokryzją godną jezuitę znajdując racjonalne wytłumaczenia dla planowanych działań. Nie bez znaczenia był fakt, że przegrana w konkursie i utrata statusu Adepta zdawała mu się gorsza od śmierci. Całe życie poświęcił idei Akademii i doskonaleniu swojego intelektu. Kiedy przed pięciu laty został Adeptem, mistycyzm i podniosła atmosfera Tirah wypełniły pustkę w jego sercu. Nie zaznał miłości jako dziecko i nie szukał jej jako dorosły. Akademia stała się nieodłączną częścią jego istoty i jak krzyżowiec zamierzał bronić jej do samego końca, choćby koniec ten miał okazać się gorzki. Jak daleko gotów był się posunąć, by osiągnąć cel? By zostać zwycięzcą?

Wehódząc po schodach, musiał przyznać, że na to pytanie nie zna jeszcze odpowiedzi. Wiedział, że wkracza na śliski grunt, gdzie samo przekonanie o własnej racji może nie wystarczyć. Czy miał prawo walczyć o tron Mistrza, by zapewnić przetrwanie instytucji, którą tak kochał? Z całą pewnością. Ale to, jak daleko mógł się posunąć, zależało od rozwoju wydarzeń. Poza tym Machiavelli w krytycznym momencie na pewno coś mu podpowie. Kto jak kto, ale wielki Włoch wiedział, czym jest władza i jak się z nią obchodzić. Można mu było zaufać.

Na razie następny krok był oczywisty: Ivan musiał sprawdzić, co Tanya i Sebastien wiedzą o Maksie Stantonie. Wiedza ta miała kapitalne znaczenie. Pozwoliłaby ustalić, jak dawniej przeprowadzano takie rozgrywki. Mimo że Ivanowi zdawało się, iż wie, na czym polega konkurs, chciał zyskać pewność. Włamanie do domku Sebastiena miało być małym

kroczkiem na drodze do tronu Mistrza. Cel uświęca środki. Gdyby się zawahał, mógłby tego celu nie osiągnąć. Takie tłumaczenie nie miało nic wspólnego z moralnością lub jej brakiem - liczyło się tylko planowanie i taktyka. Machiavelli pisał: „Niech przeto książę oblicza się tak, aby zwyciężać i utrzymać państwo, wtedy środki będą zawsze uważane za godziwe i przez każdego chwalone”.

Kiedy Ivan zostanie Mistrzem, kogo będzie obchodziło, jak zdobył tytuł? Nikt nie podał wątpliwości jego prawa do władzy, gdy stanął na czele Akademii. Co więcej, Adepti szybko docenili go jako wybawiciela. A poza tym wszystko zaczęło się właściwie od śmierci Reksa, potem nie mieli już odwrotu. Włamanie do domu kolegi było już tylko drobnym, nie znaczącym wykroczeniem.

Założywszy na głowę kominiarkę, Ivan podszedł do tylnego wejścia. Przykucnął i wbił dłuto głęboko w drzwi, tuż przy zamku. W powstały otwór wsunął wąski koniec łomu i z całej siły nacisnął. Rozległ się głuchy trzask pękającego drewna. Ivan otworzył drzwi.

Śpiąca na piętrze Tanya obróciła się na drugi bok.

Na lotnisku w Genewie Sebastien i Suzanne przeszli zieloną linią celną do wyjścia. Za nimi szli inni pasażerowie, zmęczeni długim lotem przez Atlantyk. Kurczowo ściskając zwolnione z cła zakupy, myśleli tylko o tym, jak najszybciej dostać się do domu.

- Dokąd jedziesz?

- Do Kasteln. To godzina drogi stąd.

- Wiem - odparła Suzanne. - Często jeżdżę tam na nartach.

Wyszli na dwór. Padał śnieg i wszyscy przepychali się w pośpiechu do taksówek. Suzanne zerknęła niepewnie na Sebastiena.

- Co powiesz na drinka? - spytała. - To znaczy, chciałabym zaprosić cię na drinka - dodała z większą pewnością siebie.

Sebastien się uśmiechnął. Suzanne okazała się świetną towarzyszką podróży. Na studentkach, w dodatku modelkach, nigdy się nie zawiódł. Zwłaszcza na dziewczynach z tak delikatną skórą i długimi nogami.

- Późno już - powiedział. - Muszę się zbierać do Kasteln - dodał bez entuzjazmu, wiedząc, że powinien być przy Tanyi.

Przeszli na postój taksówek.

- Dokąd jedziemy? - spytał Suzanne kierowca.

Ivan stał w kuchni chaty Sebastiena. Gdzie Tanya mogła schować zdobyte w Bostonie

materiały na temat Maksa Stantona? Prawdę mówiąc, nie sądził, żeby już je ukryła. Nie mogła się przecież domyślić, że któryś z konkurentów ją tropi. I że jest tak blisko.

Ale najsensowniejszym miejscem byłby salon. Ivan wyszedł z kuchni, kierując promień latarki na podłogę. W domu panowała niesamowita cisza, z rzadka tylko przerywana miękkim pacnięciem śniegu, zsuwającego się z dachu na ziemię.

Parter domku miał dość standardowy rozkład: salon, jadalnia, kuchnia, sień. Salon urządzono ze smakiem: obrazy na ścianach, ozdobne wazony na stolikach... To z pewnością wpływ Tanyi. Słabiutkie światło latarki padło na wbudowany w ścianę ogromny kominek. Leżały w nim świeże polana. Ivan powiódł palcem po półeczce: ani śladu kurzu. Albo Tanya regularnie tu sprzątała, albo Sebastien zatrudnił gosposię.

Wiedział, że musi się spieszyć. Przeszukanie salonu nie zajęło mu dużo czasu: kilka szafek i kredens, ani śladu sejfu czy ukrytej wnęki w ścianie. Nic ciekawego. No, może jedna rzecz. Na jednej z półek Ivan znalazł niedbale rzucony przewodnik po Ameryce Środkowej. Na okładce, od środka, Tanya coś sobie zanotowała. Warto zapamiętać, może tam się właśnie wybierali. Znajac Sebastiena, Ivan spodziewał się, że wymyśli jakiś egzotyczny sposób zdobycia pieniędzy.

Sprawdziwszy pozostałe pomieszczenia na parterze, Ivan zaczął wchodzić po schodach. Przystawał na każdym stopniu, żeby deski nie skrzypiały. Gruby, miękki dywan tłumiał jego kroki. Na piętrze zatrzymał się i rozejrzał spokojnie. Poświecił dookoła latarką, osłaniając dłonią snop światła: czworo drzwi, wszystkie zamknięte.

Podchodził kolejno do każdego, lekko naciskał klamkę i zaglądał do środka. Pierwsze prowadziły do sypialni, drugie też, trzecie do łazienki. Kiedy nacisnął klamkę ostatnich, Tanya się obudziła.

Śniło się jej, że jest w swoim pokoju w Akademii. Leżała w łóżku, kiedy Gemma przyszła się do niej przytulić. Było jej ciepło i przyjemnie, czuła się bezpiecznie. W ciemności zamajaczyła wąska smuga światła. Pewnie Gemma otworzyła drzwi. Coś jednak w tym śnie zaniepokoiło ją i w pewnym momencie podświadomość kazała się jej obudzić. Czuła się jak śmiertelnie zmęczony kierowca, który przysnął na autostradzie, a potem zaczyna rozpaczliwie hamować, żeby nie uderzyć w jadący przed nim samochód.

Znajdowała się nie w Akademii, lecz w domku Sebastiena w Szwajcarii. Gemma przyśniła jej się, ale światło przy drzwiach istniało naprawdę.

Półprzytomna usiadła na łóżku, patrząc, jak smuga światła się rozszerza. Chwilę trwało, zanim w półmroku zorientowała się, że ciemna sylwetka nie należy do Sebastiena. Sięgnęła do kontaktu, ale było już za późno: zamaskowana postać dopadła ją i skórzaną pałką

uderzyła w skroń.

- Wejź, śmiało. - Suzanne wskazała Sebastienowi drzwi swojego mieszkania, odsunawszy na bok rower. - Przepraszam za bałagan, ale dużo ostatnio podróżuję i rzadko bywam w domu. Poza tym wiesz, jacy są studenci. - Zachichotała nerwowo. Miała dopiero dziewiętnaście lat.

Sebastien rozejrzał się. W małym mieszkanku oprócz książek rzucały się w oczy poprzyklejane na ścianach plakaty z filmów i zdjęcia modelek. Przyjrzał się z bliska fotografiom nagiej Suzanne. Studyjne oświetlenie znakomicie podkreślało walory jej pięknego ciała.

- Napijesz się kawy?

- Nie, dziękuję.

- Może wina?

- Chętnie.

Suzanne weszła do kuchni i zdjęła z półki butelkę. Kiedy się odwróciła, Sebastien stał tuż obok. Drżącymi rękoma przyciągnęła go do siebie, pocałowała w usta i wsunęła mu palce we włosy. Z początku nie zareagował, ale po chwili zaczął ją pieścić. Patrzyła, jak rozpina jej bluzkę i kładzie dłonie na piersiach. Szybkim gestem odsunęła na bok naczynia i wskoczyła na kuchenny blat, przyciskając się do Sebastiena. Podciągnęła spódnicę. Między nogami poczuła twardy kształt, ocierający się o jej nagie ciało.

Całkiem zapomnieli o winie.

Tanya oddychała. Nie zabił jej. Bez pośpiechu przywiązał ją za ręce i nogi do ramy łóżka, włożył knebel do ust i związał oczy. Odsunął nieco zasłonę, żeby mieć widok na podjazd, i dokładnie przeszukał pokój. Wkrótce znów stanął przy łóżku.

Nic nie znalazł.

Miał problem, i to spory. Tanya zaczęła odzyskiwać przytomność. Mimo iż w głowie jeszcze jej się kręciło, umysł zaczynał pracować coraz sprawniej, jak komputer uruchomiony po chwilowej awarii. Zorientowała się, że leży na łóżku, związana, zakneblowana, z przepaską na oczach. Wiedziała też, że ktoś siedzi obok przy nogach, czuła odkształcenie materaca. Kto to był? Włamywacz? Któryś z konkurentów? Przez głowę przelatywały jej coraz to nowe pomysły. Strach narastał.

- Czego chcesz? - wykrztusiła. Knebel tłumił jej głos.

Siedząc na łóżku, Ivan podziwiał jej pónagie ciało, oświetlone blaskiem

zainstalowanej na podjeździe lampy. Zawsze wydawała mu się miła, chociaż popełniła błąd, wiążąc się z Sebastienem. Rex byłby lepszy, bardziej odpowiedzialny i kochający. Sebastien miał naturę playboya. Niestety Rex zginął i Tanya współpracowała z Sebastienem. Ivan wiedział, że we dwoje mogą go pokonać. Musiał wydobyć od niej informacje na temat Stanton. Tylko w ten sposób szanse się wyrównają.

- Czego chcesz? Kim jesteś?!

Słyszał w głosie Tanyi lęk, który sprawiał mu satysfakcję. Na tym etapie to właśnie strach, a nie ból, stanowił klucz do sukcesu. Musiał go tylko odpowiednio wykorzystać. Obserwował Tanyę, wyczekując odpowiedniej chwili.

Szarpiąc się w więzach, Tanya w myślach rozpaczliwie wzywała Sebastiena, chociaż wiedziała, że nie ma co liczyć na jego pomoc. Kim był intruz? Czego chciał? Czowała się beznadziejnie osamotniona i zrozpaczona, jak człowiek, który postradał wzrok i nie oswoił się jeszcze ze swoim kalectwem. Strach emanował z całego jej ciała.

A Ivan wyczuwał go i podsyczał.

Zmysł słuchu Tanyi niesłuchanie się wyostrzył. Intruz przysunął się bliżej do jej bioder, a potem zaszeleściła guma i rozległ się cichy trzask. Ten dźwięk kojarzył się jej z aseptyczną, szpitalną czystością, jakby chirurg zakładał rękawiczki przed operacją - albo patolog przed sekcją zwłok. Co on chciał zrobić?! Zaszamotała się, bezskutecznie próbując zerwać więzy. Nie było dla niej nadziei.

Ivan odczekał, aż Tanya przestanie się wyrywać i pierwsza fala strachu minie. Oddychała chrapliwie, zduszona kneblem. Siedział obok niej bez słowa i bez ruchu, jak ksiądz, który odmawia umierającemu ostatniego namaszczenia.

- Czego chcesz?! Chodzi o pieniądze?!

Strach dodatkowo zniekształcał słowa, i tak niewyraźne z powodu knebla. Intruz milczał. Czas ciągnął się w nieskończoność.

Palcami w gumowych rękawiczkach Ivan zaczął: odpinać guziki skąpej koszulki nocnej Tanyi i odsłaniać jej nagie ciało. Operację tę przeprowadzał wolno, z namaszczeniem. Po każdym guziku czekał, aż Tanya przestanie się miotać na łóżku. Wyciągnął rękę i ujął w dłoń najpierw jedną jej pierś, potem drugą, napawając się ich ciepłem.

Palec wskazujący zaczął przesuwając się w dół od stwardniałych z prerażenia sutków, kreśląc krętą ścieżkę na odsłoniętym brzuchu Tanyi. Poruszał się wolno, niespiesznie, choć nie bez celu. Ivan naprawdę nie miał się dokąd spieszyć. Zafascynowany obserwował każde drgnienie jej ciała, niczym chemik, który w laboratorium śledzi kontrolowaną reakcję. Palec zatoczył koło wokół pępka i pomalutku przesunął się niżej, po napiętym do granic możliwości

brzuchu. Tanya wiła się i szarpała ze strachu. Palec w rękawiczce, wilgotny od jej potu, meandrował dalej, powoli, nieustępliwie. Dosięgnął miękkiego puszku, rozgarnął go i zatrzymał się na wzniesieniu łonowym, na który padało nieco więcej światła z okna. Ivan czuł się jak dziecko, które bawi się złapanym motylem: intrygowało go własne okrucieństwo. Miał przed sobą ciało, które oddano mu do zabawy. Mógł eksperymentować na żywym organizmie, czując rozkoszny dreszcz władzy.

- W domu jest sejf! Na dole! Tam są pieniądze! - krzyczała chrapliwie Tanya. Na kneblu pojawiła się plama krwi.

Palec się zawahał, a po chwili wolno ruszył w dalszą drogę. Dłoń intruza delikatnie rozchyliła uda, przytrzymywane więzami w półrozwartą pozycję. Tanya bała się zareagować. Czowała, jak palec ociera się o jej wilgotne ciało, ciepły i groźny jak wąż. Nagle się wycofał.

Przez jedną cudowną, złotą, niepowtarzalną chwilę wydawało się jej, że przybysz już jej nie skrzywdzi, że ma dość, że nasycił się poczuciem absolutnej władzy. Zaczęła się modlić.

W pokoju zrobiło się zupełnie cicho. Tanya upajała się wolnością, gdy nagle ciszę zmaćnił ledwie słyszalny szelest: intruz wziął z nocnego stolika paczkę papierosów Sebastiena. Otworzył ją. Zaszeleściła folia, gdy wyjmował papierosa. Szczęknęła zapalniczka, kiedy go zapalił. Żarzący się koniuszek zbliżył się do jej twarzy, a potem rozpoczął długą drogę w dół. Wiedziała, co będzie, gdy dosięgnie jej ud.

Szarpała się w więzach, uwięziona w piekle, w którym nie istniał czas. Zdawała sobie sprawę, że to wszystko nie ma sensu, że jest dla niej tylko jeden ratunek. Dusząc się pod kneblem, wykrzyczała milczącemu katu wszystko, co mogło go interesować: gdzie jest sejf, jaki jest szyfr, gdzie leżą dokumenty, gdzie ma szukać biżuterii, gdzie znajduje się jej ukochany. Po długiej, trwającej całą wieczność chwili papieros odsunął się od jej ciała.

Ivan nie wstał od razu, wsłuchując się w stłumione łkanie Tanyi. Biedactwo. Oczywiście, nie miał innego wyjścia. W tych okolicznościach było to rozwiązanie usprawiedliwione. Przecież Machiavelli powiedział: „Dobrze użytymi mogą nazywać się te [okrucieństwa] (jeżeli o złem wolno powiedzieć, że jest dobrem), które popełnia się raz jeden z konieczności, dla ubezpieczenia się, nie powtarza się ich później”.

Ivan zszedł na parter, otworzył sejf i znalazł interesujące go dokumenty: nekrolog Maksa Stantona oraz inne wycinki z gazet, dokumentujące jego osiągnięcia w dziedzinie chemii. Przeczytał je uważnie i odłożył na miejsce.

Był zawiedziony. Tanya i Sebastien wiedzieli niewiele więcej od niego. Nie miał



czasu do stracenia. Pozrzucił książki z półek w salonie, pościągał obrazy, pociął sofę nożem. Zgarnął do torby trochę pieniędzy i biżuterii. Później je wyrzucił, a na razie lepiej, żeby nie wiedzieli, kto ich odwiedził. A co z Tanya? Jak daleko powinien się posunąć? Sięgnął po nóż.

Zadzwoił telefon.

Gdzie się podziała Tanya?

Sebastien stał nago w obcym pokoju. Spojrzał na zegarek: wpół do czwartej rano, powinien zastać ją w domu. Chyba że była z innym facetem. Czekał. Może go zostawiła. Może chciała sama wygrać konkurs? Zaniepokoił się.

- Sebastien?

- Tutaj jestem.

- Wracaj do łóżka - ponagliła go Suzanne.

Wyjedzie wczesnym rankiem i o ósmej będzie już w Kasteln.

Wrócił do łóżka. Kiedy Suzanne przytuliła się do niego, delikatnie rozchylił jej uda.

Ivan stał przy łóżku Tanyi i czekał, aż telefon przestanie dzwonić. Bez emocji odnotował, że jej puls wyraźnie przyspieszył. Potem Ivan połączył się z centralą telefoniczną: dzwoniło z Genewy. O tej porze mógł to być tylko Sebastien, nikt inny. Czyli Tanya go okłamała, mówiąc, że jest jeszcze w Bostonie. Chociaż... Może nie wiedziała, że jej żądny miłosnych przygód kochanek już wrócił. Nieważne. Tak czy inaczej Sebastien niedługo się zjawi, a Ivan nie miał najmniejszej ochoty spotkać się z nim na jego terenie.

Co z Tanya? Jeżeli zostawi ją przy życiu, będzie miał w niej zażartego wroga. Domyśli się przecież, że nocnym gościem był albo on, albo Andrew, a nie przypadkowy włamywacz. Dużo ryzykował. Tanya i Sebastien, kierowani żądzą zemsty, mogli mu poważnie utrudnić zadanie. Co powinien zrobić? Machiavelli wyraził się jasno: jeżeli masz wroga, zabij go.

Tylko czy Tanya rzeczywiście była jego wrogiem? Czy zaszkodziła mu w jakiś sposób? Powinien się nad nią ulitować czy ją zniszczyć? Stał przed trudnym wyborem. Pozostawiając ją przy życiu, zmniejszał swoje szanse na wygraną. A czy Sebastien i Tanya nie zabiliby go, gdyby trafiła im się po temu okazja? Czy nie czuliby się usprawiedliwieni? Ivan wyobraził sobie szale trzymanej przez Temidę wagi. Współczucie i litość niezbyt się tu liczyły.

Wstał. Biedna Tanya. Wyjął z szuflady jedną z jej jedwabnych chustek i wrócił na łóżko. Owinął szyję Tanyi chustką i zaczął ją zaciskać.

Czując ucisk na szyi, Tanya wiedziała, że musi umrzeć. W ułamku sekundy jej umysł, niczym wierny, bezstronny analityk wydarzeń, szepnął, że jej życie gwałtownie zbliża się ku końcowi. Wyłączył miliony funkcji, które nadzorował od urodzenia, i odciął impulsy przenoszące lęk. Nie były już potrzebne. Chustka uciskała ją coraz silniej, Tanya powoli traciła przytomność, mózg zaś szykował się do uruchomienia ostatniego programu.

Często się zastanawiała, co czuje człowiek w chwili śmierci. Teraz właśnie zaczynała się tego dowiadywać. Błogosławiła w duchu swój układ nerwowy, że wspierał ją w wędrówce przez życie. Nawet teraz, na granicy śmierci, znieczulał mózg, starając się ulżyć jej cierpieniu.

Nieprzytomna Tanya ujrzała nadciągające fale śmierci. Umysł pomagał przyjąć je ze spokojem. We śnie, nieświadoma własnego ciała, pierwszy raz ujrzała prawdziwą głębię swojego istnienia i dostrzegła w niej miłość, której dotąd nie знаła. Zaczęła zrywać niewidzialne nici, łączące ją ze światem: Sebastien, konkurs, wspomnienia, nadzieje, lęki przepływały obok niej, gdy zanurzała się w ciemnych odmętach. Poznawała istotę bytu. Nie mogła zatrzymać tego procesu.

Usłyszała blisko głos nieżyjącego ojca, jakby szeptał jej wprost do ucha. Na granicy życia i śmierci jego miłość powstrzymywała ją przed zatonięciem w odmętach zapomnienia. Przemawiał do niej szeptem, jak do dziecka. W nieskończenie złożonym wszechświecie miłość miała wielką moc.

Dziesięć minut później Ivan wyszedł z chaty.

Nastał ranek. Sebastien z niedowierzaniem i zgrozą patrzył na pobojuwisko: obrazy i sofa pocięte nożem, porcelana potłuczona, sejf otwarty. Wszedł na górę, do sypialni, która przypominała scenierię barbarzyńskiej orgii. Wszędzie walały się ubrania i pościel. Musiała się tu rozegrać gwałtowna walka. Z wezłowia zwisał kawałek powiązanego w supły płótna. Zarówno na nim, jak i na pościeli widniały ślady krwi. Jakby dokonano tu morderstwa.

Sebastien wyjrzał przez okno i krzyknął. Zobaczył Tanyę. Zbiegł po schodach, z hukiem otworzył drzwi od podwórza i brodząc w śniegu, ruszył między drzewa.

Siedziała pod świerkiem, opatulona w puchową kurtkę, ze wzrokiem utkwionym w stok góry. Nawet na niego nie spojrzała. Usiadł obok niej, zbyt przerażony, by przerwać jej milczenie. W końcu Tanya opowiedziała mu, co się stało: chłodnym, obiektywnym tonem, jak reporterka. Patrzyli bez słowa na nieskalany, biały krajobraz, błędząc myślami zupełnie gdzie indziej.

- Jak to się stało, że cię nie zabił?

- Nie wiem.

- Może to jednak włamywacz?

- Nie. To był Ivan albo Andrew.

- Jesteś pewna?

- Tak. Absolutnie pewna.

- Nie zabrał wycinków o Stantonie.

- Nie musiał. Przeczytał je i odłożył - odparła spokojnie Tanya, odwracając się do niego. - Gdzie byłeś w nocy?

- Późno przyleciałem do Genewy i postanowiłem zostać do rana. - Twarz Sebastiena stężała, oczy zaśniły mu złowrogo. - Zgwałcił cię?

Kiedy Tanya nie odpowiedziała, ze złością powtórzył pytanie.

- Nie. Tylko śmiertelnie mnie przestraszył. - Jeszcze raz zerknęła na niego i odwróciła wzrok. Dlaczego wciąż go kochała? Czym ją tak pociągał, fascynował?

- Co robimy? - zapytał Sebastien.

- Gramy dalej - odparła zdecydowanie Tanya. - Oboje popełniliśmy błąd: założyliśmy, że tylko my wiemy o Stantonie. Rex też tak myślał i dlatego zginął. Byliśmy za wolni i za mało ostrożni. To się musi zmienić.

Sebastien pokiwał głową. Czuł się paskudnie jak nigdy.

- Chyba czas zniknąć, Tanyu - powiedział po dłuższej chwili. - Najlepiej od razu, dzisiaj. - Zawiesił głos. - Nie będziemy już niczego w tym konkursie przyjmować za pewnik. To walka o najwyższe stanowisko na świecie. Wiemy tylko to, że Andrew i Ivan zrobią wszystko, żeby wygrać.

- Ty też - rzuciła Tanya oskarżycielsko.

- Ty także.

- To prawda. Każde z nas będzie walczyć do upadłego i nie cofnie się przed niczym.

Roztaczał się przed nimi przepiękny widok. Nie mieli ochoty stąd wyjeżdżać, ale ta noc wykazała, że przestało tu być bezpiecznie.

- Wszystko zaczęło się od śmierci Rekxa - stwierdziła drżącym głosem Tanya. - Idź, spakuj się. Ja tu jeszcze chwilę posiedzę.

- Przykro mi, Tanyu. - Sebastien wstał. - Naprawdę strasznie mi przykro.

Tanya odruchowo pokiwała głową, nie słysząc jego słów.

- Wszystko zaczęło się od śmierci Rekxa - powtórzyła.

Odprowadziła Sebastiena wzrokiem. Elementy łamigłówki zaczynały się układać w całość. Musieli działać szybciej. Popełnili błąd. Rex zginął, bo za późno zrozumiał

konsekwencje posiadanej wiedzy. Tanya podziwiała śliczną zimową scenerię, ale w jej sercu czaiła się rozpacz. Szkoda, że Reksa już nie ma. Nie pozwoliłby, żeby stała się jej krzywda.

- Chińska łamigłówka - szepnęła. - Ta przeklęta chińska łamigłówka.

Czy była za głupia, żeby ją zrozumieć? Nie wiedziała, co o tym myśleć. Łamigłówka nie miała żadnego znaczenia, tak jak to, co spotkało ją tej nocy: kolejna zagadka, która kazała jej podać w wątpliwość wartość własnego życia, marzeń i tęsknot. Znalazłszy się na progu śmierci, nagle zupełnie inaczej zaczęła postrzegać świat. Doceniła to, kim naprawdę jest. Wrażenie to było tak ulotne, że miała kłopoty z odtworzeniem go, ale w tej króciutkiej chwili poznała odpowiedzi na wszystkie pytania: o Mistrza, o miłość, o własne pragnienia.

Porzuciła te jałowe rozważania i wróciła do najbardziej istotnej kwestii: kim był obcy człowiek, który włamał się do chaty?

Przede wszystkim nie był obcym - to Andrew albo Ivan przyszedł się dowiedzieć czegoś o Maksie Stantonie. Czy to oznaczało, że któryś z nich zabił Reksa? A może obaj byli w to zamieszani? Nie, niekoniecznie, tym bardziej że nocny gość zachował się bardzo dziwnie. Zacisnął jej na szyi jedwabną chustkę, żeby ją udusić, ale w ostatniej chwili coś go jednak powstrzymało. Zdjął chustkę i przykrył nią nogi Tanyi. Dlaczego zrezygnował? Dlaczego chciał ją tak przestraszyć? Zawahał się? Poczul wyrzuty sumienia? Jeżeli zabił Reksa, czemu teraz zrezygnował? A jeżeli Rex nie zginął z ręki Ivana ani Andrew?

Odwróciła się i spojrzała na dom.

## ROZDZIAŁ 13

*Ten, kto umie wygrywać z wrogiem, nie musi się z nim siłować.*

Lao-Cy

### **Marzec. Kongo**

Masz gościa, Obedi.

Obedi przestał wyglądać przez okno i wstał od sfatygowanego biurka. Trzydzieścioro dzieci patrzyło za nim zazdrośnie: sierot zwykle nikt nie odwiedza. Nauczycielka postukała

wskaźnikiem w wytartą tablicę, przywołując je do porządku.

Obedi pędził korytarzem, wreszcie mając poczucie wolności. Nie można powiedzieć, żeby nie lubił lekcji angielskiego. Miał po prostu ochotę wyjść na dwór, znaleźć się z dala od wszystkich, którzy mogliby go skrzywdzić.

- Obedi!

Skręcił i wszedł do gabinetu dyrektora, gdzie czekał na niego Andrew. Dyrektor wstał i położył chłopcu dłoń na ramieniu.

- Zostawię was na chwilę - powiedział.

Obedi przyglądał się Andrew. Lubił go. Andrew miał szczerą, przyjazną twarz i ocalił ich z rąk rebeliantów. Obedi nawet mu nie podziękował, ale instynktownie wyczuwał, że nie to jest najważniejsze. Jak można komuś podziękować za uratowanie życia? Był pewien, że Andrew go rozumie. Takiej wdzięczności nie da się wyrazić słowami.

- Co robiłeś? - zapytał Obedi.

- Szukałem jednej rzeczy. W Szkocji.

- I co, znalazłeś? - Przeszło mu przez myśl, że pewnie nigdy nie nauczy się angielskiego na tyle dobrze, żeby rozmawiać z Andrew w tym języku. Chociaż to też nie miało znaczenia, swobodnie porozumiewali się w suahili.

- I tak, i nie - odparł Andrew. - A jak tam w szkole?

- W porządku.

Obedi usiadł przy stole i z radością zauważył, że tym razem Andrew ma ze sobą telefon.

- Długo tu jesteś?

- Kilka tygodni - odparł chłopiec i wyjaśnił, że ONZ przewiozła ich w konwoju ciężarówek z obozu w Kapandze do szkoły dla sierot w Kikwit. To była jakaś odmiana: mogli się uczyć, zamiast całymi dniami przesiadywać pod namiotem. Andrew zauważył, że rana od noża na ramieniu chłopca całkiem się zagoiła.

- Twoja siostra też tu jest?

- Tak, ale w innej klasie. Ze starszymi dziećmi.

Obedi nigdy by jej nie opuścił. Oprócz niej nie miał już nikogo. Nikt poza nią go nie kochał.

- Przyjechałem się z wami zobaczyć - rzekł Andrew po chwili ciszy.

- Tak - zgodził się z nim Obedi. Właściwie to dziwił się, że człowiek, który ich uratował, w ogóle jeszcze o nich myślał. Chociaż bardzo się ucieszył, widząc Andrew po dwóch miesiącach przerwy.

- Mówiono mi, że zostaniecie tu jakiś czas - ciągnął Andrew. - To dobrze. Nauka jest bardzo ważna. - Nachmurzył się. - Na razie muszę znów wyjechać, ale chciałbym ci coś dać.

Na twarzy dziecka odbiło się zaskoczenie.

- Telefon - dodał Andrew, kładąc aparat na stole.

Obedi, zafascynowany, oglądał go z bliska. Telefon był wielkości dłoni dorosłego mężczyzny i połyskiwał kolorowymi cyferkami. Cudowny prezent, Obedi nie mógłby sobie wymarzyć wspanialszego. Bóg naprawdę o nim pamiętał.

Andrew nie wyjaśniał zasad funkcjonowania telefonu satelitarnego. Powiedział tylko Obediemu, które kolorowe guziczki ma nacisnąć, żeby mogli ze sobą rozmawiać.

- Chciałbym, żebyś dał telefon siostrze. I żebyście dzwonili tylko wówczas, gdy wydarzy się coś bardzo ważnego.

Obedi spojrzał na niego z powagą.

- Coś strasznego? - zapytał.

- Tak, coś strasznego - przytaknął Andrew. Nie zdążyłby, rzecz jasna, wrócić na czas do Konga i pomóc Obediemu. Wiedział, że jeśli w tym kraju wybuchnie wojna domowa, otworzą się bramy piekieł. - Wrócę, gdy tylko będę mógł, ale na razie muszę jechać gdzie indziej. Obiecuję, że jeszcze się spotkamy.

- To dobrze - odparł chłopiec, nie wierząc słowom człowieka z ONZ. Nie wróci, tak jak nie wróciła rodzina Obediego.

Andrew wsiadł do land-rovera. Obedi, trzymając siostrę za rękę, stał ze smutną miną na wyboistej drodze i patrzył, jak człowiek z ONZ odjeżdża.

Andrew jechał do Kinszasy. Czekala go dwuipółgodzinna podróż. Zdawał sobie sprawę, że dzieci nie wierzą, że przyjedzie je odwiedzić. W kraju, w którym zmarły już setki tysięcy ludzi, nie miały wielkich szans na przetrwanie. Westchnął ciężko, wracając myślami do konkursu.

Musiał w jakiś sposób zarobić dwadzieścia milionów dolarów. Po co komuś w Akademii taka masa pieniędzy? Przecież sponsorująca ją fundacja nie należała do biednych. A więc zdobycie pieniędzy miało być sprawdzianem umiejętności. Może mieli się w ten sposób przekonać na własnej skórze, jak trudno jest być Mistrzem, który codziennie zmagają się z pozornie nierozwiązywalnymi problemami?

Samochód podskakiwał na zniszczonej nawierzchni. Andrew kręcił kierownicą, wymijając leje po pociskach. Skąd ma wziąć dwadzieścia milionów? Na razie nie miał pojęcia, był jednak prawie pewien, że nie zdoła tego dokonać legalnie. A łamanie prawa jakoś

nie szło w parze z ideałami, które reprezentowała Akademia.

Kiedy obok zwałonego mostu wjechał do rzeki, wrócił myślami do chińskiej łamigłówki. Mówiąc o niej, Mistrz w oczywisty sposób nawiązywał do konkursu. Istniał ewidentny związek między pudełkiem i jego twórcą, podobnie jak między grą o Akademię i jej obecnym przełożonym. Tylko na czym ten związek miał polegać? Andrew doszedł do wniosku, że powinien przede wszystkim dowiedzieć się jak najwięcej o Czangu, rzemieślniku, który zasłynął ze swoich łamigłówek. A ponieważ Czang nie żył już od trzech stuleci, będą mu musiały wystarczyć relacje historyków i zachowane dzieła mistrza.

Dojeżdżając do Kinszasy, mijał na drodze tysiące odzianych w łachmany uchodźców. Szli powoli, z twarzami zastygłymi w grymasie przygnębienia i rozpacz. Przybywali znikąd i donikąd zmierzali, uciekając przed czystkami etnicznymi. Patrzył na umęczone, wyzute z wszelkiej nadziei matki, niosące przytulone do piersi dzieci. Wiedział, że niebawem Kongo może się stać ogniskiem zapalnym wojny, która ogarnie całą Afrykę. Zdawało mu się, że droga, którą wkrótce mieli nadciągnąć do stolicy rebelianci, drży niespokojnie w oczekiwaniu tragedii. Ale jego wtedy tu nie będzie. Ciekawe, kto z Akademii zajmie jego miejsce? Kto będzie walczył o pokój w Afryce?

Akademia przeżywała zapaść, która doprowadzi do jej upadku. Adeptci walczyli między sobą o wpływy. Jad ambicji przeniknął w głąb Akademii i sięgnął serca Mistrza, który nie umiał mu się oprzeć i uległ pokusie wszechwładzy. Andrew przypomniał sobie niedawny skandal prezydencki w USA i pożegnalny list Paula Fauchera, w którym doradca prezydenta twierdził, iż Mistrz celowo próbuje obalić amerykański ustrój. W Kongresie zawrzało. Pojawiły się żądania odebrania Akademii jej uprzywilejowanego statusu i udostępnienia jej zasobów całemu światu. Akademia - jak zwykle - milczała. Katastrofy udało się uniknąć tylko dlatego, że prezydent Davison ogłosił Fauchera zdrajcą. A jeśli Faucher nie kłamał? Co by się stało, gdyby Mistrz został odwołany albo - choć przepisy nie dopuszczały tego - zechciał zrezygnować ze stanowiska?

A co Andrew by zrobił, gdyby znalazł się na jego miejscu? Czy powinien walczyć o zachowanie status quo? Czy ryzykując życie własne i innych Adeptów, dążyć do osiągnięcia ideału, który we współczesnym świecie praktycznie nie istniał? Może powinien zwyczajnie dać sobie spokój? Do diabła z Akademią i tą głupią grą; nie musi przecież do końca życia być Adeptem! Da sobie radę! Chociaż, z drugiej strony, jak wyglądałby jego świat bez Akademii? Czy James, Władca Wysp, żył i zmarł na darmo?

Te myśli nie dawały mu spokoju, siłą woli musiał przywoływać się do porządku, żeby skoncentrować się na bieżących problemach. Gdzie teraz znajdowali się Ivan, Sebastien i

Tanya? Na pewno znacznie wyprzedzili go w wyścigu i niedługo go znajdą. Jeżeli nie zamierzał się wycofać i ukryć, żeby dali mu święty spokój, musiał zdecydować, czy woli być myśliwym, czy zwierzyną. Zabijać czy dać się zabić.

Podjął decyzję, zanim jeszcze wyjechał z terenów slumsów Kinszaszy. Musiał przede wszystkim odszukać rywali i śledzić ich poczynania, starając się równocześnie zdobyć dwadzieścia milionów. Jak się do tego zabrać?

Sięgnął po telefon.

- Może ktoś by odebrał ten cholerny telefon?!

Szef Al Johnson Investigations, jednej z najszlachetniejszych nowojorskich agencji detektywistycznych, odłożył na papierową tackę kanapkę z serem i ogórkiem kiszonym. Ile razy miał powtarzać sekretarce, żeby podczas przerwy na lunch ktoś zostawał w biurze i odbierał telefony? Klienci dostają szału, kiedy się ich lekceważy, kto nie szanuje klientów, ten głoduje. Zerwał się z krzesła i podszedł do telefonu.

- Słucham? - rzucił, podnosząc słuchawkę. Swoją drogą, jak klienci śmia mu przeszkadzać, kiedy je lunch?!

Nagle usiadł i przesunął dłonią po łysej czaszce, jakby w poszukiwaniu dawno utraconych włosów.

- Tak jest, proszę pana - powiedział, wsłuchując się w głos zza oceanu. - Rozumiem. - Skinął głową i zaczął notować szczegóły.

Odłożył słuchawkę i przeszedł do gabinetu wspólnika, gdzie z trudem wcisnął się w małe fotel. Poprawił poplamiony, jaskrawy krawat.

- Słuchaj, PJ, dzwonił właśnie klient... Będę nazywał go Andrew, dobrze? No więc Andrew chce, żebyśmy znaleźli dla niego dwóch ludzi. Znaleźli, a potem mieli na oku, nic więcej. Będzie od czasu do czasu dzwonił, żeby dowiedzieć się, jak nam idzie. Tu masz nazwiska. Pieniądze nie grają roli. Mamy ich śledzić przez najbliższe pół roku. Mógłbyś pokierować tą sprawą? Nie wiemy, gdzie się teraz znajdują.

PJ, wysoki Murzyn z wiecznym uśmiechem na twarzy, zbudowany jak kulturysta, zdjął słuchawkę i ściszył magnetofon. Nie słyszał ani słowa z przemowy Ala.

- Wygląda nieźle... - odparł, zerknął na podane mu notatki i wrócił do słuchania nagrań.

Al przyglądał mu się podejrzliwie. Dobiegający ze słuchawek dźwięk przypominał najgorszy rap, a nie nagrania rozmów z klientami, których powinien słuchać PJ. Mniejsza o to. PJ był naprawdę dobry, najlepszy w całym dziale... Al wstał i opuścił pokój. Kilka minut



później drzwi otworzyły się z hukiem. Stał w nich PJ - tym razem bez magnetofonu, z dziwnym wyrazem twarzy.

- Rzuć okiem na to. - Podał Alowi faks.

Al przeczytał go i gwizdnął cicho.

- Jezu Chryste... - Usiadł na biurku. - Co robimy?

- To nie nasz problem - uśmiechnął się PJ. - Mamy dwóch klientów, tak? Każą się nawzajem śledzić. Co z tego wynika? Robimy, co każą. Śledzimy obu i od obu zgarniamy szmal.

- Ale nie powinniśmy przecież śledzić własnych klientów - zaprotestował słabo Al.

- Wszystko jest cacy. - Zachwycony PJ cmoknął go w łysinę. - My zgarniemy podwójną kasę, a oni o niczym się nie dowiedzą.

Al spojrzął na niego badawczo. PJ miał naturę kanciarza, to prawda, ale przecież dlatego właśnie został tu zatrudniony. Nagle udzielił mu się głód pieniędzy.

- Fakt. - Podrapał się najpierw po nosie, potem za uchem. - Kto by się tym przejmował? Ja się zajmę tym Andrew, ty trzymaj Sebastiena. Nie możemy się z niczym zdradzić. To musi zostać między nami, PJ. Spełniamy tylko życzenia naszych klientów, informujemy ich o miejscu pobytu ludzi, których szukają. Ale jedno ci powiem: nie chciałbym być tym trzecim, którego obaj próbują namierzyć. Jak on się nazywa?

PJ zerknął na faks.

- Ivan Radič.

## **Marzec. Nowy Jork**

Szef działu kadr zakaszłał i odłożył papiery na biurko. Siedział w pokoju na ostatnim piętrze drapacza chmur; z okien roztaczał się wspaniały widok na miejską dżunglę w dole.

- A więc... - zerknął na leżący przed nim list - panie Sebastienie, czym mogę służyć?

- Jak już wspomniałem, chciałbym pracować w którymś ze środkowoamerykańskich oddziałów pana firmy.

- Rozumiem. - Szef kadr skinął głową. Miał koszulę w prążki i ubóstwiane przez nowojorskich bankierów czerwone szelki. Dopełniały obrazu, na który składały się złoty zegarek, krawat z uniwersytetu Ivy League i masywne spinki do mankietów. Gładko ogolony, przystojny i wygadany młody człowiek, który siedział przed nim, był idealnym kandydatem.

- Owszem, mamy wolne stanowiska. Muszę przyznać, że pański życiorys robi wrażenie. Wprawdzie zwykle przyjmujemy osoby trochę młodsze, ale to jeszcze nie tragedia.

Czy mogę sprawdzić pańskie referencje?

- Naturalnie.
- Kiedy mógłby pan zacząć pracę?
- Natychmiast.

Bankier się rozpromienił. Kandydat bardzo mu się podobał. Najważniejsze to wiedzieć, czego się chce. No i nie odmawiać, zwłaszcza szefowi kadr US Banku. Banku cieszącego się zasłużoną sławą jednego z najlepszych na świecie.

- Jakie zna pan języki obce poza hiszpańskim?
- Francuski jest moim językiem ojczystym. Poza tym znam włoski, niemiecki, rosyjski, a słabiej jeszcze ze dwa inne - odparł Sebastien, wodząc wzrokiem po marmurowej posadzce i rzeźbach z brązu.

- Wydaje mi się, że jest pan dokładnie takim człowiekiem, jakiego szukamy - odezwał się ponownie szef kadr. - Ciekawe, że pańskie nazwisko pojawiło się już kilka dni temu, gdy rozmawiałem z Georges'em Billoux, prezesem Paris Bourse. Wspomniał mi, że chce się pan ze mną spotkać. Bardzo pana chwalił. Pańskie referencje z Banku Światowego również są znakomite.

Sebastien uśmiechnął się i zanotował w pamięci, żeby zadzwonić do Georges'a z podziękowaniami.

- Zna się pan na rzeczy, włada biegle kilkoma językami... Będę tylko musiał uzyskać potwierdzenie z Departamentu Ameryki Łacińskiej. To nie potrwa długo i przypuszczam, że zostanie pan przyjęty. Wówczas czeka pana miesięczne przeszkolenie tu, w Nowym Jorku, po którym wyślemy pana do Ameryki Środkowej lub Południowej, do jednego z naszych oddziałów. Czy jest jakiś kraj, który szczególnie pana interesuje?

- Panama.

Szef kadr ze zdumieniem uniósł brwi. Większość ludzi wybiera w takiej sytuacji Brazylię, żeby móc bzykać panienki na Copacabanie.

- Czy mogę spytać, dlaczego akurat Panama?
- Znajduje się tam jeden z największych ośrodków bankowych w całej Ameryce Łacińskiej. Większość funduszy w handlu Północy z Południem przepływa właśnie przez Panamę. Słyszałem ponadto, że zamierzacie państwo umocnić swoje wpływy na tamtejszym rynku.

Szef kadr US Banku obrzucił Sebastiena zaciekawionym spojrzeniem. Nie wiedział, że tę informację podano już do publicznej wiadomości, gdyż rada nadzorcza dopiero poprzedniego dnia ustaliła taką strategię. Czyżby ktoś włamał się do ich komputerów? Nie, to

nie wchodziło w grę.

- Rozumiem. I widzę, że jest pan znakomicie poinformowany. Cóż, będziemy pamiętać o pańskich preferencjach. Miło mi się z panem rozmawiało. Zadzwonimy do pana, gdy tylko skonsultuję się z dyrektorem Departamentu. Ma biuro w końcu tego korytarza.

Podali sobie ręce i bankier odprowadził Sebastiena do drzwi.

Sebastien wsiadł do windy, wyjął z kieszeni monetę i podrzucił ją w powietrze. Kiedy zjechał na parter, człowiek z personelu banku wyszedł mu na spotkanie i zaprowadził go do telefonu.

Szef kadr miał dla niego nowinę:

- Zaczyna pan za tydzień. Tak jak mówiłem, wstępne szkolenie w Nowym Jorku, a po miesiącu wysyłamy pana do Panamy. Moja sekretarka przekaże panu szczegóły. Gratuluję.

Wypadła reszka. Wygra: razem z Tanya będą pracować w tym samym banku w Panamie. Pierwszą część planu udało się zrealizować. Tanya już pojechała do Panamy. Ciekawe, jak sobie radzi?

Sebastien wyszedł z banku i wtopił się w anonimowy tłum na chodniku. Miesiąc szkolenia - kaszka z mlekiem. Wrzucił żebrakowi garść monet do kapelusza. A teraz przez miesiąc musiał się czymś zająć w Nowym Jorku.

Nie miał czasu do stracenia.

Z niczym nie dałoby się porównać życia towarzyskiego w Nowym Jorku w piątkowy wieczór. Całe miasto buzowało podnieceniem. Atmosfera była jak naładowana elektrycznością. Sebastien miał dwa pragnienia: napić się i znaleźć sobie dziewczynę do łóżka. Pojechał taksówką do Skid Row i wszedł do pierwszego baru z brzegu.

- Wolne?

- Siadaj i czuj się jak w domu.

Sebastien usiadł przy barze i zamówił sobie bourbona. Ciemnowłosa, skośnooka dziewczyna przyglądała mu się z zainteresowaniem, bez cienia zażenowania. Obróciła się w jego stronę.

- Postawiłbyś mi drinka?

- Jasne.

- Jak się nazywasz?

- Sebastien. A ty?

- Dawn.

Kiedy Sebastien odwrócił się i zawołał kelnera, Dawn podziwiała jego jędrne pośladki i umięśnioną sylwetkę. Wkrótce rozmawiali już jak starzy znajomi, chociaż konwersacja nie

miała wiele wspólnego z tym, o czym myśleli. Ona była młodą rozwódką, zatrudnioną w jednej z firm ubezpieczeniowych, on przedstawił się jako bankier, który przejazdem bawił w Nowym Jorku. Szczegóły ich nie interesowały, słowa były bez znaczenia. Liczyło się tylko to, czego oboje chcieli. Podjęli już decyzję, jak powinien zakończyć się ten wieczór. Należało tylko zadbać o zachowanie form.

- Spieszysz się do domu?

- Niespecjalnie - odparła, popijając whisky z lodem. Facet był naprawdę kapitalny. Już czuła go w sobie.

Po kolacji, kiedy Sebastien zdążył rozebrać ją w myślach po raz trzeci, napomknął od niechcienia:

- Może wpadniemy do mnie na kawę? Wezwę ci później taksówkę.

Uśmiechnęła się do niego i zgryzła kawałek lodu. Błysnęły śnieżnobiałe zęby.

- Czemu nie? Tylko żebym za długo się nie zasiedziała.

Ciekawe, czy ma w domu zapasową szczoteczkę do zębów. Na pewno, taki gość szczoteczki kupuje hurtem. Przeciągnęła się dyskretnie.

Sebastien włączył światło i przejrzał pocztę. Dawn poszła do łazienki sprawdzić, jak wygląda sprawa szczoteczek do zębów. Później, kiedy leżeli już w łóżku, mogła powiedzieć, że jest naprawdę zadowolona. Czuła go w sobie i poruszała się rytmicznie, dostosowując swoje ruchy do jego pchnięć. Była o krok od orgazmu. Sebastien podniósł wzrok znad jej falującego ciała i wyjrzał przez okno. Rysowała się za nim zębata linia horyzontu na Manhattanie, jeden z najpiękniejszych widoków świata. Cieszył się, że żyje. Nie było dla niego rzeczy niemożliwych.

Kiedy Dawn zaczęła pod nim dygotać i pojękiwać, pojawiły się pierwsze promienie słońca.

Kiedy Andrew kończył rozpoczęte sprawy w Kongu, a Sebastien szykował się do wyjazdu do Panamy, Ivan obmyślił już, w jaki sposób zdobędzie dwadzieścia milionów dolarów. Najpierw jednak musiał się pożegnać ze swoim kochankiem, Hadleyem. A jakie miasto lepiej nadaje się na takie pożegnania niż Paryż wiosną?

## ROZDZIAŁ 14

*Żadna rzecz nie przysparza księciu takiego szacunku, co wielkie przedsięwzięcia i dawanie niepospolitego przykładu.*

Niccoló Machiavelli *Księżę*

### **Kwiecień. Paryż**

Po co człowiek żyje? Po to, żeby osiągać wyznaczone cele. Machiavelli pisał, że: „Ludzie w różny sposób zdążają do celu, jaki każdy ma przed sobą, to jest do sławy i bogactwa, jeden oględnie, inny gwałtownie, jeden przemocą, inny podstępem, jeden cierpliwie, inny niecierpliwie - a każdy tymi różnymi sposobami może tam dojść”.

Ivan popatrzył na siedzącego po drugiej stronie stołu Hadleya. Znajdowali się w jednej z paryskich restauracji.

- Chyba się ze mną zgodzisz?

- Chyba tak - odparł Hadley, nie mając zielonego pojęcia, o co Ivanowi chodzi. Cieszył się jednak, że jego przyjaciel jest taki odprężony i zadowolony z siebie. To, co ich łączyło, bardziej przypominało związek mistrza z uczniem niż uczucie, jakie żywią wobec siebie kochankowie. Hadley nie był głupi, ale zdawał sobie sprawę, że Ivanowi do pięć nie dorasta. Nie miał tak przenikliwego, analitycznego umysłu, brakowało mu opanowania i precyzji w myśleniu. Cieszył się jednak, że jest z Ivanem, i kochał go nawet bez wzajemności. Bo wiedział, że Ivan potrafi kochać tylko idee, nie ludzi.

- To, czy osiągniesz cel, zależy od obranej przez ciebie drogi - mówił dalej Ivan. - Środki determinują cel, jestem o tym przekonany. - Oczy mu błysnęły, gdy poklepał Jamesa po ręce. - Widzę, że mnie nie słuchasz, Jamesie. Porozmawiajmy zatem o tobie.

- Jestem po prostu zmęczony - odrzekł Hadley z uśmiechem.

- Jak leci w biurze?

- Fatalnie. - Hadley przywołał gestem kelnera i zamówił jeszcze jedną butelkę Château Laffitte. - Mamy kryzys wojskowy w Indiach i pogarszającą się sytuację w Kongu, jesteśmy urobieni po łokcie. Żałuję, że w ogóle się w to pchałem. Chętnie bym się z tobą zamienił.

- Nie sądzę, Jamesie. Za bardzo byś się wyróżniał.

- Dlaczego tak uważasz? - zaoponował Hadley, nie licząc specjalnie na odpowiedź. Ivan potrafił być taki zagadkowy. Hadley wiedział o nim tylko tyle, że należy do Akademii.

Mimo łączącego ich związku Ivan nigdy nie zdradził mu żadnych szczegółów na jej temat, nie szeptął ani słóweczka o jej sekretach. Na dobrą sprawą Hadley nie wiedział nawet, dlaczego spotkali się teraz akurat w Paryżu, i to w takiej tajemnicy.

- Kto wie? - odpowiedział pytaniem Ivan. - Byłbym zapomniał: nikomu nie mówiłeś, że wyjeżdżasz do Paryża, prawda?

- Nie - odparł znużonym tonem Hadley. - Prosiłeś mnie o to, więc nikt o niczym nie wie, nawet koledzy z pracy. O co ci chodzi, Ivanie?

Ivan się zamyślił. Ten jeden raz uchyli przed Jamesem rąbka tajemnicy, odsłoni przed nim część świata, w którym żyje. Złamał nienaruszalną zasadę. Oczywiście nie powie mu wszystkiego - tylko odrobinę, ot tak, żeby trochę poszerzyć mu horyzonty. Odłożył widelec.

Hadley nie odrywał od niego wzroku i nagle ogarnęło go podniecenie: Ivan zaraz powie mu coś ważnego. Przestał jeść.

- Przypuśćmy, tak teoretycznie, że masz w ciągu roku zarobić dwadzieścia milionów dolarów - zaczął spokojnie Ivan. - Jak byś się do tego zabrał?

Hadley wytrzeszczył oczy. Wydawało mu się, że jego ukochany żartuje, ale zaraz się zorientował, że Ivan jest śmiertelnie poważny. Zamyślił się. Ivan nalał wina do kieliszków.

- Czy można to zrobić nielegalnie?

- Oczywiście. Jak tylko chcesz.

- Można kogoś zabić, żeby je zdobyć?

- Tak, jeżeli taką filozofię życiową wyznajesz. Wszystkie chwytły dozwolone. Chociaż domyślałam się, że chciałbyś przeżyć i móc o tym opowiadać wnukom, prawda?

Tym razem Hadley zamyślił się na długo.

- Nie mam pojęcia - przyznał wreszcie. - Nie przychodzi mi do głowy żaden legalny sposób, żeby zarobić takie pieniądze. W dodatku w ciągu roku. A na bakier z prawem... Cóż, trudno byłoby zgarnąć dwadzieścia milionów, ująć z życiem i nie trafić do więzienia. Czemu mnie o to pytasz?

Ivan się uśmiechnął. Hadleyowi wcale się ten uśmiech nie podobał.

- Bo właśnie to muszę zrobić. A na mojej drodze stoją ludzie, którzy będą chcieli mnie powstrzymać.

Nagle Hadley poczuł strach, jakiego w życiu nie zaznał. Lęk wzbierał w nim jak mdłości, podchodząc mu do gardła. Bał się bardziej niż wówczas, gdy w pociągu napadła go banda pijaczków z nożami. Teraz bał się, że zginie w paskudny sposób: w zasikany zaułku, nocą, z ręki nieznanego zabójcy. Ohydna, anonimowa śmierć - najgorszy koszmar każdego agenta wywiadu.

Poczuł, że musi natychmiast pójść do toalety.

Przejrzał się w lustrze: wyglądał jak śmiertelnie przerażony, zgoniony królik. Jeszcze raz ochlapał sobie twarz zimną wodą. Bał się. Nudna robota w brytyjskich służbach specjalnych - zbieranie i przekładanie papierów o preferencjach seksualnych znanych polityków, pilnowanie, żeby nie molestowali małych chłopców i dziewczynek - to jedno. Ale posiadanie kochanka, który musi w rok zarobić dwadzieścia milionów dolarów, ryzykując przy tym życie - to coś zupełnie innego. Żałował, że zgłosił się do pracy w wywiadzie. Powinien był raczej posłuchać rady swojego nauczyciela historii: „Zostań mediewistą - mówił nauczyciel. - Może to i nudna praca, ale przynajmniej bezpieczna i niczym cię nie zaskoczy”.

- Mój Boże - jęknął Hadley.

Nie znalazłszy ręczników, osuszył twarz pod suszarką. Czuł się okropnie. Nie powinien był przyjeżdżać do Paryża. Te cholerne paryskie knajpy mają świetne jedzenie, ale beznadziejne kible. Wreszcie wrócił do Ivana, chociaż w brzuchu wciąż mu się przewracało. Nie powinien był pytać Ivana, co robi. Właśnie dlatego bał się teraz jak nigdy.

- Długo cię nie było - zauważył Ivan.

- Długo - zgodził się Hadley.

- Powiem ci, jak zamierzam tego dokonać - ciągnął Ivan, jak zawsze nieporuszony. - Kiedy człowiek ma się zmierzyć z pozornie niewykonalnym zadaniem, musi najpierw starannie ocenić atuty, którymi dysponuje. I nie wolno wpadać w panikę. - Posłał Hadleyowi znaczące spojrzenie. - Znam się na ekonomii i polityce, a specjalizuję się w Europie Wschodniej. Mam również, jeśli można tak powiedzieć, konkretną wiedzę na temat funkcjonowania rządów różnych państw.

Jesteś szpiegiem, pomyślał Hadley, ale zachował tę myśl dla siebie.

- Dwadzieścia milionów dolarów to mnóstwo forsy. Jedyne miejsce, w którym można jej tyle znaleźć, to bank. - Ivan napił się wina.

Hadley obserwował go bez słowa, coraz bardziej wystraszony. Okradanie banków - nie, to nie w jego stylu. Nie umiał nawet kraść cukierków ze szkolnego sklepiku.

- Kłopot w tym, że banki zwykle zazdrośnie strzegą swoich skarbców, więc musiałem wymyślić coś innego. To wcale nie takie trudne, jak mogłoby się wydawać.

- Naprawdę? - spytał niepewnie Hadley.

- Kluczem do mojej tajemnicy jest historia. - Ivan się uśmiechnął. - Podpowiem ci, Jamesie. Przypuśćmy, że Bank of England do niedawna przechowywał znaczną ilość złota, zdeponowanego przed wojną przez jedno ze wschodnioeuropejskich państw. Jaki to kraj?

- Polska? - Hadley z trudem przełknął ślinę.

- Nie. Pewnie znasz się na średniowieczu, ale chyba przydałby ci się krótki wykład z historii nowożytnej. Podczas II wojny światowej Niemcy najechały Albanię i ograżyły kraj z wielu skarbów, wśród których były znaczne ilości złota. Hitlerowcy ukryli złoto u siebie, w kopalni soli, planując wykorzystać je po wygranej wojnie. Kiedy zostali pokonani, alianci znaleźli złoto i przenieśli je do skarbcza Bank of England, by w przyszłości oddać je Albańczykom. Sprawy jednak nie potoczyły się po ich myśli: po wojnie władzę w Albanii przejęli wspierani przez Rosjan komuniści. Aliantom ani się śniło oddawać złoto wrogowi. Kiedy komunistyczny reżim upadł, Albanii oddano równowartość sztab złota w twardej walucie. W 1996 roku trzydzieści milionów dolarów amerykańskich wpłynęło na należące do albańskiego rządu konto w banku szwajcarskim. O ile mi wiadomo, pieniądze nie zmieniły miejsca pobytu. Na razie wszystko jasne?

- Nie...

- Krótko mówiąc: w pewnym banku w Szwajcarii na pewnym koncie znajduje się trzydzieści milionów dolarów.

Hadley skinął głową, chociaż wciąż zbierało mu się na wymioty. Ivan zamierzał obrabować szwajcarski bank?

- Świetnie. Przechodzimy do następnego ważnego punktu. Podczas wojny w Albanii, podobnie jak w wielu innych okupowanych krajach, zdarzali się kolaboranci i zdrajcy. Alianci nie znali ich tożsamości, ponieważ nie udało im się przed końcem wojny złamać szyfrów niemieckiego wywiadu. Kiedy zaś do władzy doszli komuniści, nikt nie miał ochoty pomagać wrogom z za żelaznej kurtyny. - Ivan się uśmiechnął. - Ale dziś, mając do dyspozycji nowoczesne komputery, możemy bez trudu złamać szyfry i dowiedzieć się, kto kolaborował z Niemcami. Rozumiesz? - Uniósł pytająco brwi.

Hadley nie był pewien, czy rozumie, ale skinął głową.

- Mamy trzydzieści milionów dolarów i garstkę dawnych zdrajców. Co z tego wynika?

- Jest coś, co łączy te dwie sprawy.

- Nie widzę związku. Poza tym, skąd masz takie informacje?

- To proste: pięć tygodni grzebałem się w aktach brytyjskiego wywiadu, szukając informacji o Albanii w czasie wojny. Przechowywane są w Whitehallu. Są w nich szczegółowe informacje o kolaborantach, ale większość danych jest nadal zaszyfrowanych.

- Za pomocą komputera złamałeś szyfry i poznałeś nazwiska?

- Bystry jesteś - stwierdził protekcyjnie Ivan. - Ludzie z centrali CIA w Langley byli tak mili, że zechcieli mi pomóc, chociaż nie mieli pojęcia, do czego zmierzam. To



niewiarygodne, z jaką szybkością dzisiejsze komputery znajdują interesujące nas odpowiedzi. Jaki jednak jest związek między nazwiskami zdrajców i złotem?

Czekał chwilę na odpowiedź, ale na próżno. Hadleyowi znów zrobiło się niedobrze.

Ivan westchnął ciężko: ależ tępak z tego Jamesa.

- Wyobraź sobie, Jamesie, że jesteś dziś w Albanii wielką szyczą i ktoś podsuwa ci listę zdrajców. Co byś zrobił?

- Dobił targu, pod warunkiem że te informacje mogłyby mi się do czegoś przydać.

- Doskonale. Szybko się uczysz. Zapaliłbyś się do tej sprawy jeszcze bardziej, gdybyś był człowiekiem wpływowym, a uzyskane informacje pozwoliłyby zadowolić twoje ambicje.

- Zgoda, ale kim jest ten człowiek i czego chce? I czego ty właściwie chcesz?

Ivan odął wargi.

- Doszliśmy do sedna sprawy, Jamesie. Naprawdę chcesz to wiedzieć? Hadley bez entuzjazmu pokiwał głową.

- Załóżmy więc, że ten człowiek chciałby zostać głową państwa albańskiego, a ja chciałbym zarobić dwadzieścia milionów dolarów. Co powinniśmy zrobić, żeby upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu?

Hadley zbladł jak ściana.

- No co? - wyszeptał.

- Zorganizować zamach stanu - wyjaśnił półgłosem Ivan.

Hadley popędził do toalety.

Wieczór dobiegał końca. Ivan był bardzo zadowolony. Tylko francuska kuchnia mogła wprowadzić go w taki stan - rozkosz dla podniebienia i dla żołądka. Skierował się niedbałym krokiem do wyjścia z restauracji. Hadley szedł za nim z nieszczęśliwą miną, trzymając się za brzuch. Ivan przystanął przy drzwiach.

- Jedzenie było wyśmienite - powiedział do kierownika sali. - *Mousse glacée à la framboise et au champagne* jest znakomite i wytworne. Prawdziwe arcydzieło.

Korpulentny Francuz uśmiechnął się zadowolony. To prawdziwa rozkosz mieć klientów, którzy znają się na jedzeniu. Ivan wyszedł.

- Miło było pana gościć, monsieur! - krzyknął za nim kierownik i odwrócił się do Hadleya.

- Jedzenie macie przyzwoite, ale w łazience przydałyby się ręczniki - stwierdził poirytowany Hadley, stając w progu. - Powinniście się wstydzić.

Uśmiech zastygł na twarzy Francuza.

- A pan nie powinien tak często zaglądać do toalety - odparł z godnością i wrócił do sali.

- Cieszę się, że ci smakowało - powiedział Ivan, kiedy wyszli na bulwar.

- Owszem, smakowało - przyznał Hadley. Nigdy dotąd nie miał takiej rewolucji w żołądku.

- Jak chcesz wracać do kraju?

- Samolotem.

- Odwołaj rezerwację. Pojedziesz pociągiem. Nikt nie powinien nas widzieć razem. Poza tym z oczywistych powodów lepiej byłoby, gdybyśmy się na razie nie spotykali, Jamesie. Żadnych kontaktów. Zapomnij o wszystkim, co ci dziś powiedziałem, i nikomu o mnie nie mów. Rozumiesz? Nie chcę, żeby ktoś mnie śledził.

Hadley poczuł bezgraniczną ulgę.

- To znaczy, że nie chcesz, żebym ci pomagał przy tym przewrocie?

- Oczywiście, że nie! - zaśmiał się Ivan. - Na samą myśl o tym zsikałbyś się w majtki.

Hadley ponuro skinął głową.

- Nie - powtórzył Ivan. - Sam się tym zajmę.

- Poinformujesz o wszystkim Anglików, prawda?

Ivan uśmiechnął się w odpowiedzi.

Hadley odetchnął z ulgą. Ivan znał osobiście szefową MI6, więc na pewno o wszystkim jej powie. Akademia nie będzie prowadzić tej sprawy na własną rękę. A on, Hadley, nie musiał nikogo wtajemniczać w plany Ivana.

Na dworcu zatrzymali się przy wejściu na peron.

- Długo cię nie będzie? - zapytał Hadley.

- Jakieś pół roku.

- Aha... - Hadley zgarbił się. Będzie się czuł samotny. Zawsze miał w Ivanie oparcie, choć nie do końca rozumiał, skąd bierze się to uczucie. Teraz już wiedział: z jego geniuszu. Dla Ivana nie było rzeczy niemożliwych. W szarym, ponurym świecie geniusz Ivana lśnił jak płomyk nadziei. - Będę tęsknił - powiedział.

- Naprawdę?

James rzeczywiście będzie tęsknił. Wzruszające, choć Ivan przyznał w duchu, że nie do końca rozumie to uczucie. Pożegnali się.

Wsiadając do pociągu, Hadley odprowadził wzrokiem Ivana, znikającego w tłumie na bulwarze, po czym znalazł swoje miejsce w przedziale pierwszej klasy. Zamówił drinka -

dużego, solidnego drinka. W głowie miał mętlik.

Kim był Ivan? Kim był naprawdę? Hadley nagle zdał sobie sprawę, że prawie go nie zna. Zaniepokoiło go to i zasmuciło zarazem. Czy naprawdę zamierzał przeprowadzić zamach stanu w Albanii? Skoro tak mówił... Hadley oczywiście nie piśnie ani słóweczka o tym jego pomysśle. Nikomu. Wystarczy, że sam o nim usłyszał; dość się najadł strachu. Co się właściwie działo z Akademią? Czyżby postanowiła wreszcie zaangażować się w politykę, zamiast tylko doradzać? Czy chodziło o pieniądze? Czy zależało jej na tym, by wprowadzić dyktaturę elit zamiast coraz powszechniejszej dyktatury plebsu?

Pokręcił głową. Dokąd zmierza ten świat? Niepewnym krokiem skierował się do toalety.

Po dłuższym czasie, kiedy za oknami migały podparyskie wsie i miasteczka, wrócił do przedziału i otworzył walizkę. Była pełna listów do Ivana.

- Do diabła! - mruknął pod nosem.

Tydzień wcześniej odebrał całą pocztę, czekającą na Ivana w jego starym londyńskim mieszkaniu. Chciał mu ją oddać, ale na śmierć o tym zapomniał, kiedy Ivan zamieszał mu w głowie. Zachował się jak idiota. W kontaktach z ludźmi, których się kocha, istotne są drobiazgi. A on nawet nie może teraz skontaktować się z Ivanem. Trudno, nic się nie stało.

Rozsiadł się wygodniej, chociaż lekki niepokój go nie opuszczał. Naprzeciwko niego siedział Murzyn z dreadami i słuchawkami na uszach. Hadley popatrywał na niego nerwowo. Miał nadzieję, że drań nie będzie próbował go napaść. Jak na jeden dzień wystarczy atrakcji.

Uśmiechnął się nieśmiało.

PJ z firmy Al Johnson Investigations odpowiedział mu szerokim, szczerym uśmiechem. Ten biały dupek o twarzy wypłoszonego królika doprowadził ich prosto do Ivana Radiča. Namierzili go, kiedy poszedł do domu Ivana odebrać pocztę. Od tej pory Al będzie miał Ivana na oku.

## ROZDZIAŁ 15

*Należy przyjąć za pewnik, że wszyscy ludzie są źli i że jeżeli trafi im się okazja, zawsze chętnie dają upust złu, które legnie się w ich umysłach.*

Niccoló Machiavelli *Rozważania*

### **Maj. Panama**

Panama, państwo w Ameryce Środkowej. Język urzędowy: hiszpański. Ludność: dwa i pół miliona. Waluta: dolar amerykański. Kanał Panamski łączy leżącą na wybrzeżu Oceanu Spokojnego stolicę, Panama City, z portem Colon nad Atlantykiem. Światowe centrum bankowe, ponad sto pięćdziesiąt banków. Dawniej w granicach Kolumbii. Niepodległa od 1903 roku. W 1989 roku z pomocą Amerykanów obalono juntę wojskową generała Manuela Noriegi. Atrakcje turystyczne: kanał, białe piaszczyste plaże, las tropikalny, wędkarstwo dalekomorskie, wyroby rękodzielnicze, przyjaźni mieszkańcy. Klimat: tropikalny, wilgotny. Trzy godziny lotu z Miami.

Tyle, jeśli chodzi o panamski ośrodek informacji turystycznej. Sebastien odłożył broszurę. Czas wracać do rzeczywistości. Wyjrzał przez okno. W dole ocean migotał w ostrym blasku słońca, na całym niebie nie było ani jednej chmurki. Kiedy samolot skręcił i skierował się nad kontynent, Sebastien ujrzał Panama City w całej okazałości. Rozciągnięta nad brzegiem półkolistej zatoki stolica Panamy mieniła się wieżowcami i hotelami, dochodzącymi niemal do samej wody. Przypominała Hongkong, mniej może olśniewający, ale i mniej zatłoczony. Miała też coś, co pociągało Sebastiena bardziej niż hotele, kasyna, piękne kobiety, fiesty i karnawały: jedno z największych centrów bankowości na świecie.

- Proszę zapiąć pasy. Podchodzimy do lądowania.

Kiedy wysiadł z samolotu, gorące powietrze jak obuchem uderzyło go po twarzy. Przy tej wilgotności powietrza zanim doszedł do budynku lotniska, już miał przepoconą koszulę. Ale czy to ważne? Po nijakiej pogodzie w wiosennym Nowym Jorku i nudnym kursie zarządzania jak dziecko cieszył się zmianą klimatu. Skierował się do wyjścia, żeby złapać

taksówkę do centrum. Ciekawe, jak Tanya zaaklimatyzowała się w Panamie. Kto wie, może nawet znalazła sobie jakiegoś latynoskiego kochasia. Miał nadzieję, że nie.

Zabiłby ją za to.

- Witamy w panamskim oddziale US Banku, panie Singleton.

Sebastien przywitał się z dyrektorem i usiadł. Znajdowali się w gabinecie, przyozdobionym amerykańskimi i panamskimi flagami.

Oboje z Tanya postanowili używać fałszywych nazwisk, by utrudnić konkurentom ich wyśledzenie. Fałszywy paszport i komplet dokumentów na nazwisko Singleton kosztowały fortunę.

Dyrektor banku był barczystym, czterdziestoletnim Amerykaninem o śniadej karnacji i oczach spaniela. Wyglądał na miłego faceta. Doug Sullivan spędził w Panamie już dziesięć lat i miał nadzieję, że pozostanie tu jeszcze drugie tyle. Podobała mu się cicha, spokojna atmosfera miasta, której nie zakłócał przepływ pieniędzy, idący w miliardy dolarów rocznie. Ludzie w Panamie byli z natury skryci i dyskretni. Bardzo mu się to podobało.

- Słyszeliśmy o panu wiele dobrego od naszych szefów z Nowego Jorku. Podobno znakomicie wypadł pan podczas szkolenia.

Sebastien wzruszył lekceważąco ramionami.

Doug pstryknął przełącznikiem interkomu i poprosił sekretarkę o podanie drinków. Czekając na jej przybycie, podprowadził Sebastiena do okna. Przed nimi roztaczał się widok na Zatokę Panamską. Ocean lśnił w rozpalonym powietrzu, które niemal przez okrągły rok tworzyło nad miastem lekką mgiełkę. Sebastien omiótł wzrokiem całą scenerię, aż do pobliskiej ulicy i otaczającego ich skalnego ogródka z wielką marmurową płytą z nazwą banku. Banku, który nadawał się znakomicie do realizacji jego planu.

Sekretarka podała drinki i dyrektor zaproponował, żeby usiedli. Miał lekki kalifornijski akcent.

- Spodoba ci się tu, Sebastienie. Panama to piękny kraj, prawdziwa ziemia obiecana. Jest tu wszystko, co człowiek mógłby sobie wymarzyć: słońce, wyspy z palmami, ludzie, którzy umieją się bawić... Poza tym nie ma problemów politycznych ani wojska. Czegóż chcesz więcej? - Doug łyknął tequili. - Fakty przedstawiają się następująco. Panama jest małym państwkiem, które niezłe sobie radzi na arenie światowej. Słynie przede wszystkim z rozbudowanego systemu bankowego. Dlatego też i my znaleźliśmy się tutaj. Na całej półkuli zachodniej jest tylko kilka podobnie wielkich centrów finansowych. Przepływają tędy niemal wszystkie pieniądze z Ameryki Łacińskiej do Stanów i Europy, w szczególności do Nowego Jorku i Londynu. Cały system jest bardzo skomplikowany, sterowany komputerowo. - Doug

odchrząknął. - Pewnie jesteś ciekaw, dlaczego banki skupiły się w Panamie, a nie na przykład w Meksyku czy Wenezueli?

Sebastien dawno sam znalazł odpowiedź na to pytanie, ale nie przerywał dyrektorowi.

- W tym kraju są niskie podatki, a Kanał Panamski to ważny szlak handlowy. Poza tym wszyscy tu umieją dochować tajemnicy. Nikt nie zadaje pytań i nikt nie oczekuje odpowiedzi. Jeżeli ludzie chcą tu lokować swoje fundusze, proszę bardzo: chętnie je przyjmujemy. Nie interesuje nas jednak, skąd je biorą, chociaż wolelibyśmy nie ułatwiać handlu narkotykami ani prania pieniędzy.

Dyrektor zawiesił głos, dając Sebastienowi czas na przetrawienie tych informacji.

- Co do naszego banku... - rzekł po chwili, podając gościowi garść wydrukowanych na kredowym papierze broszurek - wielkość centrali mówi chyba sama za siebie. Traktujemy Panamę bardzo poważnie. Jesteśmy tu od lat pięćdziesiątych XX wieku i należymy do czołówki banków amerykańskich. Banki inwestycyjne oceniają nas bardzo wysoko, a my staramy się nie stracić tej pozycji. Dlatego zawsze działamy zgodnie z przepisami, proszę o tym pamiętać. Będziemy cię przenosić z jednego działu do drugiego, Sebastienie, tak że sam się zorientujesz, jak funkcjonuje bank: akredytywa, transakcje dewizowe, weksle i tak dalej. Od czego chciałbyś zacząć?

- Może od wkładów terminowych?

- To dobry pomysł. Idź, rozejrzyj się. Nasi ludzie pomogą ci. Spotkamy się jutro w biurze. Spodoba ci się w Panamie, Sebastienie. Tak jak nam wszystkim.

Doug Sullivan uśmiechnął się. Nie chciał przeciągać tej rozmowy - po południu miał umówioną partyjkę golfa.

Sebastien wyszedł z gmachu. Słońce świeciło oślepiająco, ale postanowił się przespacerować. W tej dzielnicy pełno było centrów handlowych, gdzie tłumy pięknych kobiet kupowały najmodniejsze sukienki. W pretensjonalnych butikach nie brakowało najnowszych kreacji z Francji i Włoch, a specjalistyczne sklepy spożywcze oferowały wszelkie wyobrażalne smakołyki. I ile wspaniałych samochodów: czarne cadillaki, zgrabne jaguary, BMW w kolorach owocowych gum do żucia, lśniące maserati. Panama City przypominało Miami, chociaż chyba nie potrzebowało tylu policjantów. Czuło się przez skórę, że ludzie są tu zamożni i naprawdę cieszą się życiem. Sebastien wciągnął głęboko do płuc gorące, wilgotne powietrze. Spodoba mu się w Panamie.

Między innymi dlatego, że to właśnie tu zamierzał zarobić dwadzieścia milionów dolarów.

W Akademii Mistrz właśnie zakończył spotkanie z prezydentem Francji i wrócił do swoich apartamentów. Odłożył dokumenty na biurko i wyjrzał przez okno. Kwitły wiśnie, cały ogród zielenił się i ożywał po zimie. Tego widoku zawsze byłoby mu żal. Zadzwoił telefon.

- Jack Caldwell chciałby z panem mówić - poinformował Symes.

Mistrz poprosił o przełączenie rozmowy. Słuchając Caldwell, patrzył, jak samotny, wygłodniały kruk przysiadł na gałęzi wiśni. Mistrz zadał swemu rozmówcy kilka pytań, a na zakończenie usłyszał:

- Paszport na nazwisko Sebastiena Singletona wydano niecałe dwa miesiące temu. Jego posiadacz niedawno opuścił Stany Zjednoczone.

- Gdzie teraz przebywa?

- W Panamie.

- A Tanya?

- Również.

- Proszę informować mnie na bieżąco.

Mistrz odłożył słuchawkę. Nie mógł już skupić się na kuku - chociaż może to i dobrze. Kruk w średniowieczu oznaczał śmierć. Ktoś miał umrzeć, i to w nieodległej przyszłości. Co do tego nie było cienia wątpliwości.

- Któraś z dziewczyn pokaże ci resztę banku, ale po dziale wkładów terminowych oprowadzę cię osobiście.

- Dziękuję - powiedział Sebastien.

- Nie ma za co - odparł z dumą Ted Baxter, dla którego departament wkładów terminowych był jak ukochane dziecko. - Tu zaczynasz, Sebastienie, ważne jest więc, żebyś wszystko dobrze zrozumiał.

Sebastien patrzył, jak Ted wsuwa swoją kartę magnetyczną do czytnika systemu bezpieczeństwa. Potężne stalowe drzwi szczęknęły i otworzyły się. Weszli do środka. W sali znajdowało się kilka stanowisk - każde złożone z biurka i szafki na kartotekę - przy których młodziutkie dziewczyny zajmowały się odbieraniem i realizacją zleceń klientów. Wszystkie podniosły wzrok znad dokumentów, zaciekawione pojawieniem się nowego pracownika. Sebastien na krok nie odstępował Teda. Baxter miał ponad dwa metry wzrostu i za młodu musiał się prezentować fantastycznie, ale teraz, w wieku pięćdziesięciu pięciu lat, był już sterany życiem. Przerzedzone siwe włosy, obwisłe policzki i czerwony nos alkoholika sygnalizowały, że niedługo dziewczyny całkiem przestaną się nim interesować, a główne

miejsce w jego życiu zajmą karetki pogotowia. Zgodnie z wymogami US Banku nosił anonimowy czarny garnitur. Jedyne przejawy indywidualności w jego stroju stanowiły paskudne, różowe szelki.

- Tu jest twój pokój. - Ted wskazał klitkę z biurkiem, zdjęciem Kanału Panamskiego na ścianie i paroma kaktusami w doniczkach. - A to moje biuro - dodał z dumą, pokazując znacznie większe pomieszczenie, gustownie urządzone, z mapą Panamy i oprawnymi w ramki certyfikatami na ścianach.

W kącie Sebastien zauważył małą kanapę. Ciekawe, czy Ted rozmyśla tu na leżąco, czy też kazał ją wstawić do gabinetu, żeby ulżyć w pracy sekretarkom. Z rozczarowaniem odnotował brak barku. Najwidoczniej Baxter zwykł popijać gdzie indziej.

- Proszę państwa! - Ted zaklaskał w dłonie, chcąc zwrócić na siebie uwagę wszystkich, po czym przedstawił Sebastiena kilkunastu pracownikom działu. Powiedział parę zdań, a potem wrócili do jego biura. - Sam się przekonasz, że wkłady terminowe to prosta sprawa. Na kursie pewnie wszystko wam wyjaśnili, prawda? No więc... - Ted zawiesił głos, próbując przypomnieć sobie podstawy działalności firmy. - Klienci otwierają u nas lokaty terminowe na określony czas. Zarówno waluta rachunku, jak i okres oszczędzania mogą być dowolne, chociaż najczęściej przyjmujemy dolary amerykańskie na trzy do sześciu miesięcy. Jak zakłada się taki rachunek? Klient przesyła nam list z dyspozycją jego otwarcia, a nasze dziewczyny - Ted szerokim gestem ogarnął salę - sprawdzają podpis z kartą wzorów. Potem wprowadzają zlecenie do komputera. Kiedy termin wkładu upływa, wypłacamy klientowi całą sumę wraz z odsetkami. I już, to w skrócie wszystko. - Zwrócił uwagę, że jego wyjaśnienia nie wywarły na Sebastienie wielkiego wrażenia. Dzisiejsza młodzież robiła się coraz bardziej przemądrzała.

Sebastien skinął głową.

- Ile w tej chwili wynosi łączna wartość wkładów?

- Około miliarda dolarów.

Sebastien zerknął na przechodzącą obok sekretarkę w króciutkiej spódniczce. Nie miała stanika, co uznał za bardzo rozsądne posunięcie z jej strony. W takim klimacie na stanik było stanowczo za gorąco. Na figi zresztą też. Pełny luz. Gwizdnął cicho z podziwu.

- Spora sumka. A co z wkładami certyfikowanymi?

- Ooo, widzę, że znasz się na rzeczy. Chodź, porozmawiamy u mnie w gabinecie.

Ted rozsiadł się wygodnie w miękkim fotelu i oparł nogi na biurku.

- Mechanizm obsługi wkładów z certyfikatem, Sebastienie, jest prawie identyczny jak zwykłych wkładów terminowych. Z jedną drobną różnicą: tylko ja i dyrektor wiemy, kto jest



dysponentem wkładu. - Ted zniżył głos, jakby zamierzał właśnie zdradzić Sebastienowi jakiś sekret. - Widzisz, są ludzie, którym szczególnie zależy na zachowaniu prywatności: bogaci faceci, którzy wolą nie spowiadać się żonom, ile wydają na kochanki, ważni politycy, firmy, które nie chcą się chwalić wielkością inwestycji... Różnie to bywa. - Ted mrugnął porozumiewawczo. - Oczywiście my w US Banku musimy bardzo uważać, żeby nie wspierać niewłaściwych ludzi.

- A jak to sprawdzić?

- Kiedy nowy klient zgłasza się do nas z prośbą o otwarcie takiego rachunku, ja albo dyrektor spotykamy się z nim osobiście i robimy mały wywiad na jego temat. Jeżeli wszystko gra, klient podpisuje formularz otwarcia wkładu, opatrzony jego osobistym numerem. Rejestr tych formularzy trzymamy w sejfie, na co dzień operując tylko i wyłącznie numerem. Dzięki temu klient ma u nas lokatę, ale poza mną i dyrektorem nikt nie zna jego tożsamości.

- Co ma zrobić, jeżeli chce pobrać albo przenieść pieniądze?

- To proste. Wysyła mi list, w którym nie podaje numeru certyfikatu, tylko wydaje polecenie, co zrobić z pieniędzmi. Porównuję podpis pod listem z podpisem na oryginalnym formularzu otwarcia rachunku. Jeżeli się zgadzają, wykonujemy zlecenie klienta.

- Rozumiem... - powiedział z namysłem Sebastien, jakby z trudem przychodziło mu zrozumienie tej sprawy. - Pozwól, że zabawię się przez chwilę w adwokata diabła. Założmy, że jesteś oszustem, Ted. Mógłbyś podrobić podpis klienta i wydać zlecenie w jego imieniu, prawda?

Ted się nachmurzył. Pomysł Sebastiena wcale nie przypadł mu do gustu.

- No... nie. Dyrektor również sprawdza podpis, tak że obaj musielibyśmy być nieuczciwi. Poza tym klient szybko by się zorientował, że pieniądze zniknęły z rachunku bez jego wiedzy. - Ted zachichotał. - Nasz system jest dobrze zabezpieczony. Klient nie chce, żeby ludzie wiedzieli o jego pieniądzach, ale przede wszystkim chce je mieć!

- To oczywiste.

- Chodź, pójdziemy teraz do działu wypłat, na górę. - Ted nie miał już wiele czasu, jeżeli chciał zdążyć na lunch, polegający na picciu ulubionych trunków. - Tam zobaczysz, jak wygląda transfer pieniędzy między bankami. Klienci, wycofując pieniądze, często wydają dyspozycję przelewu.

Wchodząc bez pośpiechu na piętro, rozmawiali o golfie, którego Ted był wielkim miłośnikiem. Sądząc po kolorze jego nosa, Sebastien przypuszczał jednak, że niechętnie opuszcza on budynek klubu golfowego.

Weszli za kolejne stalowe drzwi. Ted wyjaśnił, że ze względów bezpieczeństwa tylko

dwie osoby w banku mają wstęp do wszystkich działów: on i dyrektor.

- To znaczy, że ja mogę wejść tylko do działu wkładów terminowych? - upewnił się Sebastien.

- Tak, przynajmniej na razie. Kogo my tu mamy? - Ted rozpromienił się na widok dziewcząt z działu wypłat. - To jest Carole, szefowa działu. To Maria, a to... - Czyżby zapomniał, jak ta dziewczyna się nazywa? Niemożliwe! Była przecież taka ładna.

- To jest Tanya, Ted - podsunęła mu Carole. - Pracuje u nas dopiero od kilku tygodni.

- Ach, naturalnie... Witaj, Tanyu. - Ted przestępował z nogi na nogę jak nastolatek na pierwszej randce, który myśli tylko o dwóch rzeczach: pryszczach i seksie. - Tanyu, to jest Sebastien.

Sebastien spojrział na swoją kochankę i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Cześć, Tanya.

Wieczorem Sebastien wsiadł do wynajętego samochodu i pojechał z Panama City do Starego Miasta, położonego osiem kilometrów dalej. W 1671 roku zostało złupione przez walijskiego korsarza Henry'ego Morgana i nigdy nie odbudowano go z ruin. Pozostała po nim dzwonnica starego kościoła i kupa kruszącego się kamienia. Morgan nie znalazł srebra, na którym tak mu zależało. Plotka głosiła, że jest warte miliony. Sebastien pomyślał, że może kiedyś warto wrócić tu po nie, chociaż chyba nie będzie mu potrzebne. Przecież Mistrz nie musi się martwić o pieniądze, Akademia potrafi o to zadbać.

Nieopodal ruin, przycupnięta w bocznej uliczce, znajdowała się jedna z licznych w Panamie restauracji, specjalizujących się w owocach morza, mało znana i rzadko odwiedzana. Neonowy szyld przechylił się lekko, żółta farba płätami obłaziła z fasady. Lokal miał nie najlepszą klientelę, ale znajdował się na uboczu i nie zwracał na siebie uwagi. Dla potrzeb Sebastiena był idealny.

Wszedł do środka.

- Cześć.

- Cześć.

Tanya była mocno opalona, włosy miała miękkie i połyskliwe od słońca. W weekendy pewnie wylegiwała się na plaży. Ciekawe w czyim towarzystwie. Sebastien poczuł się zazdrosny. On musiał się w tym czasie męczyć w nowojorskich biurach, poznając nudną jak flaki z olejem księgowość bankową. No, przynajmniej teraz wszystko miało się zmienić. Znajomość księgowości bardzo mu się przyda.

- Jak było w Nowym Jorku?

- W porządku - odparł Sebastien. - Ale stęskniłem się za tobą. - Przykrył ręką dłoń Tanyi. Nie widzieli się ponad miesiąc, ograniczając wszelkie kontakty do minimum. Ani Andrew, ani Ivan nie mogli się dowiedzieć, gdzie są.

- Stęskniłeś się? - Oczy Tanyi błysnęły. - W Nowym Jorku? Jakoś ci nie wierzę. Spróbuj innej sztuczki. - Cofnęła dłoń i wzięła ze stolika kartę dań. - Ja nie traciłam czasu - ciągnęła, chcąc mu się odgryźć. - Znalazłam sobie miejscowego chłopca. Ma ciało Apolla i siłę muła. Razem zwiedzaliśmy okolicę. I nie tylko. - Przez chwilę patrzyła, jak Sebastien ze złości mruży oczy, a potem wybuchnęła śmiechem. Był taki zazdrosny o nią, a zupełnie nie przejmował się dochowaniem jej wierności. Typowy mężczyzna. - Żartowałam.

- Jak ci się podoba w banku? - Sebastien łyknął miejscowego piwa Balboa.

- Niczego sobie praca.

Chwilę jeszcze rozmawiali o drobiazgach, aż w końcu Tanya przerwała mu, podnosząc dłoń.

- Czas, żebyśmy zaczęli koordynować nasze plany, Sebastienie. - Ściszyła głos. - Zaczęłam rozpracowywać ich system transferu pieniędzy. Będę potrzebowała sporo czasu, więcej, niż sądziłam, żeby złamać szyfry. Są piekielnie skomplikowane. Ale na pewno uda nam się przelać pieniądze tak, żeby nas nie wykryli.

- Zdążysz przed końcem roku?

- Mam nadzieję. Pozostaje nam jeszcze zdobycie pieniędzy, a tym ty się miałeś zająć.

- Tanya się zamyśliła. - Dlaczego wybrałaś Panamę? Myślałam raczej o Brazylii czy Meksyku. Też mają mniej skomplikowany system komputerowy niż Stany czy państwa europejskie.

- Jeżeli mamy zdobyć pieniądze, musimy zacząć od Panamy - odparł z uśmiechem Sebastien. - Wszystko przygotowałam.

- Naprawdę? - Tanya odgarnęła włosy z czoła. - No to słucham, spryciarzu.

- A co dostanę w zamian?

- To zależy od tego, jakie wrażenie na mnie zrobisz. - Tanya oblizała wargi. - Jak zarobimy te pieniądze, Sebastienie? Twój pomysł ma coś wspólnego z handlem narkotykami, prawda? - Zaczynała się bać.

Jej zdenerwowanie nie uszło uwagi Sebastiena.

- Owszem - przyznał krótko. - Ale to nie jest tak, jak myślisz. Nie wystarczy prosty handel prochami. Powiem ci wszystko przy kolacji. Jak twój hiszpański, robisz postępy?

- I to spore. W każdej chwili mogę ci powiedzieć, żebyś się ode mnie odpieprzył.

- Ale tego nie zrobisz, prawda?

- Jeszcze nie wiem.

W jej głosie zabrzmiała nuta goryczy. Tanya wiedziała o Sebastienie i jego zachowaniu więcej, niż mógłby podejrzewać, ale nie była jeszcze gotowa, żeby go rzucić.

Przy kolacji, złożonej z miejscowych ryb i wina, Sebastien przedstawił Tanyi swój plan zdobycia dwudziestu milionów dolarów.

Handel narkotykami był jednym z najprężniejszych działów światowej gospodarki, rocznie przynosił około trzystu miliardów dolarów zysku. Ci, którzy nim sterowali, zarabiali krocie. Wysoko postawiony narkobaron mógł sam zgarnąć ponad miliard w ciągu roku, a zarobki zajmujących niższe szczeble hierarchii pośredników szły w setki milionów. Przejrzawszy jednak dostępną w harwardzkiej bibliotece dokumentację handlu narkotykami, Sebastien doszedł do wniosku, że w samą dystrybucję nie ma sensu się angażować. Wiązałoby się to z ogromnym ryzykiem i stosunkowo niewielkimi zarobkami. Poza tym szeregowi dealerzy regularnie ginęli z ręki własnych szefów, gdy stawali się zbyt znani lub ktoś odkrył szlak przemytu towaru. Sebastien zainteresował się więc zyskami, które trafiały do rąk baronów.

Olbrzymie sumy pieniędzy sprawiały im kłopot. Chcąc ukryć fakt, że pochodzą z nielegalnego źródła, musieli je prać, i to szybko. Do tego potrzebowali współpracy ze strony międzynarodowych banków, które przepuszczały pieniądze przez swój system. Wymagało to wielkiej ostrożności, gdyż policja i wywiad wielu państw starały się śledzić przepływ narkotykowych funduszy, by w dogodnym momencie je przejąć. Dlatego też narkobaronowie umieszczali w bankach swoich zaufanych ludzi, którzy manipulowali płatnościami i dokonywali przelewów. A o zaufanych ludzi było coraz trudniej. Nawet pieniądze z narkotyków nie zawsze mogły zapewnić ich lojalność.

- Chcesz wykorzystać US Bank do prania narkotykowych zysków? - Tanya nie ukrywała swojego przerażenia. - Nie jestem na to przygotowana.

- Zaczekaj, zbyt pośpiesznie wyciągasz wnioski. Najpierw ci wyjaśnię, jak dziś odbywa się pranie pieniędzy. Znam się trochę na tym, bo kiedyś na zlecenie Akademii współpracowałem w podobnej sprawie z Interpolem. A właśnie, byłbym zapomniiał: masz wstęp na wszystkie piętra US Banku?

- Nie. Personel nie może opuszczać swojego działu. Tylko kierownictwo ma dostęp wszędzie.

- Tak, to jest pewien problem. - Sebastien zabrał się do deseru: lodów ananasowych. - Pranie pieniędzy to prosta sprawa. Przypuśćmy, że brudne pieniądze trafiają do banku w Panamie. Chcąc je wyprać, narkobaron przelewa je na rachunek otwarty w innym banku, w

innym kraju, na przykład w Szwajcarii. Nie dochodzi do fizycznego transferu gotówki. Wszystko odbywa się w drodze transakcji elektronicznej, tak że w Szwajcarii są to już zupełnie inne pieniądze, niż były tutaj, w Panamie... Jak to się robi? Jeżeli banki znajdują się w różnych krajach, przelew jest realizowany za pośrednictwem jednego z wielkich centrów finansowych. Banki panamski i szwajcarski muszą mieć konta w centrali jednego z wielkich banków w Londynie, Tokio albo Nowym Jorku. Załóżmy, że narkobaron zleca przelew miliona dolarów z Panamy do Szwajcarii. Jego panamski bank prosi centralę w Nowym Jorku, żeby przeniosła milion dolarów z jego konta na konto wskazanego banku szwajcarskiego. Następnie bank szwajcarski odpisuje milion dolarów ze swojego rachunku i dopisuje go do rachunku barona. Wszystko odbywa się szybko i sprawnie, czysta elektronika. Po prostu dopisuje się odpowiednie sumy po stronie „winien” i „ma”. Prawdziwa magia polega na tym, że gotówka, którą nasz baron podejmie teraz w Szwajcarii, to zupełnie inne dolary niż te, które zdeponował na koncie w Panamie. Są czyste jak łza i nic ich nie łączy z panamskimi. Zostały wyprane. W ciągu jednego dnia brudne pieniądze z narkotyków zmieniają się w powszechnie szanowane fundusze, przechowywane w powszechnie szanowanym banku. - Sebastien wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Po co stosować detergenty, skoro wystarczy ci bank? Pierze lepiej od najlepszych proszków.

- Ale dlaczego wybrałeś Panamę?

- Powody są trzy - odparł Sebastien i zaczął odliczać na palcach.

Przede wszystkim Panama ma pecha, że znajduje się blisko krajów, które produkują znaczne ilości narkotyków: Kolumbii i Boliwii. Dlatego też panamski system bankowy jest chętnie wykorzystywany przez handlarzy do prania pieniędzy. Po drugie: największe ośrodki finansowe - czyli Londyn, Tokio i Nowy Jork - są pod stałą kontrolą rządów i służb specjalnych. W Panamie nadzór ten nie daje się tak bardzo we znaki, chociaż trwają prace nad uszczelnieniem systemu. Po trzecie: szanse, że Andrew lub Ivan ich wyśledzą, wzrosłyby znacznie, gdyby próbowali przekreću w Stanach lub w Europie. Gdyby zaś trafili na ich trop, mogli ich wsypać i tym samym wyeliminować z gry.

- Nie zamierzam spędzić reszty życia za kratkami - mówił dalej Sebastien. - Dlatego właśnie Panama idealnie nadaje się do naszych celów. Poza tym jest tu ciepło i mają niezłe piwo.

- No dobrze, rozumiem. Widzę, że znasz się na tym. Ja załatwię przelew. Tylko że wciąż mi nie powiedziałeś, skąd zamierzasz wytrzasnąć te pieniądze. Dobrze wiesz, że nie chcę być zamieszana w handel narkotykami.

- I świetnie cię rozumiem. Pora chyba, żeby ci wyjaśnił ideę wkładów

certyfikowanych. Będą kluczem do naszego sukcesu. - Sebastien dopił piwo, pochylił się nad stolikiem i odgarnął Tanyi włosy opadające na czoło. - Ale zanim do tego dojdę, jest jeszcze jedna sprawa, której powinniśmy poświęcić nieco uwagi. Sprawa nagła i ciekawsza niż zarabianie pieniędzy.

- Co masz na myśli? - spytała kokieteryjnie Tanya, dostrzegając znajomy błysk w jego oku.

- Seks. Chodźmy do ciebie.

- Dobrze.

Musiała przyznać, że i jej ta myśl nie dawała spokoju. Pewnie przez ten upał.

Nie zawracała sobie głowy włączaniem światła, tylko zaciągnęła Sebastiena do sypialni i zaczęła go w pośpiechu rozbierać. Poczula na piersiach muśnięcie jedwabiu, gdy zsunięta z ramion koszulka opadła miękko na dywan. Stała naga w świetle księżyca i poprowadziła Sebastiena do łóżka. Znów byli razem.

Zaczęli się kochać - z początku powoli, spokojnie, gdy po długiej przerwie przyzwyczajala się do jego obecności, a potem coraz gwałtowniej, kiedy oboje dali się ponieść emocjom. Kiedy Sebastien wyczerpany osunął się na poduszkę, Tanya zaczęła wszystko od początku. Chciała go wykorzystać, wessać w siebie, połączyć się z nim na stałe. Wiedziała, że mimo wszystko kocha go i pragnie. Czy on też ją kochał? Tego nigdy nie umiała powiedzieć.

Wreszcie i ona wyciągnęła się wygodnie i wtuliła mu głowę pod ramię. Plan prania pieniędzy był gotowy, przynajmniej teoretycznie. Teraz musieli tylko znaleźć kogoś, kto da im w prezencie dwadzieścia milionów dolarów.

Pozostała jeszcze pewna sprawa: Tanya nie mogła zapominać, że tylko jedno z nich może zwyciężyć w konkursie. Czy kochała Sebastiena bardziej niż Akademię? Na to pytanie również będzie musiała sobie odpowiedzieć. Wiedziała, co doradziłby jej Ivan: miłość i żądza władzy to kiepskie połączenie. Na razie jednak miała jeszcze kilka asów w rękawie. Ciekawe, gdzie podziewali się Ivan i Andrew? Czy wiedzieli o Panamie?

Kiedy oboje zasnęli, przy drzwiach sypialni coś zaszleściło i rozległ się cichy tupot. Tanya poruszyła się niespokojnie. Kroki się zbliżyły. Poczula, jak łóżko ugina się pod ciężarem niespodziewanego gościa. Nagle przypomniała sobie górski domek w Szwajcarii, gdzie szarpała się w więzach, oszalała ze strachu. Usiadła na łóżku, wytrzeszczając oczy i łapiąc gwałtownie powietrze, gdy wtem usłyszała ciche mruczenie. Ciepłe, miękkie ciało przytuliło się do jej uda.

- Gemma, moje maleństwo.

Upłynęło sporo czasu, zanim zasnęła.

Pozostali konkurenci też spali: Ivan w Paryżu, Andrew w samolocie. Słońce przeświecało przez zasłonki, gdy odrzutowiec mknął nad Afryką w stronę Londynu. Andrew spał smacznie; nie miał już w Kongu nic więcej do zrobienia. Jego telefon satelitarny spoczywał w luku bagażowym.

Sebastien, Tanya, Ivan, Andrew. Wszyscy spali. I wszyscy śnili o jednym: o zwycięstwie.

## ROZDZIAŁ 16

*Mędrzec pomaga wszystkim, nie przypisując sobie zasług. Osiąga cel, ale nie chęłpi się tym. Nie chce szczycić się swą mądrością i umiejętnościami.*

Lao-Cy

### **Maj. Akademia**

Symesa obudziło natrętne dzwonienie telefonu. Spojrzał na zegarek: była bardzo wczesna pora. Wstał i przeszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie znajdował się olbrzymi elektroniczny ekran. Ktoś łączył się z Akademią za pomocą telefonu satelitarnego z samego środka Afryki. Symes nie bardzo wiedział, co powinien zrobić. Bardzo niechętnie przełączył rozmowę do sypialni Mistrza, chociaż widział, jaki jest on zmęczony ostatnio. Ale sprawa mogła być pilna.

- Mistrzu.

Rozespany Mistrz usiadł na łóżku.

- Ktoś dzwoni z telefonu satelitarnego. Z Konga.

- Kto?

- Nie wiem. - W głosie Symesa brzmiało wyraźne zdziwienie. - Zwykle tego telefonu używa Andrew Brandon, ale to na pewno nie on, tylko jakieś przestraszone dziecko. Nie mam pojęcia, dlaczego Brandon dał mu telefon, i nie wiem, jak dzieciak połączył się z Akademią.

Może wcisnął guzik połączenia domyślnego.

Mistrz zerknął na zegarek: spał trzy godziny.

- Wracaj do łóżka, Symes. Przełącz go do mnie.

Zszedł na parter, do gabinetu, i pstryknął przełącznikiem. Część ściany cofnęła się, odsłaniając komputerową mapę świata. Wcisnął inny guzik: na ekranie pojawiła się mapa Konga w dużym powiększeniu. Zrobił zbliżenie, co pozwoliło mu z dokładnością kilkuset metrów namierzyć źródło sygnału. Jeszcze jeden przycisk i uzyskał połączenie.

- Słucham.

W słuchawce słyszał tylko szum i trzaski zakłóceń, a potem rozległ się krzyk dziecka i odległy huk ostrzału raketowego.

- Słucham - powtórzył Mistrz. - Kto mówi?

Minęło kilka minut, zanim dźwięki bitwy ucichły. Pozostał tylko płacz dziecka.

- Obedi - rozległ się wreszcie szept.

- Co się stało, Obedi? - zapytał Mistrz.

Odpowiedziała mu cisza - bolesna, pełna cierpienia cisza. Mistrz przeszedł na francuski, potem na suahili, starając się porozumieć z dzieckiem. Obedi odpowiedział mu w suahili. Mówił chaotycznie, niepewnie. Wybuchy bomb rozbrzmiewały coraz bliżej. Często trzaski i huk zagłuszały kompletnie głos chłopca, kiedy nad jego głową przelatywał samolot, szykując się do zrzucenia śmiertelnie niebezpiecznego ładunku.

Obedi, szlochając, opowiedział Mistrzowi, jak rebelianci przypuścili po południu atak i zniszczyli jego szkołę. Siostra Obediego leżała martwa obok niego. Wciąż ścisnął jej zimną, zakrwawioną dłoń. Mistrz, słuchając, przyglądał się mapie. Rebelianci naruszyli warunki zawieszenia broni, niedawno wynegocjowane z rządem Konga. Osobiście uczestniczył w tych rozmowach. Uderzyli zniemacka i maszerowali już na Kinszasę. W kraju wybuchła wojna domowa, która życie milionów ludzi mogła zmienić w koszmar. Obedi mówił i mówił. Nie chciał umierać, ale nie było nikogo, kto mógłby go uratować.

- Pomóż mi, proszę.

Mistrz odwrócił się od ekranu i wyjrzał przez okno. Tyle cierpienia, tylu potrzebujących... I jeden stary człowiek, który musiał to wszystko ogarnąć.

- Przyjadę po ciebie - powiedział.

Chwilę później w telefonie rozległ się ogłuszający grzmot: bomba wybuchła dokładnie nad szkolną salką, w której ukrywał się chłopiec. Pewnie nawet nie słyszał ostatnich słów. Mistrz wciąż miał wzrok utkwiony w ciemność za oknem. Gdzie był teraz Andrew?

Wcisnął przycisk.



- Symes? Muszę natychmiast lecieć do Konga.

- Ma pan jutro cały dzień zajęty. Przylatuje premier Kanady, a poza tym czeka pana kilkanaście pilnych telefonów.

- Wiem o tym, Symes - odparł Mistrz. - Jednak muszę tam lecieć. W Kongu wybuchła wojna domowa. Połącz mnie z sekretarzem generalnym ONZ.

Godzinę później pierwsze wieści o wojnie w Kongu trafiły do mediów. Andrew usłyszał o niej o szóstej rano, ledwie wysiadł z samolotu na Heathrow. Pobiegł do kas, ale we wszystkich liniach lotniczych słyszał tę samą odpowiedź: loty do Konga zawieszono, rebelianci zajęli międzynarodowe lotniska, a kontrola lotów nie odpowiadała na wezwania.

Andrew przeszedł do poczekalni, odebrał bagaż i wyjął telefon. Zaczął dzwonić w różne miejsca. Wiadomości telewizyjne były skąpe i ograniczały się do ogólnych informacji o rzezi na niespotykaną dotąd skalę. Wreszcie okreśną drogą połączył się z posterunkiem wojsk ONZ w Kinszasie. Po dłuższej chwili udało mu się przebić do oficera łącznikowego, Paula Hanlona. W tle rozlegały się rozpaczliwe okrzyki ludzi, którzy za wszelką cenę chcieli się znaleźć w ostatnim konwoju opuszczającym kraj.

- Andrew! - zawołał Paul. - Mamy tu totalny bałagan! Rząd uciekł z Kinszasy, buntownicy są pięćdziesiąt kilometrów od miasta. Będą tu za niecałą godzinę! Przenosimy się na wybrzeże. ONZ przyśle samoloty, więc może przed wieczorem uda nam się stąd wyrwać. Nie ma prądu, uszkodzone są prawie wszystkie linie telefoniczne. - Hanlon wykrzyknął jakiś rozkaz, a potem mówił z coraz większym pośpiechem: - To krwawa jatka: rebelianci mordują wszystkich i wszystko, ludzi i zwierzęta.

- Widziałem dziś rano wiadomości.

- Gdzie jesteś?

- W Europie. Właśnie wybierałem się na Daleki Wschód.

- Zrób to, Andrew. Nie wracaj tu. Samoloty nie latają. Zresztą na nic byś się tu nie przydał. Ludzie Umbote przyszli z Kanangi i zajęli całe południe. Wyrznęli wszystkich w pień. Atakowali nawet szpitale. Ani ty, ani nikt inny teraz nie pomoże. Sytuacja wymknęła się spod kontroli.

- Co z dziećmiakami? Co z Obedim i jego siostrą? Nie mogę się z nim połączyć, chociaż ma mój telefon satelitarny.

Hanlon umilkł i Andrew znał już odpowiedź na swoje pytanie. Zawiódł ich oboje.

- Strasznie mi przykro, Andrew. Sierociniec w Kikwit został zmieciony z powierzchni ziemi. Jeden z naszych ludzi przejeżdżał tamtędy dziś rano. Nie słyszeliśmy, żeby ktoś

przeżył. - Hanlon się zawahał. Co więcej mógł powiedzieć? - Dzwonił od czasu do czasu, to będę cię na bieżąco informował. Naprawdę jest mi przykro. Muszę lecieć.

Andrew wyłączył telefon. Łzy napłynęły mu do oczu. Przez ten konkurs zginęło dwoje ludzi, których może zdołałby uratować. Ich śmierć obciążała jego sumienie - ich dwojga i wielu wielu innych. Gdyby został w Kongu, może zdołałby powstrzymać wybuch wojny, albo przynajmniej zmniejszyć rozmiary rzezi. Tymczasem porzucił ich na pastwę losu, kierując się żądzą władzy.

Z zaciętą miną zebrał bagaże i wyszedł z lotniska. Nie było już dla niego odwrotu. Pozostało mu tylko wygrać konkurs.

Bez względu na koszty.

Jedną z niewielu ocalałych budowli w Kinszasie był stadion piłkarski. Christian Umbote, dowódca buntowników, postanowił go zachować w nienaruszonym stanie z sentymentu: dawno temu, jako dziecko, oglądał na nim mecz weteranów Manchesteru United z miejscowymi chłopakami. Stadion ocalał dzięki romantycznym wspomnieniom szaleńca, co na dobrą sprawę było całkiem zrozumiałe w tym obłąkanym kraju.

Teraz Umbote czuł się jak kapitan drużyny. Zebrani na konferencji przywódcy krajów mrużyli oczy w blasku reflektorów, siedząc pod olbrzymim baldachimem na środku boiska. Tego samego dnia, nieco wcześniej, z całego świata zlecieli się fotografowie wszystkich agencji prasowych świata. Pstrykali niezmiernie w gorącym słońcu. Kiedy skończą, na scenę wkroczą reporterzy, a później komentatorzy. Media na swój sposób przedstawią prawdę. Chociaż w ostatecznym rozrachunku prawda będzie najmniej istotna.

- Czy można prosić o jeszcze jeden uśmiech, panowie?

Christian Umbote starał się zachować pogodny wyraz twarzy przy podpisywaniu nowej ugody. Omal nie złamał zagranicznego długopisu, stawiając swój znaczek pod dokumentem. Obok niego siedział korpulentny prezydent Konga. Podali sobie ręce i uśmiechnęli się szeroko, jak drapieżne wilki. Prezydent również starał się nad sobą panować. Pamiętał, żeby odłożyć szal ze skóry lamparta. Ktoś mu powiedział, że źle by się prezentował w oczach Europejczyków i Amerykanów, którzy bardzo się angażowali w ochronę zagrożonych gatunków zwierząt. Zabijanie ludzi nikogo tak nie raziło, bo ludzi było znacznie, znacznie więcej. Nie byli gatunkiem zagrożonym.

- Uśmiech, proszę!

Obaj dostojnicy uśmiechnęli się z wdziękiem modeli reklamujących gabinet dentystyczny. Aparaty pomrukiwały, trzaskały i bzyczały cicho. Uśmiechy lepiej od słów

wyrażały to, co chcieli przekazać światu. Prezydent i Umbote potrzebowali wielkich pieniędzy od rządów państw zachodnich, żeby odbudować zrujnowany kraj i zaspokoić prywatne potrzeby - niekoniecznie w tej właśnie kolejności. To oczywiste, że mogli dojść do porozumienia, pod warunkiem że każdy dostanie solidny kawałek tortu.

- Uśmiech!

Christian Umbote uśmiechnął się jeszcze raz i rozejrzał po stadionie. Cieszył go widok sekretarza generalnego ONZ. Będzie miał kapitalne zdjęcie, którym pochwali się żonom i tym dzieciom z nieprawego łóża, które przeżyły. A gdzie się podział ten drugi facet? Taki bystry, który wszystko poukładał? Nie chciał znaleźć się na zdjęciu? Nie chciał być sławny?! Co za dureń z niego - przecież gdyby trafił na pierwsze strony gazet, zaszedłby naprawdę daleko. Christian znał się na rzeczy: popularność, nieważne, jak zdobyta, była zawsze pożądana. Nawet jeśli musiał zabić milion ludzi, żeby ją zyskać.

Sto kilometrów od Kinszasy, w prowizorycznym szpitalu, pielęgniarka prowadziła przyjezdnego mężczyznę korytarzem o poharatanych kulami ścianach. Podziwiała jego odwagę. Musiał być naprawdę dzielny, żeby zapuścić się tak daleko w głąb kraju. Nikt nie pilnował porządku, nikt nie panował nad sytuacją. Przybysz jednak najwyraźniej nie bał się.

- Przywieźli go dwa dni temu - wyjaśniła. - Jego siostra nie żyje. Nie mamy tu warunków, by przywrócić mu wzrok. Przyjechał z Kikwit. Nie wiemy nawet, ile życia mu zostało.

Mężczyzna usiadł przy łóżku i wziął chłopca za rękę. Oszołomiony środkami przeciwbólowymi Obedi poruszył się niespokojnie. Drugą dłoń zaciskał kurczowo na telefonie. Długo, długo milczał, aż wreszcie odezwał się w suahili:

- Czy to ty jesteś człowiekiem z telefonu?

- Tak, to ja.

- Przyjechałeś, żeby mnie stąd zabrać?

- Tak - przytaknął Mistrz.

Obedi się uspokoił. Człowiek z telefonu przyjechał po niego. Nie zawiódł go.

Trzy tygodnie później, po kilku operacjach Obedi ponownie ocknął się ze snu. Wiedział, że nie znajduje się już w Kongu, chociaż nie miał pojęcia, dokąd trafił. Czuł słodki zapach środków odkażających i miękki dotyk pościeli. Przesunął dłonią po prześcieradle; twarz, oczy i większą część ciała miał jeszcze obandażowane. W jego pokoju panowała cisza, tylko gdzieś z daleka słyszał dźwięki: czyjś głos, trzaśnięcie drzwi...

- Jak się dziś czujesz?

Obedi lubił słuchać, jak pielęgniarka do niego mówi. Wyobrażał sobie, że wygląda jak anioł. Siostra mówiła mu, że anioły naprawdę istnieją, choć nigdy żadnego nie widziała. Od kilku dni słyszał głos pielęgniarki: rozlegał się rano, kiedy przychodziła go nakarmić, a potem jeszcze dwa razy w ciągu dnia. Nie zdawał sobie sprawy z upływu czasu, dużo spał. Musiał odzyskać siły po tym, jak z jego ciała usunięto liczne odłamki bomby. Wiedział, że znalazł się o krok od śmierci, bo we śnie zobaczył siostrę, ale powiedziała, że jego czas jeszcze nie nadszedł.

Pielęgniarka usiadła na krześle przy łóżku i powiedziała do niego powoli po angielsku:

- Masz gościa, Obedi. Bardzo ważnego gościa.

Poprawiła pościel i wyszła. Obedi czekał. Z trybuny przed Washington General Hospital prezydent Davison wygłaszał właśnie mowę o nowym programie opieki zdrowotnej i systemie nagród dla wyróżniających się szpitali. Gdy umilkły oklaski, prezydent wszedł do środka, żeby zamienić dwa zdania z lekarzami, zanim uda się na następne spotkanie.

Obedi nic o tym nie wiedział. Westchnął i obrócił się na drugi bok. Bolało go całe ciało, a także głowa, ponieważ cały czas myślał o siostrze, chociaż bardzo się starał tego nie robić. Przypominał sobie, jak rzeziła, umierając, i jak zaciskała dłoń na jego dłoni. Wiedział, że zrobiłaby wszystko, by go nie opuszczać. Obiecała to rodzicom, ale Bóg nie pozwolił jej dotrzymać obietnicy. Dziwny był ten miłosierny Bóg.

Drzwi się otworzyły.

- A to właśnie jest młodzieniec, którego przywieźli z Konga, panie prezydencie.

- Dziękuję panu.

Prezydent Davison wszedł do pokoju, zamknął drzwi i usiadł przy Obedim. Byli całkiem sami, co trochę zdziwiło Obediego. Ojciec zawsze mu mówił, że ważni ludzie mają wielką świętę, żeby wszyscy widzieli, jacy są ważni. A może ten tutaj był taki strasznie ważny, że nikogo już nie potrzebował? Tak jak człowiek z telefonu? Obedi poczuł dreszcz emocji.

- Cześć, Obedi. Przyszedłem się z tobą zobaczyć. - Głos brzmiał zdecydowanie i stanowczo.

Obediemu zrobiło się ciepło na jego dźwięk. Mężczyzna wziął go za rękę i ścisnął.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że wszystko będzie w porządku. Na razie zostaniesz w Stanach Zjednoczonych. - Prezydent mówił bardzo wolno, żeby Obedi mógł go zrozumieć.

- Widzisz, Obedi, jest coś, co nas łączy.

Obedi obrócił lekko głowę. Co mogło łączyć na wpół ślepego sierotę, który w dodatku ledwie mówił po angielsku, z takim ważnym człowiekiem?

- Kiedyś miałem wielki kłopot i ktoś mi pomógł. Wiem, że i tobie pomógł, a to

oznacza, że mamy ze sobą coś wspólnego. To dobrze. - Prezydent zawiesił głos. - Poprosił mnie, żebym się tobą zajął. Zrobię to.

Davison spojrział na niewidome afrykańskie dziecko. Przyszły mu na myśl jego córeczki. Pomyślał o tym, jak by się czuł, gdyby spotkało je coś podobnego.

- Wszystko będzie dobrze, Obedi. Cierpliwości.

Davison poklepał chłopca po ramieniu i wyszedł. Obedi nie odezwał się. Jednak ten człowiek chciał mu pomóc. Bardzo wpływowy człowiek. Najpotężniejszy na świecie, jak powiedziała mu później pielęgniarka.

A wszystko dzięki człowiekowi z telefonu.

## ROZDZIAŁ 17

*Ten, kto chce, by wróg z własnej woli stanął do walki, podsuwa mu łakomy kąsek.*

Sun-Cy *Sztuka wojowania*

### **Czerwiec. Panama**

- Co z naszym planem?

Siedzieli na podłodze w wielkim mieszkaniu Sebastiena w eleganckiej dzielnicy Panama City. Tanya przyjechała odwiedzić go nocą, w najgłębszej tajemnicy. Nikt nie mógł się dowiedzieć, co ich łączy. Teraz pocałowała go, ale nie zwrócił na to uwagi.

- Mamy problem.

- Jaki? - zaniepokoiła się Tanya. - Poradzimy sobie?

- Nie jestem pewien... - Sebastien zmarszczył brwi. - Właściwie mamy dwa małe problemy, które razem tworzą jeden duży. Być może będziemy musieli zmienić plany.

Tanya upiła łyk tequili.

- Albo sobie odpuścić, tak? - spytała zdenerwowana. Już czerwiec, minęło prawie pół roku od rozpoczęcia gry. Pierwszy raz widziała, żeby Sebastien był taki bezradny. I taki zły.

Wbił wzrok w sufit: tak idiotyczny komentarz nie zasługiwał na odpowiedź. Odpuścić

sobie Akademię? Prędej piekło zamarnie.

- Będziemy kontynuować realizację planu - powiedział. - Dokonamy w nim tylko paru zmian. Wydostanie z banku dwudziestu milionów dolarów jest bardziej skomplikowane, niż sądziłem.

- Dlaczego?

- To teraz nieistotne.

- Powiedz mi, Sebastienie. Może będę mogła ci pomóc. Daruj sobie tę dumę, jeżeli mamy pracować razem.

Wreszcie dał się namówić i wyjaśnił, że pieniądze trzeba będzie ściągnąć z rachunku certyfikowanego, ponieważ dane ich właścicieli znali tylko Ted Baxter, szef departamentu wkładów terminowych, oraz dyrektor oddziału panamskiego. Dzięki temu mniejsze było prawdopodobieństwo, że ktoś niepowołany zorientuje się w sytuacji. W dodatku na kontach z certyfikatem zwykle przechowywano znacznie większe pieniądze niż na zwykłych rachunkach. Tu jednak zaczynały się schody. Na miejscu okazało się, że US Bank stosuje znacznie doskonalsze analizy zabezpieczenia, niż wynikało to ze wstępnej analizy.

- Szczegółowe informacje o posiadaczach rachunków certyfikowanych są przechowywane w sejfie, do którego szyfr zna tylko dyrektor. Ted nie chciał mi nawet powiedzieć, gdzie jest ten sejf. Dlatego nie znam tożsamości żadnego z właścicieli wkładów certyfikowanych. Nie ma też szansy, żeby udało się nam włamać do sejfu. Jest pewnie kilka systemów alarmowych.

- A drugi problem? - spytała Tanya, głaszcząc go po włosach. Cieszyła się, że są w Panamie razem. Nudziła się bez niego.

- Kiedy przychodzi zlecenie przelewu lub wypłaty z rachunku certyfikowanego, Ted i dyrektor porównują podpis z wzorem podpisu na wniosku, który składa się w banku przy otwieraniu konta. Któregoś wieczoru Ted podpisał sobie zdrowo i zdradził mi, że w wypadku choćby najmniejszych wątpliwości proszą klienta o potwierdzenie dyspozycji. Dlatego sfalszowanie takiego listu byłoby zbyt ryzykowne.

- Mam tylko jeden pomysł - stwierdziła Tanya po długim namyśle.

- Jaki?

- Skoro nie możemy dorwać się do rachunku ani podrobić listu ze zleceniem, musimy osobiście otworzyć takie konto.

Sebastien przez chwilę przyglądał się jej z niedowierzaniem, a potem przyciągnął ją do siebie i pocałował.

- Bystra z ciebie dziewczynka - przyznał. - Też na to wpadłem, chociaż zajęło mi to

więcej czasu. Muszę załatwić bankowi nowego, bogatego klienta. Tylko wtedy zdołam uzyskać dostęp do rachunku certyfikowanego. Bo potem system się uszczelnia i jest nie do ruszenia. Natychmiast biorę się do roboty. - Sebastien wyciągnął się wygodnie na podłodze. - A ty?

- Idzie mi całkiem dobrze. Pracując w dziale wypłat, dowiedziałam się już, jak przesyła się polecenia wypłaty do sieci międzybankowej. Znam też ponad połowę szyfru, którym się posługują. Szyfrem opatruje się zlecenie, żeby bank-odbiorca wiedział, że jest autentyczne.

- Jak to: znasz ponad połowę szyfru?

- Widzisz, taki szyfr składa się z dwóch części. Jedną z nich generuję komputerowo, kiedy z banku wysyłamy zlecenie wypłaty. Tym się właśnie zajmuję i wiem na ten temat wszystko. Drugi fragment szyfru generuje komputer Carole, mojej przełożonej. Używa się go do potwierdzenia transakcji. Nie ma szans, żeby Carole zdradziła mi swoją tajemnicę.

- No to co zrobimy?

- Złamiemy szyfr.

- A ile to potrwa, na miłość boską?!

- Wcale nie tak długo.

- Chyba żartujesz - zachnął się Sebastien. - To ci zajmie całe wieki.

Tanya się roześmiała.

- Ej, Sebastienie! Zajmij się swoją działką, a moją zostaw mnie. Podłączyłam się już do dwóch superkomputerów klasy Cray: jednego w Stanach, drugiego w Niemczech. Korzystam z nich, kiedy nie są zbyt obciążone.

Sebastien spojrział na nią z podziwem.

- No, no... Teraz rozumiem, dlaczego zostałam Adeptką Akademii. Czy to oznacza, że jesteś w stanie włamać się do każdego komputera na świecie?

- Nie. - Tanya uśmiechnęła się słodko. - Ale mogę dowiedzieć się o ludziach znacznie więcej, niż ci się wydaje.

- I to mnie martwi - zaśmiał się Sebastien.

Tanya zaczęła już wyszukiwać informacje o pozostałych uczestnikach konkursu. Ostatnie tygodnie poświęciła na wyłowienie z sieci komputerowej szczegółów na temat życia Andrew Brandona. Natrafiła na dwie ciekawostki. Po obronie dyplomu na uniwersytecie Andrew pracował dla wojska: wchodził w skład euroamerykańskiej grupy śledczej, która nadzorowała handel bronią na świecie. Później zatrudnił się jako konsultant przy ONZ i w ten sposób odwiedził większość punktów zapalnych na naszym globie. Tanya domyślała się, że

Andrew stara się w imieniu Akademii monitorować działalność organizacji militarnych i wojsk najemnych. Z taką przeszłością nadawał się na zabójcę Rekxa.

Ale czy rzeczywiście go zabił? Tanya rozmawiała z nim zaledwie parę razy, ale zawsze wydawał się jej taki cichy, spokojny, prawie nieśmiały. Chociaż pozory oczywiście mogły mylić.

Teraz weźmie się do Ivana, a potem do Sebastiena. Patrzyła, jak jej ukochany bawi się z kotem. Czy nie zdradzi go w ten sposób? A gdyby odkryła jakiś mroczny sekret, który przed nią ukrył? Rzecz jasna, nie zamierzała wspominać Sebastienowi ani słowem o swoich poszukiwaniach. To miała być jej polisa ubezpieczeniowa. Obróciła się na bok i pocałowała Sebastiena. Pocałunek kochanka i zdrajcy wcale tak bardzo nie różnią się od siebie.

- Udało ci się przekonać Teda, żeby ci pomógł? - zapytała.

- Tak, Ted okazał się nad wyraz pomocny - uśmiechnął się Sebastien. - Poczekaj do jutra. Kto wie, co nam Pan Bóg ześle.

- Sebastien? To ty, Sebastienie? Mówi Doug Sullivan, dyrektor US Banku. Przepraszam, że zawracam ci w niedzielę głowę, ale chciałbym z tobą porozmawiać. Nie przeszkadzam?

Sebastien usiadł na łóżku i dał Tanyi znak, żeby była cicho.

- Nie, śmiało. Słucham.

- Mam złe wieści. - Sullivan się zawahał. - Ted jest w szpitalu. Ktoś biedaka napadł i poturbował, kiedy w nocy wracał z klubu golfowego.

- Kto to był?

- Och, nie mam pojęcia. Wiesz, jacy są ci panamscy gangsterzy. Mówi, że rzuciło się na niego czterech ludzi. Oberwał paskudnie w głowę, poza tym ciachnęli go nożem po nodze. Dam mu ze dwa tygodnie wolnego, żeby wrócił do zdrowia.

- Należy mu się co najmniej miesiąc urlopu - stwierdził Sebastien. - Trzeba czasu, żeby człowiek doszedł do siebie po czymś takim. Znałem kiedyś instruktora narciarstwa, któremu nie wyszedł skok na skoczni. Strasznie się poharatał; wiem, bo sam odwiozłem go do szpitala. Jeżeli miał szczęście, może dziś chodzi.

- No tak... miesiąc. - Sullivan taktownie przemilczał informację, że drugie tyle zajmie Tedowi leczenie w klinice odwykowej dla alkoholików. To nie powinno Sebastiena interesować.

- Biedny Ted. Bardzo mu współczuję - rzekł Sebastien, muskając palcem pierś swojej kochanki.



- Ja też. Ted był moją prawą ręką. Nie wiem, jak sobie bez niego poradzimy. W każdym razie jeśli idzie o dział wkładów terminowych, postanowiłem na razie mianować cię zastępcą Teda. To znaczy, że w kwestii wkładów certyfikowanych będziesz współpracował bezpośrednio ze mną. Dasz sobie radę? Oczywiście dostaniesz podwyżkę.

- No, nie wiem...

- Nie, nie, jestem pewien, że szybko się wciągniesz.

- Na pewno.

Sebastien odłożył słuchawkę. Stary, zacny Ted, jak zwykle skłonny do przesady. Czterech bandziorów? Guzik prawda. Przecież opłaconych było tylko dwóch.

- Co się stało? - zaciekała się Tanya.

- Nic takiego: Ted miał wypadek w klubie golfowym. Jak zwykle popił i przewrócił się o stołek w barze.

Tanya nie musiała znać szczegółów. Cmoknął ją w policzek.

Tydzień później Sebastien wszedł do najgorszej spelunki w dzielnicy czerwonych latarni w centrum Panama City. Wnętrze dudniło głębokimi rytmami rumby i salsy. Obłoki papierosowego dymu niemal całkowicie przesłaniały ludzi siedzących przy prostych, drewnianych stołach, zaśmieconych niedopałkami i poprzewracanymi butelkami po piwie. Klientela składała się głównie z zagranicznych marynarzy i miejscowego marginesu. Bezczelni pijaczkowie obmacywali kilkunastoletnie prostytutki, bełkocząc czule słówka. Słabiutkie żarówki w metalowych osłonach nie rozpraszały egipskich ciemności. Gdzieś w kącie migał rytmicznie stroboskopowy reflektor. Nie zwracając uwagi na zaciekawione spojrzenia, Sebastien zamówił podwójny rum i usiadł przy stoliku pod ścianą.

- Halo! To miejsce tylko dla stałych klientów!

Sebastien spojrzał na stojącego przed nim wykidajkę. Chłopak przeżył mięśnie pod obcisłą skórzaną kurtką.

- Ej, ty, do ciebie mówię, *amigo*. - Chłopak dźgnął wyprostowanym palcem powietrze, jakby dając do zrozumienia, że zaraz sięgnie po nóż.

- Czekam na Juana - odparł niewzruszony Sebastien, nie podnosząc wzroku znad drinka.

- Aha. - Gniewny grymas ustąpił miejsca niepewnemu uśmiechowi. - W porządku, w porządku - dodał wykidajło i poszedł szukać zaczepki gdzie indziej. Nie zamierzał zadzierać z Juanem. Miał dopiero dwadzieścia jeden lat i nie chciał tak młodo umierać.

- Mogę się przysiąc?

- Jasne - odparł Sebastien, przyglądając się młodej dziewczynie. Pewnie dopiero przed chwilą założyła pogniecioną, czerwoną sukienkę. Nie miała jeszcze dwudziestu lat, była chuda jak szczapa i chorobliwie blada. Sebastienowi zrobiło się jej żal: w takim miejscu dziewczyna nie wytrzyma dłużej niż rok: albo przedawkuje, albo palnie sobie w łeb z rozpaczu. Cóż, niektórzy byli skazani na klęskę. - Czego się napijesz?

- Poproszę o rum.

- Jak się nazywasz?

- Clarka.

- Jesteś stąd?

- Nie, z Kolumbii.

- Od dawna w Panamie?

- Prawie pięć miesięcy.

- Widzę, że masz towarzystwo - zabrzmiał chrapliwy głos.

Juan przysiadł się ciężko obok Sebastiena. Był postawnym mężczyzną pod czterdziestkę. Na skroni miał głęboką bliznę od noża. Bezustannie palił krótkie hawańskie cygara. Tak samo jak wykidajło nosił czarną skórzaną kurtkę, chociaż znacznie lepiej uszytą. Z szyi zwieszał mu się srebrny medalik z Matką Boską, na przegubie połyskiwał złoty rolex. Ucałował Sebastiena serdecznie w oba policzki i uśmiechnął się do Clarity. Miał ją już nieraz, przy różnych okazjach. Przechylił się nad stolikiem i złapał ją za pierś, jakby obmacywał owoce w kramie ulicznego sprzedawcy. Clarita skrzywiła się z obrzydzeniem i wstała.

- No i jak ci się podoba moja knajpa?

- Niczego sobie. Chociaż myślałem, że gustujesz w lepszych lokalach.

Juan się roześmiał.

- Pewno, że gustuję! Ale, widzisz, niedobrze jest, jak stale widzą człowieka w luksusowych hotelach. Nie wolno zapominać o swoich korzeniach.

Sebastien pokiwał głową: Juan nigdy się nie oderwał od korzeni. Padalec. Na razie nie miał wyjścia - musiał utrzymywać kontakty w półświatku. Spotykał handlarzy i przemytników; broń szła na Daleki Wschód, koka do Stanów, dziewczyny do Europy. Niestety, na razie trafiały mu się same płotki i wyglądało na to, że z Juanem będzie podobnie. Musiał uzbroić się w cierpliwość.

- Co tam u ciebie?

- Jakoś leci - odparł Sebastien. - Chociaż z kasą krucho. Jesteśmy przyjaciółmi, Juan. Nie pożyczylbyś mi jeszcze trochę forsy?

Juan zacmokał z niesmakiem, jak czuły wujek karcący dziecko. Ciekawe, ilu ludzi

zabił.

- Nie, Sebastienie. Nie mogę ci już więcej pożyczyć. W końcu to ty pracujesz w banku, nie ja. Poza tym wiesz mi trzy kawałki, a niewiele czasu ci zostało, żeby je oddać.

Sebastien wzruszył obojętnie ramionami.

- Zdobędę dla ciebie forszę.

Juan zaśmiał się serdecznie i zamówił drugą porcję rumu. Nie miał powodów do zmartwień, na pewno uda mu się odzyskać pieniądze. Zawsze mu się udawało. Trupy są wypłacalne. A Sebastien okazał się świetnym kompanem od kieliszka: nieszkodliwy, rozrzutny, miał słabą głowę... Zwierzyna w sam raz dla kogoś takiego jak Juan. Rekin już zaczął osaczać ofiarę.

Nie wiedział tylko, że poluje na podobnego sobie.

Noc ciągnęła się w nieskończoność. Nad ranem, kiedy obaj byli już dokumentnie zalani i Juan zaczął przysypiać nad baterią opróżnionych butelek, przypomniał sobie, co chciał powiedzieć Sebastienowi.

- Za tydzień jest impreza - wybelkotał. - Wielka impreza. - Rozłożył ręce, by podkreślić wagę swoich słów. - W Cali, mojej rodzinnej dzielnicy. To najlepsze miejsce na świecie i chcę, żebyś przyjechał, Sebastienie. I żebyś się bawił. Bo zabawa będzie świetna, przyjacielu, to ci obiecuję. Nigdzie w Ameryce nie ma takich kobiet jak w Cali. Palce lizać. Śliczne są jak kokosy. Otwierasz je i mleko płynie strumieniami.

- Nie mogę przyjechać. Mam już jedno zaproszenie.

- Ej, Sebastien! Nie zawieź mnie! - Juan złapał go za kołnierzyk koszuli. - Byłbym rozczarowany! - W jego głosie brzmiał żal i zarazem ukryta groźba.

- No dobrze, Juan, spróbuję. Wypijmy za tę twoją imprezę.

Sebastien odwrócił się i jego zmętniały od alkoholu wzrok padł na bar, przy którym wybuchła właśnie bójka. Jakiś potężnie zbudowany doker z siwiejącą brodą kłócił się z prostytutką o pieniądze. Trzymał ją teraz za gardło i powoli dusił. Dziewczyna walczyła rozpaczliwie, próbując dosięgnąć go paznokciami, ale trzymał ją na odległość wyciągniętej ręki i nic nie mogła mu zrobić. Zaciskał coraz mocniej palce. Klienci obserwowali tę scenę bez szczególnego zainteresowania. Był to widok codzienny, a oni nie zamierzali się mieszać do nie swoich spraw. W takim miejscu równie łatwo dostać drinka, jak i kosę pod zebro. Cierpienie było wpisane w losy ludzkości. Sebastien przyglądał się bijatyce.

- Przyniosę coś do picia - zaproponował. Wstał i chwiejnym krokiem podszedł do baru.

Rozpaczliwa szamotanina przyciągnęła uwagę klienteli, która zaczynała zdawać sobie

sprawę, że doker prawdopodobnie udusi prostytutkę. Sebastien rozpoznał w niej Claritę, młodą dziewczynę, która kilka godzin wcześniej przysiadła się do jego stolika. Odwrócił się do Juana, ale gangster drzemał oparty o stół. Sebastien wzruszył ramionami i jeszcze raz spojrzął na twarz ofiary: oczy wychodziły jej z orbit, a skóra zrobiła się nienaturalnie sina. Tak mogła wyglądać Tanya w jego domku w Szwajcarii.

Trudno, taki już jest ten świat. Nie mieszaj się w sprawy innych ludzi i nie zdziw się, że również tobie nikt nie pomoże.

- Piwo - powiedział.

Barman podał mu butelkę. Sebastien zważył ją w dłoni: za lekka.

- Nie, wezmę whisky.

Wziął butelkę i wydawało się, że odchodzi od baru, gdy nagle obrócił ją w rękach i złapał za szyjkę. Biorąc zamach zza głowy, wspiął się na palce i z całej siły wyrzucił dokera w potylicę. Tłumek klientów skwitował nieoczekiwany finał okrzykami zachwytu. Doker padł jak kłoda na podłogę. Głowę miał całą we krwi, alkoholu i kawałkach szkła. Śmierć poszła szukać łupu gdzie indziej.

Po chwili ciszy bywalcy baru wrócili do przerwanych rozmów, jak na komendę doznając zbiorowej amnezji. Nikt się już nie interesował leżącym dokorem. Sebastien wyminął go i poprosił o drugą butelkę whisky. Clarita patrzyła na niego z niedowierzaniem, trzymając się za szyję i kaszląc rozpaczliwie. Właśnie uratował jej życie.

Sebastien, nie patrząc na nią, odwrócił się i z trudem dobrnął do stolika. Bramkarze wynieśli dokera na dwór razem z pustymi butelkami.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zdziwił się Juan, choć zadanie tego pytania przyszło mu z najwyższym trudem.

- Włożył mi na nogę.

Juan z powagą pokiwał głową. Rozumiał Sebastiena. Rozsądny człowiek. On sam za mniejsze rzeczy zabijał ludzi.

W następną sobotę Juan wyszedł po Sebastiena na lotnisko w Bogocie, rozgarnął czekających ludzi, porwał go w ramiona i wycałował w oba policzki.

- Wiedziałem, że przyjedziesz, *amigo*. Ale się zabawimy!

Z lotniska pojechali wprost do Bogoty. Bocznyimi uliczkami dotarli do samego serca miasta molocha. Uwagę Sebastiena zwrócił mały ruch na ulicach, co ze względu na porę dnia - był wczesny wieczór - wydawało mu się szczególnie dziwne. Powód jednak okazał się prosty: za sprawą wojska, antyrządowej partyzantki i gangów Bogota stała się najbardziej

niebezpiecznym miastem na świecie. Sebastien napomknął o tym Juanowi, który tylko splunął ze złością przez okno.

- Tutejsi nie mają jaj. To same cioty i tchórze, więc chowają się po domach.

Ćmiąc cygaro, Juan przedstawił Sebastienowi całą swoją filozofię życiową. Przemoc rodzi szacunek. Przemoc można kupić albo sprzedać, a moralności nie. Na moralności się nie zarabia, czyli jest bezwartościowa. Wobec tego im chętniej stosujesz przemoc, tym więcej masz pieniędzy i tym większym szacunkiem się cieszysz. To oczywiste, *hombre*, każdy półgłówek to rozumie. Dlatego właśnie Juan dziwi się, że inni ludzie nie są tacy jak on. Muszą chyba być bezdennie głupi.

Sebastien skinął głową: istotnie, w takim świecie moralność nie dawała należytego oparcia.

Samochód z wariacką prędkością pokonał niezliczoną liczbę zakrętów i ciemnych zaułków - raz omal nie potracił zabląkanej staruszki - ale wreszcie zatrzymał się przed najlepszym hotelem w mieście. Juan wparował do środka niczym Freddie Mercury na przykościelny jarmark.

- *Chicas!* Bawimy się, *chicas!*

Urządzone bez cienia dobrego smaku, za to z nachalnym przepychem wewnątrz bardziej kojarzyło się z luksusowym burdelem niż z hotelem. Olbrzymie lustra w złożonych ramach, stoły z najlepszego włoskiego marmuru, kryształowe żyrandole, hiszpańskie obrazy o treści religijnej, kopie erotycznych mozaik z czasów rzymskich - wszystko pomieszane bez ładu i składu.

Juan złapał Sebastiena pod ramię i zaczął prowadzić go przez tłum. W restauracji na parterze tłoczyli się goście obojga płci, w różnym stadium upojenia alkoholowego, poprzebierani w stroje z epoki konkwistadorów. Juana powitały gromkie okrzyki zachwytu. Przywitał się ze wszystkimi, całując w policzki i poklepując gości. Przedstawiał ich przy tym Sebastienowi i wciągał do nosa jedną działkę kokainy za drugą. Komentarze wygłaszane *sotto voce* na użytek Sebastiena zdradzały, co naprawdę o nich myśli.

- Poznaj dona Manuela, Sebastienie. To jeden z największych dealerów w mieście. Jest bogaty, ograniczony i zupełnie porąbany.

- Sebastienie, pozwól, że przedstawię ci piękną donnę Carlę Lopez. Kurwa najgorszego rodzaju; osła by wypłoszyła. Nawet nie próbuj jej dotknąć.

- A teraz przywitaj się z moim starym, dobrym druhem, señorem Santiago Ceballosem. Skurwiel jest mi winien dwadzieścia tysięcy dolarów. Jeśli do poniedziałku nie zapłaci, zarżnę mu dzieci.

To była niezapomniana noc. Na dźwięk dzwoneczka ci spośród gości, którzy jeszcze trzymali się na nogach, udali się do sali jadalnej, gdzie czekały już na nich wszelkie możliwe do wyobrażenia smakołyki, podawane przez śliczne kelnerki. Przy każdej dokładce dziewczęta zdejmowały kolejną część i tak skąpego przyodziewku. Goście chętnie brali z nich przykład, tak że wkrótce kolacja zmieniła się w ogólną orgię. Impreza przypominała rzymskie bachanalia, z tą jednakże różnicą, że towarzystwo było bardziej międzynarodowe, a miejsce skowronich języczków zajęła biała, lepka substancja.

Juan zauważył, że spojrzenie Sebastiena spoczęło na jednej z atrakcyjnych kelnerek: dziewczyna smarowała sobie różowe sutki słodkim kremem.

- Daj sobie spokój - prychnął Juan. - Zaraz przywiozą nam dziewczyny z wiejskich szkólek.

Nad ranem Sebastien zostawił śpiącego na stole Juana i udał się do swojego pokoju, potykając się o ciała gości, nieruchome lub drgające niespokojnie. W godnym pałacu apartamencie znajdowało się olbrzymie łóżko z baldachimem, a na nim czekała młoda Indianka, całkiem naga i bardzo wystraszona.

- Lubisz tych ludzi? - zapytał Sebastien.

Spojrzała na niego wystraszona i pokręciła głową, zakrywając się wstydliwie dłonią.

- Ja też nie. Ubierz się.

Położył się obok niej, kiedy zasnęła. Planował następne posunięcie. Juan zaczynał go troszkę drażnić.

Jednym z gości, których Sebastien poznał na przyjęciu, był niejaki señor Gonzalez, krzepki mężczyzna po pięćdziesiątce, z pozoru nadzwyczaj uprzejmy i kulturalny. Zaprosił Sebastiena z Juanem, żeby następnego dnia odwiedzili go w hacjendzie. Wyjechali z Bogoty dopiero przed południem, kiedy Juan obudził się z narkotycznego snu. Sebastien prowadził.

Gdy tylko opuścili niegościnne zaułki, miejski moloch jak za sprawą czarodziejskiej różdżki ustąpił miejsca zielonym terenom rolnym. Dzień był ciepły, niebo bezchmurne, tak że Kolumbia przypominała Panamę. Sebastien, zadowolony z siebie jak każdy człowiek, który czuje, że zmierza do celu, obejrzał się przez ramię.

- Juan! Czy na drodze nie natrafimy na partyzantów?

- Nic się nie bój - wymruczał spod sombrero rozciągnięty na tylnym siedzeniu Juan. - Señor Gonzalez pilnuje tu porządku.

Mniej więcej godzinę później zjechali z głównej drogi, a jeszcze kawałek dalej boczny trakt przeszedł w wąską, asfaltową dróżkę wśród drzewek kawowych. Daleko przed nimi, na

skraju plantacji, mając wielki dwór, podobny do francuskiej rezydencji szlacheckiej. Odcinał się bielą od ciemnych gór. Kręcący się po plantacji jeźdźcy zatrzymywali się i odprowadzali samochód wzrokiem.

- To tu?

- Tak. - Otepiały Juan podniósł głowę. - To tutaj.

Przy bramie dworku strażnicy zrewidowali ich obu, a następnie wprowadzili przez obszerną sień do mieszczącego się na tyłach ogrodu. Zarówno sam budynek, jak i jego wystrój zdradzały dobry gust gospodarza, co Sebastien odnotował z pewnym zaskoczeniem. Ciekawe, kto zaprojektował ten dom.

Señor Gonzalez czekał na nich przy dużym basenie; jego dzieci baraszkowały w wodzie. Przywitał gości lekkim skinieniem głowy i wyciągnął się na leżaku. Sebastien wszedł do basenu i chwilę popływał w towarzystwie kruczowłosej małżonki Gonzaleza, a Juan od razu skręcił do barku w salonie, żeby podreperować nadwątlony intelekt.

Odbite od wody słońce lśniło oślepiająco. Sebastien sączył wolno wino, obserwując samotną chmurę na niebie. Gonzalez poruszył się na leżaku.

- Chcesz zobaczyć kawałek rancza?

Służący przyprowadzili dwa konie. Gonzalez z Sebastianem wskoczyli na siodła i gospodarz zaczął z dumą pokazywać gościowi swoje włości, niczym biznesmen, który osiągnąwszy wiek średni, postanowił wycofać się z interesów i bez pośpiechu cieszyć urokami życia. W przeciwieństwie do Juana jego szef znał wartość pieniądza i cenił elegancję, co zrobiło na Sebastianie bardzo pozytywne wrażenie. Gonzalez szybko się uczył. Tylko tatuaże na rękach nie dały się łatwo wywabić.

- Widzisz tę ziemię? Cała jest moja, aż do gór. Ojciec miał tu kawałek gruntu, ja go odziedziczyłem i rozszerzyłem posiadłość. Oprócz plantacji kawy mam spory kawał Palmiry.

- Gonzalez zapalił papierosa. Puścił wodze konia. - Juan mówił mi, że jesteś bankierem. To dobry zawód?

- Nie narzekam. Pracuję w US Banku.

- Tak? - Informacja ta nie zrobiła chyba na Gonzalezie specjalnego wrażenia. - Całe życie działałam w biznesie, tak jak ojciec. Mam farmę, ze współnikami importuję i eksportuję różne towary: cukier, części maszyn, papier, takie tam... Zwykle nieźle się na tym zarabia, ale - jak w każdej branży - są lata tłuste i chude. - Gonzalez skierował konia na wąską ścieżkę wśród kaktusów. - Myśleliśmy o tym, żeby poszerzyć zakres działalności, zdobyć rynek w Stanach, może w Europie. Przydałby nam się dobry bankier, a Juan twierdzi, że można ci zaufać.

- US Bank z przyjemnością udzieli panu kredytu, jeżeli ma pan zabezpieczenie. -  
Sebastien starał się nie zdradzać nadmiernego zainteresowania słowami gospodarza.

Señor Gonzalez chrząknął tylko. Wjechali w głąb plantacji.

- Nie chodzi nam o kredyty - odezwał się po chwili. - Chcielibyśmy móc wyprowadzić pieniądze z kraju i zainwestować gdzie indziej. Ale wiesz, jak to jest: kłopoty z wymianą, wścibscy celnicy, urzędnicy. Ten kraj schodzi na psy. Rząd najchętniej ściągnąłby ci ostatnią koszulę z grzbietu. Zależy mi na dyskrecji. Potrzebuję kogoś, kto nam pomoże, nie zadając zbędnych pytań.

Sebastien udał, że rozważa słowa Gonzalez z punktu widzenia bankowca.

- Może istotnie mógłbym panu pomóc - przyznał. - Pracuję w dziale wkładów certyfikowanych. To bardzo dyskretna forma współpracy z bankiem, ale interesują nas wyłącznie wysokie sumy. Koszty manipulacyjne są ogromne.

- Wyobrażam sobie. - Gonzalez splunął. - Banki zawsze zdzierają skórę z ludzi. - Podjechał bliżej i poufale szturchnął Sebastiena w ramię. - Wiem, co czujesz. Wszyscy mamy ten sam problem: za dużo się chce, za mało się ma. - Zaśmiał się chrapliwie. - Znam ten ból. Może byśmy tak sobie nawzajem pomogli?

Złowrogi błysk w jego oczach przywodził Sebastienowi na myśl płomień pochłaniający rozlaną płamę benzyny. Uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Może pan być spokojny, señor Gonzalez - zapewnił ze szczerością agenta nieruchomości, który sprzedaje własny dom. - Zajmę się pana pieniędzmi, jakby należały do mnie osobiście.

- No tak... - Gonzalez poklepał konia po szyi. - Chyba się rozumiemy. Co ja i moi współnicy mamy zrobić, żeby móc dokonywać regularnych transferów pieniędzy?

- Musicie panowie otworzyć w Panamie rachunek certyfikowany. Formalności sprowadzają się do kilku podpisów na odpowiednich formularzach. Kiedy zechcecie panowie dokonać przelewu do Stanów, Europy czy gdzie indziej, wystarczy przysłać zwykły list ze zleceniem. Tylko trzy osoby znają tożsamość posiadaczy wkładów certyfikowanych: dyrektor, jego zastępca i ja.

- Rozumiem. Będą chcieli wiedzieć, kim jestem, prawda?

- Naturalnie. Jeden z nich przyjedzie tu, by na miejscu zapoznać się z prowadzoną przez panów działalnością, ale nie powinno być z tym żadnych problemów. To się da załatwić.

- Nie życzę sobie żadnych komplikacji.

- Musimy również od razu otworzyć panom konto w Szwajcarii - ciągnął z uśmiechem



Sebastien. - Też certyfikowane. To również będzie łatwe: US Bank poprze pański wniosek, kiedy otworzy pan u nas rachunek.

Gonzalez powiódł wzrokiem po drzewkach kawowych.

- Ile chcesz prowizji?

- Sto tysięcy dolarów, płatne z góry. I pięćdziesiąt tysięcy za każdy przelew.

- To za dużo! - wykrzyknął z niesmakiem Gonzalez.

- Taka jest moja cena. Ryzykuję więcej od panów, señor Gonzalez. Poza tym muszę panom zaufać. Rzecz jasna, jeżeli nie stać panów na taki wydatek...

Gonzalez spiął konia ostrogami.

- Stać nas - warknął, porzucając pozory uprzejmości. - I zapłacimy, ale nie chcemy żadnych problemów. Jasne?

- Oczywiście.

Wrócili do rezydencji i przeszli nad basen. Gonzalez wskazał czarnowłosą dziewczynę, z którą Sebastien wcześniej pływał.

- Co o niej sądzisz?

- Ma pan uroczą żonę.

Señor Gonzalez zaniósł się śmiechem. Światło słońca rozbliżyło na złotych koronkach zębów.

- To nie moja żona, tylko kelnerka, na którą podobno gapileś się przez pół wieczoru. Juan mi powiedział. Miłej zabawy, przyjacielu. Wróc za tydzień z papierami. I radzę ci: nie zawieź mnie.

Gonzalez odprowadził wzrokiem Juana i Sebastiena, którzy w towarzystwie kelnerki wsiedli do dżipa. Pomyślał, że ma do czynienia z jeszcze jednym drobnym kanciarzem.

O zmierzchu wrócili do Cali i zostawili dziewczynę w hotelu. Juan spojrzał na Sebastiena.

- Señor Gonzalez prosił, żebyś mi w czymś pomógł - powiedział.

Zajechali na parking przy bocznej drodze. Stało na nim niewiele samochodów i Juan bez problemu znalazł wolne miejsce. Kazał Sebastienowi zająć miejsce za kierownicą, a sam wysiadł.

- Zaraz wracam - oznajmił, nie wyjmując cygara z ust. - Patrz w tamtą stronę i wypatruj skutera.

Sebastien czekał. Zapadał zmierzch i niewielu przechodniów kręciło się po ulicach.

Rzeczywiście, wkrótce ujrzał skuter, a na nim dwóch mężczyzn. Jechali wolniutko

przy krawężniku. Nagle przyspieszyli, jakby śledząc mężczyznę, który szedł chodnikiem. Sądząc po niechlujnym płaszczu, musiał być jakimś drobnym urzędnikiem, najprawdopodobniej kasjerem w banku albo agentem ubezpieczeniowym. Ot, jeden z wielu cichych, spokojnych ludzi, na którego w domu czekała żona i gromadka dzieci. Dobry człowiek, który w złym świecie starał się żyć godnie i uczciwie.

Kiedy przechodził przez jezdnię na wprost samochodu Sebastiena, skuter gwałtownie przyspieszył i siedzący z tyłu mężczyzna wyjął spod płaszcza podłużny, rurowaty przedmiot. Sebastien w nagłym olśnieniu zrozumiał, co się za chwilę wydarzy, i ta myśl go zmroziła. Błyskawicznie uchylił drzwi wozu, chcąc ostrzec przechodnia, ale już było za późno. Słyszając za sobą warkot motoru, mężczyzna się odwrócił. W tej samej chwili Juan - bo to on siedział za kierownicą - wygarnął mu prosto w pierś z obu łuf. Skuter z poślizgiem zjechał na bok, omijając drgające jeszcze zwłoki. Zahamował ostro przy samochodzie. Juan i kierowca spokojnie zsiadli z siodełka i oparli skuter o płot. Wsiadli do wozu.

- Zmiotamy - rzucił krótko Juan i zachichotał.

- Dlaczego to zrobiłeś? - spytał Sebastien, mrużąc groźnie oczy.

Juan spojrział na niego ponuro i stuknął go wyprostowanym palcem w pierś.

- To nauczka dla ciebie, Sebastienie. Specjalnie dla ciebie. Señor Gonzalez chciał, żebyś zobaczył, jak kończą ludzie, którzy przysparzają mu kłopotów. On nikomu nie daje drugiej szansy. Zapamiętaj to sobie.

- A co zrobił ten człowiek?

- Ten? - Juan najwidoczniej zapomniał już o całym wydarzeniu. Wyjął z pudełka nowe cygaro. - Nic. Akurat tu przechodził.

Doug Sullivan, dyrektor US Banku, był zachwycony, że poważny kolumbijski biznesmen otworzył u niego rachunek certyfikowany. Sebastien świetnie się spisał. Należało się jeszcze tylko upewnić, że w grę nie wchodzi pieniądze z narkotyków. Ted Baxter doszedł do siebie po pobiciu i wyszedł ze szpitala. Co ważniejsze, prawie skończył też kurację u Anonimowych Alkoholików, tak że można ich było z Sebastieniem posłać do Kolumbii, żeby dopilnowali podpisania stosownych dokumentów. Sebastien zapoznał Juana z sytuacją i wyjaśnił mu, jaki przebieg ma mieć wizyta.

- Spokojna głowa! - Juan roześmiał się wesoło. - Zadbam o to, żeby Ted świetnie się bawił.

Ledwie Ted zjawił się w Cali, służba pilnowała, żeby zawsze miał coś do picia pod ręką. Widział na własne oczy, jak Gonzalez podpisuje formularze konieczne do otwarcia

rachunku certyfikowanego. Otrzymał też roczne bilanse firm, w których Gonzalez i jego wspólnicy mieli większościowe udziały. Prezentowały się doskonale - nic dziwnego, skoro księgowy Gonzalez wykazał się większą wyobraźnią niż Walt Disney na LSD. Nieprawdą było jednak, jakoby Ted osobiście odwiedził firmy Gonzalez. Po nocy spędzonej na ostrym picciu w towarzystwie nie jednej, lecz dwóch chętnych pańienek, które wymasowały mu każdy mięsień i staw z osobna, Ted nie był rano w stanie doczłapać pod prysznic, nie mówiąc już o zwiedzaniu okolicy. Nikomu to nie przeszkadzało, gdyż firmy nie istniały. Gonzalez dobrze przemyślał sprawę i dostarczył Tedowi fotografie okazałych budynków, tyle że należących do innych osób. Zdjęcia z orgii z jego udziałem zachował sobie na przyszłość.

Jeszcze jedna rzecz umknęła uwagi Teda. Gdyby o niej wiedział, zmartwiłby się ogromnie, podobnie zresztą jak señor Gonzalez. Zdarzyło się to w samolocie, gdy wracali z Sebastienem do Panama City.

- Zaraz wrócę - powiedział Ted i popędził na tył samolotu, nie mogąc się zdecydować, czy wykończyła go tequila, czy może jednak kobiety.

- Nie ma sprawy - uspokoił go Sebastien.

Kiedy Ted w toalecie walczył z rewolucją żołądka, Sebastien otworzył jego teczkę, wyjął z niej podpisane przez Gonzalez formularze i podłożył w ich miejsce inne, na których podrobił podpis właściciela konta.

- Już mi lepiej - stwierdził z ulgą Ted, sadowiac się w fotelu. - To przez to tłuste żarcie.

- Na pewno. Mnie też dało do wiwatu - zgodził się z nim Sebastien. Zanosilo się na to, że Ted będzie długo się kajać na następnym spotkaniu Anonimowych Alkoholików. Na pewno miał się z czego tłumaczyć.

- Jedna sprawa, Sebastienie - zauważył Ted, podkrecając nerwowo mizerne wąsiki. - Chyba nie ma sensu zanudzać dyrektora szczegółową relacją z naszej wizyty w Kolumbii, prawda? Ograniczymy się do faktów, najważniejszych rzeczy. On i bez tego ma dużo pracy.

- Oczywiście, Ted - uspokoił go Sebastien. - Jakby wszystko wiedział, byłoby po nas.

- No... To fakt.

US Bank otworzył rachunek certyfikowany na nazwisko señora Gonzalez z początkowym wkładem w wysokości pięciu milionów dolarów. Podobny rachunek został również otwarty w renomowanym Banque Lex w Genewie. Prośba o jego założenie nadeszła z poważnego banku amerykańskiego, tak że Banque Lex nie potrzebował niezależnego potwierdzenia statusu señora Gonzalez. Wystarczyło, że Sebastien przefaksował im wypełnione formularze US Banku, opatrzone podrobionym podpisem właściciela.

Przed końcem lipca na koncie w Panamie znajdowało się już ponad dziesięć milionów dolarów, z której to sumy połowę Gonzalez kazał przelać do Szwajcarii. Sebastien otrzymał od niego polecenie przelewu: standardowy druk US Banku, podpisany przez handlarza narkotyków. Wyrzucił druk do kosza i własnoręcznie wypełnił drugi, identyczny, na którym sam się podpisał. Przekazał go następnie Tedowi, który razem z dyrektorem porównał ten podpis z oryginałem widniejącym na formularzu otwarcia rachunku. Pieniądze trafiły do Szwajcarii, señor Gonzalez otrzymał potwierdzenie dokonanej operacji i wszyscy - nie wyłączając Teda - byli zadowoleni.

- Widzę, że nabierasz wprawy, Sebastienie - zauważył z zadowoleniem Ted, obliczywszy należną bankowi prowizję.

- Chyba tak - zgodził się z nim Sebastien, rozmyślając nad tym, że własną prowizję należy przeznaczyć na spłatę długu zaciągniętego u Juana. - Dziwny jest ten świat: przekładasz pieniądze jakiegoś obcego człowieka z jednej jego kieszeni do drugiej i jeszcze ci za to płacą. Śmiechu warte.

- Naprawdę myślisz, że nam się uda? - spytała Tanya.

Leżeli na pięknej słonecznej plaży i patrzyli, jak fale podchodzą do brzegu.

- Nie widzę powodu, żeby miało się nie udać - odparł Sebastien. - Poza tym nawet gdyby coś nie wyszło, nikt nie domyśli się, że brałaś w tym udział. Wszystko skrupi się na mnie.

- Będę cię odwiedzać w więzieniu. - Tanya pocałowała go w ramię.

Dawno już nie mieli okazji pobyć razem i dlatego postanowili teraz spotkać się na bezлюдnej plaży panamskiej wysepki. Mogli wreszcie porozmawiać, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Tanya bardzo stęskniła się za Sebastienem, który przez kilka tygodni pracował nad upolowaniem narkobaron. Nawet nie przypuszczała, że będzie jej go tak brakowało.

Obróciła się na brzuch, żeby równo opalić pośladki. Znow miała ochotę się kochać; uprawianie miłości na piasku coraz bardziej jej się podobało.

- Wymyśliłaś już, jak wyrwiemy się z Panamy po wszystkim? - spytał Sebastien, popijając piwo. Wolał być stąd jak najdalej, kiedy Gonzalez stwierdzi, że ktoś rąbnął mu pieniądze. Nie opowiadał Tanyi szczegółowo o wycieczce do Cali, żeby niepotrzebnie jej nie martwić, wiedział jednak, że Gonzalez nie ma zwyczaju wybaczać ludziom, którzy go zawiedli. Chyba nawet rodzonyj matce nie przebaczył tego, że wydała go na świat.

- Owszem - odparła Tanya. - Najszybciej będzie samolotem. Nie możemy za bardzo

zwracać na siebie uwagi, powinniśmy pojechać samochodem na drugi koniec kanału, do Colon, a stamtąd prywatnym odrzutowcem polecimy prosto do Miami. Zarezerwowałam miejsca. Dla ciebie na nazwisko „Mistrz” - zachichotała.

Sebastien też się roześmiał i podał jej piwo.

- To świetnie. Akcję przeprowadzimy w październiku, czyli za trzy miesiące. Na razie możemy odpocząć i o niczym nie myśleć.

- Jak sądzisz, co robią inni? To znaczy Ivan i Andrew. Myślisz, że nas znajdą?

- Nie - odparł krótko Sebastien. - Nic się nie martw, sami się nimi niedługo zajmujemy, tylko najpierw musimy pokończyć sprawę tutaj i zgarnąć pieniądze.

- Czy naprawdę uważasz, że powinniśmy tak po prostu okraść Gonzaleza? Zaczynam mieć opory...

- Przed zabraniem pieniędzy handlarzowi narkotyków? - zdziwił się Sebastien. - Daj spokój, Tanyu. W czym problem? Przecież on kupiłby za nie następną dostawę koki. Zapewniam cię, że nie mam żadnych wyrzutów sumienia. Gonzalez na to zasługuje. Sama pomyśl, ilu ludziom zniszczyłoby życie, gdybyśmy zostawili mu te dwadzieścia milionów.

Zapadła cisza. Sebastien się nachmurzył: Tanya dziwnie się ostatnio zachowywała. Była coraz bardziej zamknięta w sobie, odległa. Nie rozumieli się już tak dobrze jak kiedyś. Ich drogi zaczynały się rozchodzić. Tamta noc w chacie musiała coś zmienić. Czy to możliwe, że intruz jednak ją zgwałcił? Czy po prostu szykowała się do porzucenia go? Najsmutniejsze na tym świecie jest to, że nikomu nie można ufać. Nawet najbliższym osobom.

- Jak myślisz, czy Andrew i Ivan mają podobne pomysły na zarobienie tych pieniędzy?

- Na pewno. Czy jest coś, co wiesz o nich, a czego mi nie powiedziałaś? Pamiętaj, że mamy współpracować.

Tanya zawahała się: nadszedł moment, w którym powinna podjąć ostateczną decyzję. Czy chce rywalizować z Sebastienem? Na koncie Gonzaleza nie będzie dość pieniędzy dla nich obojga. Co w takim razie powinna zrobić? Zdawała sobie sprawę, iż mimo rozlicznych wad Sebastiena kocha go bezgranicznie. Dlaczego? Po prostu była przy nim szczęśliwa, Sebastien miał styl, gest, nie brakło mu polotu. Odwróciła się na plecy i spojrzała w niebo.

Na tym właśnie polegał problem. Zdawała sobie sprawę, że Sebastien zrobi wszystko, żeby zostać Mistrzem, że w kluczowej chwili może nawet wystąpić przeciw niej. Chociaż wtedy oczywiście zwyciężyłaby... Ale nie w tym rzecz. Kiedy człowiek kogoś kocha, powinien zapomnieć o osobistych ambicjach. Czas decyzji nadszedł. I co? Postanowiła, że

pomoże Sebastienowi zostać Mistrzem. Kiedy jego marzenie spełni się, będzie ją jeszcze bardziej kochał.

- Sebastienie... - Jakiś cichy, wewnętrzny głosik szeptał jej jednak, żeby nie mówiła mu jeszcze o wszystkim, żeby pominęła sprawę związku z Reksem. Nie rozumiałby. - Chcę ci coś powiedzieć. Szukałam w bazach danych informacji na temat Andrew.

- Tak? Znalazłaś coś? - Sebastien sięgnął do kosza z lunchem.

- Andrew służył kiedyś w wojsku, obecnie zaś, poza pełnieniem funkcji konsultanta ONZ, na zlecenie Akademii monitorował działalność organizacji militarnych i terrorystycznych na całym świecie. Oznaczało to, że może być bardzo niebezpieczny i w razie potrzeby zapewne bez wahania zabiłby Rekxa. Ponadto bez trudu włamałby się do twego szwajcarskiego domku.

Sebastien słuchał jej uważnie.

- Więc jednak postanowiłaś mi zaufać - stwierdził z uśmiechem. - Z niecierpliwością na to czekałem. Wierzysz przynajmniej, że to nie ja zabiłem Rekxa. Twoje zdrowie! - Otworzył następne piwo, upił trochę i położył się na piasku z rękoma pod głową. - Zgadzam się z tobą co do Andrew; też uważam, że jest niebezpieczny, i wystrzegam się go. Zawsze trzymałem się od niego z daleka. Zobaczymy, co znajdziesz na temat Ivana. A propos, mnie też sprawdzałaś?

Tanya spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie, nie muszę tego robić. Kocham cię i ufam ci.

- Ja też cię kocham i ufam ci - odparł Sebastien, chociaż nie wierzył jej za grosz. - A ponieważ byłaś ze mną szczerą, zdradzę ci teraz sekret chińskiej łamigłówki.

Pocałował Tanyę w usta i usiadł, zapatrzony w załamujące się fale, błękitne niebo i oślepiające słońce. Niewiele jest chyba piękniejszych miejsc na ziemi. Czuł się jak w raju. Przejęcie władzy nad Akademią będzie ukoronowaniem pięknego roku.

- Moim zdaniem całe to przedstawienie z pudełkiem mistrza Czanga miało nam pokazać, że pozory mogą mylić. Gra, w której bierzemy udział, nie jest zwykłą zabawą. To rywalizacja, a każda rywalizacja jest formą wojny. Mistrz próbował przekazać nam ważną prawdę. Wydaje mi się, że wiem, co miał na myśli.

- Co?

- To nie jest jakaś makiaweliczna gra o władzę z podtekstem filozoficznym, w której cel uświęca środki. Rzeczywistość przedstawia się o wiele prościej: toczymy wojnę, w której zwyciężyć może tylko jedno z nas. Nie jest istotne, jak do niej doszło. Nie pozostaje nam nic innego, niż próbować wygrać. Gra nie ma żadnego podtekstu moralnego, tak jak nie ma go

samo życie. Ludzie posługują się argumentami moralnymi, żeby wygrać wojnę. Dobrze jest okazywać pobożność, kiedy jest się papieżem albo Mistrzem, bo to powstrzymuje innych przed atakiem. Potencjalni przeciwnicy zaczynają mieć skrupuły. Oto idealny sposób osłabienia wroga.

Tanya skinęła głową. Musiała przyznać Sebastienowi rację, przynajmniej częściowo. W ostatnich miesiącach jej poglądy na Akademię również gwałtownie ewoluowały.

- Ciekawe jest również to, że mistrz Czang, twórca łamigłówek, żył w Chinach w okresie panowania Kang-si, najpotężniejszego i najbardziej wpływowego z cesarzy. Czytałem ostatnio trochę na jego temat. Wiesz, kim był? Mandżurem, nie Chińczykiem. Dzięki sprytowi i wpływom w wojsku zdobył to, na czym mu najbardziej zależało: zawładnął Chinami. Korzystał przy tym z podręcznika taktyki.

- Podręcznik nosił tytuł *Sztuka wojowania*. Napisał go Sun-Cy - dodała Tanya.

Sebastien zaśmiał się; Tanya zawsze go zdumiewała.

- Właśnie. Skąd wiedziałas?

- Widzisz, Sebastienie... Wcale nie jesteś najsprytniejszy na świecie. Ja też odrobiłam lekcje z historii Chin.

- No dobrze. - Sebastien wziął z koszyka jabłko. - W takim razie wiesz, co powiedział Sun-Cy: „Wojna jest kwestią najwyższej wagi dla państwa: sprawą życia lub śmierci, drogą do przetrwania lub ruiny. Należy ją więc dokładnie poznać”.

Tanya skinęła głową.

- I jeszcze jedno: „Wszelka sztuka wojenna opiera się na oszustwie”.

- Istotnie - zgodził się Sebastien. - Toczymy wojnę, a łamigłówka jest właśnie tym oszustwem, sztuczką, która ma nam zamydlić oczy. Nie może być inaczej. Jak to możliwe, żeby ktoś podarował cesarzowi najtrudniejszą łamigłówkę ze wszystkich? W pudełku nic nie ma. Mistrz tak uważa, a ja się z nim zgadzam.

- Do czego właściwie zmierzasz?

- Do tego, że dużo ostatnio rozmyślałem o Akademii. Udaje jej się przetrwać tylko dlatego, że korzysta z rywalizacji zwaśnionych państw. Zachowuje w ten sposób władzę i uprzywilejowaną pozycję. Czyni to z niezrównaną wprawą, co trzeba przyznać. - Sebastien zapalał się coraz bardziej. - Nie rozumiesz, że tak dzieje się od setek lat, Tanyu? Że od wieków Akademia oszukuje świat i jego przywódców? Pociąga delikatnie za sznurki, by dostać to, czego chce. Naturalnie nawet Akademia nie jest w stanie wszystkim pokierować i przewidzieć wszystkich wydarzeń. Potrafi jednak tak sterować faktami, żeby nie tracić swojej wyjątkowej pozycji. Kojarzy mi się to ze starymi tablicami astrologicznymi ze

średniowiecznych manuskryptów: wielkie, koncentryczne koła Nieba i Ziemi, a na Ziemi ludzka postać, która stoi w centrum wszechrzeczy i wszystkim kieruje. Tylko w taki sposób można zagwarantować trwałość władzy na przestrzeni wieków, bez względu na zmiany polityczne i gospodarcze w poszczególnych krajach. Mistrz jest prawdziwym geniuszem manipulacji i oszustwa.

- Co z tego?

- To, że tego właśnie próbuje nas nauczyć. Nie rozumiesz? Jesteśmy jak czeladnicy czarownika, którzy uczą się władać złymi mocami, a kiedy je okiełznają, będą rządzić światem. Rzecz w tym, że nikt nam tej nauki nie ułatwia. Każę się nam osiągnąć rzeczy niemożliwe wyłącznie dzięki naszemu intelektowi.

- Skoro tak, to dlaczego Mistrz w ogóle złożył nam tę propozycję? Dlaczego chce, by Mistrzem zostało któreś z nas? - zdziwiła się zdezorientowana Tanya. - Przecież powinien starać się zachować władzę dla siebie.

- Właśnie! - triumfował Sebastien. - Wcale nie chce, żeby znalazł się nowy Mistrz. Powiedział, że to Arbitrzy decydują o zasadach konkursu, prawda? Według mnie oznacza to, że Mistrz zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby nikt mu władzy nie wydarł. Nie mówił przecież, że ustąpi ze stanowiska. - Sebastien zawiesił głos. - Widzisz, Tanyu - ciągnął po chwili - są tylko dwie rzeczy, które spajają każdy system, pozwalając mu rozwijać się i trwać. To prawda uniwersalna.

- Co masz na myśli?

- Wojnę i pokój. Wojna dzieli i wymusza zmiany, pokój spaja w całość. To właśnie te dwie proste idee stały się przedmiotem rozmyślań wielkich polityków i filozofów.

- A która z nich jest silniejsza?

Sebastien cmoknął Tanyę w policzek.

- W głębi serca oboje znamy odpowiedź na to pytanie. W przeciwnym razie nie bralibyśmy udziału w grze. - Odrzucił ogryzek na bok. - Wojna.

I on zamierzał tę wojnę wygrać!



## ROZDZIAŁ 18

*Ludzie, nawet gdy walczyć nie muszą, walczą dla zaspokojenia swych ambicji. Ambicja ta ma taką władzę nad ludzkim sercem, że nigdy nie daje o sobie zapomnieć, choćby człowiek zaszedł na sam szczyt.*

Niccoló Machiavelli *Rozważania*

### **Lipiec. Albania**

Ivan wyszedł z niewielkiego budynku lotniska w Tiranie i czekając na samochód, rozmyślał o tym, jak wyjątkowym krajem jest Albania: najuboższe i najbardziej tajemnicze państwo w Europie, górzysta kraina nad Adriatykiem, wbita niczym klin pomiędzy Grecją i dawną Jugosławię, licząca zaledwie cztery miliony mieszkańców. Historię też miała Albania niezwykłą. Przez stulecia iliryjski lud pozostawał w niewoli tureckiej, by dopiero w 1912 roku uzyskać niepodległość. W czasie II wojny światowej Albanie najpierw zajęli Włosi, a później Niemcy, po wojnie zaś władzę przejęli komuniści pod wodzą miejscowego dyktatora Envera Hodży. Niewesołe dzieje.

- Taxi?

Ivan machnięciem ręki zbył kierowcę. Czekał na kogoś innego.

Ten Enver Hodża to też był ciekawy człowiek. Przez czterdzieści lat rządził w Kraju Orłów jak w kraju krasnoludków, żelazną ręką - psychopata i dyktator z prawdziwego zdarzenia, jakże inny od współczesnych mięczaków, którzy obłaskawiają lud chlebem i igrzyskami, a uciekają przy najmniejszych oznakach buntu. O nie, Enver Hodża zmienił całą Albanie w jeden wielki obóz karny dla dysydentów. Jeżeli człowiekowi dopisało szczęście, kończyło się na torturach; jeśli nie - na egzekucji. Hodża najwyraźniej wziął sobie do serca słowa Machiavellego, że chcąc mocno ująć ster władzy, należy najpierw pozbyć się rodziny poprzedniego władcy. Problem polegał na tym, że z rozpędu zlikwidował większość rodzin. Naturalnie poza własną. Od końca II wojny światowej aż do śmierci w 1985 roku Hodża sprawował w kraju władzę dyktatorską w najgorszym wydaniu. Tępił wszelkie przejawy

wolności słowa i prowadził twardą politykę. Poza nim samym i garstką bliskich współpracowników Albańczycy nie mieli samochodów, własności prywatnej, podatków, opozycji politycznej, kredytów hipotecznych, klas społecznych, przestępstw, banków, prawa do podróży zagranicznych - na dobrą sprawę nie mieli prawie nic. Kraj Orlów stał się krajem nihilistów. Był tylko jeden drobiazg, który Hodża najprawdopodobniej przeoczył: taki kraj nie mógł mieć przyszłości.

Biedna Albania: przez czterdzieści lat była największym obozem koncentracyjnym świata - no, może poza Koreą Północną. Kiedy Hodża zmarł, a Związek Radziecki rozpadł się, upadła i Albania. W latach dziewięćdziesiątych wprowadzono w kraju demokrację, ale tylko formalnie. W rzeczywistości była to fikcja. Władzę - zwłaszcza po wojnie w Kosowie - podzieliły między siebie wojsko, tajne służby i różni miejscowi watażkowie. Ivan wiedział to wszystko, gdyż przyjazd poprzedził gruntownymi studiami tematu.

- Pan Ivan Radić?

Przyjrzał się bacznie mężczyźnie stojącemu obok rządowej limuzyny: był średniego wzrostu, miał ciemne włosy, śniadą karnację, dziobatą twarz i kurze łapki w kącikach oczu. Wyglądał na okrutnego człowieka.

- Jestem Lef.

- Ivan.

- Wskakuj. Nie musisz oddawać bagażu do kontroli. Jesteś gościem generała Durresa.

Podali sobie ręce i Ivan wsiadł do wozu, zerknąwszy na epolety gospodarza: cztery czerwone guzy oznaczały majora, ale wiedział, że ten człowiek nie jest zwykłym żołnierzem. Major z pewnością służył w wywiadzie lub kontrwywiadzie i był jednym z chłopców Durresa. Zawsze miło spotkać kolegów po fachu. Samochód ruszył.

- Palisz?

- Nie, dziękuję.

Wyjechali za miasto. Dzień był letni, gorący i Ivan robił się senny. Podróż ze stolicy do leżącej na południu kraju Sarandy miała potrwać około czterech godzin. Mógł się więc odprężyć i podziwiać urodę krajobrazu roztaczającego się po obu stronach kiepskiej drogi - gaje oliwne i orzechowe na stromych zboczach wzgórz, pola słoneczników, od czasu do czasu przebłysk olśniewająco błękitnych wód Adriatyku. Na polach mężczyźni i kobiety zbierali plony, składując je na zaprzężonych w osiołki i woły wozach. Wiek XX na dobrą sprawę nie zawitał jeszcze do Albanii - nie mówiąc już o XXI. Samochodów jak na lekarstwo, tylko rolnicy na polach. No i wszechobecne betonowe bunkry.

Jedną z obsesji Hodży był strach przed inwazją imperialistów. Kazał więc zbudować bunkry dosłownie wszędzie, tak że zrobiło się ich więcej niż Albańczyków. To też upodabniało Albanię do bajkowej krainy skrzatów: wszędzie rosły betonowe grzybki.

- Generał Durres zaprosił cię do swego domu - odezwał się Lef. - Zarezerwowaliśmy też dla ciebie pokój w hotelu w Sarandzie. To mała miejscina na wybrzeżu.

- Naprawdę? - udał zdziwienie Ivan.

- Tak - przytaknął Lef i zaczął opowiadać o krajobrazie i historii Albanii.

Ivan go nie słuchał. Gdyby Lef wiedział to, co on... Bo Ivan bywał już w Albanii wielokrotnie i doskonale znał jej skrzętnie skrywane tajemnice i udręki przeszłości. Znał na pamięć archiwa brytyjskich i amerykańskich służb specjalnych, dotyczące tego małego państewka. Jeszcze ciekawsze okazały się informacje, które znalazł w pamięci głównego komputera Akademii na krótko przed rozpoczęciem konkursu - przygotowywał się wtedy do kolejnego przyjazdu w celu aktualizacji danych. Błogosławiona niech będzie niewiedza.

Ivan usadowił się wygodniej na tylnej kanapie i poddał usypiającemu rytmowi migoczącego światła i cienia, gdy mknęli wysadzaną drzewami drogą. Chwilami budził się z niespokojnej drzemki i widział wtedy wiejskie zabudowania albo pędzone skrajem jezdni owce.

Kiedy się obudził, od razu pomyślał o dwudziestu milionach dolarów.

Saranda była maleńką miejsciną na dalekim południu Albanii, tuż przy granicy z Grecją. Od niepamiętnych czasów upodobali ją sobie miłośnicy spokojnego trybu życia. Nic dziwnego: piękna okolica, czyste wody, urozmaicona linia brzegowa, ciche zatoczki i ciepły śródziemnomorski klimat sprawiały, że zarówno dawni Grecy, jak i Rzymianie szukali tu wytchnienia od trudów codziennego życia. A przez stulecia niewiele się zmieniło. Przez Europę przetaczały się wojny, powstawały i upadały państwa, lecz idylliczna Saranda pozostawała prawie nie zmieniona.

Ivan popływał trochę w morzu, a potem usiadł na werandzie hoteliku. Niespełna pięć kilometrów od brzegu znajdowała się należąca do Grecji wyspa Korfu. Za czasów Hodży setki Albańczyków próbowały przepłynąć wąską cieśninę i znaleźć się w wolnym kraju. Nie wszystkim się udawało: ich rodacy strzelali do nich bez litości. Teraz, kiedy Ivan patrzył na krystalicznie błękitne wody Adriatyku, nie mieściło mu się to w głowie. Maleńki skrawek wody, a jaka różnica w kulturze i ideologii.

Wieczorem przyjechał po niego Lef i pokazał mu z werandy, dokąd się wybierają: po przeciwnej stronie zatoki, na szczycie urwiska znajdowały się tereny wojskowe, gdzie

miejscowi nie mieli prawa wstępu. W oliwkowym zagajniku mieścił się tam wspaniały dworek generała Durresa. Kiedy krętym podjazdem zbliżali się do niego, Lef odwrócił się do Ivana. Był zdenerwowany.

- Może powinienem ci coś powiedzieć o generale. Mimo że mamy demokrację, on w dalszym ciągu odgrywa ważną rolę w naszym kraju.

Ivan pokiwał głową. Lef wyraził się bardzo oględnie. Generał Durres był ważnym człowiekiem w Albanii na długo przed nastaniem demokracji. Obecnie stał na czele służb specjalnych. W czasie Hodży zajmował dokładnie to samo stanowisko, gdyż należał do takich ludzi, którzy bez względu na przemiany zawsze pozostają u szczytu władzy. Znał wszystkie ponure sekrety kraju. Osobiście wykonał przecież wiele wyroków i pogrzebał wiele ciał. Podobnie jak generała Pinocheta w Chile zaakceptowano go, kiedy powiał wiatr odnowy. Doświadczenie nauczyło ludzi, że ten sam wiatr może jeszcze zmienić kierunek i powiać im w twarz ze zdwojoną siłą.

Zagłębili się między drzewa oliwkowe, przejechali przez kutą, żelazną bramę i znaleźli się na pięknie utrzymanej, wysadzonej topolami alei. Pięć minut później pojawił się przed nimi dwór generała. Durres wyszedł im na spotkanie. Zszedł po schodach, nie zwracając uwagi na Lefa i dwóch preżących się na bacność wartowników.

- To miło z pańskiej strony, że zechciał pan odwiedzić starego żołnierza, który zanudza wszystkich wojennymi wspomnieniami - rzekł na powitanie i mocno uściśnął dłoń Ivana. Głos miał basowy, dźwięczny i dobrze mówił po angielsku. - Proszę, niech pan wejdzie.

Przepuścił Ivana przodem. Był potężnie zbudowany i umięśniony, mimo że stuknęła mu już siedemdziesiątka. Miał przy tym delikatne rysy i bystre spojrzenie. Emanował dobrocią i łagodnością, ale Ivan zdawał sobie sprawę, że ma do czynienia z mistrzem fałszu i przebiegłym weteranem walk o władzę. Gdyby nie te cechy charakteru, generał nie przetrwałby przecież panowania psychopatycznego Envera Hodży. Ciekawe, czy Durres znał Mistrza. Ivan uznał, że jest to całkiem prawdopodobne.

Dom był ogromny i wspaniale urządzone, przypominał rezydencję zamożnego włoskiego magnata: rzymskie dzieła sztuki, etruska ceramika, greckie kolumnady, marmurowe posadzki - wszystko świadczyło o doskonałym guście właściciela. Właściwie Ivan pomyślał, że mają podobny gust. Być może Durres także docenia dzieła Machiavellego.

- Lubi pan sztukę starożytną?

- Owszem, nawet bardzo.

- To dobrze. - Generał zawołał służącego. - On pana oprowadzi, a potem się czegoś

napijemy. Proszę się nie spieszyć; czasu nam w Albanii nie brakuje.

Pół godziny później, obejrzawszy dom, Ivan wyszedł na taras. Durres siedział na ratanowym fotelu, wpatrzony w pas wody, dzielący Korfu od lądu. Zabudowania wyspy bielily się w słońcu.

- Ma pan wspaniałe zbiory.

- Niezgorsze - zgodził się generał z fałszywą skromnością. - Szczególnie interesuje mnie grecka rzeźba, co pewnie pan zauważył. Zbierałem te okazy tu i ówdzie... Lubi pan sztukę klasyczną?

- Bardzo.

Rozmawiali dobre dwadzieścia minut, aż usatysfakcjonowany generał uznał, iż istotnie rozmawia ze znawcą.

- A co się panu najbardziej u mnie podobało?

- Trudno powiedzieć... W korytarzu zwróciła moją uwagę figurka młodzieńca z oszczepem z drugiego wieku naszej ery. Jest bardzo realistyczna, ciało zachowało naturalną zwinność i rzeźbę.

- A tak, też ją lubię - przyznał Durres. - Udało mi się ją ocalić z niemieckiej kolekcji, tuż przed zakończeniem wojny. Nie wiem, do kogo przedtem należała. Niech ją pan przyjmie ode mnie w prezencie - dodał generał z hojnym gestem.

Ivanowi zaparło dech w piersi.

- Nie mogę się na to zgodzić.

Durres uśmiechnął się lekko. Zdawał sobie sprawę, że trafił na prawdziwego miłośnika i kolekcjonera. A jeżeli coś dawał, spodziewał się równie hojnego daru w zamian.

- Ależ proszę: jest pańska. Daję ją panu w dowód naszego wspólnego umiłowania kultury oraz na poczet naszej przyszłej przyjaźni. Proszę nie protestować. Wspaniałe mamy stąd widok, nieprawdaż?

Patrzyli w milczeniu, jak zapada zmierzch. Po prawej rozciągała się Saranda, po lewej - skaliste wybrzeże albańskie. Na wprost zaś otwierał się widok na morze, którego wody migotały coraz słabiej w ostatnich promieniach światła. Na Korfu zapalały się światła, tworząc delikatną poświatę. Widok był uroczy, niczym omam wzrokowy, który rozplynie się w nicość, gdy człowiek spróbuje go dotknąć.

- Czas na kolację.

Razem przeszli do jadalni, klasycznej w swej prostocie: długi stół z marmuru, drewniane krzesła, białe ściany, dwa rzymskie posągi naturalnej wielkości. Na ścianie na wprost wejścia zawieszono fragment rzymskiego fryzu, na którym oddziały wojska tłumily

powstanie któregoś ze wschodnich ludów.

- Trzeci wiek naszej ery, Butrynt - wyjaśnił generał.

Ivan uniósł lekko brwi. Z pewnością generał nie ukradł fryzu z tego starożytnego miasta. Przechowywał go tylko w imieniu ludu Albanii. Jeden z posągów przedstawiał Juliusza Cezara, co Ivan uznał za dobry znak. Megalomania miała odegrać znaczącą rolę w wieczornych rozmowach.

Kolacja trwała ponad dwie godziny, które minęły niepostrzeżenie. Ivan nie miał czasu, by nacieszyć się soczystym mięsiwem, dobrym winem, serem z koziego mleka i podaną na deser mocną kawą, gdyż większość wieczoru upłynęła na rozmowach. Skończywszy z wymianą uprzejmości, pograżyli się w dyskusji na tematy polityczne. Generał szybko przekonał się, że gość doskonale orientuje się w sytuacji jego kraju, zna jego byłych i obecnych przywódców, stan gospodarki i polityki. Durres zdawał sobie sprawę, że taką wiedzę mógł posiadać tylko człowiek mający dostęp do szczegółowych archiwów wywiadów kilku sprzymierzonych państw - chociaż miał chwilami wątpliwości, czy i takie źródła okazałyby się wystarczające. O ile się nie mylił, Ivan Radič był Adeptem Akademii, i to w dodatku specjalistą od Bałkanów. Durres musiał przyznać, że nawet jemu to imponuje.

- Jak to się stało, że nigdy wcześniej nie spotkaliśmy się? - zapytał. - Tyle pan wie o Albanii, że z pewnością nieraz odwiedzał pan nasz kraj.

- Istotnie - przytaknął Ivan i opowiedział generałowi o tajemnych wizytach w Albanii, w czasie których na zlecenie Mistrza kontaktował się z szefem państwa. Nawet Durres, szef wywiadu i kontrwywiadu, nie miał o nich pojęcia.

Rozmawiali dalej i Durres był pod coraz większym wrażeniem osoby swego gościa. Ten człowiek naprawdę rozumiał istotę trwania państw, znał na wylot dyskretne posunięcia polityków i tajne decyzje cyników, którymi trzymali świat w garści. Wiedział, czym jest realpolitik i jakie cele sobie stawia. Rozmawiali jak starzy przyjaciele i filozofowie polityczni - o władzy, jej użyciu i nadużyciach, o tym, że powinni ją sprawować tylko silni ludzie. Kiedy Ivan sączył miód w jego serce, generał wracał wspomnieniami do dawnych lat. Widział siebie jako młodzieńca, lecz bogatego w doświadczenie, które przychodzi z wiekiem. Czuł, jak słowa Ivana rozpalają w jego duszy płomień, jaki zawsze niesie ze sobą władza.

Wreszcie wyszli jeszcze raz na taras i usiedli. W oddali migotały światła Sarandy i Korfu, jedyne jasne punkciki w otaczającej ich ciemności. Ivan pamiętał jednak, że reprezentują coś więcej, że za światłami kryje się całe miasto - tak jak chińska łamigłówka Czanga symbolizowała tajemnicę władzy i jej najgłębsze znaczenie. Władza rzuca swój urok na tego, kto jej pożąda, tak jak szkatułka przyciągała wzrok obserwatora. A kiedy już

człowieka omota, nie może on się jej wyrzec z własnej woli. Na takie uzależnienie jest tylko jedno lekarstwo. Mistrz, generał Durres i Ivan byli do siebie bardzo podobni: wszyscy mieli władzę i potrafili jej używać - po mistrzowsku, niczym wytrawny szermierz dobywający rapiera, a także dyskretnie, jak prawdziwa *éminence grise*. Zdawali sobie też sprawę, iż władza stała się nieodłączną częścią ich istoty, niczym bluszcz oplatający drzewo, którego po latach nie da się zerwać z pnia, nie niszcząc żywiciela.

Generał wstał i nalał rakii.

- Pański list bardzo mnie zainteresował - powiedział. - Dlatego właśnie chciałem pana poznać osobiście. Zresztą to przyjemność poznać członka prestiżowego Instytutu Spraw Zagranicznych, a także pracownika brytyjskiego wywiadu. Niemniej jednak moją uwagę przykuł pański list. Proszę opowiedzieć na ten temat coś więcej.

- W liście podałem tylko te informacje, które pozwoliły panu stwierdzić, iż jestem tym, za kogo się podaję - uśmiechnął się Ivan.

- Istotnie - przytaknął generał innym już głosem: miejsce gościnnego gospodarza zajął szef albańskich służb specjalnych. Ivan domyślał się, że do tego dojdzie, toteż natychmiast zmienił swój sposób bycia.

- Chciałbym prosić pana o radę, generale - powiedział z wahaniem. - To dość delikatna sprawa... - Zawiesił głos i zmarszczył brwi, jakby się nad czymś zastanawiał. - Przypuśćmy, że prowadziłem ostatnio badania nad dziejami Albanii w czasie II wojny światowej. Załóżmy też, że korzystałem w nich z archiwów wywiadu brytyjskiego, które zawierały niemieckie dokumenty, a wśród nich zaszyfrowaną listę albańskich podwójnych agentów...

Durres skinał wyczekująco głową.

- Przypuśćmy dalej, iż alianci zdobyli te materiały dopiero po wojnie, kiedy odszyfrowanie listy przestało ich interesować. Nie mieli przecież zamiaru pomagać Hodży. Stosując nowoczesne komputery, można by jednak wszystkiego się dowiedzieć. Czy to nie interesująca perspektywa?

Durres patrzył w gwiazdy, myślami błądząc zupełnie gdzie indziej.

- W rzeczy samej, nawet bardzo interesująca - przyznał. Odstawił szklaneczkę na stół i dolał sobie rakii. - Czy to szczegółowy spis?

- O, tak. Dla dobra naszej dalszej dyskusji proponuję założyć, iż odszyfrowałem go i jestem jedynym żyjącym człowiekiem, który zna nazwiska albańskich zdrajców...

- Tylko dla dobra dyskusji - rzekł z filozoficznym uśmiechem generał. Naturalnie, snuli przecież tylko teoretyczne rozważania.

- Większość z nich już nie żyje - ciągnął Ivan. - Wyobraźmy sobie jednak, że jeden czy dwóch zajmuje wysokie stanowiska w obecnych władzach. Gdyby wieść o ich przeszłości dotarła do opinii publicznej, prawdopodobnie doszłoby do kryzysu konstytucyjnego, zwłaszcza że kwestia zdrady podczas wojny jest w Albanii wciąż żywym tematem. Nic dziwnego, hitlerowcy zabili przecież tysiące Albańczyków, dopuścili się też innych zbrodni... Podejrzewam wręcz, że w takiej sytuacji obecny rząd mógłby upaść i wojsko musiałoby przejąć władzę.

- To nie jest wykluczone - zgodził się Durres. - O ile wszystkie pańskie przypuszczenia byłyby prawdziwe.

- W takim razie pozwolę sobie na jeszcze jedno: przypuśćmy, że w pewnym banku w Szwajcarii, na pewnym rachunku znajduje się trzydzieści milionów dolarów, które przed kilkoma laty alianci wypłacili rządowi albańskiemu w zamian za przechowywane w depozycie złoto. Załóżmy też, że dostęp do tych pieniędzy ma wyłącznie aktualna głowa państwa. Gdyby doszło do kryzysu rządowego, jakaś ważna osobistość powinna przynajmniej na krótko przejąć władzę. - Ivan wzruszył ramionami. - Może nawet pan, generale. Stałby się pan wówczas strażnikiem narodowej fortuny.

Durres przyglądał mu się z kamiennym wyrazem twarzy.

- Co powiedziałby na to Zachód? Co zrobiliby jego przywódcy, gdyby w Albanii upadł rząd? Czy nie próbowaliby go wesprzeć?

- Z pewnością, byliby jednak bezradni, gdyby lista zdrajców okazała się prawdziwa. W celu potwierdzenia jej autentyczności zwróciliby się do renomowanej międzynarodowej instytucji, Instytutu Spraw Zagranicznych, który z kolei poprosiłby o konsultację swojego eksperta do spraw Albanii. Czyli mnie.

- Ach tak... Co na to Akademia?

Ivan się skrzywił.

- Rzeczywiście, podejrzewam, że Akademię również poproszono by o opinię. W tajemnicy, rzecz jasna. Akademia porozumiałaby się w tej kwestii z osobą najbardziej kompetentną... - Spojrzał Durresowi w oczy.

- Teraz rozumiem...

Generał siedział w milczeniu dobrych kilka minut, patrząc w gwiazdy. Czuł słodką woń władzy, czuł ją coraz wyraźniej. Nawet dla niego, starego weterana, nie miała sobie równych, niczym aromatyczny, głęboki zapach matki ziemi, ożywczy i obiecujący.

- Czytuje pan Machiavellego, panie Radič?

- Owszem.



- Tak mi się właśnie wydawało. - Durres z namysłem łyknął rakii. - Proszę posłuchać, jak wyobrażam sobie możliwy rozwój wydarzeń. Ktoś, nie wiadomo kto, ujawnia pewne pochodzące z okresu wojny dokumenty na temat naszego kraju. Publikuje je światowa prasa. Prestiżowy Instytut Spraw Zagranicznych potwierdza ich autentyczność. Akademia również daje dyskretny sygnał władzom krajów zachodnich, że dokumenty są prawdziwe. Zachód jest bezradny, w Albanii dochodzi do kryzysu konstytucyjnego, rząd upada. Ja z pewnymi oporami przejmuję władzę, pan zaś odbiera należytą zapłatę za zdemaskowanie zdrajców.

- Wszystko się zgadza, z małym zastrzeżeniem. Nie należałoby wspominać mojego udziału w całej sprawie. Jestem skromnym człowiekiem. Poza tym moje honorarium wynosi dwadzieścia milionów dolarów, co zostawia całkiem pokaźną sumkę na inne wydatki.

- Rozumiem... - Generał Durres zawsze chciał zostać głową państwa, ale zdawał sobie sprawę, że takie stanowisko drogo kosztuje. Bardzo drogo. - Naturalnie najważniejsze byłoby zgranie naszych działań w czasie, żebym pojawił się na scenie w idealnym momencie, kiedy nikt inny nie będzie gotów.

- To prawda.

- Kiedy mógłbym zobaczyć te dokumenty? - Generał jednym łykiem dopił drinka.

- Kopie przekazałbym panu za trzy tygodnie, oryginały po otrzymaniu dwudziestu milionów dolarów, czyli zapewne w tym samym okresie, kiedy nastąpiłoby przejście władzy. - Ivan zakasłał i mówił dalej. - Byłoby całkowicie zrozumiałe, gdyby chciał pan zostać głową państwa. W poprzednim systemie zapewne dawno by do tego doszło.

Generał roześmiał się. Nieraz słyszał, że członkowie Akademii są przebiegli, znają się na ludziach i wiedzą, co nimi kieruje.

- Nie powiedział mi pan, kim są ci podwójni agenci. Proszę podać choć jedno nazwisko.

- Prezydent.

Durres nie posiadał się ze zdumienia, ale zapanował nad sobą i uśmiechnął się. Ten uśmiech mówił sam za siebie: „Ktoś wkrótce umrze, a ja będę sławny”.

- Dlaczego pan to robi? - zapytał.

Ivan nie miał najmniejszego zamiaru wyjawić mu prawdy o konkursie na stanowisko Mistrza i zamiarze ocalenia Akademii, ale podziwiał Durresa. Coś ich łączyło - może cynizm i dystans do świata, a może zdolność dążenia do celu bez względu na przeszkody. Taki właśnie będę, kiedy zostanę Mistrzem, pomyślał. Taki sam, tylko znacznie potężniejszy. Nawet Durresem będę mógł manipulować.

To była bardzo miła myśl.

- Powiedzmy, że jestem filantropem i potrzebuję pieniędzy na cele dobroczynne.  
Umowa stoi?

Generał udawał, że jeszcze się waha, ale już podjął decyzję. Władzy nigdy dość. Juliusz Cezar doskonale rozumiał tę kwestię - i znał rozwiązanie: należało zagarniać ją przy każdej okazji. Przecież życie to tylko gra, a Durres uwielbiał gry. Rzucił pustą szklaneczką o ścianę.

- Stoi.

Dwa dni po powrocie Ivana z Albanii Sebastien odebrał telefon. Właśnie miał rozpocząć kolejny pracowity dzień w US Banku, ale z uwagą wysłuchał człowieka z telefonu. W tle rozbrzmiewał jakiś dziwny hałas, jakby ktoś głośno słuchał rapu.

- A więc Ivan jest w Paryżu, tak? Świetnie, wielkie dzięki. Proszę jeszcze odszukać Andrew Brandona.

Sebastien odłożył słuchawkę. Chłopcy z Al Johnson hwestigations spisali się na medal. Wytropili Ivana przez jego kochasia. Rany, Ivan naprawdę powinien bardziej się starać.

Postanowił, że opowie o tym Tanyi później.

Al odczekał, aż PJ skończy rozmawiać, po czym zadzwonił do Andrew Brandona. PJ zastanawiał się później, co by się stało, gdyby obaj ich klienci zjawili się w Paryżu w tym samym czasie. Mogłoby dojść do ciekawego spotkania z człowiekiem, którego szukali. A dlaczego go szukali? Mniejsza o to. Grunt, że obaj płacili. Podkręcił muzykę na pełny regulator.

Superkasa, supermuzyka.

## ROZDZIAŁ 19

*Można poznać wszystkie rzeczy na ziemi, nie wychodząc z domu.*

*Można ujrzeć drogę, nie wyglądając przez okno.*

Lao-Cy

### **Sierpień. Tajwan**

Andrew wybrał Tajwan na miejsce, w którym zarobi dwadzieścia milionów dolarów.

Tajwan, zwany też Wyspą Skarbów, leżał zaledwie sto czterdzieści kilometrów od Chin i był miejscem niezwykłym. Od 1949 roku oddzielona od wielkiego, komunistycznego sąsiada z kontynentu, licząca niespełna dwadzieścia pięć milionów mieszkańców prowincja stała się bastionem kapitalizmu na Dalekim Wschodzie. Tajwańczycy stworzyli jedną z najbardziej dynamicznych - choć działającą na pirackich zasadach - gospodarek świata. Ich wyspa pod wieloma względami przypominała Hongkong: zatłoczona stolica pełna wieżowców, wieczne korki, ludzie uzależnieni od pieniędzy, hazardu, kasyn i wygodnego życia. Krótko mówiąc: raj dla przedsiębiorczych.

Andrew wybrał Tajwan, ponieważ dobrze go znał. Mieszkał tu w dzieciństwie z rodzicami. Poza tym miał blisko do Pekinu, gdzie mistrz Czang podarował chińską szkatułkę cesarzowi Kang-si.

Ale był jeszcze inny powód, dla którego Andrew przybył na tę wyspę u brzegów Chin, powód najważniejszy ze wszystkich, świadczący o niezwyklej ironii losu. Ruchliwy, hałaśliwy Tajwan, pełen pewnych siebie i uległych wobec pokus ludzi, był miejscem, w którym Czang na pewno nie chciałby zamieszkać. Prawdopodobnie nie myślałby nawet o odwiedzeniu go. Kiedy jednak w 1949 roku na kontynencie doszli do władzy komuniści i Czang Kajszek uciekł na Tajwan, zabrał ze sobą pięć tysięcy skrzyń z najcenniejszymi skarbami z pałacu cesarskiego w Pekinie.

Były wśród nich trzy szkatułki mistrza Czanga.

- Andrew! Co cię tu sprowadza? - Pulchniutki Chińczyk przywitał Brandona z niekłamanym entuzjazmem. - Trzeba było dać znać, że przyjedziesz! Przygotowalibyśmy kolację! Siadaj!

David Chen wskazał sofę w wynajętym na biuro apartamencie hotelu Grand na Tajwanie. Znali się z Andrew od lat, razem studiowali. Dopiero po studiach ich drogi się rozeszły: Chen został finansistą i zatrudnił się w jednym z największych tajwańskich banków, Andrew zaś trafił do ONZ.

- Co słychać? - spytał Andrew. Zauważył, że od czasu ich ostatniego spotkania przed dwoma laty jego przyjaciel posiwiał lekko. Nadal jednak miał młodzieńczą twarz, zaraźliwy uśmiech i nosił nieskazitelne garnitury.

- Wszystko w porządku, w najlepszym porządku! Biznes kwitnie mimo wahań na azjatyckich rynkach. Nie mógłbym sobie wymarzyć lepszej koniunktury.

- A jak tam rodzina?

- Monica ma się świetnie, dzieciaki rosną jak na drożdżach. Młodszy odziedziczył po mnie dryg do matematyki. Zobaczysz, jeszcze będzie z niego ekonomista. Ale mniejsza z tym. Co robisz tutaj? Zajmujesz się stosunkami chińsko-tajwańskimi w przeddzień połączenia?

- Nie. Zwolniłem się z ONZ.

- Zrezygnowałeś?

- Tak.

- Ach... - Chen czekał chyba na jakieś wyjaśnienia, ale jego gość milczał. Nie wiedział, co o tym sądzić. Czy Andrew chciał trochę odsapnąć? Czy raczej nie sprawdził się jako konsultant?

Kelner podał im drinki.

- Nie muszę ci tego chyba mówić, Andrew, ale gdybyś potrzebował pomocy, wal śmiało. Znam tu mnóstwo ludzi. Czym chciałbyś się zająć? Każdy da ci pracę, z takimi kwalifikacjami i znajomością języków... Wiesz, biegły mandaryński i kantoński to nie byle co.

- Na razie nie chcę podejmować nowej pracy - odparł Andrew. - Mam inne sprawy do załatwienia. Szukam mieszkania, najlepiej w pobliżu Muzeum Sztuki Chińskiej.

- Nie kłopotz się - uspokoił go Chen, ciesząc się, że może mu pomóc. - Udzielam się trochę na rynku nieruchomości i tak się składa, że mam całkiem spore mieszkanie właśnie w tej okolicy. Jest wolne i możesz zatrzymać się tam na parę miesięcy. Za darmo.

- Dziękuję, ale wolałbym je od ciebie wynająć.

Następnie rozmowa zeszła na pracę i sprawy rodzinne Chena. Po dziesięciu minutach nagle zerknął on na zegarek i jęknął boleśnie.

- Wybacz mi, Andrew, strasznie cię przepraszam, ale muszę pędzić. Mam spotkanie, z którego za nic w świecie nie mogę się urwać. Będzie na nim sam szef banku. Wiesz, jak to jest: te wieczne zawody we wspinaczce po natłuszczonym palu.

- Wiem, wiem...

- Spotkajmy się któregoś wieczoru na kolacji, dobrze? Poznasz Monicę i dzieci. Strasznie się ucieszą.

- Podoba mi się ten pomysł.

Chen wstał. Czuł, że musi zadać jeszcze jedno pytanie. Przecież Andrew był jego przyjacielem.

- Nie gniewaj się, Andrew, ale dziwnie wyglądasz i dziwnie się zachowujesz. Na pewno wszystko w porządku? Nie jesteś w dołku?

- Nie, wszystko gra. - Andrew podniósł wzrok. David wyczytał w nim jednak melancholię i żal, których zwykle próżno by szukać w oczach Andrew. - Byłbym ci wdzięczny, Davidzie, gdybyś nikomu poza Monicą nie mówił, że jestem na Tajwanie.

- Dobrze... Dobrze, oczywiście - przytaknął niepewnie Chen i wyszedł.

Co się stało? Kiedy ostatnio się widzieli, Andrew wyglądał fantastycznie i siedział po uszy w pracy dla ONZ. Naturalnie sporo czasu upłynęło, zanim ostatecznie pogodził się ze śmiercią Amy. Amy pochodziła z Tajwanu i zginęła rok przed ich poprzednim spotkaniem. Śliczna, żywa jak iskierka, była prezenterką telewizyjną. Miała uroczą osobowość i wielką przyszłość, gdy nagle zginęła, a wraz z nią umarło dziecko, które nosiła w łonie.

To był potworny cios, ale Andrew przyjął go - o dziwo - z filozoficznym spokojem. Czyżby teraz wspomnienia wracały, by go dręczyć? Czy też chodziło o coś zupełnie innego? O pracę w ONZ?

Zamyślony Chen wszedł do windy. To straszne, stracić żonę i dziecko. Co on by zrobił na miejscu Andrew? Wolał o tym nawet nie myśleć.

Tajwańskie Muzeum Sztuki Chińskiej mieściło się w ogromnym, nowoczesnym betonowym gmachu. Andrew otworzył szklane drzwi i wszedł do środka. Wyminął tłumy młodzieży szkolnej przy kasach, gdzie nauczyciele rozdawali bilety. Dzieci ze szkół podstawowych waliły drzwiami i oknami na wystawę sztuki chińskiej, która - jak informowały kolorowe plakaty w foyer - była przeznaczona specjalnie dla młodych widzów. Podekscytowana dzieciarnia w eleganckich mundurkach, z małymi torbami, nie milkła ani na chwilę. Część dzieci kręciła się niespokojnie, część stała nieruchomo, trzymając się za rączki

i z wytrzeszczonymi po dziecinnemu oczami szepcząc sobie nawzajem wielkie tajemnice. Dorośli nie należeli do ich sekretnego świata.

- Wejdzie pan na górę, na pierwsze piętro, i skręci w prawo.

Z dala od wielkich sal z wyposażeniem wewnątrz z epoki Ming i Czing znajdował się mały pokoik. Przytłumione światło, padające na szmaragdowozielone ściany, tworzyło atmosferę spokoju i zadumy. Andrew był jedynym gościem w pokoju, w którym przechowywano szkatułki mistrza Czanga. Podeszedł do przeszklonej gabloty.

Na zielonym aksamicie stały trzy pudełeczka - zniewalająco piękne, wykonane z czarnej laki, prześlicznie zdobione, podobnie jak to, które pokazał im Mistrz. Na wieku każdej szkatułki Czang wyrysował złotą kreską piękne sceny: jedna z nich przedstawiała polowanie, druga widok na miasto, trzecia - świątynię w ogrodzie. Sekret szkatulek został rozwikłany dawno temu, tak że teraz prezentowano je otwarte, z widokiem na subtelnie zdobione wnętrza. W każdej leżał klejnot: rubin w pierwszej, szmaragd w drugiej, szafir w trzeciej. Owszem, widok był cudowny, jednak Andrew poczuł się rozczarowany. Żadna z łamigłówek w muzeum nie odznaczała się taką perfekcją wykonania i nie emanowała taką magią jak ta, którą widzieli u Mistrza. Tamta miała o wiele bardziej subtelną i dyskretną urodę.

Co zatem mogło się w niej znajdować? Kolejny kamień? Czy może nic, jak przypuszczał Mistrz? A jeśli istotnie była pusta, co chciał w ten sposób powiedzieć Czang, jaki sekret zamierzał zdradzić potomnym?

Jakiś czas Andrew podziwiał szkatułki w milczeniu, ale nie znajdował odpowiedzi na dręczące go pytania. Patrzył i patrzył, lecz nic nie widział. Wreszcie postanowił wyjść, żałując w duchu, że tak niewiele dzieł Czanga ocalało z zawieruchy dziejów.

- Może interesują pana inne dzieła Czanga? - Z bocznych drzwi pokoiku wynurzył się opiekun zbiorów, przygarbiony staruszek o pomarszczonej twarzy. Zwrócił uwagę na Andrew, który przez długi czas nie odrywał wzroku od szkatulek.

- Owszem, nawet bardzo.

- Poza tymi szkatułkami mamy jeszcze dwie wazy, które wyszły spod jego ręki. Żadne eksponaty nie mogą się równać z naszymi wazami.

Staruszek zaprowadził Andrew do sąsiedniego, jeszcze mniejszego pomieszczenia, pomalowanego na taki sam, głęboki zielony kolor. Na środku pokoju, za szybą z pancernego szkła, stały dwie niezwykle wazy, których fakturę podkreślało naturalne światło, sączące się z góry przez świetlik w suficie. Miały około pół metra wysokości i wyglądały podobnie: z niedużej podstawy wyrastał owalny, przypominający melon korpus, który na górze zwał się

ponownie i kończył wywiniętym brzegiem. Jak na najlepszą porcelanę z dynastii Czing przystało, w kolorystyce dominowały biel i kobaltowy błękit. Wazy różniły się obrazami, wymalowanymi na ściankach z przodu, albowiem z tyłu rysunek był identyczny i przedstawiał naręcze delikatnych kwiatów wiśni. Ich barwy - niemal przezroczysta biel i rubinowa czerwień - przez stulecia nie zbladły ani odrobinę.

- Proszę usiąść i je obejrzyć - zachęcił Andrew starszek, wskazując mu miękki taboret. Usiedli razem, podziwiając dzieło Czanga.

Pierwsza waza przedstawiała gromadkę chińskich dzieci, które tańczyły wokół drzewka morwowego. Wioskowa starszyzna siedziała na pierwszym planie, przyglądając się im, tło zaś stanowiły wysokie góry. Czang pokazał, że jest prawdziwym mistrzem sztuki malarskiej. Udało mu się oddać nie tylko radość i spontaniczność dziecięcej zabawy, lecz także niedbały wdzięk ich tańca: płynny krok, odchylone w tył głowy, lekki ukłon, twarze pałające podnieceniem. Młodzieńcza radość życia zdawała się tak prawdziwa, że człowiek dziwił się, iż nie słyszy śmiechu dzieci. Najbardziej jednak zdumiewający był fakt, że obrazy na wazach łączyły się w całość: jeden z małych tancerzy spoglądał przez ramię za siebie, jakby przyglądał się scenie wymalowanej na sąsiednim naczyniu. W przeciwieństwie do pozostałych dzieci chłopiec miał zamysłony, melancholijny wyraz twarzy.

Obraz na drugiej wazie przedstawiał rzemieślnika, który przechodził właśnie po łukowato wygiętym mostku, kierując się w stronę odległych gór. Wyglądało na to, że rusza w długą, niebezpieczną podróż. Jedną rękę unosił w geście pożegnania. Nie miało się wątpliwości, że jest ojcem chłopca z pierwszego obrazu, przez co scena ta stawała się jeszcze bardziej poruszająca. Mężczyzna, odchodząc, odwracał się, by po raz ostatni rzucić okiem na ukochane dziecko.

Andrew nie mógł oderwać wzroku od waz. Ten, kto zrobił chińską łamigłówkę, stworzył również te dwa obrazy. Człowiek o spokojnej twarzy, który stał na mostku, musiał być samym Czangiem. W tych dziełach jeszcze raz dowodził swojego mistrzostwa. Mimo że każda ze scen miała własne znaczenie, zestawione razem ujawniały prawdziwą głębię i sens wizji artysty.

- Co wiadomo o tych wazach? - zapytał Andrew.

- Wiąże się z nimi taka opowieść - zaczął opiekun. - Pewien znaczny, zamożny kupiec chiński poprosił Czanga, by namalował mu coś na dwóch pięknych wazach. Uparł się przy tym, żeby mistrz uwiecznił na nich samego siebie; sądził, iż dzięki temu naczynia zyskają na wartości. Kiedy jednak ujrzał gotowe obrazy, wpadł w szał. Przedstawiony na obrazie Czang odchodził, zostawiając syna. A w Chinach syn jest największym dobrem w rodzinie, gdyż

pozwała zachować trwałość rodu. Ojciec opuszczający własnego syna to scena tak tragiczna, że nikt nie zechce kupić tych waz. Wściekły kupiec zażądał wyjaśnień.

- I co Czang mu odpowiedział?

- Że namalował dwa piękne obrazy i tylko człowiek zbyt przywiązany do rzeczy doczesnych nie może tego dostrzec. I że nawet najcenniejsze ziemskie dobra należy odrzucić, by wznieść się ponad nie i pojąć ich prawdziwą wartość. Czang zacytował też ponoć słowa słynnego taoisty: „Kto przywiązuje wagę do tego, co na zewnątrz, jest niezdarny w swym wnętrzu”.

- Widzi pan, dla kupca najważniejszy w życiu był majątek. Sądził, że gdy Czang namaluje mu coś na wazach, zyskają jeszcze na wartości. Dla Czanga, artysty, najważniejszy był jego syn. Inni ludzie mogą cenić jeszcze inne rzeczy. Czang jednak usiłował pokazać kupcowi, że pragnąc dóbr materialnych, w istocie je traci, gdyż przestaje doceniać ich znaczenie. Wystarczy jednak oderwać się od nich, porzucić je, by pojąć ich wartość. Pożądanie powinno zostać zastąpione przez zrozumienie.

- Czy to prawdziwa historia?

- Nie wiem. W każdym razie wazy są niezwykle piękne i codziennie je oglądam. - Na chwilę zapadła cisza, a potem starszek dodał: - To niesamowite, jak potrafią przyciągnąć człowieka i nim zawładnąć. Pewien człowiek przychodzi tu każdego roku, siada, przez cały dzień wpatruje się w wazy, a potem wychodzi. Dzieje się tak od ponad dwudziestu lat.

- Kim jest ten człowiek?

- Nie wiem. Nigdy się nie odezwał.

Andrew spojrział na wazy i w nagłym olśnieniu pojął istotę szkatułki Czanga. Łamigłówka i pozycja Mistrza były w istocie jednym i tym samym, pierwsza obrazowała naturę drugiej. Nic nie zawierały - a zarazem zawierały wszystko.

Człowiekiem, który przyjeżdżał obejrzyć wazy, z pewnością był obecny Mistrz.



## ROZDZIAŁ 20

*[Papież] Aleksander VI nic innego nigdy nie czynił, jak tylko oszukiwał ludzi, o niczym też innym nie myślał, a zawsze znajdował sposobność, by to czynić. Nigdy żaden człowiek nie dawał bardziej stanowczych przyrzeczeń, żaden nie potwierdzał czegoś bardziej uroczystymi przysięgami, a żaden mniej nie dotrzymywał; mimo to oszustwa udawały mu się zawsze, gdyż dobrze znał tę stronę świata.*

Niccoló Machiavelli *Księżę*

### **Wrzesień. Panama**

- Pora zaczynać - stwierdził Sebastien.

Tanya wyszła z kuchni swojego mieszkania, niosąc dwie kole z rumem. Postawiła je na stole i usiadła na fotelu naprzeciw Sebastiena, który leżał wyciągnięty na sofie, zasłaniając oczy ręką. Była druga rano. Właśnie przyjechał do Tanyi, która cały czas się zastanawiała, gdzie właściwie się podziewał. Pewnie balował gdzieś z Juanem, dealerem narkotyków, którego nie poznała osobiście, ale o którym dużo jej opowiadał. Nie podobało jej się, że zadaje się z takimi ludźmi. Nie chodziło tylko o ryzyko, jakie ponosił. Zmieniał się także jego stosunek do niej: zrobił się nieczuły, od dawna nawet jej nie dotknął... Ciekawe, czy włączyli się z Juanem po burdelach. Tanya czuła, że oddalają się z Sebastienem od siebie. To było nieuniknione.

Gemma wskoczyła jej na kolana. Przynajmniej był jeszcze ktoś, kto jej potrzebował.

- Tak uważasz? - zapytała Tanya.

- Tak. Mamy coraz mniej czasu. Zostały cztery miesiące, a wciąż nie znaleźliśmy Andrew i Ivana. - Sebastien ziewnął i usiadł. Ciągłe balowanie z Juanem dawało mu się we znaki. - A co? Nie podoba ci się ten pomysł?

- Podoba. Tylko będę tęsknić za Panamą. - Tanya zdała sobie sprawę, że istotnie przykro jej będzie wyjeżdżać z Panama City. Polubiła tutejszy klimat i ludzi. Cóż, jeszcze tu

kiedyś wróci... Oczywiście pod warunkiem że przeżyje, bo zabójca Rekxa wciąż znajdował się na wolności. - Ile pieniędzy jest na koncie?

- W Panamie prawie dwadzieścia milionów, w Szwajcarii jeszcze dwa.

- A my potrzebujemy albo dwudziestu, albo czterdziestu, po dwadzieścia dla każdego z nas.

- Nie możemy czekać, aż uzbiera się czterdzieści milionów - uciął Sebastien. - Poza tym nie sądzę, żeby Gonzalez zamierzał wpłacić na jeden rachunek aż tyle pieniędzy. Dlatego uważam, że trzeba działać teraz. Wyczyszczę mu konto. Bez pieniędzy trudniej będzie mu nas ścigać. Poza tym będzie się musiał gęsto tłumaczyć przed swoimi wspólnikami z Kolumbii - zachichotał.

Wyobrażał sobie też, co stanie się z Juanem, gdy Gonzalez odkryje, że jego pieniądze zniknęły. Ta myśl sprawiła Sebastienowi satysfakcję. Juan dostanie to, na co zasłużył.

- Jak chcesz to zrobić? - spytała Tanya.

Sebastien wyjaśnił jej wszystko krok po kroku, chociaż oczy mu się kleiły. Na kilka dni poleci do Szwajcarii. Powie Tedowi Baxterowi, że wyjeżdża na krótki urlop. W Genewie pójdzie do Banque Lex i zleci przelew wszystkich funduszy z konta Gonzaleza na wskazany rachunek w Nowym Jorku. Poprosi, by przelewu dokonano w określonym dniu. Z Nowego Jorku pieniądze okreśną drogą trafią na konta, które Sebastien otworzył już w Tokio i na Bermudach, a stamtąd - na wspólny rachunek Sebastiena i Tanyi na Kajmanach. Banque Lex nie powinien mieć cienia wątpliwości co do autentyczności dyspozycji, gdyż zna tylko podrobiony przez Sebastiena podpis Gonzaleza. Sebastien postanowił jednak stawić się w banku osobiście, by zlecenie wypadło bardziej przekonująco. Nie mogli sobie pozwolić na żadne uchybienia. Ryzykowali życie.

Tanya pokiwała głową.

- No dobrze, Sebastienie, ale czyje to będą pieniądze? Twoje czy moje?

Sebastien zawahał się. To była bardzo delikatna sprawa. Tylko jedno z nich mogło zwyciężyć w grze o władzę w Akademii i ani myślał ustępować. Był zresztą pewien, że Tanya z czasem mu to wybaczy, a on postara się jej to jakoś wynagrodzić. Na razie jednak nie mogli się pod żadnym pozorem rozdzielać, gdyż na tym etapie była mu niezbędna. Chiński geniusz taktyki, Sun-Cy, twierdził, że najtrudniejsze w czasie wojny są właśnie manewry. Tanya na pewno nie mniej od niego pragnęła zwycięstwa, tak że kłamstwo stanowiło klucz do sukcesu.

- Na razie chyba nie powinniśmy roztrząsać tej kwestii, Tanyu. Grunt, żeby pieniądze przenieść na wspólny rachunek. Wtedy nie będziemy musieli śpieszyć się. Najpierw trzeba zdobyć pieniądze, a potem zdecydujemy, które z nas zostanie zwycięzcą. Nie zapominajmy o

Ivanie i Andrew, a także o Mistrzu. To chyba jasne, że z własnej woli nie ustąpi ze stanowiska.

Tanya poprawiła jedwabną nocną koszulę i skinęła potakująco głową. Rzeczywiście, na razie nie było sensu sprzeczać się z Sebastienem. Cierpliwości.

- Co dalej?

- Po powrocie ze Szwajcarii złożę w US Banku wypowiedzenie i trzy tygodnie później zakończę pracę. Dzień przed moim odejściem dokonamy przelewu, a następnego dnia polecę do Miami. Ty również weźmiesz sobie kilka dni urlopu, a potem innym samolotem dotrzesz na Florydę. Tam uczcimy nasze zwycięstwo, po czym wrócisz do banku i po jakimś miesiącu zrezygnujesz z pracy. Nikt nie może się domyślić, że coś nas łączy. Zanim to wszystko załatwimy, będzie już listopad. Przez ten czas namierzę pozostałych. Spotkamy się w Europie i przedyskutujemy, co z nimi zrobić.

- Dobrze. - Tanya odstawiła szklanę.

Sebastien widział, że coś ją dręczy.

- O co chodzi? - zapytał.

- O nic. To znaczy... boję się, co się stanie, jeżeli Gonzalez albo US Bank dowie się o wszystkim. Gonzalez nas zabije, a US Bank wsadzi do więzienia.

Sebastien roześmiał się w odpowiedzi.

- Nic się nie martw, Tanyu: wszystko pójdzie jak po maśle. Zaufaj mi. - Zdając sobie sprawę, że wcale jej nie przekonał, mówił dalej: - Posłuchaj: nie mamy wyjścia, musimy działać do końca. Jeżeli przegramy, stracimy członkostwo w Akademii, a może i życie. A jak któreś z nas zasiądzie w fotelu Mistrza, oboje wygramy wielki los na loterii.

- A gdybyśmy jednak chcieli teraz zrezygnować?

- Świetny pomysł - stwierdził sarkastycznie Sebastien. - Wystawimy się na strzał, nie dostając nic w zamian. Naprawdę myślisz, że pogodziliby się z tym, że wycofujemy się z gry? A co ze śmiercią Reksa? Poza tym wyobraź sobie, że złamiemy przysięgę i powiemy światu o konkursie. Kto nam uwierzy? Akademia wszystkiego się wyprze, a my nie mamy ani dowodów, ani wpływów na świecie. Wygląda na to, że Max Stanton właśnie tego spróbował, i jak skończył? Powinniśmy chyba przede wszystkim starać się wygrać, nie uważasz? Postanowiliśmy wziąć udział w grze, to teraz musimy pogodzić się z konsekwencjami. Ja się nie wycofam. I wszystko pójdzie zgodnie z naszym planem, obiecuję. Nic się nie bój.

Tanya nagle poczuła się bardzo zmęczona. Nawet jeżeli ich manewr się powiedzie, pozostawało jeszcze kilka wątpliwych spraw. Postanowiła zmienić temat:

- Naprawdę sądzisz, że Mistrz też bierze udział w konkursie?

Sebastien znowu przymknął oczy.

- To bardzo trudne pytanie, Tanyu, na które wciąż nie znam odpowiedzi. Niełatwo jest poznać prawdę o Mistrzu. No bo co my o nim wiemy? Trzydzieści lat temu był Adeptem. Wystartował w konkursie na stanowisko Mistrza, podobnym - jak sądzę - do tego, w którym teraz bierzemy udział. Zasady gry ustalają Arbitrzy, nie Mistrz. Ale czy to oznacza, że on nie bierze w niej udziału? Nie wiem. Musimy na niego uważać. To nasz najgroźniejszy przeciwnik. Zna wszystkie sekrety władzy, umie się nią posługiwać, ma ogromne wpływy i możliwości.

- Czy twoim zdaniem Mistrz jest złym człowiekiem?

Sebastien przygładził włosy.

- Czym jest dobro i zło w kontekście władania Akademią? To tak, jakbyś pytała, czy papież jest dobry, czy zły. Chodzi o konkretnego człowieka czy o jego urząd? Jako przedstawiciel Boga na ziemi papież teoretycznie nie może czynić zła. Niemniej jednak średniowieczni papieże, zwłaszcza ci z rodu Borgiów, trochę inaczej pojmowali swoją rolę: seks był dla nich ważniejszy od wiary, a morderstwo od mszy. Piękne czasy, co? Mistrz z pewnością jest jednym z najgenialniejszych żyjących ludzi i ma władzę, o jakiej nam się nawet nie śniło. Nie wolno go lekceważyć.

- Użyje wszelkich środków, by wygrać?

- O tak, z pewnością. Nie zawaha się ani chwili, jeżeli w ten sposób będzie mógł utrzymać się na szczycie. Wyobraź sobie, że jesteś Mistrzem. Służąc radą i dostarczając informacji głowom państw, masz ogromną władzę, która czasem wymaga od ciebie bezwzględności. Im większa władza, tym okrutniejsze decyzje podejmujesz. Tak już jest. Poza tym w tej grze może być tylko jeden zwycięzca.

- Czy posiadanie władzy wiąże się z zabijaniem?

- Tak. W ostatecznej rozgrywce może do tego dojść. Nie mów mi, że o tym nie wiesz, Tanyu.

Zapadła cisza. Sebastien nalał sobie nowego drinka. Oboje wiedzieli przynajmniej, na czym stoją. Droga do Akademii nie była usłana różami.

## **Październik. Szwajcaria**

- Dyrektor zaraz się z panem spotka.

Wnętrze Banque Lex w niczym nie przypominało banku, wyglądało raczej jak dziewiętnastowieczny dom w dobrej genewskiej dzielnicy. Dzieje banku sięgały czasów i

tradycji, które już niemal odeszły w zapomnienie - kiedy klienta traktowano z uprzedzającą grzecznością i należnym szacunkiem. Sebastien podziwiał wymalowane na suficie cherubinki, połyskujące w świetle olbrzymiego kryształowego żyrandola. Był zadowolony, że właśnie taki bank wybrał dla Gonzaleza. Świadczyło to o jego dobrym guście. Narkobaron pozostawił po sobie choć jedno dobre wspomnienie.

- Señor Gonzalez!

Dyrektor szedł w jego stronę po czerwonym dywanie, zgarbiony w ukłonie. Ujął dłoń Sebastiena i uściśnął delikatnie, jak relikwię. Nic dziwnego, skoro mamona była jego bóstwem.

- To wielki zaszczyt gościć pana u nas, naprawdę wielki zaszczyt.

Sebastien uśmiechnął się w odpowiedzi i chwilę później gawędzili swobodnie jak starzy przyjaciele. Wystarczy parę milionów dolarów i każdy zostanie twoim przyjacielem. Zwłaszcza jeśli jest dyrektorem banku.

- Chciałem porozmawiać o moim rachunku u państwa.

- Ależ naturalnie, proszę pana.

Dyrektor zaprosił Sebastiena do małego pokoiku, gdzie natychmiast zjawił się służący w liberii, podając herbatę i czekoladki.

- Postanowiłem przenieść część pieniędzy na inne konto.

- Nie będzie z tym żadnego problemu, proszę pana. Proszę nam tylko powiedzieć, kiedy mamy dokonać przelewu.

Sądząc po kroju garnituru, señor Gonzalez miał znakomity gust. Ponadto doskonale mówił po angielsku, bez cienia hiszpańskiego akcentu. Jego referencje z US Banku również były bez zarzutu. Wyglądał jeszcze bardziej dystyngowanie niż na zdjęciu. Idealny klient.

- Za trzy tygodnie wpłynie na mój rachunek znaczna suma z US Banku w Panamie. Chciałbym, żebyście państwo przelali wtedy dwadzieścia dwa miliony dolarów na wskazane przeze mnie konto. Zaraz panu wyjaśnię dlaczego. - Pochylili się do siebie jak spiskowcy. - Moja żona odkryła, że trzymam pieniądze tutaj i w Panamie.

Twarz dyrektora wyrażała pełne zrozumienie dla klienta. Nie potrzebował dalszych wyjaśnień.

- Oto szczegółowe instrukcje - ciągnął Sebastien. - A to konto, na które proszę dokonać przelewu niezwłocznie po otrzymaniu pieniędzy. Naturalnie nie zamierzam likwidować rachunku w Banque Lex. - Uśmiechnął się uprzejmie. - Zamierzam nadal lokować tu pieniądze, choć zapewne mniejsze sumy, w sam raz na użytek żony. - Mrugnął porozumiewawczo.

- Świetnie pana rozumiem - przytaknął dyrektor. Ach, ci multimilionerzy i ich chciwe żony! Odwieczny problem, którego plebs nie był w stanie zrozumieć.

Załatwiwszy przyziemne interesy, zaczęli rozmawiać o sytuacji politycznej w Szwajcarii. Tutaj nic nie zmieniło się od dwustu lat.

Sebastien pożegnał się i wyszedł. Dyrektor patrzył przez okno, jak lokaj odprowadza go pod parasolem do wynajętego rolls-royce'a. Sebastien pomachał mu ręką na pożegnanie i wsiadł do samochodu.

Prawdziwy dżentelmen, pomyślał dyrektor. I jak świetnie zna Szwajcarię. Można by pomyśleć, że tu mieszka. To czysta przyjemność prowadzić interesy z takimi ludźmi. Señor Gonzalez na długo pozostanie mu w pamięci.

Tydzień po powrocie z urlopu w Szwajcarii Sebastien złożył rezygnację w US Banku. Dyrektor oddziału przyjął jego decyzję obojętnie, natomiast Ted, szef działu wkładów certyfikowanych, był niepokieszony. Tak dobrze im się razem piło... Z prawdziwym żalem wpisał sobie do terminarza datę odejścia Sebastiena: 25 października. Trzeba będzie zorganizować pożegnalną bibkę. Akurat skończy spotkania w klubie Anonimowych Alkoholików. Ted usiadł na stołku przy barze w klubie golfowym, patrząc, jak wypielęgnowany trawnik tonie w strugach wody. W Panamie trwała jeszcze pora deszczowa. Przeklęta pogoda!

Po jaką cholerę Sebastien chciał się przenieść do innego banku? I to do Australii! Co mu się nie podobało w Panamie? A, do diabła z nim!

Ted zamówił następną szklaneczkę.

### **Środa, 25 października**

Ostatniego dnia pracy w US Banku Sebastien przyjechał wczesnym rankiem do mieszkania Tanyi, żeby ustalić szczegóły działania. Po krótkiej wymianie zdań Tanya odprowadziła go do drzwi.

- Na pewno wiesz, co robisz, Sebastienie? - zapytała. Od dawna bała się nadejścia tego dnia, a gdy nastał, rzeczywistość przeraziła ją jeszcze bardziej. Wszystko przez Akademię.

- Spokojnie. - Sebastien uśmiechnął się niedbale. - Na pewno masz drugą część kodu, żeby potwierdzić zlecenie przelewu?

- Tak. Carole załatwia setki przelewów dziennie. Kiedy za tydzień będzie weryfikować zlecenia z tego tygodnia, nie pozna, przy którym sama wpisała swoją część kodu, a przy którym ja to zrobiłam. Wszystko przemyślałam. Możesz mi zaufać.

Właśnie: zaufanie. Czy naprawdę ufali sobie nawzajem? Jeżeli któreś z nich popełni błąd, plan legnie w gruzach. Co będzie, jeśli Tanya zrobi przelew, a potem zostawi Sebastiena na łodzi? Albo jeżeli Ted nie da się nabrać na rzekomy list od Gonzaleza?

Pocałowali się.

- Na razie, Sebastienie. - Tanya miała mętlik w głowie: zdradzi ją czy nie?

- Na razie.

Kiedy Sebastien dotarł do banku, Ted już na niego czekał: leżał u siebie na kanapce i drzemał. Wyglądał fatalnie. Natychmiast wstał i zaczął się tłumaczyć, że musiał się przespać, żeby lepiej znieść trudy nadchodzącego dnia. Sebastien wiedział jednak, że senność Teda wynika raczej z trudów dnia poprzedniego. Do rana siedzieli w klubie golfowym i pili bez wytchnienia. Sebastienowi zależało na tym, żeby w kluczowym momencie Ted nie wykazał się nadmierną czujnością. Przez cały poranek nie spuszczał wzroku z zegarka. Czas jak na złość włókł się niemiłosiernie, ale w końcu wybiła oczekiwana godzina i Sebastien wziął się do pracy.

Tuż przed lunchem podsunął Tedowi kilkanaście formularzy, każdy opatrzony podpisem klienta. W środek stosu wsunął list z podrobionym własnoręcznie podpisem Gonzaleza ze zleceniem przelewu dwudziestu milionów dolarów do Szwajcarii. Ted chwiejnym krokiem podreptał z dokumentami do biura dyrektora, żeby posprawdzać podpisy, i wkrótce wrócił. Sebastien poczuł na ramieniu żelazny uścisk jego dłoni.

- Mogę cię prosić do mojego gabinetu?

Serce podeszło mu do gardła. Ted patrzył na niego ze śmiertelną powagą. Sebastien wstał i ruszył za nim. Miał wrażenie, że to jakiś koszmarny sen. Coś nie wyszło, pewnie zadzwonili do Gonzaleza. A może Tanya go sypnęła? Zerknął w stronę drzwi. Mógłby stąd wybiec, ale czy wy dostałby się z banku?

- Chyba wiesz, o czym chciałem z tobą porozmawiać, prawda? - zapytał Ted, zamykając drzwi, żeby nikt nie słyszał ich słów. Łatwo było poznać, że jest zdenerwowany.

- Wolałbym nie zgadywać.

- Nie uda ci się tak łatwo wymknąć - stwierdził Ted. - Wszystko zaplanowałem.

- Zaplanowałaś?

- Twój ostatni wieczór. Zabieram cię do Las Cumbres. Striptiz poprawi ci nastrój przed zmianą pracy. Nie odmawiaj mi. - Ted uśmiechnął się i podniósł ręce w obronnym geście. - Muszę ci jakoś podziękować za zastępstwo przy certyfikatach, kiedy leżałem w szpitalu.

Upłynęło wiele czasu, zanim na stęzałej w niepewności twarzy Sebastiena pojawił się

uśmiech.

- Ted... - mruknął Sebastien. - Masz pomysły!

- Wiedziałem, że ci się spodoba. - Ted zatarł z zadowoleniem rękę. Czekał go wesóły, zakrapiany wieczór. Będzie też mógł użyć tej części ciała, której zapomniał przy żonie. - A, masz tu te papiery. - Podał Sebastienowi formularze i złapał się za obolałą głowę. - Prześlij je do działu wypłat. Wiesz co? Wyjdźmy dziś wcześniej z biura, dobrze?

- Z przyjemnością - zgodził się Sebastien. Zgarnął właśnie dwadzieścia dwa miliony z konta señora Gonzaleza i miał szczerą ochotę zakończyć na tym karierę bankowca. Chciwość może być zgubna. Grunt to zachować umiar.

Tymczasem w dziale wypłat Tanya wprowadzała do komputera zlecenia dziesiątek klientów, którzy wysyłali pieniądze w najróżniejsze części świata. Kiedy do jej rąk trafiło pewne szczególne zlecenie, wpisała własny szyfr. Szybko wsunęła dyskietkę do komputera i po kilku sekundach na monitorze wyświetlił się kod, którego używała Carole do potwierdzania zleceń w sieci międzybankowej. Tanya zapamiętała go i wpisała z klawiatury, żeby mieć pewność, iż Carole nie zakwestionuje przelewu. Pieniądze Gonzaleza ruszyły w drogę.

Łatwa forsa, łatwa ucieczka.

Sebastien miał zapamiętać Las Cumbres na resztę życia. Leżał wygodnie na skórzanej kanapie i patrzył, jak piękne Wenezuelki zrzucają i tak skąpe już stroje, kołysząc się w rytmie samby. Przypomniało mu się przyjęcie w hotelu w Kolumbii. Pomyślał, że będzie tęsknił za Ameryką Łacińską; tyle rzeczy w niej polubił.

Patrzył, jak Ted chwiejnym krokiem idzie od strony baru, niosąc kolejnego drinka. Biedny dureń, wkrótce zapije się na śmierć. Wiedział, że Ted nie zamierza zmienić stylu życia. Ciekawe, że kiedy człowiek wejdzie na drogę wiodącą do samozniszczenia, podąży nią tak szybko. Nie sposób odwieść go od podjętej decyzji. Z konkursem o Akademię było tak samo.

- Twoje zdrowie, Ted. Strzemiennego.

Pożegnali się w drzwiach klubu. Tak chyba było najlepiej.

- Do widzenia, Sebastienie. I powodzenia.

- Dzięki. - Sebastien uściśnął trzęsącą się dłoń Teda. Chciał jak najszybciej wyjechać.

- A, jeszcze coś do ciebie miałem... Tylko co? Nie pamiętam.

- Nie przejmuj się. - Sebastien zaczął schodzić po schodach.

- Nie, nie... A, już wiem. To dziwne... Szedłem dziś po południu korytarzem, już



miałem wychodzić, kiedy... - Ted beknął głośno. - Zatrzymał mnie jeden z gońców. Wiesz, oni zanoszą formularze z certyfikatów na górę. Ten się nazywał Fernando... Fernando jakiś tam. W każdym razie był strasznie przejęty, mówił coś o przelewie z rachunku certyfikowanego Gonzaleza. Chciał, żebym zadzwonił do Gonzaleza i sprawdził zlecenie. - Kolejne beknięcie. - Przepraszam. Nie miałem pojęcia, co on tam plecie, więc powiedziałem mu, że to nie jego sprawa.

- I co, zadzwonił do Gonzaleza? - spytał Sebastien. W gardle mu zaschło, pewnie od nadmiaru szkockiej.

- Nie wiem, ale wątpię. Przecież on się tym nie zajmuje.

Sebastien zaśmiał się nieszczerze.

- Eee tam, chyba nie ma się czym martwić. Wysłałem już Gonzalezowi potwierdzenie przelewu. Kopia jest w papierach. Przeniósł część pieniędzy na konto w Szwajcarii. Nie ma powodów do zmartwień.

- To dobrze, też tak pomyślałem. No, do widzenia. I wszystkiego najlepszego, Sebastienie. - Ted zasalutował mu pustą szklaneczką i wrócił do tancerek.

Sebastien wszedł do samochodu. Zauważył, że ręce mu się trzęsą - prawie niedostrzegalnie, ale jednak...

Señor Gonzalez wzbogacił się nie tylko dlatego, że był z natury okrutny. Z góry zakładał, że każdy jest taki jak on i może go oszukać przy byle okazji. W wypadku Sebastiena uznał, że zadowoli się on „prowizją”, o ile nie będzie miał szansy położyć łapy na jego fortunie. To zaś wydawało się niemożliwe, gdyż US Bank uchodził za instytucję powszechnie szanowaną i działał zgodnie z prawem. Poza tym, skoro każdy przelew musiał być potwierdzony odręcznym podpisem Gonzaleza, system wyglądał na świetnie zabezpieczony. Niemniej jednak, kierując się wrodzoną ostrożnością, Gonzalez postanowił się dodatkowo zabezpieczyć i opłacił jednego z gońców. Dał mu proste zadanie: przy przenoszeniu zleceń z działu wkładów certyfikowanych do działu wypłat miał zwracać uwagę na wszystkie dokumenty dotyczące jego konta i informować go o nich telefonicznie. Dzięki temu Gonzalez mógł na bieżąco kontrolować, czy jego zlecenia są wykonywane. Do tej pory wszystko było w porządku.

Gonzalez wyciągnął się na łóżku. Zawód barona narkotykowego miał swoje minusy - w życiu nic nie jest doskonałe, chociaż musiał przyznać, że taka praca ma również swoje zalety. Jeżeli człowiek dobrze znosił stres i umiał podejmować trudne decyzje, mógł z tego fachu wyżyć, pod warunkiem że nie pozwoli sobie ani na chwilę nieuwagi. Nie był objęty

ubezpieczeniem społecznym, a życie w każdej chwili mogło mu się nieoczekiwanie skomplikować.

- Hej, *guapa!* Chodź do łóżka!

Właśnie spędzał urlop w Medellin w towarzystwie swojej ulubionej kochanki. Czego chcesz więcej?

- No, chodź już!

- Chwileczkę! Muszę się uczesać.

Szlag by trafił te baby! Po diabła się czeszą, idąc do łóżka?

Seks to jedna z największych przyjemności w życiu, chociaż nie największa. Z czasem jednak tracił część swego uroku, choćby nie wiadomo, jak człowiek starał się go urozmaicić. A Gonzalez musiał jeszcze uważać na swój kręgosłup i bolące schorowane korzonki nerwowe. Poza tym każdy kiedyś się znudzi nawet największym haremem. Pozostawały pieniądze. Kiedy masz kilkaset dolarów, rozmyślał Gonzalez, krzywo na ciebie patrzą na ulicy. Kiedy zarobisz milion, zaczynają traktować cię uprzejmie. Gdy masz dziesięć milionów, tak włożą ci w dupę, że rano nie możesz spokojnie pierdnąć. Chociaż w ostatecznym rozrachunku pieniądze też traciły na atrakcyjności. Nie można bez końca się obżerać i kupować coraz to nowych dupereli.

- Już pędzę, kochanie!

Władza - o, to zupełnie co innego. Miło zabawić się z dziewczynami, wydawać pieniądze, ale władzą można rozkoszować się wiecznie. Władza dostarcza nieskończonych rozkoszy i smakuje zawsze tak samo, cokolwiek by człowiek robił. Wioskowy klecha marzy o tym, żeby zostać papieżem, drobny złodziejasek chciałby stać się grubą rybą, a szaraczek z dołów firmy myśli o tym, jak to jest być szefem. Na całym świecie wygląda to dokładnie tak samo.

- Prawie skończyłam!

Pod tym względem Gonzalez nie różnił się od innych ludzi. Teraz miał tyle pieniędzy, że sam prezydent Kolumbii uważał go za kumpla. Jeszcze parę lat i Gonzalez mógłby zająć jego miejsce. A wtedy co? Wiadomo: wojaże zagraniczne, dostęp do skarbcza, wszystkie kobiety na zawołanie, każde życzenie spełnione. Tak już jest na tym świecie. Władza. Płotka chce być grubą rybą, a gruba ryba - wielorybem. W niebie pewnie jest identycznie; każdy chce się nachapać władzy. Bóg dobrze o tym wiedział. Dał ludziom Biblię i parę słów zachęty, ale nie oddał stołka. Rozsądny gość. Cisi powinni zapomnieć o królestwie niebieskim. Palanty.

- No, jestem.

Gonzalez porzucił filozoficzne rozmyślania, koncentrując się na rzeczywistości. Lubił kobiety o dużych piersiach i solidnych udach, dziewczyny z południowoamerykańskiego snu. Im większe, tym lepsze.

- Ja będę na górze.

- Nie, teraz moja kolej.

Łóżko zaczęło trząść się i pojękiwać, lampka na nocnym stoliku podrygiwała miarowo. Gonzalez był zadowolony. Kto powiedział, że potępiony nie zazna spokoju? Skupił się właśnie bez reszty na tym, co robił, gdy zadzwonił telefon.

- Kto mówi, do jasnej cholery? - warknął. - Nie mam czasu!

- Fernando Lambada, señor. Pieniądze wpłynęły na pańskie konto w Szwajcarii.

- I dobrze! Spadaj, dupku!

Gonzalez stęknął i rzucił słuchawkę, wracając do przerwane zajęcia. Dopiero jakieś dwie minuty później jęknął rozpaczliwie.

- Ja jeszcze nie doszłam, kotku - poskarżyła się dziewczyna.

Gonzalez zaskowyczał jak raniony zwierz. Oczy miał szkliste, twarz nabiegła mu krwią. Kochanka złapała go z całej siły, nie rozumiejąc, co się dzieje. Czują, jak się z niej wysliznął, a potem oklapł bezwładnie. Boże, dostał zawału, czy co? Co powiedzą jego żonie? Mniejsza o żonę: czy ona sama zachowa diamentowy naszyjnik, który jej dał?

- Ktoś ukradł moje pieniądze - wysapał z wysiłkiem Gonzalez. Odepchnął dziewczynę i rzucił się do telefonu.

Sebastien fachowo, z poślizgiem wszedł w zakręt i jaguar wjechał w Avenida Balboa, a zaraz potem w Avenida Nacional.

- Jak Gonzalez dowiedział się o tym? - Tanya pobladła jak ściana.

Sebastien w kilku zdaniach wyjaśnił jej sytuację.

- Co zrobimy, Sebastienie?! I co on nam zrobi?

Sebastien pędził na złamanie karku, żeby jak najszybciej wydostać się z Panama City, gdzie musiało się roić od ludzi Gonzaleza. Chiński mistrz taktyki Sun-Cy powiedział: „Unikaj spotkania z nim tam, gdzie jest silny”.

Właśnie: jeśli miało dojść do konfrontacji, niech stanie się to na gruncie mniej znanym Gonzalezowi. Sebastien spojrzał na Tanyę.

- Porty i lotniska odpadają: na pewno zaraz wyśle tam swoich ludzi. Zostaje nam autostrada panamerykańska, którą możemy pojechać na południe do Kolumbii albo na północ do Kostaryki. Co wolisz? Jedziemy do Kolumbii? Moglibyśmy odwiedzić Gonzaleza na

ranczu. - Roześmiał się.

- Nie wygłupiaj się - skarciła go zła i wystraszona Tanya. - Bo oboje przez ciebie zginiemy.

- No dobrze. Kolumbia odpada, więc jedziemy do Kostaryki.

- A potem?

- Zmiana planów wakacyjnych. Jedziemy do Kostaryki zamiast na Florydę i na parę dni przyczaimy się. Potem ty wrócisz do banku. Nie powinnaś się tu kręcić, kiedy Gonzalez przyjedzie do Panamy.

- Jak go zgubimy?

- Nic się nie bój. - Sebastien całkowicie spowaźniał. Wjechali na most i ruszyli w stronę autostrady. - Sam się nim zajmę. Już niedługo.

- A jeśli nas znajdzie?

Spojrzała mu przelotnie w oczy, gdy podniósł wzrok. Nie musiała powtarzać pytania: znała już odpowiedź.

- Na twoim miejscu spróbowałbym się przespać - poradził jej Sebastien. - Do granicy mamy osiem godzin jazdy.

Zerknął na zegarek: dochodziła północ. Gonzalez zjawi się w Panamie najwcześniej o ósmej rano, kiedy zacznie działać lotnisko. A wtedy rozpęta się tu piekło. Wcisnął mocniej pedał gazu i jaguar jeszcze przyspieszył. Wjeżdżali na autostradę panamerykańską.

Zapowiadał się ciekawy dzień: albo w kilka godzin wydobiją się z Panamy, albo rzucają ich psom na pożarcie.

Prywatny odrzutowiec leciał bardzo szybko, choć nie dość szybko dla Gonzaleza. Zastrzeliliby pilota, gdyby mógł w ten sposób przyspieszyć lot, ale wiedział, że tylko by go opóźnił i w dodatku zachlapałby krwią tapicerkę z jagnięcej skóry. Lot z Kolumbii do Panamy trwał dwie godziny. Przez cały ten czas Gonzalez nie odchodził od telefonu i planował zemstę. W swojej rozgorączkowanej wyobraźni obmyślał wszelkie możliwe okrucieństwa i tortury, dopracowując każdy najdrobniejszy szczegół. Ledwie samolot wylądował w Panamie, Gonzalez wysiadł z niego, prowadząc swoją sforę. Była sobota rano, krótko po ósmej. Wskazał dwóch barczystych ochroniarzy.

- Juan, weź tych dwóch i idźcie do domu Sebastiena. Macie mi go przyprowadzić żywego, ale nie cackajcie się z nim. Sprowadźcie go do samolotu. Poza tym zabijcie każdego, kogo tam zastaniecie. Wy idźcie ze mną.

Wsiadł w taksówkę i pałając żądzą mordy, kazał się zawieźć do US Banku. W

towarzystwie obstawy wbiegł po schodach. Odźwierny wysłuchał go cierpliwie i grzecznie odparł:

- Przykro mi, proszę pana, ale dziś może pan tylko zdeponować u nas pieniądze. Jeżeli chce pan rozmawiać z dyrektorem, proszę przyjść w poniedziałek.

Gonzalez bez słowa wepchnął go do holu i przewrócił na ziemię.

- Jeżeli się ruszy, zabijcie go - polecił jednemu ze swoich ludzi i skierował się do windy.

Ach, te sobotnie poranki... Były tak cudowne, jakby sam Bóg je wymyślił. Doug Sullivan siedział wygodnie rozparty w fotelu. W poczcie nie przyszły żadne ważne wiadomości, żona pojechała na zakupy... Piękna sobota.

Pstryknął interkomem i zwrócił się do sekretarki:

- Suzanne, powiedz Tedowi, że za dwadzieścia minut spotkamy się w klubie. Tylko żeby był trzeźwy.

Wyjął z szafki kije do golfa. Sobotnia partyjka golfa - czy można lepiej cieszyć się życiem? Pogwizdując, podszedł do drzwi, otworzył je i zamarł bez ruchu. Dopiero po chwili jego umysł zarejestrował obecność grupy ludzi, którzy nie wiadomo skąd zjawili się w biurze. Nie ulegało wątpliwości, że na razie może zapomnieć o golfie.

Gonzalez wpadł do jego gabinetu.

- Gdzie moje pieniądze, ty *hijo deputa!*? - ryknął, podstawiając dyrektorowi pod nos numer konta.

Oszołomiony Doug Sullivan przyjrzał się intruzowi. Gonzalez wyglądał tak, jakby miał zaraz dostać zawału. W kącikach ust zebrała mu się piana, oczy pałały nienawiścią. Doug jednak zachował spokój. Wiedział, jak nieprzyjemni potrafią być klienci. Zebrał rozrzucone papiery i usiadł przy biurku. Dyskretnie wcisnął guzik umieszczony z boku fotela, a potem, starając się zapanować nad drżeniem rąk, włączył interkom.

- Suzanne? Przynieś mi dokumentację rachunku certyfikowanego numer 116202339 i kartę wzorów podpisów. - Skinął na nieproszonych gości. - Proszę, siadajcie panowie.

Po chwili miał już na biurku dokumentację konta Gonzaleza.

- O co chodzi, panie...

- Gonzalez. Ktoś wyciągnął pieniądze z mojego konta.

- Zgadza się: wczoraj z pańskiego rachunku w Panamie przelano dwadzieścia milionów dolarów na wskazane przez pana konto w Szwajcarii.

- Nie wydałem takiego polecenia.

- Musiał pan o tym zapomnieć - zauważył uprzejmie dyrektor. - Oto list z poleceniem przelewu. - Wyjął z teczki kartkę papieru.

Gonzalez wyrwał mu ją z ręki i wybałuszył oczy.

- To nie jest mój podpis! - zawył, trzęsąc się ze złości.

Dyrektor nie posiadał się ze zdumienia. Nie ulegało wątpliwości: to naprawdę jakiś wariat.

- Co pan przez to rozumie, señor Gonzalez? Ten sam podpis widnieje na wszystkich zleceniach, jak również... - Dyrektor przekartkował papiery. - Jak również na formularzach wypełnionych przy otwarciu rachunku.

W tym momencie Gonzalez przestał nad sobą panować. Wyciągnął zza pazuchy pistolet i wycelował go dyrektorowi w czoło. Wszyscy zamarli. Gonzalez obliznął wargi, jak wilk szykujący się do pożarcia zdobyczy.

- Proszę dać mi tę teczkę - powiedział i wziął dokumenty z biurka. Zerknął na nie i rzucił je na podłogę. - Tu nie ma ani jednego mojego podpisu! Oddajcie mi pieniądze!

Dyrektor z trudem przełknął ślinę. Zdarzało mu się mieć do czynienia z różnymi klientami. Był śmiertelnie przerażony, ale nie tracił nadziei, że uda się załatwić sprawę. Przecież señor Gonzalez jest biznesmenem.

- To pański rachunek, señor Gonzalez, prawda?

- Tak.

- W przeszłości zlecał nam pan już przelewy z tego rachunku na pańskie konto w banku w Szwajcarii, zgadza się?

- Tak.

- I nie miał pan żadnych zastrzeżeń do funkcjonowania naszego banku, prawda?

- Tak.

- Rozumiem - powiedział dyrektor, nic nie rozumiejąc. - Zgodził się pan ze mną, że do tej pory wykonywaliśmy pańskie zlecenia bez zarzutu, tak? Doskonale. Teraz jednak twierdzi pan, że nie wydał pan polecenia przelewu pieniędzy na konto w szwajcarskim banku. Jeżeli nawet rzeczywiście zaszła jakaś pomyłka, pieniądze są do odzyskania. Wystarczy skontaktować się z Banque Lex i poprosić o przesłanie ich z powrotem.

- Nie mogę tego zrobić! - zakwiczął histerycznie Gonzalez. - Te pieniądze zniknęły! Banque Lex twierdzi, że dokonał przelewu zgodnie z moimi instrukcjami!

Dyrektor mimo woli się uśmiechnął.

- Skoro tak, señor Gonzalez, nie pozostaje panu nic innego, jak zwrócić się z prośbą o wyjaśnienia do Banque Lex. Nie jesteśmy w stanie panu pomóc. Przyznam jednak, że

zaczynam powątpiewać, czy rzeczywiście jest pan właścicielem tego rachunku. Proszę się podpisać, żebym mógł porównać pański podpis z kartą wzorów.

Wyjął z kieszeni długopis i położył go na biurku. Zapadła pełna wyczekiwania cisza. Gonzalez zrozumiał, że tym razem przegrał.

- Jeżeli chce pan złożyć skargę na funkcjonowanie US Banku, proszę przyjść w poniedziałek, señor Gonzalez. - Dyrektor powoli odzyskiwał pewność siebie. - Władze Panamy sprawdzą prawdziwość pańskich oskarżeń. Będzie pan musiał oczywiście udowodnić, że jest pan właścicielem wkładu, a także udokumentować pochodzenie pieniędzy.

Jeden z ochroniarzy szepnął coś Gonzalezowi do ucha: ktoś w banku włączył alarm i wkrótce na miejscu zjawią się uzbrojeni policjanci. Gonzalez rzucił dyrektorowi nienawistne spojrzenie i wybiegł z banku. Dopiero na lotnisku, wsiadając do samolotu lecącego do Szwajcarii, zwrócił się do swoich ochroniarzy.

- Znajdźcie mi Sebastiena - warknął. - I zabijcie go. Macie go przepuścić przez maszynkę do mięsa, tylko na wolnych obrotach.

Sebastien nachylił się nad Tanyą, pogłaskał ją po twarzy i pocałował w czoło. Była taka piękna.

- Chyba mamy mały problemik.

Zajechali do Paso Canoa, miasteczka na granicy z Kostaryką. Samochody osobowe i ciężarowe czekały w długiej kolejce do odprawy celnej i paszportowej. Sebastien wyszedł rozprostować nogi, zostawiając śpiącą Tanyę. Teraz wrócił i ją obudził.

- Przynoszę złe wieści: policja węszy po samochodach. Mają mój rysopis. Nasz przyjaciel Gonzalez musiał się zwrócić do wysoko postawionych przyjaciół.

- Co robimy? - Tanya zeszywniała. Wrócił lęk.

Sebastien wyjął ze schowka mapę. W Paso Canoa znajdowało się jedyne lądowe przejście drogowe między Panamą i Kostaryką. Samoloty odpadały, bo Gonzalez na pewno rozstawił już swoich ludzi na lotniskach. Nie pozostawało nic innego, jak przejść pieszo przez dzikie góry. Zerknął na Tanyę, która miała na sobie cienką bawełnianą sukienkę.

- Niedaleko stąd, w górach, jest hotel - powiedział. - Zatrzymamy się tam na jakiś czas. Musimy porozmawiać.

Wsiadł do samochodu.

Nieduży, luksusowy hotel w Cerro Punto chętnie odwiedzali w lecie zamożni turyści, którzy chcieli połowić pstrągi i pooddychać świeżym górskim powietrzem, podziwiając piękną scenerię. W linii prostej, przez góry, od granicy z Kostaryką było stąd trzydzieści

kilometrów.

Jechali do Cerro Punto krętą górską drogą. Sebastien zatrzymał wóz w połowie drogi.

- Lepiej, żeby nas razem nie widziano, Tanyu. Gonzalez na razie nic o tobie nie wie. Pojadę i zarezerwuję pokój dla jednej osoby. Ty pójdziesz pieszo, wejdiesz do baru i zamówisz drinka. Przechodząc obok, podam ci numer pokoju. Dziesięć minut później spotkamy się tam.

Jakiś czas później Sebastien wszedł do hotelu i powiedział w recepcji, że chce wynająć pokój na kilka dni, żeby powędkować. Podał fałszywe dane osobowe.

Podenerwowany recepcjonista zerkał niepewnie na zaparkowanego na podjeździe jaguara. Ludzie Gonzaleza już szukali tutaj tego człowieka. Sebastien miał wrażenie, że właśnie wbito pierwszy gwóźdź do jego trumny.

Kiedy Tanya weszła do pokoju, Sebastien przygotowywał sobie mały pakunek. Tanya nie wierzyła, że mu się uda. Patrzyła na niego z bólem, jakby chciała się pożegnać na zawsze. Sebastien wstał i przytulił ją. Wiedział, że nie ma odwrotu, ale nie wpadał w panikę.

- Powinnaś stąd zniknąć, Tanyu. Idź do wsi przy drodze i złap autobus do Paso Canoa. O trzeciej odjeżdża stamtąd autokar do Kostaryki. Przekrocz granicę. Gonzalez cię nie szuka, więc nic ci nie grozi, ale na wszelki wypadek nie jedź samochodem.

- A co ty zrobisz?

- Zaraz ruszam w góry. Będę musiał rozprawić się z ludźmi Gonzaleza. - Sebastien wyjął z walizki plik papierów. - Spotkamy się za dwa dni w umówionym miejscu w San Jose.

- A jeśli nie przyjdiesz?

Sebastien usiadł na łóżku: nadszedł czas, żeby stawić czoło faktom.

- Jeśli nie przyjdę, to znaczy, że nie ma mnie już wśród żywych. Co wtedy zrobisz?

- Nie wiem. - Twarz Tanyi poszarzała. - Nie myślałam o tym.

- No to teraz będziesz musiała się nad tym zastanowić - stwierdził spokojnie Sebastien. - Nawet jeżeli umrę, życie będzie się toczyć dalej. Powinnaś wykorzystać urlop do końca, wrócić do banku i po paru tygodniach złożyć wymówienie. Potem spróbuj znaleźć pozostałych.

Sebastien związał pakunek, zostawiając na łóżku otwartą walizkę. Starał się zachować spokój, ale głos mu się załamywał.

Tanya nie odrywała od niego wzroku. Oparła się o futrynę, po policzkach płynęły jej łzy.



- Nie wiem, czy chcę grać dalej - powiedziała cichym głosem.

- Tanyu... - Sebastien wstał i przytulił ją mocno, nie mając ochoty wypuszczać jej z objęć. Poglaskał ją po włosach, kiedy zaczęła szlochać. Łagodny, ulotny zapach perfum podkreślał beznadziejność jego sytuacji. Wtulił twarz w jej włosy. Oboje zdawali sobie sprawę, że mogą się więcej nie zobaczyć. W sercu Sebastiena pojawił się cień wątpliwości - czyżby jednak miał przegrać? Czy Akademia, którą miał już w zasięgu ręki, ostatecznie mu się wymknie? Odegnął od siebie tę myśl. - Musisz wytrwać, Tanyu. Najtrudniejsza część konkursu jest za nami. Teraz wystarczy, że stawisz się w grudniu w Akademii.

- A co z Ivanem i Andrew?

Na twarzy Sebastiena odmalowała się złość.

- Nie można dopuścić do tego, żeby Andrew został Mistrzem. To on zabił Rekxa. Za wszelką cenę trzeba go powstrzymać.

Tanya wysliznęła się z jego ramion.

- Naprawdę uważasz, że to on zabił Rekxa? Wiedziałam, że coś przede mną ukrywasz.

- Nic nie ukrywałem. I tak chciałem ci o wszystkim powiedzieć.

Usiadł na łóżku. Jego zdaniem Rex zginął, gdyż zdradził któremuś z pozostałych graczy, że morderstwo mieści się w regułach konkursu. Na dowód prawdziwości swoich słów przytoczył zapewne przypadek Maksa Stantona. To było jedyne rozsądne wyjaśnienie. Morderca postanowił zlikwidować Rekxa na samym początku, żeby zachować tę wiedzę dla siebie. W grę wchodziło tylko dwóch potencjalnych zabójców, z których Sebastien odrzucił Ivana. Radić nie był zdolny do morderstwa. To okrutny agent wywiadu, ale nie morderca. Zostawał więc Andrew. To on zresztą napadł na Tanyę w Szwajcarii. O tym też Sebastien zamierzał jej powiedzieć, chciał tylko zgromadzić przekonujące dowody.

Tanya słuchała go w milczeniu.

- Czy Rekxa nie mógł zabić ktoś inny?

- Kto, Tanyu? To nie był wypadek, a nie sądzę, żeby zlikwidował go sam Mistrz. Nawet jeśli bierze udział w grze, nie wtrąciłby się tak wcześniej. Zostajemy tylko my dwoje. - Spojrzał Tanyi głęboko w oczy. - Myślisz, że to ja?

- Nie - odparła Tanya po chwili i odwróciła wzrok. Otarła łzy. - Ja nie chcę dalej grać.

Sebastien czekał cierpliwie, aż Tanya przestanie płakać, wiedząc, że każda minuta zwłoki zwiększa ryzyko, na jakie jest narażony.

- Musisz to zrobić, Tanyu. Zrób to dla mnie, jeśli naprawdę mnie kochasz. Kochasz mnie?

- Tak, zawsze cię kochałam. Gdybym miała wybierać między tobą i Akademią,

wybrałabym ciebie.

- Naprawdę? - Sebastien spojrzał na nią z niedowierzaniem.

Tanya pokiwała głową. Policzki wciąż miała mokre od łez.

- Ja też chciałabym zostać Mistrzem, ale kocham cię i wiem, że ty mnie kochasz.

Czasem trzeba wybrać to, co kocha się bardziej.

Sebastien skinął z namysłem głową.

- Obiecuj mi, Tanyu, że znajdziesz i zabijesz Andrew - przemówił po chwili. - Gdyby został Mistrzem, dla Akademii i dla świata oznaczałoby to tragedię. Nigdy cię o nic nie prosiłem, ale teraz proszę. To sprawa wielkiej wagi, znacznie ważniejsza niż nasze życie. Jeśli Andrew będzie Mistrzem, zniszczy Akademię. Wiesz o tym równie dobrze, jak ja. Obiecuj mi, że to zrobisz.

Przeżrana Tanya cofnęła się o krok, Sebastien zaś mówił dalej:

- Tu nie chodzi o to, żeby wygrać, Tanyu. To sprawa życia i śmierci, bo kiedy ktoś raz zacznie zabijać, nie da się go powstrzymać. Zapamiętaj moje słowa: Andrew cię znajdzie.

Tanya słuchała go, wiedząc, że widzi go po raz ostatni w życiu. Zbierał rzeczy z łóżka. Twarz miał bladą, ale zaciętą.

- Pomogą ci ludzie z Al Johnson Investigations. Namierzyli już Ivana, jest w Paryżu. Podejrzewam, że do tej pory znaleźli też Andrew. Na Kajmanach mamy masę pieniędzy. Musisz mi obiecać, że znajdziesz i zabijesz Andrew. Nie po to, żeby pomścić Rekxa, ale żeby ocalić Akademię.

- Uda ci się - powiedziała Tanya. - Na pewno ci się uda. Spotkamy się za dwa dni w Kostaryce.

- Naturalnie - odparł ponuro Sebastien. - Mam jeszcze parę asów w rękawie, ale gdybym nie dotarł na czas do San Jose, obiecuj mi to, o co proszę. Jeżeli mnie kochasz.

Załamana Tanya obiecała to, czego się domagał: znajdzie Andrew i Ivana i zabije tego, który zamordował Rekxa. Przytulili się ostatni raz, a potem Tanya wstała i podeszła do drzwi. W progu obróciła się i jeszcze raz spojrzała na Sebastiena. Rozpaczliwie usiłowała zapamiętać go takim, jaki był w tej chwili: szczupły, przystojny, o zmysłowych ustach i głębokich oczach. Wyszła z pokoju.

Przy końcu podjazdu minęła samochód, którym jechał Juan z dwójką swoich ludzi, ale była tak pogrążona w rozmyślaniach, że nie zwróciła na niego uwagi.

Nie powiedziała Sebastienowi o człowieku, który odwiedził pokój Rekxa tego dnia, kiedy znalazła wiadomość od niego. O człowieku, który miał wszelkie powody, by nie dopuścić do przedwczesnego ujawnienia sekretów gry.

O Mistrzu.

## Szwajcaria

- Dyrektor zaraz tu będzie.

- Chcę się z nim zobaczyć natychmiast! Teraz, zaraz!

André, nieco zniewieściały służący w liberii Banque Lex, z niedowierzaniem przyglądał się Gonzalezowi. Jak dotąd żaden klient nie rozmawiał w ten sposób z pracownikami banku. Ze łzami w oczach pobiegł po dyrektora. Poły płaszcza plątały mu się między nogami.

Po chwili przy końcu korytarza pojawił się dyrektor, który zbliżył się do gościa w swej zwykłej, uniżonej pozie.

- Panie... - Dyrektor wyciągnął rękę na powitanie.

- Gonzalez. Chcę dostać moje pieniądze! *Mi plata!* - krzyknął Gonzalez, nie podając mu ręki.

Dyrektor zwrócił uwagę na tatuaż zdobiący jego dłoń.

- O Boże, o mój Boże! - wymruczał pod nosem. Prawdziwego dżentelmena można poznać, zanim jeszcze otworzy usta. Gonzalez stanowił najlepszy tego dowód. - Oczywiście, proszę pana. Proszę za mną. - Zaprowadził gościa do małego pokoiku. - W czym możemy panu pomóc?

- Chcę dostać moje pieniądze - powtórzył Gonzalez, podkreślając każde słowo z osobna uderzeniem pięści w zabytkowy stół. Rzucił dokumenty na blat. - Chcę moje dwadzieścia dwa miliony dolarów.

- Już się robi, proszę pana. Zaraz wracam.

Gonzalez zaczął się nerwowo przechadzać po salonie. Kiedy dyrektor wrócił, towarzyszyło mu trzech eleganckich jegomościów. Uśmiechnęli się uprzejmie i usiedli przy stole, jakby spotkali się na zebraniu rady nadzorczej. Gdzieś za drzwiami zabrzmiał kurant zegara i zapadła cisza. Gonzalez zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie przesadził ze swoją reakcją: gospodarze byli tacy grzeczni, tacy cywilizowani. Może po prostu zaszła jakaś pomyłka w księgowaniu?

Dyrektor zerknął na swoich towarzyszy. Uśmiechnął się lekko.

- Niestety, proszę pana, zaszły pewne komplikacje. Pieniądze zostały przekazane na rachunek w innym banku. Takie mieliśmy instrukcje. Otrzymaliśmy je na piśmie od señora Gonzaleza, który w zeszłym miesiącu spotkał się ze mną osobiście. To czarujący człowiek i

prawdziwy dżentelmen.

Kiedy te informacje dotarły wreszcie do Gonzaleza, wstał i trzęsąc się ze złości, odegrał pantomimę, w której bohater, neandertalczyk, znalazł się niespodziewanie w samym środku cywilizowanego świata. Dyrektor i trzech elegancy panowie z uprzejmym zainteresowaniem obejrzeni debiut aktorski Gonzaleza, aż wreszcie dyrektor zakaszłał, zapowiadając koniec występu.

- Pozwoli pan, señor Gonzalez, że coś panu pokażę... Przed chwilą otrzymaliśmy z Panamy faks, w którym ze szczegółami opisano interesy, jakie prowadzi pan w Kolumbii. Zarzuca się panu między innymi handel narkotykami.

Gonzalez zatoczył się, gdy dotarło do niego znaczenie tych słów. Dyrektor uśmiechnął się ponownie - tak samo się uśmiechał, kiedy klient przekroczył dopuszczalny debet na rachunku.

- Są tu ludzie, którzy chcieliby przedyskutować z panem tę sprawę - powiedział i odwrócił się do swoich gości. - Pozwoli pan, że przedstawię: to jest inspektor Drucker z wydziału narkotyków, a to jego współpracownicy. - Zmarszczył brwi i dodał przeproszająco: - Przykro mi, że nie mogę pana poczęstować herbatą i czekoladkami.

## ROZDZIAŁ 21

*Zwabia wroga na nieprzyjazne terytorium i tam zastawia pułapkę.*

*Sun-Cy Sztuka wojowania*

### **Panama**

Sebastien siedział w lesie powyżej hotelu i patrzył, jak Juan i jego dwaj towarzysze wysiadają z samochodu. Sytuacja przedstawiała się gorzej, niż mu się wydawało. Gonzalez musiał przewidzieć, że Sebastien będzie uciekał w stronę Kostaryki, i z samego rana wysłał Juana z bandziorami samolotem do Paso Canoa.

Na hotelowym dziedzińcu wrzało.

- Pedro Gordo! - krzyknął Juan, wyskakując z samochodu. - Zostań tu i wyładuj broń.

Pedro Flaco, ty idziesz ze mną.

Dwóch mężczyzn weszło do hotelu.

Sebastien zagłębił się w las. Musiał zrozumieć wroga, jeżeli chciał wyjść cało z opresji. Sun-Cy pisał: „To, czy masz jakieś słabe punkty, zależy od ciebie samego; to, czy wróg je ma, zależy od niego”.

Tego wroga nie powinien lekceważyć. Juan nie zawahałby się go zabić. Trudno mu się było dziwić: jeżeli nie przywiezie ciała Sebastiena, Gonzalez każe go zlikwidować. Dlatego starannie dobrał sobie towarzyszy podróży. Wziął dwóch największych drani spośród służących Gonzalezowi wyrzutek i psychopatów. Pedro Gordo - Gruby Pedro - specjalizował się w torturowaniu ludzi; dręczył ich z upodobaniem nawet wtedy, kiedy już powiedzieli mu wszystko, co chciał wiedzieć. Staranny i usłużny Pedro Gordo wolał przesadzić, niż nie spełnić oczekiwań szefa. Chodziły o nim plotki, że w domowej zamrażarce przechowuje zbiór ludzkich części ciała. Pedro Flaco - Chudy Pedro - był myśliwym i ostatnio zasmakował w polowaniu na ludzi.

W zasadzie nie mieli słabych punktów. Sebastien zaś działał sam i uzbrojony był tylko w nóż. Jednak dwie okoliczności przemawiały na jego korzyść. Po pierwsze: nikt z nich nie zna tego terenu. Po drugie: Juanowi tak się spieszyło, żeby go dopaść, że mógł popełnić błąd. Niewielka nadzieja, ale można się było nią pocieszyć.

Juan wyszedł z hotelu.

- Nie ma go - powiedział, zwracając się do Pedra Gordo, i wskazał skaliste wzgórza na tyłach hotelu. - No, to teraz sobie zapolujemy - roześmiał się złowieszczo. Z przyjemnością poćwiartowałby Sebastiena. Byłaby to miła odmiana po strzelaniu do ludzi ze skutera. Poza tym trochę świeżego powietrza dobrze mu zrobi. Porozmawiają sobie z Sebastienem.

Mieli parę spraw do omówienia.

Tereny wzdłuż granicy Panamy z Kostaryką są bardzo zróżnicowane. W pobliżu Paso Canoa dominują skaliste góry i gęste lasy. W innych okolicach rolnicy wycięli spore połacie lasów pod rancza, na których hodują bydło. Dalej na północy, po drodze z Chiriqui do Bocas del Toro, las przechodzi w gęstą dżunglę. Okolica jest rzadko zamieszкана. Poza hodowcami bydła na pograniczu koczują kilka plemion indiańskich, nielicznych jednak i rozproszonych. Gęste zarośla i drzewa sprawiają, że jest to teren praktycznie niedostępny, nie można się tam dostać ani drogą lądową, ani powietrzną. Wszystko to sprawia, że między Kostaryką i Panamą zachował się jeden z ostatnich fragmentów dziewiczego lasu w Ameryce Środkowej. I właśnie tam Sebastien chciał się dostać.

Juan zakładał zapewne, że Sebastien będzie się starał jak najszybciej przekroczyć granicę, przedrzeć się do stolicy Kostaryki i zgubić w tłumie. Stacjonujący w Kostaryce ludzie Gonzaleza czekali już tam pewnie na niego. Należało więc postąpić wbrew ich oczekiwaniom. Jak powiedział Sun-Cy: „Nie pozwól wrogom zebrać sił”.

Sebastien przyspieszył kroku. Koniecznie chciał dotrzeć nad Changuinolę przed obiadem. Czytał o tej rzece w przewodniku i wydała mu się nader interesująca. Pomyślał, że warto by ją obejrzeć z bliska.

Po trzech godzinach przedzierania się przez dżunglę wszyscy mieli dość marszu.

- Ruszaj się, ty cholerna, spasiona cioto! - wydzierał się Juan. - Bo cię tu zostawimy!

Pedro Gordo też nie był zbyt zadowolony z przebiegu wydarzeń. Gdy się waży ponad sto trzydzieści kilogramów, nie jest łatwo iść przez dżunglę przy czterdziestostopniowym upale. Ogromne drzewa całkowicie zasłaniały niebo. Było tu gorąco, parno i mroczno. Pedro Gordo z rozmachem ciął maczetą na odlew, modląc się, by nie natknąć się na węża. Człowiekowi, który znał dżunglę tylko z filmów wideo (Pedro lubił zwłaszcza sceny zabijania), rzeczywistość zgotowała paskudną niespodziankę. Dawały mu się we znaki gzy i pijawki, a w każdej chwili spodziewał się ujrzeć przyczajonego za krzakiem lwa albo tygrysa. Nie miał pojęcia, że w Panamie nie spotyka się tych drapieżników. Daleko z przodu Pedro Flaco i Juan szybko parli naprzód i dyskutowali z ożywieniem. Zdaniem Flaco Sebastien wyprzedzał ich o niespełna pół godziny i zmęczony zwalniał już kroku. Planowali, co z nim zrobią.

Pedro Gordo westchnął ciężko, brnąc naprzód. Zaczynał się zastanawiać, czy nie powinien poszukać innego zajęcia. Tortury wymagały specyficznych umiejętności i pozwalały poznawać ciekawych ludzi, ale nie był przekonany, czy da radę utrzymać się w tym fachu do końca życia. Mogło się okazać, że zabrnął w ślepią uliczkę.

Odgarnął gałęzie, rozmyślając nad swoją przyszłością. Powinien otworzyć małą knajpkę w Bogocie. Nie przesadnie elegancką, bez żadnych luksusów. Znał się przecież na jedzeniu, a w głębi ducha był bardzo przyjaźnie nastawiony do klientów. Takie właśnie myśli podtrzymywały go na duchu, gdy przedzierał się przez zielone piekło dżungli. Wkrótce stracił swych kompanów z oczu.

Przed obiadem dotarł do Changuinoli, mętnej, leniwie płynącej rzeki. Po obu brzegach drzewa zwieszały się nisko nad wodą, całe oplecione lianami. W powietrzu unosił się odór zgnilizny. Pedro Gordo zaczął się bać. Zabłądził. Próbował wołać tych drani, Juana i Pedra Flaco, ale za każdym razem, gdy podążał za ich okrzykami, gubił się jeszcze bardziej. A teraz

jeszcze czekała go przeprawa przez rzekę.

W tej samej chwili dostrzegł na drugim brzegu - niespełna dwadzieścia metrów od miejsca, w którym stał - jakiś ruch. Wyjął lornetkę, nastawił ostrość i nagle dreszcz rozkoszy wstrząsnął jego wielkim ciałem. Własnym oczom nie wierzył: na brzegu leżał Sebastien. Był nagi do pasa i z trudem usiłował czołgać się w błocie. Powoli Pedro Gordo zaczął się domyślać, co się musiało stać. Uciekając, Sebastien coś sobie zrobił w nogę, może nawet ją złamał. Przepłynął rzekę, ale na drugim brzegu padł kompletnie wyczerpany i nie mógł o własnych siłach wygramolić się z mułu. Cóż za radość!

Pedro Gordo, który uważał się za katolika, podziękował w duchu Bogu. Nadeszła chwila jego wybawienia. Gonzalez hojnie go wynagrodzi za złapanie Sebastiena. Może nawet pozwoli mu zemścić się na Juanie za to, że go zostawił na pastwę losu. Oczywiście będzie musiał przedstawić Gonzalezowi jakiś dowód na to, że faktycznie zlikwidował Sebastiena. Głowa byłaby najlepsza, ale nawet samo ucho wystarczy... Nie ma sensu taszczyć za dużo bagażu. Obserwując cierpienia Sebastiena, Pedro ślinił się ze szczęścia i trochę z niepokoju. Jak dostać się do zdobyczy, zanim mu się ona wymknie? Nie chciał ryzykować strzału przez rzekę. Mógłby spudłować.

Nagle doznał olśnienia: podkradnie się i zaskoczy go. Rozebrał się, zostając w samych spodniach. Włożył pistolet do nieprzemakalnej torby, wszedł do wody i zaczął płynąć w stronę niczego nie przeczuwającej ofiary, unosząc się na powierzchni niczym wzdęty trup padłej owcy. Kto powiedział, że Bóg nie pomaga ludziom? To kłamstwo. Bóg właśnie teraz mu pomógł. Widać go lubił.

- Pedro! Gdzie jesteś?! - usłyszał okrzyk Juana.

- Mam was gdzieś - mruknął pod nosem Pedro Gordo i płynął dalej.

Znalazł się na środku nurtu, gdy Sebastien odwrócił się nagle, skoczył do wody i zaczął płynąć w jego kierunku. Tymczasem Pedro rozmyślał o swojej restauracji i jedzeniu, które będzie w niej serwował: pizza, pieczone kurczaki, panierowane ryby... Pomysłów mu nie brakowało.

Szkoda tylko, że nie poświęcił choć części swego pracowitego życia na naukę. Może wiedziałby wtedy, że ma w wodzie towarzystwo. W pobliżu kręciły się *Serrasalmus nattereri*. Nagle Pedro poczuł, jak coś łapie go za kostkę. Stopę przeszył mu ból. Odwróciwszy się, ujrzał Sebastiena, który najszybciej, jak umiał, wracał na brzeg. Ciął go, łachudra, w nogę!

- Puta! - zaklął Pedro i zerknął na swoją stopę. Uśmiechnął się: Sebastien tylko lekko go drasnął nożem... Świetnie. Niespiesznie płynął dalej, gdy wtem zaatakowały go *Serrasalmus nattereri*. Piranie czerwono brzuche.

- Ja pierdolę... - mruknął Juan.

Śledzili z Pedro Flaco rozgrywający się w dole rzeki spektakl. W pojedynkę dwudziestopięciocentymetrowa pirania jest rybką nerwową i nieśmiałą, ale znalazłszy się w stadzie, zmienia się w najbardziej zajadłego drapieżnika na świecie. Kiedy poczuje krew, nic jej nie powstrzyma. Potężne szczęki i trójkątny, zachodzący na siebie zęby pozwalają piraniom w dwie minuty obrać z mięsa do gołych kości zwierzę wielkości cielaka. W przypadku obrośniętego zwałami tłuszczu Pedro Gordo trwało to nieco dłużej, tym bardziej, że piranie zaczęły od małej rany na kostce. Patrzyli z przerażeniem, jak grubas nagle zniknął we wzburzonej wodzie, a po chwili wyskoczył w górę jak krwisty stek, który kucharz podrzuca na patelni.

Sebastien tymczasem ubrał się i odwrócił tyłem do widowiska. Biedny Pedro. Przecież tyle się ostatnio mówiło o ochronie środowiska. O tym, że poza Brazylią piranie występują tylko w jednej rzece: panamskiej Changuinoli.

Zagłębił się w dżunglę. Pięć minut później woda całkiem się uspokoiła. Piranie zostawiły odziane w lewisy resztki aligatorom.

Minęło kilka godzin, zbliżał się wieczór. Sebastien wynurzył się z dżungli i skierował wprost ku kostarykańskiej granicy. Ludzie Gonzaleza deptali mu po piętach.

Krajobraz się zmienił: dominowały w nim skały i krzaki, z rzadka tylko urozmaicone liściastymi zagajnikami. Wyglądało na to, że Sebastien spróbuje jednak przed nocą przedrzeć się do Kostaryki.

- Zwalnia - zauważył z zadowoleniem Pedro Flaco.

- Już raz to mówiłeś, kretynie - przypomniał mu Juan.

Jednak pół godziny później Bóg dał znak, że im sprzyja. Przez lunetę karabinu Juan na tle ciemniejszego nieba dostrzegł sylwetkę Sebastiena, który od skałek przemykał ku jednemu z zagajników. Juan zachichotał i starannie złożył się do strzału, kiedy Sebastien wyszedł na grzbiet. Nacisnął spust. Huknął strzał, ciało ofiary zachwiało się i bezwładnie osunęło na ziemię.

- Chodź! Już jest nasz!

Juan i Pedro Flaco pobiegli przed siebie.

Kula drasnęła Sebastiena w lewy bark, tuż przy łopatce. Przewrócił się powalony impetem uderzenia i skrzywił z bólu. Trysnęła krew.

- Cholera jasna!

Tego nie przewidział. Przez chwilę leżał oszołomiony na ziemi. Popułnił błąd. Chciał



być za sprytny, a powinien się domyślić, że mają karabin z celownikiem optycznym. Może nawet z noktowizorem. Zaczął się bać. Za blisko ich do siebie dopuścił, a teraz było już za późno. Wyglądało na to, że jednak go dostaną. Musiał porzucić plan wywabienia ich wyżej w góry.

Zacisnął z bólu zęby, przytknął chusteczkę do rany i z trudem wstał. Na skałach poniżej rozbrzmiewały bliskie już kroki jego prześladowców. Ruszył w stronę lasu. Tam miało dojść do ostatecznej rozgrywki. Szkoda, bo gdyby mógł wybierać, nie zdecydowałby się na las.

Zniknął wśród drzew.

Zabójcy ostrożnie weszli w gęszcz. Juan dał znak Pedro Flaco, żeby odsunął się dalej na prawo, sam zaś skręcił w lewo. Słońce chyliło się już ku zachodowi. Przed nocą musieli znaleźć Sebastiena.

Drzewa rosły gęsto, ale przynajmniej były wolne od pnączy i lian, tak że dość szybko szli przez zagajnik. Niedługo go dopadną, a wtedy będą mogli porozmawiać z nim o Pedro Gordo i razem się z niego śmiać.

Pedro Flaco nie spieszył się. Jako doświadczony myśliwy znał ryzyko związane z niepotrzebnym pośpiechem - zwłaszcza kiedy człowiek ma do czynienia z ranną zwierzyną. Wkrótce znalazł plamy krwi na liściach. Prowadziły go kawałek, aż nagle zniknęły bez śladu. Uniósł broń.

- Pedro! - usłyszał stłumiony okrzyk z tyłu, z prawej strony.

Juan go wołał. Odwrócił się w tamtym kierunku, zbyt późno zdając sobie sprawę, że coś jest nie w porządku. Głos dochodził z prawej zamiast z lewej strony.

Drogo zapłacił za tę chwilę wahania. Sebastien, który stał w pobliżu, puścił trzymaną w rękach grubą gałąź. Wcześniej odgiął ją z całej siły, napinając niczym łuk. Rozległ się przenikliwy świst, gdy przywiązany na końcu konaru nóż śmignął jak strzała w powietrzu i wbił się w ciało Pedra Flaco. Wszedł mu gładko w plecy, przebił szósty krąg piersiowy i sięgnął rdzenia kręgowego. Pedro sapnął ciężko i zawył z bólu.

Nawet gdyby nie krzyczał tak przeraźliwie, Juan nie miałby kłopotów ze znalezieniem go. Podniósł karabin do oka i przez lunetkę dostrzegł Pedra stojącego bez ruchu, opartego o drzewo. Odczekał chwilę, czy nie dostrzeże gdzieś w pobliżu Sebastiena, a potem ruszył w tamtą stronę. Wziął karabin Pedra, wyjął naboje i wyrzucił broń w krzaki. To samo zrobił z jego pistoletem. Nie dotykał tylko noża, wiedząc, że jeśli go wyjmie z rany, zabije Pedra.

Pedro patrzył na niego szklistymi oczami. Z ust ciekła mu krew.

- Pomóż mi! Proszę cię, pomóż mi! Na miłość boską!

- Schrzaniłeś sprawę - odparł krótko Juan. - Nie jesteś mi już potrzebny.

Kiedy Juan odchodził, Pedro zaczął zawodzić płaczliwie. Zdenerwowało go takie skamlanie zdychającego bydlaka. Od dzieciństwa nie cierpiał słabości. Nie zlitował się, nie dobił Pedra. Poza tym spieszył się: musiał znaleźć sobie jakieś schronienie na noc. Do jutra Sebastien osłabnie i można go będzie wykończyć.

Skierował się tam, gdzie można będzie znaleźć kryjówkę. Niedaleko od zagajnika góry przecinał wąwóz. Wiedział, że Sebastien jest gdzieś w pobliżu.

Pedro krzyczał, skarżąc się obojętnemu Bogu, dopóki nie znalazły go dzikie zwierzęta. Sebastien usłyszał jego ostatni rozpaczliwy wrzask, gdy dotarł do podnóża gór.

Tej nocy przede wszystkim cały czas starał się ruszać: przy takiej ranie i padającym deszczu umarłby, gdyby zasnął. Musiał wytrwać jeszcze jeden dzień. Kłopot w tym, że nie miał żadnej broni. Spojrzał na drugą stronę zlebu, gdzie widać było małe światełko wciśnięte między skały.

Juan siedział w jaskini przy ognisku. Zjadł racje żywnościowe Pedro Flaco, zostawiając własne na następny dzień. Wyrzwał na zewnątrz: znalazł dobrą kryjówkę, ale na dworze panowała absolutna ciemność i padał rześisty deszcz, który zagłuszał wszystkie dźwięki.

Kumple bardzo go rozczarowali. Obaj okazali się beznadziejni. Co gorsza, on sam źle się czuł, dawał mu się we znaki brak kokainy. Drżał na całym ciele. Pocieszał go tylko fakt, że Sebastien jest w jeszcze gorszym stanie. Jutro się z nim rozprawi. A na razie Bóg będzie go strzegł. Juan ułożył się do snu i zapadł w niespokojną drzemkę.

O trzeciej nad ranem obudził go jakiś cichy dźwięk. Juan wyciągnął rękę i namacał karabin. Zapalił latarkę.

Przed nim stał Sebastien. Schylił się, szukając jedzenia. Miał podarte ubranie, pozlepiane błotem włosy i wyrwany kawał ciała z barku, skąd sączyła się gęsta krew. Juan widział jednak, że Sebastien wcale się go nie boi. Patrzył na niego spokojnie z dumnym wyrazem twarzy.

Juan z uśmiechem wycelował karabin prosto w serce Sebastiena. Musiał przyznać, że dał mu się nabrać. Sebastien oszukał ich obu - Juana i Gonzaleza. Trudno było tego nie docenić.

- Gratuluję - powiedział. - *Señor, tu eres un hombre.*

Rzeczywiście, stał przed nim człowiek w pełnym tego słowa znaczeniu odważny i

dumny. Juan widział wielu umierających ludzi i umiał odróżnić tchórza od człowieka dzielnego. A trzeba było nie lada odwagi, żeby tak spokojnie czekać na śmierć.

- *Adios, amigo mio* - dodał triumfalnie i pociągnął za spust.

Na zewnątrz odgłos wystrzału był ledwie słyszalny. Na pewno nie słyszały go zwierzęta, posilające się ciałem Pedra Flaco. Nie zrobił też wrażenia na aligatorach, uczujących na trupie Pedra Gordo. Nawet rozwrzeszczane wyjce w wąwozie poniżej jaskini nie zwróciły na niego uwagi.

Śmierć człowieka nic w dżungli nie znaczyła. Deszcz nie ustawał.

## ROZDZIAŁ 22

*Wróg nie może wiedzieć, gdzie zamierzam toczyć z nim bitwę.*

Sun-Cy *Sztuka wojowania*

### **Październik. Akademia**

Na Tirah padał pierwszy tego roku śnieg. Mistrz siedział przy stole w swojej prywatnej jadalni. Z portretów na ścianach przyglądali mu się poprzedni Mistrzowie, przed nim zaś leżał opasły dokument - katalog zbrodni przeciwko prawom człowieka. Mistrz rzucił na niego okiem. Nic się nie zmieniło. Wojny, morderstwa, tortury, gwałty, napady... Litania okrucieństw wyglądała od wieków tak samo. Dlaczego? Dlatego że władza niszczy ludzi w podstępny sposób, bardzo łatwo pozbawia ich człowieczeństwa.

Symes wszedł do pokoju.

- Mistrzu, telefon od sekretarza brytyjskiego Foreign Office. Czy mam go tu przełączyć?

- Tak, proszę.

Mistrz przeszedł do gabinetu i podniósł słuchawkę. Usłyszał w niej głos jednego z Adeptów.

- Przepraszam, że przeszkadzam, Mistrzu, ale pomyślałem, że informacje, które mam, nie powinny czekać.

- Słucham.

- Przed chwilą dzwoniło do nas z ambasady w Panamie. Kilka dni temu w górskim żłobie nieopodal granicy z Kostaryką znaleziono rozszarpane przez dzikie zwierzęta zwłoki mężczyzny. Niewiele z nich zostało, ale podobno na podstawie resztek ubrania udało się zidentyfikować ofiarę. Miejscowy patolog przeprowadził sekcję.

- Co było przyczyną śmierci?

- Upadek z dużej wysokości. Wygląda na to, że ten człowiek wybrał się na wspinaczkę w górach i spadł w przepaść. Naturalnie nie mamy stuprocentowej pewności, że tak właśnie było. W tych okolicach szmugluje się przez granicę tony narkotyków. Mógł natknąć się na przemytników i zginąć z ich ręki.

- Czy ustalono jego tożsamość?

- To jeden z ludzi, których mieliśmy mieć na oku, Sebastien Defrage. Posługiwał się dokumentami wystawionymi na nazwisko Sebastien Singleton, ale nie ma wątpliwości, że to jego zwłoki. Pracował w jednym z panamskich banków i niedawno zwolnił się z pracy. Prawdopodobnie przed wyjazdem z Panamy chciał sobie zrobić krótkie wakacje w górach. Zameldował się w miejscowym hotelu i zniknął bez śladu. Skontaktowała się ze mną brytyjska ambasada w Panamie. Zwłoki zostaną skremowane dzisiaj w Panama City. Przykro mi, Mistrzu, że muszę przekazać tak smutną wiadomość.

- Dziękuję, sir Douglasie. Czy Panamczycy są pewni tożsamości zmarłego?

- Z raportu patologa wynika, że sprawa nie budzi wątpliwości. Poprosiłem Symesa, żeby sprawdził w aktach Akademii: grupa krwi się zgadza. Przy zwłokach znaleziono dokumenty, o których mówiłem, a także sygnet z herbem, który rozpoznali pracownicy banku. Sebastien Defrage nie żyje, Mistrzu. Jutro w lokalnej gazecie pojawi się krótki nekrolog, oczywiście bez żadnej wzmianki o jego członkostwie w Akademii.

- Jeszcze raz dziękuję.

Mistrz odłożył słuchawkę i na kawałku papieru zapisał dwa nazwiska. Podał kartkę Symesowi.

- Zadzwoń do tych dwóch osób - polecił mu. - Powiedz im, żeby dziś wieczorem skontaktowały się ze mną. Mam dla nich nowinę.

Należało na bieżąco informować o wszystkim Arbitrów.

- Tak jest, Mistrzu.

Mistrz wrócił do przerwane go śniadania, ale nie miał już apetytu. Zresztą ostatnio coraz mniej jadał. Odwrócił się do okna. Płatki śniegu cicho osiadały na gałęziach drzew i krzewów w ogrodzie. Październik... Niedługo Boże Narodzenie i kolejny Bankiet Adeptów.

Kto założy na nim szatę Mistrza? Kto zdejmie ją z jego grzbietu?

- Tanya!

Odwróciła się gwałtownie, aż zaszeleściła jej czarna sukienka. Carole, kierowniczka działu płatności w panamskim oddziale US Banku, ujęła ją pod ramię.

- To straszne, prawda? Co za tragedia. Tak młodo zginął. I tak samotnie, z dala od ludzi, w górach.

- To prawda - przytaknęła melancholijnie Tanya. - Prawie go nie znałam, raz tylko spotkaliśmy się w pracy.

Razem wyszły z krematorium, za nimi podążał Ted Baxter i inni ludzie z banku. Ted był szczególnie zasmucony i płakał jak bóbr. Podobno już wtedy przeczuwał własny bliski koniec. Zmarł rok później. Przyczyną śmierci była marskość wątroby.

Tanya przesiedziała prawie całą noc na tarasie swojego mieszkania w Panama City. W dole jeździły samochody i autobusy, na niebie świeciły obojętne gwiazdy. Tanya podniosła wzrok na niebo. Oczy miała pełne łez.

- Sebastien... - szeptała i powtarzała w myślach. Nie mogła uwierzyć, że już go przy niej nie ma, że tak sprytny i utalentowany człowiek mógł ponieść klęskę. Ile zła obudził w nich konkurs! Uczestnicy gry ginęli powodowani własną pychą i ambicją. Rozpłakała się na dobre.

Czekała na Sebastiena tydzień w Kostaryce. Nie było mowy o żadnym odpoczynku, bo prawie nie odchodziła od telefonu. W czwartek dotarły do niej pierwsze wiadomości: na szóstej stronie „New York Timesa” znalazła małą notkę. Gonzalez został zastrzelony w Szwajcarii, kiedy policja przewoziła go z więzienia do sądu. Jego kolumbijscy współnicy z pewnością nie byli zachwyceni stratą takiej fortuny.

Tanyi nie było go żal. Dostał to, na co zasłużył. Sam odpowiadał za śmierć wielu ludzi i powinien się cieszyć, że nie zginął w mękach.

Drugą wiadomość przeczytała w piątek w „La Prensa”, narodowym dzienniku Panamy, na ostatniej stronie, obok ogłoszenia o kredytach samochodowych i notatki z wizyty boliwijskiego ministra handlu w Panama City. Nieopodal granicy z Kostaryką znaleziono zwłoki mężczyzny. Gazeta w kilku słowach informowała czytelników o domniemanej tożsamości ofiary, przeprowadzonej sekcji zwłok i testach przeprowadzonych w zakładzie medycyny sądowej.

Tanya była przerażona. Natychmiast wróciła samolotem do Panamy i z biura miejscowego patologa wydobyla kopię raportu z sekcji zwłok. Podsumowano w nim życie i

śmierć człowieka, którego tak kochała. Biały mężczyzna, lat około trzydziestu pięciu, znaleziony w żlebie u stóp góry Fabrega. Ciało poważnie uszkodzone wskutek działalności dzikich zwierząt, warunków pogodowych oraz wody. Przybliżony czas zgonu: pięć do siedmiu dni przed odkryciem zwłok. Obrażenia śmiertelne wskazują na upadek z dużej wysokości - prawdopodobnie ponad stu metrów - na twardą powierzchnię: poważne złamania kości, uszkodzone wszystkie organy wewnętrzne. Grupa krwi, przedmioty znalezione przy zwłokach, znaki szczególne i tak dalej... Tanya przestała czytać. Wizja Sebastiena, który umiera zaszczuty przez Juana i jego kompanów, była zbyt wstrząsająca. Nie miał z nimi szans.

Kilka godzin przesiedziała na balkonie, wspominając spędzony z nim czas i to, co ich łączyło. Bardzo chciała, żeby wygrał - także dlatego, że on tak tego pragnął. Ale po śmierci Reksa pewna uporczywa myśl nie dawała jej spokoju. Bała się, że to Sebastien go zabił, że to właśnie on jest mordercą w śmiertelnie niebezpiecznej grze, w której oboje wzięli udział. Serce podpowiadało jej, że to niemożliwe. Sebastien mógł pożądać zwierzchnictwa nad Akademią, ale żądza władzy nie była w nim tak silna, żeby kogoś zabił. Jej rozum zmagał się z sercem. Teraz już nigdy nie pozna prawdy.

Coś otarło się o jej nogi. Usłyszała ciche mruczenie.

- Gemma...

Tanya nie przestała płakać, ale podjęła już decyzję. Za miesiąc rzuci pracę w banku i wróci do Europy, żeby znaleźć pozostałą dwójkę. Zacznie od Andrew. Nie wycofa się z konkursu, dotrzyma danej Sebastienowi obietnicy.

I nic jej nie powstrzyma.

## ROZDZIAŁ 23

*Im dalej się człowiek zapuszcza, tym mniej wie. Dlatego też  
mędrzec wie wszystko, choć nie dociera do końca drogi*

Lao-Cy

### **Październik. Pekin, Chiny**

Władza. Jak ją zdobyć i jak utrzymać?

Na Dalekim Wschodzie od wieków wszystkie drogi prowadziły do Pekinu. W XIII stuleciu wielki chan Kubilaj przeniósł tu stolicę, wkroczywszy do Chin z Mongolii. Przekroczył Wielki Mur i usunął rządzącą Chinami dynastię Sung. Cesarze zasiadający na Tronie Smoka w Pekinie i władający Państwem Środka przez setki lat mogli się pochwalić największą liczbą poddanych na świecie. Właśnie w Pekinie, w pałacu cesarskim, tak zwanym Zakazanym Mieście, w 1654 roku przyszedł na świat największy z chińskich cesarzy, Kang-si, który zastał struktury państwowe dobrze już okrzeple po dwóch tysiącach lat stabilnych rządów.

Kang-si był wielkim władcą, jednym z tych, którzy trwale zapisali się w historii ludzkości. Człowiek średniego wzrostu, o dziobatej twarzy, basowym głosem, jasnoniebieskich oczach i łagodnej, miłej twarzy przez sześćdziesiąt lat rządził Chinami z niezwykłą wprawą i ostrożnością. Nie tolerował najmniejszych sprzeciwów. Ideał, do którego dążył, oznaczał pokój dla cesarstwa i dobrobyt dla jego mieszkańców. Jedną z jego pasji była literatura; pod jego osobistym nadzorem powstał wielki słownik cesarski i inne wiekopomne dzieła. Osobiście przełożył napisaną w języku mongolskim historię Chin. Kiedy zmarł, w jego testamencie znaleziono między innymi takie zdanie: „Zostawiam po sobie cesarstwo, które jest szczęśliwe i może cieszyć się pokojem”.

Jeden fakt związany z jego panowaniem szczególnie interesował Andrew: w tym samym okresie żył Czang.

Znalazłszy się w centrum Pekinu, Andrew przeszedł przez Tienanmen, Plac

Niebiańskiego Spokoju, i znalazł się w Zakazanym Mieście. Przed nim rozciągał się pałac cesarski. Dziewięć budowli precyzyjnie i symetrycznie rozmieszczonych na osi północ - południe, zgodnie z założeniami chińskiej kosmologii, prowadziło do wewnętrznego sanktuarium - Taihedian, Pałacu Najwyższej Harmonii, z którego cesarz rządził swoim ludem. A władzę sprawował absolutną: nawet dzisiejsi mieszkańcy Gabinetu Owalnego nie mogą się z nim równać, jeśli idzie o zasięg i wagę podejmowanych decyzji.

Andrew chłonał widok, jaki się przed nim roztaczał. Żółte płytki ceramiczne, którymi wyłożono ściany gmachów, lśniły oślepiająco w zimowym słońcu. Niewiele się zmieniło w Zakazanym Mieście. Czas zdawał się zwalniać tu swój bieg, jakby chciał złożyć hołd miejscu, w którym urząd sprawowali prawdopodobnie najwięksi władcy w historii Ziemi.

Wolno wszedł do pałacu, do którego droga prowadziła przez podwórza. Przypominał sobie inne miejsce, także z dziedzińcami i łączącymi je korytarzami, gdzie wciąż kryła się ogromna władza. Usiadł przy marmurowym mostku, który Kang-si przekraczał każdego dnia w drodze do cesarskiego miasta. Oczywiście wyobraźni widział, jak służba niesie w palankinie dumnego cesarza, żeby Syn Niebios nie musiał dotykać stopami ziemi.

Zdał sobie nagle sprawę, że tego samego dnia ponad trzysta lat temu - w październiku 1682 roku - przez ten most przeszedł pewien starszy człowiek. Może Czang również zatrzymał się tu na chwilę, by podziwiać ukochane przez Chińczyków złote rybki, leniwie przemykające wśród trzciny. Kontemplował próżność ludzkich marzeń, kiedy przybył na dwór, by przedstawić najpiękniejszą i najtrudniejszą ze swoich łamigłówek.

Co powiedziałby Czang, gdyby ujrzał Andrew na tym samym moście, wpatrującego się trzysta lat później w tę samą wodę?

W labiryncie uliczek na tyłach pekińskiej dzielnicy handlowej Andrew kazał riksarzowi skręcić w wąski zaułek i się zatrzymać. Wsiadł i zagłębił się w rojowisko Chińczyków, pieszych i jadących na rowerach. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Pekinńczycy spieszyli się do pracy.

Wydział Historii mieścił się w niepozornym betonowym budynku. Andrew wszedł po kilku schodkach i zastukał w przeszklone drzwi. Ktoś po chińsku zaprosił go do środka.

- Pan profesor Wang?

- Tak.

Podali sobie ręce.

- Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać - powiedział Andrew.

Profesor Wang był niskim, starszym mężczyzną, całkiem siwym i wiecznie



przygarbionym. Obrzucił gościa zaintrygowanym spojrzeniem bladoszarych oczu. Do czasu rewolucji kulturalnej wykładał historię i filozofię na Uniwersytecie Pekińskim, później jednak z trudem uszedł z życiem, gdy zdarzyło mu się skrytykować Mao Tse-tunga i jego politykę. Wraz z żoną zesłano go na prowincję, skąd przez lata nie mógł wrócić do stolicy. Na oko sądząc, dobiegał teraz osiemdziesiątki. Patrząc na jego pożłobioną głębokimi bruzdami twarz, Andrew uświadomił sobie, że takie zmarszczki musiało zrodzić cierpienie.

- Może usiądziemy w ogrodzie? - Profesor Wang zaprowadził go na mały dziedziniec.  
- Nazywam go ogrodem, chociaż, jak pan widzi, nie bardzo na to miano zasługuje. - Wang się uśmiechnął: na wydeptanej ścieżce stało kilka roślin w donicach. - Ale dla mnie to jest mój ogród.

Usiedli na ławce.

- Chciałem z panem porozmawiać o cesarzu Kang-si i rzemieślniku imieniem Czang.

- Słucham pana... - odparł grzecznie profesor, czekając na dalsze wyjaśnienia.

- Z dokumentów cesarskich, znajdujących się w Królewskim Archiwum Historycznym, wynika, że w październiku 1682 roku cesarz Kang-si wezwał do siebie mistrza Czanga. Mistrz przybył do Zakazanego Miasta, przywożąc uprzednio zamówioną przez cesarza łamigłówkę. Cesarz zażyczył sobie, żeby szkatułka była zarazem najpiękniejszą i najtrudniejszą w dorobku Czanga.

Profesor skinął głową.

- Widział ją pan?

- Nie. Podobno uległa zniszczeniu przed ponad dwustu laty. Nie wątpię, iż odznaczała się niezwykłą urodą. Czang był największym artystą w dziejach Chin.

- Jak pan sądzi, co cesarz Kang-si powiedział Czangowi, kiedy otrzymał od niego tę szkatułkę? - zapytał Andrew po chwili milczenia.

Profesor usadowił się wygodniej na ławce i w zadumie spojrział w niebo.

- Nie wiem. Nie zachowały się żadne zapiski na temat ich rozmowy. Jest to dość niezwykły fakt, ale i samo spotkanie było niezwykłe.

- Co pan przez to rozumie?

- Przy wszystkich audiencjach, prywatnych i publicznych, cesarzowi zawsze towarzyszyły rzesze dworskich urzędników i strażników - zarówno dla jego bezpieczeństwa, jak i na pokaz. Tymczasem z oficjalnych dokumentów wynika, że tego dnia Kang-si spotkał się z Czangiem na osobności, w swoich prywatnych apartamentach. Rozmowa trwała wiele godzin. Było to zdarzenie bez precedensu w historii Chin. Nikt nie wie, o czym rozmawiali, gdyż żaden z nich nie wspomniał nigdy o tym spotkaniu.

- Dlaczego tak się stało? O czym mógł rozmawiać znajdujący się u szczytu potęgi cesarz największego w świecie państwa z prostym rzemieślnikiem? Jak pan myśli?

Profesor wszedł do budynku i po chwili przyniósł czajnik chińskiej herbaty i dwie filiżanki.

- Co ja o tym myślę? To nie ma znaczenia; jestem tylko zwykłym emerytowanym profesorem historii i filozofii.

- Chciałbym jednak usłyszeć pańską opinię. Bardzo o to proszę.

- Cóż, wydaje mi się, że rozmawiali o łamigłównie Czanga i o tym, jakie jest jej prawdziwe znaczenie. Podejrzewam też, że wielki Kang-si wziął sobie do serca słowa Czanga.

- Tak pan sądzi?

- Tak, ponieważ możemy domyślać się treści ich rozmowy. Wie pan dlaczego? U dołu przeznaczonej na ten dzień strony w dzienniku cesarstwa widnieje własnoręczny dopisek Kang-si, dokonany cynobrowym atramentem. Nikt inny nie miał prawa używać cynobrowego atramentu, a poza tym te znaki z całą pewnością wyszły spod ręki cesarza.

- Co napisał?

- Coś niezwykłego. Jego urzędnicy z całą pewnością najchętniej wymazałoby ten zapis z dziennika, lecz próba zmiany słów samego cesarza oznaczałaby pewną śmierć. Dlatego właśnie zapis przetrwał aż do rewolucji kulturalnej, kiedy to, o ile mi wiadomo, zniknął bez śladu. Usunęli go zapewne ci sami barbarzyńcy, którzy zniszczyli większość chińskiego dziedzictwa kulturalnego. Jestem jednym z trzech ludzi, którzy widzieli oryginał. Istnieją kopie, ale i bez nich nie mam wątpliwości co do autorstwa tych słów.

- Co napisał Kang-si?

- Że rozmawiał z rzemieślnikiem Czangiem, który podarował mu szkatułkę niezrównanej urody. Pod koniec audiencji Kang-si polecił, by przyniesiono mu żółty szal, na którym przybił wielką pieczęć cesarstwa i który wręczył Czangowi. Czang przyjął szal i po zakończeniu audiencji opuścił Pałac Najwyższej Harmonii.

- Coś jeszcze?

- Kiedy Czang wychodził z pałacu, wszedł na marmurowy mostek. Przystanął na nim, uklonił się cesarzowi i zostawił w tym miejscu szal, który przyniesiono później z powrotem cesarzowi. Wszystko to Kang-si napisał własnoręcznie. Nie mamy powodu mu nie wierzyć.

Andrew się zamyślił.

- Co to wszystko oznacza?

- Słowa Czanga miały tak wielką wagę, że Kang-si podarował mu całe swoje

cesarstwo.

- Ale Czang odrzucił ten dar?

- Tak.

- Kim właściwie był? - spytał Andrew po chwili milczenia.

- Prostym rzemieślnikiem, który tworzył przepiękne przedmioty. Nie wiemy, gdzie się urodził ani jak umarł.

- A jakim był człowiekiem?

- O tym też niewiele można powiedzieć - przyznał profesor. - Wiemy jednak, że zgadzał się z filozofią taoizmu.

- Czy to naprawdę wszystko?

- Prawie. Zapisał się w pamięci współczesnych dzięki swej pokorze i uprzejmości. Zarówno jako rzemieślnik, jak i jako artysta był geniuszem. Mógł osiąść wielkie bogactwo i sławę, ale ich nie chciał. Obce mu były doczesne pragnienia. Można odnieść do niego słowa Tao: „Pusty człowiek, który sam wybierał swą drogę”.

- Próbował żyć w zgodzie ze swą prawdziwą naturą. Wolny od ludzkich złudzeń, kłamstw i żądz.

- A jakim człowiekiem był Kang-si? - zainteresował się Andrew. - O nim na pewno więcej napisano.

- O tak, znacznie więcej. Był osobą sławną, toteż prowadzono szczegółowy zapis jego dziejów. Wstąpił na tron w wieku piętnastu lat i od razu przejął pełnię władzy od ministrów, którzy rządili krajem, gdy był dzieckiem. Stoczył wiele bitew, chcąc zapewnić Chinom pokój. Był oświeconym władcą, żołnierzem i mężem stanu.

- Jaką doktrynę religijną cenił najwyżej? - Andrew wciąż nie rozumiał, co mogło łączyć cesarza z rzemieślnikiem.

- Prawdopodobnie nie miał jednej ulubionej religii. Wiemy jednak, że interesował się pismami Sun-Cy, szczególnie jego poglądami na temat wojny jako narzędzia sprawowania władzy. Czytał pan *Sztukę wojowania*?

- Owszem. Przyznam jednak, że nie rozumiem, jak pogodzić taoizm z doktryną Sun-Cy.

- Wcale nie twierdzę, że to w ogóle możliwe, ale zarówno Sun-Cy, jak i taoiści wypowiadali się na temat państwa i władzy. Taoizm starał się traktować to zagadnienie z bardziej uniwersalnej perspektywy, nie analizując celów krótkoterminowych, takich jak podboje czy obrona królestwa. Koncentrował się również na naturze ludzkiej, gdyż zarówno cesarz wielkiego państwa, jak i prosty wieśniak ulegają tym samym żądom. Różni ich tylko

skala pragnień. Taoizm porusza również problem celu ludzkiej egzystencji i wskazuje środki do jego osiągnięcia.

Profesor umilkł i przez chwilę w ciszy pili herbatę.

- Czy sądzi pan, że podczas tego spotkania cesarz rozmawiał z Czangiem o naturze władzy?

- Prawdopodobnie tak, ale cóż znaczy moja opinia? Jestem tylko zwykłym człowiekiem. Jedno jednak jest w tym wszystkim intrygujące. W taoizmie podstawową wartością jest uwolnienie się od zewnętrznych obciążeń, które zaślepiają człowieka, nie pozwalając mu dostrzec jego prawdziwej natury i szczęścia. Władza też jest takim brzemieniem. Istnieje legenda o jednym z założycieli taoizmu, Czuang-Cy. Czuang-Cy wiodł życie pustelnika i słynął z życiowych maksym i filozofii. Pewnemu władcy Chin tak bardzo się spodobał, że posłał mu moc kosztownych prezentów wraz z obietnicą, że uczyni go swym pierwszym ministrem. Czuang-Cy odparł, że bardziej ceni swą wolną wolę. Zrozumiał, że dar cesarza nie jest żadnym szczęściem, lecz nieznośnym brzemieniem.

Wreszcie Andrew zaczął kojarzyć elementy układanki.

- Więc pana zdaniem cesarz Kang-si powierzył Czangowi swoje imperium, ponieważ zdał sobie sprawę, że władzę powinien sprawować człowiek, który wcale jej nie pragnie?

Profesor Wang złożył dłonie.

- Moim zdaniem Kang-si, który był największym z chińskich cesarzy, uznał, że nie dorasta do pięt człowiekowi, którego wezwał na swój dwór. Zrozumiał, że Czangowi obce są ludzkie pragnienia i żądze i że to właśnie pozwoliło mu stać się w pełni człowiekiem. Prosił go o skonstruowanie najtrudniejszej łamigłówki. Czang spełnił jego życzenie: najtrudniejszą zagadką dla Kang-si było zrozumieć samego siebie. Rzemieślnik chciał mu pokazać, że aby pojąć własną naturę i odnaleźć swoje miejsce w kosmosie, powinien odrzucić zewnętrzne pozory władzy i bogactwa i skoncentrować się na swoim wnętrzu. Tylko w ten sposób mógł znaleźć szczęście i spełnienie, które trwałyby wiecznie, zamiast pewnego dnia przeminąć jak jego imperium.

- Zatem dar cesarza był dla Czanga bez wartości?

- Właśnie. Czang, dając cesarzowi pustą szkatułkę, ofiarował mu możliwość zrozumienia całego wszechświata i wglądu we własną duszę. Mistrz Czang zyskał wszystko przez to, że niczego nie pragnął.

Zyskać wszystko, nie pragnąc niczego.

Andrew wybrał się na wycieczkę do letniego pałacu cesarskiego, rezydencji

wzniesionej na wzgórzach pod Pekinem na zlecenie następcy Kang-si. Usiadł i patrzył na rozciągające się przed nim jezioro. Naprzeciwko znajdowały się dwie urocze pagody. Zbudowano je na wysepkach połączonych filigranowym marmurowym mostkiem. Piękny widok przywodził Andrew na myśl scenę namalowaną przez Czanga na wieku szkatułki. Od jego śmierci wiele się zmieniło, ale te dzieła natury i sztuki ludzkiej przetrwały, a mądrość mistrza nic nie straciła na wartości.

Cały dzień przesiedział na zboczu pod pałacem, samotny i pogrążony w rozmyśleniach. Mistrz Czang... Czy naprawdę umiał zajrzeć w ludzką duszę, czytając w niej jak w księdze? Czy rzeczywiście kierował się tylko nakazami swojej wolnej woli? I najważniejsze: czy postępował zgodnie z jedną z głównych zasad Tao - znajdź samego siebie, a uzyskasz wszystkie odpowiedzi?

Po całodziennych rozmyśleniach Andrew doszedł do pewnych wniosków. Postanowił ujawnić pozostałym uczestnikom konkursu miejsce swojego pobytu i czekać na nich, choć zdawał sobie sprawę, jak wiele w ten sposób ryzykuje. Poza tym uznał, że czas wprowadzić w życie plan, który ma mu przynieść dwadzieścia milionów dolarów. Kiedy to zrobi, podejmie decyzję o dalszym udziale w grze.

Zrobiło się zimno. Andrew wzdrygnął się i opuścił teren letniego pałacu. Zaczynał rozumieć znaczenie chińskiej łamigłówki i rolę zwierzchnika Akademii.

Nic i zarazem wszystko.

## ROZDZIAŁ 24

*Kiedy nie wiesz nic o wrogu, ale znasz dobrze samego siebie,  
masz taką samą szansę na zwycięstwo, jak i na przegraną.*

Sun-Cy *Sztuka wojowania*

### **Listopad. Panama**

Jeszcze tydzień i trzeba będzie się pożegnać z Panamą. *Adios, Panama.* Tanya stała na tarasie, oparta o balustradę. Z ulicy dobiegały chrapliwe wrzaski pijanych młodzieńców, wracających

chwiejnym krokiem do domów. W bloku naprzeciwko gasły światła, gdy jego mieszkańcy kładli się spać. Schło wywieszane na noc pranie, wisiały wytrzepane dywany, przerzucone przez barierki. Tanya wiedziała, że będzie tęsknić. Za obrazami i dźwiękami, tak charakterystycznymi dla Panamy, a tak dziwnymi w pierwszych dniach po przylocie. Wcale nie chciała wyjeżdżać. Zostawi w Panamie wspomnienia związane z Sebastienem: knajpy, w których się spotykali, plaże, gdzie się kochali, jego potajemne nocne wizyty u niej w mieszkaniu. Dla niego wszystko się skończyło, ale dla niej gra trwała.

Wróciła do salonu. Zadowolona z siebie Gemma siedziała na sofie. Z jej mruczenia trudno było wywnioskować, czy wie, co spotkało Sebastiena.

- Chyba pora wziąć się do roboty, Gemmo.

W ostatnich tygodniach pracy w US Banku Tanya była bardzo zajęta, co nie miało jednak wiele wspólnego z jej oficjalnymi obowiązkami. Co wieczór po powrocie do domu szybko jadła kolację, po czym siadała do komputera. Chciała dowiedzieć się wszystkiego o Ivana i Andrew, zanim stanie z nimi oko w oko: skąd pochodzili, jaką mieli przeszłość, co ukrywali przed światem. Wszystko mogło zawierać wskazówkę, która posłuży jej do rozwiązania zagadki śmierci Reksa. Wiedza i intuicja będą jej jedyną bronią. Wiedziała już, że Andrew ma kontakty w wojsku. Z Ivanem na pewno nie pójdzie jej łatwo. Nie bez kozery był szpiegiem. Właśnie, szpiegiem. Dla kogo pracował?

Znała większość oczywistych faktów dotyczących Ivana: profesor prestiżowego Instytutu Spraw Międzynarodowych, wysoko ceniony za doskonałe analizy polityczne i gospodarcze. Zapoznała się z wszelkimi dostępnymi informacjami na temat Instytutu, jak również z listą publikacji jego członków, ale nie znalazła nic ciekawego. Zaglądała do sieci ośrodków naukowych, z którymi Ivan współpracował, ale wyłowiała tylko jedną użyteczną informację: numer jego polisy ubezpieczeniowej.

Tej nocy i przez kilka następnych w wynajętym panamskim mieszkanku przeczesywała światową sieć komputerową, przy każdej okazji posługując się numerem ubezpieczenia Ivana. Zyskała dzięki niemu dostęp do jego zeznań podatkowych w urzędzie skarbowym. Stamtąd wypłynęła na bezkresne morze informacji. Dotarła do rządowych rejestrów urodzin, zgonów, stanu zdrowia, przywilejów socjalnych, sprawdziła dane urzędu imigracyjnego i celnego, ministerstwa obrony i wielu innych instytucji. Zagłębiła się w archiwa policji i służb specjalnych, chociaż te ostatnie sprawiły jej więcej kłopotu. Szyfry i hasła okazały się jednak stosunkowo proste dla kogoś, kto prawie całe dorosłe życie spędził, wyławiając - w imieniu Akademii - dane ze światowej sieci komputerowej. Wszędzie można się dostać i zewsząd wyjść. Wszystkie komputery i sieci konstruuje się zgodnie z tą zasadą.

Dzięki Adeptom zatrudnionym w przemyśle informatycznym Akademia dopilnowała tego, by w większości systemów znalazły się dobrze zamaskowane luki, przez które w razie potrzeby można było przeniknąć w głąb struktur informacyjnych. Macki Akademii sięgały wszędzie. Tam, gdzie było to niezbędne, Tanya posługiwała się hasłami znajomych.

Jej wysiłki poszły jednak na marne. Akademia spisała się na medal: Ivan był wyłącznie utalentowanym ekonomistą, zatrudnionym w szacownym Instytucie. Żadnych podejrzanych śladów, żadnych sekretów. Tanya nie potrafiła w to uwierzyć i nie pozostało jej nic innego, jak dalej drążyć sprawę. Nie miała wyboru.

Po kilku dalszych nocach natrafiła na trop tajemnicy. Tym razem postanowiła przejrzeć rejestry szeregowych członków Instytutu Spraw Międzynarodowych, umieszczonych na końcu listy płac. Trafiła w dziesiątkę. Trzech pracowników miało zdumiewająco podobną przeszłość. Prosto z uniwersytetu trafili do brytyjskiej służby cywilnej, a po dwóch-trzech latach do Instytutu. Właściwie nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie pewien szczegół: archiwa służb cywilnych nie zawierały najmniejszej wzmianki o dalszej karierze owej trójki, chociaż z ich numerów identyfikacji podatkowej wynikało, że wciąż są opłacani z państwowych pieniędzy. Dlaczego służby cywilne miałyby utrzymywać pracowników ISM? Tanya nie musiała długo szukać odpowiedzi. Wprawdzie pobory przekazywano na ich konta przez kilka podstawionych firm, ale ślad prowadził prosto do służb specjalnych. To z kolei sugerowało, że ISM stanowił tylko przykrywkę dla działalności wywiadowczej. Dalsze śledztwo wykazało, że oprócz brytyjskiego NIP-u Ivan ma również numer amerykańskiego urzędu podatkowego. Po jakimś czasie Tanya wyzbyła się resztek wątpliwości. W przeciwieństwie do swoich brytyjskich lojalnych kolegów Ivan działał na dwa fronty. Pracował i dla Anglików, i dla Amerykanów, przy czym w obu wypadkach płaciły mu podstawione, zapewne fikcyjne firmy.

- Gemma... - Tanya wzięła na kolana mruczącą kotkę. - Nasz przyjaciel Ivan jest znacznie bardziej cwany, niżby się mogło wydawać. Wygląda na to, że zatrudnił się w dwóch wywiadach równocześnie. Pewnie śledzi ich działalność na zlecenie Akademii.

Musiał mieć bardzo wpływowych i wysoko postawionych przyjaciół. Będzie groźnym przeciwnikiem.

Tej nocy Tanya nie mogła zasnąć. Jej podejrzania potwierdziły się: Ivan był szpiegiem. Czy jednak miało to coś wspólnego ze śmiercią Reksa? Tego wciąż nie wiedziała. Była wprawdzie przekonana, że Rex zginął z powodu konkursu, ale nadal nie знаła konkretnej przyczyny. Może, gdy dowiedział się o losie Maksa Stantona, chciał ujawnić, że

reguły Gry nie wykluczają morderstwa?

Przez chwilę rozważała tę myśl. Jeżeli miała rację, to kto zabił? Czy zabójcę przysłała Akademia, żeby sekret nie ujrzał światła dziennego? Czy też mordercą był inny uczestnik konkursu, który również znał tę tajemnicę i wyeliminował Rekxa, zanim sam zginął z jego ręki?

Pozostawały cztery osoby: Mistrz, Ivan, Andrew i Sebastien. Który z nich? To pytanie nie dawało jej spokoju. Sebastien uważał, że Mistrz jest poza wszelkim podejrzeniem, i obarczał winą Andrew, chociaż nie miał na to dowodów. Tanya również nie sądziła, żeby to Mistrz zabił Rekxa. Nie miała nawet pewności, czy faktycznie bierze on udział w konkursie. Owszem, widziała go w pokoju Rekxa, ale mógł przecież - tak jak ona - chcieć odkryć tajemnicę jego śmierci.

Pozostawali Ivan i Andrew. Jednakże wyniki jej poszukiwań nie wskazywały na to, by któryś z nich mógł zabić. Potrzebowała czegoś więcej, wskazówki, która pozwoliłaby jej ostatecznie wykluczyć jednego z nich.

Miliony podobnych myśli przelatywały jej przez głowę, ale wszelkie próby ich analizy zawsze kończyły się w ślepych zaułku. Brakowało jej dowodów. Widocznie podchodziła do sprawy zbyt szablonowo. A przecież gdzieś musiał znajdować się klucz do zagadki.

O drugiej w nocy Tanya zerwała się z łóżka. Narzuciła szlafrok i pobiegła do komputera. Udało się: zaczęła myśleć w inny sposób.

Ten, kto napadł ją w Szwajcarii, chciał sprawdzić, co ona i Sebastien wiedzą o Stantonie. Dlaczego sądził, że Tanya może być dobrym źródłem informacji? Mógł wytropić ją w Bostonie. Ivan miał takie znajomości, że bez trudu by sobie z tym poradził.

Skąd jednak wiedział, że wyjechała do domku Sebastiena?

Po chwili na monitorze wyświetliła się lista pasażerów samolotu, którym leciała do Genewy. Nie było na niej Ivana ani Andrew, ale przecież mogli podróżować pod fałszywym nazwiskiem. Znowu pudło.

A jeżeli napastnik wcale z nią nie leciał, tylko jakoś dowiedział się, że ma rezerwację do Szwajcarii? Jak mógł namierzyć ją w Genewie? Czy ktoś ją śledził na lotnisku, a potem jechał za nią do Kasteln? Zadanie byłoby trudne, ale wykonalne.

A gdyby Ivan lub Andrew chcieli ją znaleźć w Szwajcarii przez Sebastiena? Jak mogliby się do tego zabrać? Sebastien przyjechał do Kasteln już po nocnym napadzie, więc śledzenie go nie wchodziło w grę. Co takiego robił w Szwajcarii, że dało się go namierzyć?

Po dziesięciu minutach intensywnych rozmyślań Tanya podniosła słuchawkę telefonu.

- Tak, proszę pani, zaraz sprawdzę - odezwała się młoda dziewczyna ze



szwajcarskiego rejestru nieruchomości. - Proszę się nie niepokoić, rachunek na pewno jest zapłacony. Jeszcze chwileczkę, zerknę tylko na monitor.

Tanya czekała cierpliwie, głaszcząc odruchowo Gemmę.

- Tak, wszystko zapłacone, proszę pani. Sprawę zgłoszono trzynastego lutego w naszym biurze w Genewie. Tak jak pani powiedziała, dotyczyło ono nieruchomości pana Sebastiena Defrage. Opłata za inspekcję wynosiła dwieście franków szwajcarskich. Z przyjemnością mogę panią poinformować, że rachunek został zapłacony w terminie.

- Nie mam żadnego śladu tej płatności... - zaniepokoiła się Tanya.

- Rachunek uregulowała kancelaria adwokacka Heidelberg und Schmidt. Doktor Schmidt osobiście załatwiał tę sprawę. Podam pani ich adres...

Piętnaście minut później w Genewie doktor Schmidt usłyszał od swojej sekretarki:

- Telefon do pana, doktorze.

Poprosił o przełączenie do biura, patrząc przez okno na spokojne jak zwykle Jezioro Lemańskie. Kobięcy głos w słuchawce był cichy i uprzejmy.

- Tak - odparł - gotówką. Dobrze pamiętam tę sprawę. Tak, pan Radič. Próbował znaleźć panią i pani męża... Udało mu się? Tak się cieszę! Jeżeli mógłbym pani jeszcze w czymś pomóc, proszę dzwonić.

Tanya odłożyła słuchawkę telefonu. Ach, ci Szwajcarzy! Zawsze można na nich było polegać. Wiedziała już, kto napadł ją tamtej nocy w chacie Sebastiena. Napadł ją, ale jej nie zabił.

Ivan.

## ROZDZIAŁ 25

*Ludzie przypominają małe drapieżne ptaszki, w których żądza pościgu i polowania jest tak silna i wszechogarniająca, że nie dostrzegają drugiego, większego ptaka, który szybuje nad nimi, gotów w każdej chwili spaść w dół i zabić.*

Niccoló Machiavelli *Rozważania*

### **Listopad. Albania**

W Albanii od pięćdziesięciu lat dobre wiadomości należały do rzadkości, ale ostatni tydzień był wyjątkowo przygnębiający: rozruchy w Tiranie i Elbasani, lincz w Gjirokastrze, zniszczone posterunki policji w Korczy i Vlorze. Generał Durres odłożył raport na biurko.

- Straszne.

- A może być jeszcze gorzej - zauważył generał Lleshi, albański szef sztabu: chudy człowieczek z sińcami pod oczami i pozółkłymi od nikotyny palcami. Ręce mu się trzęsły.

- Uważa pan, że powinienem udać się do stolicy?

Durres przyjął gościa na tarasie willi, skąd mogli podziwiać skapaną w porannym słońcu Sarandę.

- Tak. Żołnierze pana potrzebują, generale. Cieszy się pan powszechnym szacunkiem. Nasz kraj się rozpada!

- A co na to politycy? - spytał z troską Durres, częstując Lleshiego kolejnym papierosem. O jeden papieros bliżej grobu.

Generał Lleshi zaciągnął się głęboko.

- W polityce panuje kompletny bałagan. Nikt nikomu nie ufa. Próbowałem ich wysondować: tylko ten cholerny demokrat Peza mógłby sprzeciwić się interwencji. Reszta będzie cicho.

- Naprawdę? - Durres ucieszył się, ale nie dał tego po sobie poznać. - Nie wiem, czy powinienem wkroczyć na scenę. Czy to nie będzie przesada?

- W żadnym razie - odparł zdecydowanie Lleshi. Zgarnął popiół ze stolika i położył na blacie pogniecioną ulotkę. - Nie zdaje pan sobie sprawy z powagi sytuacji. Kopie listy kolaborantów wojennych krążą po całym kraju. - Rozłożył kartkę. - Rząd nie panuje nad rozwojem wydarzeń. Większość zdrajców wprawdzie nie żyje, ale ich rodziny i rodziny ofiar stały się zaprzysięgłymi wrogami. Proszę tylko spojrzeć na te nazwiska...

- Istotnie... - przytaknął ze współczuciem Durres. - To potworne, do czego mogą prowadzić plotki. - Na jego twarzy odbiła się zgroza, jakby pijany kierowca przejechał mu dziecko. Uwielbiał teatr. W szkolnych przedstawieniach najchętniej grywał Juliusza Cezara, nie lubił tylko zakończenia. Teraz grał na prawdziwej scenie.

- To nie plotki, generale. - Lleshi był zrozpaczony. - Czołowy ekspert londyńskiego Instytutu Spraw Zagranicznych, Ivan Radič, potwierdził autentyczność tego spisu.

- Wiem o tym. - Nadszedł właściwy moment, by wystąpić w roli człowieka o kryształowej moralności, żeby pocziwy generał czegoś nie zwęszył. - Gardzę pogłoskami. Potrzebuję dowodów! Nie zamierzam nikogo potępić, opierając się na plotkach!

A za rządów Hodży wystarczyła plotka, żeby zabić człowieka. Ech, dawne, dobre czasy: ciemna noc, jakieś zwłoki do pogrzebania...

- Naturalnie - przytaknął coraz bardziej zaniepokojony Lleshi. Nigdy nie widział Durresa tak podekscytowanego. Sprawy wyglądały bardzo kiepsko.

- No, generale... - rzekł Durres, zastanawiając się mimochodem, co dzisiaj zjeść na obiad. - Nie podoba mi się mieszanie do tego służb specjalnych, zwłaszcza w naszej młodej demokracji, którą zdecydowanie popieram. Wydaje mi się jednak, że może mieć pan rację. Być może nie doceniłem powagi sytuacji. Musimy ściśle współpracować, aby nie dopuścić do prawdziwej tragedii. Problem polega na tym, że kwestia zdrajców wojennych jest w Albanii sprawą bardzo drażliwą. Nawet dziś, kiedy kolaboranci nie żyją, brzemień winy spada na barki ich dzieci. Może to prowadzić do kompletnego chaosu w kraju.

- To prawda - przyznał szef sztabu.

- Moim zdaniem powinniśmy postawić armię w stan najwyższej gotowości i wprowadzić nasze oddziały do Tirany. To samo dotyczy służb specjalnych. - Durres się skrzywił. - Mam jeszcze inne nieprzyjemne wiadomości. - Z trudem powstrzymał się od uśmiechu na widok wyrazu twarzy Lleshiego. - To sprawa ściśle tajna.

Nachylił się nad stolikiem, wiedząc o tym, że jego słowa staną się tajemnicą poliszynela, gdy tylko Lleshi wróci do stolicy.

- Istnieje druga lista kolaborantów, na której temat udało mi się uzyskać pewne informacje. Na moją prośbę dziś przylatuje do Albanii ekspert Instytutu Spraw

Zagranicznych, by potwierdzić jej autentyczność. Jeżeli ona również okaże się prawdziwa, czeka nas katastrofa: na tej liście znajduje się nawet nazwisko prezydenta.

Generał Lleshi omal nie połknął trzymanego w ustach papierosa.

- Jeżeli to prawda, wojsko powinno przejąć władzę - wyjąkał blady jak ściana.

- Obawiam się, że tak - przytaknął Durres i czekał. Ludzie są tacy przewidywalni. Jakie to miłe.

- A pan powinien stanąć na czele armii - dodał Lleshi. - Ja tego nie zrobię, to wykluczone, chociażby ze względu na mój stan zdrowia. - Jego twarz zdradzała strach i cierpienie. - Poza tym ludzie by mnie nie zaakceptowali. Pan przynajmniej ma jakąś cywilną przeszłość.

- Nie, na to nie mogę się zgodzić. Stanowisko głowy państwa to zbyt poważne obciążenie, a ja nie pragnę władzy. Jestem prostym człowiekiem, pochodzę z ludu.

- Musi pan to zrobić.

- Może i tak... - westchnął Durres.

Odprowadził szefa sztabu do drzwi. Wsiadając do zdezelowanej limuzyny, Lleshi obejrzał się przez ramię i rzekł:

- Generale Durres, jako głównodowodzący armii albańskiej rozkazuję panu przejąć władzę i objąć stanowisko prezydenta kraju. Będzie pan naszym wybawcą.

Durres uśmiechnął się pod nosem.

- Nie sędzę - mruknął.

- Dziś rano puściłem w obieg drugą listę.

Durres pokiwał głową.

- Nie było problemów?

- Najmniejszych - uspokoił go Ivan. - W oparciu o moją opinię brytyjskie i amerykańskie służby specjalne poinformowały przywódców swoich krajów, że obie listy są prawdziwe i nie da się uniknąć przewrotu wojskowego w Albanii. Nawet gdyby przejęcie władzy przez wojsko miało być tylko rozwiązaniem tymczasowym. Zakładają, że na czele rewolty stanie generał Lleshi.

- Nie byłbym tego taki pewien - zauważył Durres. - Nasz pocziwy generał nie najlepiej się ostatnio miewa. Boi się nawet, że ktoś uzna go za zdrajcę i naśle morderców. Mój Boże, w jakich okropnych czasach przyszło nam żyć! Powinniśmy jeszcze ustalić formę płatności. Osobiście odbierze pan pieniądze?

- Nie. - Ivan uśmiechnął się nieznacznie. - Niestety, generale, nie będzie mnie jutro w

Tiranie, żeby uczcić pańską nominację. Chyba rozumie pan, dlaczego to niemożliwe. Proszę dokonać przelewu na konto w pewnym szwajcarskim banku... Oto jego nazwa i numer rachunku. Płatność ma nastąpić w momencie, gdy otrzyma pan oryginały obu list. Oto nazwisko prawnika, który tę sprawę poprowadzi do końca.

- Doskonale. - Wyszli przed dom do zaparkowanego na podjeździe samochodu. - Pamiętał pan o tym, żeby dopisać do list nazwiska, na których mi zależało? Najlepiej będzie oczyścić cały teren za jednym zamachem.

- Pamiętałem. - Ivan uściśnął dłoń Durresa. - Gratuluję, generale. Jestem przekonany, że będzie pan znakomitym prezydentem. Początki zawsze są trudne. Jak to powiedział Machiavelli? „Zdobywca, opanowawszy rządy, powinien przygotować i popełnić naraz wszystkie nieodzowne okrucieństwa, aby nie wracając do nich codziennie i nie powtarzając ich, mógł dodać ludziom otuchy”. Powinien pan chyba wziąć sobie te słowa do serca.

- Nie omieszkam - zaśmiał się generał. - Do widzenia. Interesy z panem to prawdziwa przyjemność.

Odprowadził wzrokiem oddalający się samochód, a potem wrócił do domu i zadzwonił do majora Lefa, który za pierwszym razem przywiózł Ivana do Sarandy.

- Czeka nas pracowity tydzień, synu - oznajmił mu. - Załatw sobie nowy mundur awansuję cię na pułkownika. W piątek w Albanii będzie zamach stanu.

Lef uśmiechnął się od ucha do ucha.

- To wszystko, generale?

- Nie. W piątek pojedziesz do Szwajcarii, żeby załatwić pewne sprawy finansowe.

- Tak jest, generale.

- Dwa dni później znajdziesz i zabijesz Ivana.

Lepiej nie zostawiać śladów. Ivan najwidoczniej zapomniał o innych słowach Machiavellego: „Zniszcz wszystkich, którzy chcą lub mogą ci zaszkodzić”.

### **30 listopada. Genewa**

Doktor Schmidt wstał od biurka i wyjrzał przez okno. Czekał na klienta. Wody Jeziora Lemańskiego mieniły się w słońcu.

Doktor Schmidt wrócił myślami do bieżących spraw. Dostał jasne instrukcje i nie bardzo wiedział, co tu można było zrobić, żeby zażądać wyższej stawki za swoje usługi. Szkoda. Chociaż musiał przyznać, że zapłacono mu bardzo szczerze: dwa tysiące dolarów za przekazanie jakichś dokumentów. Pan Ivan Radič nalegał, żeby z góry ustalili wysokość

zapłaty. I miał gest. Obcowanie z takim klientem to prawdziwa przyjemność.

Rozległo się pukanie do drzwi i do gabinetu zajrzała sekretarka. Na jej twarzy malowało się lekkie zdziwienie.

- Jakiś dżentelmen do pana, doktorze. Nie chciał powiedzieć, jak się nazywa.

- Tak, tak, proszę go wprowadzić.

Doktor Schmidt przywitał się z ciemnowłosym mężczyzną, ale mimo iż starał się nawiązać uprzejmą rozmowę, pułkownik Lef nie miał ochoty wdawać się w konwersację. Doktor Schmidt przeszedł więc od razu do rzeczy.

- Czy może mi pan okazać dowód przelewu dwudziestu milionów dolarów na konto naszej kancelarii w Swiss Banku?

Lef podał mu dowód wpłaty. Schmidt obejrzał go dokładnie, po czym wręczył Lefowi zaklejoną kopertę.

- Proszę sprawdzić, czy dokumenty są w porządku.

Lef otworzył kopertę i znalazł w niej oryginały list zdrajców, wydobyte z akt brytyjskiego wywiadu, a także ich rozszyfrowane wersje. Skinął głową. Doktor Schmidt zadzwonił teraz do banku, gdzie uzyskał potwierdzenie przelewu.

- Miło było pana poznać - powiedział doktor Schmidt. Gość wyglądał na Rosjanina, ale Schmidt nie miał co do tego pewności.

Lef wyszedł bez słowa.

Doktor Schmidt ponownie zadzwonił do banku obsługującego jego kancelarię.

- Proszę przesłać pieniądze dalej zgodnie z instrukcjami wydanymi przez naszego klienta.

Dwadzieścia milionów dolarów powędrowało na rachunek Akademii, a doktor Schmidt wrócił na swój fotel. Tak oto w prosty sposób zarobił dwa tysiące dolarów. Wziął z biurka gazetę i rzucił okiem na tytuły z pierwszej strony: hossa na giełdzie w Stanach... bankructwo dużego francuskiego producenta samochodów... strajk portugalskich dokerów... zamach stanu w Albanii...

Ivan odczekał, aż Lef opuści siedzibę kancelarii, a następnie sprawdził w banku, czy pieniądze zostały wysłane na konto Akademii. Kilka następnych dni spędził, jeżdżąc po całej Szwajcarii, żeby zmylić trop i zgubić ewentualnych natrętów. Pociągiem wrócił do Paryża, uprzyjemniając sobie podróż wyśmienitym szampanem. W stosownym momencie zamierzał wysłać do generała Durresa list z gratulacjami. W przyszłości pewnie jeszcze się spotkają, kiedy Ivan będzie Mistrzem. To zrobi wrażenie nawet na prezydencie Albanii.

Późnym popołudniem wysiadł z pociągu i przesiadł się do metra. Wokół przelewała się rzeka ludzi. Mężczyźni wracali do domów, żeby wdać się w zwykłe rodzinne kłótnie. Studenci wybierali się do dyskotek, żeby poderwać kogoś na noc. Paniusie z pudełkami jechały na zakupy, jakby chciały, żeby ktoś je napadł. Starzy ludzie dreptali powoli, pogrążeni we śnie na jawie.

Ivan ich nie widział. Tak jak wszyscy, błądził myślami gdzie indziej.

Myślał o Hadleyu i o tym, co powie, kiedy Ivan zostanie Mistrzem. Będzie jeszcze bardziej poruszony niż zwykle. Kochany James żył w zupełnie innym świecie... Ale potrafił być bardzo użyteczny, a poza tym w głębi serca Ivan darzył go ciepłym uczuciem.

Wyszedł po schodach ze stacji metra, nie zwracając uwagi na mijający go tłum. Nagle odwrócił się, wiedziony podświadomym impulsem. Jakiś człowiek w metrze... Nie potrafiłby go rozpoznać, ale... Przez chwilę wydawało mu się, że dostrzega na schodach znajomą postać.

To niemożliwe, uznał. Absolutnie niemożliwe. Nikt nie dałby rady go wytropić. Pozacierał przecież wszystkie ślady. Nerwowo powiódł wzrokiem po ludziach. Nikogo znajomego. A jednak...

Rzucił się biegiem. Kiedy obejrzał się przez ramię, dostrzegł w tłumie tę samą twarz. Roztrącając ludzi, biegł po zatłoczonych chodnikach, przekonany, że ktoś go ściga. Wiedział, że musi jak najprędzej wrócić do mieszkania. Tam będzie bezpieczny. Kiedy pędził przed siebie, jego mózg pracował na wysokich obrotach. Niczym w szachach rozważał różne możliwości. Czy gdzieś popełnił błąd? Choćby najdrobniejszy?

Za każdym razem odpowiedź brzmiała identycznie: nie, na pewno się nie pomylił. To było niemożliwe.

Skręcił w jakąś spokojną uliczkę i zatrzymał się. Na pewno wszystko to sobie tylko wyobraził. Czekał, wsłuchując się w ciszę, aż zmaterializowały się jego najgorsze lęki: w oddali usłyszał tupot kroków na bruku. Odwrócił się i pobiegł przed siebie brzegiem Sekwany.

Z przykrością zdał sobie sprawę, że jednak nie jest nieomylny. Zapomniał o jednym drobiazgu: o Fortunie. To samo przydarzyło się wielkiemu geniuszowi władzy. Machiavelli oparł przecież *Księcia* na dziejach Cesare Borgii, jednego z najokrutniejszych średniowiecznych książąt, który za wszelką cenę chciał zostać władcą całych Włoch. Nie zawahał się w tym celu sięgnąć po wszelkie dostępne środki: zabójstwo, oszustwo, okrucieństwo, tortury. Prawie mu się udało. Los jednak sprawił, że zdobył pełnię władzy, kiedy był już umierający. Ivan ze smutkiem zdał sobie sprawę, że popełnił podobny błąd. Przewidział wszystkie możliwości poza jedną, niewyobrażalnie mało prawdopodobną. Nie

wpadł na to, że Hadley może go przypadkiem zdradzić. Z pewnością wrogowie wytropili go przez jego kochanka. Biedny, głupiutki Hadley. Nie powinien był nigdy zgłaszać się do pracy w wywiadzie, lecz zostać zwykłym historykiem.

Każdy człowiek zabija to, co kocha najbardziej.

Pięć minut później z rozmachem otworzył szklane drzwi kamienicy, w której mieszkał. Wpadł na schody. W płucach paliło go żywym ogniem, dyszał ciężko, przed oczami latały mu ciemne plamy. Zaciskał palce na poręczach, jakby zapomniał, jak wchodzi się po schodach. Pierwszy raz w życiu poważnie wziął pod uwagę możliwość istnienia Wszchemogącego i zaczął się modlić. Boże, pomóż mi! Liczył kolejne podesty na schodach, wiedząc, że nie może liczyć na litość ze strony prześladowcy. Ktoś otworzył drzwi na parterze i wbiegł na schody, a potem kroki nagle ucichły.

Ivan nie zwracał już na to uwagi. Przebiegł przez podest i dopadł drzwi swojego mieszkania. Udało mu się, jednak mu się udało! W środku będzie bezpieczny, ma broń. Naprawi błąd.

Kładąc rękę na klamce, pomyślał o Tanyi. Wiedział teraz, co to znaczy znaleźć się w pułapce bez wyjścia, jak motyl na szpilce, i umierać ze strachu. Mimo wszystko cieszył się, że wtedy jej nie zabił. Teoria i praktyka to jednak dwie różne rzeczy, bez względu na to, co na ten temat sądził Machiavelli. W pogoni za władzą Ivan mógł się daleko posunąć, ale żeby zabić kogoś, kto nie wyrządził mu najmniejszej krzywdy? Nigdy. Nie tędy droga. Żadna władza nie usprawiedliwiała takiego grzechu.

Kiedy otworzył drzwi, wybuchła bomba. Potężna eksplozja wstrząsnęła całym budynkiem. Ivan zginął na miejscu, podobnie jak dwaj dyplomaci mieszkający na tym samym piętrze. Chwilę później dym zasnuł ulicę, słychać było wycie karetek i płacz umierającego dziecka. Strażacy robili, co mogli, żeby opanować pożar. Uwaga wszystkich skupiła się na nieszczęśnikach, którzy nie mogli wydostać się z mieszkań. Zabójca Ivana niepostrzeżenie ulotnił się z miejsca zbrodni.

Nie udało się stwierdzić, kto podłożył bombę: terroryści z Bliskiego Wschodu, kartel narkotykowy, włoska mafia... Spekulacje na łamach prasy światowej trwały kilka dni, koncentrując się na osobach włoskich dyplomatów, ale ostatecznie sprawa umarła śmiercią naturalną. Nie było śladów, nie było motywu. W wybuchu zginął również pewien wybitny ekonomista. Niektóre dzienniki i prasa specjalistyczna zamieściły krótkie nekrologi. Wszystko wskazywało na to, że Ivan Radič był niewinnym człowiekiem, który znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

Mistrz dowiedział się o jego śmierci kilka minut po wybuchu, a pozostali uczestnicy



gry przeczytali o niej w gazetach. Była jeszcze jedna osoba, którą ta informacja zainteresowała.

- Ojciec...

- Słucham cię, Lef.

- Z przykrością informuję, że Ivan Radič zginął w wybuchu bomby. Francuskie gazety więcej piszą o tej sprawie.

Durres zadumał się nad słowami syna. Siedział w fotelu prezydenckim, mając za sobą ścianę ozdobioną flagą Albanii. Był bardzo zapracowanym człowiekiem, ale przecież mógł przez chwilę powspominać przyjaciela. Starego, dobrego przyjaciela.

- To smutne. Twoja robota?

- Niestety nie. Ktoś go dopadł przede mną.

- Pewnie angielski albo amerykański wywiad. Musieli dowiedzieć się, jaką rolę odegrał w naszym zamachu stanu. - Durres się uśmiechnął. - Bardzo to uczciwe z ich strony. Możesz wracać do domu, Lef. W kraju uspokaja się.

Po śmierci Ivana zostało już tylko dwoje uczestników konkursu: Andrew i Tanya. A może ktoś jeszcze?

## ROZDZIAŁ 26

*Tak oto dobry człowiek staje się nauczycielem złego, zły zaś -  
materiałem, na którym dobry się uczy.*

Lao-Cy

### **Listopad. Tajwan**

- Za dużo pracujesz, Andrew - stwierdził David Chen. - W ogóle się nie widzimy. Spotykamy się dopiero drugi raz, odkąd jesteś na Tajwanie. Unikasz nas. Co się dzieje? Dlaczego jesteś taki skryty?

Siedzieli w salonie należącego do Chena penthousu, którego okna wychodziły na rzekę. Dwoje dzieci Chena spało już, a żona wyszła do sąsiadów porozmawiać o zbliżającym

się święcie. Gospodarz siedział wygodnie na miękkiej sofie ze szklaneczką whisky w dłoni.

Andrew uśmiechnął się niepewnie.

- To chyba nie jest dobry pomysł, żebym ci wszystko wyjaśniał, Davidzie - odparł. - Mam jednak do ciebie prośbę.

- Wał śmiało - rzekł zachęcająco Chen.

- Przede wszystkim chciałbym otworzyć rachunek w twoim banku. Przepuszczę przez niego znaczną sumę pieniędzy. Podam ci numer konta, na które te pieniądze mają trafić.

- Nie ma sprawy. Z przyjemnością to załatwię.

- Druga rzecz: jest na Tajwanie człowiek, z którym chciałbym się spotkać, ale nie wiem, jak się z nim skontaktować. Może potrafisz mi w tym pomóc.

- Na pewno. Znam wszystkie grube ryby na Tajwanie - przyznał skromnie Chen.

- Chodzi mi o Hu Li.

Chen zakrztusił się whisky, wyjął z kieszeni chusteczkę i odkaslnął w nią. Kiedy odsunął ją od twarzy, był czerwony jak burak.

- W co ty się, u licha, pakujesz, Andrew?! - syknął. - Igrasz z ogniem!

- Kim jest Hu Li?

- Nie wiem. - Chen zmarszczył brwi. - I nic mnie to nie obchodzi. To bardzo śliska sprawa. Jeżeli chcesz się czegoś o nim dowiedzieć, zajrzyj do akt policji. Ktoś taki jak ty na pewno ma do nich dostęp - dodał z przekąsem.

- Już to zrobiłem - odparł Andrew, nie wdając się w szczegóły. - Bardzo mało wiedzą o nim na policji. Kiedy przed laty tu mieszkałem, ludzie mówili o nim jak o jakimś mitycznym demonie.

Chen zerknął ku drzwiom, nasłuchując, jakby chciał się upewnić, że żona nie wróciła od sąsiadów. Dlaczego jego przyjaciel pakuje się w takie towarzystwo?

- To zły człowiek. Nikt przy zdrowych zmysłach się z nim nie zadaje.

- Dlaczego?

Chen przełknął z wysiłkiem ślinę. Widział, że Andrew nie da się łatwo zbyć. Zrobiło mu się gorąco z wrażenia. Gdyby żyła jego żona, na pewno nie doszłoby do takiej sytuacji. Andrew nigdy nie doszedł do siebie po śmierci Amy i teraz postradał zmysły. Najwyraźniej zamierzał zarobić duże pieniądze, nie zwracając uwagi na związane z tym ryzyko.

- Posłuchaj: powiem ci wszystko, co wiem, ale potem nie będziemy już wracać do tego tematu, dobrze? Hu Li jest jednym z najpotężniejszych, a na pewno najbardziej niebezpiecznym szefem triady na Tajwanie. To nie byle co. Ludzie opowiadają niesamowite historie o jego okrucieństwie.

- Skąd pochodzi?

Chen zniżył głos do szeptu:

- Zanim w 1949 roku komuniści doszli do władzy, działał na południu Chin. Mówi się, że w Kantonie był rekinem półświatka i że do spółki z bratem maczali palce we wszystkich nielegalnych interesach, jakie można sobie wyobrazić: narkotykach, prostytutce, handlu ludźmi, hazardzie i tak dalej. Rządzili Kantonem.

- Nie wyobrażam sobie, żeby taki człowiek mógł dogadać się z przewodniczącym Mao - zauważył Andrew.

- Faktycznie, to było nie do pomyślenia. Kiedy wybuchła rewolucja, Mao dobrał się takim ludziom do skóry, ale Hu Li wymknął mu się i uciekł na Tajwan. Jego brat miał mniej szczęścia. - Chen dołał sobie szkockiej. - Wpadł w ręce komunistów i chyba do dzisiaj siedzi w więzieniu. Mniejsza o to. Hu Li w krótkim czasie zbudował potężną triadę na Tajwanie, bazując na zyskach z kasyn i prostytutki. Zajął się też przemytem narkotyków do Chin. W przeciwieństwie do wielu podobnych bandytów był bardzo cwany.

- W jakim sensie?

- Większość szefów triady chciała tylko dwóch rzeczy: pieniędzy i seksu. Hu Li był inny, bo zależało mu dodatkowo na władzy. Skorumpował wszystkich, których udało mu się zastraszyć, tak że policja wkrótce stała się wobec niego bezradna. Zbyt wielu polityków i sędziów go kryło. Cały czas o krok wyprzedza poczynania władz i jest praktycznie nietykalny. Ledwie policja zdoła go z czymś połączyć, świadkowie umierają, przysięgli biorą w łapę, dowody znikają, a samego Hu Li nikt nigdy nie ogląda na oczy. Czasem tylko czuć jego obecność, jakby czał się w cieniu, niczym polujący krokodyl. Wcale nie przesadzam! - skrzywił się Chen. - Ten człowiek to wcielenie zła! Kiedy parę lat temu jego nazwisko wypłynęło u nas w banku w związku z handlem nieruchomościami, kontrahenci sztywnieli ze strachu na jego dźwięk. Ale zarazem bali się wycofać.

- I co się stało?

- Doszło do transakcji i wszystko stracili.

- Jeżeli jest taki sprytny, dlaczego jeszcze nie wyciągnął brata z Chin? Nie zależy mu na nim?

- Zależy, zależy. Podobno brat w chińskim więzieniu to dla Hu Li wieczny wyrzut sumienia. Wiesz chyba, jak wysoko Chińczycy cenią rodzinę i więzy krwi, prawda? A jednak mimo fortuny i wpływów, jakimi dysponuje, jest bezradny. Chińscy przywódcy nie chcą się z nim układać. Nie wiem nawet, czy jego brat jeszcze żyje.

Szczękniętą zamek w drzwiach: to żona Chena wróciła do domu i weszła do kuchni.

Chen zniżył głos:

- Powiem ci coś jak przyjaciel przyjacielowi, Andrew: nie szukaj Hu Li. Każdy, kto za bardzo się do niego zbliży, kończy wmurowany w fundament domu takiego jak ten.

- Jeszcze jedno pytanie: gdzie znajdę ludzi z triady?

Chen westchnął ciężko.

- Szukasz śmierci, stary przyjacielu.

- Powiedz mi.

- W tak zwanej Zakazanej Dzielnicy - mruknął Chen, podnosząc z niepokojem wzrok, gdy jego żona weszła do pokoju.

- Dobrze się wam rozmawia? Wspominacie stare czasy, co?

- Właśnie - przytaknął Chen, może ze zbyt wielkim entuzjazmem.

Wkrótce Andrew zaczął się zbierać do wyjścia. Żona Chena, urodzona Tajwanka, przytuliła go mocno.

- Wracaj i odwiedź nas jeszcze - powiedziała. - Bardzo cię proszę.

Chen pożegnał się z nim na schodach. Był niepocieszony.

- Od dawna się przyjaźnimy, Andrew, ale na razie chyba nie powinniśmy się widywać, jeżeli naprawdę chcesz się spotykać z Hu Li. - Skrzywił się. - Mam rodzinę i w ogóle... Wiesz, jak jest.

- Wiem, Davidzie. Odezwę się, gdy będzie po wszystkim.

Chen uściskał jego dłoń.

- Do zobaczenia, Andrew. Uważaj na siebie. Bardzo uważaj.

Pokażę wam smutek i jego kres. Tak powiedział Budda.

Andrew zastanawiał się, czy Budda byłby takim optymistą, gdyby odwiedził Zakazaną Dzielnicę. Najuboższa część Tajwanu cieszyła się fatalną reputacją nawet wśród miejscowych, nawykłych przecież do okrucieństw i przemocy. Zakazaną Dzielnicę oddano we władanie złu. Niewielu uczciwych ludzi zapuszczało się w wąskie i kręte zaułki, gdzie nawet światło dnia docierało niechętnie.

Gdyby jednak ktoś się na to zdecydował, znalazłby się w końcu pod zaniedbanym, wałącym się murem otaczającym ogromne getto. Niczym armia demonów, ludzie triady zagarnęli ten skrawek ziemi dla siebie i stworzyli na nim społeczeństwo, które nigdy nie wyszło poza epokę niewolnictwa. Świat dziewcząt i chłopców, którzy rodzili się tylko po to, by zaspokajać żądze dorosłych. Świat mężczyzn i kobiet, którym pisany był los nikomu niepotrzebnych pionków. Świat żebraków, kalek, sutenerów, gangsterów, zawodowych

morderców, drobnych złodziejasków, nocnych klubów i kasyn, kierowany wolą jednego człowieka, o którym prawie nic nie wiedzieli. Po drugiej stronie rzeki bankierzy, prawnicy, armatorzy, handlowcy i dealerzy żyli pod kontrolą tej samej złej siły, której byli ślepo posłuszni, choć nigdy nie poznali jej źródła.

Miejsca pobytu wodza nie znali nawet jego najemnicy. W sercu Zakazanej Dzielnicy, wśród migoczących neonów, burdeli i tanich knajp, Hu Li miał swoje legowisko. Nie dosięgały go tu brud i smród, nędza, głód i rozpacz. Hu Li opływał w luksusy.

Mieszkał w salonach wielkości sal koncertowych, korzystał z basenu o wymiarach olimpijskich, miał własne kino, oranżerie, bibliotekę pornograficzną i prywatne muzeum, a w nim największą na Dalekim Wschodzie kolekcję ozdób z nefrytu. Był niepodzielnym panem i władcą tej siedziby. Przesada w zaspokajaniu żądz, możliwa dzięki bezlitosnemu wyzyskowi innych, odzwierciedlała jeden z aspektów zdeformowanej natury Hu Li. Dieta złożona z żeńszienia, sproszkowanych pazurów niedźwiedzia i lwich penisów miała przytłumić lęk przed wizytą nieproszonego gościa, którego nikt nie zdoła przekupić: śmierci. Hu Li żył więc jak stary krokodyl, starzał się coraz bardziej i pielęgnował w sobie zło.

Mało kto mógł się z nim równać pod względem posiadanej władzy. Może tylko Mistrz.

Zebrawszy wszelkie możliwe informacje, Andrew wrócił do Pekinu i ponownie spotkał się z profesorem Wangiem. Usiedli na tej samej ławeczce. Na pierwszą wzmiankę o Hu Li Wang skrzywił się z niesmakiem.

- Słyszałem o nim i o zbrodniach, jakich dopuścił się w Chinach. To bardzo zły i bardzo wpływowy człowiek. Jestem zbyt drobną płótką, żeby mieć z nim coś wspólnego. Nawet nie wiem, czy jego brat jeszcze żyje. Hu Li nadal otacza aura strachu i nienawiści.

- Jak mógłbym dowiedzieć się czegoś więcej o jego bracie?

Wang zerknął z ukosa na Andrew i napił się herbaty.

- Jak panu zapewne wiadomo, przeżyłem ciężkie chwile, gdy nastąpiła rewolucja kulturalna. Jednakże miało to i swoje dobre strony: wielu spośród tych, którzy wtedy cierpieli razem ze mną, dziś zajmuje wysokie stanowiska. Oni będą wiedzieć.

Wang wstał i przeszedł do biurka. Na skrawku papieru napisał kilka chińskich znaków i podał go Andrew.

- Dawno, dawno temu oddałem przysługę pewnemu człowiekowi, który znalazł się w tarapatkach. Pewnie już o tym zapomniał, ale ja spróbuję mu przypomnieć. Może on panu udzieli pomocy.

Kiedy Andrew miał już wyjść, Wang zatrzymał go w drzwiach.

- Posłuchaj, Andrew. Dużo rozmawialiśmy o Czangu, więc chyba dobrze byłoby, żebyś zapamiętał proste słowa Tao: „Niech twoje umiejętności powstrzymają cię tam, gdzie jesteś bezradny”.

Stojąc w drzwiach gmachu zapomnianego przez Boga i ludzi wydziału uniwersyteckiego, stary profesor pomachał Andrew na pożegnanie. Jego gość nie zadał mu jednego, kluczowego pytania. Nawet gdyby to zrobił, nie uzyskałby odpowiedzi.

Profesor poszedł zadzwonić do Mistrza.

Następnego dnia Andrew został zabrany czarną limuzyną do Zhongnanhai, pekińskiej dzielnicy, gdzie znajdują się rezydencje chińskich przywódców. Samochód przejechał przez masywną, nabijaną czerwonymi ćwiekami bramę, minął cytat z przewodniczącego Mao „Służyć ludziom” i zatrzymał się pod drzwiami przeciętnie wyglądającego hoteliku. Niespełna dziesięć minut później Andrew stanął twarzą w twarz z człowiekiem, od którego zależał los milionów Chińczyków. Trochę porozmawiali - nikt nie protokołował ich słów - a potem Andrew wrócił samolotem na Tajwan.

Następnego dnia udał się z wizytą do pewnego dobrze znanego polityka. Polityk powitał go z uśmiechem w drzwiach swojego gabinetu. Cały aż emanował wstrętną służalczością.

- Witam, jak się pan miewa? Wszystko w porządku?

- Proszę przekazać to panu Hu Li.

Sztuczny, przyklejony uśmiech zniknął z twarzy polityka, ustępując miejsca gniewnemu grymasowi.

- Nie wiem, o kim pan mówi - odparł, próbując oddać kopertę Andrew.

- Po prostu proszę przekazać to panu Hu Li.

Trzy dni później, kiedy Andrew wrócił wieczorem do swojego mieszkania, na kanapie czekał na niego starszy, elegancki Chińczyk. Był średniego wzrostu i przypominał dobrodusznego dziadunia.

- Jestem Hu Li - oznajmił. - Cały czas zadaję sobie pytanie: dlaczego chciał się pan spotkać z takim starym, schorowanym człowiekiem. Postanowiłem jednak zadośćuczynić pańskiej prośbie i przybyć na spotkanie. - Gestem dał znak Andrew, że może usiąść. Niezauważalnie, niczym zły duch, już zaczynał przejmować kontrolę nad właścicielem domu.

- To bardzo uprzejme z pana strony. Napije się pan czegoś?

- Nie.

- Może życzy pan sobie coś do zjedzenia?

- Nie.

Andrew nawet nie wyobrażał sobie, jak wygląda Hu Li. Teraz nie miał wątpliwości, że wygląd Chińczyka zupełnie nie pasuje do jego zachowania. Na pierwszy rzut oka przypominał dystyngowanego mandaryna albo dyplomatę: miał delikatne rysy twarzy i zachowywał pozory przesadnej uprzejmości. Tylko jego oczy były okrutne. Gdy koncentrował na kimś wzrok, zdawał się go hipnotyzować jak kobra swoją ofiarę.

Mówił chrapliwym, gardłowym głosem. Otaczała go specyficzna aura strachu. Chen mówił o nim jak o wcieleniu zła i teraz Andrew wiedział już, co miał na myśli. Hu Li nurzał się w mrokach ludzkiej duszy, żerując na tym, co złowił w niej najgorszego. I robił to z przyjemnością.

- Zatem wie pan, gdzie jest mój brat, tak? - zapytał Hu Li, gdy zakończyli wymianę uprzejmości.

- Tak. Przeniesiono go do obozu pracy w Pu'er w prowincji Junan.

- Jak się czuje?

- Nieźle, biorąc pod uwagę, że dobiega osiemdziesiątki.

- Skąd pan ma takie informacje? Ile pan za nie zapłacił?

- Ani grosza. A informacje pochodzą od komendanta obozu. Oto jego raport.

Hu Li wziął dokument z rąk Andrew i szybko go przeczytał.

- Jeżeli nie zapłacił pan za niego ani go nie wykradł, musi pan mieć niezłe znajomości.

- Owszem. To jest nazwisko człowieka, który zamówił ten raport.

Na widok wykaligrafowanego nazwiska Hu Li zaparło dech w piersi. Zmrużył oczy. Znalazł się o krok od spełnienia marzeń.

- Obraca się pan w naprawdę wysoko postawionym towarzystwie - zauważył podejrzliwie.

Andrew przyglądał mu się bez słowa. Hu Li coraz bardziej przypominał mu węża, który zakrada się do nory w ziemi w poszukiwaniu zdobyczy. Prawie słyszał suchy szmer łusek na piasku.

- Cóż, może jestem już stary, ale moje słowa wciąż potrafią otworzyć wiele drzwi w tym kraju - mówił dalej Chińczyk. - Nie wszystkie jednak. Od ponad roku nie miałem wieści o moim bracie. Doszedłem do wniosku, że widocznie już nie żyje. Tym bardziej cieszy mnie wiadomość, że ma się dobrze. To dla mnie wielka pociecha. - Spojrzał na Andrew, mrużąc oczy, przez co jeszcze bardziej upodobił się do węża z błoniastymi powiekami. Kobra uniosła z zainteresowaniem łeb. - Czego pan chce? - spytał ostro. - Dlaczego przekazał mi pan

tę informację? Żeby ze mnie szydzić?

- Słyszałem, że chciałby pan uwolnić brata.

- To niemożliwe. - Hu Li nie ukrywał swojej pogardy. - Komuniści go nie puszcza.

Myśli pan, że nie próbowałem?

- Może i próbował pan, ale ja proponuję panu konkretną umowę: dostarczę pańskiego brata na Tajwan.

Oczy Hu Li błysnęły złowieszczo.

- Jak?

- Pohandlujemy: oddam go panu za dwadzieścia milionów dolarów.

Hu Li machnął lekceważąco ręką.

- Oferowałem chińskim władzom znacznie większe pieniądze za niego, ale zawsze odmawiali. Decyzję musiałby wydać człowiek, który nienawidzi mnie i mojego brata. Nie przekona go nawet wygadany były Adept Akademii. Tracę tylko czas.

Andrew zatkało. Hu Li wiedział, iż Andrew był Adeptem! A nawet to, że nie jest już Adeptem. Musiał mieć doskonałe źródło informacji w samej Akademii. Andrew patrzył, jak kobra w ludzkiej skórze kołysze się niespokojnie na boki. Hu Li nie zamierzał na razie robić mu krzywdy, chciał się pobawić ze zwierzyną.

- To też nie jest wykluczone. Moja cena to dwadzieścia milionów dolarów. Oto zdjęcie pańskiego brata.

Hu Li wziął fotografię do ręki i długo wpatrywał się w twarz przedstawionego na niej mężczyzny. Nie było mowy o pomyłce. Pierwszy raz od bardzo dawna poczuł ból. Wciąż nie spełnił obietnicy złożonej rodzicom ponad ćwierć wieku wcześniej: bez względu na koszty miał uwolnić brata z chińskiej niewoli. Czy to możliwe, żeby ten człowiek, były członek tajemniczej, ekskluzywnej instytucji, mógł mu pomóc? Może wykradł te informacje właśnie z Akademii? Czy to dlatego go wyrzucili? Hu Li podniósł wzrok znad zdjęcia i spojrzał Andrew w oczy.

- Albo jest pan bardzo wpływowym człowiekiem, panie Brandon, albo bardzo głupim.

- Ani jedno, ani drugie. Podtrzymuję swoją ofertę. Jest pan nią zainteresowany?

Hu Li był szczerze zaintrygowany. Andrew prawidłowo podał miejsce pobytu jego brata i przedstawił mu raport, w normalnych warunkach zastrzeżony dla jednego jedyne go człowieka w całych Chinach. No i to zdjęcie. Facet musiał mieć kontakty na najwyższych szczeblach drabiny władzy. Czy to sam chiński przywódca składał mu tę ofertę?

- Jakie są pozostałe warunki?

- Dostarczę pańskiego brata na Tajwan.



- Żywego i wolnego?

- Tak, za dwadzieścia milionów dolarów.

- Dobrze. Odbiorę go tutaj, w tym mieszkaniu.

- Nie - zaproponował Andrew. - To dla mnie zbyt niebezpieczne. Mógłby pan łatwo zapomnieć o umowie i kazać mnie zabić.

Na twarzy Hu Li odmalowało się niezadowolenie. Tylko w oczach błysnął mu wesoły ogień.

- Dotrzymam słowa. Cóż to jest: dwadzieścia milionów dolarów za życie brata? Jestem bogatym człowiekiem.

- Co nie zmienia faktu, że to ja wybiorę miejsce transakcji.

- Byle na Tajwanie.

- Dobrze, ale nie na łądzie: na morzu. Przewiozę go dżonką na tajwańskie wody terytorialne, a pan przybędzie na spotkanie sam.

- To niemożliwe! - zajęczał Hu Li. - Jestem już stary, słaby i mam wielu wrogów. Potrzebuję ochrony.

- Dobrze: dwóch ochroniarzy plus jeden sternik na pańskiej dżonce.

- Mam przywieźć pieniądze?

- Dwadzieścia milionów to spora suma. Pieniądze mogłyby gdzieś zginąć po drodze - odparł Andrew. - Proszę otworzyć konto w tym banku. - Dał Hu Li adres banku, w którym pracował Chen. - I zlecić przelew na rachunek o podanym tu numerze, gdy tylko wypowie pan umówione hasło.

- Co dalej?

- Pokażę panu człowieka, o którego panu chodzi. Pan potwierdzi jego tożsamość, zadzwoni do banku z telefonu komórkowego i przedyktuje hasło. Bank natychmiast wykona zlecenie, a ja sprawdzę, czy sprawa została załatwiona.

- Genialne.

Andrew zignorował szyderczy komplement.

- Potrzebny będzie mi dowód, że faktycznie otworzył pan konto. Mam w banku swoich ludzi, którzy to dla mnie sprawdzą.

- A co potem?

- Ktoś odbierze mnie z dżonki, a wtedy pański brat będzie wolny. Oto moje warunki.

Hu Li pokiwał głową.

- Kiedy przekaże mi pan brata?

- Potrzebuję paru tygodni, żeby wszystko pozałatwić, ale w połowie grudnia

powiniennem być gotowy. Skontaktuję się z panem i podam dokładną datę. Ach, jest jeszcze jedna sprawa, którą powinniśmy omówić, panie Li. - Andrew odczekał chwilę, żeby jego słowa dotarły do Chińczyka. - Na wypadek, gdybym ja dostarczył panu brata, pan zaś postanowił nie dotrzymać umowy i mnie zabić.

- Co też pan mówi! - odparł z oburzeniem Hu Li, jakby w głowie mu się nie mieściło, że mógłby postąpić w tak haniebny sposób. Długie, wypiełgnowane paznokcie zaszeleściły cicho o jedwabną szatę.

- Spiszę warunki naszej umowy i umieszczę je w zalakowanej kopercie. Gdybym niespodziewanie zginął, koperta zostanie przekazana szefowi policji na Tajwanie.

Hu Li długą chwilę rozważał słowa Andrew.

- Dobrze - stwierdził wreszcie, podjąwszy ostateczną decyzję. - Dwadzieścia milionów dolarów za dostarczenie mojego brata całego i zdrowego na tajwańskie wody terytorialne. Proszę sobie tylko zapamiętać, panie Brandon, że ja bardzo poważnie traktuję wszelkie kontrakty. Jeżeli mnie pan zawiedzie, nie odpowiadam za konsekwencje. Widzę, że bardzo pilnie potrzebuje pan pieniędzy. Niech pan uważa, żeby chciwość pana nie zgubiła. I proszę się wkrótce odezwać.

Hu Li zszedł zamyślony po schodach. Jak za sprawą czarodziejskiej różdżki otoczyli go ochroniarze. Wyglądało więc na to, że Chińczycy są jednak gotowi oddać jego brata. Lepiej teraz zapłacić, niż później dostać zwłoki. Ciekawe, do kogo trafi te dwadzieścia milionów? Do szefa rządu chińskiego? Pewnie tak. Jaka rolę odgrywał w tym wszystkim Brandon? Zapewne był pośrednikiem: w ten sposób Chińczycy nie ujawniali swojego udziału w sprawie, a gdyby coś poszło nie po ich myśli, mieli gotowego kozła ofiarnego.

Hu Li wyszedł na ulicę. Podjął już decyzję. Młody Brandon zachował się jak głupiec i nie było sensu zawracać sobie nim głowy. Przecież szef policji to bliski przyjaciel Hu Li. Jednak Adeptci Akademii nie są tak sprytni, za jakich uchodzą. Hu Li uśmiechnął się pod nosem i wrócił do swojej kryjówki, by jeszcze raz zarzucić sieć na zagubione ludzkie dusze.

Al Johnson z nowojorskiej agencji Al Johnson Investigations odebrał telefon. Klienci jak zwykle przeszkadzali mu w porze lunchu. Czy oni nie zdają sobie sprawy, że detektywi też muszą coś jeść? Sięgnął po słuchawkę, maczając przy okazji krawat w majonezie i sałatce.

- Słucham? - krzyknął.

Cichy, seksowny, kobiecy głos sprawił, że Al natychmiast zmienił zdanie. Oczywiście, że klienci mogą dzwonić w porze lunchu. Na dobrą sprawę klientka z takim głosem może dzwonić o dowolnej porze dnia i nocy. Na pewno była piękną kobietą. Dlaczego

on nigdy nie spotyka się z klientami?

- Tak, proszę pani. - Al zerknął na kalendarz. - Tak... Przebywa na Tajwanie.

- Jest pan pewien? - spytała Tanya. Była pod wrażeniem tego, jak szybko ludzie z Al Johnson wytropili Ivana i Andrew. To, że ona i Sebastien zapłacili im za to grube pieniądze, niewiele zmieniło.

- Tak, proszę pani, to sprawdzona informacja. Znajdzie go pani prawdopodobnie pod tym adresem... Nie, nie, żaden kłopot. Proszę dzwonić, gdyby czegoś pani potrzebowała. Na wszelki wypadek podam pani także mój domowy telefon.

Odłożył słuchawkę. No właśnie, oto cały kłopot z Alem Johnsonem: jak zwykle był miękki i przymilny. Klienci włożą mu na głowę. Ugryzł kanapkę, patrząc, jak obok przejeżdża na rolkach PJ, o milimetry mijając leżącego na podłodze korniszona. Poczł wyrzuty sumienia. Czy powinien był powiedzieć, że Andrew pozwolił ujawnić swoje miejsce pobytu Tanyi i temu drugiemu facetowi... Jakżeż on się nazywa? Al zajrzał do kalendarza: Sebastien!

Rozmyślał o tym, kończąc kanapkę. Eee tam, sama się dowie.

## ROZDZIAŁ 27

*Dlatego mędrzec szuka wiedzy, nie poklasku. Miłości,  
nie poważania.*

Lao-Cy

### **Połowa grudnia. Tajwan**

- Ten stolik jest zarezerwowany. Przykro mi, ale musi się pani przesiąść.

Stolik rzeczywiście każdego wieczoru był zarezerwowany dla pana Andrew Brandona, stałego bywalca restauracji Taipei Star. Szef sali odwrócił się i serce w nim zamarło: jego klient właśnie się zjawił.

- Najmocniej pana przepraszam, ale...

- Wszystko w porządku - uspokoił go Andrew, spoglądając na kobietę siedzącą na

jego stałym miejscu. - Cześć, Tanyu.

- Cześć - uśmiechnęła się Tanya. - Skoro zajęłam ci stolik, możesz się chyba przysiąść.

- Z przyjemnością. - Andrew usiadł obok niej. Kelner podał im karty dań.

Tanya bacznie obserwowała Andrew. Zaskoczył ją swoim zachowaniem - przede wszystkim wcale się nie zdziwił na jej widok, co bardzo ją zaniepokoiło. Powinien być zdumiony i zdenerwowany nagłym pojawieniem się konkurentki na jego terenie. Albo miał nerwy ze stali, albo pakowała się właśnie w pułapkę. Zaczęła rozważać w myśli obie te możliwości. Ktoś go uprzedził o jej przybyciu? Kto, Al Johnson?

- Czego się napijesz?

- Wódki z lodem.

Andrew zamówił whisky dla siebie i drinka dla Tanyi. Nie spuszczał z niej wzroku. Była piękna, miała szczupłą figurę, długie ciemne włosy i twarz o subtelnych rysach i pełnych ustach, dzięki której zachowała pozory niewinności i uległości. Mylące pozory. Andrew wiedział, że mimo łagodnego wyglądu Tanya ma bardzo bystry umysł, a jej wiedza nie ogranicza się bynajmniej do komputerów. Zawsze uważał, że wytrwa w grze do końca, nawet gdyby inni przedwcześnie zeszli ze sceny. Bardzo mu się podobała. Sebastien był wielkim szczęściarzem.

- Zastanawiasz się pewnie, po co przyjechałam - powiedziała Tanya po zwyczajowej wymianie uprzejmości, biorąc szklankę w ręce. Dopóki siedzieli w restauracji, wśród ludzi, była bezpieczna. Andrew niczego nie zaryzykuje.

- Przypuszczam, że chcesz porozmawiać o konkursie.

- Tak. Ivan nie żyje, zginął w zamachu bombowym w Paryżu.

- Wiem o tym.

- Zostaliśmy tylko my dwoje, bo Sebastien też nie żyje.

- Sebastien?! - powtórzył z niedowierzaniem Andrew. - Jak to się stało?

Tanya w skrócie opowiedziała mu o tym, co robili w Panamie, cały czas uważnie go obserwując: chyba rzeczywiście nic o tym nie wiedział. Powinien być zachwycony, że ma już tylko jednego przeciwnika. Zachował jednak niewzruszony wyraz twarzy. Co myślał? Tanya zaczynała się coraz bardziej niepokoić. Czy rzeczywiście wpadła w pułapkę? Przyszła jej do głowy straszna myśl: Andrew mógł być w zмовie z Mistrzem!

- Masz już swoje dwadzieścia milionów? - zapytał niby przypadkiem Andrew, gdy skończyła opowiadać.

- Jeszcze nie.

Zdaniem Tanyi nie zorientował się, że go okłamała. Nieważne; grunt, że nie powinna była tu przychodzić. Rozmowa toczyła się zupełnie inaczej, niż to sobie zaplanowała, mimo że to ona podjęła decyzję o spotkaniu. Podobnie jak Sebastien była już pewna, że to Andrew zabił Rekxa. Nie miała też wątpliwości, że to Ivan napadł ją w górskiej chacie w Szwajcarii. Mimo wszystko chciała jednak mieć pewność, zanim go zabije. A uzyskanie tej pewności nie przychodziło jej łatwo.

Nie umiała udowodnić, że Andrew odpowiada za śmierć Rekxa, tak jak nie miała dowodów, że Ivan dręczył ją w Szwajcarii. Morderca Rekxa i Ivana dobrze zacierał za sobą ślady, więc chyba naiwnością było oczekiwać, że coś w zachowaniu Andrew rozwieje jej wątpliwości. Ba, jego niedbałość i wyraźny brak zainteresowania mogły uspić jej czujność. O to mu pewnie chodzi. Tak samo pozbył się Rekxa. Instynkt podpowiadał jej, że powinna natychmiast wyjść z restauracji, ale nie wstała od stołu.

- A ty? Masz już pieniądze?

- Nie.

- Ale nadal próbujesz?

- Tak. I jest coś, co chciałem ci powiedzieć.

Zamówił następne drinki i ku wielkiemu zdumieniu Tanyi zaczął przy kolacji opowiadać jej, jakie postępy poczynił w grze. Opowiedział o swojej pracy w Kongu, o Obedim i jego siostrze. Mówił, jak wrócił do Akademii i znalazł reguły rządzące konkursem. Streścił jej dzieje Hu Li i swój plan zdobycia dwudziestu milionów dolarów. Nie wspomniał tylko o rozmowie z profesorem Wangiem i o tym, że chyba zrozumiał znaczenie chińskiej łamigłówki.

Tanya słuchała go w milczeniu. Po co jej o tym opowiadał? Zupełnie nie spodziewała się takiego rozwoju sytuacji. Bawił się z nią? Ale po co?

- Czy z faktu, że Mistrz może wziąć udział w konkursie, wynika, że i tym razem tak się stało?

- Oboje możemy tylko zgadywać.

- Ale powiedz mi, co o tym myślisz. - Czy Andrew sugerował jej, że powinni się sprzymierzyć i razem wystąpić przeciwko Mistrzowi?

- Chyba Mistrz nie jest naszym konkurentem - odparł Andrew. - Chociaż nie rozumiem, dlaczego miałby się wycofać z rywalizacji. - Odsunął pustą filiżankę po kawie i zerknął na zegarek. - Przepraszam cię, Tanyu, ale na mnie już czas. Muszę zadzwonić do Konga. Jeśli chcesz, porozmawiamy później. Chętnie bym się z tobą spotkał.

Tanya nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Czowała się tak, jakby brała udział w

grze, której reguł nie zna. A zwycięzca mógł być tylko jeden. Bała się. Chciała uciekać. Musiała tylko przemyśleć parę spraw. Rozsądne słowa Andrew trafiały jej do przekonania. Pewnie tak sobie to właśnie zaplanował.

- Dobrze, ale już nie dzisiaj.

Andrew pokiwał głową.

- Może jutro? - zaproponowała.

- Niech będzie. Chodź, podrzucę cię do hotelu.

- Nie rób sobie kłopotu, trafię.

- To żaden kłopot.

- Dobrze, dzięki.

Czekając, aż Andrew zajedzie samochodem pod wejście do restauracji, Tanya postanowiła, że następnego dnia zmieni miejsce zamieszkania. Jacyś mężczyźni zagwizdali z podziwem na jej widok, ale ich zignorowała. Cały czas myślała o Andrew. W Akademii spotkali się zaledwie parę razy, i to zawsze w większym gronie. Zrobił wtedy na niej dobre wrażenie swoją skromnością. Tak, był miłym facetem, nawet jeśli zabijał ludzi. Szkoda, że tak się sprawy miały.

- Wskakuj.

Wolno jechali wąskimi uliczkami. Wokół panował ożywiony ruch: kramarze zachwalali swoje towary, krzykliwe neony zapraszały do kasyn, pijaczkowie wytaczali się z lokali i darli wniebogłosy. Mimo otaczających ich tłumów, Tanya czuła się samotna i opuszczona. Zajechali przed hotel.

- Wejdiesz na górę?

- Nie dzisiaj - odparł Andrew, nie zdejmując rąk z kierownicy. - Ale pozwól, że zaproszę cię do siebie... Na przykład jutro na kolację.

- Świetny pomysł. Dobranoc, Andrew.

Weszła do swojego pokoju i nie zapalając światła usiadła na sofie. Myśl, głupia, myśl! To Andrew musiał być mordercą. Tak uważał Sebastien, a ona się z nim zgadzała. A jednak spotkanie z nim twarzą w twarz wcale jej nie przekonało. Jeśli nie on, to kto? Mistrz? Wątpliwe. W takim razie Sebastien? Dlaczego w takim razie jeszcze nie zabił jej? Miał tyle okazji. Nieważne, on też już nie żył. A jeżeli Rex faktycznie zginął przypadkiem? I Ivan? A może ich śmierć była zaplanowana przez ludzi nie biorących udziału w grze?

Położyła się, ale nie mogła zasnąć. O drugiej w nocy uświadomiła sobie, że niepotrzebnie się zadrecza. Andrew jest mordercą, a ona jutro go zabije. Zaskoczy go i nie da mu szans. Spełni obietnicę. Zadowolona z podjętej decyzji ułożyła się do snu.

Poza tym Andrew stał jej na drodze do stanowiska Mistrza, a czy nie tego właśnie pragnęła ponad wszystko?

Andrew tymczasem wrócił do domu. Też nie wiedział, co myśleć o wydarzeniach tego wieczoru. Tanya była najwyraźniej zaskoczona, kiedy streścił jej reguły gry. Nie ufała mu. Dlaczego przybyła tu sama? Czy Sebastien naprawdę zginął, czy tylko próbowała go oszukać? I najważniejsze: kiedy wykona decydujący ruch? Instynkt podpowiadał mu, że znajduje się w ogromnym niebezpieczeństwie. Musiał działać.

Wziął do ręki słuchawkę i zamówił rozmowę z Paulem Hanlonem, oficerem łącznikowym ONZ w Kinszasie, który pilnie prosił go o telefon. Przez ostatnie miesiące pozostawali w stałym kontakcie. Paul dopiero niedawno wrócił do Konga, gdyż wcześniej ogarnięty pożogą wojenną kraj był zbyt niebezpieczny nawet dla personelu ONZ. W Kongu wrzało zresztą bez przerwy: przywódca rebeliantów, Christian Umbote, zginął z ręki porucznika Musaweny, który uznał, że też chce dostać na własność kawałek państwa. Konkurs na Mistrza wyglądał podobnie, różnił się tylko skalą wydarzeń. Każdy chciał przejąć władzę i był gotów zniszczyć wszystko i wszystkich, którzy mogliby mu w tym przeszkodzić.

Przez chwilę rozmawiali o uruchamianej na nowo misji ONZ, jakby Paul chciał przygotować Andrew na wieści, które miał dla niego. Dopiero pod sam koniec rozmowy wspomniał o dzieciach.

- Dowiedziałem się czegoś dla ciebie, Andrew. Shisvannah, ta dziewczynka, nie żyje. Bardzo mi przykro, bo to pewna wiadomość. W tamtej okolicy zginęło ponad dwieście tysięcy ludzi, ale mamy szczegółowe dane o tych, którzy przeżyli masakrę w szkole. Było ich czworo: nauczycielka i troje dzieci. Ci dranie zbombardowali budynek, chociaż wiedzieli, że to szkoła.

Andrew zachwiał się na nogach i usiadł. Wspomnienia wróciły potężną falą: biedna, wygłodniała dziewczynka w czerwonej sukience. Kiedy ostatni raz widział Shisvannah, stała na wyboistej drodze i machała mu na pożegnanie, trzymając braciszka za rączkę. Zawiodła się na nim.

- Wygląda na to, Andrew, że Obedi żyje.

Andrew nie mógł dobyć z siebie głosu.

- Tak nam się wydaje - ciągnął Hanlon. - Nie mamy jeszcze stuprocentowej pewności, więc za wiele sobie nie obiecuj, ale chyba znajdował się w pięciosobowej grupce dzieciaków, które specjalnym samolotem przewieziono z Kikwit do szpitala w Waszyngtonie. Obedi został podobno poważnie raniony odłamkami bomby. Radzę ci skontaktować się z

Washington General Hospital. Andrew? Jesteś tam?

- Jestem.

- No to powodzenia. - Hanlon zawiesił głos. - To nie ty ich zawiodłeś, Andrew. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę. Tak po prostu wyszło.

- Dzięki, Paul - odrzekł Andrew po długiej chwili milczenia. - Będziemy w kontakcie.

Zadzwoił do waszyngtońskiego szpitala, gdzie udało mu się uzyskać połączenie z oddziałową. Kiedy wyjaśnił całą sprawę, siostra potwierdziła, że Obedi znajduje się w szpitalu.

- Przełączę pana, panie Brandon, ale chyba powinien pan coś wiedzieć. Obedi spędza sporo czasu także w innych ośrodkach. Rany od odłamków dobrze się goją, przeszedł dwie operacje. Chyba nigdy już nie odzyska wzroku. Częściowo oślepl.

- Oślepl?

- Niestety tak. Z czasem jego stan się poprawi, ale nigdy nie będzie widział tak jak dawniej. Bardzo źle przyjął tę wiadomość. Nie chce z nikim rozmawiać, chociaż sprowadziliśmy dla niego pielęgniarkę, która zna suahili. Nie wychodzi z pokoju.

- Obedi?

Obedi milczał. Na dźwięk znajomego głosu czarna zasłona smutku i rozpacz uniosła się na moment. Przez chwilę czuł się szczęśliwy, jakby odzyskał dawno utraconego przyjaciela, ale cień zaraz wrócił.

- Obedi...

Andrew zaczął mówić, że wie, co się stało, że bardzo mu współczuje.

Wreszcie chłopiec też się odezwał: mówił bardzo wolno, w suahili, swoim ojczystym języku, który łączył go z Andrew. Kiedy się rozplakał, łzy polały się strumieniem, jakby prosto z jego serca. Jeden z jego przyjaciół ocalał. Był ktoś, kto go znał przedtem, kiedy zmagął się z wrogim światem. To nie była wina Obediego, że jego cała rodzina zginęła, że urodził się w kraju, który stał się piekłem na ziemi, że tyle wycierpiał. Miał przyjaciela, który po niego wrócił. Może jednak da się w tym świecie żyć, jeżeli ten człowiek mu pomoże?

Długo rozmawiali, aż w końcu Andrew zapytał Obediego, kto przywiózł go do Stanów.

- Taki człowiek, co przyszedł do szpitala w Kinszasie.

- Kto to był?

- Nie wiem. Nie widziałem go. Ale jak zadzwoniłem i poprosiłem, żeby przyjechał, to przyjechał.



- Kto?

- Ten człowiek z telefonu.

Odłożywszy słuchawkę, Andrew zadumał się nad konkursem i człowiekiem z telefonu. Cały czas mieli przed sobą gotową odpowiedź, jak na dłoni, ale nie potrafili jej dostrzec. Ich wzrok nie był doskonały.

Mistrz miał rację.

O zmierzchu Andrew wyszedł z domu i podjechał na brzeg Tanszuej-ho, przepływającej przez stolicę rzeki. Wysiadł z samochodu i zaczął iść przed siebie, aż znalazł się przy skrzyżowaniu z niepozorną ulicą. Samochody pędziły we wszystkich kierunkach. W tym właśnie miejscu zginęła Amy i ich nie narodzone dziecko.

Pięć lat temu, w piękny letni wieczór, spieszyła się na spotkanie z nim. Umówili się w pobliskim hotelu. Nie posiadała się z radości: badanie USG w szpitalu wykazało, że będą mieli synka.

Szła spokojnie, gdy przejechał ją samochód: wpadł z impetem na chodnik, prowadzony przez pijanego kierowcę, który właśnie wracał splukany z kasyna. Później nie pamiętał nic z tego, co się stało. Razem z Amy zginęła jeszcze jedna przypadkowa dziewczyna. Ot, zwykły wypadek samochodowy, punkcik w statystykach. Tyle że Andrew nie miał okazji pożegnać się ze swoją młodziutką żoną, powiedzieć jej miliona rzeczy, opowiedzieć o tym, jak ją kocha i wielbi, jak nie może żyć bez niej. Nie zdążył. Amy zginęła, bo znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Nie zawinił ani on, ani ona. Po prostu inny człowiek samolubnie wykorzystał daną mu władzę.

Andrew stał nieruchomo, czekając na zapadnięcie nocy. Od dnia śmierci Amy ani razu nie wrócił w to miejsce. Bardzo ją kochał i wraz z nią złożył do grobu część swej istoty: uczuć, zdolności wybaczenia, wiary w ludzi. Pod tym względem byli z Obedim do siebie podobni. Obaj zmagali się z bezlitosną przeszłością. Może pomagając Obediemu i jego siostrze Andrew usiłował wymazać wspomnienie tragedii, która wypaliła trwale piętno w jego mózgu? A kiedy nie udało mu się ich ocalić, zaczął na nowo przeżywać tamtą stratę.

Długo stał na krawężniku, rozmyślając o konkursie i wazach mistrza Czanga, który utrwalił na nich scenę pożegnania z własnym dzieckiem. Andrew przyszedł tu w tym samym celu: chciał pożegnać się z tymi, których kochał, nie tracąc ich zarazem całkowicie. Chciał poprzez ból zdobyć wiedzę.

Jeżeli życie ma w ogóle jakiś sens, i jeżeli konkurs miał mieć sens, ze zła musiało narodzić się dobro. Skoro Obedi potrafił to zrozumieć i żyć dalej, godząc się z przeszłością,

Andrew też mógł tego dokonać. Stał na chodniku i płakał z żalu - nad Obedim i jego rodziną, nad Amy, nad ich dzieckiem, nad sobą.

Nad własną ślepotą.

Kiedy ujrzał Tanyę przekraczającą próg jego mieszkania, wiedział już, że przyszła go zabić.

- Cześć.

Cmoknęła go w policzek, starając się nie patrzeć mu w oczy. Była ubrana w sam raz do morderstwa. Krótka, dopasowana sukienkę z czerwonego aksamitu idealnie podkreślała każdy cal jej zmysłowego ciała.

- Chodź, siadaj. Już kończę. Mam nadzieję, że lubisz chińską kuchnię.

- Owszem.

Tanya usiadła na sofie, nie rozstając się z torebką.

Mieszkanie było ogromne. Do standardowego wyposażenia wewnątrz Andrew dodał akwarele z australijskiego buszu i kilka ozdobnych drobiazgów. Wszędzie leżały książki, mapy i płyty kompaktowe, w kącie stało pianino. Podobał się jej ten pokój. Był taki skromny.

Andrew wyrztał z kuchni.

- Napijesz się czegoś?

- Czerwonego wina, jeśli można.

Jak wygląda krew, kiedy tryska z rany w ciele człowieka? Jak wino? Pobrudzi jej sukienkę?

- Oczywiście.

- Grasz na pianinie? - spytała Tanya. Żałowała teraz, że nie wypytała Sebastiena, jak to jest. Czy po strzale trzeba długo czekać, aż ofiara upadnie? Czy zdąży krzyknąć?

- Tak, a ty?

- Ja też. Mama mnie nauczyła.

Czy powinna wejść do niego do kuchni i od razu zakończyć sprawą?

- Nie krępuj się, zagraj, jeśli masz ochotę.

Podeszła do pianina, zagrała kilka nut i przejrzała zawartość półki z płytami. *XXI koncert fortepianowy Mozarta* - jej matka powtarzała, że chętnie słuchałaby tej muzyki, umierając. Nagle Tanya znalazła się znów w maleńkim saloniku w Rzymie. Matka siedziała przy fortepianie, ojciec odpoczywał na fotelu. Świat dzieciństwa. Co by powiedzieli jej rodzice, gdyby ją teraz zobaczyli? Nawet ją zniszczyła żądza władzy.

- Kolacja za chwilę będzie gotowa.

- Długo mieszkałeś w Australii? - zapytała, podnosząc głos. Patrzyła na akwarele. Znała odpowiedź; znała jego przeszłość. Chciała tylko sprawdzić, czy skłamię.

- Urodziłem się tam - odpowiedział z kuchni Andrew. - Przeprowadziliśmy się na Tajwan, kiedy byłem nastolatkiem. Po studiach poszedłem do wojska i dużo podróżowałem przed ślubem.

- Jesteś żonaty?

Andrew wszedł do salonu.

- Nie - odparł cicho. - Moja żona zginęła pięć lat temu w wypadku samochodowym. Tu, na Tajwanie.

- Och, bardzo mi przykro.

Tanya знаła wszystkie szczegóły: potrącona przez pijanego kierowcę na chodniku niedaleko miejsca, w którym teraz się znajdowali. Miała dwadzieścia sześć lat i była w ciąży. Dziecko - synek - zginęło razem z nią. Kierowca dostał trzy lata. Andrew przy tym nie było. Czy kiedy ona go zabije, ktoś przyjdzie na jego pogrzeb? Miał teraz jakąś dziewczynę? Kto mu postawi nagrobek?

- Kolacja na stole. Chcesz jeszcze wina?

- Chętnie.

Jakoś przebrnęła przez kolację. Szczerze mówiąc, jedzenie bardzo jej smakowało. Andrew, inaczej niż Sebastien, który zawsze dominował w towarzystwie, słuchał jej z zainteresowaniem. Tanyi podobał się jego szczerzy, bezpretensjonalny styl bycia. Choć w niczym nie zmieniał to sytuacji. Rozmawiali o Akademii i pracy, którą na jej zlecenie wykonywali, potem Andrew opowiedział jej trochę o służbie w wojsku i wynikających z niej obowiązkach.

- Dziwne, że nigdy nie zdarzyło się nam współpracować - zauważyła Tanya. - Myślisz, że to dlatego wybrano nas do konkursu?

- Raczej nie. Reguły podają, że uczestników powinno się losować. A poza tym współpracowałem już kiedyś z Reksem i Ivanem.

- Ale z Sebastianem nie?

- Nie. Wiedziałem, oczywiście, że pracuje dla Banku Światowego, ale nasze drogi nigdy się jakoś nie zeszły. Właściwie to nic dziwnego, wzięwszy pod uwagę, w ile projektów naraz angażuje się Akademia.

Tanya w duchu przyznała mu rację. Zaskakujący był inny zbieg okoliczności. Ivan i Rex kiedyś współpracowali z Andrew, a teraz obaj nie żyli. Czyżby wiedzieli coś o nim i jego przeszłości? Jeśli tak, to czemu nie znalazła nic ciekawego w komputerach?

Po kolacji Andrew zebrał naczynia i wyniósł je do kuchni. Widziała, że dobrze się czuje w jej towarzystwie.

- Nie poszłabyś na spacer nad rzekę? Bo ja bym się chętnie przewietrzył.

Skinęła głową. Była pewna, że Andrew nie spodziewa się z jej strony żadnych niespodzianek. Najwidoczniej miał ochotę wyciągnąć z niej więcej informacji.

- Za chwilę.

Poszła do łazienki. Tak, łyk świeżego powietrza dobrze jej zrobi. Miała ochotę jak najdłużej odwlekać to, co nieuniknione.

Stanęli na brzegu rzeki. Wszędzie migotały tysiące świateł. Za nimi rozciągało się Tajpej, jedno z najgęściej zaludnionych miast na świecie, liczące ponad trzy miliony mieszkańców. Przed nimi zaś, oddzielone morzem, znajdowały się kontynentalne Chiny z miliardem trzystoma milionami obywateli. Tylu ludzi na wyciągnięcie ręki. I wszyscy wiedli podobne życie: płakali, śmiali się, kochali, nienawidzili, żyli, umierali... Dlaczego mimo ich obecności czuła się tak przeraźliwie samotna? Z powodu braku Sebastiena? Czy też brakowało jej czegoś więcej, czegoś co dałoby jej spełnienie? Chciała spełnić swoje marzenia, czy zadośćuczynić próżnej ambicji, co i tak nie dałoby jej szczęścia? Czy chodziło o jej naturę, czy o nic nie znaczący tytuł?

- Byłeś zaskoczony, kiedy Mistrz powiedział nam o konkursie?

- No pewnie! Zaskoczony i zły. Mogłem jeszcze zrozumieć, że stanowisko Mistrza jest obsadzone w drodze konkursu i że organizuje się go w zupełnej tajemnicy. To pasuje do etosu Akademii. Nie mogłem jednak uwierzyć, jakie wymagania stawia się kandydatom. Byłem przekonany, że Akademia zesłała na psy i czeka ją rychły koniec.

Tanya nie spuszczała z niego wzroku.

- Nie zapytałeś, czy moim zdaniem Mistrz bierze udział w rozgrywce - stwierdziła.

- Nie. A bierze? - Andrew odwrócił się, żeby na nią spojrzeć.

- Chyba tak. Wydaje mi się, że gra z nami i jest w tym znacznie lepszy od nas. Omotał nas siecią wątpliwości, bo chce, żebyśmy się powykańczali nawzajem, zanim sam stanie w ringu.

- Naprawdę tak uważasz? - zapytał Andrew z nie skrywaną ciekawością w głosie. A może to nie ciekawość, tylko podejrzliwość?

Spojrzała mu w oczy. Stali tak blisko, że mogłaby go pocałować. Czy chciałaby to zrobić? Zmieszana cofnęła się o kilka kroków.

- A jak sądzisz, po co Mistrz opowiedział nam o tej chińskiej łamigłówce? - zapytał Andrew.

- Próbował nam coś przekazać. Szkatułka posłużyła mu do zilustrowania słów. Pod pewnymi względami przypomina naszą grę. Mistrz chyba chciał powiedzieć coś w tym stylu: „Uważajcie, pozory mogą mylić. Wydaje się wam, że Mistrz nie bierze udziału w rozgrywce, ale nie wiecie, czy tak jest naprawdę. Nie czyńcie niepotrzebnych założeń. Nikomu nie ufajcie. Sami musicie rozwiązać zagadkę”.

- Zgadzam się z tobą, że szkatułka ilustruje ideę Mistrza. Kto rozwikła jej tajemnicę, pojmie istotę jego funkcji. Zgadzam się również, że każdy musi sam się z tym zmagać. W konkursie - a później także na stanowisku przełożonego Akademii - chodzi o ogromną władzę. Ważne jest, jakich środków człowiek użyje, by ją osiąść. Czy godność Mistrza to nagroda, o którą należy walczyć jak o łupy wojenne? Czy też chodzi w niej o coś więcej? To jest jedno z fundamentalnych pytań.

Tanya kiwała głową, słuchając tych rozsądnie brzmiących argumentów, ale nagle wzdrygnęła się. Strach żelazną łapą chwycił ją za serce: zgubiła torebkę! Stali sami nad wodą, bez świadków, a ona posiała gdzieś torebkę! Pociemniało jej przed oczami. Andrew na pewno przeszukał ją i znalazł pistolet. Wiedziała, co za chwilę zrobi.

- Wszystko w porządku?

Szedł wolno w jej stronę. Miał dziwny wyraz twarzy i był nienaturalnie spięty. Wystraszona Tanya cofnęła się.

- Zgubiłam torebkę.

Andrew stał tuż przy niej. Wystarczyłoby, żeby wyciągnął rękę, chwycił ją mocno i zmusił do powiedzenia całej prawdy: czy miała coś wspólnego ze śmiercią Ivana i Reksa. A może o wszystko zadbał Sebastien? Jedyne pytanie, jakiego jeszcze jej nie zadał. Czuł ogromny smutek, bo jeśli maczała palce w tamtych zamachach, była gotowa go zabić, i to zapewne teraz, tutaj, nieopodal miejsca, w który zginęła jego żona. Jak miał się tego dowiedzieć? Z własnej woli nic mu nie powie. W takim razie musiał przeprowadzić mały test.

- Może zostawiłaś ją przy murku? - zapytał, a potem patrzył, jak Tanya wraca po torebkę. Czy zdołałby ją zabić? Nawet jeśli to ona zabiła tamtych dwóch, czy mógłby ją zabić, żeby zostać Mistrzem?

Przekona się o tym jeszcze tej nocy.

Wrócili do mieszkania. Tanya miała dreszcze. Nie wypuszczała z rąk torebki.

- Masz ochotę na kieliszek likieru? I kawę?

- Dobrze. Nastawię jakąś muzykę. - Tanya wybrała płytę na chybił trafił i w pokoju rozbrzmiały pierwsze nuty *XXI koncertu* Mozarta. Chciało się jej płakać. Przy kawie

opowiedziała Andrew o swojej pracy i analizach komputerowych, jakie wykonywała na zlecenie Akademii i EUK. Chciała, żeby rozmowa przeciągnęła się jak najdłużej.

- Jak to jest, że z Akademii można się połączyć prawie ze wszystkimi komputerami na świecie? - spytał Andrew.

- To proste - odparła z uśmiechem. - Dwóch Adeptów pracuje w firmach produkujących komputery. Na etapie projektowania wbudowuje się w pamięć maszyn tajną bramkę, przez którą ludzie z Akademii mogą potem połączyć się z komputerem i ściągnąć potrzebne dane. W innych przypadkach korzystamy z haseł, którymi posługują się technicy i pracownicy serwisu.

- Zajmujesz się programowaniem i nadzorowaniem pracy komputerów w samej Akademii?

- Tak.

- I cały czas masz do nich dostęp?

- Mogę mieć. A czemu pytasz?

- Chciałbym wiedzieć, jak dobry jest komputer kwantowy, którego używają Mistrz i Arbitrzy, i jakie informacje przechowuje się w nim. - Andrew zmarszczył brwi. - Kiedy włamałem się do domu Mistrza, doszedłem do wniosku, że wcale mi nie przeszkadzano. Czy mogli wykryć moją obecność?

- Z pewnością. Monitorują całą wyspę. Nikt się na nią nie wśliźnie bez wiedzy Mistrza. Dlatego zrezygnowałam z tego pomysłu. Ale właściwie dlaczego to cię interesuje?

- Bo wynika z tego, że Mistrz wie, iż ja znam zasady gry. I wie, że może grać z nami.

- I co z tego?

- Sam fakt, że Mistrz jest jednym z graczy, stanowi swoistą wskazówkę. Zawołowaną tak, jak wskazówki pomocne przy otwarciu chińskiej szkatułki. Jest podpowiedzią, w który otwór wsunąć bolec.

- Zgoda - przytaknęła Tanya. Sama też doszła do podobnego wniosku.

- Zastanawiam się, czy są jakieś inne.

- Ja nic o nich nie wiem - skłamała gładko Tanya. Była jeszcze co najmniej jedna wskazówka, i to nie była jaka: Max Stanton. Jej zdaniem połączenie tych dwóch podpowiedzi oznaczało, że Mistrz bierze udział w grze i że w poprzednim konkursie zamordował Stantona. Nie miała jednak zamiaru mówić o tym Andrew, bo ta wiedza mogła uratować jej życie. Niech sam znajdzie brakujące elementy. Każdy gra za siebie.

- Ale gdyby łamigłówka nie była żadną łamigłówką, wskazówki straciłyby wszelkie znaczenie, prawda? - mówił dalej Andrew. - Mogłyby tylko skierować graczy na fałszywy

trop. Nie liczyłoby się nic poza tym, co powiedział Mistrz.

Widział, że Tanya nie rozumie jego słów. Zdawał sobie sprawę, że nie zamierza mu pomóc i zdradzić, co odkryli z Sebastienem.

- Późno już, Andrew - zmieniła temat. - Mogłabym zostać u ciebie na noc? Nie będę musiała o tej porze wracać do hotelu.

Na pewno nadal nic nie podejrzewał, nic a nic. Wciąż próbował się czegoś od niej dowiedzieć. Miał pewnie nadzieję, że później się jej pozbędzie. Ciekawe jak? Tak samo jak Ivana?

- Naturalnie, mam wolną sypialnię. Muszę jutro bardzo wstąpić, tak że rano się nie zobaczymy. Wychodząc, zatrzaśnij po prostu drzwi.

- W porządku. - Dla Andrew nie będzie jutra. - Dobranoc.

Wstała z sofy.

Andrew również wstał.

- Następnym razem spotkamy się pewnie tuż przed Bankietem Adeptów.

- Pewnie tak. Z tym, że najpierw każde z nas musi zdobyć dwadzieścia milionów dolarów.

- Właśnie - przytaknął Andrew z bladym uśmiechem. - No, dobrej nocy.

Spojrzała na niego, czując się cokolwiek niezręcznie. Powinna chyba pocałować go na dobranoc, ale czy morderca może całować ofiarę? Zawstydzona odwróciła się na pięcie i weszła do sypialni. Zamknęła drzwi na klucz. Było po drugiej. Postanowiła, że da Andrew dwie godziny, żeby twardo zasnął i nie stawiał oporu. Potem wróci do hotelu, wymelduje się, a godzinę później wsiądzie w samolot do Tajlandii, żeby przyczaić się na kilka dni i zatrzeć ślady. Wtedy dopiero zdecyduje, co zrobić z Mistrzem. Nie powinni znaleźć ciała Andrew przez jakiś tydzień, a wtedy nikt nie połączy jej z jego śmiercią.

O czwartej wstała z łóżka i wyjęła z torebki pistolet z tłumikiem. Miała w nim trzy naboje. Wystarczy wycelować w serce i pociągnąć za spust. To proste. Bezszelestnie przekręciła klucz w zamku i wyjrzała za drzwi. Sypialnia Andrew znajdowała się niespełna trzy metry dalej. Drzwi do niej były uchylone. Zamarła bez ruchu, nasłuchując, ale nie dolatywał zza nich żaden odgłos. Podkradła się bliżej, aż w słabym blasku lampy w przedpokoju ujrzała sylwetkę na łóżku. Teraz słyszała też miarowy oddech Andrew. Podniosła pistolet i oparła palec na spuście.

Nie miała pojęcia, jak długo stała pod drzwiami - pewnie nie więcej niż pięć minut, ale dla niej stanowiło to wieczność. Co innego planować morderstwo, a co innego zabić

człowieka. Początkowo mózg układał wszystko z bezlitosną, zimną logiką: celujesz, strzelasz, uciekasz. Nic prostszego. A jednak w samym akcie pociągnięcia za spust krył się bolesny dylemat moralny i emocjonalny.

Wiedziała, że gdy przekroczy tę niewidzialną linię, znajdzie się w moralnej strefie mroku, z której nie będzie dla niej powrotu. Tak, mogła wszystko usprawiedliwić sobie, wytłumaczyć. Jej umysł bez specjalnego wysiłku oszukiwałby ją do końca życia. Tylko dusza nigdy by jej nie wybaczyła, przypominając stale, że naruszyła podstawową zasadę człowieczeństwa i że nic nie zmyje śladu zła, którego się dopuściła.

Odetchnęła głęboko, próbując zmobilizować się do działania. Andrew był mordercą i ją także zgładzi w wygodnym dla siebie momencie. Zabicie mordercy jest dopuszczalne. Poza tym obiecała Sebastienowi, że to zrobi. I chciała zostać Mistrzem. Wszystkie te racjonalne argumenty przemykały jej przez głowę, sugerując, że powinna wreszcie zrezygnować sobie z dalszych rozważań i pociągnąć za spust.

Nic z tego. Dlaczego? Co się stało? Andrew miał na swoją obronę tylko cichy, spokojny oddech, który poruszał jej sumienie. Mówił: jeżeli go zabijesz, staniesz się taka sama jak on. Zejdiesz do jego poziomu, ponizysz się i tej prawdy nigdy przed sobą nie ukryjesz. Jeśli go zabijesz - choćby nawet był mordercą - unicestwisz własną duszę. W pogoni za sprawiedliwością uciekniesz się do przemocy. A właśnie, szukasz sprawiedliwości czy władzy?

Opuściła broń, wróciła do swojego pokoju i zamknęła drzwi.

Usiadła na łóżku i długo płakała. Nie umiała zabijać, a wizyta na Tajwanie ani trochę nie przybliżyła jej do prawdy. Kto miał jej w tym pomóc?

Andrew leżał w swoim łóżku. Nie spał. Słyszał, jak Tanya odchodzi spod drzwi pokoju. Oboje zmagali się z tym samym problemem: jak użyć władzy dla spełnienia swoich marzeń. Władzy, jaką daje broń, albo władzy płynącej z możliwości decydowania. Bez różnicy. Wiele ludzi połamało sobie na tym zęby.

A co było celem Andrew i Tanyi? Godność Mistrza. Największa władza, której oboje chcieli użyć dla czynienia dobra. Tymczasem środki, jakich zamierzali użyć w dążeniu do niej, przeczyły szlachetnym intencjom. Jeżeli byli gotowi sięgnąć po zło, by zdobyć władzę, dlaczego mieliby porzucić je, kiedy ją posiadają?

Andrew zamknął oczy i wrócił myślami do chińskich waz, które oglądał w muzeum. Jak przed wiekami rzemieślnik Czang, tak i on teraz stał na moście i oceniał rozmiary władzy, którą zyskałby, zostając Mistrzem. Doceniał też pokorę Czanga. Czy to ona świadczyła o



prawdziwej wielkości? Czy należało ją zdobyć przez dominację, czy dzięki intuicji? Najwyższy czas podjąć decyzję.

Znów otworzył oczy. Wstał i zaczął się ubierać. Jedno wiedział z całą pewnością: Tanya nie zabije go po to, by sięgnąć po władzę. To, czy zabije go z miłości do Sebastiena, pozostało kwestią nie rozstrzygniętą. Miał tylko jej słowa na potwierdzenie wieści o jego śmierci. Andrew nie miał pojęcia, do czego byłby zdolny w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa i jak miałby mu się przeciwstawić. Tę wiedzę posiadał zapewne tylko Mistrz.

Mógł jednak pomóc Tanyi, pomagając jej zajrzeć w głąb jej własnej duszy. Mógł wskazać jej prawdziwego mordercę.

Tanya zbudziła się o brzasku: wyczerpana dopiero nad ranem zapadła w niespokojny sen. Znajdowała się w mieszkaniu Andrew, obok niej na łóżku leżał pistolet. Co powinna zrobić? Wyjść, jak najprędzej wyjść. Musi natychmiast wydostać się z Tajwanu i spotkać z Pierwszym Arbitrem. Powie mu, że jej zdaniem to Andrew zamordował Ivana i Reksa i że Mistrz prawdopodobnie uczestniczy w konkursie. Wszystko mu powie, również to, czego jedynie pewna była w tym koszmarze: że ona sama nikogo nie zabiła i zabić nie zamierza. Nie była do tego zdolna, nawet gdy w grę wchodziło stanowisko Mistrza. Może nawet przed końcem roku wróci do Akademii? Kto wie? Gdyby Andrew nie zdobył pieniędzy, i tak by wygrała.

A czy należy wspomnieć Pierwszemu Arbitrowi o tym, że chciała - a nawet próbowała - go zabić? Miałaby kłopoty z przyznaniem się do własnej słabości. Oczywiście nigdy więcej się to nie powtórzy, nawet jeśli Andrew zamordował tamtych dwóch. Niech inni się z nim rozprawiają.

A teraz powinna stąd zniknąć. Usiadła na łóżku i wyjęła magazynek z pistoletu.

Przebiegł ją lodowaty dreszcz: w środku nie było ani jednego naboju.

W panice, zerknęła na drzwi sypialni. Nadal były zamknięte na klucz, więc Andrew nie mógł wejść tutaj, gdy spała. Musiał zatem wyjąć naboje z magazynka nad rzeką, a to oznaczało, że już wtedy wiedział, że przyszła go zabić. Dlaczego w takim razie nic jej nie zrobił?

Otworzyła drzwi. W mieszkaniu panowała cisza. Zajrzała do sypialni Andrew, ale go nie zastała. Obejrzała pozostałe pokoje, a w końcu weszła do kuchni. Na stole czekał na nią list. Przeczytała go.

Andrew prosił ją o spotkanie za dwa dni, o trzeciej nad ranem, na motorówce przy

brzegu Matsu - jednej z należących do Tajwanu wysepek, położonych blisko chińskiego wybrzeża.

Zmarszczyła brwi. Za dwa dni - czyli dzień przed bankietem.

Na stole znalazła coś jeszcze.

Trzy naboje do pistoletu.

## ROZDZIAŁ 28

*Spróbuj przeniknąć plany wroga, a dowiesz się, jaka strategia będzie skuteczna, a jaka nie.*

Sun-Cy *Sztuka wojowania*

### **21 grudnia. Pekin, Chiny**

Andrew wszedł na pokład samolotu lecącego do Pekinu i zajął miejsce w fotelu.

Nie pragnąc niczego, mieć wszystko. Jaka prosta jest filozofia taoizmu w swych założeniach - a jak trudno wcielić ją w życie. Mistrz Czang musiał być wybitnym człowiekiem. Dzieła Czanga odzwierciedlały jego prawdziwą naturę. Nie tworzył ich po to, by zyskać władzę i zasłużyć na pochwały. Wyrażał przez nie miłość do wszechświata, zdolność rozumienia jego tajemnic bez podkreślania własnego, „ja”, jego pragnień, niekończących się sprzeczności, alternatyw, wszystkich tych ludzkich przypadłości. Tao mówi: „Mędrzec wolny jest od choroby, albowiem ją rozpoznaje i w ten sposób może jej zapobiegać”.

Samolot wystartował.

Kiedy Kang-si, prawdopodobnie najpotężniejszy władca w dziejach ludzkości, zamówił u swojego rzemieślnika najtrudniejszą z łamigłówek, ten spełnił jego życzenie. Zamiast jednak stworzyć zwykłą szkatułkę, pokazał za jej pośrednictwem różnicę między złudzeniem i rzeczywistością. Pomógł Kang-si rozwikłać najtrudniejszą zagadkę: odkryć cel istnienia. Mimo posiadanej władzy nad światem, Kang-si był równie daleko od znalezienia odpowiedzi na pytanie o sens własnego istnienia, jak każda samotna dusza we wszechświecie.

Sekret ten - jak chciał mu powiedzieć Czang - można odkryć tylko poprzez kontemplację kosmosu, świata wewnętrznego, którego bogactwo nie zna granic. Jak powiedział wielki taoista Czuang-Cy: „Łódź może być ukryta przy strumieniu, a sieć w jeziorze. I kryjówki te zdają się być bezpieczne, lecz o północy może zjawić się siłacz, który zabierze je i przeniesie na własnym grzbiecie. Ignorant nie rozumie, że bez względu na to, jak dobrze ukrywa rzeczy, umieszczając mniejsze wewnątrz większych, zawsze mogą mu się one wymknąć. Jeśli jednak ukryje wszechświat we wszechświecie, nie zostawi mu miejsca na ucieczkę. Oto jest wielka prawda wszechrzeczy”.

Kang-si gotów był oddać tron, gdy zrozumiał przesłanie rzemieślnika: nie ma żadnej zagadki. To, że jest cesarzem, nie miało znaczenia. Liczyło się nie to, kim jest, lecz to, że w ogóle jest, a być mógł także bez tronu. Sekret ludzkości tkwi w każdym człowieku i każdy ma równe szanse go odkryć. Dlatego właśnie Czang nie przyjął ofiarowanego mu cesarstwa. Był bardziej wolny i bogatszy nie mając nic, niż przyjmując tron. Zjednoczył się z wszechświatem i wiedział, że znalazł Drogę i jej nie zgubi. Kang-si jej nie widział. Czang zaś stał się panem swego losu, prawdziwym władcą imperium potężniejszego od wszystkich armii cesarza. Nie miał żadnej władzy, a dostrzegł prawdę. Ten zaś, który władał połową świata, był ślepcem.

A zatem i Czang, i Mistrz odegrali rolę nauczycieli. Jeśli odpowiedzi na zagadkę szkatułki należało szukać w naturze Czanga, sekret konkursu można było przeniknąć, poznając Mistrza. Z tego, że obaj posiadli tę samą wiedzę, wynikały dwie rzeczy. Po pierwsze: Mistrz nigdy nie pragnął władzy. Po drugie: Mistrz mówił prawdę.

Złudzenia i rzeczywistość.

Samolot leciał do Pekinu.

Jadąc taksówką do hotelu, Tanya patrzyła przez okno na mijane jak we śnie ulice. To, co widziała, nie miało żadnego znaczenia. Myślami i tak błędziła gdzie indziej. Myślała o Andrew, czując ogarniające ją ciepło i szczęście. Śmierć Sebastiena zdruzgotała jej świat. Sądziła, że nie dojdzie do siebie po tej stracie. Złożona mu na pożegnanie obietnica nie dawała jej spokoju. Teraz jednak wiedziała, że nie musi jej dotrzymywać. Andrew nie zabił ani Rekxa, ani Ivana, a tej nocy przekonał się, że ona również nie jest morderczynią. Żadne z nich nie zabiło - i oboje o tym wiedzieli.

Co dalej z konkursem? Postanowiła wstrzymać się z decyzją i przekonać się, czy Andrew zdobędzie pieniądze. Może jednak wcale jej Akademia nie interesuje? Sebastien się mylił. Twierdził, że każdy system - także Akademia - jeżeli chce przetrwać, musi doprowadzić do starcia dwóch potęg: wojny i pokoju. Jego zdaniem to wojna musiała wygrać.

Nie miał racji. W ostatecznym rozrachunku liczył się tylko pokój. Oprócz niego istniała pustka i samouwielbienie, a Tanya nie zamierzała przyjąć tytułu Mistrza na takich warunkach. Wsiadłszy z taksówki, weszła do hotelu.

Portier zauważył, że jej twarz cała promienieje. Pomyślał z zazdrością, że to szczęśliwa kobieta. Ma wszystko, czego zapagnie. Tanya uśmiechnęła się do niego i poczuła, jak miłość do ludzi emanuje z niej i rozchodzi się w powietrzu niczym fala po wodzie.

Wsiadła do windy, rozmyślając o Andrew. Tak, spotka się z nim u brzegów Matsu. Polubiła go. Podobał jej się. Ach, gdyby tak mogła jeszcze raz się zakochać...

W sypialni znalazła świeże kwiaty. Nie miała pojęcia, od kogo mogłyby pochodzić. Wciągnęła do nozdrzy ich słodki zapach, śmiejąc się wesoło. Życie wydało się jej nagle tak świeże, nowe. Tak dobrze je teraz rozumiała. Wtedy, w chacie Sebastiena, kiedy wydawało się jej, że umiera, doświadczyła podobnego uczucia spokoju ducha i oderwania od ziemskich spraw. Była przekonana, że wszystko we wszechświecie toczy się właściwym rytmem. Powinna teraz utwierdzić się w tej pewności i zapomnieć o przeszłości. To prawda, ubóstwiała Sebastiena całą duszą i była gotowa zrobić dla niego wszystko, nawet oddać życie. Ale nawet on, genialny i dalekowzroczny, mógł się mylić, i pomylił się w ocenie Andrew. Dobry i łagodny Andrew z pewnością nie był mordercą. Czowała to, tak jak czuła piękno kwiatów. Nie mogła się mylić; doznała olśnienia. Nawiązała kontakt z tą częścią swojej istoty, o której istnieniu nie miała dotąd pojęcia.

- Cześć, Tanyu!

Krzyknęła, odwróciła się i zemdląła. Kwiaty wypadły jej z rąk.

Sebastien zaniósł ją do sypialni, a potem tulił ją i pieścił, aż odzyskała przytomność.

- Już dobrze, Tanyu - szepnął. - Wszystko w porządku. W najlepszym porządku. - Usiadł obok niej na łóżku, gdy zaczęła płakać. Przytuliła się do niego.

- Sebastien... To... To niemożliwe...

Roześmiał się głośno. Dobrze znała ten beztrouski śmiech.

- Mówiłem ci przecież, że wrócę. Po prostu trochę dłużej to trwało.

- Ale ty przecież zginąłeś!

- Prawie. Szczerze mówiąc, naprawdę niewiele brakowało i wcale nie było mi do śmiechu.

Położyli się na łóżku i Sebastien z wprawą zawodowego gawędziarza opowiedział Tanyi o swoich przygodach, koloryzując niektóre z nich. Tanya słuchała go coraz bardziej przerażona.

- Jak udało ci się uciec przed Juanem?

Sebastien opisał swoją wędrówkę przez góry i śmierć obu Pedrów, nie wchodząc w krwawe szczegóły. Nie chciał odbierać Tanyi apetytu na śniadanie.

- Byli tak pewni swego, że zaczęli popełniać błędy - wyjaśnił. - Wtedy już wiedziałem, że wygram.

- Jak to?

- Wszystko sprowadzało się do taktyki. Oni myśleli, że uciekam, podczas gdy w rzeczywistości to ja na nich polowałem. Sun-Cy radził: „Udawaj słabość, a sprowokujesz arogancję wroga”. Taktyka, nic więcej. Wcale nie uciekałem: wciągałem ich w zasadzkę, czekając na dogodny moment do ataku. Kiedy się rozdzielili, stali się mniej groźni. Wykończyłem ich pojedynczo: najpierw grubego Pedra, potem jego brata... Trochę pomogła mi dżungla. Z Juanem było trudniej. Musiałem zmienić taktykę i czekać.

- Na co?

- Aż zrobi się ciemno - odparł Sebastien. Jego głos zabrzmiał tak złowieszczo, że Tanya aż się wzdygnęła. - Głupi Juan zapomniał o jednej rzeczy - ciągnął Sebastien z lekceważeniem. - Kiedy zapadnie noc, za pomocą podstępu można uzyskać podobne efekty, jakie za dnia wymagałyby broni. Juan uznał, że nie zdecyduje się go zaatakować w jaskini, bo jest uzbrojony po zęby. Tymczasem ja musiałem to zrobić. Sun-Cy powiedział: „Atakuj, kiedy jest nie przygotowany”.

- I co się stało?

- Nad ranem, kiedy spodziewałem się, że będzie drzemał, wszedłem do jaskini. Wiedziałem, że będzie miał objawy głodu narkotycznego: dezorientacja, senność... Mam mówić dalej? - Sebastien zerknął na Tanyę. Miała twarz barwy popiołu, ale skinęła głową. - Juan popełnił błąd. Kiedy w dżungli chcemy się przed kimś schować nocą, nie wolno rozpałać ognia, to oczywiste. Juan jednak zapalił sobie małe ognisko. Myślę, że jednak bardziej bał się dżungli niż mnie. Ale to go zgubiło, bo mogłem się do niego podkraść zupełnie niepostrzeżenie. Wziąłem jego karabin, wyjąłem naboje i odłożyłem broń na miejsce, a potem zabrałem mu pistolet.

- Zabiłeś go?

Sebastien nie spuszczał wzroku z twarzy Tanyi.

- Kiedy się obudził i zobaczył mnie, nie zdawał sobie sprawy, że specjalnie go szturchnąłem. Był bardzo z siebie zadowolony, bo wydawało mu się, że łatwo mnie wykończy. Pociągnął za spust, ale nic się nie stało. - Przerazona Tanya złapała go za rękę, a on mówił dalej: - Trochę nim to wstrząsnęło, zwłaszcza jak powiedziałem mu, że teraz moja

kolej. Pociągnąłem za spust i rozwaliłem mu łeb.

Tanya zadygotała. Sebastien oszczędził jej cytatu z mowy pożegnalnej, jaką wygłosił nad zabitym Juanem. Nie wspomniał też o tym, że kiedy się z nim rozprawił, spokojnie zjadł jego śniadanie. Nie było sensu bardziej jej denerwować.

- A skąd się wziął ten raport patologa?

- Po kolei - odparł Sebastien. - Musiałem zniknąć na dobre, a nie tylko zgubić psy Gonzaleza. Chciałem przy okazji załatwić sprawę tak, żeby pozostali konkurenci też uznali mnie za martwego. Zamieniłem się z Juanem ubraniami i zepchnąłem jego ciało do żlebu. Wyrzuciłem jego karabin w krzaki i zszedłem do najbliższego rancza. Tam jakiś *campesino* opatrzył mi rany. Po dniu odpoczynku wróciłem w góry i znalazłem zwłoki. Niewiele z nich zostało, bo pożywiły się nimi miejscowe zwierzęta. Nocą wróciłem do hotelu w Cerro Punto, skąd ciężarówką Juana pojechałem do Panama City.

- Dlaczego się nie odezwałeś?

- To byłoby zbyt niebezpieczne dla nas obojga. Juana się pozbyłem, ale kumple Gonzaleza na pewno weszli w okolicy. Dowiedziałem się, jak się nazywa policyjny patolog w Panama City i złożyłem mu wizytę. Połatał mnie, a potem trochę porozmawialiśmy.

- Sporządził fałszywy raport?

- Oczywiście. *Campesino* znalazł ciało w żlebie i dał znać policji, która z kolei zawiadomiła patologa. Pojechali na miejsce wszyscy razem, ale z biednego Juana została tylko garstka kostek. Patolog, señor Lopez, był tak uprzejmy, że wpakował te resztki do worka i przywiózł je do Panama City. Za sto tysięcy dolarów dokonał odpowiedniej identyfikacji zwłok. Trochę mu w tym pomogłem: dostarczyłem próbki krwi, takie różne drobiazgi... - Sebastien wyszczerzył zęby w uśmiechu. Nie wspomniał Tanyi, że zagroził señorowi Lopezowi, że go zabije, co pomogło mu podjąć decyzję.

- Byłeś na swoim pogrzebie?

- Naturalnie - zaśmiał się Sebastien. - Nie odmówiłbym sobie takiej przyjemności. Udawałem grabarza, który kopał dół w kącie, przy murze. Miałem garb jak Quasimodo, ale i tak wydawało mi się, że mnie rozpoznałaś. Nawiasem mówiąc, świetnie wyglądałaś. - Poglądził Tanyę po policzku. - Po prostu świetnie. Nie widziałem, żebyś uroniła choć jedną łzę.

Tanya go odepchnęła.

- Nie masz pojęcia, jak sobie oczy przez ciebie wypłakiwałam, draniu! Złamałeś mi serce!

- No, przynajmniej Ted płakał jak bóbr. Można by pomyśleć, że właśnie pochował

rodzoną matkę, gdyby nie butelka, która wystawała mu z kieszeni spodni.

Sebastien jeszcze raz parsknął śmiechem i wyciągnął się na łóżku. Życie było takie cudowne.

- Co potem robiłeś?

- Zaraz do tego dojdziemy. Najpierw ty mi opowiedz o swoich przygodach. Znalazłeś Andrew?

- Tak, jest na Tajwanie. Znalazł go Al Johnson.

W oczach Sebastiena błysnęła iskierka zaciekawienia, chociaż wiedział już od Johnsona, że Andrew jest na wyspie.

- Wiesz, gdzie mieszka?

- Niedaleko.

- Rozmawiałś z nim wczoraj wieczorem?

- Tak.

- Wróciłaś nad ranem - zauważył po chwili milczenia Sebastien. - Różną cię? - Jego głos brzmiał łagodnie, ale brzmiała w nim nuta goryczki.

- Nie! Oczywiście że nie. - Tanya zaczynała się go bać.

Sebastien przyjrzał się jej uważnie i uśmiechnął się okrutnie.

- Ale na pewno miał ochotę. Założyłbym się, że o niczym innym nie marzył, jak tylko żeby ci wskoczyć w te śliczne majteczki.

- Nie wiem, Sebastienie. - Tanya odwróciła się, zawstydzona. - Ale wiem jedno: nie zabił ani Reksa, ani Ivana.

- Dlaczego tak uważasz?

Tanya napięła się cała, gdy pogłaskał ją po głowie.

- Po prostu to czuję - odparła z przekonaniem. - Nie wygląda na człowieka zdolnego do morderstwa. Musieliśmy się pomylić, a teraz powinniśmy dać mu spokój. Już i tak za dużo ludzi straciło życie przez tę grę.

- Tanyu... - Sebastien ze smutkiem pokręcił głową, przybierając znowu łagodny, pieśczośliwy ton. Zsunął jej ramiączko sukienki i pocałował ją w odsłonięty bark. - Jesteś jak owca wśród wilków. Czy Andrew mówił coś o konkursie?

- Tak. - Tanya wstała. - Zaraz ci o wszystkim opowiem. To długa historia. Najpierw chciałabym wziąć prysznic i napić się kawy.

Sebastien patrzył, jak rozbiera się i wychodzi z sypialni, a potem schylił się i podniósł z podłogi koszulkę, którą miała na sobie od poprzedniego wieczoru. Pachniała delikatnie perfumami, zmieszanymi z jej osobistą, lekko piżmową wonią, seksowną i podniecającą. Czy

to możliwe, że przespała się z Andrew i wiązało ją z nim coś więcej niż przyjaźń? Wściekły wyrzwał przez okno. Nie przyznałaby mu się do tego. Dlaczego go zdradziła? Przecież zadbał o to, żeby nic jej się nie stało. Sam nigdy by jej nie zawiódł, kiedy już zostałby Mistrzem.

Tanya wróciła do pokoju owinięta ręcznikiem, z dwiema filiżankami kawy.

- Andrew opowiedział mi o konkursie. I o paragrafie XDC.

- Jakim paragrafie? - Sebastien zmrużył oczy i odstawił nietkniętą kawę.

Tanya wyjaśniła mu pokrótce, co ma na myśli.

- Ach tak... Andrew włamał się do domu Mistrza. Proszę, proszę, jaki przedsiębiorczy chłopak. - Sebastien wyciągnął się wygodnie na poduszkach i zamknął oczy. - Niech no pomyślę... Czy Andrew sądzi, że Mistrz gra razem z nami?

- Nie.

- Rozumiem. Powiedz mi teraz, jak zamierza zdobyć dwadzieścia milionów dolarów.

Tanya opowiedziała mu o Hu Li i podjętej przez Andrew próbie uwolnienia jego brata. Sebastien słuchał w milczeniu, zafascynowany.

- A czego chce od ciebie? - spytał wreszcie.

- Za dwa dni mamy się spotkać na motorówce nieopodal Matsu.

- Pojedziesz tam?

- Muszę, chociaż nie mam pojęcia, do czego jestem mu potrzebna.

- Za to ja wiem, Tanyu - mruknął ponuro Sebastien i usiadł. - Będzie cię mógł zabić.

Kiedy dostanie dwadzieścia milionów, będziesz jedyną przeszkodą na jego drodze do Akademii. Tak mu się przynajmniej wydaje. Musimy go powstrzymać.

- Nie zabiję go, Sebastienie - stwierdziła stanowczo Tanya. - Nie ma mowy. Nawet w grze o taką stawkę.

Niepocieszony Sebastien pokręcił głową i pocałował Tanyę w czoło.

- Widzę, kochanie, że cały czas łamiesz sobie głowę nad tym, kto zabił Ivana i Reksa, i zaczynasz mnie o to podejrzewać. Wiem, że tak jest. Nie kłam. Widzę to w twoich oczach. - Rozłożył bezradnie ręce. - Mogę cię tylko zapewnić, że tego nie zrobiłem, ale mi nie uwierzysz. Dobrze, spotkaj się z Andrew. Pomogę ci w tym. Ale weź ze sobą broń, bo jedno z was na pewno zginie. Gdybym miał w tej chwili powiedzieć, kto to będzie, stawiałbym na ciebie. Chcesz poznać prawdę? Świetnie. Zabijesz go albo zginiesz, Tanyu. Wybór należy do ciebie. O to właśnie chodzi w tej grze: trzeba umieć dokonywać wyborów.

- A ty co zamierzasz zrobić?

- Złożę wizytę Mistrzowi, żeby go ostrzec. - Sebastien wstał z łóżka i powoli odwinął ręcznik z nagiego ciała Tanyi. - Kocham cię - wyszeptał. - Kochajmy się.



- Później - odparła Tanya.

Byle nie teraz.

## ROZDZIAŁ 29

*Niewielu jest takich, którzy mnie rozumieją. Nieliczni są też ci, którzy pójdą za mną. Dlatego właśnie mędrzec (niezrozumiany) wygląda, jakby nosił zgrzebne szaty, w sercu zaś ma bezcenny klejnot.*

Lao-Cy

### **23 grudnia. Tajwańskie wody terytorialne**

Fale pluskały o burty kołyszącej się dżonki. Wokół panował zupełny spokój. Nad ciemnym morzem unosiła się mgiełka, a na niebie świeciły gwiazdy. W tych warunkach człowiek tracił poczucie czasu i przestrzeni. Andrew miał wrażenie, że siedzi w hermetycznej kapsule, z której nikt nie może się wydostać.

Upłynęła godzina, zanim obok zjawiła się druga dżonka. Obie łodzie znajdowały się na granicy tajwańskich wód terytorialnych w pobliżu Matsu. Andrew wstał i przeciągnął się. Od zimnej morskiej bryzy zeszytywniały mu mięśnie. Przeszedł na dziób dżonki, przywitać się z Hu Li.

Stary gangster zjawił się na pokładzie swojej łódki w asyście dwóch ochroniarzy.

- Nic nie róbcie bez rozkazu - przypomniał im szeptem.

Podszedł do burty i spojrzał Andrew w oczy. Dżonki znalazły się w odległości niespełna trzech metrów od siebie. Hu Li bez pośpiechu przygładził piękne jedwabne szaty. Ochroniarze nie odstępowali go na krok.

- Dobry wieczór, panie Brandon - odezwał się, jakby nagle wyrwano go z zadumy. - Mam nadzieję, że nie przybyłem tu na próżno. Tak byłoby dla pana lepiej.

Andrew nie spuścił wzroku.

- Mam pańskiego brata. Odpoczywa po długiej podróży. Chciałbym, żeby zlecił pan teraz przelew dwudziestu milionów dolarów.

- Najpierw chcę zobaczyć brata - warknął Hu Li.

Andrew skinął głową i zszedł pod pokład. Po chwili wrócił w towarzystwie wychudzonego staruszka, który wspierał się na jego ramieniu i posapywał z wysiłku, aż wreszcie oparł się o reling. Podniósł znużone oczy i spojrzał w twarz Hu Li.

Cisza się przeciągała. Hu Li patrzył na swojego brata, którego nie widział od lat.

- Dobrze się czujesz, bracie? - zapytał w końcu.

- Dobrze. Jestem tylko zmęczony.

Przeszli na lokalny dialekt. Andrew zostawił ich samych i zaczął zwijać żagiel.

Kwadrans później Li go zawołał:

- Świetnie się pan spisał, panie Brandon. Tylko chiński przywódca we własnej osobie mógł zlecić zezwolić na uwolnienie mojego brata.

- Tak też się stało.

- To bardzo wspinałomyślne z jego strony. Co za przemiły człowiek. Mój brat musi odpocząć. Proszę pomóc mu przejść na moją dżonkę. Umawialiśmy się, że dostarczy mi go pan żywego i w dobrej formie.

- Istotnie - przytaknął Andrew i przerzucił metalowy trap między dżonkami. - Pan też niech dotrzyma warunków umowy, Hu Li. Proszę zlecić przelew na mój rachunek.

Hu Li zawahał się. Wiedział, że jeśli teraz zaatakuje, narazi brata na niebezpieczeństwo. Jeszcze chwila. Wyjął z kieszeni telefon komórkowy, wydał polecenie i podał hasło. Po minucie dwadzieścia milionów dolarów przepłynęło z konta Hu Li w banku Davida Chena na konto Brandona. Hu Li poinformował Andrew, że sprawa została załatwiona, po czym patrzył z ironicznym uśmiechem, jak Andrew dzwoni do banku.

Połączył się z Chenem.

- Czy na mój rachunek wpłynęły pieniądze?

- Tak. Zaraz wyślę je dalej, tak jak mi kazałeś - odparł Chen. Konto, które wskazał Andrew, należało do Akademii, ale o tym już Chen nie musiał wiedzieć.

Andrew wyłączył telefon.

- Pieniądze doszły.

- Oczywiście - uśmiechnął się gangster, przekonany, że zaraz zmusi go do cofnięcia dyspozycji. - Proszę oddać mi brata.

Brat Hu Li przeszedł na jego dżonkę i Andrew ściągnął trap. Prowadzona przez Tanyę motorówka, czekająca dotąd w pewnej odległości, podpłynęła bliżej.

- Ha! - wykrzyknął zgryźliwie Hu Li. - Ciekaw byłem, jak wyobraża pan sobie swoją ucieczkę, bo nie ma pan najmniejszych szans mi się wymknąć. Chcę dostać moje pieniądze z

powrotem.

Andrew zszedł do motorówki i stanął obok Tanyi.

- Dobiliśmy targu - odpowiedział. - Ja dotrzymałem umowy: dostarczyłem panu brata, całego i zdrowego. Teraz pan musi się z niej wywiązać.

W oczach Hu Li zapłonął wściekły ogień.

- Nigdy! Tylko głupcy dotrzymują słowa. Naprawdę sądził pan, że dam panu dwadzieścia milionów dolarów? Mój brat jest już stary, nie można go dłużej dręczyć. Nic dziwnego, że komuniści chcą się jeszcze pożywić na jego resztkach.

- Pański brat dopuścił się potwornych zbrodni, ale odsiedział swoje. - Andrew patrzył na niego obojętnie. - Zawarliśmy umowę. Nie ma pan wyjścia.

- Nie mam wyjścia? - Hu Li wpadł we wściekłość. - Ja nie mam wyjścia?! Kim jesteś, łachudro, żeby mi mówić, co mogę, a czego nie mogę zrobić?! Będę miał i brata, i pieniądze! Nie wiesz, kim jestem! Nie masz pojęcia, jakie mam wpływy!

- Chińczycy nie pomylili się w twojej ocenie, Hu Li - westchnął Andrew. - Uprzedzali mnie, że się nie zmienisz. Posłuchaj mnie teraz bardzo, ale to bardzo uważnie. Dostałeś to, za co zapłaciłeś. Nie próbuj mnie oszukać, bo możesz na tym tylko stracić.

Hu Li roześmiał się serdecznie, jak ojciec zbesztany przez własne dziecko.

- Zapłacisz mi za to, śmieciu! Zapłacisz pieniędzmi i krwią! - Spod przymrużonych powiek spojrzął na Tanyę. - A ja będę się rozkoszował twoją panienką, kawałek po kawałku.

Podniósł dłoń w umówionym geście i gdzieś niedaleko ryknęły silniki. Pięć motorówek wynurzyło się z ciemności, pędząc w kierunku łodzi Andrew i Tanyi. Na dziobie każdej z nich stali ubrani na czarno ludzie Hu Li z pistoletami maszynowymi w rękach. Hu Li śmiał się coraz głośniejsze.

- A teraz zobaczymy, jak szef tajwańskiej policji ci pomoże! To policyjne łodzie!

Andrew wyrwał Tanyi ster z rąk i zawrócił w miejscu. Otworzył przepustnicę. Motorówka skoczyła naprzód. Jedna z łodzi biorących udział w pościgu przystanąła przy dziobce Hu Li i wzięła go na pokład, po czym przyspieszyła, żeby dogonić pozostałe. Odległość między uciekinierami i pościgiem malała z każdą chwilą.

Tanya złapała Andrew za ramię.

- Nie wracaj na Tajwan! Musimy dostać się do Chin, to nasza jedyna szansa!

Andrew przecząco pokręcił głową. Hu Li nie dopuściłby do tego, żeby dotarli do chińskiego wybrzeża. Krzyknął coś do Tanyi, ale ryk silnika i szum rozbryzgujących się pod dziobem łodzi fal zagłuszyły jego słowa. Mimo że pędzili z maksymalną szybkością, motorówki Hu Li zmniejszały dystans. Skrajne łodzie po obu stronach płynęły szybciej od

reszty, próbując zamknąć uciekinierów w pierścieniu.

Tanya próbowała odepchnąć Andrew od steru. Na tajwańskich wodach nie mieli najmniejszych szans. Po chwili zagłębili się w kłębach gęstej mgły.

Gdy wynurzyli się z oparów, Tanya zrozumiała dlaczego Andrew wybrał tę drogę ucieczki. Czekala na nich cała chińska flotylla: dwadzieścia kanonierek i niszczyciel. Andrew prześliznął się między nimi i zgasił silnik.

- Zaraz wrócimy na Tajwan - uspokoił Tanyę.

- A co będzie z Hu Li?

- To przestępca. Chińczycy zgodzili się uwolnić jego brata, któremu wyrok już się skończył, ale postawili jeden warunek. Jeżeli Hu Li chciałby się wycofać z umowy i zabić mnie, będą mieli prawo go pojmać.

- Wiedzieli, że będzie chciał cię oszukać, prawda?

- Ja też wiedziałem. Wszelkie zło samo sprowadza na siebie zagładę, choćby nawet bardzo długo pozostawało bezkarne. Hu Li nie przewidział jednego: nie wierzył, że Chińczycy zapuszczą się na tajwańskie wody terytorialne. Po prostu nie mieściło mu się to w głowie. I słusznie, gdyż akt taki równałby się wypowiedzeniu wojny. Chyba że...

- Chyba że co?

- Chyba że przywódcy Tajwanu i Chin doszliby do porozumienia i razem postanowili się pozbyć Hu Li. Na to nie wpadł.

Razem patrzyli, jak łódzie Hu Li wynurzają się z mgły wprost w objęcia chińskiego wymiaru sprawiedliwości.

Czterdzieści pięć minut później wpływali do tajwańskiego portu. Tanya stała przy sterze, Andrew siedział na rufie i patrzył na wzburzony kilwater.

- Dostałeś dwadzieścia milionów? - spytała Tanya.

- Tak.

- Aha. - Jej głos był całkowicie pozbawiony emocji. Wyłączyła silnik i motorówka zaczęła wolniutko dryfować w stronę nabrzeża.

Słyszac nagły szelest za plecami, Andrew się odwrócił.

- Jeśli chcesz mnie zabić, Tanyu, zrób to teraz.

Tanya stała przed nim z napiętą twarzą, ze strachem w oczach, trzymając pistolet w dłoni.

- Czy Sebastien żyje? - spytał cicho Andrew.

Skinęła głową.

- Tak myślałem. I pewnie wmówił ci, że to ja zabiłem Ivana i Reksa.

Znów skinienie głowy.

- Nie mam żadnych dowodów na to, że tego nie zrobiłem - przyznał Andrew z kamienną twarzą. - A ty nie masz powodu, żeby bardziej wierzyć mnie niż Sebastienowi, którego kochasz.

Odwrócił wzrok i spojrzał w stronę portu. Słońce wytoczyło się ponad horyzont, rozświetlając niebo tak samo jak pierwszego dnia po stworzeniu Ziemi. Starł się nie patrzeć na Tanyę. Nie czuł strachu, ale nie mógł spojrzeć w te piękne, a zarazem tak zatroskane oczy.

- Jeżeli wierzysz, że to prawda, Tanyu, zabij mnie.

Trzymała broń wymierzoną prosto w jego serce. Miała zupełny mętlik w głowie, nie radziła sobie z targającymi nią uczuciami. Smutek i niezdecydowanie wyraźnie odbijały się na jej twarzy. Czy mogło jej zależeć na dwóch mężczyznach jednocześnie? Nawet jeśli jeden z nich był mordercą, gotowym zabić ją, by nie stanęła na drodze jego przeznaczeniu? Miłość i żądza, śmierć i zdrada - najsilniejsze znane człowiekowi uczucia mieszały się w niej, nie pozwalając dostrzec wyjścia z sytuacji. Żałowała, że nie ma równie przenikliwego umysłu jak Mistrz. On na pewno poradziłby sobie z tą zagadką.

- Dlaczego uważasz, że Mistrz nie bierze udziału w grze? - zapytała.

Andrew ze znużeniem rozłożył ręce.

- Wnioskuje to z tego, co powiedział wtedy o pudełku: „Każdy problem jest rozwiązywalny. Ludzie, którzy uważają inaczej, są po prostu ograniczeni, ślepi. Samo rozwiązanie problemu jest proste. To obserwator wnosi chaos w naturę rzeczy. Nie umie odrzucić swych pragnień i uprzedzeń i na próżno szuka odpowiedzi”. Gra o stanowisko Mistrza to nasza zagadka, a Mistrz podpowiedział nam, jakie jest jej rozwiązanie.

- Jakie?

- „Człowiek, który chce znaleźć rozwiązanie, musi najpierw zastanowić się nad sobą i przeanalizować własne myśli. Dopiero wówczas ogarnie sytuację spojrzeniem czystym i niezmaconym jak powierzchnia zwierciadła”. Dodał też: „To my zakładamy, że mamy przed sobą chińską łamigłówkę. Przypuszczenie to wynika z naszej wiedzy. Odpowiedzi należy szukać nie we wnętrzu szkatułki, lecz w nas samych”.

- No dobrze, ale co to właściwie znaczy? - wyjąkała Tanya.

- To znaczy, że Mistrz od razu dał nam gotową odpowiedź, tylko jej nie zrozumieliśmy. Mówił prawdę: tak jak łamigłówka nie jest żadną łamigłówką, tak i w grze o Akademię nie kryje się żaden sekret. Mistrz powiedział też coś takiego: „Niech każdy z was zajrzy w głąb własnego serca. Tylko tam znajdziecie odpowiedź. Jeżeli pożąacie godności

Mistrza, nie jest przeznaczona dla was. Dar władzy to nie nagroda, lecz okrutny ciężar. Władza deprawuje. Samo dążenie do niej też może mieć oplakane skutki. Władza sprawia, że człowiek staje się ślepy na prawdę. Jest jak choroba, która wyniszcza organizm i nie pozwala dostrzec prawdziwej natury rzeczy”.

Andrew popatrzył na Tanyę: łzy płynęły jej po policzkach.

- My jednak, głupi, rzuciliśmy się na oślep naprzód - mówił dalej. - Każdy marzył o tym, żeby wygrać, szukał wskazówek... Tak jak próbując odgadnąć sekret szkatułki usiłowaliśmy zrozumieć znaczenie rysunku na wieczku. Prawda jest jednak taka, że wszelkie wskazówki są bez znaczenia. Powinny nam wystarczyć słowa Mistrza.

- A zatem Mistrz nie gra razem z nami?

- Właśnie. Zasady są nieistotne. Mistrz powiedział, że wyznaczono pięciu kandydatów - a nas było pięcioro. Nie zaliczał się do naszego grona.

- Czy to prawda? Czy masz na to jakiś dowód?

- Nie, i na tym właśnie polega nasz sprawdzian. Nie można udowodnić, że szkatułka nie zawiera łamigłówki, nie niszcząc jej. Musiałabyś rozbić pudełko, żeby zajrzeć do środka. Idea gry odwołuje się do naszej wewnętrznej percepcji, do zdolności pojmowania natury władzy. Posiedliśmy ją w różnym stopniu. Stanowiska Mistrza nie da się zdobyć siłą ani podstępem. Nie można go też kupić. Mistrz nie zwodzi nas pozorami, jest taki, jakiego widzimy. Tak jak szkatułka niczego nie ukrywa. A jednak w tej nicości zawiera się wszystko.

- Andrew posmutniał. - A to oznacza, że jednej rzeczy ja również nie rozumiałem.

- Jakiej?

- Jeżeli nie ma łamigłówki, nie ma też gry.

Dłoń, w której trzymała broń, trzęsła się jej coraz bardziej.

Nareszcie poznała prawdę. Gdyby wcześniej rozumiała słowa Mistrza, wiedziałaby, że konkursu nie można wygrać, uciekając się do złych i niegodnych metod. Skoro pozycja przełożonego Akademii była w istocie brzemieniem, a nie nagrodą, człowiek, który ją ostatecznie zajmował, musiał być tym, który najmniej tego pragnął. Żeby to zrozumieć, należało odrzucić wszelki egoizm. Obserwując, do czego zdolni są kandydaci w pogoni za władzą, Mistrz mógł dokonać wyboru najlepszego.

- Tanyu...

- Milcz! - krzyknęła, próbując zebrać myśli. - Czy Sebastien jest złym człowiekiem? Czy to on jest mordercą?

- Sama musisz odpowiedzieć sobie na to pytanie. Ja nie zabiłem Ivana i Reksa. Wiem,

że i ty tego nie zrobiłaś. Uważam, że to Sebastien odpowiada za ich śmierć. Pozbył się ich, ponieważ nade wszystko pragnie zwycięstwa w konkursie. Dla niego nie ma większej nagrody. Taki cel uświęca środki. W pogoni za władzą ludzie dopuszczają się okropnych rzeczy, każdy dzień dostarcza nam nowych przykładów. Im większa władza, tym większe potworności za sobą pociąga. Jedynym zabezpieczeniem Akademii jest przenikliwość Mistrza i Arbitrów, która pozwala im ustrzec się zła, nieustannie zmieniającego postaci.

- Jeżeli to, co mówisz, jest prawdą, to dlaczego Sebastien jeszcze mnie nie zabił?

- Tego nie wiem, Tanyu. Może cię kocha, a może byłaś mu potrzebna do zwycięstwa. Jednego jednak jestem pewien: nie przyłożę ręki do usunięcia Mistrza. To niezwykle człowiek, jedyny, który potrafi sprawować swój urząd, nie nadużywając władzy. Sama zdecyduj, czy mnie zabijesz. To twój test. Musisz dokonać wyboru. Sebastien już to zrobił.

Tanya znów się zamyśliła. Z początku, dążąc do wygranej, dopuszczali się z Sebastienem mało znaczących występków. Później jednak, im bliżej znajdowali się wygranej, tym większe zło im towarzyszyło. A teraz ona szykowała się do zabicia człowieka. Dlaczego? Dla władzy. Zaczynała pojmować, że dała się złapać w pułapkę złudzeń. Iluzja kusila ją i pociągała, równocześnie prowadząc ku samozagładzie. Ivan to zrozumiał. Oszczędził ją, ponieważ morderstwo oznaczało dla niego przekroczenie linii, której nie zamierzał przekraczać dla wygranej. Zacisnąwszy jej na szyi chustkę, udowodnił, że ma nad nią władzę, i zaznaczył, jakiego wyboru dokonał. Próbował ją też ostrzec, że człowiek, którego kocha, prawdopodobnie już dawno przekroczył tę linię.

Teraz ona sama stanęła na niej, jak na moście. Akademia i stanowisko Mistrza wciąż znajdowały się w zasięgu jej wzroku, ale zdała sobie sprawę, że jest za słaba, że taka władza z pewnością by ją zniszczyła.

Musiał się znaleźć inny, lepszy kandydat.

Lufą pistoletu dała Andrew znak, żeby wysiadł z łódki na keję. Posłusznie zeskoczył na ląd.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał.

- Spotkam się z Sebastienem.

- Nie rób tego, Tanyu! To zbyt niebezpieczne. Albo pójdę z tobą.

Andrew chciał z powrotem wejść do motorówki, ale Tanya dodała gazu i odplynęła od nabrzeża. Wiedziała, że jeżeli szybko złapie samolot, zdąży jeszcze wrócić na Tirah na czas i stanąć przed Arbitrami. Ale najpierw - zgodnie z obietnicą - zadzwoni do Sebastiena. Miała dla niego zupełnie inne wiadomości, niż się spodziewał. Zamierzała mu powiedzieć, że

Andrew żyje i że ona nie zamierza go zabić. Chciała też wygarnąć mu całą prawdę.

- Gdzie on jest? - zapytał Andrew, przekrzykując pracujący na wyższych obrotach silnik.

- Wczoraj wieczorem odleciał z Tajwanu na spotkanie z Mistrzem. Pewnie jest już na Tirah.

Jednego Tanya była pewna. Wytłumaczy Sebastienowi, że nie zasługuje na to, by stanąć na czele Akademii, że godności Mistrza nie można zdobyć w walce. Wysłucha jej. Może jest złym człowiekiem, ale przecież jej nie skrzywdzi. Kocha ją. Musi ją zrozumieć.

- Dopłyn do brzegu, Tanyu! - Andrew gestykulował gorączkowo. - Przycumuj i wysiądź!

Tanya odwróciła jednak motorówkę rufą do lądu i wybrała na telefonie komórkowym numer Sebastiena.

Jak zwykle przywitał ją ciepłymi, czułymi słowami, a potem przeszedł do rzeczy:

- Czy Andrew nie żyje?

- Żyje.

- Jest tam z tobą?

- Tak.

Andrew skoczył z brzegu na łódź. Opadł ciężko na rufę. Kiedy Tanya odwróciła się od steru, pędził już w jej stronę z rozpostartymi rękoma. Sięgnęła po broń, upuszczając telefon. Nie zdążyła jednak wycelować. Andrew złapał ją i pociągnął za sobą za burtę.

Gdy wpadali do morza, Sebastien nacisnął guzik w swoim telefonie.

Zanurzyli się pod wodę. Andrew usiłował wciągnąć Tanyę jak najgłębiej, nie zwracając uwagi na jej rozpaczliwe próby uwolnienia się. Motorówka zmieniła się tymczasem w kulę ognia. Przesłany przez telefon impuls radiowy zdetonował bombę. Tanya zerknęła do góry: po powierzchni wody ślizgały się błękitno-pomarańczowe płomienie. Czowała na twarzy ich pieszczotliwe ciepło. Andrew ściągnął ją na dno, chcąc ocalić przed pewną śmiercią.

I w tej chwili coś w niej umarło. Mistrz powiedział im wprost, że w konkursie nie kryje się żadna zagadka. Czując, jak powietrze rozsadza jej płuca, zrozumiała, jak bardzo prawdziwe były jego słowa. Kochała Sebastiena, ale on jej nie kochał. Nie zgodziłby się, by miłość przeszkodziła mu w osiągnięciu tego, czego naprawdę pragnął: władzy nad Akademią. Rozwiązanie zagadki zgonu Reksa też cały czas miała przed sobą jak na dłoni, ale nie chciała go dostrzec. Sekret śmierci Reksa krył się w ich wspólnej przeszłości. Zginął, bo ją kochał.

Nie wiedziała o tym, że Sebastien znalazł w jego pokoju w Erris niedokończony list.



Rex zapewniał w nim Tanyę o swojej dozgonnej miłości i proponował jej połączenie sił w konkursie. W tym samym liście zdradzał też swoje obawy związane z losem Maksa Stantona. Wiedziała natomiast na pewno, że to Sebastien go zabił. Postąpił tak nie tylko dlatego, żeby wygrać. Po prostu nie mógł jej pozwolić odejść od siebie. Zazdrość stała się nasieniem zła, które bujnie się rozwinęło, a ona nie chciała go dostrzec.

Zamknęła oczy. Sebastien miał rację: wojna jest najpotężniejszą siłą we wszechświecie. Nieodwołalnie zniszczyła jej miłość.

Tanya otworzyła usta i czekała, aż wypełni je woda i śmierć stanie się jej jedynym kochankiem.

Dysząc z wyczerpania, Andrew wyciągnął nieprzytomną Tanyę z brudnej wody na keję. Wezwał pomoc, a potem patrzył, jak karetka pędzi na sygnale do szpitala. Tanya miała szansę przeżyć, wiedział jednak, że ktoś musi tej nocy zginąć.

Zaczął biec. Musiał skontaktować się z Mistrzem. Wiedział jednak, że już jest za późno.

Dla Mistrza nie było nadziei.

## ROZDZIAŁ 30

*Służyć własnemu duchowi, nie dając przystępu ni radościom, ni smutkom, lecz rozumieć nieuniknione przeznaczenie i zachować spokój - oto ideał cnoty.*

Konfucjusz

### **23 grudnia. Akademia**

Późnym wieczorem Mistrz wyszedł na trzeci dziedziniec i usiadł na ławce. Spojrzał w niebo: noc była pogodna i w górze błyszczały roje gwiazd. Przyszło mu do głowy, że wielu jego poprzedników musiało siedzieć w tym samym miejscu i podziwiać gwiazdy, roztrząsając problemy świata.

Następnego dnia miał się odbyć Bankiet Adeptów. Mistrz spochmurniał. Dla niego ten

dzień oznaczał koniec długiej podróży. Mimo że cieszył się z tego faktu, jak żeglarz, który wraca do portu, w głębi serca czuł żal, że drugi raz w ten rejs nie wyruszy. Poznał gorycz porażki. Wiedział jednak, że nie zbczy z kursu, w jego sercu nie było miejsca na radość i smutek. Niczego już nie pożytał, za niczym nie tęsknił.

Długo patrzył w niebo, chłonać otaczającą go pustkę i odnajdując w niej spokój.

Co zdołał osiągnąć? Kierowanie Akademią stanowiło brzemię, którego nie pragnął, które zostało mu narzucone. Dla Akademii poświęcił marzenia o małżeństwie, o dzieciach, zwykłe ludzkie nadzieje i obawy. Z biegiem lat brzemię ciążyło mu coraz bardziej. Znał pewną uniwersalną prawdę: władza niszczy ludzi jak żrący kwas. Przeżera ich dusze. Składa szeptem fałszywe przysięgi. Tworzy piękne złudzenia. Obiecuje łatwe zwycięstwa, popychając ofiarę ku kłęsce. Wypacza charaktery i czyni ludzi ślepych na prawdę. Mistrz obserwował jej działanie na tylu przykładach, że nie miał wątpliwości: sam też musiał jej ulec.

Gdzie w takim razie należało szukać ocalenia dla niego i całej ludzkości? Bo przecież nie w książkach, nie w nauce, nie w dziejach świata... Nie, odpowiedź leżała tam, w kosmosie, z dala od zła, okrucieństw, mroku i nędzy. Wszechświat był jednością, doskonałą i nie skalaną przez człowieka. To przekonanie towarzyszyło mu przez długie lata samotnej wędrówki.

Był jak nauczyciel, choć grał zarazem rolę ucznia. Terminował u innych, mądrzejszych i bardziej przenikliwych od niego. Przyszła mu do głowy chińska łamigłówka i przepiękne wazy, których już nie zobaczy. Myślał o Akademii i o tym, jaki czeka ją los. Zdawał sobie sprawę z tego, jak krótko sam żył na tym świecie. Zapomniał, że jest Mistrzem. Ten tytuł - tak jak wszystkie inne - ograniczał go. Taoista powiedział, że imiona i tytuły są tylko cieniem rzeczywistych nagród. Żałował, że nie mógł osobiście porozmawiać z Czangiem i taoistą, który tak mówił o człowieku doskonałym: „Umysł człowieka doskonałego przypomina zwierciadło. Reaguje na wydarzenia, ale ich nie wyprzedza. Dlatego właśnie radzi sobie z nimi, nie poddając się ich wpływowi”.

Jak łatwo to powiedzieć. Jak trudno w ten sposób żyć.

Wstał i wrócił do gabinetu. Mimo późnej pory czekało go sporo pracy. Przed ostateczną rozgrywką musiał jeszcze pomóc pewnemu małemu chłopcu. Wcześniej już wysłał Symesa do Szkocji. Spodziewał się go dopiero następnego dnia rano.

Z westchnieniem zasiadł do przygotowywania dokumentu. Stanowisko Mistrza nie mogło zniknąć wraz ze śmiercią tego, który je piastuje.

Chwilę później zegar wybił północ. Mistrz przyniósł sobie z biblioteki niezbędne

papiery i dorzucił dREW do ognia w kominku. Kiedy stał pochylony, usłyszał za sobą czyjeś kroki. Odwrócił się i ujrzał Sebastiena.

- Przepraszam, Mistrzu, że naruszam twój spokój - rzekł Sebastien. - Powinniśmy o czymś porozmawiać.

Przeszli do jednego z pokojów gościnnych i usiedli przy stole.

- Myślałeś może, Mistrzu, że nie żyję - zauważył Sebastien. - Przepraszam za ten fałszywy alarm. Sam nigdy nie ufam gazetom. Ani raportom patologów.

- Tak jak i ja - stwierdził lakonicznie Mistrz.

Sebastien się roześmiał.

- Tego właśnie się spodziewałem. Mając taką wiedzę o ludzkiej naturze, musisz zdawać sobie sprawę, że każdy człowiek ma swoją cenę. Patolog też. Mogę cię jednak zapewnić, że nie powinieneś spodziewać się Rekxa ani Ivana. Oni naprawdę nie żyją.

- Zabiłeś ich?

- Tak.

Zapadła cisza. Siedzieli naprzeciwko siebie bez słowa: jeden młody, silny, z zaciętą twarzą i przenikliwym spojrzeniem - i drugi: stary, o równie władczej naturze. Młody lew i stary lew. Coś ich jednak różniło: twarz Sebastiena była nerwowa, niespokojna, podczas gdy oblicze Mistrza pozostało niewzruszone, czyste jak szkło.

- Śmierć nigdy nie jest mile widziana - odezwał się znowu Sebastien. - Jednak w tym wypadku nie dało się jej uniknąć. Była mniejszym złem, z którym należało się pogodzić dążąc do celu. Celu, który dobrze znasz, Mistrzu. - Wzruszył ramionami. - Czy jakikolwiek człowiek może objąć wysokie stanowisko, nie dopuszczając się po drodze złych czynów? Tylko w ten sposób zdobywa się władzę. Im większa władza, tym większe zło wchodzi w grę. Każdego dnia widzimy, jak ta zasada sprawdza się w otaczającym nas świecie. Z Akademią, nie mogło być inaczej. Konkurs bardzo mi się podobał, Mistrzu. Dużo się nauczyłem o tym, jak korzystać z władzy, co z pewnością będzie cennym doświadczeniem na przyszłość. Akademia i świat funkcjonują przecież identycznie. Różnica sprowadza się do skali.

- Czego się nauczyłeś?

- Że wielcy taktycy - wśród nich Sun-Cy - mieli rację. Wojna jest jedyną drogą do ruiny lub do świetności państwa, a Akademia jest państwem jak każde inne na Ziemi. Można wygrać tylko wtedy, gdy wykorzystasz się międzysąsiedzkie waśnie. Wiem także, że Machiavelli się nie mylił. Chcąc rządzić, należy wpiery zniszczyć tych, którzy mogą lub chcą ci zaszkodzić. Lepiej, kiedy poddani boją się ciebie, niż kiedy cię kochają. Bezpieczniej. Szczególnie jedno z jego powiedzeń powinieneś docenić, Mistrzu. Obaj podążamy podobną

ścieżką: „Tacy książęta dokonywali wielkich rzeczy, którzy mało przywiązywali wagi do dotrzymywania wiary, i którzy chytrze potrafili usidlać mózgi ludzkie, a w końcu wzięli przewagę nad tymi, którzy zaufali ich lojalności”. Taki jest nasz świat, Mistrzu, świat w którym obaj żyjemy. Ci pisarze nie dali się zwieść pozorom. Nie pomyliłeś się w interpretacji tajemnicy szkatułki. Pod złoceniami i zdobieniami nic nie ma. Władza jest po prostu władzą, niczym więcej.

Sebastien cofnął się pamięcią wstecz. Rex był jedynym uczestnikiem gry, którego naprawdę zamierzał zlikwidować.

- Gdyby miał okazję, pierwszy by mnie zabił - wyjaśnił. - Równie mocno jak ja pragnął zwycięstwa, a w dodatku wiedział, jak naprawdę wygląda gra. Poza tym mogę cię zapewnić, że kiedy odwrócił się i spojrzał mi w oczy, na moment przed tym, jak go potrafiłem, jego oczy pałały nienawiścią. Nienawidził mnie za to, że on miał zginąć, a ja nie. Nie żałuję tego, co zrobiłem. Po prostu Rex miał pecha. Zapomniał o głównej zasadzie wybitnych taktyków: uderzaj pierwszy i zawsze mocno.

- To nie wszystko - zauważył Mistrz, bacznie obserwując nocnego gościa.

- Jak to: nie wszystko?

- Nie zabiłeś Reksa tylko dlatego, że więcej od ciebie wiedział o konkursie.

- Dlaczego tak uważasz, Mistrzu? - spytał Sebastien zmienionym głosem.

- Władza deprawuje ludzi, ale musi być w nich jakiś załazek zła. Powód, dla którego zabiłeś Reksa, nie zrodził się z żądzy władzy.

- To bardzo celne spostrzeżenie, Mistrzu - przyznał ponuro Sebastien. - Wyśmienicie znasz meandry ludzkiej natury. Dzień po tym, jak powiedziałaś nam o konkursie, Rex pojechał do Erris. Chciał porozmawiać z Ivanem, ale nie zamierzał się z nim sprzymierzyć. Planował połączyć siły z inną osobą.

- Z Tanya?

- Właśnie, z Tanya. W pokoju hotelowym zostawił zaadresowany do niej nie dokończony list. Czytałem go. Wiem, że ją kochał i że kiedyś łączyła ich fizyczna zażyłość, o czym zresztą Tanya nigdy mi nie wspomniała. Rex napisał również, że zamierza przystąpić do konkursu i chciałby, żeby grali w jednej drużynie. Tanya musiałaby wybierać między nim a mną, a ja nie chciałem o tym słyszeć.

- Nie pozwoliłeś jej podjąć decyzji - rzekł Mistrz. - A mogła przecież wybrać ciebie, odrzucając Reksa i tytuł Mistrza. Skąd wiesz, czy nie kochała cię wystarczająco mocno?

Sebastien milczał długą chwilę. Spuścił wzrok. W końcu wstał i podszedł do kredensu, żeby nalać drinka sobie i Mistrzowi.

- Pozostałe zgony były zwykłą konkurencją tego, co się działo. Ivan napadł Tanyę, kiedy przyjechała do mojego domu w Szwajcarii. Chciał wyciągnąć od niej informacje, ale tym samym przypieczętował swój los. W dodatku domyślał się, że to ja zabiłem Rekxa. Po jego pogrzebie powiedział mi, że nie wie, skąd wracał Rex, gdy potrącił go samochód. Kłamał, ponieważ widziałem, jak razem jedli kolację. Chciał mnie w ten sposób sprawdzić, a ja widocznie jakoś się zdradziłem. Potem nie miałem już wyjścia i musiałem się go pozbyć. Nie można zostawiać świadków.

- A co z Tanya i Andrew?

- Wysłałem Tanyę, żeby zlikwidowała Andrew, ale mnie zawiodła. - Sebastien uśmiechnął się ponuro. - Zdradziła mnie, a kiedy jeszcze poszła z nim do łóżka, nie mogłem dłużej jej ufać. Zabiłem ich oboje, podkładając bombę na motorówce, którą płynęli. Poza tym w drodze do tronu trzeba zacierać wszystkie ślady. Nie wolno zostawiać odcisków palców. Czy nie tak właśnie było z Maksem Stantonem, Mistrzu? A Tanya nie była w gruncie rzeczy najważniejsza. Sun-Cy nazywa takich ludzi szpiegami: daje im się sfabrykowane, fałszywe informacje, żeby wprowadzić zamieszanie w szeregach wroga, i spisuje się ich na straty. Pomogła mi, ale nie zdołała wykonać mojej ostatniej prośby, więc musiałem działać dalej sam. Nikt już nie wie, że jestem mordercą i nikt nie ma pojęcia, jak zarobiłem dwadzieścia milionów dolarów. Nikt też nie stanie mi na drodze do zwycięstwa - poza jednym człowiekiem.

- O kim mówisz?

- O tobie, Mistrzu.

Mistrz milczał, Sebastien zaś mówił dalej, krążąc po pokoju:

- Przyznaję, że od początku dręczyło mnie jedno pytanie. Czy naprawdę byłbyś gotów z własnej woli oddać taką władzę? - Pokręcił głową. - Na podstawie historii ludzkości można wywnioskować, że nikt dobrowolnie nie oddaje władzy. A im większa władza, tym bardziej niechętnie się z nią rozstajemy. Ty też nie poddałbyś się bez walki, Mistrzu, prawda? A może się mylę?

Zadzwonił telefon.

- Przepraszam cię na chwilę... - Mistrz wstał od stołu.

- Oczywiście, oczywiście. Ale wróć jeszcze do mnie, Mistrzu.

Mistrz odebrał telefon u siebie w gabinecie. Sebastien stanął pod drzwiami, nasłuchując. Mistrz w milczeniu wysłuchał swego rozmówcy i na zakończenie wypowiedział jedno słowo: „Rozumiem”. Wcisnął guzik w telefonie, żeby centralka nie łączyła do gabinetu dalszych rozmów, i wrócił do saloniku.

Sebastien napił się koniaku.

- Jak już mówiłem, wydawało mi się nieprawdopodobne, byś dobrowolnie zrezygnował ze stanowiska. Dwa fakty potwierdziły moje przekonanie.

- Jakie fakty?

- Po pierwsze: informacje, którymi dysponował Rex. W konkursie, w którym zdobyłeś tytuł Mistrza, zginął w tajemniczych okolicznościach niejaki Max Stanton. To dowodziło, że miałem rację. Zwycięzca mógł być tylko jeden, a w tej grze ryzykuje się życie. Nie mam nic przeciwko temu. Taki już jest nasz świat - zakończył z żalem Sebastien.

- A drugi fakt?

- Miałem trochę szczęścia, że go odkryłem, choć potwierdził on jedynie moje przypuszczenia. Andrew wspomniał Tanyi o zasadach konkursu, które poznał tu, w tym właśnie domu. A Tanya opowiedziała o nich mnie. Tak oto zostaliśmy tylko my dwaj, Mistrzu. Twoje zdrowie! - wznosił toast Sebastien i każdy wypił swój koniak.

Mistrz przyglądał się spokojnie Sebastienowi.

- A więc naprawdę uważasz, że ten konkurs to walka na śmierć i życie? Mylisz się. Sam wybrałeś taką interpretację. To prawda, że Stanton zginął podczas konkursu, w którym również ja brałem udział. Nikt go jednak nie zabił, a już na pewno nie ja.

- A co z paragrafem XIX?

- Mówi on, że Mistrz może uczestniczyć w rozgrywce, a nie że musi.

- I ty, Mistrzu, postanowiłeś się wycofać?

- Tak.

Sebastien popatrzył na Mistrza i wybuchnął śmiechem.

- Brawo! Brawo, Mistrzu! Wspaniałe przedstawienie. - Zaklaskał w ręce. - *Bravissimo!* Właściwie po tak genialnym człowieku mogłem się tego spodziewać. Ale dla mnie nie jesteś dość dobry. - Sebastien pochylił się nad stołem. - Kłamiesz.

- Nie.

- Kłamiesz, Mistrzu, ale i tak muszę ci pogratulować. Do końca grasz swoją rolę, a ja świetnie się bawię, podziwiając twój występ. Opis szkatułki był prawdziwym arcydziełem i początkowo zbił mnie z tropu. Co za posunięcie! Ale i ono nie zmienia faktów. W tym konkursie nie ma żadnych zagadek, żadnych moralnych dwuznaczności. To wojna. - Sebastien postukał palcem w stół. - Wojna, w której zostało już tylko dwóch przeciwników i w której może być tylko jeden zwycięzca.

- Co chcesz zrobić?

Sebastien usiadł i złożył ręce jak do modlitwy. Sebastien, nowy Mistrz.

- Ten problem już został rozwiązany, Mistrzu. W jedyny możliwy sposób. Nauczyłeś nas bardzo dużo - może nawet zbyt dużo - o tym, jak korzystać z władzy. Wydawało mi się więc jak najbardziej na miejscu, byś odszedł ze sceny jak Sokrates. Dosypałem ci czegoś do koniaku. Zostało ci jeszcze tylko kilka minut, zanim trucizna porazi twoje serce. Ze względu na twój wiek wszyscy uznają, że zmarłeś śmiercią naturalną. A jutro wieczorem, na bankiecie, ja zostanę Mistrzem. - Sebastien zapalał się coraz bardziej: - Widzisz? Nawet ciebie zdołałem przechytrzyć, a teraz zajmę twoje miejsce, Mistrzu. Gdyby mi się to nie udało, poniósłbym klęskę.

- Nie - odparł Mistrz. - Klęskę ponosi ten, który czyni coś wbrew swojej naturze.

Sebastien nie spuszczał z niego wzroku. Na policzkach Mistrza pojawiły się rumieńce. Trucizna zaczynała działać. Ten widok go nie zaskoczył, zdziwił go natomiast spokój Mistrza: tak wygląda człowiek, który jest pogodzony ze światem i niczego się nie boi. Człowiek, którego nie ima się zło.

- Nie smuci cię przegrana, Mistrzu?

Mistrz westchnął, czując dojmujący ból w piersi. Oczy mu wyobraźni widział statek, który po długim rejsie wchodzi do portu.

- Nadal nic nie rozumiesz, Sebastienie. Tytułu Mistrza nie można zdobyć.

Znów zapadła cisza. Martwa cisza. Stary mężczyzna oddychał z coraz większym trudem, oczy zasnuwała mu mgła.

- Sebastienie... - rzekł z wysiłkiem. - Nie możesz zostać Mistrzem. Mylisz się całkowicie co do natury konkursu. On sam nie jest ani dobry, ani zły. To ty dokonałeś wyboru. Sięgnąłeś po złe środki, by osiągnąć swój cel. Pozwoliłeś, by ambicja i żądza zwycięstwa zaćmiły ci wzrok. Nie tędy droga. Przegapiłeś właściwą ścieżkę na szczyt. Nie możesz zagarnąć siłą tego, co ci się nie należy.

- Kłamiesz! - warknął Sebastien. - Łziesz jak pies, bo wiesz, że przegrałeś!

- Nie - odparł drżącym głosem Mistrz. - Błagam cię, Sebastienie, przemyśl moje słowa. Nie popełniaj kolejnego błędu.

- Chcesz mnie okłamać, bo twój tron należy już do mnie. Wygrałem go w walce.

- Wojna jest jak ogień: kto w porę nie odłoży broni, zostanie przez nią unicestwiony. Proszę, zastanów się. Mistrz nie ma nic wspólnego z wojną. Sama wiedza wystarcza mu, by mieć władzę.

Sebastien patrzył na Mistrza. Wiedział, że umierający starzec go okłamuje. Wstał i wyszedł z pokoju.

Mistrz cierpiał. Nie zostało mu już wiele czasu. Na progu śmierci nagle ogarnęły go

wątpliwości: czy to możliwe, żeby Sebastien jednak miał rację? Czy wszechświat podlega bezwzględny prawom, wedle których ci, którzy mają władzę i nie boją się sięgnąć po zło, muszą zwyciężyć? I że największą władzę zdobywają ci, którzy najbardziej jej pożądamy? Czy obaj z Czangiem się mylili? Czy całe życie śnili jak dzieci, wierząc w coś, co nie istnieje?

Nagle Mistrz wyprostował się na krześle i znów poczuł się jak statek, który powracając z morza zawija do portu. Odrzucił wiosła i powierzył się w opiekę wszechświatowi, a ten go nie zawiódł. Nie tracąc nic, Mistrz wszystko zyskał. Dobrowolnie poddał się cyklowi życia i umierania. To, w co zawsze wierzył, okazało się prawdą. Światło latarni, ku której zmierzał, oślepiło go, gdy przekroczył granice ludzkiego doświadczenia. Znalazł Drogę. W duchu był tego absolutnie pewny. W szkatułce pewnego skromnego rzemieślnika, podobnie jak w grobie innego, nie było oszustwa. Pustka zawierała wszystko. Ostateczną tajemnicę.

Największą władzę ma ten, który nigdy jej nie nadużyje. I nie można jej zdobyć.

Sebastien odczekał dłuższą chwilę i wrócił do pokoju gościnnego. Mistrz leżał bezwładnie na krześle. Człowiek, który jeszcze niedawno zdawał się tak surowy i silny, nie żył. Tylko wyraz jego twarzy się nie zmienił. Malował się na niej spokój, pewność, mądrość... Sebastien poczuł nagły lęk. Schował do kieszeni szklanę z resztkami trucizny.

Na biurku w gabinecie leżał stosik kartek. Na jednej z nich Mistrz napisał coś, zanim jeszcze Sebastien zjawił się u niego. Był to cytat z Sun-Cy: „Mogę przewidzieć kto wygra, a kto poniesie klęskę”.

Wściekły gestem Sebastien porwał kartkę z blatu i wepchnął do kieszeni. Biegiem wypadł z pokoju i popędził na górę, do pokoju, w którym przed rokiem Mistrz opowiedział im o chińskiej szkatułce.

Otworzył z rozmachem drzwi i rozejrzał się gwałtownie. Na stoliku leżało pudełko mistrza Czanga. Wziął je do ręki i przez chwilę rozkoszował się pięknem i przemyślnością ostatniego arcydzieła prostego rzemieślnika, a potem upuścił je na podłogę i zmiażdżył obcasem buta.

Z jego ust wyrwał się zwierzęcy skowyt. Pudełko było puste.

Teraz już znał prawdę.



# ROZDZIAŁ 31

*Ten, który chce prowadzić ludzi, powinien ustawić się za nimi. Dzięki temu mędrzec znajduje się ponad ludźmi, ale ci nie postrzegają go jak ciężaru. Jest przed ludźmi (prowadzi ich), ale nie postrzegają go jako przeszkody. Sprawia, że wszyscy ludzie na Ziemi czczą go. Dlatego że z nikim nie konkuruje, nikt nie może z nim konkurować.*

Lao-Cy

## **Wigilia Bożego Narodzenia**

Dzień, w którym miał się odbyć Bankiet Adeptów, był zimny, szary i ponury. Unoszone wiatrem tumany śniegu wirowały w powietrzu i osiadały na nagich gałęziach wiśni. Na dworze szalała zamieć, w środku zaś, w gmachu Akademii, panował spokój. Tylko tykanie i bicie zegara mąciło ciszę domu Mistrza. Znacznie rzadziej trzeszczały dębowe deski podłogi, od kiedy zgasł ogień na kominku. Akademia pogrążyła się w żałobie.

To Symes go znalazł. Przybył do Akademii krótko po świcie i zawianą przez śnieg dróżką podszedł do drzwi. W środku wszedł po marmurowych schodach na piętro, gdzie zaglądając po kolei do pokoiw odsłaniał ciężkie kotary z okien, tak jak robił to już od dwudziestu z górą lat. Z początku wydawało mu się, że Mistrz śpi, ale kiedy nim potrząsnął, zrozumiał, że odszedł na dobre.

Zakrzętał się wokół innych codziennych obowiązków, nie mogąc pogodzić się z potworną rzeczywistością. Przemykał przez pokoje niczym duch. Przeszedł przez jadalnię z długim stołem i portretami na ścianach, przez salon, w którym Mistrz latem często pracował do późnej nocy, przez pełną ksiązek bibliotekę i wszystkie pozostałe pomieszczenia. Na koniec zszedł do kuchni i zaparzył herbatę, którą zaniósł Mistrzowi do sypialni. Dopiero gdy nikt nie odpowiedział mu na pukanie, dotarła do niego prawda.

Odstawił tacę z herbatą i wszedł do pokoju. Usiadł na gładko zasłanym łóżku i zapatrzył się w okno. Poczul wszechogarniający smutek. Gdyby Mistrz nie wysłał go do Szkocji, zostałyby przy nim do końca. Jakie to smutne, że po tylu latach nie mógł się z nim pożegnać, dołączyć własnych wyrazów wdzięczności do tych, które spływały z całego świata. Zdawał sobie sprawę, że Mistrz całe życie poświęcił sprawie pokoju. Symes był prostym człowiekiem i w niczym nie przypominał znakomitości, które spotykał w Akademii, ale

doskonale rozumiał, jak niezwykłą pokorą odznaczał się człowiek, którym się opiekował. Znał go jak nikt inny.

Rozejrzał się po sypialni. Tu mieszkał człowiek, którego słuchali wielcy tego świata. Pomagał im dostrzec i zrozumieć to, co umykało ich uwagi. A jego pokój był niemal pusty: stało w nim łóżko i jedno jedyne krzesło.

Symes wstał, podszedł do okna, przycisnął twarz do szyby i zapłakał.

Daleko od Akademii, w zupełnie innym rejonie świata Jack Caldwell wszedł do Gabinetu Owalnego. Na jego widok prezydent Davison odłożył telefon i uśmiechnął się. Sprawy państwowe układały się pomyślnie, gospodarka się rozwijała, a problemy osobiste sprzed roku przybladły. Zwrócił jednak uwagę, że Caldwell wygląda fatalnie.

- Co ci jest, Jack? - zaniepokoił się. - Myślałem, że dziś jedziesz na urlop do Europy. Zasłużyłeś na to.

- Nie jadę - odparł Caldwell łamiącym się głosem. - Mam dla pana bardzo smutną wiadomość z Akademii: dziś rano zmarł Mistrz.

Davisonowi łzy napłynęły do oczu.

- Rozumiem... - rzekł cicho.

- Wczoraj dostałem od niego list, panie prezydencie. Prosił, żebym go panu oddał.

Davison nie pytał, dlaczego to Jack był adresatem listu. Nie miał już wątpliwości, że Caldwell jest jednym z Adeptów. Nie miało to żadnego znaczenia. Nikomu nie zdradzi tej tajemnicy. Liczyło się tylko to, że Mistrz i Jack kiedyś bardzo mu pomogli. Każdy czasem potrzebuje anioła stróża i Davison czuł, że nie mógł lepiej trafić. Wziął list do ręki.

- Dziękuję ci, Jack. Chyba jednak powinieneś iść na urlop.

Caldwell skinął głową i bez słowa ruszył do wyjścia.

- Jack...

Caldwell odwrócił się w progu.

- Był wielkim człowiekiem.

- Największym, jakiego miałem zaszczyt poznać.

Davison kiwnął głową, otworzył list i przeczytał go. Wstał od biurka i podszedł do okna, skąd roztaczał się widok na trawnik przed Białym Domem. Czy Mistrz wiedział, że umrze? Raczej nie. Ludzie nie znają dokładnej chwili swojego odejścia ze świata. Naturalnie, spełni prośbę Mistrza. Nie mógłby odmówić człowiekowi, którego bezgranicznie wręcz cenił i podziwiał. Podniósł słuchawkę telefonu i wydał niezbędne polecenia.

Pewnego dnia Obedi dowie się, że krótko przed śmiercią Mistrz poświęcił mu swoje

ostatnie myśli. Polecił, by przysłać go do Akademii, gdzie mógłby pomagać Symesowi i służyć nowemu Mistrzowi. Znajdzie tam spokój, jakiego dotąd nie zaznał.

Człowiek z telefonu nie zawiódł Obediego, tak jak nie zawiódł przed nim wielu innych ludzi. Podobnie jak James, założyciel Akademii, wiedział, że to pokój i współczucie - a nie władza - prowadzi prosto do serca wszechświata, do Boga.

Tego ranka Sebastien oznajmił czterem Arbitrom, którzy przybyli na bankiet, że zamierza ubiegać się o stanowisko Mistrza. Piąty Arbiter miał przyjechać po południu. Ci, którzy już zjawili się na Tirah, potwierdzili, że Sebastien spełnił wstępny wymóg zwycięstwa w konkursie, czyli zdobył dwadzieścia milionów dolarów. Pozostał mu do spełnienia jeszcze jeden warunek: musiał stawić się przed innymi o godzinie ósmej wieczorem, tuż przed rozpoczęciem bankietu. Wyglądało to na czystą formalność. Ivan i Rex nie żyli, a Tanya i Andrew nie dawali znaku życia. Ze wstępnych doniesień wynikało, że oboje zginęli w okropnym wypadku na Tajwanie.

W domu Mistrza Pierwszy Arbiter poprosił Sebastiena o głośne odczytanie przysięgi, którą składał każdy nowy Mistrz: „Kandydacie! Jeżeli znasz jakiegokolwiek przeszkodę, dla których nie powinienesz zająć tego stanowiska, biorąc pod uwagę ciężar i odpowiedzialność urzędu, a także fakt, że służy on Akademii i całemu światu, twoim obowiązkiem jest wycofać swą kandydaturę, by miejsce Mistrza zajął człowiek, który najlepiej się do tego nadaje. Czy przysięgasz, że nie ma takich przeszkód?”

Sebastien wahał się dosłownie ułamek sekundy:

- Przysięgam.

Po przysiędze pozostali Arbitrzy wyszli, a Pierwszy Arbiter zwrócił się do Sebastiena:

- Jest taki zwyczaj, że mowę pożegnalną na pogrzebie Mistrza Akademii wygłasza Pierwszy Arbiter. Przygotowałem przemówienie, ale tym razem nie mogę go odczytać. Ty to zrobisz.

- Wolałbym zostawić to tobie - odparł Sebastien.

- Taka była wola Mistrza. Prosił, by mowę pożegnalną wygłosił jego przyszły następca.

Sebastien nie zdołał ukryć zaskoczenia:

- Czy Mistrz zaplanował swój pogrzeb?

Pierwszy Arbiter przeszył go wzrokiem.

- Mistrz umierał - wyjaśnił. - Na raka. Wiedział o tym od ponad roku.

Adepci Akademii zgromadzili się w małej, granitowej kaplicy, gdzie rok wcześniej pożegnali Reksa Boone'a. Odbywały się tu uroczystości pogrzebowe po śmierci Mistrzów, których grzebano na terenie Akademii.

Padał gęsty śnieg i na wyspie zrobiło się białe. Świece w kaplicy ledwie rozpraszały przygnębiający półmrok. Sebastien przystanął nad pozbawioną wszelkich ozdób trumną, a potem ruszył w stronę ołtarza. Z pozoru całkowicie panował nad sobą, ale w duchu właśnie wydawał na siebie wyrok. Był mordercą.

Idąc wąskim przejściem między ławkami miał wrażenie, że śni. Widział ich wszystkich... Oto Rex schodzi nad jezioro z wiosłami zarzuconymi na ramię. Ivan - chłodny i opanowany - podnosi na niego wzrok znad chińskiej szkatułki. Andrew znika bez śladu w afrykańskiej głuszy. Daleko na przedzie Mistrz bez wysiłku kroczył ścieżką, na którą on, Sebastien, nie miał wstępu. Była jeszcze Tanya: stała na brzegu i patrzyła na niego smutnym wzrokiem. Nie mógł znieść tego spojrzenia.

Wszedł na mównicę i zaczął czytać przemowę napisaną przez innego, mądrzejszego człowieka, który chciał opowiedzieć słuchaczom o Mistrzu. O niezwykłym człowieku, który nade wszystko przedkładał obowiązki przełożonego Akademii. O człowieku, który wiernie sprawował swój urząd, a zarazem pozostał nie skalany przez ogromną władzę, którą mu powierzono. O człowieku, który zepsutemu światu wskazywał drogę moralnej i duchowej odnowy.

Czytając te słowa, Sebastien zdał sobie sprawę, iż chociaż wypowiada je tylko i wyłącznie z obowiązku, mówi najszczerzą prawdę o Mistrzu. Nie mógł się im oprzeć, nie potrafił im zaprzeczyć. Mistrz naprawdę był tym, na kogo wyglądał, a on dopuścił się najgorszego okrucieństwa. Żądza władzy zawładnęła nim bez reszty i sprawiła, że mniejsze zło zrodziło większe. Nie zdołał nad tym zapanować. Przez własną próżność skazał się na porażkę. Jak ślepiec przestał dostrzegać to, na czym najbardziej mu zależało. Do oczu napłynęły mu łzy.

Doszedł do fragmentu, który odnosił się nie tylko do Pierwszego Arbitra, ale i do niego samego:

- Kiedyś Mistrz pokazał mi chińską szkatułkę, dzieło słynnego rzemieślnika imieniem Czang. Cesarz Chin zamówił u niego pudełeczko, prosząc o najpiękniejszą i najtrudniejszą z łamigłówek. Jaka jest zatem najtrudniejsza zagadka dla nas, ludzi? Czy nie chodzi nam przede wszystkim o zrozumienie sensu naszego istnienia? Przecież właśnie ta kwestia tak nas pochłania w krótkim życiu. Brniemy przez nie, potykając się, od sukcesu do porażki i od porażki do sukcesu, nie umiając ich od siebie odróżnić. Niewielu jednak chce zajrzeć w głąb

własnej duszy. Mogliby odkryć, że ich działania i pragnienia wcale nie przybliżają ich do upragnionego celu. Jaka jest zatem odpowiedź na to pytanie? Czang nie szukał jej w poklasku, władzy, lecz we własnym sercu. Człowiek, który żyje w zgodzie ze swą prawdziwą naturą, niczego nie pragnie. Jest wolny od złudzeń i widzi, jak w jego duszy otwiera się cały wszechświat.

Spojrzał w stronę trumny.

- I wydaje mi się, że Mistrz widział to podobnie. Był wolny od żądy posiadania. Nie dbał o dobra materialne. Nie pragnął władzy, przez co najlepiej nadawał się do jej sprawowania. Z umysłem czystym jak zwierciadło pomagał innym rozwiązywać problemy, z których nie umieli znaleźć wyjścia. Jako człowiek wyzbyty pragnień sam wybierał swą drogę.

Sebastien umilkł i powiódł wzrokiem po zebranych w kaplicy ludziach. Kiedy zaczął czytać dalej, dławione rozpaczą słowa z trudem przechodziły mu przez gardło:

- Jak zatem brzmiała dla niego odpowiedź na pytanie o sens życia? Jakie było rozwiązanie łamigłówek? Żyć w zgodzie ze swą prawdziwą naturą. Niczego nie pragnąc, zyskał wszystko.

Po zakończeniu nabożeństwa Sebastien został w kaplicy sam na sam z wyrzutami sumienia i duchami ludzi, których kiedyś znał. Pozostali Adepti wrócili do Akademii, żeby przygotować się do bankietu. Patrzył, jak odblask świec migocze na kolumnach. A więc Mistrz jednak wygrał. Zwyciężył, poświęcając życie, by pokazać Sebastienowi, jak bardzo się mylił w jego ocenie. Tytuł Mistrza nie był nagrodą, którą dostaje się za wygranie konkursu, lecz ciężkim brzemieniem. Być Mistrzem - to stąpać po linie, stale balansować między pomaganiem innym i nadużywaniem posiadanej władzy. A wszystko to dla pokoju.

Pokój nie jest jedynie brakiem wojny, lecz stanem oświecenia.

Sebastien podniósł wzrok. Pierwszy Arbiter przyglądał mu się z pewnej odległości.

- Mam tylko jedno pytanie - rzekł Sebastien. - Jak zginął Max Stanton?

- Prawdopodobnie popełnił samobójstwo. Zabił jednego z konkurentów, licząc na to, że w ten sposób zapewni sobie zwycięstwo w konkursie. Poznał jednak, że zblądził. - Arbiter zawiesił głos. - Ty też chyba dostrzegasz już prawdziwą naturę gry, Sebastienie. Rozumiesz konsekwencje swoich czynów. Zostawię cię samego, żebyś to przemyślał.

Sebastien stał nieruchomo, słuchając, jak kroki Pierwszego Arbitra cichną w oddali.

Zszedł na plażę i zaczął iść wzdłuż brzegu, a wspomnienia o Tanyi i pozostałych ściagały go jak mściwe furie. Powodowany egoizmem zniszczył to, co najbardziej kochał. Zdał

sobie wreszcie sprawę, że zło może prowadzić tylko do coraz większego zła. Nie ma szans, by wyniknęło z niego dobro. Dostrzegał na tej ścieżce inne postaci, które wcześniej na nią wkroczyły: dyktatorów, zmierzających wprost do przepaści, przekonanych, że sprawują władzę dla dobra innych. W istocie dzierżyli ją wyłącznie po to, by zaspokoić własne pragnienie dominacji.

Próbując oderwać się od koszmarnych myśli, Sebastien wrócił pamięcią do polityków i mężów stanu, do których rad się stosował. Przecież słuchały ich miliony ludzi, próbujących w swoim czasie znaleźć własną drogę ku władzy. Sun-Cy, który przeanalizował dziesiątki forteli i wybiegów użytecznych na polu bitwy, konkludował: „Wygrana w stu bitwach na sto, które się stoczyło, nie dowodzi jeszcze najwyższych umiejętności. Prawdziwa sztuka to pokonać wroga bez walki”.

A wielki Machiavelli? Mimo że wielokrotnie namawiał do czynienia zła, to jednak na zakończenie napisał: „Zapewne, nie można jeszcze nazwać dzielnością mordowania obywateli, zdradzania przyjaciół, braku wierności, człowieczeństwa i bogobożności; takimi sposobami można zdobyć władzę, ale nie chwałę”.

Sebastien patrzył, jak przyplływ zamazuje ślady jego stóp na piasku. Dał się oszukać. Wcale nie zależało mu na tym, żeby zdobyć tytuł Mistrza. Po prostu chciał być taki jak on. Tymczasem w pogoni za fałszywym obiektem swych pragnień zabił Tanyę. Zabił osobę, którą kochał najbardziej. Władza zdradza tych, którzy próbują po nią sięgnąć.

Westchnął ciężko. Życie jest takie krótkie, a tyle się trzeba nauczyć. Nie mógł osiągnąć statusu Mistrza, nie umiejąc dostrzec jego natury.

Spokojnie zanurzył się w morskie fale.

## ROZDZIAŁ 32

*Subtelny mistrz nie zostawia śladów... I dlatego jest panem losu  
swego wroga.*

*Sun-Cy Sztuka wojowania*

### **Wigilia Bożego Narodzenia. Godzina 19.30**

Ogień potrzaskiwał wesoło w kominku, rozjaśniając pokój łagodną poświatą. W bibliotece przy trzecim dziedzińcu Arbitrzy słuchali opowieści Andrew, a kiedy dobiegła końca, Pierwszy Arbiter wstał z fotela.

- Ze względu na to, jak wielką władzę daje stanowisko Mistrza, jest sprawą niezwyklej wagi, by nie dopuścić do objęcia go przez niewłaściwą osobę - powiedział. - A to naprawdę trudne zadanie. Od czasu założenia Akademii obowiązują w tym względzie ustalone reguły. O zajęciu pozycji Mistrza decyduje konkurs. Dzięki niemu Arbitrzy mogą wybrać najlepszego z kandydatów.

- Ale najpierw odbywa się losowanie? - spytał Andrew.

- Tak. Zgodnie z przepisami uczestników konkursu losuje się spośród wszystkich Adeptów z określonej grupy wiekowej. Dzięki temu nie można manipulować procesem wstępnego wyboru. Arbitrzy określają reguły rywalizacji. Sami nie mają prawa brać w niej udziału. Za każdym razem celem konkursu jest sprawdzenie zachowania kandydatów w sytuacjach ekstremalnych. Czy sięgną po zło, by osiągnąć cel. Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że takie podejście może okazać się tragiczne w skutkach, lecz nie ma innego sposobu na zapewnienie trwałości Akademii i promowanie pokoju. A przecież taki cel zawsze jej przyświecał.

- Czy Mistrz może brać udział w grze?

- Tak, ale w praktyce nikt tego nie robi. Kto chciałby dobrowolnie dźwigać takie brzemień? Człowiek, który rozumie, jaką krzywdę potrafi wyrządzić władza, nie będzie jej pragnął. - Pierwszy Arbiter westchnął z żalem. - Bardzo chcieliśmy, by dotychczasowy Mistrz

jak najdłużej pełnił swoją funkcję, ale przed rokiem dał mi znać, że nie będzie w stanie dłużej wypełniać swych obowiązków. Musieliśmy więc znaleźć jego następcę.

- Co się stało, że musiał zrezygnować?

- Słusznie się domyślałeś, Andrew: Mistrz był umierający.

Arbiter stanął przy oknie i wyjrzał na zewnątrz. W ogrodzie samotny kruk fruwał z gałęzi na gałąź w poszukiwaniu pożywienia. Arbiter doskonale wiedział, co oznacza ten widok: śmierć upomniała się o Mistrza.

Wrócił do kominka.

- W istocie nie ma żadnego konkursu, gdyż nie liczy się ostateczny wynik. Chodzi tylko o to, jakich środków użyto do jego uzyskania. Ci, którzy czynią zło lub pragną władzy dla zaspokojenia własnych ambicji i pragnień, sami wykluczają się z gry. Inni po prostu dochodzą do wniosku, że nie nadają się do kierowania Akademią i zrzekają się tytułu dobrowolnie.

- To znaczy, że zwycięzca konkursu wcale nie musi zostać Mistrzem?

- Właśnie. Decyzję o wyborze Mistrza podejmują Arbitrzy, zapoznawszy się z postępowaniem kandydatów podczas konkursu. Przez cały czas dyskretnie ich obserwują i wiedzą o nich wszystko. Sebastien zrozumiał to, zanim popełnił samobójstwo. Pojął też ogrom zła, którego dokonał. Rozmawiałem z Tanya: postanowiła się wycofać. Kiedy dojdzie do siebie po ostatnich wydarzeniach, w przyszłości będzie chyba dobrą kandydatką na Arbitra. Chcielibyśmy, żeby wróciła do Akademii i służyła nam swą wiedzą i doświadczeniem.

- Co ci powiedział Mistrz? - zapytał inny Arbiter.

- Dzwoniłem do niego z Tajwanu - odparł Andrew. - Jestem prawie pewien, że Sebastien już u niego był. Powiedziałem Mistrzowi, że ja i Tanya żyjemy, ale on sam znalazł się w wielkim niebezpieczeństwie. Odparł „Rozumiem” i odłożył słuchawkę. To wszystko.

- Przez całe życie był nauczycielem - stwierdził Pierwszy Arbiter. - Nawet w obliczu śmiertelnego zagrożenia próbował wskazywać ludziom, jak mogą naprawić popełnione błędy.

- A co z konkursem, w którym sam brał udział?

Głos zabrał piąty z Arbitrów, Jack Caldwell:

- Warunki były identyczne jak tym razem. Kiedy dotarła do mnie prawda o naturze władzy Mistrza, zdałem sobie sprawę, iż dążąc do zwycięstwa próbowałbym tylko się wywyżżyć, a ostatecznie władza i tak by mnie zniszczyła. Z Mistrzem było inaczej. Od początku rozumiał, o co toczy się gra, i zdawał sobie sprawę, że nie ma w niej żadnych nagród. Zmagamy się o to, kto pierwszy przyjmie na swoje barki potworne brzemie. Nie brał



udziału w konkursie i nader niechętnie przyjął oferowane mu stanowisko, kiedy Arbitrzy mu je zaproponowali.

- W takim razie ja się nie nadaję - rzekł Andrew. - Zbyt wiele wysiłku kosztowało mnie rozszyfrowanie chińskiej łamigłówki.

- Nie ty masz to oceniać, Andrew - oznajmił Pierwszy Arbiter. - Decyzja należy do nas. Sami określamy, kto będzie dźwigał ten ciężar. Dobrze wiemy, że nie uległeś pokusie zła. - Arbiter wstał. - To ja zawiodłem. Na samym początku konkursu nie podziękowałem Mistrzowi za wszystko, czego dokonał dla Akademii. Był jednym z najwybitniejszych jej przełożonych. Nie pragnął władzy, ale przyjął ją z miłości do innych i bez żalu by się z nią rozstał, gdyby go o to poproszono. Moim zdaniem zaszedł bardzo daleko na drodze do doskonałości, którą tak określa Tao: „Mędrzec... naucza, nie mówiąc nic... pomaga wszystkim, nie przypisując sobie zasług i nie chełpi się pracą, którą wykona... Dzięki temu, stawiając się na szarym końcu, w istocie wszystkim przewodzi”.

Nie zostało już nic więcej do powiedzenia. Milczenie przeciągnęło się kilka minut, aż zegar w kaplicy wybił ósmą. Wtedy Symes wszedł do biblioteki, niosąc przerzuconą przez ramię szatę Mistrza. Wszyscy wstali i Pierwszy Arbiter przemówił:

- Andrew, wszyscy chcemy, żebyś został Mistrzem.

Arbitrzy ukłonili się zgodnie.

- Mistrzu - odezwał się Symes. - Czas udać się na bankiet.

## OD AUTORA

W tej powieści snuję rozważania o naturze władzy i jej niszczycielskim wpływie na ludzi, ze szczególnym uwzględnieniem czynów, do których zdolni są posunąć się, by ją zdobyć. Odwołuję się przy tym do kilku myślicieli i teoretyków polityki, którzy zajmowali się podobną tematyką. Machiavelli obserwował i opisywał władzę z perspektywy człowieka Zachodu, inni filozofowie przyjmowali raczej wschodni punkt widzenia. Dla czytelników, których kwestie te szczególnie zainteresowały, zamieszczam poniżej garść dodatkowych informacji.

### **Niccoló Machiavelli**

Jeden z najświetniejszych zachodnich politologów (choć cieszący się raczej złą sławą) urodził się we Florencji w 1469 roku, w rodzinie przeciętnie prosperującego prawnika. W czasach jego młodości Florencja, choć oficjalnie miała status republiki, znajdowała się we władaniu jednego rodu Medyceuszy. Dopiero w 1498 roku przywrócono prawdziwie republikańskie rządy. W wieku dwudziestu dziewięciu lat Machiavelli rozpoczął pracę w służbie cywilnej i do 1512 roku uczestniczył w licznych misjach dyplomatycznych. Poznał między innymi genialnego i bezlitosnego Cesare Borgię, syna papieża Aleksandra VI, który zamierzał kosztem republiki utworzyć w środkowych Włoszech niezależne księstwo. Machiavelli wiele się przy nim nauczył o racji stanu i naturze władzy.

W 1512 roku Medyceusze znów objęli władzę we Florencji. Machiavelli stracił posadę i został wtrącony do więzienia. Po zakończeniu wyroku wiódł nędzny żywot w małej, odziedziczonej po ojcu posiadłości pod Florencją. Tam też w 1513 roku ukończył *Księcia*, swoje największe dzieło. Zadeedykował je Lorenzowi de Medici, ale wbrew swoim oczekiwaniom nie wrócił do łask rodziny panującej. Dopiero po śmierci Lorenza w 1520 roku udało mu się zająć mało znaczącą posadę oficjalnego historyka republiki. Zmarł siedem lat później, krótko po tym, jak Medyceuszy po raz kolejny wygnano z Florencji, by na powrót ustanowić tam republikę.

Machiavelli był człowiekiem prawym i uczciwym, lecz w *Księciu* głosił ideę

bezwzględne oportunizmu i politycznej amoralności. Nic dziwnego zatem, że jego dzieło towarzyszą nieustające kontrowersje. Niektórzy widzą w nim mistrza manipulacji politycznej, który interesy państwa przedkładał ponad wszelką moralność; inni zaś uważają go za pierwowzór prawdziwego demokrata i typową ofiarę nadużyć władzy. Spór trwa.

### **Sun-Cy (Mistrz Słońce)**

Szuma Czien w swoich *Zapiskach historyka* (ukończonych w 91 roku p.n.e.) pisze, że Sun Wu (bo tak naprawdę nazywał się Sun-Cy) pochodził z królestwa Czi i przedstawił swoje dzieło *Sztuka wojowania* królowi He Lu, władającemu królestwem Wu. Nastąpiło to w epoce Wiosny i Jesieni państwa chińskiego, a więc w latach 770 - 476 p.n.e., kiedy kraj przestawiał się powoli z ustroju niewolniczego na feudalny. W 1972 roku w starym chińskim grobowcu znaleziono spisany na kawałkach bambusa manuskrypt, z którego wynikało, że potomek Sun Wu, który przyszedł na świat sto sześćdziesiąt lat później, również pisał o wojnie; był to czas Walczących Królestw (475-221 p.n.e.). Nie ulega wątpliwości, że w obu tych okresach historycznych strategia wojskowa miała olbrzymie znaczenie.

Bez względu na to, czy Sun-Cy istniał naprawdę, czy nie i czy *Sztuka wojowania* jest jego dziełem, czy tylko kompilacją wielu utworów, stanowi ona głębokie, intrygujące studium taktyki, natury władzy i państwa. Główna jej teza brzmi następująco: zwycięstwo można osiągnąć nie tylko w walce zbrojnej, ale także - a może przede wszystkim - w wojnie podstępów i uników. Prawdziwy mistrz w ogóle nie toczy wojen, lecz wygrywa, stosując intrygi i podchody. Mimo że *Sztuka wojowania* zaczyna się od słów „Znaczenia wojny dla państwa nie sposób przecenić”, to znajdują się w niej także takie zdania: „Wygrana w stu bitwach na sto, które się stoczyło, nie dowodzi jeszcze najwyższych umiejętności. Prawdziwa sztuka to pokonać wroga bez walki”.

### **Taoizm (Lao-Cy i Czuang-Cy)**

Taoizm to wywodząca się z Dalekiego Wschodu tradycja filozoficzna, która z czasem nabrała znaczenia religijnego. Za główny jej tekst uważa się *Księgę Lao-Cy* (znaną też jako *Tao Te Ching*). Niektórzy historycy dowodzą, iż jej autor, Lao-Cy („Stary Mistrz”) był opiekunem cesarskich archiwów, a dzieło swe stworzył w okresie późnej Wiosny i Jesieni historii Chin (770-476 r. p.n.e.). Inni znów twierdzą, że Lao-Cy w ogóle nie istniał albo że dzieło powstało znacznie później. Drugi z propagatorów taoizmu, Czuang-Cy, żył w latach 369-286 p.n.e.

Ośrodek doktryny taoistycznej stanowi *tao* (droga), początek i koniec wszechrzeczy, do której zrozumienia prowadzi wyłącznie mistyczna intuicja; racjonalny umysł jest w tym wypadku bezradny. Celem egzystencji człowieka jest życie w zgodzie z własną wewnętrzną naturą, która może zrozumieć *tao*. Dopiero to pozwoli mu uwolnić się od ludzkich pragnień i lęku przed naturalnym rytmem życia i śmierci. Taoizm zakłada, że doskonali władcy w pełni rozumieją ideę „drogi”: nie interesują ich tytuły, władza i zaszczyty, lecz prostota istnienia. Wiedzą także, że wszelkie próby zdobycia ludzkiej mądrości i wyznawanych przez ludzi wartości są całkowicie bezcelowe: „Im dalej idziesz, tym mniej wiesz. Dlatego też mędrcowie wszystko, choć nie dociera do końca drogi”. Chodzi przecież o to, by wyzbyć się ludzkich niedoskonałości, a nie szukać nowych. Pokora i intuicyjne rozumienie wszechświata są tym, do czego należy dążyć. Ten, kto się wywyższa, nie nadaje się na władcę.